

# PAWEŁ LEŚNIAK



## CZAS NA SEN

PAWEŁ LEŚNIAK

# CZAS NA SEN

*Kochanej żonie i córce*

# Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1. Koszmar

Rozdział 2. Nie ma jak w domu

Rozdział 3. Bezsenna noc

Rozdział 4. Kara

Rozdział 5. Polowanie

Rozdział 6. Jak ten czas leci...

Rozdział 7. Horyzont

Rozdział 8. Groźba

Rozdział 9. Koniec pościgu

Rozdział 10. Brat, bratu...

Rozdział 11. Za wszelką cenę

Rozdział 12. Zaszczuty

Rozdział 13. Dwie twarze

Rozdział 14. To nic osobistego

Rozdział 15. Chowanego

Rozdział 16. Plan

Rozdział 17. Czas na sen

O autorze

Redakcja Główna: Robert Cichowlas

Redakcja: Dominik Gajewski

Korekta: Zuzanna Leśniak

Projekt okładki: Tomasz Zarucki

Skład i łamanie: Marek Jadczyk

Copyright by Paweł Leśniak 2021

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Noca,  
Warszawa 2021

ISBN: 978-83-959399-0-7



WYDAWNICTWO NOCA

ul. Filipiny Płaskowickiej 46/89

02-778 Warszawa

NIP: 9512496374

[www.wydawnictwonoca.pl](http://www.wydawnictwonoca.pl)

e-mail: [biuro@wydawnictwonoca.com](mailto:biuro@wydawnictwonoca.com)

## Prolog

Ciemny i zimny korytarz, oświetlany pojedynczymi, żółtymi żarówkami wiszącymi na kablach, kilka centymetrów pod sufitem, w sporych odstępach. Wilgoć i zgnilizna wierciła nozdrza. Pospieszny krok eleganckich butów unosił się w rytmie stukotu drewnianych podeszw. Mijając stalowe drzwi słyszał wołanie o pomoc, krzyki pełne złości przeplatane wrzaskami rozpaczliwych ludzi chcących wyjść na wolność. Mężczyzna dotarł do ostatnich drzwi po prawej i wszedł do środka, gdzie czekał na niego lekarz na tle kilkunastu łóżek szpitalnych stojących starannie w rzędach, leżeli na nich pacjenci podpięci do aparatury i kroplówek. Lekarz z kozią bródką podszedł do mężczyzny w gustownym czarnym garniturze, czarnej koszuli i czarnej przepasce na lewym oku, w której wyglądał jak pirat. Rozejrzał się po pacjentach. Stare żarówki z trudem oświetlały zimne pomieszczenie.

– Przybył pan niezapowiedzianie – zaczął doktor. – Czy coś się stało?

– Chciałem osobiście dowiedzieć się jak przebiegły ostatnie próby.

– Niestety, nie mam dobrych wieści. Podwojenie dawki niczego nie zmieniło, jedynie poważnie pogorszyło stan zdrowia pacjenta.

Mężczyzna z przepaską spojrzął na telefon, który wibracjami wyrwał go z zamyślenia. Odrzucił połączenie i lypnął odkrytym okiem na lekarza.

– Zwiększ dawkę – wycedził przez zęby.

– To go zabije!

– I w czym problem? Są inni. Od sześciu lat nie zrobiliśmy progresu. Do północy chcę mieć raport o postępach.

Szykownie ubrany mężczyzna ruszył do wyjścia.

– A jak się nie uda? Co, jeżeli pacjent umrze? – spytał lekarz.

– Wiesz, co musisz wtedy zrobić...

Mężczyzna wyszedł z pomieszczenia.

## Rozdział 1

# Koszmar

Cisza.

Otworzył oczy i jak tylko zrozumiał, gdzie jest, poczuł zimny dreszcz na plecach. Klatka piersiowa unosiła się w przyspieszonym oddechu, a na czole pojawił się pot. Krwisto pomarańczowe słupy światła wpadające przez pozbawione szyb okna z trudem oświetlały pokój, rzucając na ściany ostre cienie, przypominające karykaturalne sylwetki. Mimo iż leżał w swoim łóżku, nie był w tym samym miejscu, co w momencie, gdy powieki zarzuciły ciężką kurtynę przysłaniającą świat. Miejsce to samo, ale jednak gdzie indziej. Zszedł z łóżka, każdy krok wydawał stłumiony dźwięk, jakby był pod wodą. Wyrzwał przez okno i zobaczył pustą ulicę przed domem – korony drzew, krzaki, piach na chodniku, wszystko swym zachowaniem przypominało starowieczne posągi. Odsunął fotel od biurka i usiadł. Czekał, nie rozumiejąc dlaczego koszmar powrócił po ponad dwóch latach. Spojrzał na puste zaścienione łóżka współlokatorów. Niepewnie wstał i zatrzymał się przed drzwiami. Dłoń drżała mu ze strachu. Pamiętał, co czai się w cieniu. Przełknął ślinę i wyszedł z pokoju. Głuchy pogłos jego kroków wypełniał przestrzeń. Pchnął napotkane po drodze uchylone drzwi; pozostałych współlokatorów również nie było. Zszedł na parter i skierował się do starszej pary mieszkającej w jednym z pokoi, lecz ukazało mu się jedynie puste łóżko z pomiętą pościelą. Spojrzał w stronę wyjścia. Przeszukiwanie reszty domu miało się z celem. Odwrócił się.

Kołdra poruszyła się. Zamrugał raz i drugi, nie będąc pewnym czy rzeczywiście to widział. Serce dudniło jeszcze mocniej, czuł jak pocał mu się dłonie. To nie wiatr, uznał. Tu nigdy nie było przeciągu. Obserwował uważnie jeszcze przez kilka minut, ale nic się nie wydarzyło. Ruszył do wyjścia z domostwa. Pochwycił klamkę – była ciepła i tłusta – i przekręcił ją szybkim ruchem.

Wyszedł przed dom. Szyby na ganku były oblepione, brudne i żółknięte. Schodząc po schodach dostrzegł połamaną huśtawkę. Na chwilę zawiesił na niej wzrok, po czym podszedł do bramy wjazdowej i jednym mocnym ruchem uchylił ją. Zaskrzybiała, a dźwięk ten zabrzmiał jak jęk wyjącego z bólu zwierzęcia. Atmosfera była ciężka, pełna niepokoju, a potęgował ją odór – jakby coś gnijącego zawisło nagle w powietrzu. Wychodząc na ulicę spojrzał w prawo, w kierunku centrum miasteczka. Biła stamtąd groza i czuł w kościach, że ma się tam nie zbliżać. Obrął zatem kierunek przeciwny. Ruszył wzdłuż opuszczonej ulicy, popatrując na okna domów mieszkalnych. Nie żył dobrze z sąsiadami, lecz w tej chwili nawet widok ich niechętnych mu twarzy byłby miłym doznaniem. Znalazł się na środku jezdni i podążył wzdłuż linii oddzielającej pasy. Chciał uniknąć cieni, padających od latarni.

Wiedział, że cokolwiek by się nie wydarzyło, za wszelką cenę trzeba ich unikać.

Cienie – pomyślał i aż na sam dźwięk tego wyrazu w swej głowie przystanął. Napawały go niezrozumiałym lękiem, Właściwie, dlaczego? Nie potrafił sobie odpowiedzieć. Ruszył dalej, ale dojmujący strach, niczym szept z tyłu głowy, kroczył za nim.

Dotarł do skrzyżowania. Po lewej jego oczom ukazała się ulica wpływająca w ścianę mroku i gęstego dymu, na wprost ciągnęła się dalsza część uliczki, którą szedł. Nagle coś przykuło jego uwagę. Zmrużył oczy i dostrzegł gęste, poruszające się powietrze. Czuł wibracje dochodzące z tego miejsca, przerywane niezrozumiałymi szeptami. Skręcił w prawo, na most. Minął samochód wbity w barierki, którego przed upadkiem do rzeki uratowało koło zaplątane w wystające druty ze starego betonu. Niebo nad nim było ciemnogrnatowe, jak tuż przed burzą.

Kątem oka zobaczył postać stojącą na skrzyżowaniu. Kobieta, o długich czarnych włosach, w bliżej nieokreślonym wieku. Rozglądała się, wyglądała na zagubioną.

Schował się za wrakiem samochodu i nie wychodził z ukrycia w obawie przed tym, co się mogło stać. Po tej stronie nie spotkał jeszcze nikogo. Niech idzie swoją drogą, pomyślał i sam oddalił się nieco od wraku samochodu, starając się pozostać niezauważonym, a następnie przyśpieszył.

A może jednak powinien do niej podejść? To była pierwsza osoba, jaką spotkał, odkąd zaczęły mu się przytrafiać te koszmary. Stopy piekły przez buty. Niedaleko starego stadionu piłkarskiego stał opuszczony kilkupiętrowy budynek. Podświadomie kierował się właśnie tutaj, czuł, że to miejsce go woła. Już takie spotykał, każdy jego miesiąc, każda szara komórka, a nawet każda bakteria, jaka teraz w nim była, wszyscy krzyczeli, żeby wracał. Był już po tej stronie wystarczająco długo, aby móc wrócić i się obudzić. Jednak z nieznanego mu powodu, pomimo złego przeczucia, wciąż stał w miejscu, patrząc na budynek.

Nic się nie zmieni, dopóki czegoś nie zmienisz – pomyślał, a następnie zebrał się na odwagę i ruszył przed siebie. Wszedł na opuszczony teren. Były tam sterty piachu i kamieni, stare belki, pokruszone cegły i potargane folie, zdające się wyrastać w przeróżnych kształtach na tle przerażającego, niczym z post apokaliptycznego horroru bloku. Na domiar złego, od pierwszego postawionego tu kroku czuł się obserwowany.

Wejście było jedno, czarne i puste jak wszystko w tym miejscu. Wszedł do środka. Podłogi i ściany były nienaturalnie czyste – światło nie lubiło tego terenu, natomiast porządek tak. Kierując się wąskimi, szarymi korytarzami jego poczucie bycia obserwowanym wciąż narastało, jednak nikogo nie widział, ani nie słyszał. Ostrożnie pokonywał kolejne metry, wspinając się piętro po piętrze. Agresywny i głuchy szelest niebieskiej folii po prawej postawił go do pionu. Zasłonił usta dłonią, aby nie wydać z siebie dźwięku przy spanikowanym oddechu. Gdy się uspokoił i rozejrzał dookoła zauważył ruch po przeciwnej stronie. Jego oczom ukazał się jedynie duży półmrok padający na pusty, betonowy pokój pełen kabli. Co ja tu, do cholery, robię? – zastanawiał się.

Pokręcił głową i wbrew sobie poszedł dalej. Poczucie nieokreślonej obecności za plecami narastało, i co rusz zerkał za siebie w nasilającym stresie. Coś przebiegło z prawej, choć znów nie był pewien, czy aby znów mu się nie wydawało.

To tylko strach i napięcie, powtarzał w duchu.

Wtedy dostrzegł, że w ciemności coś zamigotało. Cień w jednym miejscu zgęstniał i przybrał antropomorficzne kształty. Chłopak wyteżył wzrok stojąc w oświetlonym przez krwiste światło pomieszczeniu. W mroku zobaczył srebrne oczy, a w nich chęć mordu.

Przerażony zaczął zbiegać w dół, pokonując po kilka schodów na raz. Dwa piętra niżej dostrzegł, że na stadionie zapaliły się jupitery. Światło poraziło jego oczy.

A potem coś pociągnęło go za nogę. Sunąc korytarzem pochwyił jakąś rurkę, cisnął nią w to coś. Puściło. Przerażony, podniósł się, zerkając na cień przy drzwiach – to właśnie tam zniknęła kreatura. Widząc czarną dłoń wychodzącą z cienia, spłoszony odsunął się pod ścianę. Rzucił się ku klatce schodowej i zaczął zbiegać po betonowych stopniach. W ostatnim korytarzu zatrzymał się przed dwoma metrami pełnymi czerni, do których nie docierało żadne światło. Obrócił się, gdy usłyszał piach syjący się z wyższych pięter. Wbiegł w ciemny zaułek. Szpony szarpały jego nogi oraz plecy, starając się złapać go w uścisku. Ostatkami sił udało mu się wyskoczyć z cienia na piach przed budynkiem. Leżąc, przekreślił się na plecy i czołgał w panicznych ruchach odpychając się nogami. Gdy trafił plecami na twardą przeszkodę usiadł i oparł o jedną z belek patrząc na cienie opuszczonego budynku. Widział czarne, wychudzone i długie ręce wychodzące z najciemniejszych ich punktów, które po niego sięgały, ale brakło im zasięgu...

– My istniejemy! – ktoś lub coś krzyknęło, a potem dodało: – To nie jest sen! Jesteśmy prawdziwi... Zerwał się do ucieczki. Biegł, ile sił w nogach, nie oglądając się za siebie. Przebiegając przez most, zauważył jedną z kreatur siedzącą w samochodzie, obserwowała go srebrnymi oczami. Skreślił w lewo i odwrócił się dopiero, gdy usłyszał krzyk kobiety. Była to ta sama, którą widział wcześniej. Wbiegła w uliczkę, z której przyszła. Dom był zaledwie dwieście metrów przed nim. Widział, jak zmienia się otoczenie, drzewa, rośliny, ulica stała się śliska i mazista. Przeciskając się przez bramę kątem oka dostrzegł cienie nurkujące w czarnych punktach ulicy. Były blisko.

Wbiegł do domu, a po chwili z impetem wpadł do pokoju zatrzasnąwszy za sobą drzwi i zanurkował pod koldrę, zamykając oczy. Schowany pod pierzyną, trząsał się ze strachu, a jego oddech unosił się echem po głuchej przestrzeni. Wtedy poczuł przenikliwie zimno. Gardło zaczęło go palić przy wdechu.

Zdjął koldrę z głowy i spojrzał na drzwi. Rozległ się trzask zamka i skrzyknięcie. Skrzydło uchyliło się. Czarne jak smoła dłonie otwierały je coraz szerzej. Zamknął oczy, ale nie mógł się wybudzić. Znów wyjrzał.

Kilkanaście czarnych dłoni obejmowały teraz drzwi i framugę, a kilka par srebrnych oczu przewiercało go wzrokiem przez wąską szczelinę. Chłopak zakrył się jeszcze mocniej. Leżał w bezruchu, choć w myślach miotał się jak obłąkany ze



strachu.

Przelknął ślinę i zacisnął mocno powieki.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Zrzucił z siebie nakrycie i przyłożył dłoń do piersi. Serce waliło mu jak młotem. Omiótł spojrzeniem drzwi, od góry do dołu. Panował niemal nieprzenikniony mrok, ale kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do ciemności, pojął, że za drzwiami nikogo nie było. Żadnych cieni, żadnych rąk, nic. Nieco się uspokoił. Zegarek wskazywał drugą w nocy. Wcześniej niż zwykle, pomyślał i uświadomił sobie, że jest zalany potem.

– Daj spać! – usłyszał krzyk jednego ze współlokatorów. – Jak boga Kocham, od jutra śpisz przed domem!

Rozwścieczony sublokator odwrócił się na drugi bok. Tymczasem mężczyzna wstał. Fotel, na którym siedział we śnie, stał wysunięty, tak jak go zostawił po drugiej stronie. Dosunął go z powrotem. Wyszedł na balkon, gołe stopy na zimnych płytkach cucily lepiej niż prysznic. Sięgnął po paczkę papierosów leżącą na parapecie i zapalił jednego. Porządnie się zaciągnął, spoglądając na korony drzew, targane podmuchami wiatru. Liście zdawały się ledwie trzymać na gałęziach, tak jak on trzymał się ostatkiem sił swej normalności szarpanej koszmarem przypominającym mu o przeszłości, do której obiecał sobie nigdy nie wracać. Było wczesne lato, ale noce wciąż zimne. Podparł się łokciami o barierki, poprawił długie włosy, zaczesując je za uszy. Westchnął głośno, gdy zauważył, iż brama wjazdowa jest uchylona tak jak zostawił ją po drugiej stronie. Sięgnął po telefon i wszedł na social media, gdzie z fałszywego konta śledził relacje małego chłopca, robiącego głupie miny z uszami królika.

– Nie możesz spać? – rozległ się głos za plecami. Jego rudy współlokator również wyszedł na balkon. Ręce i nogi miał chude, ale ogromny brzuch piwny klócił się z resztą ciała. W żółtym podkoszulku i zielonych spodniach od pidżamy wyglądał jak skrzat. Chłopak schował telefon.

– Jak widzisz – odparł.

Piegowaty oparł się o barierki i stał tak bez celu, co chwila zerkając ukradkiem na rozmówcę. Niezręczna cisza zaczynała go drażnić.

– Nie dość, że jestem zmuszony spędzać z wami całe dnie, to widzę, że na balkon też nie mogę wyjść sam – Skomentował poirytowany z niesmakiem kręcąc głową.

– Nie śpię przez ciebie Taylor, jakbyś nie zauważył – odparł niby odważnie, ale wzrokiem biegał dookoła unikając kontaktu. – Stary, to nie jest normalne, a już na pewno nie śmieszne, musisz coś z tym zrobić, bo nie wiem jak długo będę w stanie przekonywać pozostałych.

– O czym ty mówisz?

– Chłopaki chcą donieść na ciebie do szefa.

– Że co!?! – uniósł głos.

Rudy przyłożył palec do ust sygnalizując, by nie podnosił tonu. Po chwili zerknął przez okno upewniając się, że reszta śpi.

– Potrzebuję tej roboty – dokończył Taylor już spokojnym głosem.

– Jak my wszyscy, ale brak snu ich wykańcza.

– Pięć browarów codziennie przed snem ich wykańcza. – Rudy spojrzał na niego, ale nie skomentował. – Dobra, przeniosę się do innego domku.

– Nikt cię nie chce u siebie, a rozmawiali z każdym – szybko uciekł wzrokiem.

– Rozmawialiście z innymi o... – ugryzł się w język, zaczął się denerwować

– Ej, nie bierz tego do siebie i postaraj się nas zrozumieć.

– Ta, rozumiem. Kurwa. Zresztą to i lepiej, mam już dość tej sterty pieprzonych śmieci na balkonie. Dupy im się nawet nie chce ruszyć, żeby worek do kubła wynieść.

Współlokator zaczął się wycofywać do środka.

– Czy ty przypadkiem nie zamykałeś bramy po powrocie z roboty? Wychodził ktoś po tobie? – Taylor przerwał mu kroki.

– Wróciłem ostatni. Czemu pytasz?

– Bo jest otwarta. – Wskazał na nią papierosem.

– Znowu się sama otworzyła? W tym domu nic nie działa, nie przejmuj się tym. Zgłoszę to rano do landlorda.

– Kogo?

– Land-Lord, właściciel budynku. Dobranoc.

– Cześć.

– Ale – dodał jeszcze – nie mów chłopakom, że ci powiedziałem, okej? Nie chcę, żeby wyszło, że cię uprzedziłem. A wiesz, nie chciałem żebyś się za bardzo zestresował.

Taylor zamilkł.

– Nie bój się, nikomu nie powiem. – Odparł po chwili.

Zadowolony, wrócił do środka zostawiając go samego.

– Tak – spojrzał na uchyloną bramę. – Niby komu miałbym powiedzieć?

Stara latarnia oświetlała ulicę, mężczyzna przyglądał się bramie uważnie, następnie odwrócił papierosa do siebie i dmuchnął w niego. Gdy wrócił wzrokiem, zobaczył jak z cienia latarni wyłoniła się czarna, chuda dłoń. Mężczyzna odskoczył gwałtownie, przewracając stos worków, które rozsypując się obudziły resztę. Uciekł wzrokiem pod nogi i gdy znów spojrzał w kierunku ulicy, ręki już nie było. Sapał głośno, aż usłyszał krzyk dochodzący z pokoju.

– Kurwa, od dzisiaj śpisz przed domem!

Był wtorek. Dzień jak każdy inny – szósta rano budzik, śniadanie, bus, meldunek i praca na budowie. Do najłatwiejszych nie należała. Pracował głównie na koparce, co wiązało się z hałasem. Ale jemu to odpowiadało. Hałas był dla niego ucieczką, zagłuszał ciszę, której tak bardzo nienawidził. Do tego karczemny szef, na którym można było skupić swoją złość. Miał wszystko, czego mu było trzeba, żeby żyć normalnie. Przerwa na obiad, kanapki zrobione z samego rana i jogurt naturalny. Sam na boku, nigdy z innymi – towarzystwo niszczyło każdą chwilę. Nie lubił ludzi, zadawali zbyt dużo pytań. Ale jednak, jak na ironię, im bardziej ich omijasz, tym bardziej się tobą interesują.

Czasem się im przyglądał. Uśmiechnięci i obojętni, jakby udawali, że to wszystko dookoła ich nie dotyczy, jakby cały ziemski padół skupiał się na czubku ich nosa. Byli prości i nie winił ich za to. Nie mieli pojęcia, że nasz świat to nie wszystko, że istnieje coś więcej, coś o wiele większego, niż mogą sobie wyobrażać. Stali w pięciu, pili piwo w ukryciu przed kierownikiem. Vuko schylił się po kolejną puszkę stojącą pod słupem, zza którego w ułamku sekundy pojawiła się czarna chuda ręka i szybkim machnięciem rozorała mu twarz.

Padł na beton, a krew rozlała się w dużą kałużę. Reszta nawet nie zareagowała. Zamknął oczy, a gdy je otworzył zobaczył Vuko stojącego w grupie i śmiejącego się z kolejnego głupiego żartu. Oni nie wiedzieli, ale jest więcej takich, co wiedzą. Kobieta napotkana przed mostem, siedziała mu w głowie przez cały dzień. Kolejny podróżnik? A może on sam ma omamy? Może jego umysł ukazuje to, co chciałby zobaczyć. Czasami nie umiał już odróżnić. Jak można być pewnym czegoś, co spośród siedmiu miliardów ludzi widzisz tylko ty? Coraz bardziej zaczęła docierać do niego myśl, że jednak jest coś na rzeczy. Ze wszystkich sił starasz się nie myśleć, zapomnieć, jednak w końcu przychodzi noc i wtedy sobie uzmysławiasz, stając temu naprzeciw.

Uświadamiasz sobie, że to istnieje.

Cisza... Wiele osób wciąż nie potrafi dostrzec jej wartości. Cisza nie oznacza, że ktoś rezygnuje. Niekiedy to znak, że ta osoba nie chce tracić czasu na kogoś, kto i tak nie zrozumie jego słów. Trzeba umieć z niej korzystać. Kiedy jesteśmy w towarzystwie idiotów, często lepiej nie powiedzieć nic. Cisza skrywa siłę i daje spokój, ma w sobie ładunek intymności. Pozwala nam być sam na sam z najważniejszą osobą w naszym życiu, samym sobą. Nigdy nikomu nie będzie zależało na tobie tak bardzo, jak tobie samemu. Społeczeństwo nie jest na nią gotowe, ludzie potrzebują hałasu, szukają go, tak jak odwrócenia uwagi. Byle tylko nie zostać sam ze sobą. Ponieważ podświadomie boją się tego, co zobaczą w lustrze.

Robota skończona. Dziś czwartek, a więc jedyny dzień, gdy można spotkać szefa i z nim pogadać. Po drodze przejrzał nowe relacje chłopca; jeździł właśnie ze znajomymi na hulajnogach elektrycznych. Mają ładną pogodę, skomentował w myślach. Chłopak stanął przed drzwiami i strzepnął piach z ramienia czarnej dżinsowej kurtki z dużą złotą koroną na plecach. Katana miała dla niego fundamentalne znaczenie, nigdy się z nią nie rozstawał. Gotowy na rozmowę,

zapukał do kantorka i wszedł do środka. Wnętrze było dość przytulne – dwa biurka dla sekretarek, wykładzina, rośliny w doniczkach, otwarta kuchnia i duża plazma na ścianie, na której leciał serial, skupiający sto procent uwagi dwóch starszych pań w identycznych trwałych na głowie.

Gabinet szefa znajdował się po prawej. Ruszył żwawo w tamtym kierunku. Pracodawca siedział zakopany w papierach, podczas gdy sekretarki ścianę obok rozczuły się przed telewizorem. Chmura dymu z papierosów unosiła się w powietrzu, nadając miejscu klimat z lat osiemdziesiątych.

– Dobrze, że jesteś – zaczął prezes. – Chciałem z tobą pogadać, co nie.

Szef beknął właśnie i oparł się ciężko, aż cały fotel zatrzeszczał głośno. Był niemal łysy, nie licząc kilku włosów wijących się w poprzek głowy, niczym węzowe sploty. Miał krzaczaste brwi, orli nos, a kilka wysuniętych podbródków nadawało mu wygląd iście karykaturalny. Narzucona na jego ramionami kamizelka z odblaskami błagała o szybką śmierć.

– Wiesz, że cię lubię, co nie? – zaczął. – Jesteś bystry. Nie wyglądasz, ale jesteś. Więc dlaczego nikt nie chce z tobą pracować? Podobno celowo nie dajesz ludziom spać, podobno masz problemy psychiczne i jesteś niebezpieczny na budowie, co nie.

– To nie prawda...

– Masz przestać – przerwał mu. – Rozumiesz? Zmęczony pracownik to pół pracownika. Pewna mądra osoba mi to kiedyś powiedziała, co nie.

– Jestem przekonany, że żadna mądra osoba by nigdy tak nie powie...

– Poczekaj, tylko zrobię coś z tym cholernym światłem. Bije po oczach, co nie.

Nie podnosząc się z fotela, dwoma podciągnięciami za pomocą pięt zbliżył się do żaluzji i je zaciągnął. Cień przykrył biurko, a wraz z nim pojawiła się czarna postać, która skręciła mu kark. Ot, tak po prostu. W jednej chwili. Chłopak odskoczył przerażony, wpadł na półkę pod ścianą. W ostatniej chwili złapał w ręce spadającą koparkę z porcelany. Gdy spojrział drugi raz, zobaczył tylko patrzącego na niego jak na wariata szefa, który zaczął wypisywać jakiś numer na kartce.

– Taylor, jeżeli chcesz zachować posadę, to po pierwsze, odłóż moją nagrodę na miejsce, nietkniętą. Po drugie, zadzwoń pod ten numer i umów się jak najszybciej. I lepiej żebyś wrócił z podpitym papierem, że jesteś zdolny do pracy. Inaczej będziemy się żegnać, co nie?

Szef wręczył kawałek papieru z numerem do psychologa. Chłopak wziął go i wyszedł z biura. Jeszcze tego samego dnia umówił się na wizytę. Gabinet mieścił się na przedmieściach w budynku w stylu neoklasycznym, który okres swej świetności dawno miał za sobą. Dotarł na miejsce i usiadł wygodnie w starym fotelu. Spojrzął na zegarek – dochodziła osiemnasta.

Wystrój pokoju pamiętał lata dziewięćdziesiąte, ostała się nawet typowa dla tego okresu boazeria. Wziął głęboki wdech i spojrzął na panią psycholog, która właśnie weszła do pokoju. Musiała mieć już swoje lata, gdy wystrój tego pokoju był nowością. Dodatkowej groteski nadawał jej uśmiech, sztuczny jak plastikowe drzwi do jej

gabinetu. Włosy miała szare jak popiół, na spiętym koku przetykane śnieżnobiałymi pasmami, trupioblada twarz, nienaturalnie krótki, cienki nos, na którym leżały równie cienkie, lecz równocześnie wielkie okulary. Zmarszczki od papierosów, niczym drabina, rozchodziły się wzdłuż bladych ust. Uśmiechnęła się na powitanie, eksponując jasnożółte zęby i usiadła. Ubrana była w zielony golf i spódnicę do kostek w ciemną kratę. Położyła dłonie na notesie leżącym na jej kolanach i popatrzyła na niego w milczeniu.

Będzie super, pomyślał.

– Tak, wiem – powiedział przełamując krępującą ciszę.

– Wie pan? Acha.

Pokręciła głową i zapisała coś w notatniku. Ruchy pióra były bardzo agresywne, mocno dociskała je do kartki, mógł przysiąc, że słyszał co pisze. „Kropka” była wręcz uderzeniem o papier.

– Dlaczego zawsze jest pan spóźniony? Pokonanie drogi z pracy tutaj powinno zająć panu maksymalnie dziesięć minut. Czy wydarzyło się po drodze coś, co pana zatrzymało?

Bardzo przeciągała słowa, co przypominało mu sposób, w jaki mówią nauczycielki z denerwującym poczuciem wyższości. Po każdym wypowiedzianym zdaniu zawsze zaciskała usta, czyniąc je jeszcze mniejszymi. Wyrafinowana.

– Dlaczego zakłada pani, że „zawsze” się spóźniam? Widzimy się pierwszy raz.

– I jest pan spóźniony.

– Tak, dwie minuty. To chyba nie jest...

– Czuje się pan zmuszony tu być?

Przerwała mu. Zaczynała grać mu na nerwach, jej zachowanie bardziej przypominało cwane go policjanta, który próbuje wytrącić przesłuchiwanego z równowagi, bo już dawno wydał na niego wyrok. Zmieszał się po tak agresywnie zmienionym temacie. Zaczął się coraz bardziej denerwować. Krępowano go to w jakiś sposób świdrowała go wzrokiem.

– Tak – powiedział niepewnie. – Trochę tak.

Znów sięgnęła po notes i coś zapisała.

– Nie przyszło panu przez myśl, żeby zmienić nastawienie?

Cały czas pisała. Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu, unosząc palec. Gdy skończyła, położyła kajet na dzielący ich drewniany stolik i przesunęła w jego stronę.

– Niech pan to przeczyta.

Nachylił się i zmrużył oczy. Pismo było niewyraźne.

– No dalej!

– Więc tak... „Pozytywnie myśleć będę tylko jeżeli wszystko się zmieni”.

Oparł się o fotel.

– To nie wszystko.

Znów się nachylił.

– Teraz niech pan przeczyta to zdanie od tyłu.

– „Zmieni się wszystko jeżeli tylko będę myśleć pozytywnie”.

Zabrała notes i oparła się dumna z siebie, ale widząc obojętną reakcję pacjenta, wróciła do wrednej miny i znów coś zapisała.

– Zacietrzewienie... – wycedziła, bardziej do siebie niż do niego, co sprawiło, że irytacji nieomal w nim zawrzała. Traktowała go jak durnia, który nawet nie rozumie co się o nim mówi. Miał dość.

– Czy możemy skończyć z pozytywnymi hasłami? Miałem setki takich sesji. Te teksty nie działają. – Uśmiechnął się, zachowując maskę grzeczności. – Oboje wiemy, że jestem tutaj po pieczętkę. Właśnie po to szef mnie tu przysłał. Nie ma sensu udawać. Potrzebuję tej pracy, więc miejmy to z głowy.

– Ah tak? – Napiła się herbaty z filizanki; nie obyło się bez wyciągniętego jak antena małego palca. – Jestem psychologiem, proszę pana i jestem tu, żeby panu pomóc, nie odbębnić.

Spojrzał na nią, a następnie uciekł wzrokiem, bezwiednie ugniatając palce z nerwów.

– Co mam zrobić, żeby mi to pani podbiła? Naprawdę potrzebuję tej pracy.

– Zrobimy tak. – Zamknęła kajet i poprawiła okulary. – Opowie mi pan, dlaczego do mnie trafił, a jeżeli będzie pan ze mną szczery, podbiję panu te dokumenty.

– Tak po prostu?

– Nie. Tylko jeżeli będzie pan ze mną szczery.

– Dlaczego?

– Mój zawód wymaga ode mnie pomagania ludziom w radzeniu sobie z ich zdrowiem psychicznym. Nie trzeba być psychologiem, by zobaczyć, iż jest pan tak zakonserwowany, że nic, co panu powiem, do pana nie trafi i jak tylko pan stąd wyjdzie, już nigdy pan do mnie nie wróci. Zatem jedyne, co nam pozostaje, to pozwolić panu przedstawić swoją wersję zdarzeń, zrzucić z pana odrobinę tego ciężaru, tak żeby było panu lżej. Ale obiecuję i ostrzegam, jak tylko wyczuję choć nutkę fałszu, otrzyma pan ode mnie wpis „niezdolny do pracy” i ta wizyta się skończy. Zgoda?

Namyślił się chwilę, wytarł spocone dłonie w spodnie, po czym przytaknął.

– Nie jest to dla mnie nowością. Każdy chciałby znać historię dziwaka, prawda?

– Co pan ma na myśli?

– Czemu tak dziwnie pachnę, dlaczego krępuję się przed każdym wypowiedzianym słowem... Dlaczego jestem antysocjalny, nie mam przyjaciół, ani nawet znajomych, do których mógłbym zadzwonić i pogadać... Pasowałoby o to spytać tych, którzy na mnie donieśli. – pociągnął nosem. – Bo to oni i im podobni są tego powodem. Niczego im nie zrobiłem, chcę tylko, aby dali mi w spokoju

wykonywać moją pracę, tak jak wcześniej chciałem, aby w spokoju dali mi skończyć szkołę. Widzę, jak stoją w grupkach i się naśmiewają, „ty, zjedz coś, boś chudy jak dziewczynka”, „zetnij te włosy, pedale”, a to tylko te grzeczne, spokojne sytuacje. Potrafi być znacznie gorzej, kiedy nie kończy się tylko na słowach.

Zawahał się na chwilę.

– Proszę mówić dalej – zachęcała.

– I to nawet nie chodzi o to co robią, tylko to, że przez całe życie jestem traktowany jak dziwadło. Woląłem się odciąć, stać z boku. Niestety, to tylko pogarszało sprawę. Dlatego jak tylko skończyłem szkołę wyjechałem. Próbowałem różnych prac, ale były za ciche, za spokojne, a ja nie powinienem zostawać sam na sam ze swoimi myślami. Ten drugi ja podpowiada mi bardzo złe rzeczy, on jest gorszy od nich.

– Ma pan myśli samobójcze?

– Nie – pokręcił głową i poprawił spadający na twarz kosmyk włosów. – Nie aż tak. Było coraz gorzej, aż zacząłem pracę w tej firmie. Przez cały dzień jestem sam, jest głośno i non stop muszę być ostrożny. Dzięki temu nie mam czasu na dopuszczanie do siebie jakichkolwiek myśli. Do tego pracujemy w całych Stanach, a ciągłe zmiany otoczenia również bardzo mi pomagają.

Tutaj urwał i na krótki moment zapadła cisza.

– A co z krzykami w nocy? Jeden ze współlokatorów wspomniał, że zanim zaczął pan pracę, był pan pacjentem zakładu psychiatrycznego. Czy to prawda?

Czuł, jak przyspiesza mu tętno, wbił palce w uda.

– Tak – podjął na pozór posłusznie i pokornie.

– Opowie mi pan, dlaczego pan tam trafił?

Szczęka zaciskała się, tak mocno, że na policzkach pojawił się zarys mięśni.

– Na czym polegała pana terapia?

Prawa noga zaczęła podskakiwać nerwowo na palcach.

– Co panu dolegało, że musiał pan poddać się takiemu leczeniu?

– Dość!

Ryknął donośnie i kopnął stolik, który upadł, rozsypując słodczyce i tłukąc dwie filiżanki. Dyszał jak po maratonie, kompletnie skołowany. Natychmiast pożałował swojej agresji. Nie powinien był się tak zachować, w dodatku w gabinecie u psychologa.

Tymczasem niewzruszona kobieta zaczęła notować.

– Otworzyłem się, tak jak pani prosiła – mruknął i wyciągnął do niej dłoń. – Teraz proszę dać mi podbite dokumenty.

Pani psycholog wyciągnęła kilka kartek, podbiła i podpisała. Wyrwał jej z rąk jego przepustkę do normalności i bez słowa opuścił gabinet. Godzina była jeszcze młoda, więc postanowił wrócić do pracy. Wiedział, że szef zostanie dziś do późna, żeby nadrobić zaległości. Zamkniemy temat donosów, zanim się dobrze zacznie, pomyślał.

Wyciągnął telefon i obejrzał relacje młodego chłopca. Widział, jak siedzi w towarzystwie swoich kolegów i grają w gry na konsoli. Wtedy zorientował się, że idzie po chodniku, którego spowija cień. Przerażony, odskoczył na ulicę prosto pod koła nadjeżdżającego samochodu, który z piskiem opon zatrzymał się tuż przed nim.

Chłopak odruchowo oparł ręce na masce. Wtedy do jego uszu dotarł drugi pisk. Uciekł z drogi, a sekundę później w samochód uderzył kolejny, z mniej sprawnymi hamulcami lub mniej czujnym kierowcą.

Musiał dać nogę. Wskoczył na chodnik, zerknął tylko przez ramię, aby rozeznąć się w sytuacji. Wyglądało na to, że żaden z kierowców nie ucierpiał w kraksie. Szybkim tempem szedł dalej.

– Ej ty! – krzyknął do niego ten z pierwszego auta. – To twoja wina, skurwysynie!

Chłopak zaczął uciekać.

– Wracaj tu!

Spanikowany gnał wzdłuż ulicy. Nawoływania nie ustawały. Pędził co tchu, aż wreszcie wbiegł do pobliskiego hangaru i zatrzasnął za sobą drzwi. Oparł się o nie, z trudem łapiąc oddech. Następnie wyjrzał przez okienko upewniając się, że za nim nie bieżą.

– Boję się spytać, co się stało, co nie?

To był szef, który pojawił się znikąd, jakby zmaterializował się tuż za nim.

– Ale mnie pan wystraszył!

– Ja ciebie? Co tu robisz o tej godzinie?

– Chciałem panu powiedzieć, że wizyta przeszła gładko i mam dokumenty, o które pan prosił. Chciałbym zamknąć sprawę tych głupich skarg, zanim...

Zorientował się, że papiery, które włożył za pas wypadły podczas wypadku, albo gdy gnał tu jak dziki.

– Nie, nie! Pan poczeka, wrócę po nie, pewnie upuściłem je po drodze.

– Poczekaj!

Szef krzyknął zatrzymując go w drzwiach.

– Patrzyłeś na nie, gdy wyszedłeś z poradni?

– Zostały przez nią podbite, sam widziałem. Szefie, wszystko ze mną okej. Niech pan do niej zadzwoni, ona panu powie.

– Nie patrzyłeś, gdy ci je podawała, co nie? A chociaż zerkałeś do nich później? – naciskał.

– Nie, ale... – zmierzył go baczny spojrzeniem. – Skąd pan wie, że na nie patrzyłem?

– Bo do mnie dzwoniła. – Ruszyli do jego gabinetu. – To oczywiste, że nie patrzyłeś w papiery, skoro tu przylazłeś.

Szef rzucił stosem dokumentów na biurko i mozolnie usadowił się w fotelu. Chłopak stał w bezruchu.



– Jak ona mogła? Umówiliśmy się – mruknął.

– Jezu, nie mów mi, że próbowałeś się z nią ugadać. Wiesz, że to nielegalne? Mało masz problemów? Młody, lubię cię, jesteś bystrym gościem, co nie, ale nie mogę cię dłużej zatrudniać, nie z takimi papierami. Mogę mieć przez to kłopoty.

– Czy możesz to jeszcze...

– Nie. Już podjąłem decyzję. Zabierz swoje rzeczy, a rano wracaj do domu. Jeżeli uda ci się stanąć na nogi i dostanę potwierdzenie od lekarza specjalisty, że jesteś zdolny do pracy, chętnie przyjmę cię z powrotem. Dopóki to się nie wydarzy, nie mamy o czym rozmawiać, co nie.

Wychodząc, stracił porcelanową statuetkę dźwigu, która rozbiła się o podłogę.

– Ej! – krzyknął prezes. – I właśnie dlatego masz problemy młody! Ogarnij się!

– Co nie!? – odpysknął zza biura.

Wyszedł z hangaru, trzaskając drzwiami z całej siły. Widział, że lada moment słońce położy się za horyzontem. Włączyły się latarnie. Niewiele już miało znaczenia. Ta robota była najbardziej pozytywną rzeczą w jego życiu. No, prawie.

Wyciągnął telefon i wszedł na relacje chłopczyka, ale mały nie wrzucił niczego od ponad sześciu godzin. Dziwne. Wszedł na profile jego kolegów, od ponad dwóch godzin byli już w domu. Zaczął się martwić.

Jego myśli przerwał szelest dokumentów szarpanych lekkim wiatrem, zaplątanych w metalowe przęsła płotu. Czyli jednak wypadły mu w trakcie ucieczki. Podniósł je i zajrzał do środka, zobaczył wyraźny wpis: „niezdolny do pracy”.

– Suka!

Zmiał kartki i wyrzucił je za siebie. Te zatańczyły w powietrzu i opadły na chodnik. Skręcił w prawo, wprost na słupkę, którą spowodował. Widząc policję, straż i karetkę było za późno, by zawrócić nie zwracając na siebie uwagi, szedł więc dalej, jak gdyby nigdy nic, ale ze spuszczoną głową. Widział jak jednego z uczestników zdarzenia, wkładając na noszach do karetki. Przecież widział, jak o własnych siłach wychodził z wozu. Nie wyglądał na rannego. Może mu się przywidziało...

Ostatnio za dużo rzeczy mu się zdawało. Ratownik zamknął pierwsze drzwi, wtedy Taylor złapał kontakt wzrokowy z kierowcą, a ten rozpoznał go bez wahania. Zerwał się, ale zamknięto drugie drzwi, włączyli sygnał i odjechali.

Odetchnął z ulgą. Co za dzień, pomyślał. Wyciągnął telefon, zanim jednak zdołał odpalić aplikację rozległ się dźwięk dzwonka i ujrzał znajomy numer. To była jego mama, z którą nie rozmawiał od ponad sześciu lat. Czuł, jak stres zaciska mu gardło, wytarł spoconą dłoń w spodnie i odebrał telefon.

– Halo? – cisza w słuchawce. – Po co dzwonisz?

W końcu usłyszał zapłakany głos matki, stanął w miejscu i słuchał tego, co miała do powiedzenia. Od razu zrozumiał, dlaczego przerwała milczenie po tylu latach i był jej za to wdzięczny.

Niestety nowiny jakie miała mu do przekazania były dramatyczne.

## Rozdział 2

### Nie ma jak w domu

To przerażające, kiedy uświadamiasz sobie, że całe twoje życie mieści się w jednej torbie. Do zabrania zostały jeszcze tylko dwa podkoszulki, kosmetyczka i ładowarka, której nie mógł zlokalizować. Współlokatorzy, jak co wieczór, leżeli na swoich łóżkach z piwem w dłoni. Byli nadzwyczaj cicho, jak na dom pełen hałasu, karcianych rozgrywek, w których przegrywano pieniądze zarobione na budowie. Zwykle rozbrzmiewały tu śmiechy i przekleństwa do głupich filmików w Internecie oraz kłótnie po alkoholu, ale nie dziś. Dziś siedzieli w milczeniu i bacznie obserwowali, jak on nie może znaleźć kabla. – Sprawdź pod łóżkiem – odezwał się nagle rudzielec.

Taylor schylił się i sięgnął kabel, szybko jednak zauważył, że był on uszkodzony przy końcówce.

– To nie mój. Szukam swojego.

– Sądziś, że ci go ukradłem? – warknął rudy.

– Mówię, że chcę mój kabel!

– Młody, weź ten, co masz, bo zaraz zostaniesz bez żadnego. – powiedział chrapliwym głosem najstarszy z domu, a w jego głosie czaiła się groźba. Chłopak pokręcił głową, po czym nabzdyczył się jak aktor w tragedii i rozłożył ręce. Uniósł torbę i wrzucił kabel do środka, jakby zadał cios. Zarzucił pas na ramię i ruszył ku wyjściu.

– A żebyście zdechli – dodał wychodząc.

– Jak będziesz wracał to kup masło!

Zszedł na dół, słysząc ich głupie chichotanie. Klucze do domu zostawił na desce do prasowania stojącej przy lustrze. Wyszedł przed bramę i zatrzymał się pod latarnią. Ilość czarnych jak mrok miejsc go przerażała, unikał wychodzenia z domu po zachodzie słońca. Jak każdy, kto wie, co czai się w ciemnościach, pomyślał. Zarzucił kaptur na głowę, poprawił torbę i truchtem ruszył na dworzec.

Gdy dotarł na miejsce, usiadł na ławce. Na przeciwnym stanowisku autobusowym siedziała czarnowłosa, młoda kobieta. Przypominała tę, którą spotkał po drugiej stronie. Stukała coś na telefonie. Chłopak nie spuszczał z niej wzroku. Miała na sobie białą sukienkę do kolan i czarną skórzaną kurtkę, zarzuconą na ramiona. Uniósł głowę łapiąc kontakt wzrokowy, jednak został przerwany przez wjeżdżający pomiędzy nich autokar. Drzwi się rozsunęły, ale on nie był pewien, co powinien zrobić. Zawahał się.

– Jedziesz czy nie? Jestem spóźniony! – krzyknął kierowca.

– Jadę, jadę.

Wszedł do pustego autobusu, kupił bilet i usiadł w środkowym rzędzie przy oknie. Wsunął torbę pod fotel i wyjrzał przez szybę doszukując się dziewczyny, ale przed jej przystankiem również stał już autokar i nie ujrzał jej.

Ruszyli. Poprawił kaptur, skrzyżował ręce i przytulił się do okna zamykając oczy. Liczył na odrobinę snu, był padnięty. Hałas metalicznego, klekoczącego, starego silnika wyciszał jego myśli. Zrobiło się ciemno.

Ktoś usiadł twardo w fotelu obok, wyrywając go z błęgiego transu, powodując, iż odruchowo wzdrygnął się ze strachu.

– Przepraszam – powiedział z uśmiechem czarnoskóry mężczyzna w żółtej koszuli. Mierzył na oko ponad dwa metry i był potężny, łysy, z długą brodą, zasłaniającą szyję. Przez krótki moment chłopak czuł się dezorientowany. Dlaczego ten olbrzym usiadł akurat obok niego, skoro cały autobus jest pusty? Wysunął głowę nad oparcie i zobaczył pokład pełen ludzi. Musiał być tak wyczerpany, że nie zorientował się kiedy zasnął.

– Przepuść mnie, muszę do łazienki.

Olbrzym ustąpił miejsca, a Taylor ruszył do toalety. Była zajęta. Oparł się plecami o ścianę na schodach. Czekał tak, wyciągnął telefon i spojrzał na ostatnią relację braciszka. Już jadę, trzymaj się, pomyślał. Słaby zasięg nie pozwolił mu swobodnie poruszać się po aplikacji. Wyjrzał przez okno i dostrzegł jedynie zwartą ścianę lasu, sprawiającą wrażenie jakby to nie oni, a las mknął poboczem. Jedynie na chwilę wyłaniając swe drewniane konary w świetle reflektorów autobusu, ukazujące się na zbyt krótki moment by przyjrzeć się im dokładnie, ale na tyle długi by poczuć atawistyczne uczucie lęku, jakie towarzyszy człowiekowi, gdy dotrze do granicy tego co bezpieczne i poznane. Drzwi toalety otworzyły się, a z niej wyszła starsza kobieta. Załatwił swoje i wrócił na miejsce, sprawdził, czy torba leży na swoim miejscu i ułożył się do spania.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Otoczał go mrok przecinany poświtami pomarańczowego światła. Na fotelu obok nie było nikogo. Uniósł głowę nad oparcie, autobus był pusty. Wilgoć unosiła się w powietrzu, cały podkoszulek lepił mu się do ciała. Wyjrzał za okno, jego oczom ukazał się las, którym przejeżdżali. Dostrzegł motor bez kierowcy na przeciwnym pasie. Ostre złotoczerwone światło przebijało się przez gęste, ciemne chmury wprost na niego, uniemożliwiając patrzenie w dal. Wstał, lecz gdy zrobił krok, nogi rozjechały się w szpagacie. Uderzył piszczelą o oparcie. Stłumiony jak pod wodą odgłos rozszedł się cichym echem, chłopak zasyczał z bólu i spojrzał na rozciętą nogę. Podciągnął nogawkę i ostrożnie wyszedł spomiędzy foteli. Trzymając się poręczy na

suficie ruszył ku przodowi pojazdu. Drzwi były otwarte.

Co teraz? – pomyślał, gdy zeskoczył ostrożnie na jezdnię. Piszczel zapiekl mocniej. Bycie po drugiej stronie na otwartej, nieznaney mu przestrzeni budziło w nim lęk. Miejsce było niebywale ciche. Okrążył autobus, minął motocykl, po czym podszedł do skraju drogi i spojrział w ciemny, splątany konarami las, który ciągnął się pochyłe w dół. Wszystko stało w miejscu martwe, zastygło jakby ktoś zatrzymał czas.

Wrócił na drugą stronę ulicy, nie rozumiejąc, dlaczego został wciągnięty właśnie tutaj. Las był wyjątkowo nieciekawym, wręcz monotonnym i nużącym, gdzie nie spojrzeć widać te same meandryczne, ciemne konary i niechlujne festony. Zajrzał głębiej i nagle w ciemności coś się poruszyło. Chudy czarny cień, który przeskakiwał agresywnie pomiędzy drzewami. Taylor się nie mylił, to ten sam cień, który ściga go za każdym razem, gdy jest po tej stronie.

Bez zastanowienia pobiegł w kierunku drzwi autobusu. Cień dużymi susami pokonywał dystans, zdawał się, ani przez ułamek sekundy nie stawać w miejscu, zmieniał gwałtownie swoją pozycję za pomocą szybkich, nerwowych skoków między czarnymi punktami w lesie. Słysząc było głuchy pogłos ciężkich łap uderzających o ziemię i trzask łamanych gałęzi współgrających z przeraźliwym szeptowym sykiem napierającego cienia.

Taylor wbiegł do środka autobusu i pociągnął za dźwignię zamykającą drzwi. Cień zatrzymał się z hukiem przed zamkniętym wejściem. W przyplwywie paniki ruchy młodego mężczyzny stały się chaotyczne, co jeszcze bardziej utrudniało mu poruszanie się po śliskiej podłodze. Padł na twarz tuż przed swoim fotelem. Podnosząc się o oparcie, dostrzegł jak cień siłą rozchyła drzwi. Chłopak wskoczył na swoje miejsce, gdy upiór wślizgnął się już do środka, a srebrne ślepie znalazły swój cel.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Dosłownie przykleił się do okna, patrząc z przerażeniem na drzwi. Obudził tym olbrzyma, który również był zaskoczony sytuacją. Taylor rozejrzał się po ciemnym autobusie, pełnym śpiących ludzi. Przetarł spocone dłonie w spodnie.

– Stary, wszystko dobrze? – spytał go sąsiad.

Chłopak zanurkował między nogi i spojrział na suchą podłogę. Poruszył lekką stopą upewniając się, iż nie jest śliska, jakby nie dowierzał własnym oczom.

– Mam poprosić kierowcę, żeby się zatrzymał?

Czuł nadal pulsujący ból w nodze, podwinął nogawkę, nie było żadnego śladu skaleczenia czy najmniejszego siniaka, jednak kość piszczelowa bolała go, jakby drwiła sobie złośliwie z tego, co rzeczywiste.

– Ej, młody...

Czarnoskóry położył mu rękę na ramieniu, a ten odskoczył uderzając głową o szybę. Wielkolud uniósł ręce ku górze, pokazując, że nie ma złych zamiarów.

– Nie dotykaj mnie – warknął, łapiąc oddech.

– Nic ci nie zrobię, chcę tylko pomóc.

– Wszystko tam w porządku?! – krzyknął kierowca autobusu, który zauważył dziwne przepychanki. Taylor mierzył się spojrzeniem z pasażerem sapiąc spocony. Ciężko mu było złapać oddech.

– Wszystko dobrze – wymamrotał.

– Nie słyszę!

– Jest okej!

Taylor uniósł głos, budząc przy tym kilka osób w pobliżu. Rozluźnił się i opadł na fotel, kątem oka zerkając na olbrzyma.

– Dzięki – wtrącił po chwili czarnoskóry. – Nie potrzebuję teraz problemów.

– Dajcie mi już wszyscy spokój.

– Nie pisnę ani słowa.

– Oby – skomentował sucho.

Olbrzym oparł się o fotel. Chłopak sprawdził czy torba pod jego nogami nadal tam jest i położył bok głowy na szybie. Martwiła go ostatnia passa, w przeciągu doby znalazł się tam już drugi raz, w dodatku cień go ściga, biegnie za autobusem jak poszczuty. Cienie nigdy nie zachowywały się jak psy gończe, nie lubiły być nachodzone. Często odprowadzały jedynie wzrokiem, poza tym jednym z dużym garbem i krótszą lewą ręką, ten wydawał się go nie znosić. Rozległ się głośny huk, ostre hamowanie, rzuciło nimi na boki, ale kierowca opanował pojazd i gwałtownie zwolnił. Nikt już nie spał. Kilkanaście minut później zjechał na pierwszy motel przy drodze. Ludzie rozglądali się po sobie nie wiedząc co się stało. Rzucano pytania, ale nikt nie odpowiadał. Kierowca po wymianie kilku telefonów, wstał i powiedział:

– Bardzo przepraszam ale mamy usterkę i dalej nie pojedziemy. Muszę zostać na tym parkingu.

– Kiedy pojedzie zastępczy? – spytała kobieta z tłumu.

– Jest druga w nocy, autobus będzie dopiero nad ranem.

– Pan żartuje! Do miasta jest już niedaleko, zaledwie kilka godzin, nikt się nie zjawi?

– Nikt, przykro mi. Osobiście radzę rezerwować pokoje w motelu, bo nie wygląda na taki, co pomieści wszystkich, reszta będzie zmuszona spać tutaj.

O kurwa, pomyślał Taylor. Ludzie zaczęli przepychać się między sobą, kierując się ku wyjściu. Dla niego nie był to problem, nie spieszyło mu się, bo już nie miał zamiaru zasnąć tej nocy. Cień mógł być w pobliżu. Być może to on stał za usterką.

Zmęczenie jednak zaczynało dawać mu się we znaki. Gdy wszyscy opuścili autobus, chwycił swój bagaż i ruszył na przód pojazdu. Wysiadając zauważył palce

cienia, trzymające górną ramę drzwi. Odskoczył do tyłu, przerażony.

Gdy zerknął jeszcze raz, niczego tam nie było.

– Co tam? – spytał kierowca czekający przed drzwiami. – Przewróciłeś się?

– Tak. – Spojrzał ostatni raz. – Nic mi nie jest.

Zarzucił torbę na ramię.

– Nie rób sobie nadziei, i tak dzisiaj śpisz w autobusie.

– Dzięki, ale motel na pewno... – zamilkł, gdy wyszedł i zobaczył parterowy budynek z kilkoma pokojami – ...coś znajdzie.

Przed budynkiem stała grupa ludzi, która nie dostała żadnego pokoju. Patrzyli w telefony, jakby to miało pomóc. Utknęli na tym zadupiu i wciąż nie chcieli tego zaakceptować. Sam wyciągnął telefon i uzmysłowił sobie, że bateria jest na wyczerpaniu.

– Autobus to nie hotel, ale przynajmniej mi na łeb nie pada i mam zamknięte drzwi – dorzucił kierowca. – Twój wybór, uprzedzam tylko, że mam ciężki sen. Jak zasną to mogę już nie słyszeć, gdybyś pukał i chciał wejść.

– Dzięki, ale chyba zrezygnuję.

– Nie chce ci się spać? – spytał kierowca.

Nawet nie masz pojęcia, pomyślał i spojrzał na gwieździste niebo.

\* \* \*

Siedem lat wcześniej

– Nie chce ci się spać? – spytał braciszek.

Nawet nie masz pojęcia, pomyślał i uniósł głowę w kierunku gwieździstego nieba. Zszedł z okna i wrócił na swoje łóżko.

– Nie – szeptał, żeby go nie słyszeli. – A ty czemu nie śpisz?

Max nie odpowiedział. Patrzył smutno na pluszową żyrafę, trzymając ją mocno w rękach. Starszy brat położył się w łóżku obok niego i objął go ramieniem.

– Ciebie też obudzili?

– Tak.

– Nie przejmuj się.

Pocałował go w czoło. Do ich pokoju wciąż dochodziły odgłosy kłótni i tłuczonej porcelany.

– Dlaczego oni zawsze się kłócą? – spytał.

– Bo są dorośli, oni tak często rozmawiają. – Uśmiechnęli się do siebie. – A teraz wracaj do spania, musisz się wyspać do szkoły.

– Mama mówi, że szkoła jest głupia i jak nie chcę, to nie muszę chodzić.  
– Bo mama poddała cię tajnemu testowi – kłamał.  
– Tak? – Jego oczy zaświeciły nadzieją.  
– Tak. Musisz jej udowodnić, że jesteś mądrym chłopcem i wiesz, że szkoła jest ważna. Bo wiesz o tym, prawda?

– Tak!

Braciszek przytulił się mocniej do pluszowej żyrafy i do starszego brata.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Taylor objął braciszka silniej i przyłożył delikatnie dłonie do jego uszu, chcąc zagłuszyć krzyki i wyzwiska dochodzące z piętra niżej. Po kilkunastu minutach Max już smacznie spał. Starszy wstał ostrożnie, nie chcąc go obudzić i ściągnął z krzesła czarną kurtkę dżinsową ze złotą koroną na plecach i zarzucił ją na siebie.

Usiadł na schodach i wychylił się. Zobaczył matkę wściekle obrzucającą wyzwiskami swojego nowego faceta. Po śmierci ojca nie była już taka sama, była w rozsypce i choć bardzo udawała, że tak nie jest, nie radziła sobie. Zaczęła się z kimś spotykać niedługo po śmierci męża i ten ktoś był bardzo nieodpowiednią osobą. Złą dla jej synów, niegodziwą dla niej, agresywną i niewyrozumiałą. Nie wiedział, co ona w nim widzi, codziennie dochodziło do kłótni i przepychanek, jednak tej nocy to było coś więcej. Mężczyzna zaczął kraść pieniądze z państwowej zapomogi, które były przeznaczone na leki dla Taylora. Matka nie chciała na to pozwolić, ale konkubentowi się to nie spodobało. Uderzył ją na oczach starszego syna. Ten zbiegł na dół z pięściami, ale Igor zdzielił go w twarz i chłopak padł na podłogę. Leżąca matka trzymając się za policzek, patrzyła na syna z rozmazanym makijażem.

– I co teraz? Myślisz, że te całe twoje zmyślane cienie ci pomogą? – splunął. – Bujdy! Jesteś chory psychicznie, twoje miejsce to pokój bez klamek! – A potem zwrócił się do matki: – Najwyższy czas przestać się ludzić, skończy zastrzelony przez policję, gdy odwali mu tak bardzo, że zabije kogoś, bo uzna go za jednego ze swoich zwidów! – Spojrzał wymownie na matkę i dorzucił: – Obyś to była ty.

Kobieta nie zareagowała. Podniosła się, zasłaniając dłonią czerwony policzek i poszła do kuchni. Zostawiła go samego z obcym, niebezpiecznym facetem. Mężczyzna odwrócił się machając ręką i poszedł do salonu. Taylor podniósł się wolno, rozumiejąc, że nic tu po nim. Matka go nie wspierała, zostawiła leżącego, bezbronnego na zimnych płytkach.

W głowie mu piszczalo. Wracając do pokoju zobaczył Maxa siedzącego na schodach z policzkami mokrymi od łez i przerażonego całą sytuacją. Wziął go na ręce i razem wyszli na piętro. Położył go na jego łóżku i zapalił lampkę.

– Leci ci krew – powiedział młodszy.

– To nic. – Preztał nos rękawem. – Nic mi nie jest, nie martw się.

– Boli cię?

– Nie, nie boli. Jestem twardy, przecież wiesz.

- Wyglądało strasznie. Bałem się.
  - Idź spać, jest bardzo późno, jutro będziesz niewyspany.
- Taylor wstał i chciał zgasić lampkę.
- Poczytasz mi bajkę? – poprosił Max.
  - Jaką chcesz?
  - *Króla lwa.*

Starszy bart sięgnął po książkę i położył się obok młodszego, po czym zaczął czytać. *Król lew* był jego ulubioną bajką. Kilka stron zajęło, aby braciszek zasnął, wtedy Taylor bardzo ostrożnie wstał z łóżka, tak by nie wydobyć żadnych dźwięków i stanął pod drzwiami. Delektował się chwilą, patrząc na smacznie śpiącego braciszka. Zamyślił się na dobre kilka minut. Chciał się napatrzeć i właśnie tak go zapamiętać.

Godzinę później szedł już ciemną ulicą, spakowany w torbę zarzuconą przez ramię. Kierunkiem był dworzec główny, docelowe miejsce jeszcze nie miało wtedy znaczenia. Usiadł przy stanowisku autobusowym, mając dziwne wrażenie, że ludzie na niego patrzą, jakby nie powinno go tu być, nie o tej godzinie. Był świadomy tego, że przysporzy bólu braciszce, ale z biegiem czasu, więcej na tym zyska. Przecież jego matka miała co wieczór kłótnie o niego, nikt inny, tylko on był tematem i powodem tych sporów. Ona nie była gotowa zostawić tego faceta, więc rozwiązanie było jedno. Zależało mu jedynie na tym, żeby Max dorastał w środowisku, gdzie nie ma kłótni i afer. Więc zabrał problem ze sobą. Podjechał autobus, a on wsiadł do środka i usiadł przy oknie. Włożył torbę pod nogi, oparł głowę o szybę. Pojazd ruszył.

Zasnął.

\* \* \*

Sen nie wchodził w grę. Siedział pod drzewem oparty o pień, strach wbijał mu w trzewia szponiaste palce i ścisnął mocno. Wycieczka podzieliła się na trzy grupy. Pierwsza spała smacznie w motelowych łóżkach, druga leżała rozłożona na kilku fotelach oraz przejściu autobusu, a trzecia siedziała na trawie i piła alkohol, opowiadając straszne historie przy ognisku. Gdyby nie był tak zdystansowany, czuł, że z nimi odnalazłby się najprędzej. Olbrzym siedział z nimi i już któryś raz machał do niego zapraszając, aby dołączył. Taylor odwrócił jednak głowę, chcąc zostać sam. Wyciągnął telefon i przeglądał profil braciszka, który wydawał się szczęśliwy, bez kłótni, bez afer, bez niego. Telefon zawibrował, przyszła wiadomość od matki. „Za ile będziesz?”. „Jestem w drodze, jeszcze kilka godzin”, odpowiedział. Pod wiadomością pojawiły się trzy ruchome kropki. Pisała coś. Czekał niecierpliwie, ale kropki zniknęły, znów się pojawiły i na dobre zniknęły.

Chciał odłożyć telefon, ale ten zawibrował ponownie. Szybko go wyciągnął, by odczytać wiadomość, ale był to tylko komunikat o niskim poziomie baterii. Odłożył go zawiedziony. W głębi rozumiał ją. Na jej miejscu też nie wiedziałby, co jeszcze



napisać po tylu latach rozłąki. Oparł głowę o drzewo i rozejrzał się. Noc była przyjemna, pachniało świeżym powietrzem. Delektował się zapachem kwitnących traw i chwastów. Gdzieś w gałęziach ćwierkały ptaki, a owady śmigały dookoła pobliskiej latarni jak pociski smugowe. Spojrzał na grupkę ludzi przy ognisku; od alkoholu przygasali szybciej niż ogień, którego płomień sypały iskrami w nocne niebo. Jeszcze ponad godzina do świtu, pomyślał i czekał.

– Wstawaj – obudził go olbrzym. – Autokar zastępczy właśnie podjechał.

Taylor nie wiedział nawet kiedy zasnął. Dziękował sile wyższej za te nieplanowane kilka godzin spokojnego wypoczynku. Sprawdził czy ma wszystkie swoje rzeczy i podniósł się otrzępując tyłek z suchej trawy i liści. Ludzie zbierali się w jednym miejscu, wychodzili z motelu jeden po drugim. Olbrzym uśmiechnął się do niego i ruszył przodem.

Kamery potrafią rozczytywać siatkę twarzy, media społecznościowe pokazują każdy nasz krok, ale żadna osoba nie pamięta twarzy innych, ponieważ nikt nie patrzy, ich wzrok skierowany jest w telefon. Zupełnie odwrotnie niż kiedyś. Rozsunął zamek bagażu i sięgnął po pomarańczową buteleczkę. Od razu coś wydało mu się nie w porządku. Otworzył wieczko, w środku było tylko pięć kapsułek. Kurwa, pomyślał. Pełne pudełko z nowej recepty musiał zostawić w ostatnim miejscu zamieszkania, ta tutaj to końcówka z ostatniego rozdania. Wziął jedną, póki jeszcze dłonie nie trzęsły się na tyle, że i to stałoby się problemem. Chowając butelkę, zauważył, że jego stopę pokrywa cień. Odskokzył na bok, zmrożony.

– Uwważaj! – krzyknął przechodzący obok z dziewczyną młody facet.

Nie przeprosił. Bez słowa odwrócił się.

– Psychol – skomentowała partnerka chłopaka.

Poszli dalej, a Taylor stanął przed granicą cienia i włożył w nią stopę. Czuł jak serce wali mu mocniej. Oddech przyspieszył, krew tętniła do skroni, a ciało jakby przeszedł skurcz. Rozglądał się, wodząc wzrokiem dookoła. Coś zaszeleściło, cofnął nogę widząc poruszający się krzak, który jak się okazało był bujany przez wróbla skaczącego po gałęziach. Oparł się o kolana łapiąc oddech.

– Młody! Jedziesz!? – krzyknął kierowca.

Zabrał swoje rzeczy i ruszył do pojazdu. Po chwili wsiadł do środka. Miał wrażenie, że wszyscy gapią się na niego. Idąc między nimi słyszał te wszystkie westchnienia i głębokie oddechy, potęgujące pretensje. Zatrzymał się przy swoim miejscu, ale było zajęte przez olbrzyma.

– Mogę przy oknie? – spytał miło czarnoskóry.

– Nie.

– Naprawdę? Jechałeś tak całą drogę, a przed nami jeszcze kilka godzin, byłbym wdzięczny za...

– Powiedziałem nie. To moje miejsce i tu będę siedział.

Taylor obstawał twardo przy swoim, ale oczy zdradzały niepewność. Olbrzym westchnął, po czym pokręcił głową nie kryjąc rozczarowania. Wrócił na swoje miejsce

puszczając chłopaka przed sobą.

– Już wszyscy!?! – krzyknął kierowca. – Jeśli kogoś nie ma, to niech się odezwie!

Wyszczrzył zęby w pełnym uśmiechu i usiadł za kierownicą. Ha, ha, król komedii, pomyślał Taylor, po czym oparł się o szybę krzyżując ręce. Autobus ruszył. Po dwóch godzinach drogi zauważył, że las zaczął się przerzedzać. Zbliżali się do miasta. Wyciągnął telefon, ale był rozładowany, schylił się więc po ładowarkę – autobus był na tyle nowoczesny, że miał kontakt w fotelu. Podpiął wszystko i czekał na komunikat potwierdzający ładowanie baterii, ale nic się nie wyświetliło. Pokręcił uszkodzonym kablem. Raz stykało, raz nie, i tak w kółko.

– Tępe chuje. – Wściekły na byłych współpracowników rzucił zepsutym przewodem pod fotel.

Olbrzym, widząc sytuację, podpiął własną ładowarkę do gniazda i podał kabel chłopakowi.

– Proszę.

Taylor zawahał się, ale po chwili przyjął kabel. Podłączył go do telefonu, który od razu wskazał wyczekiwaną ikonkę. Potrzebował kilku sekund, żeby zebrać się w sobie.

– Dziękuję.

Ledwo przeszło mu to przez gardło, czuł się głupio zmieszany.

– Nie ma sprawy. Nie było tak trudno?

– Co?

– Podziękować.

Parsknął, a kącik jego ust zadrżał, jakby nie wiedział, czy może się uśmiechnąć.

– Zawsze jesteś taki zamknięty?

– A ty taki otwarty? – Utrzymał złowrogi ton.

– Zawsze. Odkąd pamiętam mama mówiła, że się nie zamykam. Lubię ludzi. Lubię z nimi rozmawiać, poznawać ich. Jesteśmy stadem unikalnych istot i powinniśmy nawiązywać nowe znajomości.

Taylor czuł na sobie wzrok domagający się komentarza.

– Może, nie wiem.

– Pewnie, że wiesz, każdy to wie. Przypomnij sobie jak to było zeszłej nocy, wszyscy siedzieli osobno, dopóki nie rozpałem ogniska i zaprosiłem ich do wspólnego spędzenia czasu. Dałem im możliwość poznania się.

Nie odpowiedział, wyjrzał przez okno.

– Jak ci na imię?

Nie odpowiedział.

– To powiedz chociaż skąd jesteś.

– Jadę tam.

– A... ja mam tu rodzinę, ale nie jesteśmy stąd, pochodzę z Nowego Jorku, tam się urodziłem. Pod Chicago mieszka rodzina mojej mamy, nie widziałem się z nimi całą zimę. Nienawidzę tak długich rozstań. Rodzina powinna trzymać się razem. Też tak masz?

– Ta...

– Dlatego wracam. Chcę nadrobić zaległości. A ty? Po co tu jedziesz, skoro tak bardzo ci to nie odpowiada?

– Tak jak i ty mam sporo do nadrobienia.

– Tak? Super! – szturchnął go. – Coś nas łączy.

– Poważnie? – uśmiechnął się pogardliwie. – Spójrz na nas, jesteśmy definicją przeciwieństwa. Jak wpiszesz w Google „przeciwieństwo” i włączysz grafikę, powinny wyskoczyć nasze zdjęcia.

– Zabawny jesteś. Ale kolor skóry nie ma tutaj...

– Nie chodzi mi o to – przerwał mu. – W ogóle o to nie chodzi. Ja jestem zamknięty, ty otwarty, ja nie chcę powrotu do rodziny, ty tak, ty chcesz uwagi, ja spokoju. Jesteśmy jak ogień i woda, gdzie ty widzisz podobieństwo? I tak, nawet taka błaża sprawa, jak kolor skóry nas różni.

– Widzę podobieństwo duszy.

Zamilkli na moment.

– Tak czy siak, dzięki za ładowarkę, moja, podobna do twojej, dusza chce teraz zostać sama i spędzić resztę podróży bez gadania.

– Rozumiem.

– Na twoim fotelu – dokończył z lekkim uśmiechem.

Olbrzym odwzajemnił miły wyraz twarzy i zamienili się miejscami. Taylor usiadł wygodnie i skrzyżował ręce. Wielkolud szturchnął go łokciem pokazując na szybę, a chłopak uniósł lekko kącik ust widząc jego radość. Dojechali do miejsca docelowego. Autobus zatrzymał się na dworcu centralnym, ludzie zaczęły wysiadać, oni byli jednymi z ostatnich.

– Twoja ładowarka – oddał mu kabel.

– Udało ci się naładować telefon?

– Prawie do pełna, dzięki.

– No proszę, zaczęło ci to przychodzić coraz łatwiej.

– Nie ma co się przyzwyczajać – spiął włosy w kucyk. – Fajnie było cię poznać, trzymaj się, duży.

– Będę – uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ty też.

Taylor zarzucił torbę na ramię i przeszedł od razu w trucht. Nie było go tutaj kilka lat, ale miał wrażenie, jakby wcale stąd nie wyjechał. Szybko dobiegł pod ogromny białe kremowy budynek z dużym krzyżem nad wejściem, podzielony na cztery skrzydła. Ruszył od frontu mijając zaparkowaną karetkę. Drzwi się rozsunęły i poczuł zniechęconą przez niego woń hektolitrów chemii i płynów antybakteryjnych.

Cuciło go to mocniej niż ciepłe stopy na zimnym balkonie. W drugiej kolejności nos był atakowany przez zapach potu i gumi od asortymentu lekarskiego. Zgiełk tłumu ludzi w poczekalni brzmiał jak rój pszczół. Pomijając kolejkę stanął tuż przed recepcją.

– Przyszedłem zobaczyć brata. Jest w śpiączce, nazywa się Max Ewing.

– Dzień dobry, pory widzenia właśnie się skończyły, w pobliżu pacjenta może przebywać już tylko najbliższa rodzina. Proszę stanąć w kolejce, pomogę panu jak tylko przyjdzie pana kolej.

– Pani nie rozumie!

– Proszę nie podnosić głosu i zająć miejsce za ostatnią oczekującą osobą.

Wywrócił oczami i stanął piąty w kolejce. Minęło go dwóch lekarzy, którzy wbiegli do korytarza po prawej. Gdy drzwi się uchyliły jego oczom ukazał się mężczyzna w czarnym garniturze z przepaską na lewym oku. Rozmawiał z pielęgniarką patrząc w kartotekę.

Zimny podmuch grozy przeszył jego ciało. Błagam, tylko nie on, pomyślał. Drzwi się zamknęły, jednak po sekundzie ponownie zostały otwarte przez wychodzącego ochroniarza. Tym razem pielęgniarka była sama. Mężczyzna z przepaską przepadł, jakby zapadł się pod ziemię. Drzwi się zamknęły.

Przetarł pot z czoła. Nie wiedział czy to omamy, czy zwykłe przewidzenie. Od wczoraj nic nie jadł, ani nie pił, czuł się wykończony. Zamknął oczy i skoncentrował się na oddechu, chcąc uspokoić tętno.

– Halo! Proszę pana!

Otworzył oczy. To był głos recepcjonistki.

– Wszystko dobrze? Stoi tak pan od paru minut.

– Nic mi nie jest. – Podeszedł, zerkając na zamknięte drzwi. – Przyszedłem do brata.

– Imię i nazwisko?

– Max Ewing.

– Tak, znajduje się u nas taki pacjent, ale nie może pan teraz do niego pójść.

– Co? Dlaczego?

– Odwiedziny dla znajomych są możliwe od dziesiątej do dwunastej i od szesnastej do osiemnastej. Poza tymi godzinami przy pacjencie może przebywać tylko najbliższa rodzina. Proszę przyjść wieczorem.

– Jestem jego bratem, musi pani to mieć tam wpisane. Proszę sprawdzić jeszcze raz. Na pewno jest tam taka informacja.

Pielęgniarka spojrzała w monitor.

– Przykro mi. Z danych, jakie zostały podane w formularzu, chłopak jest jedynakiem. Musi pan poczekać do wieczora.

– Dzwonię do matki, ona potwierdzi – zaczął wykręcać numer.

– Proszę pana, jego mama wypełniała formularz. Obawiam się...

– Moment, dobrze!? – krzyknął.

– Proszę nie podnosić głosu.

Nie odbierała telefonu, a recepcjonistka wzrokiem uprzedziła ochroniarza, że może być problem. Porządkowy wstał i wolnym krokiem zbliżał się bacznie obserwując sytuację.

Zadzwoił jeszcze raz, potem kolejny. Efekt był ten sam.

– Będę musiała pana prosić o...

– Czemu mi pani nie wierzy!? Nie kłamię! – Uderzył ręką o blat.

Ochroniarz stanął tuż obok Taylora, ten zrobił krok w bok.

– Wszystko w porządku?

– Ten pan twierdzi, że jest bratem pacjenta, ale z podanych mi informacji wynika co innego.

– Ja nie twierdzę, ja jestem...

– Dobra, proszę ze mną.

Ochroniarz wypchnął go z kolejki i wziął na bok.

– Stracę miejsce w kolejce! – wskazał na kolejną osobę, która podeszła do recepcji.

– Ej, skup się. – Ochroniarz pstryknął na palcach przed jego twarzą. – Co ty robisz? Nie możesz się tak zachowywać, to jest szpital. Posłuchaj mnie uważnie, jeżeli nie przestaniesz stwarzać problemów, będę musiał cię stąd wyrzucić, a bardzo tego nie chcę. Możesz wtedy zapomnieć o odwiedzinach swojego kolegi czy brata, bo już cię więcej tutaj nie wpuszczę. Idź do domu.

– Przejechałem z daleka, nie mam gdzie się zatrzymać.

– Pozwolę ci poczekać tutaj. Przyjdzie pora wizyt, to się zobaczycie, tylko się zachowuj. Rozumiemy się?

Szarpnął ręką wyrrywając się z uścisku ochroniarza i zdenerwowany usiadł w poczekalni. Wytarł spocone dłonie w spodnie i spróbował jeszcze raz dodzwonić się do matki, ale bez skutku. Splótł ręce i czekał.

Czas się dłużył, a on dopijał kilkunasty kubek wody, przepijając kolejnego batona z maszyny. Dwóch żuli, ubranych w ortaliony w kolorach tęczy, rzucili się na siebie okładając się pięściami. Ochroniarze ruszyli na nich, natychmiast ich rozdzielając.

Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że już czas. Tym razem poszło gładko, bez kolejki, bez problemu. Podał swoje dane, podpisał, gdzie trzeba. Pokój trzysta trzy znajdował się na drugim piętrze. Szedł korytarzem mijając się z lekarzami, pielęgniarkami, ratownikami medycznymi i policjantami. Szpital był oblegany, każdy się gdzieś spieszył, nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyjechał windą na piętro, a białe światło drażniło jego oczy. Według oznaczeń na ścianie, pokój powinien być tuż za rogiem.

Szedł pewnym krokiem, aż nagle odskoczył z powrotem za winkiel. Wychylił się. Dostrzegł swoją mamę z kubkiem herbaty w dłoni. Właśnie wchodziła do pokoju. Ściąła włosy – zauważył. Czuł ogarniające go zdenerwowanie, przejmujące do szpiku

kości niczym mróz. Przełknął ślinę, wytarł spocone dłonie w spodnie i ruszył w kierunku sali.

Jego oczom ukazał się najgorszy obraz, jaki mógł sobie wyobrazić. Jego braciszek na łóżku szpitalnym, podpięty do kroplówek i sprzętu podtrzymującego życie. Ścisnęło go w gardle, w klatce zapiekło, oczy zaszklily. Stał nad chłopcem i przytulił go, płacząc. Uklęknął na twardej podłodze i złapał za jego dłoń po czym przyłożył ją do swojego czoła.

– Co z nim? – spytał przez zaciśnięte gardło.

– Został potrącony na pasach. Po karetkę zadzwoniła przypadkowa osoba. Ma złamane żebro i podwójny wstrząs mózgu. Kierowca uciekł.

– To nie są poważne urazy, dlaczego jest w śpiączce? Dlaczego go nie wybudzą?

– Próbowali wszystkiego, leży tak już od kilku dni, nikt nie wie co się dzieje. Nikt nie... rozumie... rozkładają ręce.

Matka zalała się łzami, siedząc na fotelu w ciemnym kącie pokoju. Lekarze byli bezradni, ponieważ nie rozumieli z czym mają do czynienia. Problem nie jest natury medycznej, jaką znają. On natomiast wiedział, aż za dobrze. Wypadek musiał być bodźcem, pchnięciem na drugą stronę. Max opuścił ciało i kroczy teraz w krainie cienia nie mogąc znaleźć drogi powrotnej. Po tamtej stronie wszystko jest mniej wyraziste, głuche i mylące. Skoro braciszek stracił przytomność to ostatnie, co pamiętał, to miejsce wypadku. Teraz nagle znalazł się w miejscu, którego nie zna, a po tamtej stronie nie widać własnego ciała. Nie wie, gdzie jest i jak się stamtąd wydostać. Musi być przerażony. Taylor widział, że jego ciało żyje, co znaczyło, że nie przerwał srebrnej nici, która łączy ciało z duszą, jeżeli jednak oddali się za daleko, straci kontakt ze swoim ciałem, ono umrze, a dusza zostanie po drugiej stronie, uwięziona na zawsze.

Ścisnął dłoń braciszka mocniej. Nie dopuszczę do tego, obiecał.

## Rozdział 3

# Bezsenność

Demony, diabły, szkarady – tak wiele odmian potworów znanych mu z opowieści, komiksów, gier czy filmów, a wszystkie straszne i brutalne. Pozornie czerpiąc z ksenofobii, różniły się od siebie niemal w każdym szczególe, od celu istnienia, po charakter, umiejętności czy środowisko. Miały za to jedną wspólną cechę, w tych wszystkich opowieściach przeciwko nim stał ktoś, kto był gotowy stawić czoła złu, poświęcić swoje życie na szali dla dobra innych, wtajemniczony i ukryty przed światem, odważny i nieustraszony bohater. Jednak on taki nie był i dobrze o tym wiedział. Zawsze szedł tam, gdzie niebezpieczeństwa nie było, a gdy była choć odrobina niepewności, że się ono pojawi, po prostu zawracał. Starcie nigdy nie było opcją. Tym razem gra toczyła się o wiele większą stawkę. Tym razem nie chodziło tylko o spacer ani raptem o jakiś koszmar, nawet nie o przetrwanie. Chodziło o coś znacznie ważniejszego – o życie jego braciszka. Dla niego sytuacja była przejrzysta, nie miał jednak pewności, czy starczy mu odwagi, gdy stanie oko w oko z cieniem w walce nie na swoich warunkach.

Do jego uszu docierały coraz głośniejsze, acz niewyraźne odgłosy konwersacji. Lekko zamulony, otworzył oczy i zauważył matkę rozmawiającą z lekarzem w towarzystwie pielęgniarki. Widząc to zerwał się na równe nogi i podszedł bliżej.

– ... w jego obecnym stanie nie możemy obiecać, że...

– Czego nie możecie obiecać? W jakim stanie? – spytał głośno Taylor, ostentacyjnie łapiąc doktora za nadgarstek.

– Proszę mnie puścić, rozumiem stres, ale nie przekraczajmy pewnych granic.

Chłopak cofnął rękę, wiedział, że dał się ponieść. Spuścił głowę.

– Co z nim? – spytał pokorniej.

– A pan to kto? – Lekarz uniósł brwi pytająco patrząc na pielęgniarkę oraz matkę, która odwróciła wzrok. – W tych godzinach może tu przebywać jedynie rodzina chłopca i tylko im wolno mi udzielać informacji o stanie zdrowia pacjenta.

– Nie powiesz im!?! – zdenerwował się. – Jestem jego bratem! Ile razy mam to powtarzać!?

– Pan wybaczy, ale w dokumentacji nie ma wzmianki o żadnym rodzeństwie chłopca.

– Nie obchodzą mnie papiery. Dlaczego znowu przez to przechodzimy!?

– Odprowadzę pana do poczekalni.

Pielęgniarka z uśmiechem wyciągnęła do niego rękę, lecz Taylor zrobił krok w tył.

– Proszę nie stawiać oporu, nic panu nie zrobię.

– Ale ja nigdzie nie idę. Czemu jej nie spytacie? – Wskazał palcem na mamę. – Powiedz im!

– Proszę pana, jeżeli się pan nie uspokoi i nie pójdzie z moją koleżanką, wezwiemy ochronę.

– Czy on może zostać? – mruknęła po cichu, nie patrząc mu w oczy.

Nie potwierdziła, pomyślał. Personel wymienił się spojrzeniami, po czym lekarz przytaknął. Taylor poprawił kurtkę dumnie, jakby zwyciężył pojedynek.

– Mogę się w końcu dowiedzieć co dolega mojemu bratu? Dlaczego go nie wybudzacie?

– Pański... – przeciągnął sztucznie – brat, był ofiarą wypadku...

– Wiem jak tu trafił – wtrącił. – Chcę wiedzieć, dlaczego leży tak od kilku dni i nic nie robicie?

– Robimy co w naszej mocy, aby pomóc Maxowi, niestety nie mam dobrych wieści. Sytuacja się pogarsza, w nocy zarejestrowaliśmy bardzo niepokojące kołatania serca, gwałtownie zmieniające swoje zachowanie z ledwo bijącego, do chcącego wyskoczyć z klatki organu. Dziwny rodzaj tachykardii. Nie znana jest nam tego przyczyna. Wciąż szukamy powodu jego stanu, ale krążymy w kółko. Wszelkie próby wybudzenia pacjenta nie odniosły żadnego skutku, ciało nie reagowało na bodźce, a jednocześnie wyniki badań pokazują, że jest on, poza urazami z wypadku, zdrow jak ryba i powinien być już dawno wypisany ze szpitala.

– Wiemy, ile to jeszcze może potrwać? – Słysząc było łamiący się głos matki.

– Konsultujemy stan pani syna z najlepszymi specjalistami w kraju. Cokolwiek to jest zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go z tego wyciągnąć. Natomiast dopóki nie postawimy konkretnej i trafnej diagnozy, nie możemy podjąć odpowiednich kroków leczenia, co skutkuje niemocą określenia, ile to jeszcze potrwa. To może być dzień, tydzień, rok, możemy jedynie zgadywać.

Lekarz odłożył kartotekę do kieszeni w łóżku Maxa.

– Jeżeli nie ma więcej pytań, pani pozwoli, udam się do kolejnego pacjenta.

– Tak, dziękuję panie doktorze.

Odpowiedziała i spojrzała zmartwiona na leżącego syna. Lekarz z pielęgniarką ruszyli do wyjścia.

– „Dziękuję, panie doktorze”!? – Taylor na zmianę czerwieniał i bladł ze złości. – Jaja sobie robicie!? Przychodźcie tutaj i jak gdyby nigdy nic, mówicie nam w twarz, że nie macie pojęcia, co z nim jest, ani kiedy mu się poprawi. Jedyne plan, jaki przedstawicie na rozwiązanie problemu to spytać kolegów!? To jest wasza diagnoza?

– Proszę się uzbroić w cierpliwość. Nasi najlepsi ludzie nad tym pracują.

Lekarz wyszedł z pokoju, zirytowany zachowaniem chłopaka, ten zaś zacisnął pięść, po czym ją rozluźnił. Z trudem nad sobą panował. Po chwili usiadł w fotelu.



Pochylił głowę. Zdawał sobie sprawę, że lekarze nie wiedzą w czym tkwi problem, ale nie sądził, że będą aż tak bezradni.

– Nie musiałeś go tak atakować – wtrąciła matka stojąc nad synkiem. – Wykonuje swoją pracę.

– Gdyby to robił, nie musiałbym go atakować.

– A czego się spodziewałeś?

– Rzetelnej opieki profesjonalistów, którzy na pytania nie odpowiadają: zapytam kolebę.

– Robią co mogą – pogłaskała Maxa po policzku.

– Od kiedy stałaś się taka wyrozumiała?

– A ty taki bezczelny?

Taylor wstał i stanął przed oknem patrząc na front szpitala.

– Nadal jąnosisz?

Spojrzał na kurtkę. Mama wciąż nie unosiła wzroku.

– Nigdy nie przestałem.

– Zapuściłeś też włosy.

– A ty ścięłaś. – Odwrócił się do niej. To był czas, aby wreszcie poruszyć ten temat. – Na recepcji mnie nie wpuścili, bo w formularzu podałaś, że jest jedynakiem. Czyli nie chciałaś mnie tutaj, kiedy przyjechaliście. Co się zmieniło? Dlaczego po mnie zadzwoniłaś?

– Wiesz czemu.

Napięcie rosło, skręcało swoje sploty jak przyczajony wąż.

– Chcę to usłyszeć – naciskał.

– Nie męcz matki – wtrącił jej facet stojący w drzwiach. Widząc go, rozszerzył oczy w zdziwieniu. Na profilu braciszka nie było o nim słowa. Niech to szlag, pomyślał. Miał nadzieję, że jego ucieczka z domu otworzyła mamie oczy i go zostawiła. Taki był plan.

– Popatrz, popatrz jak ci się urosło! – zawołał starając się zabarwić głos dufną i pewną siebie arogancją. – I te tatuaże. Szacunek za koronę na szyi.

– Co on tu robi? – spytał Taylor patrząc na matkę.

Nie uniosła wzroku. Mężczyzna objął ją i pocałował w głowę nie spuszczając chłopaka z oczu, a z twarzy nie schodził mu głupi uśmiech.

– Co za idiotyczne pytanie. Odwiedzam małego – powiedział Igor.

– Pytam poważnie, dlaczego on tu jest?

– To też jego syn – odparła matka. Jej oczy nie kłamały. Poza tym bała się go. Dało się wyczuć strach w jej głosie.

– Jak możesz tak mówić? Ja nie jestem jego bratem, ale on jego ojcem już tak?

Wkurzony pokręcił głową świdrując wzrokiem przestraszoną matkę. Miał ochotę zabić typa. Nie był już nastoletnim chłopcem. Postanowił, że koniec z uciekaniem

przed swoimi demonami, czas stawić im czoła.

– Masz stąd wyjść, albo sam cię wyrzucę – warknął.

– Coś ty, gnoju, powiedział? – rzucił Igor i ruszył w stronę chłopaka.

– Dobrze słyszałeś. Wychodzisz stąd.

– Moje miejsce jest przy żonie i synu. Kim ty jesteś, żeby mówić mi, gdzie powinienem teraz być? To nie ty go porzuciłeś? Spieprzyłeś jak tchórz, zostawiając go samego. Zabrałeś swoje rzeczy i uciekłeś w środku pieprzonej nocy. Zdajesz sobie sprawę, ile bólu mu tym wyrządziłeś? Żebyś ty widział jego minę, kiedy mówiłem mu, że od niego odszedłeś, że wolałeś uciec, niż spędzać z nim czas. Ile bólu zadałeś matce? Nie! Nie obchodziło cię to, przecież zawsze myślałeś tylko o sobie.

– Przestańcie, to nie czas i miejsce. – Matka starała się uspokoić sytuację.

– No i co zrobisz? – prowokował go. – Zrób coś. Pokaż, że przez ostatnie lata urosły ci nie tylko włosy.

– Proszę pani, halo! – krzyknął Taylor do pielęgniarki, która przechodziła obok sali.

– W czymś pomóc? – spytała, zerkając do pokoju.

– Nie, nic się nie dzie...

– Ten facet jest pijany i agresywny. Tutaj leży mój młodszy brat i boję się o jego bezpieczeństwo.

– Co ty wyprawiasz!? – wtrąciła matka.

– Proszę wezwać policję i go zbadać.

– Proszę pana, czy spożywał pan alkohol? – spytała pielęgniarka. – Jeżeli tak to proszę o opuszczenie szpitala, inaczej będę zmuszona wezwać policję.

– Nie trzeba, wyjdę.

Igor, wychodząc na korytarz, pokazał na chłopaka palcem, grożąc mu.

– Jak mogłeś to zrobić? – spytała matka. – Teraz będzie zły.

– Mam to w dupie, nie jestem już dzieckiem. Nie boję się go.

Kłamał, serce kołatało mu jakby miało eksplodować, a dłonie trzymał w kieszeniach kurtki, żeby ukryć ich drżenie i aby nikt nie widział, że są mokre od potu.

– Teraz wrócimy do tego, po co mnie tu ściągnęłaś...

– To był błąd. Zabierz swoje rzeczy i wracaj tam, skąd przyjechałeś.

– Co? Ale...

– Wynocha! Nie chcę cię tu!

Zdenerwowany Taylor zarzucił torbę na ramię.

– Nie przyjechałem dla ciebie, a wyjadę, jak on będzie już zdrowy – wypowiadając słowo „on” zrobił znaczącą pauzę, nie pozostawiającą wątpliwości na kim mu zależy.

Następnie wyszedł na korytarz. Matka zatrzasnęła za nim drzwi i zasłoniła żaluzje. Przycisnęło go w gardle, a oczy zapiekły. Usiadł na krzeselku naprzeciwko pokoju. Nie mógł znieść faktu, że własna matka wolała swojego faceta, który ściągał ją na

dno, od rodzzonego syna. Spojrzał na dłonie. Trzęsły się jak galareta. Zrobiło mu się niedobrze. Co powinien teraz zrobić? Zostać i dalej czekać, aż mały się wybudzi? Wyjść i zostawić to wszystko za sobą? Nie wiedział co robić.

Wstał i wolnym krokiem ruszył w stronę wyjścia. Bił się z myślami. Na zewnątrz było gwarno, a solidna dawka smogu nieco poprawiła jego samopoczucie. Emocje opadły, racjonalny głos zaczął podmieniać podszepty tego szalonego, niestety dłonie były innego zdania i nie szły w parze z myślami, drgały jak wibrujący telefon. Bez leków nie będzie łatwo.

Usiadł na ławce przed szpitalem i wyjął pudełeczko. W środku były ostatnie trzy kapsułki. Wziął wszystkie i dalej siedział na ławce, aż rozpoczęły się godziny odwiedzin dla znajomych.

Wypalił jeszcze papierosa i wrócił do szpitala. Stając przed pokojem trzysta trzy zastanawiał się co powie, jak się zachowa. Tworzył sobie w głowie scenariusze na każdą okoliczność.

Zapukał do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Z jakiegoś powodu się zląkł, lecz zaraz potem otworzyła mu pielęgniarka.

– Tak? – spytała ostrożnie.

Spojrzał poprzez jej ramię i zobaczył braciszka. Nikogo więcej nie było.

– Nie ma tutaj jego mamy?

– Wyszła jakiś czas temu.

– Dawno?

– Nie spotkałam jej, gdy tu przyszłam.

– A kiedy to było?

– Minął się pan z lekarzem, więc co najmniej kilkanaście minut temu.

Chciał wejść do środka, ale tym razem pielęgniarka zadała pytanie:

– A pan to?

– Jestem jego bra... – Ugryzł się w język. – Jestem przyjacielem, a to prawie jak brat. Czy mogę wejść?

– Proszę.

Z uśmiechem wpuściła go do środka.

– Pomóc pani w czymś? – zaoferował.

– Nie, już wszystko zrobiłam. Leki podane, pościel zmieniona, przyjaciel wpuszczony.

Uśmiechnęła się, choć nie było w tym wesołości, raczej ukrywane niezadowolenie. Rude włosy spięła w kok. Wyglądała fatalnie w tej fryzurze.

Stanął przy łóżku Maxa i zaczął go głaskać.

– No proszę – wtrąciła. – Wygląda na to, że pan od kłopotów okazał się być miły i spokojny. Cóż za rozczarowanie. Moje lekcje samoobrony chyba pójdą na marne.

Spojrzał na nią, unosząc pytająco brew.

– Tak, uprzedzono mnie, że nachodzi wytatuowany chłopak w czarnej dżinsowej kurtce ze złotą koroną na plecach, który stwarza problemy. A tu proszę, kolejny miły słodziak.

Odwrocił wzrok, speszony. Nie umiał przyjmować komplementów.

– Zabawne jak ludzie potrafią zaskoczyć, gdy się im da szansę, prawda? – Ruszyła do wyjścia.

– Przepraszam chciałem zapytać, czy macie tutaj leki?

– To szpital. Generalnie mamy tu całkiem sporo leków.

– Ale ja potrzebuję mocnego leku na uspokojenie, na receptę.

– A masz receptę, słodziaku?

– Nie przy sobie.

– Musiałbyś ją mieć.

Puściła mu oko i wyszła. Spojrzał na spokojne dłonie, leki, które wziął zaczęły już działać. Mógł wreszcie zrobić to, po co tu przyjechał.

– Idę po ciebie, wytrzymaj jeszcze chwilę.

Usiadł na fotelu, po czym rozłożył go wygodnie, a następnie przykrył się kocem.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Pokój wyglądał na o wiele starszy niż był w rzeczywistym świecie jeszcze sprzed paru chwil. Ściany na sufitcie były spękane, podłoga mocno wytarta, a niemal każdy metalowy element w pomieszczeniu pokryty był rdzą. Pokój oświetlał niezwykle ostry blask pomarańczowo krwistego światła, padającego zza ciętych mrokiem żaluzji. Gdzieniegdzie światło odbijało się od metalowych części, przypominając palące się znicze, mrugające spokojnie, nadające temu miejscu funeralnego patosu. No i ta niesamowita cisza; przerażała za każdym razem tak samo, nie sposób było się do niej przyzwyczaić.

Tym razem zanim zaczął się podnosić spojrzał pod nogi. Podłoga była porośnięta wijącymi się korzeniami, przypominającymi meandryczne sploty. Panował chłód.

Taylor wstał i spojrzał na łóżko szpitalne. Braciszka na nim nie było, a im dalej pokoju, tym korytarz stawał się coraz mroczniejszy. To nie wróżyło niczego dobrego. Max musi być niedaleko...

Zrobił krok naprzód i zachwiał się. Zrobiło się jeszcze mroczniej.

Dostrzegł pielęgniarkę. Szturchnęła go w ramię.

– Na pana miejscu bym nie zasypiała – usłyszał jej głos. – Odwiedziny kończą się za dwadzieścia minut.

Odepchnął jej rękę, starając się ocknąć.

– Niech pani...

– To nie hotel, tu się nie śpi.

– Zeszłej nocy mogłem spać, a teraz nie mogę? – Oddychał coraz głośniejsze i szybciej.

– Zeszłej nocy również nie powinno pana tutaj być. Niedługo wrócę i nie chcę pana tu zastać.

Cholera, pomyślał. Nie sądził, że będzie miał tylko dwadzieścia minut na ocalenie braciszka, ale o ile nikt nie będzie mu przeszkadzał, jest odrobina szansy na powodzenie. Sięgnął do kieszeni po tabletki, ale pudełka nie było. Zdenerwowany zaczął szukać na podłodze, pod fotelem, pod poduszką siedziska, w kieszeniach. Zgubił je. Tym bardziej nie mógł sobie pozwolić na stratę choćby sekundy. Ułożył się wygodnie i przykrył kocem. Zamknął oczy.

– A pan co robi? – usłyszał podniesiony głos pielęgniarki. – Daję panu dwadzieścia minut na pożegnanie z przyjacielem, przygotowanie się do wyjścia, a pan z powrotem się kładzie? Pan jest bezczelny!

– Ja muszę...

– Jedyne, co pan musi, to wyjść. Odwiedziny się skończyły. Proszę przyjść jutro.

– Pani nie rozumie, ja muszę przy nim zostać. To bardzo ważne.

– Rozumiem, mimo to nie mogę panu na to pozwolić.

– Ani dziesięciu minut?

– Ani nawet pięciu, przykro mi.

Westchnął. Za wszelką cenę starał się być spokojny, Zrzucił z siebie koc, podszedł do Maxa i pocałował go w policzek. Następnie zabrał okrycie i wyszedł z pokoju, po czym rozłożył się na czterech krzesłach w korytarzu. Pod głowę podłożył złożoną kurtkę, a następnie zamknął oczy.

Czas spać, pomyślał.

– Proszę pana – wtrąciła pielęgniarka stojąca nad jego głową.

– Co znowu?

– Tutaj nie wolno spać. To jest szpital, a nie hotel. Na dole jest poczekalnia, tam proszę...

– Litości.

– Muszę wracać do swoich obowiązków. Za pięć minut wrócę i pana ma tu nie być.

Gdy się oddaliła, zabrał swoje rzeczy i ruszył do windy. Mijając jeden z pokoi, zauważył jak cień z kąta pokoju dusi za gardło starszego, schorowanego mężczyznę.

– Nie! – wrzasnął, zwracając na siebie uwagę wszystkich dookoła, łącznie z dziadkiem na łóżku, nad którym ułamek sekundy wcześniej pojawił się cień, a teraz go nie było. Po chwili zjawili się dwóch lekarzy i pielęgniarka.

– Co się stało? – spytał jeden z nich.

– Nic, coś mi się przywidziało.

– Przywidziało? – warknął jeden z lekarzy. – Pani Aniu, proszę dopilnować, żeby

ten człowiek opuścił to piętro.

– Proszę za mną.

– Nie martw się, chłopcze. – Usłyszał głos starszego pana. – Tutaj mnie nie sięgnął.

Taylor wybałuszyl oczy w zdziwieniu, a staruszek odwrócił się plecami do niego i podciągnął kołdrę. Pielęgniarka chrząknęła, przypominając o sobie. Kim był ten starszy mężczyzna?

Zastanawiał się na tym przez chwilę będąc już w poczekalni. Przez dwie godziny próbował zasnąć. Bezskutecznie. Cały się trząsał, jak w gorączce. W cieniach widział fantasmagoryczne kreatury, stany lękowe nie dawały mu spokoju, z trudem spuszczał wzrok z uchylonych drzwi ochrony, bojąc się, że zaraz coś zza nich wyskoczy. Pot zalewał jego ciało. Dłużej tak nie wytrzyma, wstał agresywnie i wychodząc, wrzasnął:

– Co to, kurwa, za szpital, w którym nie pomaga się chorym!?

Poruszanie się uliczkami w ciemną noc było dla niego ostatecznością, zwłaszcza w takim stanie. Wiedział, że to jego wina, uprzedzono go, że te leki uzależniają, żeby je brać z umiarem. Ale czym jest umiar do czających się w ciemnościach morderczych istot, kiedy się wie, że to nie halucynacje czy zwidy, a realne upiory z innego wymiaru?

Najbliższa apteka całodobowa była całkiem niedaleko. Truchtem będzie tam za dziesięć minut. Strach, że coś złego może wyskoczyć z cienia, trawił go żywcem, czuł się bezpieczniej w ruchu. Nie myślał o tym, że nie ma recepty. Tym będzie martwił się na miejscu. Kiedy dotarł do apteki, dostrzegł długą kolejkę. Zrobiło mu się niedobrze. Stał za ostatnią osobą, ale to miejsce było w czarnym punkcie, więc przeszedł na drugą stronę placu i tam czekał. Nurkujący w swych telefonach ludzie, nawet nie zauważyli, że tam był. Po chwili podjechał samochód, czarny Mustang, siła basów zagłuszyła silnik. Głośny zgrzyt zaciąganego hamulca ręcznego zadziałał na niego jak widelec jeżdżący po talerzu. Z auta wysiadł dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna, o białych jak cukier zębach, czarnym lśniącym od żelu języku na głowie i miedziano brązowej, opalonej skórze pokrytej tatuażami w czaszki. Miał na sobie czarny, obcisły podkoszulek, dżinsy i dziwaczne czerwone buty na rzepy. Zamykając samochód pociągnął kilkukrotnie za klamkę upewniając się, że jest zablokowany. Idąc do kolejki dwa razy potrząsnął nadgarstkiem, na którym zapięty był złoty zegarek, trzeszcząc przy tym jak grzechotka.

Taylor, widząc, że ten staje na końcu kolejki, podszedł do niego.

– Ja stoję za tym panem, czekam z boku, bo źle się czuję i nie chcę nikogo zarazić.

– Ta, ta, yhy – przytaknął z kwaśną miną.

– Słucham?

– Spierdalaj, albo dostaniesz w ryj.

– O co ci chodzi? Mówię tylko, że stałem za...

Mężczyzna wziął zamach, a chłopak zasłonił się i odskoczył do tyłu, wpadając na metalowe ogrodzenie. Facet jedynie zamarkował cios, chcąc go wystraszyć, co mu się

udało. Szereg osób widziało całą akcję, ale nikt nie zareagował. Nigdy nikt nie reaguje.

Dumny z siebie mężczyzna wyciągnął telefon i kolejny raz potrząsnął nadgarstkiem. Kolejka jakby przyspieszyła i po chwili mięśniak był już przy okienku. Wymamrotał coś, ale starsza i znudzona pani po drugiej stronie stanowiska niewiele chyba usłyszała, gdyż wypaliła:

– Co pan tak szepcze? Proszę głośniej, nic nie słyszę!

Facet spojrział zakłopotany za siebie i znów wyszeptał.

– Co!?! – wydarła się.

– Dwa testy ciążowe!

Wszystkich stających za nim, jakby zawiąło wiatrem, zakolysali się zagryzając wargi w uśmiechu. Wielki kozak okazał się mieć spóźniony refleks. Pani z apteki położyła testy na okienku.

– Trzydzieści siedem, proszę.

Mężczyzna był wyraźnie zawstydzony i rozdrażniony. Wychodząc, trącił Taylora ramieniem, po czym pospiesznym krokiem wrócił do samochodu. Chłopak z bananem na ustach podszedł do stanowiska.

– Dzień dobry, przyszedłem z delikatnym problemem, mam duże schorzenie i nie jestem stąd, a swoje leki zostawiłem w domu, potrzebuję Afobamin.

– Recepta? – spytała zimno.

– Tak, wiem, jest na receptę biorę to już od trzech lat. Ale tak jak pani tłumaczę, zostawiłem ją w domu, a musiałem przyjechać w pilnej sprawie. Nie mam recepty, mój lekarz nie jest stąd.

– Nie mogę tego panu wydać bez recepty.

– Czy to wygląda pani na kłamstwo!?! – Zdenerwowany przełożył przez okienko trzęsącą się rękę. – I to jest najmniej problematyczny objaw braku tych tabletek.

– Zapraszam z receptą. Następny!

Kolejna osoba dosłownie przepchnęła go na bok.

– Człowieku, jeszcze nie skończyłem! – zdenerwował się.

– Ta pani mówiła, że tak.

– Nieprawda, chciałem jeszcze dodać...

– Bez recepty się nie da.

– Błagam panią!

Zignorowała go i zaczęła obsługiwać następną osobę z kolejki.

Pokazał jej środkowy palec i wyszedł na ulicę. I co teraz? Została mu już tylko jedna opcja. Opcja, która mieszkała niedaleko. Ruszył dalej, po drodze rozmyślając jak mógł być takim idiotą. Nie dość, że nie zabrał pełnej paczki leków z mieszkania, to jeszcze zgubił te, co mu zostały. W zasadzie to już nawet nie pamiętał, czy ostatnio nie wziął ostatnich. Nie miało to teraz żadnego znaczenia. Bez nich nie będzie w stanie zasnąć,

a z upływem kolejnych minut będzie tylko gorzej. Skręcił w ulicę obok i zatrzymał się. Poczł nadmiar śliny w ustach, mdłości, a następnie zwymiotował, ochlapując sobie buty.

– Kurwa! – krzyknął widząc jak bardzo ucierpiał. Oparł się o słup i przetarł usta liściem klonu, zerwanym z drzewa.

A potem coś uderzyło w kosz na śmieci kilkanaście metrów od niego. Serce przyspieszyło, było tam od groma ciemnych punktów, ale nic nie widział, poza turlającą się pustą puszką coli. Nawet nie mrugnął, gdy czarna, chuda i długa ręka wyłoniła się z cienia. Po prostu zerwał się do ucieczki. Biegł, ile sił w nogach, a kiedy się na chwilę odwrócił, widział jak części cienia pojawiają się w każdym ciemnym punkcie napotkanym po drodze, za drzewem było widać rękę, za budynkiem nogę, za ogrodzeniem kawałek głowy ze srebrnymi oczami.

Gonił go.

Wbiegł w uliczkę, zobaczył dom, do którego zmierzał, przebiegł przez pustą jezdnię i potknął się o wystający krawężnik, przewracając się. Latarnia nad nim zgrzytnęła i zgasła, pokrywając go w ciemności. Zasłonił się i zamknął oczy.

– Błagam, nie!

Zacisnął zęby i pięści ze strachu. Po chwili otworzył oczy i zobaczył pustą, spokojną ulicę w środku nocy. Wiatr gwizdał, latarnia nad nim świeciła, a po goniącym go upiorze nie było śladu. Wstał z chodnika, poprawił ciuchy i poobijany poszedł dalej. Zapukał do drzwi kilka razy, trochę trwało zanim zobaczył zapalające się światła. W okienku obok drzwi wychyliła się zamazana postać. Usłyszał strzelające w drzwiach zamki. Wejście otworzył gospodarz, Carl Roone.

Po ponad sześciu latach stanął przed swoim psychiatrą.

– Kopę lat.

– Taylor? Co ty tu robisz o tej porze? Kiedy wróciłeś?

Doktor był w średnim wieku, z czarnymi kręconymi włosami i kozią bródką. Poprawił okrągłe okulary z czerwoną ramą, a zarzucony niebieski szlafrok, wiązał w pasie.

– Nie wróciłem, jestem przejazdem. Zatrzymałem się na kilka dni.

– I nachodzisz mnie w środku nocy, bo?

– Potrzebuję twojej pomocy, Carl.

– Oczywiście, że jej potrzebujesz – uśmiechnął się zagadkowo. – Posłuchaj, sam fakt, że jakiś koleś odwiedza mnie w środku nocy sprawi, że będę musiał tłumaczyć się przed moim chłopakiem. Powiedz, ile potrzebujesz i miejmy to z głowy.

– Nie przyszedłem po pieniądze, radzę sobie.

– Właśnie widzę. – Wskazał na trzęsące się dłonie. – Byłeś moim pacjentem, wiem z czym się borykasz, nie potrzebuję widzieć twoich dłoni, na twarzy dostrzegam kolejne trzy dowody na to, jak źle się trzymasz. Ale przykro mi, nie pomogę ci, nie



mogę.

– Proszę cię, rzucę je, obiecuję, ale teraz są mi potrzebne jak nigdy!

– One cię zabiją, a ja nie chcę brać w tym udziału.

– Nie rozumiesz...

– Spójrz na siebie! Ile ty ważysz? Ile razy cię ostrzegałem... – Wyszedł na werandę i przytknął drzwi. – Mówiłem, do czego to doprowadzi, łykanie tabletek to nie leczenie. Nie słuchałeś wtedy i jak widzę, nie słuchasz teraz. W dodatku, masz czelność przychodzić do mnie w takim stanie po więcej.

– Dzięki nim mogę, kurwa, spać! – wrzasnął i rozejrzał się czy nikt z sąsiadów nie usłyszał. – Potrzebuję twojej pomocy. Wypisz mi receptę i już nigdy mnie nie zobaczysz, obiecuję.

– To nie tak, że nie chcę cię więcej widzieć, wręcz przeciwnie. Nic nie rozumiesz. Walczyłem o ciebie. Walczyłem, by wyciągnąć cię z tego szpitala... – Pokręcił głową. – Posłuchaj, dużo się zmieniło. Nie mogę tak po prostu wystawić ci recepty. Wszystko jest teraz elektroniczne, jaki lekarz wypisuje leki psychotropowe w środku nocy pacjentowi, którego nie widział od kilku lat? Będę miał przez to kłopoty, rozumiesz?

– Tak, ale ty też musisz zrozumieć, że...

– Umów się na wizytę, można to zrobić przez Internet. Opowiesz mi o wszystkim. Pogadamy jak kiedyś.

– Nie chcę gadać, chcę pieprzoną receptę – burknął zniecierpliwiony.

– Wszystko w porządku? – spytał partner doktora, wołając z domu.

– Tak, już wracam! – Po czym zwrócił się do chłopaka: Przykro mi, nie pomogę ci.

A potem wszedł do środka i zaczął zamykać drzwi, ale młody mężczyzna zatrzymał je łapiąc ręką.

– Chyba nie zamkniesz mi ich przed nosem?

– Dokładnie to zrobię. Dobranoc.

Drzwi się zamknęły, zgrzytnęły zamki.

– Carl! – wrzasnął. – Dobrze, kurwa, wiesz, dlaczego nie mogę spać! Przyjdą też po ciebie! Wiesz, o czym mówię, też tam byłeś! One wróciły, Carl! Ciebie też pamiętają!

Wszystko na nic... Zrobił kilka kroków i zerknął w okna domu psychiatry. Ten spoglądał na niego w milczeniu. Taylor pokręcił głową, a następnie ruszył z powrotem w stronę szpitala. Tym razem obyło się bez przygód, bez atrakcji, to był spokojny powrót, pomimo całego stresu, jaki odczuwał wewnątrz.

Będąc już w szpitalnej poczekalni, oparł łokcie o kolana i złapał się za głowę. Objawy wolno się nasilały, był jak narkoman na głodzie. Uczucie omdlenia, zimne poty, duszności, zawroty głowy, stany lękowe, brakowało tylko ucisku w klatce i wrażenia, że zaraz umrze. Myśl, powtarzał w głowie. Skoro nie mogę dostać leków, które osłabią objawy niepozwalające zasnąć, to muszę wzmocnić tą drugą stronę. Wstał i podszedł do rejestratorki medycznej.

– Cześć – uśmiechnął się głupio. – Mam problem, bo zapomniałem leków i przez to

nie mogę spać. Leki są na receptę i wiem, że mi ich nie dacie, ale czy mogę liczyć na jakieś tabletki nasenne? Coś, co pozwoli mi zasnąć chociaż na godzinę?

– Co panu dolega? – spytała.

Uniósł drżącą rękę. Pracownica recepcji skrzywiła się i zaczęła wklepywać coś na komputerze.

– Jakie leki pan zażywa?

Wręczył jej kartkę z napisaną nazwą leku.

– Proszę dać mi chwilę.

Słyszał, jak palce stukają w klawiaturę, w jego głowie pojawiła się nadzieja.

– Może mogłabym pomóc, ale będzie pan musiał wytrzymać do rana.

– On nie ma tyle czasu! – Taylor uderzył pięścią w blat.

– Co tu się dzieje!?

Krzyknął ochroniarz idący agresywnym krokiem w stronę chłopaka.

– Dajcie mu spokój. – Drogę zaszła mu pani Ania, pielęgniarka, która zajmowała się Maxem. – Chłopak przebył długą drogę, a wy się go czepiacie, mało roboty macie? Chodź słodziaku.

Wzięła młodzieńca za rękę i posadziła na krześle w poczekalni. Ukradkiem wsunęła mu do dłoni coś małego. Puściła oczko przykładając palec do ust. Otworzył dłoń i zobaczył tabletkę, która mogła być jedynym ratunkiem.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Jesteśmy tylko ludźmi, prawda?

Zażył ją i od razu poczuł się lepiej. Efekt placebo robi swoje.

– Czy mogę zerknąć co u niego?

– Tylko szybko.

Podszedł pod pokój, ale nie wszedł do środka, spozierał jedynie przez szybę. Mały spał spokojnie, niestety tylko po tej stronie, po drugiej przeżywał koszmar. Taylor usłyszał chrząknięcie. To była ruda pielęgniarka. Kiwnął głową w podzięcie i ruszył do windy. Mijając pokój starszego pana, zobaczył czarną postać czającą się na niego i wbiegł do środka, zapalając światło.

Postać zniknęła. Z trudem oddychający staruszek spojrział na niego spokojnym i zmęczonym wzrokiem.

– Przepraszam, nie wiem co we mnie wstąpiło – zaczął się tłumaczyć Taylor.

– Nie przepraszaj za to, że ich widzisz – kaszlnął. – To dar, a za nie się nie przepraszaj.

– „Ich” – zrobił pauzę. – Ty też „ich” widzisz – stwierdził i zauważył, że jego dłonie prawie wróciły do normy. – Tylko kim oni są?

– Cienie, a któż by inny. Nie mogą się mnie doczekać, skurwy... – kaszlnął – syny! Tfu! Dlatego stoją nade mną, dotrzymują mi towarzystwa całą dobę. Stoją i patrzą, czasem próbują skrócić oczekiwanie, jakby nie pamiętali, że to nie ich strona lustra.

– Wybacz, ale nie wiem o czym mówisz.

– Jesteśmy tacy sami chłopcze, jesteśmy numerologiczną trzydziestką trójką. Stety albo niestety, widzimy więcej, mamy dostęp do innych miejsc, nawet tam, gdzie iść nie powinniśmy. Taki przywilej. Jak się domyślasz, obaj byliśmy w Umbrze.

– Umbra?

Zaciekawiony wszedł do pokoju głębiej, zamykając za sobą drzwi.

– Zostaw otwarte, zamknięte dają więcej cienia.

– Mówiłeś, że tutaj to nie ma znaczenia.

– Ale tam ma – rzucił śmiertelnie poważnym spojrzeniem. – Nie wiesz kto właśnie zмага się po drugiej stronie, zmuszony poruszać się z dala od czarnych punktów. Niech mają ich mniej.

Staruszek nacisnął przycisk, a łóżko opieszale podciągnęło się do pół siadu. Taylor odniósł wrażenie, że czekał wieczność zanim starszy pan się wyprostował.

– Widziałem cię na korytarzu. Wiem, że widzisz tych po drugiej stronie, to jest Penumbra, w dosłownym znaczeniu strefa półcienia. Pene po łacinie znaczy „prawie” lub „niemalże” ale przyjęło się jako półcień czy strefa pół cienia. Istnieje również jako Antumbra, czyli przedcień, coś co znajduje się na granicy.

– Wybacz, dziadku, ale... – zawahał się – po prostu ciężko mi uwierzyć w te słowa. Penumbra, Antumbra?

– To nie jest łatwe do przyswojenia. Ale sam jeden wiesz, z czym się mierzysz.

– Po prostu trudno mi...

– Zaakceptować ten fakt – dokończył starszy mężczyzna. – Zасыpiając i budząc się w krwistym miejscu trafiasz do Umbry. Lecz, gdy widzisz ich tutaj, urywkami i momentami jak duchy, to nazywa się Penumbra, czyli punkt, w którym nasze światy przenikają się delikatnie. Domyślam się, że wiesz o srebrnej nici i konsekwencjach jej zerwania?

– Dlaczego mi to mówisz? – spojrzał na niego podejrzenie.

– Bo moje dni są policzone, a gdyby ktoś podzielił się ze mną tą wiedzą, gdy byłem w twoim wieku, podejmowałbym zupełnie inne decyzje – kaszlnął. – Nie powinno cię tu być, nie z takimi możliwościami. Szpital to złe miejsce dla kogoś, kto jest dla nich widoczny.

– Widoczny?

– Jeżeli ty możesz widzieć ich, to oni widzą ciebie. A wtedy przestaje być zabawnie.

– Nie mogę opuścić szpitala.

– Jak to?

– Mam tu zadanie do wykonania.

– Rodzina?

Przytaknął.

– Miał wypadek, teraz nie może się obudzić – dokończył chłopak.

– I obaj wiemy, dlaczego.

Na chwilę zapadła cisza. Uniósł wzrok.

– Dużo o tym wiesz – podjął. – Kim właściwie jesteś?

– Starcem, który przeżył zbyt wiele. Wiem o tym wszystkim, bo spacerowałem tam, gdzie ty. I potrafię rozpoznać podróżnika. A teraz idź spać i znajdź swojego brata, zanim będzie za późno.

– Taki jest plan. – Wstał z krzesła. – Dobrze wiedzieć, że nie jestem w tym sam, choć nikomu tego nie życzę. Ostatnio pierwszy raz spotkałem podróżnika albo tak mi się przynajmniej wydawało. Młodą kobietę, w czarnych włosach...

– I białej sukni!? – Dziadkiem, aż szarpnęło. – Kiedy?

– Dwa dni temu. Potem na przystanku po tej stronie.

Staruszek zamilkł, oczami wydawał się być nieobecny.

– Co?

– Nic. Pamiętaj, powiedziałem ci o tym nie dlatego, abyś patrzył na to inaczej, tylko podszedł do sprawy inaczej. Tak jak ja powinienem.

Wychodząc, chłopak stanął pod drzwiami i odwrócił się.

– Mam na imię Noah – dodał jeszcze starzec.

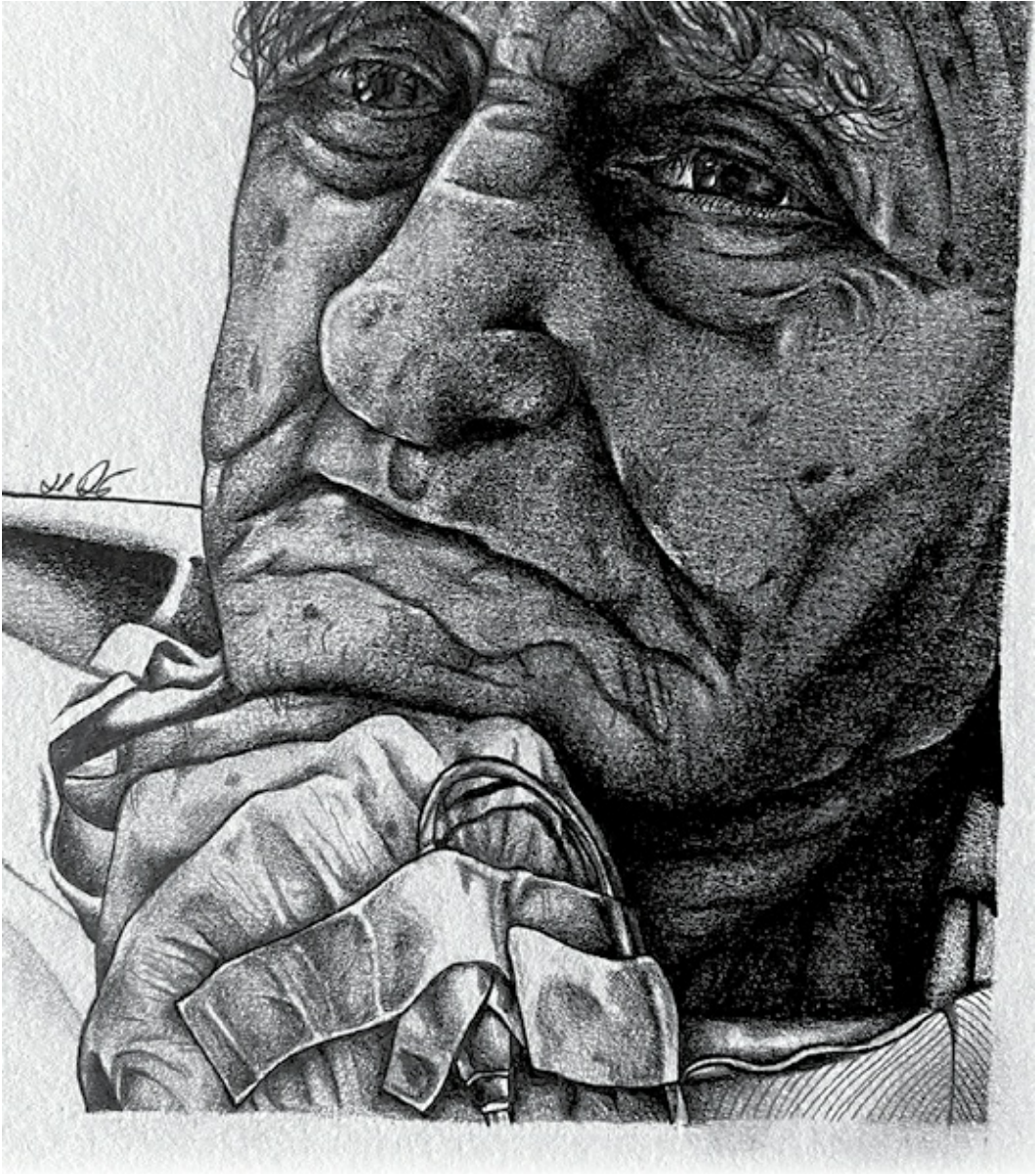
– Taylor.

Odpowiedział patrząc na cień stojący w rogu, bacznie przyglądający się starszemu panu. To jest Preumbra, tak? – rozmyślał.

– Miło mi cię poznać Taylor.

Noah odparł z uśmiechem, a chłopak wrócił do swoich trzech krzeseł w poczekalni i rozłożył się na nich możliwie najwygodniej. Słysząc było tylko niewielki rumor garstki ludzi, ostre, białe światło szpitalne przebijało przez zamknięte powieki. Podłożył kurtkę pod głowę i zamknął oczy.

Zasnął.



\* \* \*

Słyszał głucho krzyki, szum i wiele głosów, które stawały się coraz głośniejsze. Wtedy otworzył oczy i zobaczył, że leży w tym samym miejscu, w którym zasnął kilka godzin temu. Tłum ludzi dobijający się do recepcji hałasował na tyle, że go wybudził. Usiadł i przetarł oczy. Spojrzał na zegarek wiszący na ścianie. Była trzecia w nocy. Wstał i poszedł zobaczyć, co u braciszka. Jakże zdziwiła go obecność matki i lekarza w sali.

– Co się dzieje? – rzucił, wchodząc do środka.

– Witam, pan, jak dobrze pamiętam, jest...? – spytał doktor.

– Jego bratem.

– Może wiedzieć – wtrąciła.

– Co mogę wiedzieć? – Widział przestraszoną i bladą twarz matki.

– To była długa godzina dla pańskiego brata. Serce przestało pracować, ale po reanimacji udało się przywrócić funkcje życiowe. Nie jest to jednak do końca dobry omen. Od kilkunastu minut jego stan jest stabilny, ale tak jak wspominałem, pierwszy raz walczyliśmy z takim przypadkiem. Według naszych opinii już dawno powinien być w domu. Bóg wie, dlaczego tak się nie dzieje.

– To nie Bóg wie, co mu jest – powiedział i usiadł obok braciszka. Lekarz nie skomentował. Wyszedł z pokoju, zostawiając ich samych. Matka widziała, jak Taylor próbuje pogłaskać Maxa, ale dygocąca dłoń mu na to nie pozwalała.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Nie widać?

– Wybacz, ja po prostu nie mogę go stracić. – Usiadła z drugiej strony łóżka i złapała za wiotką dłoń. – Jest dla mnie całym światem, nie mam innego sensu życia, gdy go zabraknie.

Nie ma gorszych słów, które mogą wyjść z ust matki.

– Nie martw się, nie stracisz go.

– Nie możesz spać?

– Nie mogę. Nikt nie chce wydać mi moich leków, a bez nich nie zasnę. Udało mi się zorganizować jedną tabletkę kilka godzin temu, ale to za mało. Oni go nie wybudzą, ale ja tak. Jednak do tego potrzebuję spokojnego snu, niestety nie jest to możliwe w tym pierdolonym szpitalu.

– Jezu, a ty dalej o tym.

– On tam jest! – zdenerwował się.

– Przestań.

– Nie ma innego wyjścia. Jeżeli tego nie zrobię, to on...

– Przestań!

– Mamo, on umrze!

Gdy to wykrzyczał, skacząca czerwona linia na ekranie nagle stała się płaska, a w jej ślad poszedł głośny pisk. Taylor wybiegł na korytarz.

– Pomocy! On umiera!

Nieomal jak na zawołanie do sali wbiegł lekarz, a zaraz za nim kolejni. Z miejsca nakazali wyjść rodzinie pacjenta, po czym zamknęli za nimi drzwi. Reanimacja trwała ponad dwadzieścia minut. Następnie lekarz, spocony i wyraźnie zmęczony, wyszedł z pokoju.

– Pani syn żyje i odpoczywa. Będziemy go obserwować, musimy być dobrej myśli.

– Co mu jest? – spytała drżącym głosem.

– To staramy się dowiedzieć.

Medyk wraz z personelem opuścili salę. Matka wzięła głęboki wdech.

– Tabletki będziesz miał do godziny. Jeżeli mnie okłamujesz albo kolejny raz próbujesz coś wymusić, zabiję cię. – Spojrzała na niego gniewnie, po czym pospiesznym krokiem wyszła ze szpitala.

Taylor wrócił przed recepcję. Dochodził ranek. Matka, jak obiecała tak zrobiła – dostarczyła mu lek. Zerknął na datę ważności. Nie były przeterminowane. Chciał zapytać skąd je wzięła, ale nie zrobił tego. Zażył dwie od razu, a resztę schował do kieszeni i oparł się o krzesło. Bardzo szybko poczuł się lepiej. Był spokojny.

Mógł działać. Nareszcie. Nie czekając dłużej, przeniósł się w najcichszy kąt poczekalni, położył się i przykrył kocem.

Idę po ciebie, pomyślał.

Zasnął.

\* \* \*

Otworzył powoli oczy.

Dostrzegł szare światło. Usiadł przezornie. Był sam. Poczekalnia wyglądała nieco inaczej. Atmosfera tam panująca różniła się od jakiegokolwiek znanego mu miejsca. Pojedyncze dźwięki otoczenia odbijały się cichym echem. Czuł się wybitnie nieswojo.

Podszedł do szklanych drzwi wejściowych, a te się rozsunęły i gęsta mgła zatańczyła w podmuchach wiatru. Na zewnątrz było znacznie ciemniej i bardziej ponuro niż pamiętał. W oddali nad miastem zauważył czarne niebo z czerwonymi pęknięciami, niczym ziemia w czasie suszy. Coś gruchnęło, rozległ się grzmot. Chwilę potem pojawił się rozbłysk. Niebo wyrzucało z siebie ciężki smolisty deszcz, z odległości przypominający mroczną zasłonę, sięgającą do samej ziemi. Zjawisko onieśmiewało swą potęgą. Monotonnie szumiące krople przypominały odgłos niespokojnego morza, błyskawica zawzięcie cięła sklepienie, zostawiając kolejne cienkie, krwiste pęknięcie. Czarny deszcz spływał po budynkach. Nie było wiatru, roślinność stała w bezruchu jak w zatrzymanym filmie i choć epicentrum tej niezrozumiałej anomalii było kilka kilometrów stąd, ledwo słyszał jej odgłosy. Kwasowość unosząca się w powietrzu paliła nozdrza, jakby ktoś zmieszał ocet z pieprzem i zalał nim miasto.

Nie miał czasu przyglądać się temu dłużej. Miał do wykonania ważne zadanie.

Wrócił do środka. Mijając recepcję przez ułamek sekundy zobaczył rozmawiającą z kimś recepcjonistkę. Zatrzymał się na chwilę, ale obraz zniknął, jakby wszystko mu się wydawało.

Ruszył ciemnym, pustym korytarzem, a szaro-białe światło oświetlało tunel w mroku jedynie punktowo, dzięki uchylonym drzwiom pokoi. Przez hol niesły się ludzkie głosy, jakaś kobieta krzyknęła, a inna zawtórowała piskliwym altem. Błądził po szpitalu, trochę bezmyślnie, wśród docierających zewsząd nawoływań, które pojawiały się w odstępach i sprawiały wrażenie, jakby docierały zza rogu.

Wszedł na klatkę schodową i skierował się na właściwe piętro. Gdy uchylił drzwi

oddziału, coś przemknęło w oddali. Znieruchomiał, wstrzymując oddech.

Pomału wyszedł na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Nasłuchiwał, ale wszędzie panowała cisza. Cokolwiek wcześniej widział, nie pojawiło się ponownie. Rozglądał się dookoła, przerażony, ale musiał przewyciężyć strach. Dla młodszego brata, którego pokój znajdował się za zakrętem.

Coś znowu poruszyło się w ciemności. Mimo iż był tu sam, czuł nieustającą obecność kogoś jeszcze. Z trudem przełknął ślinę, stres utrudniał mu kontrolowanie oddechu. Dostrzegł pielęgniarkę. Przeszła, jak gdyby nigdy nic, po czym zniknęła. Nie miał pojęcia, dlaczego widzi personel szpitala.

Wtedy też zobaczył jego.

Mały chłopiec. Czarne włosy opadały na oczy. Ubrany był w biały podkoszulek i dżinsy z naszytą pszczołą na lewym kolanie, wycerowaną po dziurze.

Doskonale wiedział, kto to jest.

– Max! – krzyknął, ale ledwo sam się zrozumiał, przez echo.

– Taylor? – usłyszał kilkukrotny pogłos.

Chłopczyk uśmiechnął się do niego, a w jego wilgotnych oczach zaświeciła isierka nadziei. Po chwili jednak posmutniał, a w miejsce smutku przyszło przerażenie. Taylor zauważył czarną rękę wychodzącą z cienia, pasmowy palec wołał go wabiąco. Braciszek jak zahipnotyzowany ulegał posłuszenie.

– Nie idź tam! Uciekaj!

Pobiegł desperacko na ratunek młodszemu bratu, krzyki jednak nic nie dawały. Wszystko było słychać jak w studni. Biegł, ile sił w nogach, wyciągając rękę do Maxa, ale nieznana siła nie pozwoliła mu go dotknąć. Czuł, że jego ciało waży o wiele więcej, jakby ktoś zarzucił mu na plecy kilkudziesięciokilogramowy worek. Padł na czworaka, nie przestając wołać.

– Posłuchaj mnie! Musisz uciekać, nie pozwól się dotknąć, błagam cię!

Widząc otumanionego braciszka zbliżającego się do cienia, czołgał się co tchu. Każdy ruch, każdy milimetr kosztował go wiele wysiłku, a jego stan gwałtownie się pogarszał. Nie miał siły nawet szeptać. Uniósł wzrok i zobaczył jak mroczna ręka wyciąga się wolno po chłopca. Rozbłysło białe światło, cała droga przez szpital w ułamku sekundy przeleciała mu przed oczami.

Ciemność.

Uderzył głową o płytki, obudził się na podłodze w poczekalni przepełnionej ludźmi.

– Co? Nie, nie, nie, nie...

Zobaczył stojącą nad nim matkę. To ona go obudziła. Wpadł w szal. Poderwał się i skoczył na nią, po czym złapał ją mocno za kurtkę.

– Coś ty, kurwa, zrobiła!? Miałem go! Był tuż przede mną! Czy masz pojęcie...

– On nie żyje!

Krzyknęła i przeszła w histeryczny płacz.



– Co? Nie. Przecież dopiero co... za szybko...

– Boże nie! Tylko nie mój synek...

Położyła głowę na kłacie chłopaka po czym zsunęła się na podłogę, wyjąc w głos.

Stał jak wryty, nie potrafiąc strawić wiadomości o utracie młodszego brata. Patrzył na mamę i nie rozumiał czemu nie idzie w jej ślady, czemu nie płacze. Czuł, jakby jego serce wyszło na wiór...

... i pękło jak kryształ, na miliony kawałków.

## Rozdział 4

### Kara

Stał z zaciśniętymi pięściami, patrząc jak personel zarzuca prześcieradło na ciało braciszka, by przewieźć go do kostnicy. Łzy strumieniami płynęły po policzkach, ale nie jego. Mama płakała rozpaczliwie, wtulona w swojego partnera. Taylor nieustannie czuł na sobie wwiercający się wzrok znieawidzonego faceta, który wydawał się być zainteresowany tylko nim.

Gdyby nie zgubił tabletek, gdyby zasnął wcześniej i sięgnął braciszka we śnie...  
Mały by żył...

Ale był martwy i to była jego wina. Pomimo wszystkich złych rzeczy jakie go spotkały, ta zrujnowała mu życie. To była jedyna okazja, by wszystko nie poszło na marne.

W pokoju nikt się nie odzywał. Pielęgniarze przygotowywali zwłoki do przetransportowania, odpinając aparaturę od zimnego ciała chłopca. Skóra poczęła już sinieć od braku krążenia. Taylor stał najdalej ze wszystkich zebranych. Smutek połykał go od środka, jakby wnętrze były duszone i pożerane przez węża. Pani Ania złapała go pod rękę i przytuliła do ramienia, nawet ona szlochała, on nadal nie. W drzwiach stanął staruszek, który opowiadał mu o Umbrze. Podpierał się o statyw od kroplówki, a patrząc na martwego chłopca, poruszał ustami, wypowiadając bezgłośnie słowa, których chłopak nie był w stanie usłyszeć, po czym odwrócił się i odszedł.

Łóżko ruszyło, zdało się jak kondukt, lecz zamiast zaprzęgnięty w konie był ciągnięty przez rosłych pielęgniarzy, którzy w swych białych kitlach wyglądali bardziej jak upiorne duchy porywające do swego świata ciało jego brata. Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego chcąc go pocieszyć, przetarła mokre policzki i poszła za nimi. Reszta ruszyła ku wyjściu z sali. Taylor chciał iść za nimi, ale Igor zaszedł mu drogę, kładąc mu rękę na piersi. Zrzucił ją z siebie, powstrzymując się od siarczystego komentarza.

– Będziesz teraz udawał chojraka? Zdasz sobie w ogóle sprawę, coś ty zrobił?

Chłopak stał bez słowa, czekał.

– Karmiłeś matkę bzdurnymi opowieściami o krainie duchów, z której wydobędziesz brata, i co? On nie żyje, a ty nadal tu stoisz. Przez ostatnie dwa dni żyła nadzieją, że jeszcze to wszystko wyprostujesz, że twoje bajki okażą się prawdą, że choć raz w swoim gównianym życiu zrobisz coś dobrze.

Chciał go ominąć, ale facet nie pozwolił mu na to.

– Jeszcze nie skończyliśmy.

Taylor spróbował jeszcze raz, ale z tym samym skutkiem. Igor odepchnął go, omal nie przewracając.

– Pamiętasz te wszystkie razy, kiedy przyciskałem cię kolanem do podłogi? Postaw się albo zaraz powtórzmy naszą zabawę.

Zacisnął pięści, wiedział, że jest już starszy; teraz nie poszłoby gnojowi tak łatwo. Targały nim emocje i choć o niczym teraz tak nie marzył, jak o obiciu mu twarzy, wiedział, że nie jest to ani odpowiednie miejsce ani czas. Odwrócił wzrok. Do pokoju weszła znajoma pielęgniarka.

– Idziecie?

– Ty powinieneś tam leżeć, nie on... – usłyszał jeszcze.

Facet wyszedł z pokoju omal nie taranując pani Ani w drzwiach i udał się w przeciwnym kierunku niż reszta.

– To partner twojej mamy? Igor? – spytała. – Niezłe ziółko.

– Nawet sobie nie wyobrażasz.

Widziała w jakim opłakanym stanie teraz był. Nie chciał tam iść, nie chciał mieć tego obrazu w głowie.

– Nie każ mi rzucać hasłami typu, „on chciałby, żebyś tam był” – powiedziała ze smutkiem w głosie pielęgniarka.

– Chciałem być tam wcześniej – rzucił pod nosem. – Ale nie byłem.

– Słucham?

– Nic ważnego, chodźmy.

Taylor razem z pielęgniarką dogonił pozostałych. Mijani ludzie zasłaniaли usta, nikt nic nie mówił, jedynym towarzyszącym odgłosem były monotonicznie skrzypiące kółka od łóżka, przemierzającego bezkres korytarza. Mrok przychodzi w różnych materiałach, u jednych to wspomnienia, u innych złamane serce, a u jeszcze innych konsekwencje złych decyzji. Ale śmierć najmłodszego członka rodziny jest największym mrokiem, jaki może spotkać człowieka.

Dotarli do prosektorium, gdzie kazali się im pożegnać. Matka przytuliła i ucałowała ukochanego synka po raz ostatni, Taylor złapał go za dłoń i coś wyszeptał. Personel zabrał ciało i wsunął w jedną z chłodni. W ciemnościach tunelu pojawiła się czarna ręka, tuż nad ciałem młodszego braciszka.

Już go nie dosięgnie, pomyślał. Nie tutaj.

Kiedy w życiu się układa, wyobrażamy sobie, że przydarzy nam się więcej przyjemnych rzeczy. To proste. Nie jest łatwo, gdy wszystko się wali. Zawsze, gdy nadchodzą złe czasy, warto wtedy myśleć o pozytywnej stronie tego, co może przynieść jutro... bo to jest najtrudniejsze.

Drzwi chłodni zamknęły się z hukiem.

Czas od zawsze płynie według własnych reguł, daje i bierze, kiedy chce, bez ostrzeżenia. Łaskawy i brutalny, hojny i bezlitosny. Wieczny. Nie odpowiada przed nikim, nie słucha nikogo, nieśmiertelny i żywy. Cały świat leży u jego stóp, wszystko toczy się wedle jego łaski, bądź niełaski. Potrafi uczynić chwilę wieczną, lub sprawić, by cały dzień minął jak za pstryknięciem palca. W tym wypadku był katem, który odciął kilka niezbędnych sekund, aby sięgnąć braciszka. Mówi się, że ludziom brakuje wielu rzeczy: uznania, miłości, szacunku, pieniędzy czy doświadczenia. On wiedział, jak nikt, że wszystkim brakuje... czasu.

Oparty o okno w pokoju trzysta trzy, stał i patrzył na wejście do szpitala. Padało. Bił się z myślami. Nie rozumiał, dlaczego widział żyjącego Maxa po tamtej stronie, podczas gdy matka wiedziała o jego śmierci już dobrych kilkanaście minut. Nie wiedział, czy w Umbrze czas płynie inaczej, ale znał kogoś, kto mógł wiedzieć, jak brzmi odpowiedź na to pytanie.

Spojrzał na mamę, która siedziała skulona w fotelu i przeglądała zdjęcia syna w telefonie. Minął ją bez słowa. Na zewnątrz stała pani Ania, oparta o ścianę. Czekwała na niego, ale on przeszedł obok, nie zwracając na nią uwagi.

Staął w drzwiach dobrze już znanej mu sali i zapytał wprost:

– Czy bieg czasu różni się pomiędzy tym, a tamtym światem?

Noah wolno uniósł głowę i kaszlnął.

– Dziękuję, czuję się świetnie. Miło, że pytasz.

Wskazał krzesło. Taylor usiadł obok jego łóżka.

– Nie zdążyłeś – stwierdził, wycierając nos zużytą chusteczką. – Co się stało?

– Przeszukałem pusty szpital i trafiłem w końcu na piętro. Tam spotkałem brata. Biegłem co sił, jednak byłem zbyt ciężki. Ciężko wabił go do siebie. Mogłem go uratować, ale matka wybudziła mnie mówiąc, że nie żyje, a przecież widziałem go sekundę wcześniej. Co to znaczy?

Starzec wziął do ręki panel sterujący i nacisnął przycisk.

– Mogłem...

– Poczekaj – przerwał mu, dając znak, że nie jest to dogodna pozycja do rozmowy.

Skrzyżował ręce czekając, aż łóżko przybierze postać fotela.

– Już – powiedział Noah, uśmiechając się.

– To bez sensu. – Taylor wstał i poszedł w kierunku drzwi.

– Nie spotkałeś swojego brata, chłopcze.

– Co?

– Czas rzeczywiście płynie tam inaczej, ale nikt nie wie jak. Czas jest własnym panem, możemy jedynie liczyć, aby był dla nas łaskawy. Najprawdopodobniej twój brat nie żyje, skoro widziałeś jego zwłoki, przykro mi.

– Ale ja go widziałem, stał kilka metrów przede mną. – Miał coraz bardziej zacisnięte gardło.

– Widziałeś wspomnienie po nim. Może był w tym miejscu wcześniej, a ten cień, który go sięgnął, był powodem jego śmierci. Ale nie mogłeś go zobaczyć, bo twój brat był w Umbrze, a ty tam nie dotarłeś.

– Nie rozumiem.

– Są dwie możliwości. Albo miałaś sen, że jesteś po drugiej stronie, albo dotarłeś tylko do Penumbry, czyli do miejsca, z którego widać materialny świat, jak i na odwrót, ale bardzo często jest zwodniczy i ułudny. Jedno jest pewne, nie spotkałeś swojego brata.

Taylor dostrzegł dym unoszący się spod łóżka. Poblądł.

– Co z tobą? – Starzec zazgrzytał zębami. – Mówiłem ci już, że oni zawsze są przy mnie. Nic ci nie zrobią, nie tutaj, możesz się rozluźnić. Penumbra to ten świat „prawie”, świat, który przenika przez sen, jednak nie w pełni, co znaczy, iż to, co ukazuje, może być nie do końca prawdziwe, bo nie wiadomo jak duża część faktycznie przeniknęła. Tak jak twój brat... a raczej jego wspomnienia czy emocje.

– Nie, mój brat był prawdziwy.

– Nie, nie był.

– I ty to wiesz? Nie było cię tam.

– Wystarczą mi twoje słowa. Chłopcze, to jest szpital, gdybyś wszedł do Umbry, jak twierdzisz, zauważyłbyś te tłumy w korytarzu. Codziennie umiera tu kilkanaście osób. Ich duchy nie zawsze trafiają tam, gdzie powinny. I nigdy stąd nie odchodzą.

Nie skomentował.

– Nierozwiązana sprawa nie pozwala ci przejść tej granicy, za bardzo zależy ci na jej zamknięciu albo po prostu nie potrafisz pogodzić się z jej przebiegiem. Musisz umieć sobie wybaczyć, inaczej utkwisz w Umbrze i zostaniesz duchem.

– To znaczy, że nadal jest szansa? – Niespokojnym krokiem zaczął krążyć po pokoju. – On wciąż może gdzieś tu być.

– Twój brat musiał za bardzo się oddalić. Srebrna nić została przerwana, ciało zerwało połączenie z duszą i zmarło. Jego duch żyje, ciało nie, przykra śmierć, bez możliwości wyzwolenia się z tego przeklętego miejsca, skazany na Umbrę po wieki.

Noah poprawił się, siadając wygodniej, wyżej. Taylor patrzył na niego podejrzliwie.

– Jest też druga opcja. Taka, że lekarze nie potrafili wybudzić twojego brata ze śpiączki, zginął przez wypadek i nigdy go w Umbrze nie było, a ty błędzisz po drugiej stronie szpitala bez powodu. – Zakaszłał. – Tak czy inaczej twój brat nie żyje i z tego powodu jest mi przykro.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

– Srebrna nić opada na podłogę przez niecałą dobę naszego czasu. Jeżeli zdołasz odnaleźć i ją i brata, być może zdoła jeszcze wrócić do ciała. Jest to jednak bardziej sfera przypuszczeń i domysłów niż coś, co komukolwiek udało się w praktyce. Co prawda można znaleźć wzmianki o czymś takim w najstarszych księgach, ale nikt nigdy nie rozwinął tego pomysłu. Dlatego jest to uznane za wymysł.

Taylor zamyślił się. Układał sobie w głowie teorie, jakie przed chwilą usłyszał od staruszka, po czym odwrócił się i bez słowa skierował do wyjścia.

– Powodzenia.

Zawahał się przy drzwiach, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, ale ostatecznie zrezygnował. Idąc korytarzem miał dziwne wrażenie, że wszystkie te historie o Umbrze i Penumbrze, które opowiadał mu Noah już kiedyś słyszał. Z powodu ilości narkotyków, jakie mu podawano w szpitalu psychiatrycznym, nie pamiętał wszystkiego, a to, co z nim zostało było rozmyte i zamazane. Niemniej jednak te światy wydawały mu się znajome.

Przed pokojem Maxa nie było już pani Ani. Głupio się czuł, że tak ją potraktował. Wszedł do środka i zobaczył matkę wraz ze swoim wściekłym chłopakiem. Patrzyli na niego wrogo.

– Co? Nie przywitasz się? – Igor rzucił uszczypliwie.

Taylor nie zareagował. Przeszedł obok i sięgnął po swoją torbę leżącą pod oknem. Gdy się odwrócił, mężczyzna stał tuż przed nim.

– A ty, dokąd się wybierasz? Znowu uciekasz? A może na drugą stronę? Czy już trzecią? Gdzie!?

Taylor wychylił się, zerkając na matkę. Wyglądała na nieobecna.

– Czemu patrzysz na nią? Co chcesz jeszcze zrujnować? Obiecać? Daleś jej nadzieję, karmiąc bajkami o duchach. Te brednie ją wykończyły. Nie pożegnała się z nim przez ciebie...

Chłopak zdzielił Igora pięścią w twarz, a ten ledwo zrobił krok w tył, po czym oddał, powalając Taylora na plecy.

– Tak chcesz się bawić!?

Taylor wstał i wściekły rzucił się na niego. Zwarci w walce wpadli wprost pod nogi przechodzącego pielęgniarza, który ze strachu upuścił trzymaną w rękę dokumentację, a jej kartki powirowały w tańcu po korytarzu. Ochrona szpitala błyskawicznie rzuciła się na pomoc i zaczęła ich odciągać od siebie. Gdy już to się udało, Igor spojrzął na ochroniarzy, którzy go puścili, otrząpał ramiona, objął matkę wokół szyi i poszli w stronę wind.

– Ty też się zbieraj – parsknął zdenerwowany ochroniarz.

– Ja się tylko broniłem!

– Nie obchodzi mnie to – rzucił – zabierz swoje rzeczy i opuść budynek, mam już dość akcji z tobą, odkąd się pojawiłeś stwarzasz same problemy. Masz dwie minuty na opuszczenie terenu placówki.

\* \* \*

Nie mógł wrócić do szpitala, ale dla niego sprawa nie była jeszcze skończona. Za wszelką cenę musi dowiedzieć się prawdy o bracie, a do tego potrzebował znaleźć się w jego pokoju po drugiej stronie – było to jedyne miejsce, skąd mógł rozpocząć

poszukiwania ducha Maxa. Tylko jak? – zadał sobie pytanie. Poprawił włosy i zażył kolejną kapsułkę, po czym sięgnął do kurtki po papierosy, odpalił jednego, wypuścił dym z ust i spojrział w górę, na czyste niebo pełne gwiazd, rozsypanych przypadkowo niczym garść złotych monet.

Przyjemną chwilę zapomnienia zburzył pisk opon i ryk silnika. Znajomy spod apteki Mustang przejechał obok szpitala z nadmierną prędkością i w driftowym poślizgu skręcił w stronę stacji benzynowej. Taylor popędził w tamtą stronę, a kiedy znalazł się na miejscu, spojrzenia obu napotkały się.

– Masz jakiś problem!? – krzyknął mężczyzna i potrząsnął nadgarstkiem.

Taylor czuł się lepiej, wyprostował się łapiąc oddech.

– A niech mnie, to ty! – Dryblas zaśmiał się i zrobił kilka kroków w jego stronę, poprawiając pasek z dużą klamrą. – Zabłądziłeś!? Apteka jest dalej, mógłbym cię podwieźć, ale tego nie zrobię. Frajer!

Parsknął śmiechem i zaczął wracać do auta. Taylor zamierzał go sprowokować.

– Zawsze miałeś spóźniony refleks, grubasie!?

– Że co?

Chciał nawiązać do testu ciężowego, po który tamten był w aptece, ale sytuacja mocno go stresowała. Całe życie unikał takich akcji, a teraz był jej prowodyrem. Piękniś szedł do niego szybkim krokiem.

– Coś ty powiedział?

Pchnął go, po chwili jeszcze raz, spychając Taylora w tył. Zezłościł się, ale po oczach było widać, że do osiągnięcia szczytu furii, dużo brakowało.

– No dalej!

Taylor wystawił mu środkowy palec tuż przed twarz.

– To jakaś żenada. Jak chcesz na siłę szukać guza, to rozpędź się na ten słup, psycholu.

Chłopak wiedział, że nie ma innego wyjścia i ruszył, zaatakował bez ostrzeżenia. Rąbnął przeciwnika zamasyście w szczękę. Po chwili zgiął się w pół i złapał za cholernie bolącą pięść. Kurwa! – pomyślał w niemożliwym do opisania bólu. Uniósł wzrok na dryblasa i już nie było wątpliwości, o taki wyraz oczu mu chodziło.

– Sam się o to prosiłeś!

Wielkolud grzmotnął go w twarz. Chlapnęła krew. Chłopakowi zapiszczało w głowie. Padł na asfalt. Wiedział jednak, że to za mało. Jakoś udało mu się podnieść i unieść ręce do dalszej walki. Wziął zamach, ale przeciwnik był, rzecz jasna, szybszy. Kolejny cios, a potem następny. Znowu trysnęła krew, nie mógł nabrać powietrza, a oko niknęło mu w opuchliznie.

– Niezły z ciebie pojeb – skomentował mężczyzna.

Wciąż mało, pomyślał Taylor. Uniósł kamyk leżący obok i cisnął nim w Mustanga. Na masce powstał odprysk.

Mężczyzna wpadł w szal.

– Ty skurwysynu! Teraz przegiąłeś.

Kopał go z całej siły, skakał po ciele z zamiarem zrobienia porządnej krzywdy. Taylor zwinął się w kłębek i dalej przyjmował ciosy. Pracownik stacji wybiegł mu na ratunek. Atakujący na jego widok wskoczył do wozu i odjechał z piskiem opon.

Teraz jest dobrze, będą mnie musieli zostawić w szpitalu na obserwacji, pomyślał Taylor.

– Młody? Młody! Żyjesz!?! – krzyknął pracownik. – Potrzebujesz pomocy!?

– Szpital – wyszeptał dławiąc się krwią. – Muszę do szpitala.

Nieznajomy osobiście zawiózł go na SOR. Bolało go całe ciało. Położyli go na noszach i przez pewien czas leżał na nich, walcząc z niewygodą. Był wycieńczony.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Zrobiło się ciszej, słyszał już tylko swój oddech, a ból odpływał niczym statek na horyzoncie. Mimo iż było to miłe uczucie, wiedział, że coś jest nie tak. Otworzył oczy, ostre pomarańczowe światło wdzierало się do środka pomieszczenia. Był po drugiej stronie, nie miał ku temu wątpliwości. Podniósł się i dotknął swojej twarzy. Nie tylko ból zniknął, ale również opuchlizna, gdyż urazy cielesne nie są transferowane na kondycję duchową.

Miejsce różniło się sporo od ostatniego razu. Spękane ściany, podłogi porośnięte dziwnymi, zachowującym się jak wijące węże drutami. Szpital robił wrażenie bardzo starego. Powietrze było gęstsze, choć wciąż śmierdziało octem i padliną. Spojrzał w prawo. W oddali zamajaczyły ludzkie sylwetki. Pięć. Trzy z nich klęczały pod ścianą, dwie stały w bezruchu. Słyszał ich ciężkie oddechy, jakby kolejny wdech miał być ostatnim. Nie wykonywali żadnych ruchów, patrzyli na niego jak stado wygłodniałych hien, przygarbieni i skupieni, czekający na rozkaz, by zabić. Poza kobietą, którą widział z mostu, byli to pierwsi ludzie, jakich spotkał w Umbrze.

Idąc w przeciwnym kierunku, rzucił im ostatnie spojrzenie. Pobiegł korytarzem w lewo, cienie omijał jak tylko to było możliwe. Głosy, szepty oraz krzyki nie zniknęły. Dotarł schodami na piętro i tam wyszedł na korytarz. Panowało tu o wiele więcej mroku, niż przypuszczał. Szedł wolno, ostrożnie. Jak dotąd nie było śladu kreatur, jedynie dymiące, czarne punkty.

Kilka metrów przed sobą dostrzegł zarys postaci, snujący się po podłodze korytarza. Plecami doskoczył do ściany, stracił kontrolę nad oddechem. Obecność tyłu duchów, była przytłaczająca i niemal paraliżująca. Docisnął usta do zgięcia w łokciu, aby uciszyć swój oddech. Liczył na to, że nikt go nie usłyszy. Nie mógł przewidzieć, jak potraktują go tu duchy.

Doszedł do skrzyżowania i spojrzał w korytarz po prawej. Zobaczył maszerujące czyjeś ciemne odbicie na posadzce, lecz jego właściciela nie było, jakby zapadł się pod ziemię. Jak rażony prądem odskoczył, gdy zauważył leżącą na podłodze rękę, wystającą z za winkla. Nie ruszała się, układem palców przypominała martwego



pająka. Poprawił włosy, które opadły mu na twarz i wolnym krokiem ruszył w kierunku kończyny. Za rogiem, pod ścianą leżała naga kobieta w podeszłym wieku z wyciągniętą ręką. Miała kręcone popielate włosy, przesadny makijaż z niebieskimi cieniami, a oczy patrzyły ślepo w dal. Była przytomna, mrugała w długich odstępach. Spod zwisających na boki rozciągniętych piersi, wyłoniła się długa, zygzakowata, świeża blizna, szpecąca brzuch. Kobieta od pasa w dół była wchłonięta w cień, nie było widać nóg. Zauważył jak ciało lekko się dosunęło w stronę czarnej plamy, cień połykał ją wolno jak wąż.

Minął kobietę i poszedł dalej. Od wyznaczonego celu dzielił go jeden mroczny segment, dzielący korytarz. Zbierał w sobie odwagę, aby przebiec przez czarną plamę z nadzieją, że to zwykły cień, ale wtedy dostrzegł dobrze mu znane, czarne, długie palce, które wolno zadrapały ścianę. Tędy nie przejdzie, to było pewne. Spojrzał na mapę budynku, wiszącą na ścianie. Zauważył, iż równoległym korytarzem może dostać się na drugą stronę. Nie tracąc czasu, zawrócił i pobiegł w przeciwną stronę.

Dotarł ponownie do skrzyżowania i skręcił, tym razem w prawo. Po drodze natknął się na rzekę duchów w zaułku, stłoczonych obok siebie na odległość szpilki. Inne duchy rozsypane przypadkowo po całym obszarze, skierowane były we wszystkie strony świata, każdy z nich zgarbiony z rękoma wiszącymi luźno, wpatrzony w podłogę. Nucili coś zgodnie, w takt tej samej melodii, jakby się modlili. Nie rozumiał co mamrotały, gdyż robiły to zbyt cicho.

W gąszczu dusz dostrzegł jakiś ruch. Jedna z postaci uniosła głowę, łapiąc z nim kontakt wzrokowy. To był łysy mężczyzna, który przyglądał mu się zimnymi oczyma. Stał daleko. Reszta nie poszła w jego ślady, nadal wgapiała się w podłogę. Taylor otrząsnął się i ruszył dalej. W odbiciu lustrzanym budynku było więcej światła, niż przypuszczał, bez problemu pokonywał kolejne metry. Zwolnił, gdy usłyszał śpiew kobiety. Był cichy, delikatny i bardzo przyjemny, w tym wymiarze, aż przeraźliwy. Kołysanka, którą kojarzył, lecz nie pamiętał słów. Serce stanęło mu w gardle. Wyszedł zza rogu i dostrzegł kobietę w białej, długiej koszuli nocnej w czarne grochy. Siedziała na prawym poślasku ze zgiętymi nogami do boku. W ramionach tuliła noworodka. Włosy opadały jej na twarz.

Spojrzał za siebie i w oddali dostrzegł dwie osoby zwinięte w kłębek i dygocące przy ścianach. Bały się tej kobiety. Taylor zrobił krok w jej stronę. Nadal nuciła kołysankę.

– Przepraszam – wyszeptał. – Szukam swojego młodszego brata.

Nie zareagowała. Wciąż lulała swoje dzieciątko do snu, w oranżowym świetle padającym zza okien. Nie widział żadnych srebrnych nici, za to w piosence padało imię Martha. Zbliżał się do niej wolno, obserwując wszystko dookoła. Kobieta nie ustawała w swoim śpiewie, głaskała maleństwo po główce. Gdy skrócił dystans, nagle nienaturalnie szybko odwróciła głowę, spoglądając wprost na niego wystającym spod czarnych włosów, zgnitym, wściekłym okiem. Śpiew się urwał, na jej białej szacie w okolicach brzucha rozkwitła czerwona plama. Patrzyła na Taylora wściekła, ale nie odezwała się słowem. Gdy plama pokryła koszulę, aż po sam dół, krew rozlała się po

podłódze w tempie tak szybkim, że zalała buty Taylora. Ten w panice przewrócił się na plecy, a posoka objęła całą posadzkę.

Wrzasnął z całych sił.

\* \* \*

Zerwał się ze snu z krzykiem, ale gąszcz zdziwionych spojrzeń nie robił już na nim wrażenia. Usiadł prosto, ale ból przypomniał mu szybko, że wrócił do świata materialnego. Poczłł posmak krwi w ustach i jednym sprawnym okiem zobaczył zbliżającego się pracownika stacji.

– Stary, wszystko w porządku? – spytał tamten i podał mu kubek z wodą.

Zrobił kilka łyków i poczuł się trochę lepiej.

– Za chwilę cię przyjmą, dasz sobie radę sam? Chciałbym wrócić do pracy. Niedawno zacząłem, nie chcę tak samo prędko skończyć.

Taylor z bólem przełknął wodę i skinął z wdzięcznością głową.

– Co za dupek, co? Rzucać się na słabszego. Zawiadomiłem policję, nie ujdzie mu to na sucho.

Uśmiechnął się sztucznie.

– No dobra, w takim razie będę leciał. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Podali sobie ręce, facet wyszedł ze szpitala, a pielęgniarka podeszła do rannego.

– Proszę za mną.

Wstał z trudem i podążył za nią. Ludzie siedzący w poczekalni byli tak samo przytuleni do ścian, jak ci w Umbrze, wiele się nie różnili. Widząc pobitego, zalanego krwią, pokrytego tatuażami, chudego chłopaka z czarnymi, długimi włosami i czarnej kurtce z dużą złotą koroną na plecach, sprawiało, że ich wzrok był równie paskudny jak duchów po drugiej stronie.

Wszedł do rozjaśnionego pokoju i usiadł na krześle przed skąpym biurkiem.

– Proszę chwilę zaczekać, lekarz zaraz przyjdzie.

Pielęgniarka wyszła. Taylor oparł łokcie o kolana i zastanawiał się co to wszystko miało znaczyć – dlaczego został wybudzony, skoro nie było żadnej interakcji z nikim z tej strony, ani on nie wymusił wybudzenia ze świata cieni.

Do pokoju wszedł lekarz.

– Dzień dobry wieczór, panu.

Kolejny komik, pomyślał chłopak i poprawił się na krześle.

– Co my tu mamy? Pobicie? No dobra, zobaczymy. Co się stało? – Medyk zaczął mu się przyglądać.

– Zostałem zaatakowany.

– Znał go pan? To małe miasteczko, z reguły takie rzeczy nie zdarzają się bez powodu. Zaszedłeś komuś za skórę?

– Byłem w złym miejscu, o złej porze.

– Jasne. – Lekarz jakoś w to nie uwierzył. – Czyli zaatakował cię ot tak?

– A co, pan z policji? – warknął Taylor.

– Nie, po prostu bardzo często temat pobicia idzie w parze z tym, jak poważne są urazy. W pana przypadku faktycznie mógł to być przypadek. Poza kilkoma siniakami i zadrapaniami, nic panu nie jest. Dla pewności wypiszę skierowanie na prześwietlenie, ale według mojej oceny jest pan gotów wrócić do domu. – Usiadł przed komputerem. – Zapiszę panu leki przeciwbólowe, a za dwa tygodnie nie będzie pan o tym pamiętał. Albo miał pan szczęście, albo napastnikowi nie zależało na zrobieniu panu krzywdy.

– Mnie bardzo boli, panie doktorze, myślę, że powinienem zostać na obserwacji.

– Nie ma potrzeby, nic panu nie jest, proszę się nie martwić. Nie ma nawet złamania.

– Nie wie pan tego. Myślę, że lepiej...

– Wiem, dużo tego widziałem, ale dla pana spokoju zrobimy prześwietlenie.

Uśmiechnął się i zajął papierami, wodząc palcami po klawiaturze jak profesjonalny pisarz. Pacjent usiadł prosto i spytał:

– Może to pytanie nie na miejscu, ale czy w tym szpitalu zmarł noworodek o imieniu Martha?

Dłonie lekarza nagle zamarły.

– Dlaczego pan pyta? – podniósł wzrok.

– Coś tam słyszałem. Woląłem się upewnić u źródła, zamiast słuchać plotek na mieście.

Doktor zdjął okulary i przetarł oczy.

– I mądrze, plotki to najgorsze z możliwych źródeł informacji. – Oparł się o krzesło. – Mieliśmy taki przypadek w szpitalu. W środku nocy przyjechała młoda matka, której odeszły wody, problem polegał na tym, że była pod wpływem narkotyków. Oczywiście przyjeśliśmy ją i robiliśmy wszystko, aby poród przebiegł prawidłowo, sugerując się danymi, jakie podała. Znacząco konkretnie brała i w jakich ilościach. Mimo to stała się tragedia, dziecko zmarło, a kilka minut później również ona. Nie znaleźliśmy tożsamości ciężarnej, ale wiemy, że dziecko miało nosić imię Martha.

– Okropne. Czy kobieta miała ciemne, długie włosy i...

– Białą, długą koszulę nocną w grochy – dokończył za niego. – Skąd pan o tym wie? Znał ją pan?

– Słyszałem plotki – zająknął się.

– To nie był nikt znajomy? Albo ktoś z pana rodziny? Jeśli tak...

– Nie. Nie znałem jej.

Lekarz przełknął ślinę, po czym niemrawo skinął głową.

– Rozumiem – mruknął po dłuższej chwili, jakby wyrwany z jakiegoś transu. – Proszę teraz iść do domu, nic panu nie jest.

– A prześwietlenie?

– Tak, jeszcze to. Proszę – wręczył mu skierowanie. – Uda się pan korytarz dalej. Kilka minut później Taylor stał oparty o framugę drzwi sali starego mężczyzny.

– Co wiesz o martwym dziecku imieniem Martha?

Widząc go, Noah zerwał się na łokcie z przestraszonym wyrazem twarzy.

– Chłopcze, czy to ty?

– A kto?

Staruszek rozluźnił się, oddychając z ulgą i otarł chusteczką spocone czoło.

– O co chodzi?

– Tym razem dostałeś się do Umbry właściwie. Widząc twój stan, myślałem, że zły duch zamieszkał w twoim ciele, kiedy ty szukałeś brata. Musisz na nich uważać. Jeżeli tylko znajdą puste ciało, nie zawahają się w nie wejść, wtedy to nie ty obudzisz się po tej stronie. Ile historii słyszałeś o porządnym mężczyźnie z dobrą pracą, domem, rodziną i kulturą osobistą, który pewnej nocy nagle wymordował wszystkich swoich najbliższych, a potem odebrał sobie życie? Media podają potem, że to czubek, że zwariował i tak dalej. Ale w większości przypadków prawda wygląda inaczej. W taką osobę bardzo często wchodzi zły duch. Ona sama zaś opuszcza ciało... Wiem, jak to brzmi, ale to właśnie on zazwyczaj jest odpowiedzialny za wspomniane mordy. Taka osoba ma czarne jak mrok oczy i dymi tym samym dymem co cienie, ale widzi je tylko inny podróżnik. Tak czy inaczej, w Umbrze nie dostałeś wpierdolu, więc co się stało?

– Cóż za słownictwo – skomentował Taylor, po czym zamknął za sobą drzwi. – Czy to nie ciebie przypadkiem opętał zły duch? Nic mi nie jest.

– Mówiłem ci o drzwiach! – staruszek nieomal wrzasnął, a chłopak pośpiesznie na powrót je otworzył.

– Zapomniałem.

– To nie zapominaj! Nie masz pojęcia jakie to ważne!

– Już dobrze. Będę pamiętał. Powiedz mi lepiej, dlaczego widziałem martwą matkę z dzieckiem? Czemu wyganiają mnie z Umbry? Jak się przed tym bronić?

– Pojawiała ci się? Nie robi tego często. Co widziałeś? – Noah wyglądał na mocno przejętego.

– Ją, tulącą córeczkę. Krew z jej brzucha zalała podłogę, wtedy się obudziłem.

– Świat cienia kreuje się emocjami, przepływa nimi wchłaniając je z naszego świata jak gąbka. Ból straty jedyne dziecko, które tak mocno kochała i doczekać się nie mogła, był tak głęboki, że teraz nie tylko może wyrzucić cię siłą z Umbry, ale zrobić coś o wiele gorszego. Omijaj ją, o ile to tylko możliwe, bo wierz mi, ale tego ducha boją się nawet cienie. Po co tam poszedłeś? To nie po drodze.

– Bo drogę do mojego celu zasłaniał mrok, nie mogłem go obejść.

– Mogłeś.

– Jak?

– Zaklej, to ci powiem. – Starzec podał mu taśmę i wskazał na czujnik dymu.

Taylor wszedł na krzesło i zakleił detektor. Senior wyciągnął fajki ukryte pod materacem, lecz nie mógł ich odpalić, ręce zbyt się trzęsły. Chłopak zabrał zapalniczkę, podstawił mu ogień i gdy ten już odpalił papierosa odłożył ją na półce, na której leżały czerstwe kanapki z serem i pomidorem. Taylor zawiesił na nich wzrok.

– Jedz, ja nie chcę – wymamrotał Noah.

Taylor zaczął pochłaniać kanapki, jakby nie jadł od tygodnia.

– Głodny?

– Ja... bejs... eń? – spytał niewyraźnie, z pełną buzią.

– Nie udław się. Żeby obejść cień, bo rozumiem, że o to pytasz, musisz zabrać latarkę.

– Można tam przenosić przedmioty? Jakie?

– Jeżeli wyryjesz na przedmiocie symbol Umbry, jest wtedy duże prawdopodobieństwo, że gdy przejdiesz do tamtego świata, przedmiot podąży za tobą. – Narysował na kartce znak i wręczył go chłopakowi. – Spróbuj tego, nie jestem pewien czy zadziała, ale jest szansa.

– Dzięki.

– Idź już. Jestem zmęczony...

Taylor skinął głową, po czym ruszył w stronę wyjścia. Nagle dostrzegł kobietę. Miała czarne oczy, a jej ciało dymiło. Przeszła obok, idąc wzdłuż korytarza, z podłym wyrazem twarzy, jakby szła na ścięcie czyjejs głowy. Potem zniknęła.

Taylor z trudem przełknął ślinę. Zerknął na staruszkę. Ten był blady jak ściana.

## Rozdział 5

### Polowanie

– Ja pierdołę! – krzyknął Taylor, otwierając usta, zdziwiony do granic możliwości. – Widziałeś ją!? Czy ona...?

– Zamknij drzwi! – ryknął donośnie Noah. – I to już! Zamykaj!

Usłuchał i zamknął je po czym złapał się za głowę i od razu zaczął wyciągać tabletki.

– Jak to możliwe!? – spytał.

– Uspokój się! Muszę pomyśleć.

– Jak mam się uspokoić, kiedy płąta się tu opętana kobieta!? Wszyscy ludzie w tym szpitalu są w niebezpieczeństwie, ona może kogoś zabić. Musimy uprzedzić ochronę... – Połknął tabletkę. – Wymyśliłeś już coś?

– Jaki ty się nagle gadatliwy zrobiłeś.

– Czyżby? To ty masz zawsze coś mądrego do powiedzenia, więc słucham.

– Nie możemy powiadomić pracowników szpitala – rzucił dziadek stanowczo.

– Niby dlaczego?

– Bo ją zaczepią. Myślisz, że jak wtedy zareaguje?

Taylor uniósł brwi.

– Pomyśl, jeżeli coś się stanie, to zostanie przewieziona do aresztu. Miną dni zanim tutaj wróci, o ile w ogóle tak się stanie. Wtedy jej nie uratujemy.

– Czekaj, czekaj. – Taylor uniósł rękę i zrobił krok w tył. – Ty nie możesz chodzić, a ja, skoro wiem, jak wygląda, planuję unikać jej jak ognia, mam swój bajzel do ogarnięcia. Na mnie nie licz.

Taylor zerknął przez szybę, sprawdzając czy odeszła.

– Jest zdana na pewną śmierć, jeżeli jej nie pomożesz. Nikt w tym szpitalu nie wie, co tu się tak naprawdę dzieje. Poza nami dwoma.

Pokręcił przecząco głową.

– Zły duch przejmuje twoje wspomnienia i emocje. Jako pierwsi na cel trafią jej najbliżsi, a ostatnie co zobaczą przed śmiercią, to właśnie ją z dzikim uśmiechem satysfakcji, gdy będzie wbijać im nóż w bebechy. Oszczędź jej tego, oszczędź tego im.

W milczeniu usiadł i zaczął ugniatać dłonie.

– A gdyby to był twój brat? – ciągnął Noah.

– Nie mogę, nie dam rady. – Strach przeszywał go na wylot. – Przykro mi. – Znowu ruszył do drzwi. – Nie musiałem dzielić się z tobą moją wiedzą, jednak ty potrzebowałeś pomocy. Więc ci jej udzieliłem.

Taylor zamarł z dłonią na klamce. Odwrócił się po chwili i wytarł spoconą dłoń w spodnie.

– A co tobie tak na niej zależy? Powinieneś dbać o siebie.

– Dbałem. – Uśmiechnął się smutno. – Dlatego teraz leżę tu sam.

Chłopak stał bez słowa, trzymając ręce wzdłuż tułowia.

– Ona może się tu kręcić. Może zechcieć dobić twojego brata w celu pozyskania wolnego ciała. Mogą też chcieć zabić ciebie, abyś nie mógł go uratować. Jest tutaj z jakiegoś powodu, a naszym zadaniem jest ją powstrzymać.

– Naszym? – Odwrócił się, zaskoczony.

– Ja tu wiele nie wskóram, wiem. – Starszy mężczyzna wskazał na swoje chude ciało i kroplówkę.

– Przyjechałem tu ratować brata...

– Przy okazji mógłbyś uratować...

– Zrozum. – Przerwał i uniósł ręce do góry. – Nie mogę.

Otworzył drzwi.

– Pomyśl o tej kobiecie, której ciało skradziono! Już nigdy nie opuści tamtego miejsca, aż w końcu postrada rozum i sama stanie się cieniem, zapomni o rodzinie, o bliskich. Zacznie polować na takich, jak ty. Pomyśl, jakbyś się czuł, gdyby taki los spotkał twojego brata albo ciebie.

Zawiesił się, lecz po chwili ruszył dalej. Czuł wyrzuty sumienia, ale w głębi serca wiedział, że nieangażowanie się było dobrą decyzją, bezpieczną. Pokonując kolejne metry rozświetlonych korytarzy, przepelnionych pacjentami, chodzącymi w pośpiechu lekarzami i pielęgniarkami, zbierał myśli. Gwar i odgłosy aparatur zdawały się być jednocześnie chaotyczne, jak i spójne. Wszędobylski personel przyzwyczajony do nadgodzin i braku odpoczynku sprawiał, że pot czuć było w każdym centymetrze powietrza. Wszyscy poświęcali własne zdrowie dla innych, obcych im ludzi. Jedni robili to z poczucia powołania, inni z powodu przysięgi, jeszcze inni z racji charakteru, z chęci niesienia pomocy. Ten obraz dał mu sporo do myślenia, wzmagając poczucie winy. Była jednak zasadnicza różnica, pomiędzy nimi a nim. Oni pomagali, bo wiedzieli jak, byli przeszkoleni, posiadali potrzebną wiedzę i doświadczenie. On nie miał pojęcia od czego miałby zacząć. Zwłaszcza w tak opłakanym stanie, w jakim był teraz, ledwo łapiąc oddech i jednym sprawnym okiem.

Dotarł pod pracownię rentgenodiagnostyki i zobaczył sznur oczekujących pacjentów. Co najmniej kilka godzin czekania, pomyślał i spojrział na numerek. Przegapił swoją kolej.

– Kurwa – mruknął, zrezygnowany. Bezradność potęgowała niechęć do czegokolwiek. Nie było szans, aby wcisnąć się przed kogoś...

– Proszę wejść przede mną – usłyszał nagle.

Propozycja padła od starszej uśmiechniętej kobiety, czwartej w kolejce. Był jej bardzo wdzięczny. Uśmiechnął się i ruszył w jej stronę, ale wtedy jego wzrok padł na dziewczynę stojącą przed drzwiami z zapaloną lampką RTG. Dym rączo unosił się

z jej pleców.

Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, a serce zakołatało w przyspieszonym pulsie.

– Nie... – Stał na bezdechu z gardłem zaciśniętym przez strach, trzymając się mocno nadziei, że to tylko jego wyobraźnia, efekt uboczny leków. – Nie, dzięki. Jednak poczekam.

Stanął na końcu kolejki. Usiadł ostatni i wychylił się ostrożnie, spoglądając na kobietę, która nie zachowywała się jak człowiek. Stała w sporym rozkroku i czekała, a jej dłonie drżały. Widział, jak klatka piersiowa dygocze jej od agresywnego oddechu i jeszcze ten pierdolony dym. Czuł ściśnięty żołądek, zrobiło mu się słabo. Myślał o tym, co powiedział mu starzec. „Egzorcyzm”. Co miałby niby zrobić, przeczytać kilka stron Biblii i czart wyjdzie? Ona jest zagrożeniem dla całego otoczenia i tylko on o tym wiedział. Sumienie zaczynało o sobie przypominać walcząc z rozumem, który kazał siedzieć na dupie, bo ma do czynienia z mocami nadprzyrodzonymi, o których tak naprawdę nic nie wie.

Kinkiet z napisem RTG zgasł, drzwi się uchylily, wyszedł zza nich mężczyzna trzymający się za rękę. W głębi pomieszczenia stała drobna kobieta w podeszłym wieku, z notatkami w dłoni i fartuchu medycznym. Opętana zaczęła głośno charczeć, przykuwając uwagę lekarki, rozciągającej usta w sztucznym uśmiechu, z oczami zdradzającymi strach. Nie chciał na to patrzeć. Zamknął oczy. Lekarka za kilka sekund zostanie sama w ciemnym pokoju z upiorem, pomyślał. Ona tam umrze, a jej krew będzie na moich rękach.

Opętana zrobiła krok.

– HEJ! – wrzasnął, wstając z miejsca. Nastąpiła cisza, każdy wzrok był skierowany na niego, a on ze wszystkich sił zbierał się do podniesienia głowy. Zrobił to wolno, z zaciśniętymi mocno pięściami. Dymiąca się kobieta, mimo iż wciąż stała tyłem do niego, głowę miała odwróconą twarzą w jego kierunku, jak sowa. Jej czarne oczy płonęły hipnotyzująco brudną, smolistą barwą, a minę miała wykrzywioną wstrętnym grymasem. Jej dym ciągnął się w górę i rozchodził po suficie. Zrobiło się tak cicho, że słyszał jedynie swój oddech. Co najdziwniejsze, nikt na nią nie patrzył.

Kobieta krzyknęła nieludzko i przeciągle, po czym ruszyła doskakując do niego i powalając go na podłogę. Zachowywała się jak dziki zwierz. Biła, drapała i gryzła, aż do krwi. Jakoś udało mu się ją odepchnąć i wstać, ale znowu zaatakowała. Najmocniej, jak tylko mógł zdzielił ją w twarz.

Padła na podłogę.

Natychmiast podniosła się wrzawa.

– Drań, uderzył kobietę! – krzyknęła staruszka, która chciała go przepuścić.

– Uderzył ją...

– Nie wierzę, on ją... – Głosy zlewały się w jeden.

Tymczasem, wykorzystując jego nieuwagę, kobieta zakręciła się z niesamowitą zwinnością i wskoczyła na niego wgrzając się w ramię. Zawył z bólu i złapał ją za



włosy, żeby od siebie odciągnąć, ale trzymała zbyt mocno. Trysnęła krew. Próbując odgryźć mu bark, waliła przy tym na oślep rękami. Kilka sekund później pojawiła się ochrona, mająca nie lada kłopot z odciągnięciem jej od ofiary. Zachowaniem przypominała wściekłego, dzikiego wilka starającego się wyszarpać kawałki mięsa ze swej zdobyczy. Otyły ochroniarz uniósł ją, obejmując dookoła brzucha. Wymachiwała nogami i rękami, plując krwią Taylora, pieniącą się w jej ustach.

Dwóch lekarzy dobiegło z pomocą, ale nie podolali z uspokojeniem jej. Taylor odskoczył pod ścianę i spojrzął na palący bark, z którego ciurkiem lała się krew, płamiąc rękaw. Wgryzła się głęboko, aż do mięśni

– Kto to jest!?! – krzyknął ochroniarz.

– Ona jest z czterysta dwadzieścia dwa! – odpowiedziała lekarka.

– Dajcie jej coś na uspokojenie!

Pielęgniarka przybiegła z zastrzykiem. Kobieta w kilka sekund zawisła bezwładnie na oplatających ją rękach i zamknęła oczy. Nieprzytomną położyli na łóżku, przywiązali i zabrali. Odwrócił się agresywnie, gdy poczuł dłoń na swoim nie zranionym barku.

– Nie dotykaj mnie – syknął zdenerwowany.

– To znowu ty? – zapytał twardo ochroniarz. – Mówiłem ci, że masz tutaj nie wracać.

– Masz pech... – Głos zatrzymał nasilający ból.

– To zszyje ci lekarz, a później wyśpiwasz mi co znowu zrobiłeś, że doprowadziłeś ją do takiego stanu. – Trzymał go zawzięcie za kurtkę.

Lekarze zamienili między sobą kilka słów, po czym jeden z nich podszedł do cierpiącego chłopaka.

– Proszę za mną, opatrzę pana – powiedział lekarz, otwierając drzwi z boku. – No, raz, raz.

Wszedł do pokoju i usiadł na łóżku przykrytym papierowym podkładem medycznym. W oczy rzuciło mu się ogromne lustro stojące na czterech nogach w rogu pomieszczenia. Pasowało bardziej do bogatego dworu, niż do państwowego szpitala.

– O co tam poszło? Nigdy nie widziałem, żeby ktoś kogoś aż tak nienawidził – wtrącił lekarz. – Obraził ją pan w jakiś sposób?

Taylor się nie odezwał, badał zakres ruchu rannej ręki. Lekarz wklepywał coś w komputer.

– Da pan radę się rozebrać? Jeżeli nie, to będę musiał rozciąć kurtkę.

Przytaknął. Wolno i ostrożnie zaczął zdejmować odzienie wierzchnie, zdrową rękę wyciągnął bez większego problemu, z drugą nie szło tak łatwo. Krew zlepiła materiał ze skórą, mocno przywarła. Zniecierpliwiony lekarz sięgnął po nożyczki.

– Nie będzie się pan męczył.

– Nie dotykaj jej! – krzyknął.

– Proszę pana, prowadzę dyżur od niemal dwudziestu czterech godzin i nie mam na to czasu, a tym bardziej ochoty. Kurtkę kupi pan nową, przecież i tak jest przegryziona.

– Sam ją zdejmę.

Lekarz wyciągnął nożyczki i skierował w jego stronę. Taylor odepchnął go i zeskoczył z łóżka. Do pokoju weszła pani Ania.

– Jakiś problem? – spytała.

– Pacjent nie chce dać sobie pomóc – poskarżył się lekarz.

– Chciałeś rozciąć mi kurtkę! – Taylor na zmianę czerwieniał i bladł ze złości.

– To tylko kawałek materiału, a ludzie czekają na korytarzach.

– Wracaj do siebie. – Zabrała lekarzowi nożyczki z ręki. – Ja go opatrzę.

– Jesteś pewna? Może być agresywny.

– Agresywnie to cię stąd zaraz wykopię. – Kiwnęła głową. – No już.

Lekarz parsknął i wyszedł z sali. Ania spojrzała z uśmiechem na rannego.

– To co? Pomóc ci z tą kurtką? Bez nożyczek.

Przytaknął, speszony. Złapała za zakrwawiony rękaw i posuwicie zsunęła go z Taylora, po czym zawiesiła ją na haczyku przy drzwiach wejściowych. Z bólem wypuścił powietrze z płuc.

– Jeszcze koszulka – zauważyła.

– Możesz ciąć.

Zrobiła jak powiedział, rozcięła podkoszulek i zawiesiła wzrok na wychudzonym torsie, wypełnionym kolorowymi tatuażami od nadgarstków, aż po szyję. Oblała ranę preparatem do odkażania ran, założyła nitrylowe rękawiczki i przyjrzała się ranie.

– Mam dobrą i złą wiadomość. Od której zacząć?

Przez wykrzywioną twarz z bólu, wkurzonym spojrzeniem przekrwionego oka, dał znać, że jest mu to obojętne.

– Zatem, dobra wiadomość jest taka, że obrażenie nie jest takie straszne, jakie się wydawało, obejdzie się bez stałych urazów. Zła, że jest to miejsce unerwione i będzie bolało podczas zszywania.

Przytaknął, po czym odwrócił wzrok. Ania przygotowała zestaw do zszywania i usiadła obok pacjenta.

– Ta kurtka jest dla ciebie ważna, prawda? No i te tatuaże, złota korona, gitary w ogniu i czarne duchy? Bardzo ładne, ale rozumiem, że mają dla ciebie głębsze znaczenie?

Taylor spojrział na dzinsową kurtkę, ale nie odpowiedział. Zrozumiała, by nie pytać. Obmyła ranę i wkuła igłę. Chłopak syknął z bólu i z całej siły zacisnął dłoń na łóżku, targając papierowe prześcieradło, na którym siedział.

– Ona zawsze taka była? – spytał z cierpieniem w głosie.

– Pani Lucy? Osobiście pierwszy raz widziałam ją w takim stanie. Dałabym głowę, że nigdy nie posunęłaby się do czegoś takiego, wydawała się...

– Nie być sobą?

– Z ust mi to wyjąłeś. Ta pani jest wnuczką wielkiej sławy doktora i naukowca, który dzięki swojemu geniuszowi uratował wiele istnień. Niestety, pewnego dnia źle upadł i został sparaliżowany, podobno jeszcze żyje, ale nikt go od tamtego czasu nie widział.. Spędzała z nim każdą chwilę. Było o tym głośno. A teraz sama się tu znalazła.

– Dlaczego tu trafiła? – Znów zasyczał z bólu, starając się nie krzyczeć.

– Miała wypadek. Jakiś kretyn ją potracił i uciekł z miejsca wypadku. Ma szczęście, że żyje.

Dokładnie taka sama sytuacja, jaka przydarzyła się jego bratu. Dziwny zbieg okoliczności, pomyślał. Spoglądał na Anię. Wkładała wiele wysiłku w zszywanie rany, nie chciała sprawić bólu, była bardzo delikatna. Nie pamiętał kto i kiedy zrobił cokolwiek z myślą o jego dobru. Przyglądał się jej uważnie, tak bardzo skupionej na swojej pracy, gdy zaczęło do niego docierać, że jest naprawdę ładna. Musiał być zbyt przejęty braciszkiem, że wcześniej tego nie dostrzegł. Jako jedyna nie była do niego wrogo nastawiona.

– Ta kurtka to moja jedyna pamiątka po ojcu – wtrącił po chwili. – Dał mi ją pewnego dnia, akurat tego, gdy stała się tragedia.

– Co się stało?

– Jako świadek napadu, chciał pomóc, ale nie zauważył, że napastnik nie przyszedł sam.

– Był bohaterem, musisz być z niego dumny.

– Był głupi, zaryzykował osieroceniem dwóch chłopców, dla obcej mu osoby. I tak została mi po nim tylko ta kurtka.

Przestała szyć i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Nie możesz winić go za to, że chciał zrobić coś dobrego.

Po kilku sekundach uciekł wzrokiem, Ania zaś wróciła do szycia.

– A tatuaż?

– Korona jest tą samą, co z tyłu kurtki, logo ulubionego zespołu rockowego taty. Stąd gitary i płomienie. Były na jedynym albumie, jaki ten zespół wydał, potem przestali grać.

– Jest na tobie coś, co nie pochodzi od twojego ojca? – zaśmiała się.

– Aż za dużo – odpowiedział, spoglądając na cienie ukryte między płomieniami.

– Dziękuję, że mi to mówisz.

Odwrócił wzrok, speszony. Resztę czasu spędzili w ciszy. Ania przecięła nić i wstała.

– To wszystko. Proszę cię, oszczędzaj to ramię, a za dwa tygodnie przyjdź na

kontrolę. Muszę wracać na oddział. W razie potrzeby, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Pomogła mu założyć kurtkę zasłaniając nagi tors, a on ostatni raz zerknął na niepasujące do wystroju pomieszczenia ozdobne lustro. Wychodząc, wpadł na ochroniarza czekającego z założonymi rękoma. Słowa były niepotrzebne. Wywrócił oczami i poszedł za nim.

Na rozdrożu jego wzrok przykuła istota bezcielesna. Był to jego braciszek błakający się w Penumbrze. Taylor zatrzymał się, niedowierzając. Chłopczyk z pszczołą na kolanie wyglądał na zagubionego i przestraszonego, rozglądał się i wołał, mimo iż nikt go nie widział, ani nie słyszał. Ruszył w kierunku Maxa, chciał by go zobaczyć, by wiedział, że nie jest sam, że po niego idzie.

Eskortant złapał Taylora za rękę zatrzymując go, a ten zawył z bólu, czuł, jak napięły się szwy.

– Puść mnie!

Wychylając się zza mięśniaka dostrzegł, że widmo znika, a sekundę później już go nie było.

– Nie! – krzyk uniósł się echem. – Jestem tu! Słyszysz!?! Jestem!

Chciał się wyszarpać i dobiec do zjawy, lecz ochroniarz powalił go na ziemię, dociskając kolanem. Taylor wrzasnął z bólu. Poczul ciągnięcie szwów.

Kilka minut później leżał na kostce brukowej przed budynkiem.

Przerażony wyraz twarzy Maxa nie schodził mu sprzed oczu, trawiąc go od środka. On tam był i Taylor doskonale o tym wiedział. Zostało jeszcze piętnaście godzin na wrzucenie go z powrotem do ciała i nie zamierzał zaprzepaścić tej szansy. Uratuję go, choćby sam miał oddać za to życie, a może nawet coś więcej, jeśli wierzyć ostrzeżeniom staruszka. Wiedział, że obrażenia, jakich doznał były zbyt słabe, żeby zostać w szpitalu. Musiał znaleźć sposób, coś, co będzie bezpieczne dla jego życia, ale na tyle niebezpieczne dla zdrowia, że będzie musiał być hospitalizowany. I nie na tyle uciążliwe, by uniemożliwiło mu zaśnięcie. Walić to, pomyślał.

Usiadł tak, żeby w miarę wygodnie oprzeć głowę i móc pogrążyć się we śnie. Kilka minut później obok ławki stanęło dwóch pracowników ochrony. Burknął na ich widok.

– To jest teren szpitala – oznajmił jeden z nich.

Ja pierdole, pomyślał. Ale tylko na tym zakończył konwersację.

Wstał i ruszył dalej, choć wiedział, że jak na Umbrę było już za daleko. Gdyby przyszło mu uciekać przed jednym z upiórów, musiał pamiętać, że zasięg srebrnej nici jest ograniczony. Każdy metr po tamtej stronie był dużym ryzykiem, a dwa oddzielone od siebie duchowo obszary, mimo że w naszym świecie są kilkadziesiąt metrów od siebie, równie dobrze mogły być oddalone o setki kilometrów. I to pod warunkiem, że znało się kierunek, a ten znaleźć w Umbrze było równie trudno, jak omijać wiry wodne i mielizny bez mapy i kompasu na środku rozszalałego od wichrów sztormu oceanu.

Musiał być w środku – to jedyna szansa na ratunek braciszka. Gdy baczni

obserwatorzy wrócili do środka, podszedł do betonowego murku i zaczął przymierzać się do niego bokiem. Wiedział, że nie ma innego wyjścia. Złamane żebro nadaje się do obserwacji, tym kupi sobie trochę czasu, pod warunkiem, że nie przebiję płuca. Tego mógłby nie przeżyć. Wziął zamach, ale nie skoczył. Potrząsnął zdrową ręką, starając się rozluźnić.

Podejście drugie. Skoczył, ale odruchowo podparł się nogą. Spadanie okazało się być trudniejsze, niż przypuszczał. Raz kozie śmierć. Za trzecim razem uniósł nogi i poleciał. Uderzył jak planował, a trzask przypominał odgłos łamanej gałęzi. Padł na chodnik, zdusił go paralizujący ból. Dlaczego najpierw nie zadzwoniłem po karetkę? – zadawał sobie to pytanie plując krwią. Próbował sięgać po telefon do kieszeni, ale w tej sytuacji było to zbyt trudne. Czuł, jak robi mu się słabo, odpływał.

\* \* \*

Kiedy się ocknął, uświadomił sobie, że jest w szpitalu. Był jednak w Umbrze. Nabrał tej pewności, rozglądając się dokładnie dookoła. Łamiąc żebra stracił przytomność, a do świata cienia musiał wejść przez przypadek, będąc przenoszonym do sali.

Wstał bezgłośnie i podkraść się do ściany. Nikogo nie widział, ale słyszał głosy, przypominające konwersacje. Spojrzał na swoje dłonie. Martwił go fakt z jaką łatwością przekracza oba wymiary. Przypomniał sobie chwile w szpitalu psychiatrycznym, lata temu, dzięki prochom i głębokim medytacjom, robił to niemal na zawołanie, ale sytuacja wymykała się spod jego kontroli. Nigdy wcześniej nie przekroczył granicy nieprzytomny.

Całe szczęście parter był lepiej oświetlony, niż piętro. Mijając przypadkowe duchy, dotarł do miejsca, gdzie widział braciszka ostatni raz. Spojrzał w kierunku, gdzie sam stał z ochroniarzem. Chciał zrozumieć jego perspektywę, co tu robił i na co patrzył. Usłyszał głos dochodzący z głębi długiej, ciemnej, pozbawionej światła alejki. Ciche nawoływania docierały do jego uszu mimo gęstego powietrza. To jego brat, był tego pewien. Ruszył w tamtym kierunku, ale zatrzymał się, widząc czarny dym. Uformował się w nieregularny kształt przypominający zgiętą rękę. Wkrótce z mroku wyłonił się kościsty grzbiet, a potem dłoń. Cienie wyglądały jak ludzie topiący się w czarnej smole.

Taylor odwrócił się i pobiegł w drugą stronę. Zaszedł do zawsze otwartego pokoju i zaczął go przeszukiwać. Wszystkie półki, szafki, kieszenie w wiszącej kurtce. Lecz niczego nie znalazł. Zrezygnowany usiadł na łóżku i poczuł coś twardego. Wsadził rękę pod prześcieradło i wyciągnął latarkę z wrytym na niej znakiem.

– Dzięki – wyszeptał.

Klepnął łóżko licząc, że dziadek to zauważy. Następnie ostrożnie wychylił głowę. Droga wydawała się pusta, więc wyszedł. Trzymając w ręku latarkę, czuł się zdecydowanie mniej bezpiecznie, bardziej widoczny. Był w posiadaniu czegoś, czego nie powinien mieć, przedmiotu będącego symbolem oporu i niezgody na zastaną rzeczywistość. Czuł, jak drętwieje mu skóra, a włosy na rękach się podnoszą.

Przelknął nerwowo ślinę. Pierwszy cień na jego drodze – świecące srebrne oczy tuż nad czarną taflą – czaiły się jak krokodyl w bagnie. Oparł się plecami o zimną ścianę i zrobił znak krzyża. Mimo iż był niewierzący, czuł taką potrzebę. Nie mógł uspokoić oddechu. Wyrzwał przezornie. Cień wiedział, że tam stoi, czekał na niego.

Zapalił latarkę i wyskoczył celując w niego. Usłyszał przenikliwe piszczenie, światło latarki sprawiło upirowi ogromny ból, zanurzał się w resztkach ciemnych punktów znikając bezpowrotnie, pozostawiając po sobie jedynie echo wolno niknącego pisku i ciemnego wężyka dymu. Pobiegł chyżo, rozświetlając czarne punkty, Tym razem znacznie szybciej wrócił do miejsca, gdzie ostatnio widział brata.

Zatrzymał się przed przejściem okrytym czarnym woalem, w którym kąpały się mroczne istoty. Tunel zalało światło. Cienie zaś popłynęły ścianami, zanurzając się w nieoświetlonym suficie. Mimo iż żadnego już tu nie było, wciąż unosił się ich skowyt.

Ostrożnie ruszył przed siebie. W pewnej chwili coś pociągnęło go za nogę i przewrócił się. Błyskawicznie skierował w tę stronę latarkę i dostrzegł cień, który zapiszczał po czym zniknął. Kolejny ciął go przez ramię. Taylor panicznymi ruchami machał latarką, okrąg światła pokrywał jedynie punkt, reszta tunelu pozostawała w czerni, w którym cienie mogły się swobodnie poruszać. Był w pułapce, serce waliło, a oddechu brakowało. W ciemnościach widział nieustanny ruch. Cienie ostrożnie przesuwwały odnóża unikając światła, po czym wtapiały się w gęstwinę. Czuł się bezradny, upiory poruszały się szybko i bezszelestnie, tnąc to ramię, to łydkę. Chciały go osłabić, zanim go dopadną, zabiją i pożrą, niczym stado wygłodniałych lwów.

Miał tylko jedną szansę na przeżycie. Ruszył w mrok, machając bezmyślnie latarką. Dobiegając do oświetlonego płonącym łśnieniem korytarza, został pchnięty i znów runął na ziemię. Tym razem upuścił latarkę. Widząc czarne szpony, sięgające po niego, zamknął oczy ze strachu. Po kilku sekundach otworzył je i nikogo nie dostrzegł. Przetarł spocone czoło i podniósł latarkę. Włączył ją ponownie, mrugnęła, uderzył w nią otwartą dłonią, zadziałało, a on odetchnął z ulgą. Poszedł dalej i skręcił w lewo. Wtedy go zobaczył.

– Max! – wykrzyknął.

Zbite powietrze tego wymiaru stłumiło okrzyk. Jego braciszek stał w bezruchu i wpatrywał się w cień na rogu. Było to lustrzane odbicie sytuacji, której był świadkiem w Penumbrze, jedyną różnicą była srebrna nić ciągnąca się od chłopca i skręcająca korytarzem w prawo.

– Max!

– Taylor!?! – spytał braciszek. Był rozkojarzony, ale zauważył go. – Boję się. Co to za miejsce?

Taylor chciał podbiec do Maxa, ale wtedy z zaciemnionego miejsca zaczął wydobywać się dym. Taylor zatrzymał się kilka metrów od chłopca.

– Posłuchaj mnie! – krzyknął. – Nie wolno robić gwałtownych ruchów, to je rozwściecza. Jak podejść bliżej, może go to zdenerwować. Ty musisz przyjść do mnie.

Zrobił wołający gest ręką.

– Nie mogę – powiedział Max płaczącym głosem.

– Dlaczego?

– Ona mi nie pozwala. – Wskazał palcem na cień.

Nad chłopcem pojawiła się człekopodobna smolista postać mierząca ponad dwa i pół metra. Jej chude ręce oparły się o podłogę, dym zderzył się z sufitem i rozlał na wszystkie strony. Wtedy po raz pierwszy Taylor dostrzegł twarz jednej z tych istot. Wyglądała jak porośnięta mięśniami czaszka, cała czarna, z bladymi, przygaszonymi srebrnymi oczami. Unosiła się coraz wyżej, ponad braciszkiem.

Kreatura zgarbiła się, opuszczając ręce. Głowę miała pochyloną. Kręgi kręgosłupa wyróżniały się na kościstych plecach, niczym szkielet spalonej katedralnej podpory. Wtedy skojarzył, już wiedział z kim ma do czynienia. Na pewno nie ze zwykłym cieniem.

Braciszek był w większym niebezpieczeństwie, niż przypuszczał. To ona przejęła ciało tej kobiety w świecie materialnym, ta poza, ten oddech, wszystko się zgadzało. Wyciągnął latarkę i skierował źródło światła wprost na nią, zapiszczała zasłaniając się rękami. Po chwili drgnęła w spazmie i zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Taylor podbiegł do braciszka i mocno go przytulił. Widział, że upiór stara się zmaterializować w niepełnym cieniu. Słyszał, że sprawia mu to ból.

Nie odpuści, pomyślał. Był tego niemal pewien. Spojrzał, dokąd prowadziła srebrna nić i wrócił do Maxa.

– Posłuchaj, pamiętasz, jak mówiłem ci o tym pomarańczowym świecie, do którego wchodzę przez sen?

Przytaknął, splakany, rozdygotany.

– Właśnie w nim jesteśmy. Nie wolno ci przerwać tej nici – wskazał na srebrną nić.

– Jakiej nici? – spytał Max, przecierając mokre policzki.

– Nie widzisz jej?

Pokazał na jasny, świecący i lewitujący w powietrzu cienki sznur, ale braciszek pokiwał przecząco głową. Przez nieuwagę Taylor skierował światło w inne miejsce i stwór w ułamku sekundy zaatakował z ciemności. Chłopak w ostatnim momencie uniósł latarkę, zasłaniając braciszka swoim ciałem. Rozległ się donośny wizg i postać zdematerializowała się.

Złapał Maxa za rękę i zaczął się cofać oświetlając najciemniejszy punkt korytarza.

– Musimy stąd uciekać – wyszeptał do braciszka, a głos drżał mu ze strachu.

– Dokąd idziemy?

– Wzdłuż tej nici.

– Chcę do mamy.

– Idziemy do niej, czeka na ciebie.

– Ale...

– Obiecuję, że wszystko ci wytłumaczę, ale teraz musisz być cicho.

Dobiegli do oświetlonej części oddziału i zatrzymali się na rozwidleniu dróg. Oparli się o ścianę, Taylor nie przestawał świecić w kierunku ciemności. Wiedział, że tutaj nie powinna ich sięgnąć, ale chciał ją trzymać od nich jak najdalej. Przez żaluzję wpadały paski magmowego blasku. Do ich uszu docierały odgłosy innych. Wolnymi krokami zbliżał się do końca ściany chcąc się wychylić. Poczł, jak braciszek ciągnie go za kurtkę.

– Co? – wyszeptał Taylor.

– Ten pan się na mnie patrzy – powiedział, chowając się za nogą starszego brata.

Taylor zauważył ducha stojącego na środku korytarza. Wyglądał jak bezdomny w brudnych, podartych ciuchach i zaplamionym kapturze, spod którego wystawała jedynie siwa, sklejona broda. Przyglądał im się uważnie.

– Nie przejmuj się nim. – Taylor chciał wyściubić głowę, ale znów poczuł ciągnięcie.

– On jest z tych złych, prawda?

– Przy mnie nic ci nie grozi.

Wychylając się ukradkiem dostrzegł tłum dusz blokujących przejście. Żadna z nich nie miała srebrnej nici. Zostali tu uwięzieni, umarli w tym szpitalu, domyślał się. Niestety, tamtędy prowadziła nic Maxa. Nie było innej drogi, byli w potrzasku. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy, uspokajając oddech. Wiedział co musi zrobić.

– Posłuchaj – kucnął przed braciszkiem. – Trzymaj mocno latarkę i świeć na ten korytarz.

– Nie chcę...

– Musisz.

– Niech on sobie pójdzie. – Spojrzał na wwiercającego w niego wzrok brodacza.

– On nic nie robi, tylko sobie tam stoi. Pójdę zrobić nam bezpieczne przejście, będę kilka metrów obok, nigdzie nie odchodzę. Mogę na ciebie liczyć?

Max po chwili przytaknął niepewnie. Starszy brat pocałował go w czoło.

– Wiedziałem, że jesteś dzielny.

Taylor przystawił jego dłonie do latarki i pomógł wycelować. Następnie podszedł do zakrętu i wyjrzał jeszcze raz na mur stojących ramie w ramie duchów. Skradając się bezszelestnie zaczął wolno skracać dystans. Nie chciał zostawiać Maxa za sobą, ale nie miał pojęcia, jak te duchy zareagują na jego obecność. Gdyby miało dojść do starcia wołał, żeby to spotkało tylko jego.

Z każdym krokiem szmer wśród zgromadzonych przybierał na sile. Max, z całych sił trzymając latarkę, zerknął znowu na bezdomnego w kapturze, pochylonego w jego kierunku. Tamten zrobił mały krok naprzód. Chłopiec dał za to krok w tył. Upiory będące w pobliżu zdawały się czekać na niego, na jego błędny ruch. Bał się, ale starał się być dzielny. Bezdomny tymczasem zrobił kolejny krok, a po chwili jeszcze jeden. Dłonie chłopca zaczęły drżeć. Pragnął stamtąd uciec, ale dzielnie stał na swoim



miejscu. Odwrócił się, usiłując znaleźć wzrokiem Taylora, ale nigdzie go nie widział. Nie wołał jednak, bo pamiętał, że miał być cicho.

Taylor stojąc przed ścianą z ludzi, położył rękę na ramieniu pierwszego. Nagle wszyscy zamarli, przestali poruszać ramionami, zaniemówili, nastąpiła grobowa cisza, taka, jaką zapamiętał po tej stronie. Wszyscy na raz zaczęli się do niego odwracać. Cofnął się kilka kroków widząc ich wściekły i paskudny wyraz twarzy. W tej samej chwili braciszek zobaczył jak bezdomny uśmiechnął się, ukazując ubogie uzębienie i zrobił nienaturalnie szybkie dwa kroki. Max wystraszył się i upuścił latarkę.

Huk uderzanego o płytki plastiku uniósł się echem. Taylor bez zastanowienia ruszył biegiem do braciszka. Chłopiec podniósł szybko latarkę i wycelował w korytarz. Tarcza światła migiała, a z każdym mignięciem czerni, cień stał bliżej. Chcąc ratować sytuację postanowił wyłączyć i włączyć urządzenie. Taylor, wybiegając zza rogu, zobaczył jedynie jak Max wyłącza je całkowicie. Korytarz pokrył się zupełnym mrokiem, a upiór porwał chłopca do siebie, milimetry od dłoni sięgającego po niego starszego brata. Słyszcząc niktący w ciemności krzyk Maxa, chciał pobiec za nim, ale cień rzucił się również na niego i odruchowo odskoczył.

– Kurwa!

Być może była to jedyna okazja na uratowanie brata. A on ją zaprzepaścił. Usłyszał dziwny trzask, spojrzał w prawo i zobaczył wrednego starca w kapturze, zasłaniającego żaluzje, wszystkie po kolei. Z ciemności wyłaniały się kolejne upiory.

Z każdym kolejnym trzaskiem żaluzji, miejsce ciemniało. Zacisnął pięści.

– Przepraszam, muszę...

Musiał uciekać. Ratować się. Kolejny trzask. Chłopak wbiegł z pełnym impetem w rzekę duchów, powalając kilka na przodzie. Szturmował ich tłukąc łokciami, drapiąc i odpychając. Duchy, mimo groźnych, min nie reagowały, przedarł się bez większego trudu i wyskoczył z tłumu. W korytarzu po prawej pojawił się cień, który rzucił się na niego, ale nie sięgnął. Taylor zaczął uciekać, a ten wtopił się w czarny punkt w ścianie i wyskoczył z kolejnego kawałek dalej. Chłopak uskoczył przed szponami i pobiegł inną drogą.

Mijał przerażone opuszczone dusze przytulone do chłodnych ścian szpitala. Z kolejnego zaciemnionego punktu wyłoniła się szkieletowata ręka. Zrobił zwód do lewej i przeskoczył ją, ale musnęła mu buta, przez co przewrócił się i w ostatniej chwili podwinął nogi unikając chwytu. W popłochu zbiegł na dół zeskakując z czterech ostatnich stopni jednym susem. Wybiegł na parter. Tam cień czekał na niego przy ścianie, wyłaniając prawe ramię i głowę. Taylor wbiegł do pokoju obok i rozwinął żaluzje, pozwalając światłu dostać się do środka.

Cień zniknął, a chłopak wybiegł na korytarz, znajdując się kilkanaście metrów od izby przyjęć. Wtem wyłoniła się kreatura puszczając gęsty dym na sufit. Zatrzymał się i zobaczył jak drzwi do pokoju za nim się zamykają, spowijając tym samym resztę przejścia mrokiem. Teraz rozumiał, dlaczego dziadkowi tak mocno zależało, aby trzymać je otwarte. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

– Jak mam obronić Maxa, skoro nie potrafię uratować samego siebie? – usiadł na

podłódze zrezygnowany. – Możesz być z siebie dumna suko, wygrałaś!

Rozłożył ręce. Wtedy czarna postać odwróciła się, spoglądając na drzwi do sali, gdzie leżało jego puste ciało. Od pomieszczenia dzieliła ich dokładnie taka sama odległość.

– Nawet o tym nie myśl.

Zanurzyła się w ciemnicy, a on ruszył ile sił w nogach wbiegając w mrok. Wyścig o życie zaczął się właśnie teraz. Kreatura hasała pomiędzy cieniami, a chłopak biegł z całych sił. Dotarł do sali, a tuż za nim cień. Wskoczył na łóżko i spojrzał na rzucającego się na niego upiora.

Zamknął oczy.

\* \* \*



Czuł się otumaniony prochami. Niemrawo otwierał oczy, ostrość przyszła dopiero po chwili, dostrzegł pracowników szpitala stojących przed jego łóżkiem. Chciał się podnieść, ale przeszywający ból szybko wybił mu to z głowy. Złapał się za prawą część ciała. Ból był nie do zniesienia. Lekarz skinał głową, a pielęgniarka wstrzyknęła mu coś do kroplówki.

– To pomoże – dodał lekarz. – Uśmierzy ból.

– Co się stało? – spytał.

– Myślałem, że to pan nam powie co się stało – wtrącił medyk. – Znaleźli pana niedaleko szpitala leżącego pod ławką ze złamanymi żebrami, które naruszyły płuco. Trochę czasu pan tu z nami spędzi.

– O nie – wybełkotał – Jak długo będę musiał tu być?

– Nie obyło się bez śrub na żebrach i szwów na płucach, przez moment było niebezpiecznie. Teraz już wszystko zależy od pana i od tego, jak będzie pan dochodził do zdrowia. Oczywiście jest też fakt, że pomimo zażegnanego zagrożenia, musi pan zostać na obserwacji.

Taylor nie odpowiedział, czuł, że powinien podziękować, ale nie wydobył z siebie żadnego słowa.

– Ma pan szczęście, że ktoś znalazł pana na czas. – Lekarz zamknął kartotekę. – Ma pan anioła stróża. Teraz proszę odpocząć, niech pan spróbuje zasnąć, sen jest najlepszym lekarstwem.

Gdybyś tylko wiedział, pomyślał. Personel zostawił go samego, a ten bardzo powoli i ostrożnie zaczął się podnosić. Mimo duszności i bólu, zszedł z łóżka i wyszedł z pokoju. Wkładał wiele wysiłku w podróż przez tłoczny i gwarny szpital, śmierzący płynami antybakteryjnymi, gazą i potem. Pikanie aparatury przeszywało go na wskroś, zapomniał, jak potrafi być głośne. Spocony i zdyszany stanął w drzwiach starca.

– Czuję się świetnie, dzięki, że pytasz – powiedział Noah – A myślałem, że wcześniej wyglądałeś jak gówno.

Nie skomentował. Otworzył na oścież uchylone już drzwi i podstawił pod nie drewniany kołek upewniając się, że się nie zamkną. Widząc to, dziadek spoważniał.

– Aż tak źle?

– Srebrna nić – rzucił Taylor ostrożnie siadając na fotelu, pomimo środków uśmierzających, ledwo znosił boleści.

– Jeżeli jest jeszcze czas na połączenie ducha z martwym ciałem, to czy... – zaciągnął powietrze rannym płucem, płytko i krótko – srebrna nić wciąż się go trzyma?

Starszy mężczyzna nacisnął przycisk i szpitalne łóżko pionizowało się, jak zwykle z mozołem.

– A to ci dopiero, twój brat żyje – zaśmiał się i kaszlnął. – Gdzie leży?

Nie odpowiedział, złapał się za żebra i zamknął oczy. Ból się nasilał.

– Widziałeś, dokąd prowadzi srebrna nić? – ciągnął mężczyzna.

– Odpowiedz.

– Wiem, co chcesz usłyszeć – kaszlnął. – Twój brat żyje i nie ma go w kostnicy. Skoro go tam nie ma, to gdzie jest? Wydaje mi się, że tylko ty znasz odpowiedź na to pytanie.

– Ostatnie pytanie...

– Nie będzie ostatnie, ale śmiało.

– Co się dzieje, gdy zostaniesz wchłonięty przez mrok? Jak można się z niego wydostać?

– Słyszałem plotki o tych, co się z niego wyrwali, ale zaliczyłbym to bardziej do legend i baśni, niż do faktów.

– Nawet mając ze sobą latarkę?

– Jeżeli zostaniesz wciągnięty, skup się na wciśnięciu przycisku, to może być twoja ostatnia nadzieja. Zanim, oczywiście, cienie nie rozszarpią twojego ducha na pół. – Noah przetarł nos w chusteczkę. – Ale to tylko teoria.

Czyli jest nadzieja na to, że Max przeżył. Ma latarkę i mógł się bronić. Chłopak z trudem wstał i bez słowa skierował się w stronę wyjścia.

– Dziękuję – powiedział starzec, zatrzymując go w drzwiach. – Pielęgniarka powiedziała mi co zrobiłeś. Dziewczyna nadal śpi, dałeś jej szansę na ratunek.

Spojrzał na swój zszyty bark. Oczami wyobraźni widział jej dzikie, zwierzęce oczy. Wyszedł.

– Miło się gawędziło – stwierdził starszy mężczyzna, chrząknął i zaczął opuszczać łóżko. – Jak zawsze.

Taylor udał się do ostatniego miejsca, w którym widział braciszka i spojrzał w stronę, gdzie ciągnęła się srebrna nić. Uwagę przykuły trzy zasłonięte okna. Zbliżył się do nich, mijając się z ludźmi na przejściu i otworzył żaluzje. Poszedł dalej. Jedyna droga prowadziła w lewo, tam dotarł do małego punktu rejestracyjnego usytuowanego obok podwójnych drzwi z czytnikiem kart.

– Tutaj nie wolno – rzuciła pielęgniarka.

– Dlaczego? Co tam jest?

– Oddział zakaźny, wstęp tylko dla pracowników szpitala. Przykro mi.

– Chcę odwiedzić członka rodziny.

– Wykluczone.

– Kto o tym decyduje?

– Dyrektor szpitala.

– Czyli kto?

– Philip Błąg, dyrektor szpitala.

– Błąg? – zbladł. – Ten Błąg? Były zarządca szpitala psychiatrycznego?

– Tak, ten. Znaćcie się?

Odwrócił się i z grobową miną wrócił do łóżka. Zamyślony, nawet nie pamiętał, kiedy przeszedł taki szmat drogi, a wszystkie dolegliwości jakby przestały mieć znaczenie. Położył się, patrząc w sufit. Miał wrażenie, że wie co się tutaj dzieje, jednak wciąż brakowało mu kilku puzzli. Wyciągnął telefon, sięgnął po zniszczoną ładowarkę i podpiął ją do najbliższego kontaktu. Manewrując kabelkiem udało mu się sprawić, iż zadziałał. Włączył telefon i wybrał ostatnie połączenie. Wziął głęboki wdech, a przynajmniej na tyle, na ile pozwalało mu ranne płuco, włączył tryb głośnomówiący.

– Halo? – usłyszał stłumiony głos matki.

– Dlaczego ten szpital? – spytał twardo. – Jest daleko od miejsca, w którym mieszkacie. Powinien trafić do innego, dlaczego akurat tu?

– Igor zna dyrektora, wiedziałam, że będzie miał przez to lepszą opiekę –

odpowiedziała.

Błag! Igor, kurwa, Błag! Teraz do niego dotarło, chłopak mamy był spokrewniony z dyrektorem.

– Wiozłaś syna przez całe miasto, bo twój pojebany chłopak powiedział ci, że ma tam znajomego? A może kogoś więcej? Może brata? Tego samego, który znęcał się nade mną w psychiatryku?

– Nawet teraz nie dajesz mi spokoju!?! Nie dość przez ciebie wycierpiałam!?

– Coś tu nie gra, nie widzisz tego!?

– To znowu on? – warknął facet i natychmiast przejął telefon. – Przestań dręczyć własną matkę. Jeszcze jeden telefon i...

– Wiem, dlaczego go tu przywiozłeś – przerwał mu Taylor.

Zapadła cisza. Po chwili Igor rozłączył się. Max, sny, to wszystko, co się działo... to nie był przypadek, właśnie zdał sobie z tego sprawę. Dyrektor to kontroluje. Jego działania w zakładzie psychiatrycznym podchodziły pod znęcanie się psychiczne nad chorym i nagle znajduje się tutaj, jego brat zostaje chłopakiem mamy, a Max trafia akurat do tej placówki pod pretekstem wypadku.

Całość zaczynała się zazębiać, nie wiedział tylko po co to wszystko. Musiał odnaleźć braciszka, zanim to wszystko wybuchnie.

Czas spać.

## Rozdział 6

### Jak ten czas leci...

W ulubionej pozycji, z ciepłą kołdrą podciągniętą pod szyję, chłopak spał jak zabity. Drzwi do jego sali wolno się uchyliły i ktoś wszedł do środka. Nie włączył światła, zatrzymał się nad jego łóżkiem i przyglądał mu się jak śpi. Po krótkiej chwili wyciągnął ku niemu rękę i zaczął go szturchać, Taylor otworzył oczy. Zobaczył pielęgniarkę.

– Jezu, o co chodzi? – wystękał, a ból uderzył bezlitośnie jak światło z odsłoniętych przez kobietę żaluzji. – Która godzina?

– Już południe, nie chciałam pana obudzić, ale poinstruowano mnie, że gdyby była taka potrzeba, mam pana wybudzić. Sprawa jest pilna.

– Co? Jaka znowu sprawa? – spytał, mrużąc oczy od rażącego białego światła – Kto tak kazał?

– Dyrektor szpitala – oznajmiła, podjeżdżając wózkiem inwalidzkim. – Resztę dyrektor przekazuje panu osobiście.

– Nie chcę wózka. – Spojrzał na telefon, który był rozładowany. Kabel musiał przestać ładować, gdy go puścił. – Muszę się odlać.

Prostując się wolno, podszedł do łazienki i odwrócił z zamiarem zamknięcia za sobą drzwi, ale pielęgniarka je złapała. Spojrzał na nią z wyrzutem mieszającym się z niepomiernym zdziwieniem sprawiającym, że jego oczy zrobiły się okrągłe jak dwie monety. Kobieta przewróciła oczami i pozwoliła mu je zamknąć. Zerknęła na zegarek i stanęła bokiem, przykładając ucho do drzwi, a po krótkiej chwili otworzyła je i zobaczyła chłopaka, który mimo iż nie był na siłach, bezradnie starał się precyzyjnie przez małe okienko tuż przy suficie. Skrzyżowała ręce i chrząknęła z pretensją, a on bez słowa wrócił na podłogę. Zgięty w pół złapał się za zębra.

– Pani da ten wózek – wystękał, jak gdyby nigdy nic. – Gdzie moja kurtka?

– Na wieszaku, wyprana.

– Podaj mi ją, nie pojedę do niego w tej sukience – wskazał na założony fartuch flizelinowy.

– Nie wolno niczego zakładać na ubiór szpitalny.

Przekrzywił głowę patrząc na nią spod byka.

Jechał na wózku w czarnej dżinsowej kurtce i nawet sprawiało mu to radość. Kurtka od dawna nie pachniała tak dobrze, ale był to jedyny pozytywny aspekt w tej chwili. Po ponad sześciu latach przyszedł moment, gdzie zaraz stanie oko w oko z diabłem, którego przysięgł sobie unikać za wszelką cenę, aż do końca życia. To on ściągnął złe duchy do tego miejsca

Tym razem nie miał zamiaru się poddać, będzie walczył. Domyślał się, że Philip wypróbował wszystkiego, co mu przyszło na myśl, aby znaleźć odpowiednie zastępstwo. Niestety, zawsze kończyło się tym samym. Nie chciał nawet myśleć ilu niewinnych ucierpiało. Został mu tylko jeden sposób, aby ruszyć dalej, a ten właśnie do niego jechał.

Wszyscy mijani po drodze przyglądali mu się, jakby był jakimś dziwadłem, tym razem nie ruszyło go to, miał dużo większe zmartwienie na głowie. Wieści rozchodzą się szybko, a ostatnie wydarzenia w tym miejscu nie odbiły się bez echa. Nim się obejrzał stał się sławny, będący na językach wszystkich w budynku, tworzące się kolejne plotki sprawiały, że każdy dorzucił swoje trzy grosze i tak historia obrastała w nowe wątki. Dotarli do biura dyrektora, wózek stanął, pielęgniarka minęła go, aby otworzyć gabinet. Zatrzymał ją ręką. Podniósł się o własnych siłach i podszedł do drzwi, wziął głęboki wdech. Miejmy to już za sobą – pomyślał. Chciał otworzyć, ale dłoń zamarła na klamce, nie mógł się przełamać. Zamknął oczy opierając czoło o chłodny laminat

– No włącz – rzuciła chłodno.

Wszedł do środka. Obszuty zieloną wykładziną pokój z drewnianymi dodatkami, czarnym sufitem i punktowymi, żółtymi lampkami, dawał odczucie, jakby teleportował się do zupełnie innego miejsca. Pachniało tu tytoniem i czymś jeszcze, ale nie umiał rozpoznać. Rozglądając się zauważył wyryte runy na framudze drzwi. Istoty z drugiego świata nie mają tutaj dostępu, domyślił się. Czuł jak prawa dłoń zaczyna mu drżeć z narastającym napięciem.

Dyrektor przeglądał jakąś starą księgę, którą po chwili zamknął z hukiem, a następnie spojrzął na chłopaka swoim jedynym okiem i stanowczym gestem wskazał na fotel przed biurkiem.

– Postoję – stwierdził pewnie Taylor.

– Czyżby? – Usłyszał szorstki głos. – Nie wyglądasz, jakbyś był na siłach.

Chłopak sarknął szyderczo i przetarł nos rękawem. Unikał kontaktu wzrokowego.

– Zmieniłeś się – kontynuował. – Dorosłeś...

– Jak oko? – przerwał Taylor.

– Dużo lepiej. – Philip dotknął ostrożnie skórzanej przepaski, zasłaniającej lewe oko. – Choć wciąż nie widzę. Teraz sam wiesz, jak to jest – wskazał na opuchliznę chłopaka.

– Po co ściągnąłeś tu mojego brata?

– Ile to już lat? – Błag zmienił temat. – Pięć?

– Nie udawaj, że nie wiesz. – Chłopak nie zmienił wyrazu twarzy.

– Ależ wiem. Ciekawi mnie czy ty wiesz. Jak z twoją pamięcią? Pod koniec skarżyłeś się na zaniki pamięci.

Nie odpowiedział.

– Jak sypiasz? – ciągnął Philip.



Taylor stał niewzruszony jak głaz. Bez słowa obserwował rozmówcę, a na ustach miał ledwo zamaskowany wyraz skrajnego obrzydzenia.

– Nie powiesz? – Dyrektor sięgnął po cygaro. – Kiedyś byłeś bardziej wygadany. Odjęło ci mowę?

– Jak to możliwe, że prowadzisz szpital po tym wszystkim, co zrobiłeś?

– Bo jestem tu potrzebny – rozłożył ręce z uśmiechem samozadowolenia na twarzy.

– Jesteś potrzebny w piekle, nie tutaj.

– Widzę, że wciąż chowasz urazę. – Wsadził sobie cygaro do ust. – Nie rozumiem, dlaczego, przecież to ja nauczyłem cię kontrolować bezpieczne podróżowanie między światami. Powiedz, czy udało ci się wejść głębiej? Czy byłeś już... no wiesz, gdzie.

– Zwariowałeś? Od momentu, gdy udało mi się uciec, nie przechodziłem na drugą stronę latami. Nikt nie powinien tego robić, to nie jest miejsce dla ludzi. Ono niesie jedynie ryzyko i ból. Ty tego nie wiesz, bo nie masz tam wstępu.

Dyrektor zmarszczył czoło, chłopak trafił w czuły punkt.

– Nie wiem do jakich okropności się posunąłeś, by dostać tę posadę, ale ja byłem po drugiej stronie tego szpitala. Tutaj są tłumy uwięzionych ludzi. Nie mam pojęcia, jak to robisz, ale musisz przestać, te duchy nie mogą odnaleźć spokoju. Dlaczego nie puścisz ich do domu? I co wspólnego z tym ma mój brat?

– Czyż to nie oczywiste?

Zapadała chwilowa cisza.

– Pomyśl, ile razem możemy osiągnąć, niezbadany świat stoi otworem, trzeba tylko mieć odwagę, by go zbadać. We dwóch możemy tego dokonać, przejdziemy do historii jak Kolumb! Błąg i Ewing Odkrywcy Umbry! Nasze nazwiska znajdą się w podręcznikach do historii!

– Jestem tutaj, aby odzyskać brata. Zaraz potem wracam do siebie.

– Czyli gdzie? Odrzucasz moją ofertę dla nieustannej ucieczki, jak przestępca, w strachu przed tym czy cię znajdę? Pomyśl co ci oferuję.

– Spędziłem w szpitalu psychiatrycznym pół roku, faszcerowany prochami tylko dlatego, że ty chciałeś poznać, jak wygląda druga strona. Torturowałeś małego chłopca tylko po to, aby spełnić swoje chore ambicje. Jesteś nienormalny, a ja niczego od ciebie nie chcę. – Wstał i zrobił trzy kroki w kierunku wyjścia. – Jeżeli dowiem się, że maczałeś w tym palce i mój brat jest w świecie cienia przez ciebie, to obiecuję ci, że osobiście cię tam zabiorę i zostawię.

Do pomieszczenia, w pośpiechu, bez pukania weszła jedna z pielęgniarek.

– Przepraszam, ale przyszła matka pacjenta i chce rozmawiać z synem.

Skrzyżowali spojrzenia.

– Idę. – Taylor wznowił krok. – I tak już skończyliśmy.

– Skoro znasz mnie tak dobrze jak twierdzisz, to musisz wiedzieć, że ja zawsze

dostają to, czego chcę, nieważne za jaką cenę. Weź to pod uwagę zanim się namyślisz. Jutro chcę usłyszeć odpowiedź, liczę, że będzie rozsądna.

Taylor ostatni raz spojrzął na niego z pogardą, po czym wyszedł wraz z pielęgniarką, która zamknęła za nimi drzwi. Wracał na wózku inwalidzkim. Wcześniej sądził, że to spotkanie wyklaruje mu choć co nieco, tymczasem, miał wrażenie, że wpakował się w solidne bagno. A przed nim było jeszcze spotkanie z matką...

Wjeżdżając do sali zobaczył ją siedzącą na fotelu pod ścianą. Głowę miała pochyloną, a przez luźno opadające włosy nie mógł dostrzec jej twarzy. Zszedł z wózka i usiadł na skraju łóżka. Dostrzegł, że matka ma rozmazany makijaż. Płakała, trzymając w dłoniach pluszowego lwa.

Przez napięcie jakie wisiało w powietrzu, zapomniał o bólu. Zakłopotana pielęgniarka, wyczuwając napiętą atmosferę, wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Matka wolno obracała maskotkę w dłoniach, zakrzywiając usta od płaczu, ale szybko się opanowała. Nie mógł dalej znieść tej ciszy.

– Chciałaś poga...

– *Król lew*, to była jego ulubiona bajka – wydusiła z siebie z delikatnym szlochnięciem. – Czytałam mu ją każdego wieczoru przed pójściem spać. Nie chciał oglądać bajki, wolał, kiedy czytałam. Mówił, że lubi słyszeć mój głos i patrzeć na rysunki. Pewnego wieczoru poprosił mnie, żebym kupiła mu pluszowego Simbę, kazał mi obiecać, że to zrobię, z jakiegoś powodu bardzo mu na tym zależało. Oczywiście zrobiłam, jak prosił, a następnego wieczoru wraz z książeczką przyniosłam tego lwa. – Uniosła pluszaka tak, żeby mógł go dokładnie zobaczyć. – Nigdy nie zapomnę jego miny. Był nie tylko szczęśliwy, ale również pełen energii i nadziei. Jeszcze wtedy nie rozumiałam co było tego powodem. Ten błysk w oku, jak bardzo można radować się z zabawki? A jednak. Jak co wieczór, po skończonym czytaniu grzecznie – jej głos zadrżał – grzecznie poszedł spać. Zawsze był taki grzeczny i kochany. Kiedy przyszedłam do niego następnego wieczoru, zastałam go z tą samą iskierką w oku, co dzień wcześniej, ale nie miał przy sobie maskotki, Simba leżał na środku twojego pustego łóżka. Chciałam mu go podać, pomyślałam, że o nim zapomniał, ale nalegał, by tam został, więc go nie dotykałam. Wieczory mijały, a on zasypiał przy tej samej książeczce, z tą samą nadzieją w oczach i pluszowym lwem położonym na pustym łóżku. – Chłopakowi zaszklify oczy, słuchał jej uważnie. – Kto tak robi? Był koniec lata, usiadłam obok niego, jak co wieczór, i spytałam, dlaczego trzyma lwa na drugim łóżku? Dlaczego nie chce go dla siebie? Nie podoba mu się? Odpowiedział, „Nie, mamu, jest idealny, ten lew jest dla mojego brata, on wróci do nas tak jak Simba wrócił do domu, zobaczysz”. I zasnął znów pełen nadziei, dumny ze swego pomysłu z uśmiechem na ustach. – Chłopak zamknął oczy i zaczął płakać. Matka mówiła dalej: – To było niedługo po tym, kiedy go zostawiłeś. Jak przywiązanego do drzewa niechcianego psa, a on przez jeszcze wiele wieczorów zasypiał wierząc, że do niego wrócisz, co było tylko złudną nadzieją. Zmuszałeś mnie do patrzenia jak ta nadzieja w nim gaśnie, tak samo jak uśmiech, który już nie wróci.

Po tylu latach wracasz i robisz to samo mnie, pozwalając uwierzyć, że wyciągniesz go z jakiegoś urojonego świata. Teraz mój syn nie żyje. A tego, co nam zrobiłeś nigdy ci nie wybaczę. Masz się stąd wynieść, wracaj skąd przyjechałeś. To był błąd, dzwonić po ciebie.

Pociągnęła nosem i wstała, patrząc na niego jak na obcą osobę. Mijając łóżko rzuciła mu maskotkę, którą złapał w locie. A potem wyszła.

– Mamo... – powiedział zapłakany głosem.

– Nie nazywaj mnie tak.

Odparła zimno i wyszła z pokoju. Część niego wiedziała, że była manipulowana i szczuta przez swojego chłopaka, że to on stoi za jej nastawieniem, ale w głębi serca, aż po samą duszę niczego tak nie pragnął w tych trudnych chwilach, jak wsparcia. Wytarł mokrą twarz i spojrzał na obiad leżący na stoliku. Stracił apetyt, nie miał ochoty na nic. Znienawidzony przez wszystkich – szefa, współpracowników, matkę nawet przez samego siebie i te wszystkie krzywe spojrzenia wycelowane w niego precyzyjnie, jak snajperska kropka. Wszyscy go nienawidzili. Wszyscy oprócz braciszka, który wierzył w niego nawet kiedy inni już przestali. Mocniej ścisnął pluszaka. Tylko ty widziałeś we mnie dobro, miałeś nadzieję, że wrócę. I jestem – dla ciebie.

Podciągnął kołdrę, skrywając się przed światłem.

– Już idę – wyszeptał.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Co za ulga. Nie sądził, że kiedykolwiek w życiu pomyśli w ten sposób, budząc się po drugiej stronie. Otworzył oczy, widząc spękany i porośnięty martwymi korzeniami sufit. Podniósł się sprawnie i usiadł na skraju łóżka, kręcąc ramieniem. Dobrze jest zrobić sobie przerwę w bólu. Wziął głęboki wdech, co sprawiło mu trudność – tu również nie mógł oddychać swobodnie przez to cholernie ciężkie powietrze. Zauważył czarne krople przed fotelem, na którym siedziała jego matka. Kucnął przed nim i dotknął ich. Były świeże. Czy to możliwe, że lzy jego matki zostawiły swój ślad również tutaj? Jakiś niewyraźny głos uniósł się w powietrzu. Podeszedł do brzegu okna i lekko wychylił głowę. Przez szybę widział uciekającą duszę jednego z pacjentów. Biegła przez parking i schowała się za jeden z pojazdów; tam też nie dobiegało uliczne światło. Biedak nie miał pojęcia z czym ma do czynienia albo był zbyt przestraszony, żeby trzeźwo myśleć. Dusza kucnęła zwinięta w embrionalnej pozie, a czarna postać w eskorcie gęstego dymu wyłoniła się za nim. Wolno, bezszelestnie niczym tygrys zbliżała po to tylko, aby w ułamku sekundy rzucić się na duszę, pochwytać ją szponami i wciągnąć gwałtownie w cień. Chciał ją ostrzec, ale zdołał jedynie wyciągnąć dłoń w kierunku, gdzie razem w jednym mgnieniu oka zniknęli. Wyjrzał dalej, ale nic nie było widać, wzrok sięgał końca

parkingu. To, co poza skrywało się w pomarańczowej, gęstej mgle.

Ruszył w kierunku drzwi. Miał swój własny cień do schwywania. Ostrożnie stawiał kroki, aby nie zostać usłyszanym – cienie nie wiedziały, kiedy pojawia się w Umbrze. Przynajmniej zawsze wydawały się być zaskoczone jego obecnością. Miały inne poczucie czasu. Być może jeden dzień był dla nich, jak cała wieczność.

Usłyszał krzyzącą młodą dziewczynę, biegnącą przez korytarz i ogromny, niosący za sobą przeszywający na wskroś alt cień, podążający tuż za nią. Z racji swoich gabarytów nie spieszył się. Bez trudu pokrywał wszystkie zaciemnione punkty na swojej drodze. Dziewczyna padła w mocno oświetlonym punkcie i usiadła plecami do ściany, podciągając nogi i zakrywając uszy rękoma. Cień wolno płynął w jej stronę. Byli zajęci sobą, co pozwoliło mu swobodnie pokonywać kolejne metry. Wtedy poczuł się źle, jakby słoń usiadł mu na klatce piersiowej. Stracił oddech. Upadł na kolano i złapał się za szyję, która zaczęła piec jakby ktoś ocierał o nią papierem ściernym. Nie rozumiał, co się dzieje, w zastraszającym tempie tracił siły.

Z trudem dotarł do sali, a będąc już w środku padł na brzuch i z mozołem zaczął się czołgać. Miał wrażenie, jakby jego ciało ważyło tonę, a każdy ruch, nawet ten najmniejszy, wymagał pełnego wysiłku. Wspiął się na łóżko i wytrzeszczając oczy z braku tchu zauważył czarny cień, stojący w drzwiach do jego sali, ten sam co goił niedawno widzianą dziewczynę.

Zamknął oczy.

Obudził się twarzą w twarz z opętaną o przekrwionych oczach i szerokim demonicznym uśmiechem. Powód jego złego stanu wyjaśnił się niemal od razu – kobieta zaciskała dłonie na jego szyi. Zaczął się z nią szarpać, próbował oderwać od siebie jej ręce, ale zbyt mocno trzymała. Dym nad nią zatętnił, skupił się w nieregularną kulę wiszącą na wysokości głowy, tańczył po suficie, jakby był częścią szarpaniny. Przez ściśnięte gardło nie mógł zawołać o pomoc. Obraz przyciemniał i zrobił się niewyraźny. Została mu ostatnia szansa, z trudem sięgnął po niezjedzony obiad i rozbił talerz o głowę opętanej. Poczul poluźniający się uścisk, obrócił się na bok i z całej siły kopnął kobietę w brzuch. Impet ciosu nie był duży, ale przewracając ją kupił sobie trochę czasu. Łyknął powietrza, jakby wyplłynął spod wody i od razu rzucił się na przycisk przywołujący pielęgniarkę, ale gdy złapał kabelek ubrudzona ziemniakami i burakiem kobieta przyciągnęła go do siebie, a ten wyrwał kabel ze ściany. Ich ręce niesione brakiem jakiegokolwiek znajomości sztuk walki, latały w powietrzu na wszystkie strony. Gdy zrozumiała, że nie zdoła teraz złapać go za szyję, zaczęła niczym goryl bić po jego złamanym żebkach.

– Pomocy! – wycharczał i wtedy dostał w zęby. Złapał się za twarz, a nawiedzona, wykorzystując sytuację, wskoczyła na łóżko i usiadła mu na brzuchu, po czym owinęła dłonie wokół jego szyi. Nie miał już siły się bronić, ciało stawało się wiotkie, świat zawirował, zrobiło się ciemniej. Jego ręce bezwładnie opadły za łóżko, oczy wywróciły się za powieki.

Nagle uścisk puścił, a kobieta znalazła się na podłodze.

Otworzył oczy, zdumiony i zdezorientowany. Zobaczył, że została zrzucona przez

Anię. Złapał oddech, sekundę później do pokoju wbiegła również ochrona. Zabrali z pokoju szarpiącą się napastniczkę, ryczącą nieładnie, przeciągle i wrzaskliwie. Przerazona pielęgniarka usiadła na krześle spoglądając na swoje trzęsące się ręce, a po chwili podeszła do Taylora.

– Nic ci nie zrobiła? – spytała przejęta. – Przybiegłam najszybciej, jak się dało.

– Żyję – odparł masując szyję i starając się przełknąć ślinę.

– Całe szczęście, że udało ci się zerwać kabel, dobra robota. – Złapała go za dłoń chcąc pocieszyć, ale zabrał rękę, jakby dotknął czegoś gorącego.

– Jak mam spać, kiedy pozwalacie chodzić wolno osobom, odgryzającym innym kawałek jebanego barku!?

Krzyknął na nią pod wpływem emocji. Ania spuściła głowę, więdnąc na twarzy i wstała, zawiedziona.

– Obiecuję, że już więcej nie będzie pana niepokoić. – Zmieniła ton. – Przepraszamy najmocniej za kłopot, proszę odpoczywać.

Zrobiło mu się głupio. Wyciągnął do niej rękę, ale była już przy drzwiach.

– Przyślę do pana techników, by naprawili kabel.

Pielęgniarka opuściła pokój i trzasnęła drzwiami. Westchnął, rozmasowując obolałą szyję i zaczął schodzić z łóżka. Wózek inwalidzki, którym się poruszał zniknął, ostatni raz spojrzął na ślady po łzach matki, po tej stronie zdążyły już wyschnąć. Droga, która normalnie zajęłaby mu pięć minut teraz wydawała się być wiecznością. Wycieńczony i zgrzany z wysiłku oparł się o framugę drzwi do pokoju starca, leżącego w swym łóżku i oglądającego coś na tablecie. Wyprostował się i spytał:

– Co oglądasz?

– A dziękuję, czuję się dobrze – odpowiedział sucho i uniósł tablet. – Netflix.

– To nie film.

– Nie. – Spojrzął na niego. – Nie film, Netflix to filmy. I nie tylko, oni...

– Tak, wiem co to jest, nie musisz mi tłumaczyć.

– Jakie filmy lubisz?

– Mam swój dramat codziennie, nie potrzebne mi kino. – Wszedł do środka i usiadł na fotelu.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść, chłopcze. Aż boję się zapytać co się stało, że postanowiłeś przejść cały szpital w tym stanie.

Noah zsunął okulary patrząc na niego dogłębnie. Taylor unikał kontaktu wzrokowego.

– Mamy dwa problemy.

– Właśnie widzę. – Wskazał na jego posiniaczoną krtań. – Znalazłeś latarkę? Odwrócił głowę, zupełnie o niej zapomniał.

– Nie o takich problemach mówię – westchnął. – Musimy się jej pozbyć.

– Jej? – Staruszek odłożył tablet. Wtedy doszło do niego, że mówi o opętanej. – Nie pozbyć, tylko pomóc, to duża różnica. Ona potrzebuje naszej pomocy.

– Chciała mnie udusić i omal jej się to nie udało. Uwzięta na mnie osoba nie jest nowością, ale chcąc mnie zabić, już tak. Nie mogę robić tego co robię, kiedy ona jest w pobliżu.

Na moment zapadła cisza. Patrzyli się na siebie, razem wyczekując, aż ten drugi się odezwie.

– Ale...

– Może...

Zaczęli jednocześnie, po czym znów przestali. Noah z uśmiechem uniósł rękę w geście ustąpienia pierwszeństwa.

– Jak niby miałbym jej... – Taylor przeciągnął celowo – pomóc?

– Co się z nią teraz dzieje? – spytał starszy mężczyzna spokojnie.

Chłopak wzruszył ramionami i od razu tego pożałował, przez przypominające o sobie połamane żebra.

– Poszczyściło nam się, że cię zaatakowała.

Patrzył na niego, wyraźnie zszokowany.

– Jeśli po wyprowadzeniu jej z twojego pokoju – kontynuował – wciąż nie mogli jej uspokoić, a śmiało możemy założyć, że właśnie tak było, to znaczy, że musieli podać jej coś na uspokojenie, co powinno spowodować wymuszone zaśnięcie. I tu się pojawia nasza przewaga. Wiemy, że śpi, że jej ciało leży teraz puste. Twoim zadaniem jest odnaleźć jej ducha, odciągnąć cię od ciała, bo na pewno go strzeże, dając jej czas na powrót do siebie i obudzenie się po tej stronie, tym samym odcinając upirowi możliwość przejścia do tego świata. Dopiero wtedy ludzie w tym szpitalu będą bezpieczni. Tylko ty możesz to zrobić. Wiesz, gdzie leży jej ciało?

– Nie – odpowiedział krótko, analizując szybko natłok słów wypowiedzianych przez młodszą.

– Musisz się dowiedzieć, zanim przejdiesz na drugą stronę. Tam ludzkie ciała są niewidoczne, nie znajdziesz jej.

– Skąd niby miałbym...

Wtedy zaświtała mu myśl, do kogo może zwrócić się o pomoc.

– Nie musisz już martwić się czasem. Skoro wiemy, że twój brat żyje, to znaczy, że nie ma ograniczenia czasowego do przebywania ducha poza ciałem, o ile nie zerwie nici, rzecz jasna. Albo nie zwariuje.

Taylor zbladł w momencie, gdy Noah wspomniał jego brata.

– Mam poważniejszy problem na głowie, niż ten z dziewczyną... – westchnął. – Ale muszę się upewnić, że mam rację. Nie wiem, gdzie dokładnie trzymają mojego brata, ale wiem, gdzie zacząć szukać. W strefie zakaźnej odciętej od placówki. Dostęp tam mają tylko medycy, a i tak założę się, że nie wszyscy. Zamknięte drzwi tutaj to

zamknięte drzwi w Umbrze. Jak można je obejść?

Dziadek wziął głęboki oddech i spojrzał na niego z dużym niepokojem. Po oczach widać było, że znał odpowiedź, ale nie chciał mówić. Nie chciał albo bał się.

– Więc? – dopytywał Taylor.

– Wszystko w swoim czasie. Na razie skupmy się na odzyskaniu ciała dla blondwłosej dziewczyny. Potem porozmawiamy o tym, co dalej.

Chłopak wstał, wspomagając się oparciem siedziska, a to zaskrzyphiało od ciężaru.

– Odpocznij zanim ruszysz, kondycja fizyczna również ma znaczenie. Jeśli zbyt mocno osłabniesz, możesz nie mieć siły, by się wybudzić. Kiedy ostatni raz jadłeś?

– Najważniejsze to pozbyć się tej suki.

Noah chciał coś powiedzieć, ale zdusiło go w płucach. Kaszlnął mocno i posiniał. Chusteczka, którą przyłożył do ust zaplamiła się krwią.

– Nie zapominaj, że część z nich kiedyś, setki lat temu, była nami. Jedni niecierpliwi, drudzy zazdrośni inni okrutni, jak i również mili, życzliwi i empatyczni. Gdy pozostają w tamtych stronach zbyt długo, w końcu stają się tym, przed czym tak mocno uciekają, skorumpowani przez tych, którzy się tam zrodzili. Potęgowani przez swoje wady, pozbawieni możliwości racjonalnego pomysłu. Powinieneś im współczuć.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– W moim wieku czujesz się tylko źle. – Uśmiechnął się przez czerwone zęby i znów kaszlnął. – Lepiej nie będzie. Jeżeli kogoś nie lubisz, cień nie zniesie jego obecności, a że nie zna innego rozwiązania, zabije. Tak samo chciał postąpić w ciebie tej kobiety. Pani z prześwietlenia musiała dać złą diagnozę, albo była dla niej niemila podczas badania, zgaduję, że nic ważnego, jednak nie ma to większego znaczenia dla cienia. Dziewczyna była na nią zła, cień jej nienawidził, musiał ją zabić, ty temu przeszkodziłeś. Teraz jesteś tym znenawidzonym. Rozumiesz?

– Daruj sobie nawoływania do mojego współczucia. – Chłopak wolnym krokiem ruszył w kierunku wyjścia. – Na to już za późno.

Taylor stanął i odwrócił się zagryzając wargi. Włosy leciały mu na twarz, ale było mu już wszystko jedno.

– Pamiętasz kiedy pytałem, co się stanie z kimś, kogo porwie cień? I czy jest szansa na ocalenie takiej osoby?

– O nie. – W oczach starca niepróżno było doszukiwać się nadziei – To był twój brat. Chłopcze, jeżeli nie użył latarki, to po takim czasie...

– Nic nie mów...

Zacisnął zęby, nie chciał, aby staruszek kończył. Miał dość tej rozmowy. Na do widzenia rzucił tylko mężczyźnie szybkie spojrzenie, po czym opuścił salę.

Tej nocy ruch w szpitalu był znacznie mniejszy, a personel chodził jakby w zwolnionym tempie, tutaj poruszanie się bez pośpiechu wydawało się być nienormalne. Krążył po uliczkach bezmyślnie, rozglądając się, szukając. Spytał o drogę przypadkowego lekarza, a ten wskazał mu kierunek, poszedł jak kazał i wychodząc zza zakrętu ujrzał swój cel. Ania wynurzyła się spod kartek, gdy zobaczyła stojącego Taylora na końcu korytarza, odwróciła się i poszła w przeciwnym kierunku. Ruszył za nią. Zatrzymała się przy tablicy wiszącej na ścianie i coś z niej spisała. Następnie poszła dalej, a po chwili zagadała do ciemnoskórej koleżanki z punktu informacyjnego.

Przyspieszył, oddychał głośno przez usta, miał wrażenie, jakby niewidzialny pas zaciskał się ciasno na jego żebrach. Będąc kilka kroków od niej, z trudem łapał oddech, aby się przywitać, jednak ta szybkim korkiem poszła dalej.

– Możesz zaczekać!?

Odwróciła się w jego stronę.

– Szedłeś za mną? Nie zauważyłam – szydziła. Była kiepską aktorką. – Powinieneś leżeć. W końcu tak bardzo ci zależało, by ci nie przeszkadzano. Co tu robisz?

Wyprostował się, wytarł spocone dłonie o szpitalną kieckę, a zniecierpliwiona pielęgniarka oparła ciężar ciała na prawej nodze i objęła rękoma dokumenty, wypychając piersi w górę. Zerknął na nie. Ania uniosła brwi i uciekł wzrokiem, rumieniąc się. Stojąc przed atrakcyjną pielęgniarką nie mógł nic z siebie wydusić.

– Przepraszam – wypowiedział przez zaciśniętą szczękę.

– Okej – odparła sucho.

– Nie powinienem był tak wcześniej zareagować.

– Okej.

– Chciałaś dobrze, a ja się zachowałem jak ostatni kretyn.

– Okej. – Nie zmieniała obojętnego tonu.

– To nie było fair.

– Okej.

– Nie zasłużyłaś na to, dlatego chciałem cię przeprosić.

Tym razem nie odpowiedziała.

– Przepraszam.

– Przeprosiny przyjęte – mruknęła. – Jak się czujesz?

– Tak, jak wyglądam.

– I przyszedłeś tylko po to, żeby mnie przeprosić?

– Nie. Na to wpadłem, gdy już miałem wracać.

Uśmiechnęła się. Oddała dokumenty w punkcie informacyjnym i wzięła go pod rękę.

– Chodź, odprowadzę cię, zanim mi tu zemdlejesz.

Odetchnął z ulgą, gdy szli razem przez korytarz. Przechodzili niedaleko wejścia na



oddział zakaźny; widział jak wychodziło z niego dwóch mężczyzn w kombinezonach, ale nie zauważył już niczego co kryło się za drzwiami. Dotarli na miejsce rozmawiając o tym, jak im minął dzień, a ściślej Ania opowiadała mu wszystko z niepotrzebnymi, najdrobniejszymi szczegółami.

– Mogę mieć do ciebie prośbę? – spytał, gdy położył się do łóżka. – W którym pokoju leży kobieta, która mnie zaatakowała?

– Posłuchaj... – przyjęła defensywny ton.

– Nie, nie, spokojnie. Chcę z nią tylko pomówić. Wyjaśnić to i owo. Nie znam jej, a zaatakowała mnie już dwa razy. Nie lubię mieć takich spraw otwartych. Bardzo cię proszę.

Jej twarz zrobiła się poważna, biegła wzrokiem po pokoju, a po chwili napisała coś na kartce i wręczając mu ją powiedziała:

– Obym tego nie żałowała. I prześpij się wreszcie.

Wyszła, a na kartce był numer pokoju. Czterysta dwadzieścia dwa. Idealnie, a teraz pora zastosować się do poleceń i się wyspać, pomyślał. Ułożył się wygodnie.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Ocknął się w Umbrze. Oranżowa poświata i ten cholerny głuchy hałas. Nic tego nie podrobi, nie trzeba otwierać oczu, po samym dźwięku człowiek wie, w jakiej dupie się znalazł. Czterysta dwadzieścia dwa, nadciągają, pomyślał. Dobrze już kojarzył szpital, zarówno rozkład budynku po jednej stronie, jak i rozłożenie światła dostającego się do środka po drugiej. Zdecydowanie usprawniło to poruszanie się po obiekcie. Droga nie zajęła mu dużo czasu. Pokonując dystans głównie oświetloną trasą napotykał jedynie przestraszone i szlochające duchy. Miał ogromne wyrzuty sumienia, że zamiast skupić się na swoim bracie, pomaga obcej mu dziewczynie. Wiedział jednak, że czas, jaki upłynął od momentu wciągnięcia w mrok, był zbyt długi, by to przeżył, jeśli nie zdołał użyć latarki, aby się uwolnić. Jeżeli Max żyje, to będzie potrzebował spokoju, aby móc skupić się na wyciągnięciu go, a nie osiągnięciu tego z polującym na niego opętańcem na karku.

Dobiegając do pokoju, kucnął przy ścianie i zaczął się skradać. Nad łóżkiem dziewczyny stał czarny kościsty cień wpatrujący się w czystą pościel. To widziały oczy chłopaka w Umbrze, a tak na prawdę wpatrywał się leżącemu na łóżku ciału dziewczyny. Poszedł dalej, musiał znaleźć właścicielkę ciała. Taylor ostrożnie, kucając skradał się w ich kierunku wiedział, że nie wolno mu było wydać żadnego dźwięku. Intuicja podpowiadała mu, że musiała być blisko.

Korytarz w większości malował się krwistym światłem, a czarne punkty były lekko rozmyte. Usłyszał skrzypienie drzwi i spojrzał w ich kierunku, jeżąc się ze strachu. Te gwałtownie się zamknęły. Szybko zrozumiał, co się dzieje i podszedł do nich ostrożnie, po czym wszedł do środka. To był schowek na miotły i sprzęt do

sprzątania, nie dochodziło tam światło.

– Wiem, że się boisz – zaczął. – Ale jestem tu, żeby ci pomóc, a siedząc w tym grajdołku oboje zaraz zginiemy. Musimy stąd wyjść i to już.

Podawała mu dłoń, a on chwycił ją i pociągnął gwałtownie. Zamykając drzwi poczuł opór, jakby o coś zahaczyły. Wychylił się, a w czerni schowka zobaczył parę srebrnych oczu. Docisnął z całej siły, a drzwi trzasnęły z hukiem. Panicznym wzrokiem spojrzął na wejście do pokoju z ciałem dziewczyny, żołądek podszedł mu do gardła, a włosy na rękach stanęły dęba. Czekał, wstrzymując oddech. Rozluźnił się dopiero po krótkiej chwili, gdy nic się nie stało. Przetarł spocone dłonie.

– O co chodzi – spytała?

– Co tam robiłaś? – warknął. – Jesteś tu już trochę, nie wiesz, że one siedzą w ciemności?

– Przepraszam. – Widział jej zaszkłone niebieskie oczy. Pamiętał jak go atakowała i czuł się nieswojo. – Miałam za tobą iść, to szłam...

– Czekaj – przerwał jej. – Jak to miałaś za mną iść? Kto ci kazał?

– Nie jestem pewna...

– Nie kłam, jak możesz nie wiedzieć? Mów prawdę, bo przysięgam, że cię tutaj zostawię.

– Mówię prawdę. Błądzą w tym labiryncie już od sama nie wiem jak dawna, ścigana przez potwory. Chowałam się gdzie mogłam i nie wychodziłam, dopóki nie musiałam. Aż nagle usłyszałam jakiś szept. Kazał mi iść za koroną. Niedługo później cię zobaczyłam, w tej kurtce, śledziłam cię aż tutaj... Musisz mi uwierzyć.

Zrobiła krok w jego stronę, ale chłopak odskoczył. Zatrzymała się zdezorientowana.

– Myślisz, że uwierzę w te brednie? Pracujesz dla dyrektora? Znow próbuje mną manipulować – zaczął się nakręcać, tracił chłodną głowę. – Nie daruję mu, zabiję skurwysyna.

– Dla kogo?

– Nie kłam!

Krzyknął głośno i wtedy uniosło się skrzypnięcie łóżka dochodzące z pokoju, w którym leżało ciało dziewczyny. Widząc dym wylatujący przez drzwi pchnął ją do sali obok, przewracając na plecy. Cień wychylił się zza drzwi i zauważył chłopaka stojącego teraz samotnie na korytarzu.

– Twoje ciało leży na łóżku w pokoju, z którego wyszedł upiór. Gdy za mną ruszy, wbiegnij tam, połóż się na łóżku i zaśnij, za wszelką cenę musisz zasnąć.

Mówił nie patrząc na nią, robił małe kroki w tył, wiedział, że jest w beznadziejnej sytuacji.

– Pomożesz mi? – spytała.

– Nie ma sensu, żebyśmy oboje zginęli.

Upiór stanął, zgarbiony. Spojrzenie obmierzłej kreatury dawało wystarczające

świadeństwo jej zamiarów. Taylor nie potrzebował drugiego dowodu na to, jak bardzo go nienawidzi; wszystko było wyryte w tym spojrzeniu. Cień zaryczał piskliwie, jakby tysiące paznokci zadrapało tablice w jednym momencie. Rzucił ostatnie spojrzenie dziewczynie leżącej w pokoju obok i uciekł wzdłuż korytarza. Cień wyłaniał się z każdej ciemnej plamy starając się go schwytać. Chłopak odwrócił się w biegu i zauważył ducha kobiety wbiegającego do sali. To może się udać, pomyślał. Jednak nie wiedział, dokąd biegnie i jak długa rzeczywiście jest srebrna nić.

Wtedy ogromna czarna ręka wyłoniła się z czerni i rzuciła nim w kąt sufitu. Uderzenie pozbawiło go tchu. Następnie cisnęła nim o ścianę i omal nie stracił przytomności. Zobaczył mroczki przed oczami i przez moment sądził, że jest już po nim. Jakimś cudem jednak udało mu się wykonać kopnięcie, a potem odskoczył poza zasięg upiornej ręki. Zrobił kilka kroków, ledwo utrzymując równowagę. Był osaczony czarnymi plamami, a jego głowę przesywał piskliwy dźwięk, jakby starego, zepsutego telewizora, który nie może złapać sygnału.

Błąkające się dusze patrzyły na niego z przerażeniem. Świat wirował mu przed oczami, a ból już nawet o sobie nie przypominał. Wystawił środkowy palec i obracał się tak, żeby pokazać go każdej zjawie w tym szpitalu. Pogodził się z losem.

Cień majestatycznie zaczął unosić się z czarnej plamy w towarzystwie gęstego dymu, gdy w pełni ukazał swą sylwetkę, zaświeciły też srebrne ślepia. Wiedział, że to koniec, że z tego się nie wyplącze. Całe życie unikał walki, tym razem nie miał zamiaru. Z całych sił ruszył na stwora z pięściami. Jednak kreatura zniknęła zanim zadał cios. Wylądował na czarnym punkcie pod nim, a nogi zapadły się po kostki w mazi. Każdy ruch sprawiał, że zatapiał głębiej, jakby wpadł w ruchome piaski. Walczył i szarpał się, ile mógł, jednak jego ciało tonęło.

– Pomocy! Ratunku! – krzyczał, ale nikt nie przyszedł z pomocą.

Żadna z dusz nie zamierzała się ruszyć – zbyt wiele widzieli, zbyt wiele złego doświadczyli w tym wymiarze, żeby teraz ryzykować swój los dla kogoś innego. Część z nich rozwarła usta w ogromnym uśmiechu. Gdy znalazł się już zatopiony po klatkę piersiową, cień wyłonił się za nim i złapał go za głowę, po czym wydał z siebie piskliwy krzyk wprost do jego ucha i gwałtownie wciągnął głębiej.

Czerń i cisza zastąpiła wszystko inne. Miał wrażenie, jakby znalazł się na środku basenu, którego przebijają punktowo pomarańczowe słupy światła. Zobaczył unoszącą się bezwładnie w wodzie matkę. Potem ich rodzinny dom, w którym się wychował, jak matka przesadza z alkoholem, gdzie go chowa, mimo iż nikt tego nie wiedział. Widział jak okłamywała wszystkich dookoła. Przed oczami ukazał się też moment napadu i chwila, gdy ojciec w nim ginie. Wszystkie te sytuacje były z perspektywy pierwszej osoby, z jego perspektywy, to on wlewał matce alkohol do gardła i to on był tym drugim napastnikiem, który zastrzelił ojca. Cień męczył go przeszłością wyrzucając na pierwszy szereg wszystkie momenty, których żałował w życiu najmocniej.

Zachłysnął się wodą, która dostała się do płuc. Spojrzał w prawo i zobaczył swojego ojczyrna, jak unosi się na wodzie. Przeniosło go do chwili, w której klócił się z matką

o pieniądze, jakie otrzymywała w rencie za zły stan psychiczny syna. Chciała, aby trafiały tam, gdzie powinny, a on je przepijał. Siedział na schodach jako nastolatek, patrząc na kłócących się starszych. Matka, broniąc syna, dostała w twarz od pijanego chłopaka, który ruszył po niego. Taylor wbiegł do góry i zamknął drzwi do pokoju swojego młodszego braciszka. Wtedy ojczym ściągnął go siłą na dół i rzucił go na kolana przed matką. Kazał mu powiedzieć, że te pieniądze należą się jemu i może robić z nimi co chce. Nie zgodził się, za co trafił do szpitala z omal śmiertelnymi obrażeniami. Wszystko wzięła na siebie matka, chroniąc tym swojego chłopaka. Widział, jak prosi swoją mamę, ale ta odpycha jego ręce i odchodzi, zostawiając go samego.

Czuł jak miejsce, w którym się znajduje przenika go na wskroś, wypełnia nie tylko jego myśli, ale wlewa się w jego ciało jak woda, a on je wchłania niczym gąbka powodując doznania tak straszne, że nie mógł nawet krzyknąć. Każdy ruch powodował więcej bóleści. Ta nieustająca obecność wysysała jego myśli, stopniowo tracił siebie, wolę walki, a na końcu nadzieję, bo ta umiera ostatnia.

Był gotowy się poddać, ale usłyszał błagalne wołanie braciszka. Nie widział go, ale wiedział, że tam jest, pamiętał również co mu obiecał. Zaczął płynąć w górę, ku pomarańczowemu światłu, machając kończynami z całej siły. W płucach zaczęło brakować mu powietrza, a skóra piekła. Gdy dopłynął do powierzchni, uderzył głową o szklaną tafłę, która oddzielała to miejsce od Umbry. Dostrzegł niewyraźny korytarz szpitala. Bił pięścią w szkło, lecz bezskutecznie. Stracił oddech, opadł z sił i zawisł bezwładnie w wodzie. Zaczął powoli opadać. Z na w pół otwartymi oczyma dostrzegł dwa zbliżające się srebrne punkty. Dobrze znany mu przeciwnik płynął na niego z ogromną prędkością. Wtedy szkło nad nim wystrzeliło, śląc refleksy tysiąca fleszy, ktoś wyciągnął go z cienia, wyrzucił w punkt rozświetlony pomarańczowym światłem. Ochocho łykał powietrze, po czym zwymiotował smołą. Dymił się białą parą, charcząc uniósł wzrok i przez niewyraźny obraz dostrzegł biegnącą kobietę w białej sukience, z narzuconą skórzaną kurtką i czarnych włosach.

– Czekaj... – wystękał.

Chciał zawołać, ale znów zwrócił resztki zalegającej wydzieliny. Gdy uniósł głowę, już jej nie było. Podniósł się i oparł o ścianę. Zobaczył ludzi w dokładnie tej samej pozycji i doszło do niego, że nie ma zamiaru być jak oni. Trzeba się pozbierać i wrócić do ciała – nikt tego za mnie nie zrobi, pomyślał. Widział, że słońce w tym wymiarze zaczyna zachodzić, mrok pochłaniał korytarze i zakręty.

Zaczął biec tak szybko, jak się dało. Trasa powrotna skierowała go obok drzwi na oddział zakaźny. Tu, w Umbrze, również były zamknięte. Nadłożył drogi, ale przynajmniej był pewien. Docierając do swojego pokoju zauważył kościstego stwora, który był skryty w jednym z cieni kilka metrów od niego. Stali w bez ruchu. Taylor czuł jak miękła mu noga – w tym stanie nie mógł dalej tu zostać.

Wiedział, że się udało. Upiór stracił swoją powłokę. Nie ma w zanadrzu pustego ciała, którego mógłby użyć. Zdawał sobie sprawę, że tym rozwścieczy go jeszcze bardziej, ale jakie to miało teraz znaczenie. Uśmiechnął się do niego szyderczo

w ramach triumfu. Po raz pierwszy w jego życiu czuł się zwycięzcą w starciu z upiorem. Dumny z siebie, mimo iż ledwo stał na nogach, satysfakcja była warta tego wszystkiego. Udał się do łóżka, a cień zaryczał głośno. Wył i piszczał, rzucał się po czarnej powierzchni jak dzikie zwierzę zamknięte w klatce, skacząc od ściany do ściany.

Taylor położył się nieśpiesznie na łóżku.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy i poczuł jak fala wymiocin zalewa mu usta. Zwymiotował za łóżko. Był podpięty do aparatury, z wbitym w żyłę wenflonem z kroplówką. Czuł się słabo, ale jakby bolało mniej. Odpiął od siebie aparaturę i usiadł na skraju łóżka. Przetarł usta dłonią. Był przebrany w szpitalną odzież.

Spróbował wstać i kiedy to zrobił, świat zawirował. Po chwili wzrok się wyostrzył, a on zarzucił na siebie świeżą i pachnącą kurtkę. Wziął ze sobą stojak do podpierania. Kroplówki nie odłączył, czuł, że jest mu potrzebna. Wybrał się do pokoju znajomego starszego mężczyzny. Był środek dnia, więc szpital tętnił przepelniony ludźmi. W tłumie rzuciła mu się w oczy dziewczyna w białej sukience, zatrzymał się, serce zabiło szybciej. Ale okazało się, że miała jedynie biały za długi podkoszulek i była zbyt tęga, by pasować do tej, którą widział. Siedziała w towarzystwie starszego mężczyzny z rozbitą głową i dociskała czerwoną szmatę, starając się zatamować krwawienie.

Niedługo później stał w drzwiach do pokoju starca.

– Udało się jej? – spytał.

Noah był w trakcie jedzenia zupy.

– Tak – odparł. – Jakiś tydzień temu wyszła ze szpitala. Gdzieś ty się podziewał? – Dopił zupę przechylając miskę. – Bałem się, że cień cię dopadł.

– Co? O czym ty mówisz? – spytał marszcząc czoło w konsternacji.

– Myślałem, że cię wykończył, albo...

– Nie, nie to – przerwał mu. – Jak to tydzień temu? Przecież to wszystko dopiero się wydarzyło.

– Nie, chłopcze, minęło sporo czasu. Nie zauważyłeś, że patrzysz obydwoma oczami? Co się stało z twoim bratem?

Taylor ruszył pospiesznie do łazienki i spojrział w lustro. Miał zarost, a ślady po pobiciu prawie zniknęły. Pod opuchniętym okiem został jedynie siniak.

– O nie – wyszeptał.

## Rozdział 7

# Horyzont

– Wciągnął cię do czarnego punktu – rzekł staruszek. – To cud, że tu stoisz.

– Plan się nie powiódł, cień zauważył mnie za wcześnie, musiałem improwizować. – mówił wolno Taylor. – Pokazał mi wszystkie rzeczy, których żałuję. Wobec matki, ojca oraz brata, dając do zrozumienia, że to moja wina. Dlaczego to zrobił?

– Dlatego, że ten, który cię pojmał przeszedł przez życie męczony poczuciem winy. Zarówno Umbra jak i cienie żywią się silnymi emocjami. To ich podstawowy budulec. Czym mocniejsze emocje towarzyszą wydarzeniom w tym świecie, tym mocniej odciskają swe piętno na tamtym. Są one jednak nie tylko materią tworzącą tamten świat, ale i energią wypełniającą ją i napędzającą. Charakter tych emocji to kwintesencja nadająca charakter Umbrze. Przedstawiał ci wszystkie momenty w twoim życiu, za które podświadomie obwiniasz siebie, tak jak on to robił, gdy jeszcze żył. Chciał, byś poczuł jego ból, zamierzał zarzucić ci na barki ten sam ciężar, jaki on niósł przez życie, ciężar, który był torturą. Cień ten jest dzieckiem tego, co negatywne, więc i takich emocji łaknie, by uczynić Umbrę podobną temu, co jego spaczyło i ukształtowało, a to długotrwały proces nasączenia negatywnymi emocjami, które w tobie wyzwał.

– Nie rozumiem – zamyślony Taylor podrapał się po brodzie. – Przecież to był moment.

– Pamiętasz moment – kaszlnął – ale to nie znaczy, że tyle tam byłeś. Widzisz, w naszym świecie też nie wszystkie drapieżniki od razu zjadają ofiarę. Niektóre paraliżują ją, by złożyć w niej jaja i utrzymują przy życiu w pół letargu, by ich potomstwo mogło rosnąć karmione przez żywą ofiarę.

– Dzięki – spojrzał na starca, z obrzydzeniem łapiąc się za brzuch.

– Nie twierdzę, że tak było. – Noah uniósł ramiona. – Jednak brawo dla ciebie, wydostałeś się nie mając przy sobie latarki. Jesteś pierwszym przypadkiem, któremu się to udało.

– Drobnny szczegół jest taki, że to ktoś mnie stamtąd wyciągnął.

– Co? – Starzec zmierzył go baczny spojrzeniem.

– No tak.

– Jesteś pewien? Nie wydawało ci się?

– To była dziewczyna w białej sukience, jestem tego pewny, widziałem ją. – Spojrzał na strupy na dłoniach, zaczynały odchodzić, swędziały od gojenia.

– Ta sama, którą spotkałeś wcześniej? – ciągnął staruszek.

– Nie wiem, chyba tak.

Na chwilę obaj zamilkli.

– Pozytywną wieścią jest to, że blondwłosa nie będzie już dręczona. Uratowałeś ją – burknął mężczyzna.

– Z traumą na całe życie, przez którą będzie budzić się po nocach z krzykiem. Ale przynajmniej w swoim ciele. – Chłopak westchnął. – Ona mówiła o kimś, nie pamiętam dokładnie...

Zamknął oczy próbując sobie przypomnieć.

– Chłopcze, nie dociskaj, dopiero co wróciłeś.

– Mówiła, że ktoś jej powiedział, żeby za mną szła. Komunikowałaś się z nią?

– Nie wiedziałbym jak.

– Skoro nie ty, to kto? Zresztą – machnął ręką – nie ma to teraz większego znaczenia. Jeden z dwóch problemów mamy za sobą, zostaje ten drugi. Powiedz mi, jak mogę ominąć drzwi do zamkniętego skrzydła? Mówiłeś, że jest sposób.

Noah zaczął szybciej oddychać. Wahał się z odpowiedzią bardzo długo.

– Powiedz – naciskał na niego Taylor.

– Minęło zbyt dużo czasu, żeby tak ryzykować. To, co musiałbyś zrobić jest samobójstwem. – Z każdym słowem jego głos brzmiał słabiej. – Spróbuj najpierw dowiedzieć się stąd, że on tam rzeczywiście jest.

– Nie.

– Pomyśl, minął ponad tydzień, odkąd tam trafił. Siedem dni, odkąd porwał go cień, ile ty byś tam przeżył? Pięć dni? Chcesz ryzykować własne życie dla przegranej sprawy? Jesteś dobrą osobą, masz talent, możesz...

– Nie znasz mnie! – warknął chłopak, przerywając słowotok staruszka. – Niewiele o mnie wiesz i nie znasz mojego brata. Philip torturował mnie i wrzucał w ten przeklęty wymiar, każdego pieprzonego dnia, przez pół roku. Więc co to jest tydzień!? On żyje i ja o tym wiem – starał się uspokoić głos. – Mieliliśmy umowę...

– Czy wszystko w porządku?

Przerwała im pielęgniarka, która przechodząc obok usłyszała krzyk.

– Nic nam nie jest, proszę się nie martwić – odparł pośpiesznie starzec, ale kobieta ani drgnęła. Stała i czekała, nie spuszczając wzroku z Taylora.

– Tak, wszystko ok. Słyszała go pani. – Uśmiechnął się nieszczerze i zamknął drzwi, a kiedy poszła dalej znów je otworzył i wrócił na krzesło. Potarł dłonią twarz, aby się uspokoić.

– Zrobiłem o co prosiłeś, dziewczyna jest bezpieczna i wolna – odezwał się ponownie. – A teraz powiesz mi, jak mam dostać się do zakaźnego.

Mierzyli się wzrokiem jak dwaj rywalizujący rewolwerowcy.

– Musisz wejść głębiej. – Noah w pozornie spokojny ton wplótł szorstką, metalizowaną nutkę ostrzeżenia. – O ścianę dalej. Musisz dostać się przez Umbrę do Horyzontu.

– Horyzont? Mam dziwne wrażenie, że kiedyś o tym słyszałem.

– Zanim powiem ci, jak się tam dostać, muszę cię ostrzec. Umbra i Penumbra jest czymś, co znasz, a mimo to wciąż cię przerażają. To jednak nic w porównaniu z Horyzontem. To świat jeszcze mroczniejszy. Miejsce, do którego chcesz się wybrać to bariera oddzielająca Umbrę Bliską, w której znajdują się emanacje wierzeń ludzi, lecz znacznie silniejsze, w pustce Horyzontu istnieją rzeczy zupełnie obce ludzkiemu umysłowi, niosące ludziom szaleństwo, a nawet śmierć duszy. Podobno wygląd tego miejsca jest oparty na punkcie widzenia samego widza. Niektórzy szamani twierdzili, że to miejsce bardziej reprezentuje ideały i pojęcia, niż duchy. Jeszcze inni widzieli rzeczy w stanie rozkładu, ogromną czerwoną lukę plującą lawą nad rozpadającymi się budynkami i ciałami, zalanyymi rdzewiejącymi wydmami samochodów. Mogłoby się wydawać, że jest kilka tych miejsc, albo jedno oszukujące oczy swojego intruza. – Zakaszłał i przetaił usta. – Byli nawet tacy o poetycznym zacięciu, co twierdzili, że jeśli nasz świat jest snem bogów, to Horyzont jest ich koszmarem, a niektórzy nawet mówili, że miejscem, gdzie nawet oni nie śmiały się zapuszczać, jeszcze inni twierdzą, że gdy świat wyłonił się z chaosu, by zrobić miejsce porządkowi, ten nie zastąpił go i zepchnął na peryferie swego istnienia, a tam znajduje się coś, co zostało wygnane, a może zawsze tam było i światło kreacji jedynie wyrwało go z odwiecznego snu. Podsumowując, nikt nie wie, jak tam jest i nikt o zdrowych zmysłach się tam nie zapuszcza. Aby móc wrócić z powrotem do swego ciała, twoja srebrna nić musi być mocniejsza niż ta, którą posiadasz teraz. Do dziś w Ameryce Południowej szamani biją w bębny i palą zioła, aby odstraszyć złe duchy zanim przekroczą granicę. Umiejętność oddzielenia duszy od ciała opanowali do perfekcji. Robią to niemal na zawołanie, nie potrzebują do tego snu. W parze z tym idzie wiedza o zagrożeniach czyhających na nich po drugiej stronie oraz doświadczenie, jak z tym zagrożeniem postępować. Musisz zrobić dokładnie to, co ci powiem, aby wzmocnić swoją więź z ciałem, podczas gdy będziecie rozłączeni. Działa to tylko przez chwilę, ale pogrubia nić i wydłuża jej zasięg. Niestety nie wiem, ile trwa taka chwila. Przez trzy godziny bez przerwy musisz wybijać rytm na bębnie i śpiewać te słowa. – Podał mu kartkę. – I palić miksturę z ziół, po czym wejść do Umbry. W tym czasie nie wietrzyć pomieszczenia, wyłączasz klimatyzację, zaklejasz czujnik dymu, wszystko musi zostać w pokoju.

– Trzy godziny, plus podróż... na pewno ktoś wejdzie do pokoju. – Zagryził wargi, zmartwiony. – Do tego jak zobaczą dym, to pierwsze, co zrobią to mnie wybudzą.

– Naprawdę? – Staruszek wytarł nos chusteczką. – Z wszystkiego co ci powiedziałem, tym się martwisz?

– Trzy godziny, fajka, bębny. Co dalej?

– Potrzebne ci duże lustro, takie, przez które przejdiesz. Albo gładka tafla wody. Odbicie jest drzwiami, do tego co dalej. Słuchaj, chłopcze, to, że jakimś cudem udało ci się wydostać z cienia, nie znaczy, że stanie się tak i tym razem. Nie znam osobiście przypadku powrotu z Horyzontu, a byli tacy, co przenikali do dalszego wymiaru. Nie musisz tego robić.



– Muszę – odparł bez sekundy zawahania. – Jeżeli spróbowałbym wkraść się tutaj, mimo iż nie mam wiedzy ani wyszkolenia, aby takie rzeczy robić i zostałem złapany, dyrektor miałby prawo do zamknięcia mnie w zakładzie. Nie ocaliłbym brata ani siebie, Philip nie wypuściłby mnie drugi raz. To jedyna opcja.

– Rozumiem. W takim razie pamiętaj, że nieważne co się będzie dziać, nie wolno ci stracić kontaktu ze srebrną nicią. Jeżeli tak się stanie, nie będziesz mógł wrócić do Umbry, a jak się domyślasz, nie wrócisz wtedy również do swojego ciała. Nie zapomnij o tym.

Taylor przytaknął i obaj zamilkli.

– Zioła przygotowałem dla ciebie wcześniej, po tym, jak rozmawialiśmy o tym pomysłe za pierwszym razem.

Staruszek wskazał palcem plecak leżący na krześle. Chłopak podszedł do niego i zajrzał do środka, był w nim worek dziwnej długiej zielono-żółtej trawy, fajka, zapalniczka i taśma.

– No proszę. – Zaśmiał się. – Mam to spalić?

– Dokładnie tak. Bębnów niestety dla ciebie nie mam.

– Mam wiadro, do którego wcześniej rzygałem.

Dziadek zrobił z ust podkowę i przytaknął, zatwierdzając pomysł.

– Powodzenia, chłopcze. – Uścisnęli sobie dłonie. – Nie wierz w nic, co Horyzont ci pokaże.

Taylor zabrał rzeczy, schował do kieszeni kurtki i wyszedł. Następnie podszedł do punktu informacyjnego i zastał tam znajomą czarnoskórą recepcjonistkę.

– Dzień dobry, chciałem zapytać o pewnego pacjenta, który zmarł w tym szpitalu ponad tydzień temu.

– Yhym? – spytała znudzona, unosząc wzrok. Głośno żuła gumę.

– Co się stało z ciałem? Czy było stąd zabrane? Odbył się pogrzeb?

– Proszę pana, takie informacje mogę podać jedynie najbliższej rodzinie. Kim pan był dla pacjenta?

– Bratem.

Kobieta spojrzała na monitor i dosunęła do siebie klawiaturę.

– Ale tam tego nie będzie, mama nie wpisała mnie jako syna.

Kobieta uniosła głowę i miał wrażenie, że zaczęła żuć gumę wolniej i głośniej.

– To znaczy, otrzymywałem informacje od lekarza, bo mu pozwalała, gdy... – Czuł się zrezygnowany. – Mniejsza o to – dodał po chwili. – W takim razie czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę panią Anię?

– Pani Ania to kto?

– Pielęgniarka.

– Nazwisko pani Ani? – Znów dosunęła klawiaturę.

– Nie znam.

Znów uniosła głowę, nie żuła już gumy.

– Na pewno pani pamięta. Kilka dni temu w środku nocy ją spotkałem. Akurat oddawała pani dokumenty, uciekała przede mną...

Gdy powiedział to na głos od razu zamilkł, kilka sekund wpatrywania się sobie w oczy, chłopak odszedł bez słowa czerwony ze wstydu. Dlatego nie rozmawiam z ludźmi – stwierdził. Wrócił do siebie i zasłonił żaluzję. Wyciągnął podarowane mu przez staruszkę fanty z kurtki, po czym złapał za wiadro spod łóżka. Wszystko ułożył na podłodze. Następnie przeszukał łazienkę, ale nigdzie nie znalazł maszynki do golenia, broda go drażniła, swędziała. Postawił krzesło na środku i wszedł na nie, rozciągnął taśmę i zaczął ją przykładać do czujnika.

– Co robisz?

Usłyszał znajomy głos, dźwięk, który coraz bardziej lubił. Ania stała w drzwiach z uśmiechem na ustach, jakby zadowolona z tego, że wzięła go z zaskoczenia. Ucieszyła się, że go widzi.

– No złaż już, nie musisz odpowiadać – dodała.

Po chwili przytuliła go, poczerwieniał, ale nie objął jej, wstydził się, trzymał ręce wzdłuż tułowia. Puściła, a on odwrócił wzrok zmieszany, nie wiedział, jak się zachować.

– Cieszę się, że nic ci nie jest – ciągnęła. – Jak się czujesz?

Uśmiechnął się blado. Nie odpowiedział.

– Poprosiłam lekarza, aby niebawem do ciebie zajrzał.

– A czy możesz go poprosić, aby do mnie nie przychodził? – rzucił szybko. – Na przykład do jutra?

– Przez tydzień leżałeś w śpiączce o takich samych symptomach jak twój brat. Trzeba cię zbadać.

– Nic mi nie jest. Potrzebuję kilku godzin spokoju, to wszystko. – Był podenerwowany, błądził dłońmi próbując znaleźć dla nich miejsce. – Możesz to dla mnie zrobić?

Ania pokręciła głową. Nie była zadowolona.

– O co chodzi? Mów szczerze – odparła twardo, z nutą gniewu w głosie.

Spojrzał jej głęboko w oczy, wiedział, że zasługiwała na prawdę, jak również, że nie była na nią gotowa.

– Potrzebuję, aby nikt tutaj nie wchodził przynajmniej do wieczora, a także muszę wiedzieć czy lustro w sali, w której zszywałaś mi bark nadal tam stoi?

– Dzisiaj go tam nie było, a co?

– Możesz je tam przenieść z powrotem?

Roześmiała się.

– Co? Mam sama targać lustro... Mów, o co chodzi, bo nieswojo się zachowujesz i dziwnie gadasz.

– Ale nie dziś – wymamrotał.

– Dlaczego nie dziś?

Westchnął.

– Nic byś z tego nie zrozumiała.

– Masz mnie za kretynkę? – Popatrzył jej w oczy, aby stwierdzić, czy się droczy, czy mówi poważnie. Nie umiał stwierdzić.

– Proszę – jęknął. – Pomóż mi. Potrzebuję twojej pomocy. Wszystko wyjaśnię potem.

Długo na niego patrzyła, namyślając się. W końcu ruszyła w stronę drzwi, a będąc prawie przy nich, odwróciła się i powiedziała:

– Lekarz przyjdzie wieczorem, a lustro będzie tam, gdzie chcesz i lepiej, żeby to było czegoś warte. I nie spał szpitala.

– Ostatnie pytanie – wtrącił szybko.

– Tak?

– Czy mój brat miał pogrzeb?

– Tak. Przykro mi, że cię tam nie było.

Krótko potem wyszła z sali. On natomiast nabił fajkę mieszanką ziół i wsadził ją do ust. Rozpalił, odłożył zapalniczkę i włączył stoper na telefonie opartym w pionie tak, aby nie przestał się ładować, po czym zaczął rytmicznie wybijać melodię śpiewając zupełnie nieznane mu słowa. Minuty mijały, a on bez przerwy powtarzał czynność.

Wchodzenie w trans przyszło mu bez większych komplikacji. Niedługo po rozpoczęciu poczuł moc ziół, jakie przygotował mu dziadek. Czuł jak jego ciało się unosiło, mimo iż był świadomy, że nigdzie się nie ruszył. Głowa się oddalała, odpływał myślami, do teraźniejszości oraz przeszłości, rytuał otwierał przed nim to, co zostało przed nim ukryte, co mózg odrzucił. Werble od prowizorycznego bębna dudniły, a on nucił, robił to już jak z autopilota, nawet o tym nie myślał, po prostu działało się samo. Utracone wspomnienia wracały do niego jak bumerang, tylko po to, aby pokazać coś nowego. Wtedy do niego dotarło, dlaczego to wszystko wydawało mu się znajome, dlaczego wchodzenie w trans nie było dla niego niczym nowym. Przez czas spędzony w zakładzie był poddawany różnym metodom przechodzenia przez granicę, wliczając leki psychotropowe, fajki, narkotyki, hipnozę i ayahuascę czy melodie na bębnach. Teraz to pamiętał. Wszystkie opowiadania o Horyzoncie były wpajane mu przez Philipa podczas, gdy Taylor był w transie. Ten wymiar był głównym celem dyrektora. Porównywał to do alkoholu, stan zawsze był ten sam, ale po każdym był inny kac. Zioła uspokajały jego umysł łagodnie, jak kołysanka. Wczuwając się i oddając rytuałowi nawet nie zauważył, kiedy minęły trzy godziny. Był gotowy.

Rozluźnił mięśnie, wypuścił dym z płuc i mrugnął, a po otwarciu oczu był już w Umbrze. Od razu zaczął żałować, że nie pamiętał tej metody, kiedy przybył do szpitala. Podniósł się i wychylił za drzwi. Ku jemu zdziwieniu na korytarzu nie było

nikogo, nie było cieni, nie było dusz, nie słyszał krzyków, nie była to również Penumbra, powietrze i smród się zgadzały.

Sala z lustrem znajdowała się piętro niżej. Skradał się, jakby chciał wymknąć się rodzicom z mieszkania w środku nocy, ostrożnie, z nogi na nogę.

Zszedł schodami ewakuacyjnymi. Szpital był pusty. Wyprostował się więc i pobiegł truchtem. Mijając jeden z zakrętów dostrzegł płaczącą kobietę przytuloną do ściany. Jak tylko go zobaczyła – uciekła. Natrafił na drzwi do sali z rentgenem i oczami wyobraźni ujrzał opętaną kobietę stojącą tuż przed nimi. Pomasował się po ramieniu, w który go ugryzła. Wszedł do miejsca docelowego, gdzie znajdowało się lustro. Podszedł do niego ostrożnie, przyglądając się niepewnie własnemu odbiciu.

Po głowie chodziły mu ostrzeżenia dziadka. Nie wiedział czy jego brat wciąż żyje, a jeżeli tak, to kto leżał w trumnie? Kogo pochowano? Pytań było wiele, ale czas pędził nieubłaganie i należało działać. Nie wybaczyłby sobie, gdyby nie spróbował ocalić braciszka.

Wyciągnął rękę i dotknął lustra, które po zetknięciu z palcami zachowało się jak gęsta ciecz. Dłoń niemal cała się w niej zatopiła. Wyczuł, że temperatura po drugiej stronie jest dużo niższa.

Teraz albo nigdy, pomyślał, zamknął oczy, po czym wszedł na drugą stronę. Z miejsca uderzył w niego chłód, jakby wyszedł z domu w środku zimy. Stał w tym samym pokoju, z którego wszedł do Horyzontu, tyłem do lustra. Mnóstwo kurzu i popiołu spowijało pomieszczenie, a tańczące w powietrzu pyłki udowodniały, że istniał tu przeciąg. Było mroczniej niż w Umbrze. Horyzont miał klimat opuszczonego zamczyska, oświetlonego światłem księżyca. Wszystko wyglądało, jakby przeskoczył sto lat do przodu, gdzie ludzkość wyginęła i nagle pojawia się on. Niechcący szturchnął łóżko, które sunęło delikatnie po posadzce, skrzypiąc cicho. Temu miejscu towarzyszyła ta sama cisza, co we wcześniejszym wymiarze. Spojrzał za siebie i zauważył lewitującą nić, świecącą błękitną poświatę, ciągnącą się od jego pleców i niknącą w lustrze. Próbował ją łapać, ale efekt był taki sam, jak przy podłożeniu dłoni pod kran. Zmieniała kształt, dawała opór, ale po zabraniu ręki wracała do swej pierwotnej postaci. Po tej stronie srebrna nić była widoczna i zastanawiał się czy tylko dla niego.

Wolno otworzył drzwi. Jedna z lamp strzelała ikrami, a rozbłyśki rzucały światło na porośnięte mazią ściany o zgniłym kolorze. Pomijając fakt, że szpital wyglądał jak po wojnie, na pierwszy rzut oka wydawał się nie różnić niczym od tego rzeczywistego. Zobaczył stertę zbutwiałych kości, wymieszanych jak krzywe, poźółkłe patyki. Śmierdziało padliną i czymś kwaśnym, oddychanie przez nos przychodziło mu z trudem i niemalże nie wchodziło w grę. Skrzyżował ręce na klatce piersiowej, by choć trochę zatrzymać ciepło i poszedł dalej, rozglądając się uważnie. Było cicho, w tle gwizdał przeciąg, czuć było podmuchy zimnego wiatru.

Wszedł po kostki do jakiejś brei, której wcześniej nie dostrzegł przez unoszącą się nad podłogą mgłę. Była lodowata i wlatywała mu do butów. W mazi dostrzegł dłoń. Należała do wrośniętej w ścianę kobiety, zielony grzyb pokrywający tę stronę holu,

wchłonął większą część jej ciała, głowa zwisała bezwładnie. Słyszał jej ciche stękanie, a z ust długim, cienkim strumieniem ciekła ślina. Kobieta wydawała się być przytomna. Do jego uszu doszedł dziwny dźwięk – klikanie jakby uderzanych o siebie kamieni. Coś poruszyło wodę. Spojrzał w głąb korytarza. Jakaś postać uskoczyła do alejki obok, zbyt szybko, by mógł dostrzec co, lub kto to był. Klikanie ustało. Fale, jakie wywołało to coś, właśnie sięgnęły nóg chłopaka, zauważył wtedy, że kostki obejmują mu sine, ludzkie palce, odskoczył chlapiąc na wszystkie strony. Gdy się zatrzymał kilka kroków dalej, a woda się uspokoiła, nie widział żadnych dłoni, mgła ponownie spowiła taflę wody.

Serce dudniło jak szalone, to miejsce nie było takie, jak Umbra, dawało wrażenie cielesnego, jak świat materialny. Kobieta nie była duchem, była tu ciałem. A to znaczy, że weszła dobrowolnie. Musiał być ostrożny, żeby nie skończyć tak jak ona. Spojrzał za siebie, srebrna nić miała się dobrze. Przeskakując miejsce, w którym coś go złapało, poszedł dalej i dotarł do miejsca, gdzie uskoczyła tajemnicza postać, ale korytarz był zablokowany betonową ścianą. Pierwsza różnica, pomyślał. W suficie, na wysokości dwóch metrów, była dziura; żaden człowiek by tam nie doskoczył, zastanawiał się kim w takim razie był osobnik, który go obserwował.

Podbiegł do klatki schodowej i dla bezpieczeństwa jeszcze raz się rozejrzał, otworzył drzwi i wypadł zawieszając się na klamce. Klatki nie było, wraz z połową budynku, który był jakby odcięty, precyzyjnie na pół, a druga połowa gdzieś wyparowała. Wisiał z całych sił trzymając się rozkołysanych drzwi, kilkadziesiąt metrów nad przepaścią, na dnie której widział ostre skały. Zaczął machać nogami rozhuśtując się, podczas pierwszej próby nie sięgnął gzymsu, a pierwszy z zawiasów się urwał. Drzwi się przechyliły, odgłos pękającego drewna niósł się echem, palce słabły, wiedział, że zostało mu kilka sekund. Energicznie zachybotał swoim ciałem, kierując się wprost na betonowy występ. Gdy udało mu się chwycić, drzwi spadły, a po krótkim locie roztrzaskały się o szpikulce. Wspiął się do środka budynku i padł na plecy, dysząc ze zmęczenia. Poczul piekące palce, całe były poranione. Przetarł przedramieniem mokre czoło, wstał i spojrział na miasto, które było w ruinie. Gdzieniegdzie kopcił się dym jak ze świeżo zgaszonej świecy. Wieżowce, miastowi weterani, kruszyły się i łamały przybierając dziwne kształty, niosąc pogłos pękającej stali i szkła. Zimno przenikało na wskroś. Drobiniki popiołu i pyłu łączyły się w górze i zmieniały w centymetrowe płyty, by po opadnięciu pokryć skrzącym się w odcieniach chromowanej szarości lumenem całe okropieństwo Horyzontu.

Na dalekim gruncie za zrujnowanymi budynkami dostrzegł zarys tytanicznej postaci. Człowiek, leżący na brzuchu zasłaniający głowę rękoma, ruszał się wolno, był nagi i mierzył ponad dwieście metrów. Wył akustycznie powtarzającymi się strofami dźwięków, niczym waleń. Nie widział wyraźnie z uwagi na odległość i dym, ale po brudnym zalany krwią i czymś jeszcze ciele olbrzyma coś pełzało, jadło go żywcem. Nie potrafił powiedzieć co to było, przypominało pijawki. Na zachód od niego był kolejny, siedział skulony, z nogami dosuniętymi do klatki, chowając głowę między kolana i ramiona. Robale również nie dawały mu spokoju. Szybko zrozumiał przekaz,

Horyzont jest wytworem tego, co leży w głowie osoby podróżującej. Ci olbrzymi byli nim, jego antysocjalnymi zahamowaniami, wstydem, depresją, a robaki trawiły ich tak samo, jak uczucia zżerały od środka. Wielkość problemu przerosła samo miasto, stąd rozmiar osobników.

Ponownie usłyszał głośnie klikanie. Przez otwarte drzwi nad przepaścią do budynku wpadało dużo światła, maź na ścianach się ruszała, spinała się jak mięśnie i rozluźniała. Znów ten dźwięk, tym razem o wiele bliżej, odruchowo skrył się za najbliższymi zaroślami, które wyrastały ze ściany. Usłyszał stąpania więcej niż dwóch odnóży. Były twarde i ciężkie. Poczwara skoczyła jak pasikonik przed wyważone drzwi i zaczęła je obwąchiwać. Klikania zwolniły wyraźnie, furczał jak wściekły byk, po trzech szybkich wdechach agresywnie się odwrócił. Taylor nie wiedział, jak teraz wygląda, ale przerażające odgłosy w zupełnie obcym mu miejscu sprawiały, że drżały mu ręce, a nogi robiły się miękkie jak z waty. Przyłożył dłonie do ust, wstrzymał oddech w obawie, że kreatura go usłyszy. Stwór wyciągnął powykręcaną rękę przed siebie, aż dotknął srebrnej nici chłopaka, która od kontaktu zaświeciła mocniej, a Taylor poczuł jakby jechał kolejką górską w dół. Dziwotwór zrobił krok w tył i zaryczał ostro, nieludzko. Spojrzał w obie strony, tak jak ciągnęła się nić, wybrał lewo, gdzie dwoma susami zniknął za zakrętem.

Chłopak odetchnął z ulgą, ale wiedział, że to jeszcze nie koniec. Chciał wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, z przerażenia ciało nie zgadzało się na dalszą podróż. Uspokoił się, przypomniał sobie po co wszedł do tak koszmarnego miejsca, zacisnął pięści i podniósł się. Nie wiedział jednak jak ma się dostać piętro wyżej, skoro klatka schodowa jest zniszczona. Spojrzał na winde, otaksował przestrzeń wzrokiem i zauważył, że górne wejście również jest otwarte, wszedł zatem do szybu i stąpając ostrożnie z rękoma na boki utrzymywał równowagę, by nie spaść. Wyciągnął rękę do drabiny przymocowanej do jednej ze ścian i złapał się jej. Już miał wychodzić w górę, gdy jakiś ruch przykuł jego uwagę. Zauważył bardzo starego człowieka wtopionego plecami w beton. Ręce, nogi i głowa wisały bezwładnie, jak w średniowiecznych dybach. Przyglądał mu się oczyma pozbawionymi jakichkolwiek nadziei, a po chwili wyciągnął do niego rękę. Na górze coś gruchnęło, zakotłowało, chwilę później dostrzegł spadające kawałki gzymsu. Taylor przylgnął do metalowych dranek, ciągnąc za sobą ręce starca, dzięki czemu nie zostały połamane. Twarde uderzenie o dno uniosło się echem i rozniosło tumany pyłu i kurzu. Zwróciło to uwagę stwora.

Taylor wspiął się na górę i wyszedł tuż przed oddział zakaźny. Część ściany była zawalona, a przez ogromną dziurę, wpadało szaro-fioletowe światło. Korytarz za nim był w kompletnej czerni, jak dno oceanu. Dłonie sztywniały z zimna, a lodowate powietrze kłuło w płuca, oddychanie przez nos wciąż nie wchodziło w grę przez nieustający smród. Zapiął kurtkę pod szyję. Miał nieustanne wrażenie, że nie powinien tam wchodzić, jakby samo miejsce było czystym złem.

Po wejściu na gruzy zeskoczył na drugą stronę do pomieszczenia zalanego lodowatą wodą sięgającą mu do pasa. Nie mógł opanować szczykania zębami, zuchwa samoistnie drgała. Starając się ogrzać, chuchnął w dłonie. W ogromnym jak

hala pomieszczeniu było mnóstwo łóżek szpitalnych, ponad sto, nad którymi wisiały małe lampy punktowe. Większość nie świeciła, a jeszcze mniej było leżących na łóżku nagich ciał, w dużych od siebie odstępach. Ruszył przez wodę. Spojrzał na nią, bladła, traciła na swej wyrazistości, rozumiał, że docierał do limitu swego zasięgu. Mimo to poszedł dalej, walcząc z oporem wody przyglądał się ciałom podpiętym do kroplówek z zielonym płynem wpływającym im do żył. Mijając jednego z leżących zobaczył, że ten szerniał w sekundę i rozsypał się jak piach, wsypując do wody.

Mężczyzna z łóżka obok podzielił ten sam los. Chłopak przyspieszył. W pewnej chwili rzuciło mu się w oczy ciało mniejsze od pozostałych. Popędził do niego. Nie czuł już zimna, przyływ adrenaliny oraz iskierka nadziei zepchnęły to odczucie na bok. Kątem oka zauważył pacjenta leżącego nieopodal, zdawał mu się być znajomy.

Widok nagiego, sinego z zimna braciszka, rozrywał jego serce. Nagle poczuł dziwny ciężar na klatce piersiowej. Odwrócił się i zobaczył, że srebrna nić jest już niemalże przezroczysta. Był przekonany, że kolejny krok ją zerwie. Max leżał zaledwie dwa metry od niego, widział jak niespokojnie oddycha. Zrobił dwa kroki w tył i poczuł się odrobinę lepiej.

– Braf, wsawaj – drgająca z zimna szczęka i skostniały język deformowały słowa.

Taylor zaczął chlapać jego ciało zimną wodą, ale to również nie pomagało. Dostrzegł kolejne dwie postacie zamieniające się w piach, było coraz mniej czasu, nie miał innego wyjścia, musiał zaryzykować.

– Braf, obuś se! – krzyknął niewyraźnie, ale głośno.

Tropiąca go kreatura odpowiedziała tym samym. Głos stukotu, jakby kamieni uderzanych o siebie, w połączeniu z nieludzkim krzykiem, niósł się przez dziurę w ścianie i przyprawiał o dreszcze. Taylora sparaliżował strach. Wiedząc, że ta już się zbliża, nie mógł pozbierać myśli. Spojrzał na swoją nić i złapał ją mocno, po czym pobiegł do brata. Połączenie pękło, a on wpadł bezwładnie pod wodę. Tafla zaczęła się nieśpiesznie uspokajać, rozbijając się delikatnymi pluskami o nogi łóżek. Po chwili Taylor wyskoczył spod wody i oparł się o łóżko Maxa. Czuł się słabo, ale lepiej niż na kończącym się zasięgu nici.

– Wstawaj, słyszysz!? – powtarzał. – Musisz się obudzić!

Robił wszystko co przyszło mu do głowy, łącznie z biciem w pierś, aż w końcu ciało chłopczyka zrobiło się cieplejsze i pociemniało.

– Taylor? – wyszeptał młody, nie otwierając oczu. – Jesteś tu?

– Tak! Jestem! – Uniósł jego głowę. – Wróciłem po ciebie!

Chłopiec otworzył oczy i zaczął się rozglądać, był odurzony, ledwo się ruszał.

– Nie widzę cię – wyszeptał.

– Stoję obok ciebie, trzymam twoją rękę...

Dłoń braciszka zaczęła rozsypywać się jak mokry piasek.

– Gdzie jesteś? Obiecałeś, że mnie nie zostawisz. Miałeś po mnie wrócić. – Głos mu się łamał. – Okłamałeś mnie. Powiedział mi, że odszedłeś, tak jak sześć lat temu, że mnie zostawiłeś.

– Nie! Nigdy bym cię nie...

Tym razem klikanie było głośnie, a z gruzów przy wejściu zaczęły sypać się kamyczki. Stwór już tu był. Wrócił wzrokiem i zobaczył Maxa teraz już całego z ciemnego piasku. Chciał krzyknąć, ale powstrzymał głos, bojąc się konsekwencji. Skrył się za łóżkiem zanurzając się w wodzie po pierś, słyszał, że stwór wszedł do środka. Chlusnęło głośno wodą. Braciszek rozpadł się sypiąc piachem po głowie chowającego się starszego brata. Stwór był coraz bliżej. Taylor ulepił z ciężkiego mokrego piachu kulę i cisnął ją najdalej jak tylko zdołał. Ta rozbiła się o jedno z łóżek, a stwór rzucił się na przynętę rozlewając wodę na boki, jak motorówka. Chłopak zaczął uciekać, a będąc przy dziurze w ścianie, usłyszał wściekły wrzask.

Patrzyli na siebie przez moment i ruszyli jednocześnie. Kreatura była od niego o wiele szybsza, nie zdążył przebiec połowy dystansu do windy, a stwór stał już w korytarzu. Kilka kroków przed nim w zaułku leżała latarka z tym samym wyrytym runem, jaki dał mu dziadek. Rzucił się na przedmiot i zaświecił wprost na stwora, będącego tuż za nim. Ten odskoczył, rycząc z bólu. Był teraz w pełni widoczny. Miał trzy krabie nogi, ludzkie ciało pokryte łuskami ze szponiastymi palcami i uśmiechniętą od ucha do ucha twarz z pochłoniętymi szaleństwem oczami. Z policzków wystawały mu szczypce, które były odpowiedzialne za charakterystyczne, upiorne klikanie. Stwór uciekł wybiegając po ścianie i wślazł do szczeliny w suficie.

Westchnął z ulgą.

Wyłączył latarkę, chcąc oszczędzić baterię. Dopiero teraz przyjrzał jej się uważnie. Wyglądała na wojskową z czasów pierwszej wojny światowej. W eterze gwizdzącego wiatru i jednostajnego, głuchego uderzania kropel o kałużę, zaczynały pojawiać się dźwięki, na początku ledwo słyszalne, ale z każdą kolejną coraz głośniejsze – charczenie i wycie na przemian. Zapach z fajki i odgłos bębnow słabły, przestawały działać, zamieszkałe ten świat istoty zaczęły wracać. To samo dotyczyło się jego, choć bez połączenia ze srebrną ni... – ocenę sytuacji przerwał mu widok świecącego się wężyka, którego końcówka właśnie wpadła do windy, to była jego srebrna nić, po zerwaniu cofała się do lustra, to była jego ostatnia szansa na powrót. Prędko! – wrzasnął w myślach.

Wystartował jak sprinter i dosłownie zsunął się po drabinie wewnątrz wjazdu do windy. Zerknął na wrośniętego w ścianę dziadka, który pokazywał palcem nad niego. Nie zdążył włączyć latarki. Stwór wgryzł się mu w przedramię, a krew bryznęła na beton i ściekła po nim fantazyjnym deseniem. Zaświecił mu latarką w oczy. Ten agresywnie wycofał się w górę, a światło zamigotało i zgasło. Bateria w końcu padła.

Stwór zaś zawył i ruszył do ataku. Chłopak skoczył do wyjścia windy. Kreatura zsunęła się niżej i w tym momencie złapał ją staruszek. Trzymał mocno, mimo iż stwór ciął jego kończyny jak masło. Starzec patrzył na Taylora błagalnym wzrokiem, ale nie były to oczy z prośbą o pomoc. Chciał, aby ratował on siebie.

Chłopak ruszył pospiesznie korytarzem. Zaraz potem wyłonił się stwór. Dało się słyszeć klikanie kleszczy. Wypluł rękę wybawcy, który swym poświęceniem kupił mu



kilka dodatkowych sekund. Odgłosy pozostałych, biegnących w jego kierunku były już prawie tak głośne, jak tego, co był tuż za nim. Było ich wielu, sufit sypał się tynkiem, a korytarz na wprost ukazał cienie biegnących, przerażających istot.

Wbiegając do pokoju zobaczył, jak lustro kończyło wciągając jego nić. Taylor ruszył, ile sił w nogach i z wyciągniętą ręką w ostatniej chwili dotknął nici, która zaświeciła ostrym światłem i podpięła do jego ciała. Potwór roztrzaskał drzwi na kilkadziesiąt kawałków, a chłopak, nie czekając ani sekundy dłużej, wskoczył do lustra i wylądował w pomarańczowym, cichym pokoju.

Odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i podparł na łokciach, z sercem w gardle patrzył na odbicie, widział jedynie zaparowania w kształcie odbicia łap stwora, bijącego w lustro po drugiej stronie. Najpierw dwóch, następnie dobiegło kilku kolejnych, chwilę później lustro wyglądało jak szyba podczas ulewy, a las wstrętnych łap był jak krople.

Podniósł się i zaczął biec po dobrze mu znanym, oranżowym holu. Po tej stronie było jeszcze pusto. Ostrożnie otworzył drzwi do klatki schodowej. Krew rozlewała się po ręce, a z dłoni kapiała na posadzkę. Bolało jak cholera, a on nie rozumiał jak to możliwe, że urazy fizyczne przechodzą między wymiarami. Przebiegając obok okna coś przykuło jego uwagę, do szpitala wtargnął czarny, duży i agresywny cień, którego rozpoznałby wszędzie. To ten sam, który męczył go od samego początku, ten, który zaatakował autobus, przygnał za nim aż tutaj, z drugiego końca kraju. Po ciele spłynął nieprzyjemny dreszcz grozy.

Taylor ruszył z całych sił i dobiegając do pokoju wskoczył we własne ciało.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Rozejrzał się. Jego łóżko było splamione krwią. Oszołomiony, początkowo nie czuł bólu – ten powrócił chwilę później. Zdjął kurtkę i obejrzał ślady po zębach kreatury. Rany wyglądały tak, jakby ktoś powypalał mu je zapalniczką samochodową. Potrafił zrozumieć fakt, że obrażenia w Horyzoncie przenoszą się do Umbry, w końcu wciąż był, a przynajmniej miał być duchem, ale fakt, że rany te przenoszone są na ciało fizyczne, było dla niego nie do pomyślenia.

Obmył w łazience rękę, a następnie założył opatrunek i ubrał się. W drodze do wyjścia dostrzegł stojący talerz z jedzeniem obok jego łóżka, czujnik dymu również był odklejony. Ktoś wywietrzył pokój. Wziął dwie kanapki i jadł po drodze. Dotarł do pokoju starca. Zobaczył jednak jedynie pościelone łóżko.

– Przepraszam, gdzie jest starszy pan, który tu leżał? – zaczepił przechodzącą pielęgniarkę.

– Starszy pan? – Zatrzymała się i popatrzyła na niego w zdziwieniu.

– No tak. Zgadza się, miał na imię Noah.

– Musiał pan pomylić pokoje.

– Słucham?

– Na tej sali od długiego czasu nikogo nie było. Więc, jeżeli pański znajomy był tutaj wcześniej...

– Nie! – rzucił wściekły i wskazał palcem na pokój. – Starszy mężczyzna. Był tutaj kilka godzin temu, rozmawiałem z nim.

– Proszę się uspokoić. – Pielęgniarka spojrzała za siebie, szukając pomocy u kolegów po fachu.

– Nie zamierzam się uspokajać, robicie ze mnie wariata! Gdzie on jest!?

– Proszę się opanować albo wezwę ochronę.

– Jasne, oczywiście. – Wziął głęboki wdech. – Od ponad tygodnia nikogo w tym pokoju nie było, mimo iż rozmawiałem z nim niemal codziennie. To pani chce powiedzieć?

– Mówię to panu, ponieważ nikt tutaj ostatnio nie leżał.

Zaczesał dłonią włosy do tyłu i nie odezwał się. Pielęgniarka stała przez moment zakłopotana. Tabletki, które zawsze trzymał w kieszeni kurtki wyparowały. Przebiegł dłońmi po każdej możliwej kieszeni i dopiero wtedy doszło do niego, że szpital dał kurtkę do pralni.

– Proszę pana, jeżeli mogę panu jakoś pomóc...

– Nie możesz. – Minął ją omal nie taranując. – Bo ci nie pozwoli.

Szedł korytarzem mijając pacjentów i lekarzy. Philip domyślił się, że staruszek mu pomaga, więc go odizolował. Będąc w Horyzoncie, jeden z nieprzytomnych pacjentów wydawał się znajomy. To musiał być Noah. Uderzyło go to teraz jak grom z nieba.

Pospiesznym krokiem minął sekretarkę, która zareagowała, gdy trzymał już klamkę. Wszedł prosto do gabinetu, podczas gdy ta niezgrabnie wbiegła za nim.

– Pan nie może tutaj wejść! – krzyknęła.

Dyrektor wyrzwał spod laptopa na stojącego przed nim zdenerwowanego Taylora.

– Nic się nie stało – uniósł rękę, dając do zrozumienia, żeby wyszła. – To stary przyjaciel.

Kobieta przytaknęła i wyszła z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Philip wskazał ręką na fotel przed jego biurkiem, ale Taylor ani drgnął.

– Nie? To może coś przyjemniejszego?

Philip wstał od swojego biurka i usiadł na kanapie w rogu pomieszczenia, Taylor po chwili zawahania podszedł bliżej.

– Napijesz się czegoś? – spytał dyrektor.

– Niczego od ciebie nie chcę – parsknął i usiadł po drugiej stronie stolika kawowego.

– A jednak po coś przyszedłeś. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie, poprawiając opaskę na oku.

Chłopak nie odpowiedział, zacisnął dłonie na swoich kolanach.

– No dalej – dyrektor sięgnął po butelkę rumu i napełnił dwie szklanki rudym płynem, wyciągnął drinka do Taylora, ale widząc brak reakcji, położył go na stoliku. – Kiedyś umiałeś ze mną rozmawiać. Po co w takim razie tu jesteś? Przystać na ofertę, mam nadzieję.

– Oddaj mi go. – Siedział nieruchomo z gniewem malującym się na twarzy.

– Kogo?

– Mojego brata.

– Oj, biedny chłopczyku, dalej nie pogodziłeś się ze śmiercią młodszego rodzeństwa. – Zmarszczył czoło. – Smutny pogrzeb, szkoda, że nie dotarłeś.

– Wiem, że on jest w tym szpitalu. Trzymasz go w skrzydle chorób zakaźnych, widziałem jak...

– Gdzie widziałeś? – Uderzył pięścią w stół, omal nie rozlewając drinków i wyszczerzył zęby. – Byłeś tam! Ha! Wiem, że tak, widziałem odczyty fal w budynku. Nigdy nie były tak wysokie, przebiłeś kolejną granicę. Jak tam jest?

Taylor skrzyżował ręce i oparł się o kanapę.

– Dlaczego to robisz? – spytał. – On nie jest taki jak ja, nie pomoże ci w poszukiwaniach. Już ci mówiłem, jej tam nie ma...

Philip wydał z siebie dziwny, głośny dźwięk i zacisnął pięść przerywając mu. Trafił w czuły punkt.

– Ani. Kurwa. Słowa. Więcej. – Dopił drinka jednym haustem i połął kolejnego.

– Nikt nie musi ucierpieć...

Philip zaniósł się śmiechem, w którym nie było nic z wesołości.

– Daruj mi wykłady. Nie jesteś lepszy ode mnie. Naprawdę masz zamiar udawać, że to, co robiłeś w szpitalu się nie wydarzyło? Ci wszyscy ludzie... Nie śnią ci się ich twarze po nocach? Możesz mówić, co ci ślina na język przyniesie, ale jesteś w tym tak samo umoczony jak ja. – Uniósł drinka, salutując. – Dlatego razem powinniśmy to skończyć. – Dopił.

– Noah też tam trzymasz?

– Kogo?

Tym razem zdziwienie dyrektora było szczere. Co to oznaczało?

– Wszystko ma swoją cenę, tak? Czego chcesz? Co mam zrobić? Powiedz! Mam wchodzić dla ciebie do Horyzontu? Przecież zawsze ci o to chodziło, prawda?

– Wiedziałem! – krzyknął, klaszcząc z zachwytem. – Wiedziałem, że dalej odwiedzasz świat cienia. Zresztą nie dziwi mnie to. Tobie przychodziło to najłatwiej. Nic nie pobije naturalnego talentu. Powiedz, Horyzont jest taki jak go opisują?

– Przytulne miejsce – Uśmiechnął się sztucznie. – To tam pominąłem twoje jebane, zamknięte drzwi i zobaczyłem szereg ludzi przywiązanych do łóżek. Jak możesz robić takie rzeczy? Czy ty w ogóle wiesz jak tam jest? Nie masz pojęcia jak oni cierpią. Jak cierpi mój brat! Wypuść go!

– Chcesz, aby wrócił twój brat czy wszyscy?

Na chwilę zapanowała cisza.

– W dupie mam wszystkich, interesuje mnie tylko Max. Podaj cenę.

Philip oparł się wygodnie.

– Hm – mruknął.

– Jeżeli chodzi ci o mnie, to zostaną ile chcesz, ale jego wypuść.

– Jak mogę wypuścić kogoś, kogo nie mam?

– Przestań udawać, powiedz czego chcesz. Horyzont. O to ci chodzi?

Dyrektor odchylił delikatnie głowę, jakby zaskoczony. Dopijając drinka szachował go wzrokiem.

– Skąd pomysł, że wciąż cię potrzebuję? Mam innych podróżników. Po co mi jeszcze ty?

Siedział i zaciskał pięści, czuł jak palce ślizgają mu się po mokrych od potu dłoniach. Spokój i wyrafinowanie, z jakim dyrektor to mówił wzbudzał w nim złość.

– Potrzeba mi trzydziestek trójek, ale to już wiesz. Wiesz jak ciężko znaleźć taką osobę? Tylko wy macie możliwość wejścia do Umbry, tylko wy macie prawo do tego przywileju, a ściana, która dzieli te światy jest coraz cięższa do pokonania. Przyspieszyłbyś proces, przyznaję, ale nie wiem czy mogę ci ufać.

Taylor uniósł brwi.

– O, nie wiedziałeś – zdziwił się dyrektor szpitala. – Mówię o postępie, który miał początkowo udoskonalać gatunek ludzki, a tak naprawdę odcina nas od tego, co boskie, od tego, co jest dla nas tak bardzo istotne, od duchowości i energii, na fundamentach której ten świat został zbudowany. – Zaśmiał się. – Ludzie przestają wierzyć w duchowe połączenie z tym, co ich otacza, a tylko to umożliwi kontakt z innymi wymiarami. Wolą się zajmować czarną dziurą w kosmosie zamiast skupić się na tym, co mają pod nosem. Im mniej osób wierzących, tym słabsze połączenie. Za niedługo granice się zatrą i oba światy zostaną od siebie oddzielone. Bezpowrotnie. To jest dla mnie ostatnia szansa. Nie rozumiesz? Nie mogę tego stracić... – Poruszył szyją, aż lekko strzeliło mu w karku. – I nie stracę. Nie ważne za jaką cenę.

– Coś nas jednak łączy – rzucił Taylor. Odbiorę ci mojego brata, choćbym miał cię zabić. Tutaj jesteś nietykalny, ale po tamtej stronie role się odwracają. Jeżeli nie oddasz go po dobroci, zniszczę całą twoją operację od środka, sprawię, że już żaden twój podróżnik nie wejdzie do świata cienia. Bo jak sam powiedziałeś, nie ważne za jaką cenę...

Mimo iż na pozór wyglądał groźnie, wewnątrz czuł się przerażony tą sytuacją, jak wtedy, gdy jako mały chłopiec trafił do zakładu psychiatrycznego. Lecz dziś on ciskał groźby Philipowi, który wyczekiwał w niepewności.

– Rozumiem – wymamrotał po długiej chwili. Następnie wyciągnął telefon i zadzwonił. – Proszę wezwać ochronę, zostałem zaatakowany przez pacjenta.

Odkładając urządzenie uśmiechnął się szyderczo.

– Coś ty zrobił!?! – Taylor zerwał się z kanapy.

– Co do jednego się jednak mylisz – podjął spokojnie dyrektor. – Nie potrzebuję cię już więcej. Ostatnie dni pokazały, że wpadłem na kogoś o wiele bardziej utalentowanego, niż ty, na kogoś młodszego. Ty po prostu musisz się nie wtrącać.

Ochrona wbiegła do środka i ściągnęła go siłą na podłogę. Nie stawiał oporu, nie było sensu.

– Widzisz, mnie się nie grozi. – Dopił drinka patrząc na dociskanego kolanem chłopaka. – Najwidoczniej zmuszony jestem ci o tym przypomnieć.

– Co mamy z nim zrobić? – spytał czarnoskóry ochroniarz.

– Przywiążcie go do łóżka i podajcie coś silnego, dopilnujcie, żeby nie zasnął, aż go stąd wypiszą.

– Nie lepiej wypisać go od razu?

– Wbrew zaleceniom lekarza? – Postukał się palcem po głowie. – Nie potrzebuję tutaj buntu załogi, wystarczająco dużo mam już skarg od personelu.

Podnieśli go i zaczęli wyprowadzać. Rzucił się, kopał i wyginał jak dziki kot. Do pokoju weszła przestraszona sytuacją sekretarka.

– Tym razem nie ucieknę, zajebię cię zanim stąd wyjdę! – krzyknął chłopak.

– Tak nie można – powiedziała.

– Gdyby interesowała mnie pani opinia, to bym o nią spytał! Proszę pilnować kart wejściowych i zostawić mnie samego! – wrzasnął na nią wściekły Philip.

Zabranie Taylora z jego kościstą budową ciała było zabawą dla dwóch umięśnionych goryli Philipa, którzy uderzali nim o każdy napotkany mebel bądź framugę, jak szmacianą lalką. Rzucił ostatnim spojrzeniem na dyrektora, spojrzeniem niosącym za sobą obietnicę, którą miał zamiar dotrzymać, za wszelką cenę.

Ludzie na korytarzu stanęli pod ścianami, nie chcąc być wplątani w zamieszanie wywołane tym zdarzeniem. Gdy zjechali piętro niżej Taylor był bogatszy o kilka darmowych sińców. Zobaczył jak czarnoskóry ochroniarz zagląda do pojemnika i widzi przygotowaną, strzykawkę zapełnioną płynem tej samej barwy, co podawane kroplówki osobom w zakaźnym. Taylor rozumiał, co go czeka, pamiętając wszystkie sytuacje w szpitalu psychiatrycznym, w których wstrzykiwano mu różnego rodzaju płyny wbrew jego woli.

Zaczął się rzucać jak ryba wyciągnięta z wody, a krzyki złości przekształciły się w błagalne wołania o pomoc. Wszyscy obecni w placówce stali obojętni i głusi na jego prośby, nikt nie miał zamiaru ruszyć palcem. Panika przejęła górę, nie myślał już o niczym innym jak o ratowaniu samego siebie, a widok drzwi do sali, do której był zaciągany przyprawiały go o strach godny zaciąganiem do bram piekieł.

Odwrocił wzrok, jakby coś go wołało, ale niczego nie słyszał, szumy szpitala oraz sapanie ochroniarzy nagle odeszło na dalszy plan. Jego wzrok przykuła biel, którą widział już kilkakrotnie. Nie wiedział czemu tam spojrział – czy to efekt uboczny nagłego przyływu adrenaliny, może instynkt, a może po prostu przypadek bądź

przeznaczenie, bo często są tym samym, ale w gąszczu szpitalnym, zobaczył ją pomiędzy innymi, jako spokój i ciszę. Zobaczył jak stała ubrana na biało, przyglądając mu się.

A jej zamiarem nie było jedynie patrzeć.

## Rozdział 8

### Groźba

Beżowe skarpetki w czarne groszki sięgające do połowy łydki, ciemno-zielona sukienka do kolan, wyszyta w kolorowe kwiaty i biedronki, do kompletu opaska na głowie z lekkiej gumki z kokardą, podkreślająca pulchny owal twarzy. Zadarty nosek i czerwone policzki, a w ręku pluszowy królik z dużym sercem wyszytym na piersi. Czteroletnia dziewczynka długim całusem obdarowała mamę na pożegnanie, a całą drogę do samochodu pozdrawiała energicznymi machnięciami ręki, puszczając w międzyczasie buziaki. Otyła opiekunka, idąc śladami dziewczynki, czuła palące ją mięśnie od dłuższego trzymania ręki w górze. W myślach odliczała sekundy, aż będzie mogła dać kończynie odpocząć. Mama odpaliła samochód i posyłając ostatniego buziaka odjechała. Opiekunka weszła z dzieckiem do środka zapominając zamknąć za sobą drzwi wejściowe na klucz.

Niedługo od spotkania z córką zaparkowała na wyznaczonym miejscu dla pracowników i wysiadła zabierając torbę. Dzień zapowiadał się jak każdy inny. Słońce wschodziło, czuć było jeszcze zimny wiatr po nocy, trawa świeciła rosą, a nadmiar piachu wysypany na świeżej kostce parkingu skrzypiał pod butami. Do budynku weszła tylnymi drzwiami, zostawiła swoje rzeczy w kantorku, a na koniec napisała po raz ostatni do opiekunki, przypominając jej o spacerze i przygotowanym do odgrzania obiedzie dla dziecka. Odłożyła telefon do szafki i zakładając biały fartuch wyszła na korytarz. Wszyscy tam obecni stali jak wryci, patrzyli w ten sam punkt. Spojrzała w lewo – malował się tam obraz dwóch ochroniarzy prowadzących szarpiącego się i krzyczącego Taylora, który siłą wrzucany do pokoju zaparł się rękami o framugę. Ania, nie czekając ani sekundy, wbiegła za nimi do sali i zobaczyła, jak ochroniarze przypinają go pasami do łóżka.

– Co wy robicie!?! – krzyknęła.

– Ania, nie pozwól im mi tego wstrzyknąć!

Chłopak ze strachem w oczach miotał się jak obłąkany, ale doświadczeni ochroniarze bez trudu obezwładnili go i spięli.

– Pani Aniu, pani stąd wyjdzie – gruchnął jeden z karków.

– Ani mi się śni. Co macie mu wstrzyknąć!?

Próbowała wejść między nich, ale ciemnoskóry odepchnął ją do tyłu.

– Łapy precz! – Spojrzała na niego z zawziętością. – Czym zasłużył sobie na takie traktowanie!?! Co zrobił?

– Zaatakował dyrektora – syknął szybko ochroniarz, zaciskając pasy do oporu.

– To nieprawda!

Ania zobaczyła, jak drugi przygotowuje zastrzyk, wypychając resztki powietrza ze strzykawki. Zawartość delikatnie trysnęła, a on dwukrotnie pstryknął palcem w strzykawkę.

– Zastrzyki może wykonać tylko przeszkolony personel, tobie nie wolno...

– Nie utrudniaj nam pracy!

Ochroniarz znów chciał ją dotknąć, ale ta uderzyła jego rękę. Zrobił groźną minę.

– Co mi zrobisz!? – postawiła się. – Też mnie skujesz?

Taylor wrzasnęła z bólu, czując jak płyn miesza się z krwią. Szarpnęła związanymi rękami na tyle, na ile pozwalało mu skrępowanie, aż cała konstrukcja łóżka zaskrzypiała.

– Gotowe – powiedział drugi ochroniarz, chowając strzykawkę do specjalnego, czarnego pojemnika i obaj kierowali się ku wyjściu. Pierwszy minął Anię rzucając jej surowe spojrzenie.

– Pokaż mi to – nakazała, wyciągając rękę po pudełko, ale czarnoskóry trącił ją ramieniem. Po chwili ochroniarze opuścili pokój.

Ania chciała rozwiązać Taylora, ale pasy były dodatkowo zabezpieczone kłódkami.

– Cholera, tak wygląda twoje „zaufaj mi, niech lekarz przyjdzie rano!?” – zaczęła pretensjonalnym tonem.

Sięgnęła do apteczki i odkaziła ranę po nakłuciu, z którego lała się krew. Przyłożyła gazik i zalepiła plastrem. Dociskała dwoma palcami, aby zatamować krwawienie. Ochroniarz mocno naruszył żyłę, robiąc zastrzyk nieumiejętnie.

– Nic nie zrobiłem, przysięgam. – Przełknął z trudem ślinę. – Obudziłem się i poszedłem do dyrektora...

– Po jaką cholere? – Otworzyła szeroko oczy. – Miałeś czekać na lekarza.

– Musisz być ostrożna. To zły człowiek, on nie zawahhhhah... ssss.. on niiii...

– Hej! Zostań ze mną!

Klepała go po twarzy, widząc uciekający wzrok. Starła się go cucić, ale ostro majaczył. W panice przeszukiwała szafkę z lekami i wyciągnęła ampułkę.

– Nie każ mi zabrać ci to z ręki – rzucił na pozór grzecznie ochroniarz. – Mamy dopilnować, aby pacjentowi nie było podawane nic poza przydzielonym mu lekiem.

– Czyli czym!? – Nie doczekała się odpowiedzi. – Wiecie chociaż co mu podajecie?

Wiedząc, że nie wygra wsadziła lekarstwa z powrotem do szafki, którą trzasnęła ze złości. Ciało chłopaka zwiotczało, leżał farmakologicznie rozluźniony, falował głową w monotonnym tempie, majacząc coś pod nosem. Oczy momentami wracały nie ukazując się w pełni, po czym znów znikwały. Nie chciała nawet zgadywać, jakie świństwo mu wstrzyknęli. Zdenerwowana wyszła z pokoju idąc wprost do ordynatora oddziału. Mocno uderzając o klamkę wpadła jak wicher, a docent aż drygnął ze strachu i złapał się za klatkę.

– Od kiedy, do cholery jasnej, dyrektor decyduje o tym, co podajemy pacjentom!? – Niemal wrzasnęła. – Ty to potwierdziłeś?



– Poczekaj, o czym ty mówisz? – Poprawił okulary.

– Pamiętasz tego wytatuowanego chłopaka, któremu zmarł niedawno młodszy brat?

Lekarz zmrużył oczy, sięgał pamięcią.

– Tego, co nie mogliśmy wybudzić – podpowiadała.

– A tak, teraz pamiętam – pstryknął palcami.

– Wczoraj był prawie gotowy do wyjścia, a dzisiaj po wizycie u Philipa został przywiązany do łóżka i Bóg wie jakie leki podaje mu dożylnie ochrona! Chłopak wygląda teraz jak warzywo. – Ania wymachiwała rękami, agresywnie tłumacząc sytuację. – To jakiś cyrk! Oni nawet nie wiedzą co mu dają!

– Uspokój się, bo eksplodujesz. – Medyk zagryzł wargę, zdenerwowany. – Jeżeli polecenie wydał dyrektor, to nie wiem czy...

– Czy co!? – szturchnęła go. – Masz zamiar się na to godzić!? Ile jeszcze takich akcji będziemy musieli legitymować, nie mających nic wspólnego z leczeniem pacjenta? Chcesz potem odpowiadać przed komisją? Iść siedzieć przez idiotę, który traktuje szpital jak swój plac zabaw!?

– Mnie też się nie podoba to, co się tutaj dzieje, ale potrzebuję tej pracy. Jeżeli on nie jest dla ciebie nikim ważnym, to nie jest to warte ryzyka. Ania, odpuść. – Położył rękę na jej ramieniu, ale ją strąciła.

– To jest dla mnie ktoś ważny, dlatego pytam, czy możesz tam iść i wstrzyknąć mu coś, co wypłucze mu tą cholerną substancję z organizmu?

Lekarz spuścił wzrok i stał tak bez słowa. Zaczęła kiwać zawiedziona.

– Dobra – uniosła rękę, cofając się. – Sama do niego pójde.

– Ania, daj spokój! W ten sposób tylko pogorszysz sytuację.

Uniósł głos, ale pielęgniarka zmotywowana załatwieniem sprawy po swojemu, szła do dyrektora nabuzowana adrenaliną. Weszła bez pukania, a sekretarka wbiegła za nią.

– Co on ci takiego zrobił, że podajesz mu psychotropy!?

Dyrektor był w towarzystwie dwóch innych lekarzy, Ania nie kojarzyła ich dobrze, wiedziała jedynie, że są z oddziału zakaźnego, do którego nikt nie miał wstępu. Philip poprosił ich, aby wyszli na kilka minut, co też zrobili. W jej oczy rzucił się wysoki, łysy lekarz w czerwonym golfie, który przyglądał jej się uważnie. Gdy zostali sami dyrektor oparł się pośladkami o biurko.

– A co takiego się stało, że tak bardzo zależy ci na jego zdrowiu? – spytał niewzruszenie.

– Bo jestem pieprzoną pielęgniarką – fuknęła, ostentacyjnie kładąc palec na logu szpitala wyszytym na jej fartuchu. – Pomaganie ludziom to moja praca. A to, co tam się teraz dzieje, ma się nijak do pomagania. Odwołaj swoje psy i to już!

– Zapewniam cię, że wszystkie moje działania, kierowane są z myślą o dobru pacjenta...

– Gówno prawda! – weszła mu w słowo.

– ... nawet jeżeli oni tego tak nie widzą – dokończył spokojnie.

– Tak? To dlaczego, rzekomo się na ciebie rzucił? – Uniosła brwi. – Co on tu robił nad ranem?

– Nie zdołałem tego od niego usłyszeć. Przyszedł do mnie dobrowolnie, nie wołałem po niego. Winił mnie za niekompetencje personelu, który nie umiał pomóc jego bratu. Zacząłem was bronić i tłumaczyć jakim wspaniałym, oddanym i rzetelnym zespołem specjalistów jesteście i że robiliście wszystko, co w waszej mocy, aby go ratować. – Włożył ręce do kieszeni i podciągnął jeden kącik ust. – Jak widać, nie przekonałem go.

Poczuła, jak ogarniają ją mdłości, a policzki zaczynają płonąć.

– Kłamiesz – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Łziesz jak pies.

– Nie mam na to czasu – westchnął i się wyprostował – Jeżeli to jest jedyna rzecz, o jakiej chciałaś porozmawiać, to nie mam nic więcej do dodania. Wracaj do swoich zajęć.

– Jeżeli nie zostawisz go w spokoju, pójdę do twojej żony i powiem, że mamy razem dziecko. Ciekawe jak bardzo się ucieszy.

Twarz Philipa zrobiła się blada, a wzrok poważny.

– Mnie się nie szantażuje.

Widziała, ile emocji wrzucił w to krótkie zdanie. Bała się go. Wtedy do pokoju znów weszła sekretarka.

– Przepraszam, ale panowie nalegają, muszą zaraz wracać do swoich zajęć.

W poczuciu bezsilności Ania opuściła salę. Ciągle myślała o chłopaku, którego pilnowało dwóch ochroniarzy. Nie potrafiła się skoncentrować na pracy.

\* \* \*

Taylor, męczony i torturowany przez ponad pół roku, poczuł, że nadarzyła się okazja, która mogła się nie powtórzyć. W szpitalu ponad połowa personelu była nieobecna. Sięgnął po ułamaną szczoteczkę do zębów i wbił ją w oko dyrektora, po czym zerwał mu przyczepioną do piersi kartę dostępu i wybiegł z pokoju. Dzięki tej karcie, opuszczenie szpitala było dziecinnie proste. Skrył się pod gęstym żywopłotem. Gdy tuż za nim, odziani na biało pracownicy wybiegli z latarkami, szukając go. Nikomu nie przyszło na myśl, że ukryje się tuż pod ich nosem.

Dostrzegł dyrektora, od którego dzieliło go nie więcej niż dwa metry. Jego niedawny oprawca trzymał się za oko, z dłonią zalaną krwią. Nawet wołał sobie nie wyobrażać, co ten typ zrobiłby z nim teraz, gdyby go dopadł. Okrucieństwo było jego drugim imieniem.

Minęła godzina, potem kolejna. Gwar ucichł. Wkrótce wokół szpitala nikt się już nie kręcił. Taylor wygrzebał się z ukrycia i ruszył najciemniejszymi punktami ogrodu

ku wolności.

Na niebie czern wchodziła w granat, nadchodził ranek. Po domu rozniosło się głośnie walenie pięścią w drzwi. Otworzył zaspany mężczyzna w asyście żony, przed wejściem zastał swojego syna pokrytego siniakami i brudnego od zimnej gleby. Przytulili go, a ten wszystko im opowiedział. Niedługo później w drzwiach pojawili się ludzie z zakładu, ale ojciec przegonił ich, krzycząc, że wytyczy im sprawę i że już nigdy nie odda im syna. Kilka dni później ojciec został śmiertelnie postrzelony w sklepie. Koszmar, który właśnie miał się skończyć, dopiero się zaczynał.

\* \* \*

Po pracy Ania udała się do dyrektora, aby dowiedzieć się, co postanowił w sprawie ultimatum, jakie mu postawiła. W głębi serca nie chciała tego robić w obawie przed narażeniem na stres córki, która nigdy nie poznała swojego ojca. Philipa nie było już w gabinecie. A więc pozostało wrócić do domu.

Mijane żółte latarnie razily zmęczone oczy, wracała po wyczerpującym dyżurze, z dużym kacem moralnym związanym z sytuacją, w jakiej znalazł się chłopak. Ochroniarze pilnowali jego pokoju wstrzykując mu podejrzany płyn zgodnie z rytmem wyznaczanym przez alarm na telefonie. Miała jedynie nadzieję, że nie wyrządzi mu to stałego uszczerbku na zdrowiu. Była spóźniona o ponad dwie godziny, ale opiekunka należała do najbardziej wyrozumiałych osób na świecie.

Zaparkowała przed budynkiem i zgasila silnik. Spojrzała na dom opiekunki i oparła głowę o zagłówek. Nie chodziło o to, że nie chciała wracać do dziecka, ale pięć minut spokoju było dla niej zbawieniem.

Nagle usłyszała dziwny odgłos dochodzący z domu. Zauważyła, że szyba w drzwiach wejściowych jest rozbita. Wybiegła z auta i prędko ruszyła do budynku. Dalej wszystko potoczyło się szybko, jak w kalejdoskopie.

Opiekunka leżała na podłodze w kałuży krwi. Ania nie wiedziała, czy żyje, nie miała nawet czasu sprawdzić, gdyż na ścianie pojawił się zarys postaci. Uskoczyła w ostatniej chwili przed zamaskowanym mężczyzną z pistoletem. Znalazła się w kuchni, a facet ruszył w ślad za nią. Wybiegła na schody, słysząc za sobą kroki.

– Nie musisz pogarszać sprawy – usłyszała.

Otworzył pierwsze drzwi z prawej i przyświecił latarką, sypialnia była pusta. Zamknął je za sobą i poszedł dalej, trzymając palec na spuście wyęczał słuch licząc na najmniejsze potknięcie ofiary. Stał przy drzwiach po przeciwnej stronie.

– Nikt dzisiaj nie zginie, takim zachowaniem pogarszacie tylko sprawę – wpadł do pustego pokoju z mnóstwem pudeł i rzuconych na podłogę dywanów – oddaj dziewczynkę, a obiecuję, że nikomu krzywda się nie stanie.

Zamknął je i podszedł do trzeciego wejścia, przyłożył ucho i usłyszał ciche stuknięcie, wyszczerzył zęby i złapał za klamkę, dostawił pistolet do framugi.

– Chociaż z drugiej strony, trochę bólu – wpadł do środka i wrzasnął – nikogo nie zabije!

Celując spluwą w puste dziecięce łóżko, na podłodze dostrzegł zabawkę, kaczkę ciągnącą za sobą dwójkę małych kacząt, jedna z nich przewracała się raz na lewo, raz na prawo stukając głową o parkiet. Korzystając z okazji dziewczynka wybiegła z pokoju naprzeciwko w kierunku schodów, napastnik ruszył za nią, lecz jak tylko wyskoczył zza drzwi usłyszał huk, po czym wyprostował się jak kłoda i dygocąc padł na twarz rażony tysiącem wolt przez dwie wbite w jego plecy elektrody. Dźwięk rażenia prądem przez dystansowy paralizator, będzie dźwiękiem, którego będąca wszystkim świadkiem dziewczynka długo nie zapomni. Córka wróciła i przytuliła się mocno do mamy.

Chwilę później Ania zdołała ocucić opiekunkę. Schowały się w bezpiecznym miejscu i zadzwoniła na policję, ale gdy przyjechali na miejsce włamywacza już nie było – musiał dojść do siebie i uciec. Wszystkie trzy pojechały do matki dziewczyny, gdzie spędziły całą noc, nikt jednak nie był w stanie zasnąć. Nad ranem pojechała do pracy, zostawiła rzeczy w kantorku i wyszła na obchód, jak gdyby nigdy nic, choć wciąż wstrząśnięta tym, co się stało, nie mogła zebrać myśli. Idąc przez korytarz ktoś złapał ją mocno za przedramię. To był dyrektor.

– Zostaw mnie – rzuciła oschle. – Idę sprawdzić co u pacjentów.

– Skąd te nerwy? Mówiłem ci, że mnie się nie szantażuje – zacisnął dłoń na jej przedramieniu. – Nie chciałem tego robić, więcej mnie nie zmuszaj.

– Boże, jak ja mogłam się co do ciebie, aż tak pomylić? – Szarpnęła się, ale trzymał zbyt mocno. – Jaką trzeba być osobą, żeby wysłać typa spod ciemnej gwiazdy na własną córkę?

– To dziecko może i dzieli ze mną krew, ale nie jest moją córką – poprawił opaskę. – Jest błędem, niczym więcej. Masz mnie za bezdusznego, zimnokrwistego człowieka? Myślisz, że po co ja to wszystko robię od tylu lat? Dla kogo? Dla siebie? – Zacisnął mocniej, bolało. – Gównu o mnie wiesz. A teraz pójdziesz i podasz swojemu ulubionemu pacjentowi kolejną dawkę, chyba, że potrzebujesz twardszego argumentu na konsekwencje stawiania mi oporu?

Wręczył jej do ręki pudełeczko. Chciał jeszcze coś dodać, ale z drzwi obok wyszło dwóch lekarzy, którzy zawiesili na nich wzrok. Dyrektor puścił ją i poszedł w swoją stronę, poprawiając opaskę na oku. Ania nie chciała tego robić, jednak w grę wchodziło życie jej córki, a nie było nikogo ważniejszego dla niej. Poszła do pokoju Taylora, a wtedy drogę zaszedł jej ochroniarz. Uniosła czarny pojemnik, tak, aby zobaczył i po wymianie spojrzenia z drugim ochroniarzem przepuścił ją.

Podeszła do leżącego na łóżku Taylora. Był spocony, oddychał szybko, oczy miał przekrwione, a źrenice nienaturalnie małe, żyły rysowały się na jego ciele deformując tatuaże. Widziała jak zaciskał mocno prześcieradło. Zauważył, że była inna, smutna, wtedy otworzyła pudełeczko.

– Nnn... nie... – zaczął błagająco. – Proszsss... nie...

– Przepraszam, muszę.

Zaczął się wyginać, nie miał siły walczyć, ale mimo to próbował. Przywiązany do łóżka nie był w stanie się skutecznie bronić. Uderzył głową o materac pozbawiony

poduszki i zamknął oczy. Czekał pogodzony ze swym strasznym losem.

Starannie obmyła mu ranioną rękę. Widać, że ochroniarz często nie trafiał w żyłę, czuła zgrubienia pod skórą. Gotowa do wkłucia igła zatrzymała się tuż przed jego skórą. Ania wahała się, biła z myślami, czuła się jak śmieć. Usłyszała ruch zniecierpliwionego, przyglądającego się jej ochroniarza.

– Potrzebujesz pomocy, lwico? – spytał szyderczo.

– Już to robię, muszę przygotować żyłę.

Spojrzała na Taylora. Mocno zaciskał oczy, nie chciał patrzeć, pogodzony z tym, co nadchodzi. Pogłaskała go po rękę i splotła palce łapiąc go za dłoń. Ten zacisnął lekko w potrzebie wsparcia. Zaczął oddychać głośniejszym, wiedział, że się zaczyna. Delikatne, niemal nieodczuwalne wkłucie było niczym łagodzący okład na oparzoną skórę, to uczucie nie trwało jednak długo, bo zaraz po nim nadeszło piekące wpływające toksyny do krwiobiegu. Poczzerwieniał na twarzy, marszcząc ją z bólu.

– Przepraszam – wyszeptała ze łzami w oczach.

Jej słowa były ostatnią rzeczą, jaką pamiętał.

\* \* \*

„Wszystko będzie dobrze”. To pierwsze co ciśnie się na usta, gdy widzi się osobę potrzebującą pomocy, pocieszenia, bądź po prostu słowa otuchy. Te słowa niosą za sobą poczucie gwarancji, obietnicy, że wszystko się ułoży, nikt jednak nie wspomina, kiedy albo za jaką cenę. Są dwa rodzaje ludzi na świecie, wierzący w dwie odmienne strategie odnoszenia sukcesu, który przecież jest tak różny, jak każdy z nas. Dla jednych sukces to zdrowa rodzina, dla innych szczęśliwe małżeństwo, a dla jeszcze innych posiadanie dużej ilości pieniędzy i nie ma w tym nic złego. Tak samo różnią się co do tego co przyciąga sukces, pierwsi powiedzą, że pozytywne myślenie przyciąga więcej pozytywnych rzeczy, inni zaś uważają, że chępczenie się bogactwem sprowadza na nich niepotrzebną uwagę, niosącą za sobą problemy. Co następcza w konsekwencji jedno podstawowe pytanie: kiedy wszystko będzie dobrze? Wtedy, gdy zrobi się odrobinę lepiej? Czy kiedy osiągniemy swój cel? Tak czy inaczej, osoba cierpiąca nie chce usłyszeć, że będzie lepiej. Osoba cierpiąca chce usłyszeć co ma zrobić z czasem pomiędzy tym, co jest teraz, a tym, kiedy „wszystko będzie dobrze”.

Po śmierci ojca słyszał wiele rodzajów prób pocieszenia, trzymania na duchu, ale wszystko tylko pogłębiało go w przekonaniu, że gorzej być nie może. Dojście do siebie po przeżyciach w zakładzie miało potrwać latami, choć psychiatrzy ostrzegali, że uraz psychiczny może zostać na całe życie. Jedynym pozytywnym aspektem, jaki z tego wyciągnął to nie tylko dobrowolne przechodzenie na drugą stronę, ale to, że umiał to również blokować – przynajmniej do czasu. Nowy pocieszyciel mamy pojawił się niemal od razu, stawał się jej partnerem, utrudniając im życie i oddalając ich od matki, gdy ziemia na grobie ojca była jeszcze miękką. Ludzie z zakładu zaczęli śledzić chłopaka, pojawiać się w szkole, dzwoniли i pisali grożąc życiu jego bratu. Wszystko po to, by ściągnąć go z powrotem do psychiatryka. Przerażony Taylor

wzbierał się na sile, aby powiedzieć o tym matce.

Była północ, młody Taylor siedział na parapecie patrząc na gwieździste niebo, matka klóciła się ze swoim partnerem piętro niżej. Krzyczeli, często to robili. Przyszedł SMS z kolejnymi pogroźkami, tym razem dotyczyły jego młodszego brata, najczęściej im nie odpisywał, ale młodszy brat był jego piętą achillesową, odpisał, dał im do zrozumienia, gdzie bić, żeby bolało. Nie był głupi, wiedział o tym doskonale, że sam zaznaczył im cel. Teraz musiał wymyślić coś, co sprawi, że pracownik zakładu psychiatrycznego, który eskortował go codziennie między jego pokojem a halą, gdzie przeprowadzano eksperyment, przestanie co noc przesiadywać pod oknem, że będzie mógł w końcu wychylić się nie widząc czających się na niego złych ludzi. Tej nocy miało się to zmienić, tej nocy miał zamiar pokazać te wiadomości mamie. Wierzył, że ona go ochroni, że stanie w jego obronie, choćby nie wiadomo co. Zszedł z okna i pomógł braciszкови zasnąć czytając mu jego ulubioną bajkę *Król Lew*.

Ta noc nie była jednak taka, jak poprzednie. Była gorsza. Matka oberwała od chłopaka pierwszy raz na oczach syna, który pędząc jej na ratunek podzielił ten sam los. Leżąc na podłodze bezradny, potrzebujący jej wsparcia zobaczył jak matka w pełni świadoma zostawia go na pastwę losu, nie stanęła w jego obronie, nawet nie próbowała, co było dla niego odpowiedzią na pytanie, jak wyjść z tej sytuacji oraz otworzyć matce oczy na prawdę, jakiej nie dostrzega. Wiedział co musi zrobić, aby odciągnąć złych ludzi od swojego braciszka, mimo iż jednocześnie było to okrutne. Musiał udać się daleko, tak, aby ich wzrok był skierowany w zupełnie inną stronę. Tej nocy przytulił braciszka po raz ostatni.

\* \* \*

Drzwi do gabinetu dyrektora się otworzyły, a zza nich wyszła Ania, która pewnym krokiem weszła do środka, stanęła po środku pokoju i oparła ciężar na prawej nodze.

– Po co mnie wzywasz? – rzuciła ostro. – Mam dużo pracy i nie mam czasu biegać na drugi koniec szpitala, żeby słuchać twoich kolejnych wywodów. Zrobiłam co kazałeś. Zadowolony? To teraz daj mi pracować w spokoju.

Ruszyła do wyjścia.

– Nie tak szybko – powiedział szorstko.

Odwracając się, zobaczyła kolejny czarny pojemnik z zastrzykiem.

– Niech zrobi to twój goryl, ja więcej nie przyłożę do tego ręki.

– Zrobisz to ty i będziesz to robić tak długo, jak ci każę.

Dosunął pudełko w jej stronę. Stała przez moment w bezruchu. Wyciągnął rękę wskazując na skrzynkę i uśmiechał się przy tym szyderczo. Widać było, że czerpał z tej sytuacji sporo satysfakcji.

– Proszę cię – powiedziała pokornie. – Nie chcę.

Dyrektor jednak nie zmienił wyrazu twarzy, czekał cierpliwie, aż pielęgniarka zabierze pudełko, co w końcu zrobiła unikając z nim kontaktu wzrokowego.

– Jest to sprawa priorytetowa, wszystko inne może poczekać.

Bez słowa wyszła z gabinetu. Poszła prosto do sali i sprawdziła zawartość. Nie było żadnej etykiety, ani nazwy, karteczki, recepty. Usłyszała jak jeden z ochroniarzy rozmawia przez telefon.

– Nie, jeszcze nie dotarła – słuchał. – Dobrze, tak, już idę.

Wiedziała, że telefon tyczył się jej, zamknęła pudełeczko i wyszła z za zakrętu wpadając na ochroniarza.

– O, jesteś – powiedział.

– Zejdź mi z drogi, bo wbiję ci to w oko. – Minęła go, odpychając ręką.

– Oooo, kobieta z pazurem – zaśmiał się w głos. – Dogadalibyśmy się.

– Dogadanie się z kimś bez mózgu, to jak otwieranie zamka żdźbłem trawy.

Weszła do pokoju. Taylor był przytomny, zauważył ją, ale odwrócił wzrok. Czekał na kolejną dawkę, jak zbity pies. Miał sklezione od potu włosy, oddychał wolno, równie wolno mrugał. Było z nim źle. Wiedziała, że bez kroplówki, będzie ciężko go z tego wyprowadzić. Stała tyłem do drzwi, ale czuła na sobie wzrok gapiących się ochroniarzy.

– Może odrobina prywatności? – parsknęła.

– Ze mną? – rzucił ochroniarz.

– Przeszkadzacie mi, to mam przekazać dyrektorowi? Przez tych, co mieli go pilnować nie mogłam wykonać zastrzyku, ponieważ ciągle mnie rozpraszała? Nie pracuję z turystami.

– Masz pięć minut – burknął pod nosem czarnoskóry i obaj wyszli z pomieszczenia. Pielęgniarka zamknęła za nimi drzwi i wróciła do chłopaka. Zaczęła przygotowywać zastrzyk.

– Jak się trzymasz? – podjęła rozmowę. – Przepraszam cię, że tak wyszło. Nie wiem, czy mi wierzysz, ale nie chcę tego robić, on mnie zmusza. Musisz wytrzymać, słyszysz? Musisz być silny, nie tylko dla siebie, ale dla twojej mamy też. Twój brat by tego chciał. Wiem, że to nie są najlepsze chwile w twoim życiu, ale musisz wierzyć, że jeszcze wszystko będzie dobrze.

Pozbyła się powietrza ze strzykawki i przyłożyła ją do poranionej od poprzednich zastrzyków żyły.

– Nienawidziłem, gdy tak mówili... – powiedział wysuszonym głosem. – „Będzie dobrze”. Nie będzie, bo jak ma być? Wszyscy dookoła giną przeze mnie, mój ojciec, teraz mój brat, nie zdołam go ocalić, nie kiedy mnie faszerujesz. On żyje, mój braciszek jest przetrzymywany w oddziale dla chorób zakaźnych, tam, gdzie nikt nie ma wstępu. Dyrektor prowadzi na nim te same badania, co na mnie. Wykorzystuje go. Nie uratuję go, Philip mnie pokonał, ale obiecaj mi, że ty to zrobisz. Ktoś musi go powstrzymać, to jest zły człowiek, zdolny do wszystkiego. Ja nie zdołam się tam dostać... błagam, uratuj mojego brata, nie każ mu przechodzić przez to co ja, obiecaj mi!

Łzął ją za dłoń, którą opierała o łóżko. Widziała ból i bezsilność w jego przekrwionych oczach. Spojrzała na strzykawkę i wtedy zrozumiała, że to nie jest

ona.

– Posłuchaj teraz uważnie. Jeżeli wpuszczę cię do zakaźnego to znajdziesz dowody potrzebne do zamknięcia dyrektora? – zaczęła, a on przytaknął. – Jesteś pewien?

– Tak.

Zawartość strzykawki wlała do kaczuszki.

– Udawaj, że dostałeś dawkę. Wiem, że jesteś wycieńczony, ale nie wolno ci zasnąć, wtedy się zorientują. Za kilka godzin jak już dojdiesz do siebie, przyjdę po ciebie i cię stąd zabiorę. Obym tego nie żałowała, nie tylko moje bezpieczeństwo wchodzi w grę.

– Co tak długo!? – usłyszała głos jednego z ochroniarzy.

– Gotowe!

Odwróciła się i poszła w kierunku wyjścia, mijając ochroniarza uderzyła pudełeczkiem o jego klatkę, ten złapał przedmiot.

– Oddaj to swojemu panu.

– Ktoś ci kiedyś powiedział, że masz niewyparzony język? – spytał czarnoskóry.

– Nie żebym pamiętała.

Pielęgniarka wróciła do swoich zajęć. Po kilku godzinach wróciła do kantorka i zadzwoniła do matki prosząc ją, aby zabrała małą i pojechała do ich ciotki poza miasto. Wyszła tylnymi drzwiami i podeszła do dobrze znanych jej żuli, stałych bywalców pobliskiego zaułku, których poprosiła o przysługę. Kilka minut później pod salą Taylora obaj bezdomni zaczęli się tłuc i wyzywać. Ochroniarze wybiegli z pomieszczenia, aby ich rozdzielić. W tym czasie pielęgniarka weszła do pokoju i wstrzyknęła mu do żyły adrenalinę, po czym zaczęła rozpinąć węzły mocujące chłopaka do łóżka. Podniósł się nabuzowany energią.

– Skąd miałaś klucze?

– Ostatnim razem, gdy miałam zrobić ci zastrzyk zabrałam jednemu z tych przyglupów. – Uśmiechnęła się dumna z siebie. – Nie są zbyt spostrzegawczy.

Wyszli kierując się od razu do windy, pojechali piętro wyżej i zaprowadziła go do pokoju, w którym wcześniej leżał Noah. Zauważyła, jak się rozgląda i dotyka pościeli.

– Coś nie tak? – spytała.

– Czy w ostatnim czasie ktoś korzystał z tego pokoju?

– To pokój awaryjny, nie jest używany dla zwykłych pacjentów. Nie było tu nikogo od prawie miesiąca, a czemu pytasz? Teraz nagle zacząłeś marudzić na miejsce?

– Nie, nie o to chodzi. – Przetarł twarz dłońmi. – Dziękuję.

– Tak – westchnęła. – Teraz zajmijmy się wciśnięciem cię do zakaźnego. – Podpięła go do kroplówki. – Poczekaj tu, aż poczujesz się lepiej, nikt nie powinien cię tutaj szukać. – Po tych słowach wyszła.

Rozejrzał się uważnie. Napuchnięte oczy piekły, jego ciało wydawało się cięższe, nawet oddech przychodził z trudem. Spojrzał na zegarek wiszący nad drzwiami. Tykał nadzwyczajnie głośno, jakby każda sekunda była uderzeniem młota w dzwon.



Wyciągnął igłę z żyły i chwiejnym krokiem podszedł do drzwi.

Ktoś zaszedł mu drogę.

– Wiesz o czym sobie pomyślałam idąc korytarzem? – To była Ania. – Pomyślałam, „teraz chwilę odpocznie i poleży spokojnie”. I wtedy do mnie dotarło, że w końcu mówię o tobie. Ty nie usiedzisz na dupie pięciu minut. Więc wracam, żeby się upewnić, no i proszę.

Wyprostował się, ale wciąż nie patrzył jej w oczy.

– Co ty robisz? Gdzie idziesz? – dociekała, choć znała odpowiedź.

– Przecież wiesz – szepnął słabym głosem, blady i zdyszany.

– Teraz? W takim stanie? I co zrobisz? – pstryknęła palcem przed jego twarzą. – Pomyśl, musisz być mądry, musisz planować zanim coś zrobisz. Jeżeli popełnisz jakiś błąd, to nie tylko ty na tym ucierpisz. Mnie też się dostanie, już się dostało.

Zauważył, że pielęgniarka się boi. Wtedy zrozumiał.

– Ma kogoś z twoich bliskich – stwierdził.

– Prawie miał, w zasadzie ma... to skomplikowane.

– Wybierasz się gdzieś? – przerwał im partner jego mamy stojący w drzwiach.

Oboje zamarli na jego widok. Pojawił się jak duch. Taylora ogarnęło skrajne przerażenie, poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach, był przekonany, że nie przyszedł sam. Ale nikogo poza nim nie było.

– Czy mogę porozmawiać z pacjentem na osobności? – spytał.

– Oczywiście – rzuciła Taylorowi spojrzenie pełne wsparcia. – Będę na korytarzu.

– Dziękuję.

Ania wyszła, a Igor wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Chciał powiedzieć, aby zostawił je otwarte, jednak zrezygnował wiedząc, że to bez sensu.

– Byłem u ciebie już dwa razy, ale mówili, że jesteś w śpiączce. Jak się czujesz?

Chłopak nie odpowiedział.

– Co dalej? – ciągnął. – Wyjdiesz stąd i wyjedziesz? Uciekniesz jak kiedyś? Gdzie tym razem? – Parsknął – Będę zgadywał: Rosja? Meksyk?

– Po co przyszedłeś? – spytał Taylor.

– Chciałem pogadać.

– Nie mamy o czym.

– Myślisz, że ja nie wiem po co wróciłeś? Że nie rozumiem takich jak ty? Jesteś jak pieprzony kleszcz, spijasz krew zostawiając po sobie jedynie choroby.

– O Jezu... – wykręcił oczami mając tego dość. – Ty naprawdę nie wiesz, co tu się dzieje, nie masz zielonego pojęcia. Nic ci nie powiedzieli? – Najpierw parsknął, ale jego śmiech przybierał na sile, aż w końcu śmiał się w głos.

Igor zdzielił go pięścią w twarz, a ten upadł na podłogę z rozciętą wargą. Polizał piekące nacięcie z satysfakcją widząc, że wyprowadził go z równowagi.

– Myślisz, że mi ją kurwa odbierzesz!? – Wskazywał na niego palcem, był

wściekły. – Nie po to się tyle przymilałem do tej suki, żebyś teraz mi to wszystko zabrała! Te pieniądze są moje, rozumiesz!?

– Wystarczy! – krzyknęła pielęgniarka, która wbiegła do środka. – Proszę stąd wyjść, albo wezwę ochronę!

Mężczyzna poprawił kurtkę.

– Bądź tak dobra i wlej temu śmieciowi do kroplówki coś, dzięki czemu już się nie obudzi. – Minął ją wychodząc. – Zrobisz przysługę światu.

– Nic ci nie jest? – spytała, pomagając chłopakowi usiąść.

– Dobrze posunięcie z tą ochroną – pochwalił ją. – Teraz mnie oświeciło.

Partner mamy niczego nie wiedział, nawet się nie domyślał, co znaczy, że nie był zaangażowany w to, co dyrektor robił. Przynajmniej nie świadomie. Co nie zmieniało faktu, że był zwykłym gnojem, pomyślał Taylor.

– To, że jesteście rodziną nie znaczy, że masz pozwolić sobą pomiatać. Pracuję w tym szpitalu już bardzo długo i niejedno widziałam. Ale pozwolić sobie wejść na głowę to najgorsze z możliwych opcji.

– Nie jesteśmy rodziną! – Uniósł głos, nie kryjąc zirygowania.

Ania nieomal odskoczyła.

– Przepraszam – zmytygował się. – To po prostu delikatny temat.

– Nic nie szkodzi, rozumiem – odparła. – Poczekaj tu na mnie. Musisz mi zaufać. Jeżeli pójdziesz sam, oboje będziemy mieli duży problem.

– Straciłem zbyt dużo czasu...

– I stracisz go jeszcze więcej, jeżeli nie zaczniesz najpierw myśleć, a dopiero później działać. Tym razem musisz zrobić inaczej. Poczekasz, to nie potrwa długo, obiecuję. – Patrzyła na niego wyczekująco. – No to jak będzie?

– W porządku – przytaknął. – Poczekam, byle to nie trwało zbyt długo.

– Poczekasz, ile będzie trzeba.

Uśmiechnęła się i zostawiła go samego, wychodząc na korytarz zamknęła za sobą drzwi. Będąc kilkanaście kroków dalej odwróciła się i zobaczyła, że drzwi się otworzyły, zatrzymała się, aby na niego nakrzyczeć, ale ten nie wyszedł na korytarz. Poczekala moment i poszła dalej, myśl o otwartym pokoju w obecnej sytuacji nie napawała jej spokojem, ale skoro chłopak z nieznanymi powodów chciał, aby drzwi były otwarte, to niech tak będzie. Po kilkunastu minutach Ania wróciła do sali, ku jej zdziwieniu ujrzała go siedzącego na fotelu z wpół zamkniętymi oczami, Odpływał, ale jej wtargnięcie go zbudziło i zerwał się na równe nogi.

– I co? – spytał, przecierając oczy.

Stała przed nim smutna, zawiedziona i przegrana. Taylor zrozumiał, że teraz dowie się najgorszego, serce mu przyspieszyło.

– Mam. – Pokazała białą plastikową kartę i nagle uśmiechnęła się szeroko. – Ale miałeś przed chwilą minę.

– Że też masz chęci na żarty. Co to? – spytał.

– Karta dostępu do oddziału zakaźnego. – Wręczyła mu ją. – Teraz możesz tam wejść.

– Karta to dobry początek, ale drzwi są ciągle strzeżone, nie dam rady tak po prostu wejść.

– Tym już się zajęłam. Trzymaj. – Podała mu jego telefon z pełną baterią. – Naładowałam go, gdy spałeś. Twoja ładowarka nie działa, a chciałam byś mógł po przebudzeniu dać swojej dziewczynie znać, że nic ci nie jest. – Czekwała na komentarz, ale po krótkiej ciszy mówiła dalej: – Dzięki niemu będziesz mógł też zebrać potrzebne nam dowody.

– Pomyślałaś o wszystkim, prawda? – przyglądał się karcie.

– Nie wiem czy o wszystkim. Pomogę ci tam wejść, ale za tamtymi drzwiami jesteś zdany na siebie. Dlatego zanim pójdziesz, myślę, że lepiej będzie...

– Nie kończ – przerwał jej. – Nie stracę ani sekundy więcej. Możemy zaczynać?

Przytaknęła dopiero po chwili. Ruszyli w stronę zakaźnego. Będąc niedaleko zatrzymali się na moment.

– Co teraz? – spytał, patrząc na punkt informacyjny przed zakaźnym.

– Poczekaj tutaj. Kiedy recepcjonistka opuści stanowisko, wtedy wślizgnij się do środka. Nie wahaj się i nie czekaj, drugiej szansy nie będzie. Oboje mamy w tym interes, nie nawal. – Przeszyło go jej poważne spojrzenie. – Powodzenia.

Pielęgniarka ruszyła w kierunku recepcjonistki.

– Ania... – szepnął jeszcze.

Zatrzymała się i odwróciła.

– Ja nie mam dziewczyny.

Uśmiechnęła się nieznacznie. A potem ruszyła dalej. Zatrzymała się przed recepcją i zaczęła rozmawiać z dziewczyną za biurkiem. Wkrótce potem dotarł do niego uniesiony głos dochodzący zza zakrętu. Ania wraz z recepcjonistką spojrzały w lewo. Taylor podszedł do końca holu i wychylił się, aby sprawdzić o co chodzi. Ktoś się kłócił robiąc scenę. Włóczęga ubrany w kolorowy, za duży dres czepiał się starszej pary czekającej na przyjęcie przez lekarza.

– Po chuj żeśmy tu przyszli? – warknął do żony. – Widzisz z kim przyszło mi się użerać!?

– George, przecie mówisz, że cię boli. To trza zobaczyć przez doktora, to ci da tabletki – tłumaczyła mu żona, drąc się jak on.

– Cicho, wstydu nam przyniesiesz – próbował ją zgasić, czując na sobie wlepiony wzrok ludzi.

– Na to już za późno! – wtrącił bezdomny. – Chamem się rodzisz i chamem zostaniesz! – Po chwili splunął, nie kryjąc rozczarowania.

– Sam żeś jest cham! Cham i do tego brudas niemyty!

– Ja się umyję, a ty wieśniaka z siebie nie wyplewisz!

– Żeby mi, kurwa, ciebie nie było zaraz żal jak ci przypierdolę! – krzyknął

mężczyzna, wstając i zakasując rękawy.

– Uspokój się, to szpital – uciszała go żona.

Awantura przybierała na sile. Obaj mężczyźni odbijali się od siebie brzuchami, rzucali obelgami, które zaczęły już sięgać matek. Taylor zauważył jak Ania wskazała dziewczynie przed biurkiem problem i obie poszły uspokajać sytuację. Pielęgniarka puściła Taylorowi krótkie spojrzenie, dając do zrozumienia, że to jego szansa.

Pochylony podbiegł do drzwi i przyłożył kartę do czytnika. Czerwona lampka zmieniła kolor na zielony, drzwi się otworzyły i wskoczył do środka. Kucnął tuż za wejściem w wąskim, białym korytarzu z drzwiami po prawej stronie – kolejna różnica jaką pokazał mu Horyzont, tylko co to znaczyło? Jego brata tu nie było, a hala była tylko złudzeniem? Dyrektor nigdy nie zaprzeczał, że wciąż prowadzi badania, rozmyślał.

Skradając się, wszedł do jedynego pomieszczenia, które było tak wyciszone, że żadne dźwięki z harmidru, jaki panował w szpitalu, nie dostawały się do środka. Słyszał tylko jedno buczenie klimatyzacji. Trafił do kolejnych drzwi. Przyłożył do nich kartę, a po chwili wszedł do środka. Było ciemno jak w nocy i zimno jak na Syberii. Stał w przedsionku z mrugającym kinkietem nad wejściem. Gruba, masywna, czarna kurtyna oddzielała resztę pomieszczenia. Po lewej dostrzegł łóżko i wózki inwalidzkie. Usłyszał, że ktoś nadchodzi i schował się z boku, zasłaniając zasłoną. Zza kurtyny wyszedł dyrektor. Rozmawiał przez telefon.

– Co!? Jak to go nie ma!? Miałeś go pilnować! – niemalże krzyczał. – Już tam idę!

Wyszedł z pomieszczenia. Taylor pobiegł do punktu, gdzie stykały się zaciągnięte zasłony i przecisnął przez nie głowę. Jego oczom ukazała się ta sama hala wielkości boiska piłkarskiego, jaką spotkał w Horyzoncie. Mnóstwo łóżek, a na nich pacjenci, każdy z kroplówką i wiszącą lampą na długim kablu. Do pomieszczenia nie docierało żadne inne światło, a ostre, mroźne powietrze kąsało gardło i płuca. Ktoś kaszlnął, a chłopak niemal nie zemdlął ze strachu. Z miejsca, skąd uniósł się dźwięk stał lekarz w białym fartuchu, spod którego wystawał czerwony golf pod samą brodę. Mężczyzna był łysy, a na nosie spoczywały okrągłe okulary, prócz tego był wysoki i chudy z sinymi oczodołami. Stał po środku czegoś na wzór centrum dowodzenia, z mnóstwem monitorów na różnych kondygnacjach, ogromne białe biurko w kształcie litery „U”. Doktor wędrował od monitora do monitora i spisywał wszystko do kartoteki trzymanej w ręce.

Chłopak zakradł się pod pierwszą linię ciał i schował się za łóżkiem. Wiedział, gdzie leży jego brat i dokładnie tam się kierował.

Wszyscy byli nieprzytomni, podpięci do aparatury, której zastosowania nie rozumiał. Wykres pokazywał rosnące i malejące okręgi, Philip musiał wpaść na lepszy sposób odczytywania tego, co się dzieje po drugiej stronie, niż w czasach, kiedy robił testy na nim. Dobiegł do Maxa i zmierzył mu tętno. Żył!

Pierwszą myślą było wybudzenie brata, ale wtedy do głowy przyszło mu coś innego. Nurkując w labiryncie ciał wyciągnął telefon i zaczął robić zdjęcia, ale było zbyt ciemno, a telefon był zbyt stary, aby zrobić je dobrze. Włączenie opcji flesz

zmarzniętymi palcami nie było takie proste, ale w końcu się udało i wychylił się za doktorem. Za każdym razem jak ten się odwracał Taylor robił zdjęcie. To był wystarczający dowód, aby pogrążyć dyrektora.

Zgięty w pół pobiegł dalej do miejsca, gdzie leżał pacjent, który wydawał mu się wcześniej znajomy. Stał przed nim, ale nie miał pojęcia kim był obcy mężczyzna w średnim wieku z dużym pieprzykiem na czole, z którego dumnie sterczały dwa włosy. Zawiedziony, wrócił do braciszka.

– Ej, słyszysz mnie? – szepnęła. – Musisz się obudzić, zabieram cię stąd.

Dyrektor mógł w każdej chwili wrócić. Im szybciej się uwinie, tym większa szansa, że po drodze nie stanie z nim w oko w oko. Problemem była aparatura, która zaczęła bić na alarm, jeżeli połączenie zostanie zerwane. Taylor dosunął ostrożnie pacjenta leżącego obok, na tyle by sięgnęły przewody. Wziął głęboki wdech i sprawnym ruchem przepiął je na drugiego pacjenta. Alarm włączył się tylko na sekundę, a doktor drygnął i szybko zanurzył się w monitor w celu sprawdzenia odczytu, który bez tego ułamka sekundy był bez zarzutu. Następnie wychylił się zza monitorów i rozglądał się przez chwilę po hali. Ukryty między łózkami Taylor był niewidzialny w spowitym mrokiem pomieszczeniu.

Gdy mężczyzna wrócił do swoich zajęć, zdjął Maxa z łóżka, zarzucając go sobie na ramię i ruszył w kierunku wyjścia. Wtedy go zobaczył.

Noah leżał wśród pacjentów, nieprzytomny jak reszta. Taylor podszedł do niego i zaczął klepać go po twarzy. Bezskutecznie. Zdawał sobie sprawę, że nie zdoła wynieść obydwu na raz, ale nie miał zamiaru go zostawiać. Wróć po ciebie, rzucił obietnicę w myślach.

Wybiegając z gąszczu łóżek wpadł wprost na doktora w czerwonym golfie, stojącego dwa metry przed nim, wpatrującego się w nich zapadniętymi w oczodołach ślepiami. Zastygł z długopisem przyłożonym do kartki, nie pisał, patrzył. Był równie zaskoczony, co chłopak. Taylor w pełnej gotowości na ratowanie brata patrzył na niego groźnie, choć ciało jego było jak galareta. Zaczął go omijać, wolno, ostrożnie, a lekarz nie spuszczał z niego wzroku, obracał się w miejscu, tak by ciągle stać przodem do chłopaka. Po pokonaniu wystarczającego dystansu Taylor pobiegł do wyjścia. Zatrzymując się pomiędzy zasłonami zobaczył, że doktor stoi w tym samym miejscu i wbija w nich swój wzrok jak kamienny posąg. Wbiegł za kurtynę, posadził braciszka na wózku inwalidzkim i wyjechali na korytarz, uderzeni podmuchem ciepłego powietrza.

– Trzymaj się mały, już prawie – pogłaskał brata po głowie.

Zatrzymał się przed głównymi drzwiami. Wiedział, że nie może tak po prostu wyjść. Przeszukał pobliskie pomieszczenie. Było tam mnóstwo pudeł, w których znajdowały się przeróżne płyny oraz sprzęt medyczny. Każda paczka była rozcięta od góry, ktoś musiał sprawdzać, czy towar jest właściwy. Nie miał czasu zagłębiać się w ich zawartość, sięgnął jedynie po biały fartuch rzucony na jedno z pudeł i założył go na siebie.

Wyszedł z pokoju i zauważył stojącego na końcu korytarza lekarza w czerwonym

golfie. Patrzył na nich dokładnie w ten sam sposób, jak na hali. Co sobie myślał? Dlaczego nie reagował w żaden sposób? Wzbudzał w Taylorze przerażenie. Ale chłopak nie zamierzał się nim w tej chwili przejmować. Złapał za rączki wózka i w miarę pewnymi krokami wyszedł z zakaźnego. Było już po kłótni, na korytarzu panował spokój, a on szedł, jak gdyby nigdy nic. Recepcjonistka odprowadzała go wzrokiem. W pewnej chwili zrobiła mikro ruch, chcąc się dopytać, dokąd zabiera pacjenta, ale tego nie zrobiła, najwyraźniej obawiając się nieprzyjemności.

Pospiesznym krokiem dowiózł wózek do najbliższej windy. Kiedy drzwi się rozsunęły, pchnął wózek do środka, sam wchodząc zaraz potem. Kabina zjechała niżej, Taylor podtrzymał bezwładną głowę nieprzytomnego Maxa, bladego jak śnieg. Chłopak spojrział na róg, gdzie ostatnio w Horyzoncie był uwięziony mężczyzna, który ocalił go przed stworem. Zobaczył go w swej wyobraźni wciśniętego w obślizgłą ścianę. Słyszał głosy, ciche.

– Halo! – krzyknął policjant stojąc przed otwartą windą. – Idzie doktor?

Taylor spuścił głowę i po prostu wyszedł, mundurowy śledził go chwilę wzrokiem, po czym wyjechał na górę. Dotarli do tymczasowego pokoju, tego, w którym zostawiła go wcześniej Ania, z lekkim zawahaniem zamknął drzwi i zasunął żaluzję. Na podłodze rozłożył dodatkową kołdrę i prześcieradło, tam położył braciszka, po czym wbił mu do żyły kroplówkę, którą wcześniej przygotowała dla niego pielęgniarka.

– Poczekaj tu na mnie, zaraz wracam. Obiecuję – powiedział i zabrał wózek inwalidzki. Nie chciał po raz kolejny zostawiać Maxa, ale nie mógł też pozostawić w tym chorym miejscu Noah. Zbyt dużo mu zawdzięczał. Nie zamierzał dłużej pozwalać Philipowi krzywdzić jego bliskich.

Jak na złość, winda nie chciała podjechać, więc zostawił wózek i wbiegł na piętro schodami. Nikt z personelu nie zaczepił go, na szczęście. Głowę miał cały czas pochyloną, ale nie zanadto, aby nie wzbudzać podejrzeń. Starał się być spokojny i zachowywać naturalnie.

Był niemal u celu.

Drzwi od zakaźnego były otwarte, ale nie to było najgorsze. Za nimi stał łysy lekarz, który patrzył na niego, wciąż nie wypowiadając ani jednego słowa. Wariat nie próbował go powstrzymać, nie wezwał ochrony, po prostu mu się przyglądał.

A potem zza rogu wyszedł dobrze znany mu facet z przepaską na oku i stanął przed doktorem w czerwonym golfie. Chłopak nie wiedział, co robić, serce mu przyspieszyło. Tamten zaraz wszystko wyśpiewa i rozpęta się piekło.

Ale dyrektor chwilę później oddalił się w głębi oddziału, zaś lekarz dalej stał na swoim miejscu. Taylor uznał, że to co najmniej dziwne i zbyt ryzykowne. Musiał przerwać akcję, dla swojego i innych dobra. Schodami ewakuacyjnymi zbiegł na półpiętro, zatrzymał się chcąc złapać oddech. Nieustanna duchota, ciągły rumor szpitala przybierał na sile, a w obecnej sytuacji, jak i jego kondycji fizycznej i psychicznej dobiły jeszcze mocniej, do tego te cholerne, ostre, białe światła, których nie znosił. Brakowało tylko ludzi w kaftanach i wypisz-wymaluj – zakład

psychiatryczny.

Cała ta sytuacja zdawała się go przerastać. Usiadł oparty plecami o zimną ścianę i objął rękami kolana. Wyglądał jak jeden z olbrzymów przedstawionych mu w Horyzoncie. Ciężko będzie mu ocalić staruszka. To było ogromne ryzyko. Podejmując kolejną próbę, mógł stracić wszystko. Zadrzał, nie będąc zdecydowanym, co dalej robić.

– Czyżby męczyły cię wyrzuty sumienia? – usłyszał znany głos.

Philip siedział na schodach nieopodal.

– Ja...

– Ciężko się dziwić – dodał dyrektor, poprawiając opaskę na oku.

– Skąd... skąd wiedziałeś, że tu jestem? – Taylor wyjrzał za niego, upewniał się czy jest sam.

Dyrektor wzruszył ramionami.

– Nie trzeba było długo zgadywać, dlaczego doktor tak bacznie się przygląda. – Uśmiechnął się zadowolony z siebie. – Cóż, nie mylisz się, zawsze uważałeś się nad sobą, ale tym razem naprawdę dałeś dupy. Pracowałem nad tobą jeszcze długo po tym, jak uciekłeś. Nagrania, badania, raporty. Znam cię lepiej niż ty sam – westchnął dumny. – Jestem pełen podziwu, że nie targnąłeś się na własne życie, wielu to robiło mając o wiele mniejsze problemy. Ale nie ty. – Zaciągnął rękawy koszuli. Ty trzymasz się jak nikt i chciałbym znać tego powód. Cóż tak mocno pcha cię w to miejsce, że pomimo swojego beznadziejnego życia i samych porażek wciąż błądasz się po tym świecie bez celu? Jak ty to robisz? – Skrzywił lekko głowę. – Dlaczego po prostu nie zrezygnujesz? Dla dobra twoich bliskich?

Taylor oparł się plecami o ścianę naprzeciwko schodów i zaczął ugniatać dłonie. Zastanawiał się.

– Ty – wybąkał wreszcie. – Ty jesteś powodem, dzięki któremu się trzymam. Cel i chęć zderzenia z ciebie skóry na żywca, poddania cię torturom, jakim ty mnie poddawałeś w zakładzie. Dopóki to się nie wydarzy, dopóki oddychasz, zawsze będziesz miał mnie w pobliżu. Więc to tobie wypada zadać pytanie, dlaczego się temu nie poddasz? Dla dobra wszystkich?

Dyrektor milczał przez moment, a potem nagle wybuchnął śmiechem. Chłopak uniósł wzrok przyglądając się jego zachowaniu. Czuł się padnięty, ledwo przytomny, mrugnął wolno, a Philip uspokoił się i rozłożył ręce.

– Co teraz? – spytał. – Jak to się dalej potoczy?

– Co masz na myśli?

– Jesteśmy jak postacie z komiksów. Ja chcę uratować świat, otworzyć ludziom oczy przed tą iluzją, jaką sami sobie zgotowaliśmy. A ty ciągle stajesz mi na drodze, utrudniasz, chcesz za wszelką cenę wepchnąć ich w świat maszyn i nieświadomości, co zabije w końcu nas samych. Umrzemy bez celu, bez wiedzy, obrabowani z szansy na ratunek.

Taylor zmarszczył czoło i wyciągnął głowę w stronę dyrektora.

– Porywasz ludzi, przetrzymujesz wbrew ich woli, torturujesz i podajesz narkotyki dzieciom, zmuszasz do bycia w tym piekle tylko i wyłącznie dla swojej ambicji – mówił wolno, dosadnie. – Postradałeś rozum, jeżeli uważasz się za tego dobrego.

– A co, może tym dobrym jesteś ty? Nie wmówisz mi, że zapomniałeś co wydarzyło się sześć lat temu. – Zmarszczył brwi. – Masz tak samo brudne ręce jak ja.

Taylor uciekł oczami, wyraźnie sięgał pamięcią.

– Poczekaj. – Dyrektor pokręcił głową. – Nie pamiętasz?

– Czego? – Chłopak był skołowany, nie wiedział o czym on mówił.

– Cóż – oparł ręce wzdłuż tułowia na schodzie. – Przynajmniej się nie oszukujesz.

– Za to ty się okłamujesz wmawiając sobie bujdy o ratowaniu świata, nie ważne, ile osób poświęcisz, nie odzyskasz jej. Mówiłem ci to jeszcze będąc w szpitalu. Choćbyś nawet...

– Ani słowa więcej.

Uniósł rękę, a chłopak przestał mówić. Siedzieli w ciszy, obaj zamyśleni. Taylor zauważył, że jego dłoń pokrywa cień, ale nie cofnął ręki, tym razem się nie bał.

– Po co tu jesteś? – Chłopak wziął głęboki wdech.

– Jestem? – spytał dyrektor.

Otwierając oczy dyrektora już nie było, jakby wyparował.

To niemożliwe, pomyślał. Rozejrzał się dokoła, ale mężczyzna naprawdę zniknął.

A może nie? Może wcale nie zniknął?

Może go tu wcale nie było?

Przelknął ślinę, skołowany i złęczony. Następnie podniósł się, otrzepał zimny tyłek i wolno ruszył w stronę swojej sali.

Będąc na miejscu, obszedł łóżko i spojrzał na braciszka. Leżał nieprzytomny, ale wyraźnie nabierał kolorów. Przyłożył ucho do jego klatki, usłyszał bicie serca, uszczypnął go mocno w bok szyi, ale chłopiec nie zareagował.

Ktoś otworzył drzwi, więc Taylor wskoczył na łóżko. Kiedy pielęgniarka weszła do środka i zobaczyła mężczyznę leżącego pod kołdrą, zgłupiała. Na pierwszy rzut oka przypominała Anię, szczupła z rozpuszczonymi włosami, ale tu podobieństwa się kończyły. Miała szeroki nos tuż pod oczami i przesadnie, powiększone, kacze usta.

– O, przepraszam – spojrzała na numer sali. – Byłam przekonana, że nikogo tu nie ma.

Nie odezwał się, wzruszył jedynie ramionami, żołądek podszedł mu do gardła.

– W takim razie, nic tu po mnie – odwróciła się. – Potrzebuje pan czegoś?

– Nie, dziękuję, chcę iść spać.

Miała wyjść, ale uniosła palec, jakby coś sobie przypomniała. Zajrzała do szafy.

– Dziwne, nie ma zapasowej pościeli? No trudno.

Sięgnęła po koc i zaczęła zarzucać na koniec łóżka. Taylor w stresie pomagał go rozłożyć, aby tylko nie zmusić jej do obejścia łóżka.



– To tak na wszelki wypadek, podobno noc ma być zimna – rzekła.

– Dziękuję, ale nie potrzebuję niczego. Może pani iść – poganiał ją.

Sprawdziła maszyny i uśmiechnęła się do niego. Poszła w kierunku drzwi i zatrzymała się w progu.

– Przypomina mi pan kogoś – rzuciła zadowolona. – Miał podobne tatuaże.

– Wątpię.

– Wiem! Mojego sąsiada. Miał dobre serce i duszę, ale ciągle pakował się w tarapaty. Przychodziły one do niego z reguły z chęci pomagania innym, ciekawe, prawda? Kiedy żyjesz swoim życiem, wszystko jest okej, ale kiedy zaczynasz pomagać innym w twoim życiu zaczynają pojawiać się problemy. – Wyglądała jakby się zamyśliła. – Czy nie powinno być odwrotnie?

– Nie wiem, jak powinno być, ale wiem, że powinienem się wyspać – powiedział beczelnie.

– Racja – uśmiechnęła się. – Lecę do reszty pacjentów, miłej nocy.

Odwrócił się i przykrył kołdrą, dając mocno do zrozumienia, żeby zostawiła go w spokoju. Ale ta nie odpuszczała.

– Ostatnie pytanie. Nie widział pan może podejrzanego faceta z chorym chłopcem na wózku?

– Nie – odparł z miejsca. – Czemu pani pyta?

– Mieliliśmy pewien incydent w strefie zakaźnej, jest bezpiecznie proszę się nie martwić, ale gdyby pan coś zobaczył proszę od razu dać znać.

– Oczywiście.

Pielęgniarka opuściła salę. Wieści o tym, że chłopaka wywieziono rozniosły się. Musi uważać, nie wychylać się. Nadchodził wieczór, niebo zmieniało swój odcień, czerniało. Wiedział, że skoro Philip podniósł alarm, to znaczy, że nie zostało im dużo czasu, aż ich tu znajdą. Musiał się pospieszyć. Taylor zerknął jeszcze raz na Maxa. Ten spał. Przed wyprawą na drugą stronę wszedł do łazienki i przymknął za sobą drzwi, odlał się, po czym umył ręce i spojrzał na siebie w lustrze. Dodawał sobie otuchy, najgorsze za nim, teraz tylko tego nie spieprzyć.

Wychodząc zrobiło mu się słabo widząc pielęgniarkę. Wróciła i stała za łóżkiem, patrząc na leżącego tam braciszka. Była w szoku, nie ruszała się. Po chwili kucnęła i zaczęła sprawdzać, czy żyje, ale chłopczyk nie reagował. Przestraszona odwróciła się, aby zawołać pomoc, ale ostatnie co widziała to coś czerwonego lecącego na jej głowę.

Taylor uderzył ją gaśnicą w głowę. Pielęgniarka padła nieprzytomna tuż obok Maxa.

– Kurwa – skomentował, widząc, że tą pielęgniarką była Ania.

## Koniec pościgu

Jak ja do tego dopuściłem? – zadawał sobie pytanie przyglądając się wciśniętej Ani i braciszкови do dwóch szaf. Oboje byli nieprzytomni. Pomijając guza wielkości brzoskwini na głowie pielęgniarki, ta „raczej” nie powinna mieć z tego zajścia więcej nieprzyjemności. Czego nie mógł powiedzieć o sobie. Kiedy dziewczyna się wybudzi, on skończy o wiele gorzej. Zamknął oba drewniane skrzydła drzwi mebla i położył się na łóżku. Oczy mu się kleiły, a dłonie drżały. Siedział z sercem zaciśniętym przez strach, trzymając się kurczowo nadziei, że to już ostatni raz, kiedy przechodzi na drugą stronę, a przynajmniej po brata. Niczego tak nie pragnął, jak wyciągnięcie go z tego koszmaru. Był świadomy, że tym razem będzie trudniej. Cień, który polował na niego od lat, dotarł do szpitala, co znaczyło, że Taylor miał teraz na karku dwa upiory z obsesją na jego punkcie. Kiedy się wygiął, zabolowały go żebra, ból był już jednak do zniesienia. Wysypał na dłoń pigułkę i przypomniał sobie słowa Ani, że musi przestać postępować tak samo, jeżeli chce coś zmienić.

Miała rację. Wziął głęboki oddech i wrzucił tabletkę do pojemnika, który odłożył na stoliku obok łóżka. Położył się na tyle wygodnie, na ile mógł i zamknął oczy.

Ciężki huk uniósł się po pomieszczeniu. Taylor zerwał się widząc, że drzwi do szafy, w której leżała kobieta były otwarte, a w środku jej nie było. Drzwi wejściowe również były zostawione na oścież. Musiała uciec przestraszona, jeżeli komuś o tym powie zostanie pozbawiony szansy na ocalenie braciszka. Wskoczył z łóżka łapiąc się za żebra i wychylił na oświetlony korytarz. Po prawej stronie kilkanaście metrów dalej Ania rozmawiała z lekarzem, wymachując przy tym rękami. Wiedział, że już po nim i lada moment pojawi się tutaj ochrona, szanse na uratowanie braciszka spadły do zera, nie zdąży go nawet przenieść, nie kiedy wszyscy ich szukają. Spojrzeli na niego z zainteresowaniem, okazało się, że pielęgniarką rozmawiającą z doktorem nie była Ania, tylko kaczo-usta. Myśleli, że ich woła, więc ruszyli w jego kierunku, ten zamknął drzwi, spanikowany nie wiedząc co robić.

– Kurwa, jak mogłem do tego dopuścić – krzyknął niemal.

Zrezygnowany zaczął wracać do łóżka, akceptując swój los, ale kątem oka dostrzegł wystające zza łóżka nogi. Dudnienie, jakie go zbudziło to wypadająca pielęgniarka z szafy. Nie miał dużo czasu, lekarz z końca korytarza właśnie tutaj zmierzał, chaotycznie wrzucił ją z powrotem i na siłę starał się zamknąć, raz blokowała noga, raz ręka, dociskając ją kolanem, zamknął szafę i zanim wrócił do łóżka, ta znów z niej wypadła rozkładając się na podłodze jak rozgwiazda. Ręce mu opadły.

– Ania, nosz kur...

Usłyszał głos lekarza, który był już kilka kroków od drzwi, nie miał innego wyjścia,

musiał improwizować i rzucił ją na fotel. Lekarz wszedł do środka, zapalając światło.

– Ej! – wykrzyczał zasłaniając oczy.

Lekarz zgasił główne światło, zostawiając zapalone lampki nad łóżkiem.

– Stało się coś? – spytał lekarz idąc w jego stronę. – Wołał nas pan.

Tuż za nim weszła pielęgniarka.

– Nie, nikogo nie wołałem.

– To co robił pan na korytarzu? – Zaczął się rozglądać. – Gdzie pańska kartoteka?

Taylor wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Może gdzieś wypadła, panno Maggie – zwrócił się do personelu. – Proszę poszukać dokumentów, na pewno gdzieś tu są.

– Doktor zabrał! – Rzucił spanikowany chłopak. – Teraz pamiętam, nie ma ich tu.

Drzwi szafy zaskrzypiały uchylając się lekko, skupiły na sobie uwagę wszystkich zebranych, pielęgniarka pewnym ruchem otworzyła je. Szafa była pusta. Domknęła ją ciągnąc za klamkę w górę, a one strzeliły zatrzaszkując się.

– Te trzeba pociągnąć w górę, wtedy się domkną, zawias się poluzował. Zgłosiłam to już dawno, ale jak widać nikt nie ma czasu tego naprawić.

– Tak więc, wracając do tematu...

Uwagę doktora przykuła obecność przykrytej kocem kobiety śpiącej wygodnie w fotelu. Zrobił kilka kroków bliżej.

– Przepraszam, ale musi pani opuścić to miejsce – rzucił. – Odwiedziny są od godziny szesnastej do dwudziestej. – Ania leżała nieprzytomna, nie mogła odpowiedzieć. – Halo?

– Proszę jej nie budzić! – zawarczał.

– Rozumie pan, że ona nie może tutaj być?

– To moja żona, na recepcji pozwolono jej zostać na noc. Przyjechała z daleka, pozwólmy jej odpocząć.

Lekarz ewidentnie się wahał. Spojrzał na pielęgniarkę, która wzruszyła ramionami na znak obojętności.

– W porządku, ale tylko ta noc – pogroził mu palcem. – Do czego to doszło, że recepcja decyduje o tym, kto ma zostać na oddziale. Świat oszalał – w lekkim uśmiechu wywrócił oczami. – Zatem miłych snów. Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę wcisnąć przycisk, nie musi pan wychodzić na korytarz.

Zamknął za sobą drzwi, a Taylor odetchnął z ulgą. Poczuł, jak schodzi z niego ciśnienie. Ręce miał spocone, sam nie wiedział czy z braku tabletek, czy przez to, że prawie został zdemaskowany, a może wszystko na raz. Zerknął na nieprzytomną Anię, myśl o możliwości bycia razem była przyjemną wizją, happy end'em, który od jakiegoś czasu nie zdarza się nawet w filmach. Rozmazany wzrok powędrował na szafę.

– Idę po ciebie, braciszku.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Spękany sufit, porośnięty martwymi korzeniami, oświetlony ostrym krwisto pomarańczowym światłem i ten cholerny smród. Przerzął go fakt, że ostatnimi czasy jego samopoczucie jest lepsze w Umbrze, niż w świecie materialnym. Nie powinno tak być, ale tutaj nie czuł zmęczenia. Usiadł na skraju łóżka i zasłonił ręką ogromne słońce, które było teraz na wysokości jego oczu, jakby w oddali żarzyło się całe spalone miasto albo jakby zamiast jednego słońca było pięć i wszystkie zalane krwią. Nigdy nie spotkał się z takimi anomaliami.

Spojrzał na fotel. Ani oczywiście nie było. Podszedł do szafy i ją otworzył. Coś było nie tak. Nie było srebrnej nici, a przecież Max żył. Gdyby została zerwana, ciało byłoby martwe. Spojrzał na zamknięte drzwi do sali. W szpitalu było podejrzenie cicho, szukanie go bez podążania za nicią było złym posunięciem, ryzykownym biorąc pod uwagę, że nie tylko jego brat jest poszukiwany, ale lada moment pracownicy szpitala zorientują się, że Ania zniknęła.

Włożył rękę do półki, w której zamknął ciało swojego braciszka, poczuł dziwne ciepło na dłoni, gdy ją cofnął zauważył nić ciągnącą się na korytarz. Leniwie nabierała koloru, aż zaświeciła. Kamień z serca. Poszedł jego śladem, otworzył drzwi, sznur prowadził w lewo, w kierunku wyjścia, tam, gdzie ostatnim razem widział cień, który przybiegł tutaj specjalnie dla niego. Większość korytarza tonęła w czerni, punkty światła oblewały ściany pomarańczowym blaskiem, nieco przygaszonym. Cienie nie powinny móc się tam pojawić, ale pewności nie miał. Wszystko przez to, że w normalnym świecie jest noc i większość pokoi została zamknięta, aby nie przeszkadzać pacjentom w spaniu. Całe życie pod górę, skomentował w myślach.

Idąc pustym od upiorów i duchów holem, czuł, że coś jest nie tak. Coś wisiało w powietrzu, jakby wchodził w pułapkę. Za każdym razem szpital roił się od zabłąkanych dusz, teraz były pustki. Ostatnim razem rytuał i zapach ziół odstraszał. Ale co działo się teraz?

Podążał za nicią, aż ta skręciła w prawo, Wyszedł zza winkla i wskoczył z powrotem za ścianę. Nić prowadziła do jednej z sal po prawej, ten fragment korytarza był zatopiony w mroku. Zarówno okna, jak i drzwi były zamknięte, nie wpuszczały żadnego światła. Dusza Maxa była w potrzasku.

Coś miało się przed nim, skupił wzrok. To czarny upiór ciął i bił w drzwi do pokoju, chcąc za wszelką cenę dostać się do środka.

Taylor przeżegnał się i podszedł do ściany naprzeciwko opierając o nią plecami, wolno skracał dystans między nim a cieniem, który był zajęty chęcią wtargnięcia do sali. Wolno stawiał kroki, nie chcąc zwrócić na siebie uwagi. Krok po kroku,

precyzyjnie i z rozważą, kiedy cień robił przerwę od ataku, Taylor stawał w miejscu, kontrolował oddech. Ruszał się tylko wtedy, gdy ten atakował. Był przerażony, ale fakt ratowania swojego braciszka był mocniejszy.

Dotarł do pokoju obok i zaczął się skradać w kucki, wolno, pewnie, jak kot czający się na mysz. Pod łóżkiem leżał chłopak w zakrwawionej szarej bluzie z kapturem, skulony w pozycji embrionalnej. Trząsał się ze strachu. Był w podobnym wieku, co Max, tylko ważył dwa razy tyle. Ten też go zauważył i wyszczerzył oczy. Zaczął się podnosić, ale Taylor przyłożył palec do ust i wskazał na upiora za nim, dając do zrozumienia, by chłopczyk siedział cicho.

Cień zawzięcie napierał na drzwi. Przez zagłuszone odgłosy tego miejsca, mimo iż hałas dochodził tuż zza jego pleców, miał wrażenie jakby działo się to kilkadziesiąt metrów dalej. Stał w bezruchu, wiedząc, że jeżeli upiór zaatakuje teraz, to nie zdąży. Chciał ruszyć, ale duch chłopaka uniósł się wyżej. Taylor wyciągnął ręce w górę pokazując mu, że nie zrobi mu krzywdy, a chłopak znieruchomiał z otwartą buzią. Gestykulując pokazał mu co zamierza zrobić, po czym wolno zrobił pierwszy krok, nie mogąc dłużej czekać. Robiąc drugi krok chłopak odskoczył do tyłu i uderzył plecami o łóżko.

Zrobiło się cicho. Wszystkie odgłosy ustały. To była najbardziej przerażająca cisza, jakiej doświadczył. Zatrzymał powietrze w płucach i odwrócił się niespiesznie. Czarny cień o twarzy dziecka zaczął się nad nim nachylać. Wtedy ruszył w pełnym biegu do pokoju, a upiór zanurzył się w czerni pod nim i wyskoczył z cienia zza łóżka w sali. Zaatakował z ciemności, z zasadzki, cicho i wrednie. Taylor odskoczył, a ten zniknął i zmaterializował się w mroku za nim niczym buchający dym z wulkanu. Chłopak widział tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Pochwycił ducha, który był winny tej sytuacji i pchnął go prosto w łapska upiora. Wykorzystując ten moment pobiegł dalej, słysząc jedynie wrzaski i paniczne krzyki chłopca oraz głośny pisk usatysfakcjonowanego upiora.

Taylor pewnym ruchem pociągnął żaluzje wpuszczając pomarańczowe światło do środka. W pokoju już nikogo nie było, ani cienia, ani chłopaka. Dyszał przy oknie mając wrażenie, że odczuwa stłumiony ból żeber, ledwo zauważalny, ale jednak. Jak to możliwe, przecież jestem niematerialnym bytem w tym momencie? – dumał. Trzymając się za brzuch poszedł do sali na przeciwko i pociągnął za klamkę, otwierając drzwi. W środku za łóżkiem skrywał się jego przerażony braciszek. Kucnął, a ten rzucił mu się w objęcia.

– Taylor! – krzyknął szczęśliwy.

Przytulił go mocno i sprawdził, czy jest cały; wyglądał jakby nic mu nie było. Chłopak złapał go za rękę i pospiesznym krokiem zaczął prowadzić.

– Trzymaj się mnie, a nic nam nie... – Jego oczom ukazała się kreatura, ta sama co ściga go przez kontynent, stała na końcu drogi i przyglądała mu się uważnie – Masz gdzieś latarkę, którą ci dałem?

Poczuł uścisk dłoni braciszka.

– Mam ją tu...

Wyciągnął ją z kieszeni i dał starszemu bratu. Taylor złapał za nią omal nie upuszczając na podłogę.

– Jestem. – Szept upióra niósł się echem jak w nawiedzonej, starodawnej studni.

Cień kołysał się wolno z lewej do prawej, rytmicznie, a srebrne spodki nie spuszczały z nich wzroku. Nienawiść jaką go darzył była niemal namacalna.

– Idziemy – rzucił Taylor.

Wziął Maxa i poszli w przeciwnym kierunku. Mimo iż byli w posiadaniu latarki, miał zamiar postępować z tym upiorem tak, jak do tej pory, czyli unikać go.

– Nie uciekniesz – wyszeptał donośnie, stając już o jedną czarną plamę bliżej.

Bracia pobiegli do rogu i skręcili w lewo, a tam na ich drodze stał drugi dobrze mu znany upiór, ten sam, który opętał dziewczynę. Zgarbiony i wściekły, wpatrywał się w niego znienawidzonymi świecącymi ślepiami. Chłopak osłonił braciszka swoim ciałem. Już miał odpalić latarkę, gdy drzwi za upiorem zatrzęsły się. Wtedy zrozumiał co się dzieje.

– Nie schowasz się.

Słyszał go, ale nie widział, ukrywał się w mroku. Dookoła uniósł się huk zasuwanych żaluzji, jedna po drugiej. Korytarz zaczął zalewać się czernią.

– Przede mną się nie ukryjesz!

Czasu było coraz mniej, chłopak musiał reagować. Szarpnął braciszka za rękę i wbiegli do pobliskiego pokoju, gdzie Taylor zerwał żaluzje z okien i cisnął nimi w stronę drzwi, uniemożliwiając w ten sposób zaciemnienie pomieszczenia. Chłopak zakrył Maxa własnym ciałem i obaj patrzyli złękzionym wzrokiem na korytarz, z którego huk dochodził w coraz większych odstępach i znacznie cichszy, aż w końcu ustał. Miejsce hałasu zajęła cisza, zadziwiająco długa, martwa i złowroga. Max czuł jak obejmująca go ręka brata drży ze strachu. Ich sylwetki malowały się szarością na pomarańczowej ścianie przed salą. W mroku zobaczyli ruch, a starszy brat wymierzył w to miejsce latarką. Nie świecił, straszył, nie znając wytrzymałości baterii nie chciał jej zużywać bez stuprocentowej konieczności. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, było zbyt wysoko, żeby zeskoczyć, do tego tę część ogrodu pokrywał cień. Słyszając szept momentalnie odwrócił się przodem do wejścia celując latarką. Zza drzwi uniósł się gęsty dym, oplatał je długimi językami. Było ich coraz więcej, wydobywały się z każdego zakamarka.

Byli otoczeni.

\* \* \*

Do szpitala niepewnym krokiem wszedł mężczyzna w średnim wieku, z ciemnymi kręconymi włosami, wychodzącymi spod bawełnianej czapki. Miał kozią bródkę i okulary z czerwonymi oprawkami. Na chabrowy podkoszulek zarzucona była mysia marynarka, a dłonie miał schowane w kieszeniach materiałowych spodni dobranych kolorystycznie do koszulki. Stał pośrodku poczekalni i rozejrzał po oczekujących ludziach. Recepcjonistka spojrzała na niego pytająco. Jeden z nowoprzybyłych stanął

za nim tworząc kolejkę, ale ten przepuścił go i zerknął na oddział po prawej. Zagryzł wargi, a po krótkiej chwili, już bez wahania, odwrócił się i wyszedł ze szpitala, przekonany, że przyście tutaj było złym pomysłem. Nie miał zamiaru więcej o tym myśleć.

Niebo przeciął przelatujący samolot, a po chwili na podjazd wjechała karetka pogotowia. Wskoczyli z niej sanitariusze, a wkrótce potem wyłoniły się nosze, na których leżał starszy człowiek. Wwieźli go do środka, a kierowca karetki stanął z boku i odpalił papierosa.

– Co mu się stało? – spytał mężczyzna.

– Wpadł z pierwszego piętra – odpalił zapalniczkę, rozświetlając twarz. – Ma szczęście, że żyje.

– Nieprzytomny?

– Tak. A pan? Też chory?

– Nie, przyszedłem odwiedzić przyjaciela.

– O tej godzinie? Wpuścili pana?

– Nie pytałem. – Spojrzał na wejście do szpitala ze zmieszana miną.

Kierowca nie dociekał. Odezwano się radio w krótkofalówce i zaczął szybciej i mocniej zaciągać się dymem.

– Niech pan idzie odwiedzić znajomego, zanim ktoś się rozmyśli – rzekł po chwili. – W obliczu rozgardiaszu, jaki tu ostatnio panuje, w każdej chwili może pan otrzymać zakaz...

– A co tu się takiego dzieje?

– Najpierw zmarło dziecko, później jakaś kobieta oszalała i odgryzła facetowi pół ręki, dodatkowo mówią, że to nawiedzony szpital. Ludzie tu duchy widzą. – Kierowca westchnął, po czym podszedł do karetki i wsiadł do niej. – Pan idzie do przyjaciela, jak najszybciej. Bo to nie wiadomo, co następnego się zaraz stanie i na kogo trafi.

Po chwili zjawili się również sanitariusze. Wskoczyli do ambulansu i pojazd odjechał.

Mężczyzna wyciągnął tabletki i spojrzał na pełne pudełko, po czym włożył je z powrotem do marynarki i wszedł do szpitala. Podszedł pewnie do recepcji.

– Dobry wieczór, przyszedłem dowiedzieć się czegoś o pacjencie, który podobno u was leży.

– Imię i nazwisko? – spytała czarnoskóra recepcjonistka dosuwając do siebie klawiaturę.

– Taylor Ewing.

– Sekundkę. – Słyszał pracę klawiatury. Drzwi po prawej rozsunęły się z sykiem i wyszedł zza nich lekarz w eskorcie pielęgniarki z rzucającymi się w oczy dużymi ustami. Rejestratorka uniosła głowę. – O! Panie doktorze, mogę pana prosić!?

– Tak?

– Mam tutaj pana... – Pielęgniarka spojrzała wymownie na mężczyznę.

– Carl Roone – przedstawił się.

– Pan Carl przyszedł zapytać o pańskiego pacjenta, Pana Taylora Ewing.

Lekarz spojrzął na tamtego podejrzliwie.

– Jest pan rodziną?

– Nie, przyjacielem. Chciałem się dowiedzieć czy wszystko z nim w porządku.

– Jego stan jest stabilny, wypoczywa teraz pod okiem żony. Właśnie od nich wracamy

– Na pewno mówimy o tej samej osobie? – Carl zerknął na lekarza, a potem na pielęgniarkę. – Taylor nie ma żony.

Lekarz i pielęgniarka popatrzyli po sobie, po czym kobieta pospiesznym krokiem ruszyła w stronę powrotną. Carl zorientował się, że coś jest nie tak. Za tym kłamstwem musi stać jakiś powód, dlatego szedł w zaparte.

– A nie, przepraszam! – Pielęgniarka zatrzymała się. – Faktycznie, niedawno się pobrali, nie mogę się przyzwycząić. Proszę ich nie budzić, nie chcę, by mieli do mnie pretensje.

Pielęgniarka zawahała się, ale w końcu wróciła i stanęła obok lekarza.

– Ma pan rację, chłopak musi odpocząć. Tragedia, jaka go spotkała zapewne ma wpływ na jego stan psychiczny i zdrowotny, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że od śmierci jego brata ciągle dzieje mu się krzywda, przez którą zmuszony jest spędzać tu kolejne doby? Przyda mu się teraz przyjaciel.

– Przepraszam, co pan powiedział? – Mężczyzna był zszokowany. – Jego brat nie żyje? Kiedy? Jak!?

– Trafił do nas potrącony przez samochód. Przez pewien czas jego stan był stabilny, ale ostatecznie jego organizm nie poradził sobie z obrażeniami, jakie odniósł.

Mężczyzna zgiął się w pół, zdjął z głowy czapkę i odszedł bez słowa, usiadł na jednym z krzesłek w poczekalni i przyłożył ją sobie do twarzy. Łzy polały się po policzkach, oparł łokcie o kolana. Nie wyobrażał sobie, jaki to musiał być cios dla Taylora. Jego młodszy brat był jedynym filarem trzymającym jego świat przed zawaleniem, a teraz go nie ma, odszedł. Czuł wyrzuty sumienia, że nie wpuścił go do domu, kiedy przyszedł w środku nocy prosząc o pomoc. Gryzła go myśl, że gdyby wtedy nie zamknął mu drzwi przed nosem, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Schował głowę między kolana i zacisnął pięści na włosach.

\* \* \*

– Carl Roone – rzekł Taylor, siedząc oparty o ścianę pod oknem. – Zapamiętaj to imię. Jest jedyną osobą, która ci pomoże, jeżeli sprawy zajdą za daleko. Tylko jemu ufam.

– To ten lekarz, do którego mama cię wysłała? – spytał Max.

– Mama wysłała mnie do zakładu, na Carla trafiłem wcześniej, przez tatę. Jako



jedyny chciał mi pomóc, wytłumaczyć i nauczyć mnie, jak sobie radzić z... – Wskazał w głąb korytarza na rozlaną czern. – Z tym.

– To, dlaczego cię zamknęli, skoro pomagał?

– Według mamy efekty nie były zadowalające. Wciąż budziłem się z krzykiem i przedostawałem tutaj. Naciskała na niego, by dał mi leki, ale on się nie ugiął. Tłumaczył jej, że to nie choroba, a podatność na coś, o czym się nie mówi, bo biorą cię za wariata. Potrzeba było czasu, a mama chciała mieć to z głowy i znalazła dla mnie miejsce, a raczej jej chłopak znalazł. Ja chodziłem naćpany, ona zadowolona... – Parsknął, grzebiąc palcem w piachu pod nogami. – Nie wiem czy wiedziała, gdzie mnie posyła, czy była świadoma w czyich rękach zostawia syna. Teraz to już nie ma znaczenia.

– Mama nie jest zła, kocha cię, tak jak i mnie. Chociaż tego nie mówi. Długo płakała jak uciekłeś.

– Ona nie jest zła, nie. – Poglaskał młodszego brata. – Jest naiwna. Osoby trzecie mają na nią duży wpływ, ale nie zmienia to faktu, że oddała mnie jak niechcianego psa i zamknęła w pokoju bez klamek.

Widział, że braciszek posmutniał. Zmienił temat.

– Za to spójrz, jak ty wyrosłeś. Jesteś mądry, silny i odważny. Tata byłby z ciebie dumny. Do tego nieźle grasz w kosza. Widziałem na portalach społecznościowych, masz talent.

– Wiedziałem! To ty jesteś saltwateraquarium!

– Tak, ja. – Uśmiechnął się. – Słaby ze mnie szpieg, skoro się domyśliłeś.

– Chciałem napisać, ale bałem się, że wtedy przestaniesz mnie obserwować. Cieszyło mnie, że się mną interesujesz. Dlatego starałem się robić relacje z każdego dnia. – Splótł ręce na kolanach i oparł o nie głowę. – Czemu akwarium?

– Nienawidzę ryb – stwierdził szybko Taylor. – Przez to miało być ciężiej się domyślić.

Zaśmiali się w głos, ale ich śmiech zdusiło metaliczne uderzenie w holu. Taylor wycelował latarką w czarne wyjście na korytarz. Dymy nie ustępowały, chmara upiórów tylko czekała, aż się wyłonią, by wciągnąć któregoś z nich do ciemności. Rozluźnili się, a chłopiec oparł głowę o ścianę.

– Przepraszam, że nic nie zrobiłem – powiedział.

– A co miałeś zrobić?

– Pamiętam, jak mama naciskała, pamiętam jak się z tobą kłóciła o szpital. Stałem tam z boku i tylko patrzyłem, bałem się odezwać. Chciałem, żebyś został. Płakałem, gdy cię zamykali, ale nie zareagowałem, byłem tchórzem.

– Ej, ej, ej... – Położył mu dłoń na ramieniu. – Nie atakuj się, miałeś wtedy sześć lat, nie ma się co dziwić. Nie mogłeś nic zrobić.

– Czy to się kiedyś skończy? – Wskazał palcem na cienie. – To miejsce? Jak ty sobie radziłeś przez ten cały czas? Tu jest strasznie.

– Na początku tak nie było. Miasto było puste, jak wymarłe, po prostu spacerowałem. Są miejsca, gdzie generują się mocne emocje i te punkty przyciągają upiory. W szpitalu zmuszali mnie do nawiązywania kontaktu, wtedy pierwszy raz zobaczyłem jednego z nich i zaczęło się to. – Wskazał palcem na czarny dym. – Nie martw się, można nauczyć się blokować wejścia tutaj. Odkąd uciekłem nie byłem w Umbrze ani razu, aż do dnia przed telefonem mamy. Coś jakby siłą wciągnęło mnie z powrotem. Przez to wiedziałem, że dzieje się coś złego.

– Taylor... – Braciszek odwrócił wzrok.

– Tak?

– Czy my tu umrzemy?

Po tych słowach i widoku zrezygnowanego chłopca wiedział, że musi zrobić wszystko, by tego tak nie zostawić. Nawet jeśli zajdzie taka potrzeba, to on jest gotów oddać swoje życie za młodszego, by opuścić ten przeklęty świat cienia.

– Nikt tu nie umrze. – Taylor wstał i zaczął się rozglądać. – Poczekaj chwilę.

Zauważył statyw na kółkach podtrzymujący roztarganą, pustą kroplówkę. Przyciągnął go stawiając stojak między nimi, zerwał zużyty woreczek, a metalową rurkę wysunął maksymalnie w górę. Pochwycił latarkę i na samym czubku przymocował ją bandażem znalezionym pod łóżkiem. Skierował latarkę pionowo w dół i zapalił światło. Na podłodze rozkwitł okrąg światła. Pamiętał, jak starzec twierdził, że jest to specjalna lampa, odstraszaająca cienie o wiele skuteczniej, bo daje mocniejsze światło, niż zwykłe lampy.

Oby miał rację, pomyślał Taylor, po czym zwrócił się do chłopca:

– Chodź.

Trzymając młodszego za dłoń podszedł bliżej drzwi, jeszcze raz sprawdził całą konstrukcję, upewniając się, że nic się nie kiwa.

– Co robisz? – spytał niepewnie Max.

– Próbuję nas stąd wydostać. Rób dokładnie to, co ja. Gotowy?

Max potaknął, a Taylor kucnął, prowadząc go za sobą. Znajdowali się idealnie w centrum okręgu stworzonego ze światła. Wyszli na korytarz. Jedną ręką trzymał statyw, płynnie posuwając go do przodu – zardzewiałe kółka skrzypiały niosąc się głuchym echem. Drugą ręką kurczowo trzymał przy sobie braciszka.

Opuścili zasięg pomarańczowego światła padającego z sali i weszli w czarny jak studnia nocą korytarz. Małymi kroczkami pokonywali dystans, kiedy nagle usłyszeli szept. Przeciąg zawiął po kostkach, po czym nagle ustał, Taylor wolno podniósł wzrok i zauważył tłum cieni, które okrążały ich kłębiąc się poza obrębem, gdzie nie sięgało światło latarki. Stały na linii granicznej, gdzie spotykały się dwa kolory. Najpierw pierwszy spróbował wsadzić łapę w światło, ale gdy tylko to zrobił, czarne jak smoła palce rozsypały się na popiół; odskoczył skowycząc z bólu i wpadł plecami w pozostałe upiory, przepychając się przez ich tłum. Chwilę potem wszystkie zrobiły przejście, przez które niczym lider szedł najbardziej majestatyczny z cieni.

Taylor wiedział, że jego tropiciel przejął kontrolę nad wszystkimi cieniami

w szpitalu, zarządzał nimi. Uwięzienie braciszka w pokoju, przed którym zostawił upiora było zaplanowane, jak i to, że bez żadnych przeszkód do niego dotarł. Cień przygotował na niego zasadzkę. Zatrzymał się milimetry od kręgu światła, jaki tworzyła latarka. Syczał głośno.

– Sprytne. – Słowo to uniosło się jednostajnie, jak szelest suchych liści.

Szepty cienia były dużo głośniejsze, niż krzyk kogokolwiek innego w tym wymiarze.

Bracia siedzieli pod latarką w swoich objęciach, drżący z przerażenia w sytuacji bez wyjścia. Cień krążył wolno dookoła kręgu światła, a Taylor śledził go wzrokiem, zastanawiając się skąd u niego taka zawziętość.

Upiór zatrzymał się, pokręcił głową niczym zaciekawiony szczeniak i wyciągnął po niego rękę, wytrzymał dwa tyknięcia zegara zanim zaczęła dymić, a następnie cofnął ją z bólu. Włożył drugą, potem obienaraz, jednak za każdym razem nie wytrzymał długo. Nie ukrywał poirytowania, długo wyczekiwana zdobycz była w pułapce, na wyciągnięcie ręki, ale wciąż nieosiągalna. Pływał dookoła okręgu przepychając się między innymi, którzy stali w bezruchu.



Cień zawył jazgotliwie i wrzucił do środka kręgu jednego z nich, a ten spopielił się w sekundę. Poleciało kolejnych dwóch i zaraz następni, w okręgu zapanowała burza tańczącego popiołu, dotkliwie uderzającego w nozdrza. Taylor zakrył usta sobie i bratu, by osłonić przed dławiącym dymem. Ten jednak chwilę później zawisł w powietrzu nieruchomo, a wreszcie rozwiął się niespiesznie, oczyszczając przestrzeń, którą obejmowało światło.

Kreatura rzekła coś do pozostałych w niezrozumiałym dla braci języku, a ci stanęli za nią, tworząc łańcuch z niematerialnych ciał. Cień wziął ogromny zamach i wskoczył do okręgu, atakując szponami starszego brata. Ten zrobił unik, a pozostałe cienie w ułamku sekundy wciągnęły lidera z powrotem w mrok, zanim zdążył się rozpaść.

Chłopak zdziwił się, że cień zabłysnął taką inteligencją. Poczul na udzie jakąś ciepłą ciecz i zrozumiał, że atakujący zdołał go dosięgnąć. To była krew. Chcąc ją

zatomować, zacisnął dłoń na ranie.

Przeszli jeszcze kawałek, cudem unikając kolejnych cięć. Do kolejnej sali brakowało kilkunastu metrów. Nagle Taylor poczuł szarpnięcie braciszka, a potem cień skoczył jeszcze raz. Max chciał uciec, ale starszy brat zatrzymał go i zasłonił własnym ciałem. Stwór ciął raz za razem. Nie zawsze trafiał, ale te kilka celnych ciosów wystarczyło, by Taylor zaczął tracić coraz więcej krwi. Spanikowany Max szarpał się, chcąc uciec.

– Dokąd pobiegiesz!?! – Taylor wrzasnął wskazując palcem na cienie – Tam!?! Tylko tu jesteśmy bezpieczni!

– Nie jesteśmy! Umrzemy, jeżeli nic nie zrobimy. Nie chcę czekać nie wiadomo na co, wolę walczyć.

Taylor przytulił go mocno. Był pod wrażeniem jego odwagi, I miał rację – muszą coś zrobić, inaczej zostaną dopadnięci albo baterie w latarce padną. Chłopak przeniósł ciężar na zdrową nogę.

– Musimy tę rurkę stabilnie trzymać – wskazał Maxowi statyw. – Jeżeli go rozhuścimy, światło przestanie nas obejmować i wtedy nas porwą. Musisz mi pomóc utrzymać je pionowo przez całą drogę.

– Drogę dokąd?

– Uważaj!

Braciszek uchylając się przed cięciem upadł na tyłek, trącąc kij. Latarka delikatnie się rozbujała oświetlając inne cienie, które zasyczały z bólu i odskoczyły. Wtedy najpostawniejszy wykorzystał sytuację skracającego się dystansu do swojego trofeum i ranił Taylora w plecy.

– Aaaa! – wrzasnął chłopak i padł na czworaka. Zdołał się jednak podnieść na tyle szybko, by szpony cienia nadciągające z góry przerysowały jedynie kafelki.

– Umrzemy, nie mamy szans. – Max zaczął tracić głowę.

– Nikt nie umrze. – Złapał go za twarz pokrzwawionymi dłońmi. – Rozumiesz? Wydostanę nas stąd.

– Jak?

– Powoli. Widzisz te drzwi? – Taylor wskazał palcem te, od których dzieliło ich jakieś dwadzieścia metrów. – Musimy się tam dostać. Pójdziemy posuwiście, pamiętając o statywie i latarce, nic nam nie będzie. Gotowy?

Chłopiec przytaknął niepewnie.

– No to w drogę.

Wolno podążali naprzód, a kreatury panikowały i przeskakiwały po sobie, oddalając się od kręgu światła. Materializowały się na ścianach i suficie. Co chwila któryś był wrzucany, przez co czarne pyły latały jak tajfun, nie zaprzestawali też prób ataków.

Sfrustrowany upiór znów rzucił się do środka, celowo raniąc rękę. Kij się zachwiało, a latarka zatańczyła. Max złapał go w ostatniej chwili, opanowując sytuację, a Taylor

oparł się rękami o podłogę.

– Wstawaj, już jesteśmy w połowie! – Chłopiec starał się pomagać. – Uda nam się!

– Tak, idźmy dal.... AHH!!

Cień rozciął łydkę starszego brata, wydając z siebie dźwięk przypominający śmiech. Taylor słabł. Było źle, czuł to. Próbował wstać, ale nie mógł, więc oparł się o statyw. Niestety, poruszyło to latarkę i z trudem uniknął kolejnych cięć.

Co ma robić? Sytuacja była kiepska. Przystawał liczyć na to, że przeżyje. Od sali wciąż dzieliło ich kilka metrów, a przez precyzyjne pionowe rozcięcie był niemalże bezbronny. W tym stanie niemożliwy jest żaden unik, a używanie statywu jako podpory podczas marszu nie było dobrym pomysłem. Byli w beznadziejnej sytuacji, a na domiar złego młodszy brat sięgnął po latarkę. W ostatniej chwili Taylor złapał go za rękę i ściągnął w dół.

– Co ty robisz!?! – krzyknął wściekły.

– Widziałeś jak światło na niego działa? Spalę ich wszystkich!

– Jeżeli skierujesz na nich światło, zostawisz całe swoje plecy otwarte na mrok, a wtedy od razu cię zabiją. Jediną szansą na przeżycie jest schronienie się w zasięgu światła.

– To co teraz? – spytał chłopiec, był cały błądy ze strachu.

– Jest tylko jedno wyjście.

– Nie, nie, nie, proszę...

– Chcą mnie, sam widzisz. Ciebie nie atakują, musisz iść sam.

– Nie! Nie chcę cię stracić, nie przeżyję tego drugi raz!

Chłopczyk popłakał się i wtulił mocno w starszego brata, któremu łzy rozmyły krew na policzkach. Wziął się w garść i wstał, lecz w tej samej chwili cień rozciął mu kolano.

Taylor wrzasnął z bólu i padł na podłogę. Przez chwilę leżał nieruchomo, ciężko dysząc. Następnie, podtrzymując się statywu obiema dłońmi, powstał. Przygarbiony patrzył przywódcy w jego srebrne oczy. Bestia wędrowała dookoła okręgu światła, pewna siebie, cierpliwa.

– Wiem, jak to jest, kiedy odbiera ci się coś wbrew twojej woli. – Chłopak wy dobył z siebie donośną frazę. – Gdy wrywa ci się serce, na żywca, pozbawia części ciebie, tej lepszej części, bez której nie możesz patrzeć na siebie w lustrze, cząstki, dzięki której zaczynanie każdego nowego dnia ma sens. Po stracie, uśmiech przestaje mieć wartość, a radość zostaje zakopana razem z tym, co odebrano na zawsze. Nie ma znaczenia jak bardzo się starasz, aby to uchronić. Nie ma sensu prosić, nigdy nie słuchają...

– Co robisz? – spytał młodszy braciszek, zdezorientowany.

Upiór nie przestawał krążyć, niczym wilk przed ofiarą zagonioną w kozi róg, słuchał jego słów. Brat nie przestawał.

– Ale ja proszę, teraz, kiedy stoję krok od odebrania mi tej garstki, jaka ze mnie

została. Gdy po raz kolejny ktoś złapał mnie za ostatki nadziei i zbiera w sobie siły, by je wyszarpać. Jestem bezradny, zdany na czyjąś niełaskę. Gdy cię spotkałem, wiedziałem, że rozumiałaś moje intencje. Jestem tu, by go ocalić, dlatego mnie nie zabiłaś, czułaś, że dzielimy ten sam ból. Dlatego proszę, błagam... – Zatrzymał się. – Nie pozwól im zabrać mojego brata, tak jak zabrali ci Marthę!

Wrzasnął z całych sił, a echo jego głosu powróciło kilkukrotnie, za każdym razem coraz cichsze, aż głuchość tego miejsca znów wzięła górę. Zapanowała grobowa cisza. Cienie stały w bezruchu, tak jak chłopak. Braciszek rozglądał się, starał zrozumieć.

Upiór rozszerzył gębę by zawyć, ale uprzedził go śpiew kobiety. Był cichy, delikatny i bardzo przyjemny. Wszyscy obecni jednocześnie spojrzeli w stronę, skąd dobiegał. Kilka metrów za braćmi była kobieta, oświetlona delikatnie ledwo sięgającym ją światłem latarki, ubrana w białą koszulę nocną w czarne grochy. Siedziała na prawym pośladku ze zgiętymi nogami. Śpiewała kołysankę tuląc do piersi swą nowonarodzoną, martwą córeczkę Marthę. Po tym jak oszczędziła go przy pierwszym spotkaniu, domyślał się dlaczego. Teraz, gdy wysłuchiwała jego wołania, był pewien.

Przestała śpiewać, a kołyszące ramiona zastygły. Nie głaskała już małej, sonej główki. Demonicznie szybko przekrzywiła głowę w ich kierunku, patrząc spod długich włosów zgniłym, wściekłym okiem. Taylor zauważył, że lider oddalił się w popłochu. Koszula nocna kobiety zabarwiła się na czerwono, chłopak nie czekał ani chwili dłużej, zdjął latarkę ze statywu i łapiąc braciszka za rękę zaczął biec, ignorując ból. Kobieta wrzasnęła jak opętana, przesywając na wskroś, a krew jak tsunami zalała korytarz, pochłaniając napotkane cienie.

W ostatnim momencie zdołali wbiec do jego sali i zamknąć drzwi. Taylor podbiegł do okna i z impetem dopadł żaluzje wyrywając je z okien, wylądowały pod jego nogami. Okno na korytarz pękało od naporu pędzącej jak rzeka krwi. Lekkie strumyki wlewały się przez pęknięcia, Max dołączył do niego, a ten objął go mocno. Wtedy krew opadła jak za pstryknięciem palca, zostawiając po sobie brudne ściany. Oparł ręce o kolana i sapał, rany bolały, ale przez adrenalinę prawie zapomniał o ich istnieniu.

– Dobra, teraz ostatnia kwestia, musisz położyć...

Coś było nie tak, czuł, jak robi mu się chłodniej, a ciało staje się lżejsze. W klatce piersiowej ogarniała go pustka, cel wizyty rozmazywał mu się. Spojrzał na swoje łóżko.

– Dotknij łóżka! – krzyknął do Maxa.

– Co? – spytał tamten, skołowany.

– Połóż rękę na środku, jakbyś chciał dotknąć klatki piersiowej osoby, która by na nim leżała.

Chłopczyk zrobił, o co prosił.

– Widzisz ją? Srebrną nić, widzisz coś takiego?

– Nie, niczego nie ma.

Chłopak złapał się za głowę. To dlatego upiór ruszył w tym kierunku, widział, jak Taylor spogląda w tę stronę, domyślił się, że tu leży jego ciało. Nić została zerwana, bo ciało zyskało nowego gospodarza. Najgorszego z możliwych...

– Co się dzieje? To nie tutaj? – spytał chłopak, spoglądając na korytarz.

– Tutaj...

– To, dlaczego nie wracamy? – Chłopczyk złapał brata za rękę, widząc zaglądale do pokoju cienie.

Taylor bez słowa położył się na łóżku i zamknął oczy. Starał się wyciszyć. Kiedy na powrót je otworzył, wszystko zrozumiał, widząc braciszka stojącego obok i wpatrującego się w niego błagalnym wzrokiem. To, co właśnie się stało, nie było najgorszym scenariuszem. W pokoju wraz z upiorem w jego ciele nadal znajdował się jego braciszek, którego srebrna nić wciąż miała się dobrze. Zeskoczył z łóżka i w pośpiechu podbiegł do szafy.

– Musisz wejść do tej szafy i zamknąć oczy. Zaśnij, a kiedy się obudzisz, wyjdź z szafy i zbudź dziewczynę siedzącą na tym fotelu. – Wskazał palcem. – Ona ci pomoże. Jeżeli mnie zobaczysz, uciekaj, uciekaj, co sił i wołaj o pomoc, niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby ze mną rozmawiać, bo to nie ja, to upiór w moim ciele. Nie wolno ci o tym zapomnieć.

– Co z tobą? – chłopczyk spytał wchodząc do szafy.

– Ja? – Spojrzał na chmurę cieni czekającą za drzwiami. – Dam sobie radę.

– Kiedy wrócisz?

– Nie wrócę. – Klęknął przed braciszkiem, kładąc rękę na jego ramieniu. – Tutaj się zegnamy. Wróc do mamy, ona bardzo się zamartwia. Tego pragnęłam, abyś znalazł się w bezpiecznym miejscu.

Max wtulił się w niego, po czym wyprostował się i wyciągnął rękę po latarkę.

– Więc mnie ratuj – powiedział pewnie.

– Co robisz? Nie wygłupiaj się i włącz do szafy. – Chciał go chwycić, ale braciszek zabrał rękę.

– Obiecałeś, że już więcej mnie nie zostawisz, a właśnie to robisz. Będę tu czekał. To jest to czego ja chcę.

Przez moment milczeli, chłopak bił się z myślami. To szaleństwo, pomyślał.

– Jesteś zbyt mądry, jak na swój wiek. Wiesz o tym?

– Tak.

– To dobrze. – Taylor spojrział na szafę. – Zanim pójde chcę, żebyś wiedział, że pomimo tego całego szaleństwa, jakie tutaj zaszło, cieszę się, że mogliśmy pogadać. Przepraszam cię, że cię wtedy zostawiłem, ale robiłem to z myślą o tym, aby ci ulżyć, nie zaszkodzić. Najwyraźniej byłem w błędzie. Wyciągnę nas z tego i mam nadzieję, że od tego czasu kontakt nie zniknie.

– Bardzo bym tego chciał.



Uśmiechnęli się do siebie, po czym Taylor wcisnął się do ciasnego mebla i zerknął ostatni raz na chłopca.

– Oszczędzaj baterię i nie wychodź z tego pokoju.

– Wiem.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Obudził się w totalnej ciemności, ale miejsce zdawało się być większe, niż szafa. Zaczął walić po drewnianych ścianach, aż wykopał drzwi i wyszedł na zewnątrz. Wszystko jakby było w innych rozmiarach, niż dotychczas.

Był w ciele swojego młodszego brata. Dziwne uczucie patrzeć na mniejsze, pozbawione tatuaży ręce.

Podszedł do łóżka, ale jego ciała tam nie było. Ania też zniknęła. Kiedy ruszył do wyjścia, potknął się o nogi pielęgniarki. Zakrył usta dłonią. Leżała na brzuchu z rozbitą głową, kałuża krwi rozlała się po kafelkach. Dookoła leżały kosmyki powyrywanych włosów, a pod paznokciami widział kawałki skóry. Wcześniej z kimś walczyła.

Kłęknął przy niej i pochwycił jej dłonie. Pamiętał jak Noah mówił mu o sytuacji, gdy ostatnie co widzą najbliżsi, to ukochaną osobę, która morduje ich z oczami pełnymi nienawiści. Tak bardzo nie chciał, aby ktokolwiek jemu bliski tego doświadczył. Nigdy nie przypuszczałby, że taki los spotka Anię. Może Maggie miała rację, może niesienie pomocy ma swoją cenę. Ania zapłaciła najwyższą z możliwych, zapłaciła za to swoim życiem.

– Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

Przyłożył sobie jej dłoń do czoła, pocałował jej poranione palce i wstał. Wyszedł na korytarz. Usta, dłonie i kolana miał czerwone od krwi pielęgniarki.

Nadchodził poranek. Taylor w ciele Maxa wszedł do windy. Zobaczył jeszcze lekarza, który znalazł ciało Ani i aż krzyknął przerażony.

Ktoś go zawołał, ale nie zareagował. Zjechał na dół, następnie ruszył w stronę recepcji, minął ją biegnąc ku wyjściu. Drzwi otworzyły się z sykiem i ujrzał kogoś, kogo zupełnie się nie spodziewał.

– Nie wierzę – wyszeptał pod nosem.

## Rozdział 10

### Brat, bratu...

W głównym wejściu stała jego matka. Na jego widok całkiem ją sparaliżowało. Gapiała się na niego jak na ducha, na przemian otwierając i zamykając usta. W końcu objęła go i wybuchła płaczem. Trzymała tak mocno, że ciężko mu było złapać oddech.

– Jak to możliwe!?! – wrzeszczała. – Niech ktoś mi to wytłumaczy!

Gdy jej euforia uderzyła w sufit, jego nadzieja została zdeptana. Nie było szans, aby go puściła. Kolejny kwadrans spędził siedząc w gabinecie dyrektora z rozwścieczoną obrończynią.

– Pozwę was! – wrzeszczała, plując przed siebie jak lama. – Zrujnuję ci karierę, pójdiesz siedzieć do końca życia! Nie wybaczę wam tego, każda telewizja będzie o tym trąbić! Czy ty rozumiesz przez co przesłłam...

Podczas histerycznego ślinotoku matki miały miejsce dwie sytuacje, z jakich nie zdawała sobie sprawy. Pierwszą z nich i mniej ważną było kolejne potwierdzenie faktu, że brat dyrektora nie miał o niczym pojęcia, tak jak matka nie miała pojęcia, że ci dwaj są spokrewnieni, akcja jakiej był świadkiem dała tego dowód, oni się nie znali. Jak to możliwe? – zastanawiał się. Drugą, ważniejszą, było to, że on zdawał się wiedzieć dokładnie co się działo. Pomimo krzyków, wyzwisk i gróźb, Philip nie spuszczał z niego wzroku.

– Policja już tu jedzie! – Matka kopnęła jego biurko.

– Nikomu nie jest tak przykro i głupio jak mnie, proszę mi uwierzyć, ale nie mogę odpowiadać za cały personel. Oboje zgodzimy się jednak z faktem, że pani syn żyje i jest to cud. Powinniśmy całą uwagę skupić teraz na nim – uśmiechnął się do niego szyderczo. – Niech zostanie na noc. Obejrzymy go dokładnie.

– Nie ma mowy! – wstała. – Nie zostanie tu ani sekundy dłużej, skoro nie potraficie kontrolować tego co dzieje się w tym przeklętym szpitalu!

Ruszyła do wyjścia, ciągnąc go za rękę.

– Dobrze, pokażę pani. – Dyrektor wstał i obszedł biurko. – Może usiądziecie?

Chłopak oczami wyobraźni widział obraz siebie leżącego między fotelami, dociskanego przez kolano ochroniarza. Miał również przebliski, innej sytuacji, jednak nie mógł sobie przypomnieć jakiej, wspomnienia braciszka mieszały się z jego własnymi.

– Czego chcesz?

– Spokojnie. – Uniósł rękę, sprawiał wrażenie zakłopotanego. – Jeżeli nie chce pani usiąść to będę musiał panią prosić o podejście do mojego biurka, lepiej to pokazać, niż wytłumaczyć.

– Mamo, chodźmy już. – Starał się temu zapobiec.

– Poczekaj, to może być ważne.

Podeszli pod monitor.

– Ostrzegam, że to co pani zobaczy może być szokujące, ale wolę to pokazać zanim zdecyduje się pani przenieść sprawę na drogę sądową. – Znow zerknął na młodego. – Masz starsze oczy niż pamiętam, zupełnie jakbyś nie był sobą – zwrócił się do niego.

– Proszę zostawić mojego syna w spokoju, dość już przeszedł. – Przyciągnęła go ramieniem do siebie. – Pokaże pan to nagranie?

– Tak, oczywiście.

Philip złowrogo przeciągnął po nich wzrokiem i włączył „play”. Kilkuminutowe wideo było dla niej wiecznością, a jej mina mówiła wszystko. Stała w bezruchu z gniewem malującym się na jej twarzy. Chwilę później ciągnęła go za rękę oddalając się od gabinetu. Kobieta nie wydusiła z siebie ani słowa, odkąd zobaczyła nagranie, nie była bardziej zszokowana niż on. Chłopak odwrócił się, czując na sobie czyjś wzrok. W oddalających się drzwiach stał mężczyzna z przepaską na oku i drugi w czerwonym golfie.

Drzwi szpitala się rozsunęły i uderzyło chłodem, a ściana nikotynowego dymu przefiltrowała młode płuca, które zareagowały odrzuceniem. Gdzie się podziało przyzwyczajenie do przyjemnych doznań w kontakcie z tą substancją? Skrzywił się. Pędząc przez parking szukał śladów krwi, połamanych gałęzi czy jakiegokolwiek tropu jego skradzionego „ja”. Niczego nie znalazł. Matka prowadziła go za rękę, aż do samochodu, wsadziła na przednie siedzenie i usiadła za kierownicę. Pierwsze, co zrobiła, to sięgnęła po piersiówkę i wzięła łyka.

– Poważnie!? Masz tak zamiar prowadzić? – spytał, wciąż nie przyzwyczajony do nieswojego, dziecinnego głosu.

– A od kiedy ci to przeszkadza? – Trzasnęła schowkiem, chowając butelkę. – Zapnij pasy.

W pamięci Maxa widział, że nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi pijącej matce, nie było to jednak z uwagi na jego obojętność, tylko strach na jej reakcję. Zapiął pasy, a ona odpaliła silnik. Złapała za biegi i zawahała się.

– To, co zobaczyłeś na tym filmie – zaczęła niepewnie. – Czy ty... – spojrzała na niego. – Czy ty coś z tego...

– Nie chcę o tym rozmawiać.

Kobieta przytaknęła, wrzuciła wsteczny i odjechali. Chłopak nie był gotowy na tę rozmowę, ponieważ sam tego nie rozumiał. Oczywiście było to, że Philip będzie się starać obrócić matkę przeciwko jemu, ale nie to go zdziwiło. Fakt, że przy tych wydarzeniach nie był tam sam, ktoś mu towarzyszył, a przecież nigdy nikogo z nim nie było. W dodatku ta osoba wydawała mu się znajoma. Zatrzymując się na światłach, zobaczył siebie biegnącego truchtem wzdłuż chodnika po prawej stronie jezdni. Otworzył drzwi i chciał wyskoczyć z auta, ale zawiesił się na zapiętych pasach bezpieczeństwa, wypiął je w pośpiechu i zaczął biec w jego kierunku, w swoim

kierunku. Zapomniał, że ma metr dziesięć i matka z łatwością go dogoni, co też uczyniła, łapiąc go i unosząc w powietrze.

– Zwariowałaś!?! – krzyknęła.

– Puść mnie, nie chcę mieszkać pod jednym dachem z tym idiotą!

– On już u nas nie mieszka! Zostaliśmy sami!

Zapomniał już, ile miała siły. Odwrócił głowę, ale nie widział nikogo, nie było po nim żadnego śladu. Upiór zniknął. Od tego momentu w drodze do domu nie odezwali się do siebie ani słowem.

Panierowana pierś z kurczaka z frytkami i surówką było tym, co miał teraz przed oczami. Ładnie pachniało, nawet ręcznie wycisnęła sok z pomarańczy, miąższ owocu pływał w szklance. Czuł, jakby cofnął się w czasie, przez ponad sześć lat nic w tym domu nie uległo zmianie. Drewniane, obite na rogach meble kuchenne z kolorowymi rączkami i wiszące na haczykach ozdobne, porcelanowe filiżanki do herbaty. Woń farby olejnej domowej roboty, kupionej przez ojca po tanioci od znajomego, miała tylko schnąć dłużej, nie wspominał o latach odoru. Obrus na stole, przypalony fajkami w miejscu, gdzie siedział zwykle Igor, słomkowe podkładki pod talerze skrzybiały jak zawsze, zabawne – uniósł kącik ust – w ciele braciszka nie przyprawiły go o gęsią skórkę. Nawet drewniane krzesło, na którym właśnie siedział wciąż kiwało się na boki. Klimatycznego nastroju dodawała słaba lampka i kilka świec bezzapachowych rozstawionych po meblach. Mama miała obsesję na punkcie oszczędzania prądu i ratowania świata przed plastikiem. To miejsce przywoływało miłe wspomnienia, niestety już dawno temu przestał łudzić się mrzonkami o powrocie do domu, przyjęciu go z otwartymi ramionami, uścisku dłoni, czy chociaż pogodnym słowie. Wszystko to było poza jego zasięgiem. A tak dzięki zaistniałej sytuacji choć przez chwilę może delektować się miło odnoszącą się do niego mamą, czy posiłkiem przygotowanym specjalnie dla niego.

Nie miał pojęcia jak mocno za tym tęsknił. Niestety, nie mógł całkowicie zatonać w błogości, gdy jego głowę rozpałał ogień zmartwień tworzący złe scenariusze tego, co w tym momencie działo się z jego braciszkiem w Umbrze, co w tym momencie czynił upiór ubrany w jego ciało. Cień w powłoce przypadkowej osoby był koszmarem, ale TEN cień w JEGO ciele to był Armagedon. Ten nie był jedynie pierwotnym złem napędzanym instynktami, groźnym jak opętana kobieta, ale na dłuższą metę przewidywalnym – miał spryt i przebiegłość, co udowodnił już w starciu. Potrafił planować, a to czyniło go przeciwnikiem o stokroć niebezpieczniejszym. Wiedział, że nie uda mu się tak po prostu wyjść z domu. Matka pilnowała go zbyt uważnie, szczególnie teraz, po tym wszystkim, była jak strzegący, dobrze wytresowany pies, dosłownie nie spuszczała go z oczu. Musiał poczekać aż zaśnie, a była dopiero siedemnasta.

– Proszę cię, zjedz cokolwiek – powiedziała miłym tonem matka w zamiarze wybudzenia go z myśli, w której wyraźnie toną.

– Jezu – złapał za widelec. – Nie mam apetytu.

– Byłeś wpatrzony w ten sok jak zahipnotyzowany. Wołałam cię kilka razy. Na

pewno wszystko z tobą dobrze? Obiadu nawet nie tknąłeś, a to twoje ulubione danie. Wiele przeszedłeś, wiem. Możesz chcesz mi się wygadać?

Stała ze ścierką w ręce i czekała na odpowiedź.

– Nic mi nie jest. Po prostu jestem zmęczony – wziął gryza.

– Aha, zmęczony? To, dlatego chciałeś uciec? Bo jesteś zmęczony?

– Możemy o tym nie mówić? – Zaczął kroić kotleta, zgrzytając nożem po talerzu.

– Nie mówić? – Stała przed zlewem i zaczęła zmywać naczynia. – Możemy o tym nie mówić, jasne W końcu tylko umarłeś, a potem okazało się, że żyjesz. To przecież takie normalne w tych czasach. – Czyste naczynia wrzucała z hukiem z powrotem do zalanego brudną wodą zlewu. – Do tego zachowujesz się dziwnie i starasz się ode mnie uciec. – Szklanka wyslizgnęła się z jej ręki i rozbiła na podłodze. Następnie oparła się o zlew i zakryła twarz dłońmi.

– Przepraszam cię, synku – zaczęła po chwili. – To wszystko mnie przerasta.

– Dobrze – odłożył sztućce i wstał od stołu. – Nie będę już uciekał.

– Chciałabym tylko wiedzieć, co się dzieje. – Przetarła dłonie w ścierkę i odłożyła ją na blat. – Martwię się o ciebie, myślałam, że cię straciłam.

Chłopak wyrwał kilka listków papieru kuchennego i położył na podłodze, pozbierał do nich wszystkie większe kawałki szkła i wyrzucił do kosza. Wyciągnął szufelkę spod zlewu i zgarnął mniejsze odłamki, które również wylądowały w śmietniku. Kiedy skończył, spojrzał na mamę. Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana.

– Przerażasz mnie – oznajmiła, obserwując całą sytuację. – Widzisz, o tym właśnie mówię. Wcześniej nie mogłam cię zmusić, żebyś wyniósł jedzenie sprzed kilku dni ze swojego pokoju, a teraz sprzątasz kuchnię i do tego wiesz, gdzie jest i jak się używa zmiotki.

Chłopiec stał i słuchał jej bez słowa ugniatając przy tym palce u rąk. Matka zmarszczyła usta i przytakiwała, była wyraźnie zestresowana.

– Sprzątasz po sobie, chcesz uciec z domu i nagle jesteś taki cichy. Jeszcze zacząłeś ugniatać palce – Skrzyżowała ręce na piersi – Wiesz kogo mi przypominasz? Swojego brata.

– To źle?

– Źle!? – Parsknęła z wyrzutem i usiadła przy stole. – Nie widziałeś tego nagrania? Też chcesz taki być? Tak skończyć!?

Czuł, jak ciężka gęła staje mu w gardle. Przełknął ślinę.

– Zawsze mówiłeś, że chcesz być jak on, mimo że cię zostawił, uciekł. Nadal tak uważasz, po tym, co zobaczyłeś? – Napięcie rosło, mówiła coraz głośniej. – Szarpał się z ochroniarzami, zaatakował tą biedną panią czekającą w kolejce na prześwietlenie, zabił pielęgniarkę i żeby tego było mało, ukradł cię z kostnicy i w tajemnicy przed wszystkimi umieścił w dziale zakaźnym, nie tylko skazując mnie na cierpienie z myślą, że cię straciłam, ale naraził cię na jakąś straszną chorobę. Mogłeś się zarazić czymkolwiek! Co on sobie myślał! – Uderzyła pięścią w stół, na twarzy widać było obrzydzenie mieszające się z nienawiścią. – Jeżeli następnym razem go zobaczysz

masz uciekać, rozumiesz?

– To wszystko na pewno da się jakoś wyja...

– Nie! – uniosła rękę. – Nawet nie zaczynaj, nie chcę tego słuchać.

Matka była roztrzęsiona i zła, smutna i zbulwersowana jednocześnie, niczym przepełniona emocjami bomba zegarowa, która miała zaraz wybuchnąć i wcale się jej nie dziwił. Jak miał ją winić po tym, co zobaczyła? Filmik był pocięty i zmontowany, ukazując tylko wygodne dla Philipa sceny. Moment, w którym zabierał ciało braciszka z hali zakaźnej był puszczony od tyłu, co dawało wrażenie, jakby go tam zanosił i kładł na łóżku, zamiast z niego ściągać. Idealna historyjka tłumacząca fakt, że szpital o niczym nie wiedział. Philip zawsze był cwany, potrafił wyjść z każdej sytuacji. Mama była w zbyt dużym szoku, aby zadać właściwe pytania, co z odczytem, pokazującym brak pulsu u Maxa? Jak to możliwe, że Taylor dostał się do kostnicy i wyprowadził z niego ciało? Nikt tego miejsca nie pilnował? Teraz to jednak nie miało większego znaczenia. Nie liczył na szczęśliwe zakończenie. Trapiła go jedna myśl, że ktoś tam z nim był, kiedy atakował dziewczynę opętaną przez upiora i wyciągał brata z zakaźnego. Tylko kto?

– Mamo, na tym nagraniu było widać, że nie był sam – zaczął chłopak. – Ktoś mu pomagał, widziałaś kto to był?

– Nie – oparła się o krzesło, które zaskrzypiało. – Nie mam zielonego pojęcia, nie znam go.

Ona również go widziała, więc nie wydawało mu się, nie była to też Penumbra ani fotomontaż, nikt nie zrobiłby tego tak dobrze w tak krótkim czasie.

– Czemu o niego pytasz? Znasz go? – dopytywała, siadając przy stole.

– Nie, myślałem, że może ty wiesz.

Dosiadł się do niej. Wzięła kilka głębokich wdechów. Taylor oparł się o krzesło. Nie układało mu się z matką od długiego czasu, ale było mu jej szkoda, łatwo w życiu nie miała, a teraz była już w kompletnej rozsypce.

Przytulił ją, a ona go objęła i pocałowała w głowę. Łzy spływały jej po policzkach.

– Ja nie uciekam, to nie o to chodzi – zaczął spokojnie. – Potrzebuję побыć sam na świeżym powietrzu, poukładać sobie wszystko w głowie. Patrzę na filmik ze mną w szpitalu, nawet nie pamiętając wypadku.

– Wykluczone! – ścisnęła go mocniej. – Przejdziemy przez to razem. – Obdarowała go jeszcze jednym pocałunkiem, tym razem w czoło i poszła do łazienki.

Nie mógł wyciągnąć z głowy myśli o Ani, czuł jak poczucie winy zżera go od środka. Po chwili mama wróciła w zupełnie innym humorze, usiadła na stole przed nim i złapała go za twarz.

– Poprawę nastroju zaczniemy od wieczoru filmowego! – Spojrzała na niego w pełnym uśmiechu. – Co ty na to? Dobrze nam to robi.

– Ja...

– Nie daj się prosić. Skoro jesteś taki skory do pomocy, to sprzątnij salon, a ja przygotuję coś do jedzenia.

Pocałowała go w czoło i wróciła do kuchni. Chłopak udał się do salonu i zaczął go sprzątać ze starych butelek po piwie i przyklejonych do stolika talerzy, na których widział wyschnięte już chipsy. Mama wyciągnęła z lodówki potrzebne produkty, następnie na kuchence gazowej położyła garnek z grubym dnem i nalała do niego odrobinę oliwy. Włączyła palnik za pomocą zapalniczki, ustawiła najmniejszy ogień. Ze stojaka na blacie wyciągnęła nóż szefa kuchni, zaczęła od cebuli, którą posiekała w kostkę. Gdy oliwa nabrała temperatury wrzuciła cebulę, a czosnek przecisnęła przez praskę. Czekając aż baza się zeszkli, pokroiła pieczarki w półplasterki i dorzuciła je do złotej już cebuli, przyprawiła solą, pieprzem, bazylią i oregano, przykryła garnek by się poddusiły. Chłopiec poprawił poduszki na kanapie, a okruszki zrzucił ręką na podłogę, śmieci i naczynia odstawił do kuchni, po czym wrócił przetrzeć stolik na mokro, ogarnął nawet telewizor, który od tony nieścieranego kurzu był już szary. Mama ułożyła przekrojoną wpół pszenno-żytnią bagietkę na brytfance i kolejno nakładała pieczarki, posypując je dużą ilością sera. Włożyła zawartość do nagrzanego piecyka. Za oknem było jeszcze jasno, więc chłopak zasłonił zasłony i zapalił lampki w rogach pomieszczenia, piloty położył przed kanapą. Wrócił do kuchni, a matka odwróciła się do niego.

– Połóż je na stoliku.

Wręczyła mu przygotowane w międzyczasie dwie miski z owocami, w jednej obrane pomarańcze, grejpfrut, pokrojone jabłko i gruszki, w drugiej dwukolorowe winogrona i maliny. Czymś ładnie pachniało, ale stąd nie widział co to. Poukładał wszystko na stoliku i skubnął kilka winogron, chwilę później dołączyła matka kładąc gorące, cudownie pachnące zapiekanki. Następnie znów poszła do łazienki, usiadł wygodnie, a gdy wróciła zarzuciła na nich koc, położyła jeszcze ciepły talerz na kolanach i odpaliła telewizor.

– Co oglądamy? – spytała.

– Często tak robiliśmy? – Posmutniał, co natychmiast zauważyła.

– Co się dzieje? Nie chcesz? Możemy nie oglądać – dodała szybko.

– Nie, nie, jest super.

– Ostatnio rzadko spędzaliśmy ze sobą czas. Nie chciałeś ze mną siedzieć, wolałeś spędzać czas ze znajomymi albo samemu w pokoju.

– Naprawdę?

– Nie pamiętasz?

– Pamiętam, pamiętam, głupi byłem – Uśmiechnął się.

Niepewnie się do niej przytulił, przyzwyczajony do jej atakującego nastawienia, a ta przyciągnęła go do siebie mocniej i zarzuciła koc na stopy, by nie zmarzł. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był tak... – zawahał się powiedzieć to choćby w myślach – szczęśliwy. Wybrali film akcji i zaczęli zajadać się przygotowanymi przez mamę przekąskami. Znów poczuł się jak w domu.

Wieczór minął w mgnieniu oka.

Siedział teraz na parapecie tego samego okna, co w noc, gdy uciekł z domu. Matka

była gorsza od ochrony osobistej, chodziła za nim nawet do toalety. Dumął szukając sposobu, dzięki któremu uda mu się odnaleźć skradzione ciało i wtedy przypomniał sobie, że w kieszeni spodni miał naładowany przez Anię telefon. Wziął komórkę Maxa i uruchomił ją. Na ekranie pojawiła się tapeta Guyver'a, postaci z Mangi, którą obaj uwielbiali. Telefon nie był zabezpieczony hasłem. Ściągnął aplikację szpiegującą i wyszukał siebie wpisując swój numer telefonu. Aplikacja pokazała dokładny punkt na mapie, gdzie znajdowało się teraz jego ciało z upiorem w środku. Był kilkanaście kilometrów dalej. Spojrzał na matkę, która siedziała na fotelu i poruszała palcem po ekranie telefonu przelatując przez ściankę portali społecznościowych. Wszystkie próby i pomysły wydostania się z domu zawiodły, w dodatku pewna obietnica matki czekała na spełnienie, a mianowicie spędzenie nocy w jednym łóżku. Została mu ostatnia myśl, bardzo brutalna, nawet jak na niego.

– Idę się napić, chcesz coś? – spytał.

– A nie będziesz próbował uciec?

– Idę po picie. – Zeskoczył z okna. – Nie przesadzaj.

– Nie, dziękuję, wszystko mam.

Taylor zszedł na dół i od razu skierował się w stronę łazienki, gdzie pod umywalką, wśród chemii do czyszczenia, znalazł butelkę wódki. Zawsze tam chowała alkohol, w tajemnicy przed rodziną. Wyciągnął szkło i położył przy zlewie w kuchni. Nie musiał długo czekać, gdy obawiająca się kolejnej próby ucieczki matka zeszła na dół, aby sprawdzić co się dzieje.

– Co tak długo tu... – ucięła, nie kończąc pytania.

– Nie mogę się zdecydować – odparł patrząc do lodówki. – Na pewno nic nie chcesz?

Chwila ciszy.

– Mamo!?

– Co?

– Picie? Chcesz coś pić?

– Nie, nie. Wybierz sobie coś, mną się nie przejmuj.

Gdy się wychylił, butelki już nie było. Mama szła na górę. Tak bardzo cię przepraszam, pomyślał. Pamiętał, jak przechodziła przez piekło w trakcie rzucania alkoholu jeszcze przed jego epizodem w zakładzie. Wróciła do picia, gdy ojciec zmarł, ale z tego również się otrząsnęła. Ostatni maraton miała po jego zniknięciu, widział to we wspomnieniach braciszka, było ich coraz więcej, przychodziły do niego stopniowo.

Wziął colę i wrócił do swojego pokoju, ale mamy już tam nie zastał. Odczekał trzydzieści minut i udał się do sypialni. Leżała na łóżku jak kukła. Spała, a prawie pusta litrowa butelka leżała obok.

– Bardzo cię przepraszam, nie miałem wyjścia – wymamrotał i pocałował ją w policzek.

Kilka minut później maszerował już chodnikiem skracając dystans do punktu



zaznaczonego na aplikacji. Od dłuższego czasu kropka się nie przemieszczała, co dawało nadzieję na to, że zasnął i zostawił otwartą furtkę na wskoczenie i odzyskanie ciała.

Pobiegł, żeby nie tracić czasu. Wbiegł w ciemną uliczkę ze starymi domami, z których większość nadawała się do remontu. Noc była pochmurna, wietrzna, pachniało zmokłym, zgrzanym asfaltem, przez co powietrze miało wilgotny, ostry, dobrze mu znany posmak. Ulica i chodnik były mokre, a biała tarcza księżyca odbijała się w kałużach. Nawet nie wiedział, kiedy padało.

Dotarł do domu z dużą, czerwoną tabliczką „na sprzedaż”. Kto chciałby mieszkać w takiej okolicy, gdzie sama ulica błaga o remont? Piętrowy, stary dom pokryty był grzybem, i różnymi plamami. Przez zapalone światło w salonie na piętrze widać było starca i staruszkę oglądających telewizję. Niemożliwe, żeby cień rozgościł się tutaj, miał podążać wedle jego emocji i wspomnień, a tu był pierwszy raz, zresztą sam fakt, że starsza para jeszcze żyje również temu zaprzeczało. Aplikacja musiała być niedokładna albo jest gdzieś w pobliżu. Albo, co gorsza, zgubił telefon. Zawieszony trzymając się palcami na mokrej siatce rozglądał się badawczo po zaniedbanym, zarośniętym ogrodzie. Po lewej od domu stał stary samochód, a po prawej w zaciemnionym miejscu znajdował się wybieg dla psa. To nie tu, stwierdził i zrezygnowany zaczął się odwracać, gdy dostrzegł coś podejrzanego.

Pies nie zachowywał się normalnie. Stał wklejony w róg ogrodzenia z ogonem skulonym pomiędzy nogami i spuszczonej uszami. Co chwilę zerkał na swoją budę i odwracał wzrok, skamłając.

Cień spał w kojcu tego psa. Chłopak przecisnął się przez bramę spiętą łańcuchem i schował się za drzewem, rosnącym na posesji. Wychylił się jeszcze i zauważył, że buda przy wejściu była umazana krwią. Spał i on też musi. Przysiadł i oparł się o drzewo, zamknął oczy, lecz po chwili je otworzył z zimna. Ciężko było zasnąć. Wtem mocniejszy podmuch wiatru szarpnął pobliskim krzakiem, sypiąc liśćmi i małymi gałęziami. Nad głową, jak miniaturowe myśliwce, manewrujące w powietrzu, przeleciały piskliwe nietoperze. Skulił się, by się ogrzać i na siłę próbował zasnąć. Odpływał, poczuł jak lekka staje się jego głowa.

Zasnął.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Przywitał go ogród w kolorze magmy. Po tej stronie było cieplej, bezwietrznie. Krzak, którym przed sekundą szarpało, tutaj stał nieruchomo jak w zatrzymanym filmie. Pamiętał, że ojciec nigdy nie sprawdzał temperatury na zewnątrz, oceniał pogodę po wietrze, zawsze powtarzał, że „nawet jak jest ciepło, a wieje, to jest zimno”. Coś w tym było, pomyślał przypominając sobie sytuację sprzed kilku chwil.

Wstał i wychylił się zza drzewa. Całe szczęście cień domu padał na drugą stronę ogrodu, a droga, którą musiał pokonać osnuta była pomarańczowym blaskiem. Nie

było śladu po upiorze.

Wolno podszedł do psiej budy, rozglądając się na wszystkie strony. Po starej parze nie było ani śladu. Pokój był pusty, a drzwi do balkonu spękane i pokryte korzeniami, które otuliły cały dom. Nie wiedział, dlaczego upiór wybrał właśnie to miejsce na odpoczynek, ale różniło się ono od innych, w jakich miał okazję się znaleźć. Towarzyszyło mu dziwne uczucie niepewności i wstydu, nie były to jego uczucia, potrafił odróżnić, ale czuł je mimo to.

Przy stawianych krokach sucha i spękana ziemia unosiła się wolno w powietrzu i lewitowała, jak muł w jeziorze po zmętnieniu wody. W kojcu psa powietrze było gęste. Poruszało się, szeptało do niego w niezrozumiałym mu języku. Zaczynał rozumieć, dlaczego upiór wybrał akurat to miejsce. Wydarzyła się tu kiedyś tragedia, tak straszna, że skumulowała uczucia na tyle intensywne, że niepewność i wstyd odbiły pieczęć po tej stronie, a te karmią teraz Umbre.

Dobiegł do domu i stanął tyłem do ściany. Zauważył dziewczynę w białej sukience i czarnej skórzanej kurtce. Szła ulicą. Czarne włosy opadały jej na ramiona. Nie sposób było dostrzec twarzy – była za daleko.

To ona wyciągnęła go z cienia, nie miał co do tego wątpliwości.

– Hej... – wykrztusił, ale zaraz zamilkł. Nie teraz, nie w tym miejscu, nie mógł zaprzepaścić takiej okazji, bo kolejna mogła się już nie powtórzyć.

Dziewczyna zniknęła za niepielegnowanym od lat, długim żywopłotem. Wyrzwał na miejsce, gdzie wcześniej stał pies. Nie widział go tu, ale łańcuch wydawał się być tak samo naprężony, co dawało spore szanse na to, że jego ciało wciąż jest w budzie. Wybił się, aby przeskoczyć na drugą stronę kojca, a po chwili zeskoczył do środka. Baczenie obserwował czarny punkt. Całe szczęście nigdzie nie widział unoszącego się dymu. Walczył z chęcią ucieczki, potęgowany emocjami z dziwnego okręgu, jakby jego własny stres to było za mało.

Bezszelestnie podszedł do budy, cały czas utrzymując bezpieczną odległość. Kucnął, aby zajrzeć do środka, niestety wewnątrz było zatopione czarnym cieniem. Nie miał najmniejszych szans na przeżycie, jeżeli ten czaił się na niego w środku. Zrobił dwa kroki i zauważył jak łańcuch drgnął. Oznaczało to, że w świecie materialnym zwierzę musiało szaleć. Bez zastanowienia odskoczył, w ostatniej chwili unikając cięcia ogromnej czarnej łapy, wylaniającej się z wejścia do budy.

– To ciało nie jest twoje! – wrzasnął, wściekły. – Nie masz prawa w nim być!

Dym z wolna rozprzestrzenił się w obrębie budy, dając cieniowi możliwość ukazania się do pasa.

– Czego ty ode mnie chcesz!?

– Uwolnij mnie... – rozległ się piskliwy szept. Zmora zaczęła czołgać się po dachu budy. – Uwolnij...

Skołowany Taylor wyprostował się i chwycił siatkę palcami, zmarszczył czoło i pokręcił głową.

– Uwolnij mnie! – powtórzył rozzłoszczony cień, przygotowując się do skoku.

– Czekaj! – Chłopak wyciągnął ręce, a upiór odchylił się, czekał. – Co masz na myśli? To ty masz moje ciało. Jeżeli pozwolisz mi do niego wrócić, wtedy będziesz wolny, tak? Uwolnię cię.

– Kłamca!

Upiór uderzył pięścią o budę. Był wściekły, zaczął wrywać deski z dachu i rozrzucać je po ogrodzie. Łańcuch psa dygotał, musiał szaleć z przerażenia, od góry zdzielił pięścią koniec łańcucha, zrobił się wiotki, a kreatura cofnęła szybko dymiącą rękę i zgarbiła się jak wilk.

– Nie wiem o czym mówisz, to ty ścigasz i polujesz na mnie, odkąd pamiętam, więc co to ma wspólnego z...

Przerwał widząc czający się w milczeniu cień, ze swoim chłodnym wzrokiem wtopionym w drzewo, za którym leżało ciało braciszka. Upiór bez słowa wrócił do budy, a Taylor z impetem przeskoczył ogrodzenie i padł ciężko po drugiej stronie. Pędził kurząc za sobą nigdy nieopadającym pyłem, wślizgiem wjechał za drzewo i przybrał pozycję, w jakiej zasnął.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Powiew zimnego wiatru, sypiącego piach, który kąsał skórę niczym krwiożercze owady, przywitał go po tej stronie. Przetarł oczy z drażniących drobinek i wychylił się zza drzewa. Przeraził go widok siebie przeskakującego ogrodzenie po martwym psie. Zerwał się do ucieczki i gwałtownie przeciskał się pomiędzy dwoma bramami spiętymi łańcuchem. Obraz własnego pędzącego i charczącego ciała sprawił, że, głośny krzyk strachu opuścił jego gardło i w ostatniej chwili udało mu się precyzyjnie i wypaść na jezdnię.

Cień w jego ciele zatrzymał się odbijając od bramy i upadł na plecy. Chłopak widział, że pies w kojcu leży nieżywy, wysuszony, ukazując wszystkie żebra. Upiór skoczył na równe nogi i zaryczał nieludzko, napierając na szczelinę w bramie. Chciał sięgnąć go ręką, zachowując się przy tym, jak wygłodniały zwierz.

Taylor w ciele Maxa wstał i zaczął uciekać, a odgłosy dyndającego łańcucha sprawiły, że się odwrócił. Cień w jego powłoce właśnie przeskoczył na ulicę. Wiedział, że mu nie ucieknie, był zbyt szybki, zbyt silny, chłopiec wbiegł zatem w gęste zarośla, a kawałek dalej precyzyjnie się przez dziurę w drewnianym płocie.

Znalazł się w ogrodzie rodem z horrorów. Stary dom z zapalonym światłem przed wejściem i niezdarne zbudowaną ze sklejk małą szopą. Z opartymi o nią widłami i grabiami. Biegąc przez zabłocone podwórze, wiedział, że nie może bronić się takim sprzętem, a jeżeli nawet go zabije, to straci własne ciało, choć bardziej prawdopodobne, że upiór wyrwałby mu to z ręki i wbił w plecy.

Biegł w stronę furtki, a nogi rozjeżdżały się na śliskiej powierzchni. Ku jego zdziwieniu biegł w tym maratonie sam, jego ciała z mrocznym pasażerem za sterami nigdzie nie było. Nagle usłyszał warczenie, jakiś pies zniemacka rzucił się na niego,

wgryzając się w rękę i powalając na plecy.

Wrzeszczał z bólu, a kundel nie odpuszczał. Ciągnął go w stronę domu... Krew splamiła mu pysk na bordowo.

– Ratunku! – krzyknął Taylor, próbując kopać i szamotać się, ale pies był nieustraszony w swojej misji zabicia intruza.

W pewnej chwili do ogrodu wbiegł starszy półtłusty facet w bokserkach i białej koszulce na ramiączkach. Zaczął wołać psa, ale ten nie puszczał, szarpał na prawo i lewo wrywając kolejne tkanki mięśni. Mężczyzna musiał odciągnąć zwierzę siłą, tłukąc patykiem po głowie.

Gdy mu się wreszcie udało, dzieciak leżał we krwi na trawie i płakał z bólu.

– Po cholere żes wlaził na moją posesję? Masz za swoje. Się ciesz, że ci jaj nie odgryzł! – mówił przepitym głosem, bez żadnych emocji. – Chcesz karetkę? Czy pójdziesz sam?

– Tak, pogryzł mnie!

– A to we dwóch żeście przyleźli? – Facet uniósł głowę.

Chłopak zerwał się na nogi, słysząc to pytanie. Zobaczył szarżującego siebie. Pies w głośnym skowycie wyrwał się z ręki właściciela i uciekł za dom. Ciało Taylora złapało chłopca za szyję i zaczęło dusić.

– Ej, ej, ej! – Gospodarz podszedł bliżej. – Zostaw gówniarza!

Mężczyzna złapał większego za ramię i szarpnął. Ten machnął na odlew uderzając go w skroń, trafiony złapał się za głowę i zrobił krok w tył, spojrzawszy na dłoń sprawdzając czy nie puściła mu się krew.

– Słuchaj no, masz go puścić, bo nie ręczę za siebie!

Gospodarz nie został obojętny i widząc, że ten nie reaguje zepchnął go z ofiary.

– Powiedziałem coś! – Szarpał się. – Na dziecko będziesz, chuju, rękę podnosił!?

Wykorzystując sytuację chłopiec zaczął uciekać, z trudem wygrzebując się z błota. Oddalając się rzucił spojrzenie na pojedynek samego siebie z obcym facetem. Chłopak wybiegł na chodnik i biegł przed siebie, aż w końcu natrafił na parking strzeżony z kompletem samochodów. Widział go jako swoją jedyną szansę na ujście z życiem. Ledwo zdążył się schować, kiedy upiór dobiegł na miejsce niczym wściekłe zombie, brudne od błota, z rozharatany lewym kolaniem.

Słychać było głośne charczenie. Chłopak wyrzwał spod samochodu, za którym się ukrył. Stwór zaczął obwąchiwać krew chłopca.

Upiór szedł między wozami i uderzał w nie losowo, a każde uderzenie odpalało autoalarm. Był kilka aut od niego. Będąc w pełni sił nie miał szans w pojedynku, co dopiero teraz, gdy jego ręka i noga potrzebują jak najszybszego opatrzenia, a wciąż leje się z nich mnóstwo krwi. Krwawił i był słaby, a stwora dzielił od niego już tylko jeden samochód. Nie miał dokąd uciec, usiadł więc na zimnym asfalcie, gotowy na swój los. Wtem ostre światło latarki, niczym reflektor teatralny, padło na nawiedzonego prześladowcę w jego ciele.

– Przepraszam, ale to teren strzeżony, musi pan opu...

Potężny ochroniarz rozszerzył oczy i zaniemówił. Chłopak nie przerywał poszukiwań, ignorując stróża, węszył dookoła samochodów, pod nimi i zerkał przez okna do środka.

– Koleś, mówię do ciebie!

Ruszył w jego kierunku, a upiór odwrócił się gwałtownie i zasyczał. Ochroniarz odskoczył w pozie gotowej do walki, ale opuścił gardę, gdy go rozpoznał.

– Niemożliwe!? Wiedziałem, że wydajesz mi się znajomy. – Czarnoskóry olbrzym cieszył się na jego widok, ale widząc, w jakim stanie był chłopak ostudził jego emocje. – Boże, nic ci nie jest? To ja – wskazywał na siebie palcem. – Facet, który pożyczył ci ładowarkę, jechaliśmy razem w autobusie, pamiętasz?

Olbrzym świecił po nim z góry do dołu. Widział, że coś jest nie tak, ale mimo to znalazł odwagę, by złapać go za dłoń.

– Jesteś w szoku? Wezwać policję?

Nie, kurwa, nie – powtarzał spanikowany w myślach.

Upiór zaczął coraz głośniejsze charczące. Ramiona podskakiwały z nadmiaru adrenaliny, ślina cienkim strumieniem ciekła mu po brodzie. Stróż puścił ręce chłopaka i zrobił dwa kroki wstecz, a następnie położył dłoń na paralizatorze. Po raz kolejny uzmysłowił sobie, że coś jest mocno nie w porządku. Ochroniarz się cofał, a opętaniec podchodził. Chłopak walczył ze sobą, chciał krzyknąć, by tamten uciekał, ale stanął przed wyborem – albo on albo ochroniarz.

W tym przypadku musiał dbać o siebie, nieważne jak brutalne to było. Ochroniarz widział, że mężczyzna ma dłonie ubrudzone krwią, a sam jest mocno zdyszany.

– To twoja krew? – spytał drżącym głosem – Co się dzieje? Wezwać karetkę?

Taylor rozszerzył usta pokazując zęby jak zwierzę i rzucił się na ochroniarza, który przyjął kilka ciosów na twarz, ale dzięki swej posturze nie upadł. W odwecie poczęstował przeciwnika gazem pieprzowym. Upiór odskoczył, wrzeszczał wściekle wcierając substancję w oczy wewnętrznymi stronami dłoni.

Taylor wykorzystał sytuację i uciekł z parkingu. Stał jeszcze przy ścianie jednego z budynków i spojrzał na plac. Uciekający ochroniarz w ostatniej chwili zamknął się w budce.

Upiór w jego ciele uderzał pięściami po drzwiach, aż w końcu się uspokoił, stał przed nimi w bezruchu, a po chwili już bez emocji wszedł w czerń pobliskich budynków, znikając mu z oczu.

Taylor w ciele Maxa dobiegł do jednej z głównych ulic. Złapał taksówkę i podał kierowcy adres. Samochód ruszył, a z uliczki po prawej pojawił się pędzący w jego ciele cień równoległy z nim, skracał dystans, ale minął się z pojazdem i przez moment biegł środkiem mokrej ulicy, starając się dogonić wóz. W końcu stanął i patrzył, jak auto odjeżdża.

Serce waliło mu jak szalone, zaciskał mocno ranę na ręce i syczał z bólu. Po kilku oddechach Taylor widział jak jego ciało sprintem wbiegło w ciemną uliczkę.

Taksówka podjechała pod dom, chłopak wysiadł i podskakując na jednej nodze kierował się w stronę domu.

– A kto zapłaci? – spytał kierowca, wychodząc z samochodu.

– Zaraz przyniosę, nie mam przy sobie.

– Ile ty masz w ogóle lat?

Nie odpowiedział. Dосkoczył do domu i zamknął drzwi. Ruszył do kuchni, sięgnął do apteczki, wyciągnął wodę utlenioną, bandaż, igłę i nić do zszywania ran. Żałował, że oddał całą wódkę matce, przydałaby mu się teraz. Podwinął nogawkę i obejrzał ranę.

– O kurwa. – Omal się nie porzygał. Takiej rany nie widział nawet na żadnym filmie. Pogryzienie było bardzo poważne – w paru miejscach widać było kość. Złapał za wodę utlenioną i zaczął szybciej i głośniejsz oddechem trzymając ją nad uszkodzoną częścią ciała. Napiął mięśnie, ale buteleczka się nie przechyliła. Odłożył ją i potrząsnął głową.

– Dobra, teraz się uda.

Znów nachylił ją nad raną, dłoń mu się trzęsła, zagryzł wargi i zmarszczył twarz, wylał płyn odkażający, a raczej odrobinę na sam środek pogryzionej łydki.

– Aaaaaa, ja pierdołę!

Płynąc na fali emocji rozlał wodę po całej łydce. Wtedy ból sięgnął zenitu, myślał, że zemdleje, rzucał się na prawo i lewo, następnie sięgnął po igłę z nicią, ale ta drgała w dłoni, nie dając możliwości trafić nią w nogę, co dopiero podważyć skórę. Wyprostował się szukając w sobie odwagi i znów się nachylił, zaciskał igłę z siłą, dając wrażenie, że zaraz złamie palca. Oparł się o stół.

– Kogo ja oszukuję – westchnął.

Odłożył sprzęt, przyłożył gazę i zawinął nogę bandażem. Co chwila robiło mu się słabo. Zdjął z siebie bluzę, niespiesznie odklejając ją od zaschniętej krwi w ranie, rzucił rzeczy na bok i zrobił to samo co z wcześniejszą. Wiedział, że to o wiele za mało, ale tylko tyle mógł w tej chwili zrobić.

Musiał się ukryć. Nie pozwolić, aby cień go odnalazł. Kolejną walkę z pewnością by przegrał. Czuł jak jego ciało zalewa się potem, temperatura ciała gwałtownie wzrosła. Ostatkami sił próbował zamknąć apteczkę, ale zrezygnował, po mocnym zawrocie głowy, miał tylko nadzieję, że to nie wścieklizna. Oparł się mocniej o blat, a drugą ręką sięgnął po telefon...

– Kurwa mać!

Otworzył oczy. Światło przewiercało się przez gałki oczne w głąb czaszki. Był ranek.

Jak to się stało?

Matka szarpała nim starając się go podnieść z podłogi. Zarówno słuch jak i wzrok wolno wracały do siebie. Usiadł na krześle i wtedy zobaczył plamę zaschniętej krwi na podłodze. Uniósł dłonie, które drgały, oba opatrunki były przemoczone i zabarwione na czerwono. Czuł się okropnie słabo, nie pamiętał co się stało, ubranie kleiło się od

potu, krwi i wyschniętego błota, ale patrząc na wciąż włączoną latarkę w telefonie rozumiał, że musiał stracić przytomność. Mama dalej krzyczała, ale dopiero teraz skupił się na słowach, w uszach wciąż mu gwizdało.

– ...do tego ta pierdolona apteczka! To wszystko jest przeterminowane!

Super, pomyślał łapiąc się za głowę.

– Jedziemy do szpitala!

Wzięła go pod rękę i wyszli na zewnątrz. Przed samochodem zorientowała się, że nie ma kluczy.

– Zostawiłam w domu, czekaj tu!

Pobiegła z powrotem do środka zostawiając syna siedzącego i opartego o samochód. Wtedy spod cienia auta wyłoniły się czarne palce. Oskoczył przerażony, serce mu przyspieszyło. Przyjrzał się dokładniej, ale palce okazały się być zwykłym kosmykiem trawy, poruszonym przez wiatr. Westchnął z ulgą.

Okolica wydawała się być bardziej zadbane niż pamiętał, skoszona trawa, brak śmieci na chodniku, nawet pogoda dopisywała, słońce grzało przyjemnie skórę. Im dłużej tak stał, tym słabszy się robił. Czarne plamki pojawiły mu się przed oczami, z wycieńczenia nawet ból przestawał mu doskwierać, osunął się po karoserii. Spanikowana matka o przekrwionych i szklistych oczach po wczorajszej popijawie wybiegła z domu, podniosła go z ziemi i pomogła wsiąść do środka zamykając za nim drzwi. Sięgając za klamkę drzwi kierowcy równocześnie spojrzeli na wprost, widząc byłego chłopaka stojącego przed podjazdem.

– Co do chuja!? – zbulwersował się. – Przecież on kopnął w kalendarz! Nie dlatego mnie zostawiłaś!?

– Nie mam teraz czasu.

Otworzyła drzwi, ale ten doskoczył i je zamknął. Chłopak chciał wyjść i pomóc matce, ale nie miał już siły nawet, by złapać za klamkę. Ich kłótnia nabierała ognia, nie rejestrował już słów, wydobył z siebie ostatnie.

– MAMO!!!

Matka zdzieliła mężczyznę w twarz i wsiadła do auta, trzaskając drzwiami, które zablokowała od środka. Igor szarpał za klamkę, a ona odpaliła silnik ruszając z piskiem przed siebie. Skręciła w stronę szpitala i docisnęła na gaz. Zapłakana ścisnęła kierownicę tak mocno, jakby zamierzała ją zmiażdżyć. Chciał jej powiedzieć jaki jest z niej dumny, ale sięgnęła do schowka po piersiówkę i zaczęła ją odkręcać.

Ze wszystkich sił starał się ponownie nie zemdleć. Matka piła trunek jak poranny sok, w dodatku był tak wczesny ranek, że pewnie trzymało ją jeszcze po ostatnio spożytym.

Głowa opadła mu na oparcie, przez mroczki widział ją w zwolnionym tempie, machała rękami robiąc idiotyczne miny, raz wyglądając groźnie, a raz potulnie zapewne odgrywała rolę obu stron z jakieś scenki, która trawiła ją od dawna, a teraz nadarzyła się okazja, by się komuś wyzalić. Syn już kompletnie jej nie słyszał. Mrugnął. Światła na skrzyżowaniu, do którego dojeżdżali zmieniały się, z zielonego

na żółty i z żółtego na czerwony.

Znów mrugnął.

\* \* \*

Wybudził się, powoli, z bólem, nie pamiętał już, jak to jest czuć się dobrze po przebudzeniu. Tym razem było gorzej niż normalnie. Przed jego łóżkiem stało kilkoro obcych mu osób, wszyscy machali do niego z radością.

– Cześć, jak się czujesz? – spytała nieznana mu blondynka.

– Jakby mnie tir przejechał – stęknął.

– Na szczęście nie aż tak. Miałeś wypadek samochodowy, który trochę cię poturbował, ale nie wyrządził poważnych szkód. Dzięki Bogu miałeś zapięte pasy. Zajęliśmy się również ranami na ręce i nodze, które wyglądają na pogryzienie psa, ale o tym porozmawiamy później. Teraz najważniejsze jest dla nas twoje samopoczucie.

– Gdzie moja mama? – zaczął się rozglądać. – Jechałem z mamą, gdzie ona jest?

– Spokojnie, wiemy, że możesz...

– Nie mów mi, żebym się uspokoił tylko powiedz, gdzie ona jest!

Spojrzeli po sobie.

– Twoja mama nie miała zapiętych pasów i jeszcze się nie wybudziła, ale jej stan jest stabilny.

– Żyje?

– Tak jak mówię, jej stan...

– Czy ona żyje!?

– Tak, twoja mama żyje. Nie denerwuj się.

Położył się bardziej zrelaksowany, wziął głęboki oddech.

– Zostawimy cię teraz z tymi dwoma panami. – Wskazał na funkcjonariuszy. – Będą chcieli zadać ci kilka pytań. Gdybyś nie chciał rozmawiać mogą przyjść później.

– Mogę rozmawiać – odparł twardo.

– Świetnie, cieszę się, że dobrze się czujesz.

– Nie czuję się dobrze, ale żyję.

Lekarz bez wyrazu spojrzał na policjantów i wyszedł z pomieszczenia razem z personelem zostawiając ich samych. Zamknęli za sobą drzwi.

– Nazywam się oficer Jones, a to jest oficer Eterman, chcielibyśmy zadać ci kilka pytań, jeżeli to nie problem.

– Zadajcie je wreszcie, wszyscy pytają czy mogą zadać pytania, a nikt nie pyta.

– Jesteś bystry.

Wzruszył ramionami.

– We krwi twojej mamy wykryto alkohol, a twoje rany na ręce oraz nodze nie wskazują na rany powypadkowe. Powiedz nam skąd je masz i jak się dogadujesz z mamą?



– Jeżeli chcecie wiedzieć czy matka się nade mną znęca, to nie. Chciałem przebiec na skróty w drodze do domu i wpadłem na bezpańskiego psa, który mnie pogryzł, gdyby nie jakiś pan, pewnie bym teraz nie żył. Tyle.

– Czy matka dużo pije?

– Nie.

– Tak, ale wypadek miał miejsce o szóstej rano.

– Mama nie pije, pewnie spotkała się ze znajomymi. Wróciłem późno, nie widziała mnie.

Prowadzący rozmowę policjant spojrzał na drugiego funkcjonariusza i następnie zapisał coś w notesie.

– Matka pozwala ci się tak plątać w środku nocy?

– Jesteś nieletni, wciąż jest za ciebie odpowiedzialna – wtrącił drugi policjant. Byli bardzo nachalni, na siłę próbowali znaleźć coś na nią, czuć było napiętą atmosferę.

– O co w ogóle chodzi? Skąd te pytania?

Chłopak zaczął się denerwować.

– Nie złość się, potrzebujemy odpowiedzi na kilka pytań i zostawimy cię w spokoju.

– Co jeszcze? – spytał, nie kryjąc niezadowolenia.

– Czy w domu jest przemoc? Czy mama cię bije?

– Żartujecie sobie? Nigdy mnie nie uderzyła. Ale sprawdźcie jej chłopaka, to on przynosi alkohol do domu i atakuje mamę oraz mnie. Dlaczego jemu nie zadajecie pytań?

– Gdzie go znajdziemy?

– Nie wiem. Musicie jej spytać, ale nie mówcie, że wam powiedziałem, bo zacznie go bronić i może podać fałszywe dane.

– Mama często kłamie?

Już miał odpowiedzieć, gdy dostrzegł swoje ciało pokonujące korytarz pospiesznym krokiem.

Co robił w szpitalu?

## Za wszelką cenę

Piętnaście lat wcześniej.

– Długo to już trwa? – spytała, przykładając rozgrzaną filiżankę kawy do pomalowanych czerwoną szminką, cienkich ust. Upiła maleńki łyżeczek i spojrzała na załamana przyjaciółkę z bloku.

– Pięć miesięcy... – odpowiedziała tamta prawie szeptem, obejmując swoją filiżankę obiema dłońmi.

– Prawie pół roku, czyli od wtedy? Rozumiem, że tragedia i tak dalej, ale to w końcu chłop, powinien być twardszy. – Dosypała sobie cukru do kawy po czym dodała. – Ty się jakoś trzymasz.

– Sama już nie wiem. Czuję się jakbym w życiu jednej nocy nie przespała.

– O czym tym mówisz? Spójrz na siebie, dobrze wyglądasz, chodzisz do pracy, dbasz o siebie. To o wiele więcej niż on. – Mieszała uderzając łyżeczką głośno o ścianki. – Powinien być dla ciebie wsparciem, a nie na odwrót. Co to za facet? Kto to widział, żeby się tak dąsać. Życie toczy się dalej, prawda?

– Chyba tak – przytaknęła cicho.

– Nie chyba, kochana, nie chyba!

– Jest coś jeszcze...

– Pokaż. – Sąsiadka nachyliła się przez stół i podciągnęła jej rękaw koszuli widząc krwisto granatowy siniec na jej ramieniu. – O Boże, kochana...

– Przed tragedią tak nie było. Mogłam na nim polegać, był dla nas dobry, nigdy nie uniół ręki. – Zakryła siniec ze wstydem malującym się na twarzy. – Ale teraz, zawsze, gdy coś mu nie odpowiada reaguje złością. Czasem robi coś więcej niż tylko krzyczy. Kiedy wpada w histerię, widzę obcą osobę. Gdy patrzę mu w oczy, nie dostrzegam w nich mojego męża. W takich chwilach bardzo się go boję.

Dyskusja ciągnęła się już od ponad godziny. Żona szukająca u sąsiadki słów otuchy wyzaliła się jej ze wszystkich rzeczy, jakie przydarzyły się przez ostatnie pięć miesięcy jej życia. Przyjaciółka nie szczędziła gorzkich słów, ani wyzwisk jej mężowi, pogrążonemu w głębokiej depresji.

– To co powinnam zrobić? – wydusiła z siebie niechętnie, obawiając się co może usłyszeć w odpowiedzi.

– Spakuj go i wyrzuć z domu. I nie tylko z domu. Wyrzuć go ze swojego życia. Podniósł rękę na ciebie wcześniej, będzie to robił dalej. Chcesz być bita? – Przyjaciółka dopiła chłodną już kawę. – Spójrz na mnie! Nikt nie zasługuje na takie

traktowanie, myśl o sobie, nie musisz tak żyć, to twój wybór. – powiedziała dumna z siebie, samotnie mieszkająca rozwódka. – A śmieć niech śpi na ulicy, tam gdzie jego miejsce.

Ale kobieta nie posłuchała. Nie była gotowa wyrzucić męża z domu. Jednak po kolejnych kłótniach i incydentach, w których zebrała kolejne sińce, poszła za radą przyjaciółki i zaczęła go pakować. Był to jednak impuls z bezsilności, który doprowadził rozpadające się małżeństwo prawie do tragicznego finału. Wtedy poszli na kompromis i mąż zgodził się na terapię psychiatryczną. Przyszedł niechętnie, miał inne wyobrażenie tego miejsca, a tymczasem przypominało to spotkania anonimowych alkoholików z filmów. Kilkanaście krzesel rozstawionych w okręgu. Wszystkie puste, poza jednym, siedział na nim czarnoskóry mężczyzna, który wyglądał jakby właśnie był na wakacjach. Miał na sobie krótkie spodenki, klapki i hawajską koszulę, włosy spięte na czubku głowy, a na nosie okrągłe okulary przeciwsłoneczne. Siedzieli bez słowa, mężczyzna spojrział na zegarek, lekcja powinna zacząć się dziesięć minut temu, a nikogo jeszcze nie ma. Westchnął i wstał.

– Gotowy by zacząć? – spytał.

– Proszę?

– Stary, przestań. Wiem, że mnie słyszałeś. Ale powtórzę pytanie specjalnie dla ciebie. Czy możemy zaczynać?

– Ale nikogo nie ma.

– Ty jesteś. Potrzebujesz kogoś jeszcze?

– Prowadzącego.

– Masz go przed sobą – uniósł ręce – Usiądź, jesteśmy w komplecie.

Miał ochotę wyjść, ale pamiętał o obietnicy, jaką złożył żonie. Wrócił i usiadł twardo na krześle i czekał na kazanie, by po wysłuchaniu go móc jak najszybciej wrócić do domu. Ale prowadzący nic nie mówił, zajmował się swoimi paznokciami, skórkami na dłoniach i robieniem kucyka wciąż od nowa. Nie patrzył na zegarek, nie chodziło o czas, ani o to, że mu się nudzi. Czekał, aż Philip będzie gotowy na wyrzucenie z siebie pierwszego słowa żalu. Przynosiło to jednak skutek odwrotny do zamierzonego, ten stan czekania tylko irytował mężczyznę. W końcu nie wytrzymał i wybuchł.

– Długo masz zamiar udawać, że mnie tutaj nie ma? Po coś tu przecież przyszedłem i zapłaciłem, tak!?

– A po co tu przyszedłeś? – spytał prowadzący, skupiając na nim swoją uwagę. – Nie martw się o pieniądze, oddam ci je, jeżeli zechcesz.

Nie wiedział, jak mu odpowiedzieć. Zmieszał się i oparł o krzesło. Na tej sesji niczego nie powiedział, po prostu siedział, aż minęła godzina, po czym wstał i wyszedł bez słowa.

Dwa dni później odbyło się kolejne spotkanie, tym razem z trzema uczestnikami, każdy opowiadał o swoich problemach, o tym, z czym się zmagają. On jednak siedział cicho. Tylko słuchał. Na kolejnej sesji było jeszcze więcej osób, na następnej przyszedł

już komplet. Mijały tygodnie, a facet nie był w stanie się otworzyć, ściana blokująca go była zbyt gruba, by ją przebić i powiedzieć co mu leży na sercu. Po skończonych zajęciach wszyscy wyszli, a prowadzący zaczął odnosić krzesła pod ścianę, aż zostało tylko to, na którym siedział Philip. Kucnął przed nim, by być na jego wysokości.

– Myślałem, że nie chcesz nic mówić. Nie mam z tym problemu, słuchanie również jest częścią rozmowy. Przychodzisz na lekcje, słuchasz, byłem przekonany, że to ci wystarcza, ale teraz już nie jestem tego taki pewien.

Patrzył mu w oczy. Philip podniósł wzrok dopiero po chwili.

– Nie lubię tego miejsca. Jakby oczekiwało czegoś ode mnie – wydusił z siebie ponurym głosem.

– Zatem chodźmy gdzieś indziej.

Udali się do pobliskiego baru, który wyglądał jak z westernu. Wrażenie to psuł jedynie nowoczesny, pokryty lustrami bar z czterema rzędami przeróżnych butelek alkoholi. Z maszyny grającej leciał Bob Marley, a zapach dymu nikotynowego potęgował wrażenie cofania się do wczesnych lat dziewięćdziesiątych.

Usiedli na kręcących się krzeselkach i oparli łokcie o drewniany bar. Gumowe podstawki mając na celu przyjąć rozlewające się ze szklanek płyny, zalatywały tandetą i psuły cały czar tego miejsca. Ludzie podnosili głos podczas rozmowy. Philip odzwyczaił się od takich miejsc. Za dużo czasu przesiadywał w domu.

Zamówili piwo u barmana w białej koszuli i spodniach w kratę z szelkami, przecierającego właśnie kufel szmatką.

– Mam nadzieję, że miejsce się podoba. – Psychoterapeuta wziął łyk piwa. – Kiedy pierwszy raz się pojawiłeś zadałem ci pytanie i do dzisiaj nie otrzymałem odpowiedzi. Zatem powiedz, po co do mnie przyszedłeś?

– Po to, żeby żona dała mi spokój.

– A dlaczego nie daje ci spokoju?

– Bo jestem nieudacznikiem, a ich nikt nie lubi. – Philip jeździł palcem po szkle swojego kufła, zbierając myśli. – Bo nie umiałem jej obronić, bo nie było mnie przy niej, kiedy powinienem, bo nie wiedziałem co zrobić. A teraz jest już za późno.

– Nigdy nie jest za późno. Żona da sobie w końcu spokój, jak już się ogarniesz. Nie możesz jej winić. Użalający się nad sobą ludzie nie są łatwi do zniesienia. Jeżeli obarczyłeś ją zbyt dużym ciężarem, nie dziw się, że tak się właśnie zachowuje. Być może nie są to słowa, jakie chciałeś ode mnie usłyszeć, ale jestem tutaj, aby ci pomóc, czyli po to, by mówić prawdę i pomóc ci otworzyć oczy.

Philip zmarszczył twarz, następnie zalał się łzami zakrywając twarz dłońmi. Prowadzący położył mu rękę na plecach, starając się pocieszyć.

– Stary, cokolwiek by to nie było, dasz sobie z tym radę, wiem, że teraz może wydawać się to awykonalne, ale poradzisz sobie, zobaczysz. – Poklepał go. – Od lat przyglądam się osobom rozbitym, załamany, pogrążonym w głębokiej depresji. Wszyscy zaczepieni tej jednej sytuacji, tego jednego wydarzenia, myślą, że zawaliło im się życie. – Wziął solidnego łyka i dosunął mu jego kufel. – Napij się, normalnie

odradzam alkoholu, ale ten raz ci pozwolę. Stary, musisz zaakceptować to, co było i pójść dalej, nie ma innego sposobu.

Kelner chciał zabrać Philipowi niedopity kufel.

– Czy pozwoliłem ci go zabrać!? Wygląda ci na wypity!? – wrzasnął pełen złości.

– Przepraszam, myślałem, że...

– Nie jesteś tu od myślenia. Płacą ci, żebyś nalewał piwo. Zabieraj łapy.

Dosunął do siebie piwo, a zmieszany kelner poszedł dalej.

– Stary, nie musiałeś go tak besztać, on po prostu się pomylił.

– Ja jestem ten zły? Poważnie!? Siedzę sobie spokojnie i piję piwo, po czym koleś przychodzi i próbuje zabrać coś, za co uczciwie zapłaciłem i teraz to ja jestem ten zły?

Mężczyzna uciekł wzrokiem, odpuścił, ciśnienie opadło, wszyscy nabrali dystansu. Po chwili Philip zaczął mówić, gapiąc się na kufel złotego napoju. Opowiedział wszystko, od początku do końca, zrzucając część winy na siebie oraz doszukując się reszty w innych. Wypijali przy tym kolejne litry. Gdy skończył, uniósł głowę, poczuł lekką ulgę, że wreszcie to z siebie wyrzucił. Psychoterapeuta patrzył na niego w milczeniu.

– Co, nic nie powiesz?

Cisza.

– To bez sensu – dodał Philip, dopił piwo, po czym położył pieniądze na blacie i ruszył w stronę wyjścia.

– Stary, jest szansa. To nie oznacza końca! Są sposoby! – usłyszał krzyk, a słowa wyraźnie go rozwścieczyły. Philip zatrzymał się, po czym dobiegł do mężczyzny i zdzielił go pięścią w twarz, aż ten spadł z krzesła.

– Ani się, kurwa, waż tak do mnie mówić! – pogroził mu palcem. – Odezwij się jeszcze raz, a przysięgam, że cię zabiję!

Następnie wyszedł z pubu.

Mijały dni, tygodnie, aż w końcu miesiące, a Philip pomimo wielu prób nie był w stanie wrócić do normalnego funkcjonowania. Po próbie samobójczej żona nie wytrzymała tego psychicznie i wyprowadziła się z domu. Że tak się stało zorientował się po tygodniu, gdy w lodówce zabrakło jedzenia. Ale nie to tak naprawdę najbardziej zaprzętało jego umysł. Robiły to słowa prowadzącego. „To nie oznacza końca”.

Był człowiekiem słabej wiary, przemawiało do niego zdanie naukowców, przyziemne kwestie oparte na nauce i technologii. Sprawy duchowe i ta cała mistyka były dla niego rodem z książek i filmów fantasy. Nie chciał się rozczarować, więc siedział i egzystował, będąc niewolnikiem swych myśli.

\* \* \*

Późnym wieczorem pewnego zimnego, jesiennego dnia, instruktor porządkował salę po zakończeniu sesji. Gdy skończył odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach

Philipa, który błędził wzrokiem po posadzce. Bez słowa sięgnął po dwa krzesła i postawił je na środku pomieszczenia, usiadł i wskazał dłonią na krzesło przed nim. Philip przytaknął, przyjmując zaproszenie. Był dużo chudszy niż ostatnim razem, kiedy się widzieli, cuchnął, a pomięty garnitur wisiał na nim jak na wieszaku.

– Cieszę się, że cię tu widzę. – Prowadzący uśmiechnął się miło. – Jeżeli nie chcesz rozmawiać w tym miejscu...

– W porządku, chciałem przeprosić za...

– Nie ma już śladu, całe szczęście nie bijesz mocno. Agresja nigdy nie jest rozwiązaniem, nawet jeżeli wydaje się być jedynym. – Wskazał na jego zabandażowane nadgarstki. – Mam nadzieję, że już to rozumiesz.

– Żona mnie zostawiła – powiedział zachrypniętym głosem, od dawno nieużywanych strun głosowych. Następnie powoli usiadł.

– Przed czy po?

– Po. – Philip spojrzął na swoje pocięte nadgarstki.

– Pożegnała się?

– Pewnie tak – zaciągnął rękawy marynarki, starając się zakryć bandaż.

– Ale pewny nie jesteś.

– Nie – odpowiedział dopiero po chwili.

Instruktor wiedział po co przyszedł, ale nie chciał pytać wprost.

– Posłuchaj...

– Mówiłeś poważnie? – Spojrzął mu w oczy, pierwszy raz, odkąd przyszedł. – „To nie oznacza końca, są sposoby”, tak powiedziałaś. Co miałaś na myśli? Czy jest coś... cokolwiek...

– Posłuchaj. – Mężczyzna oparł się o krzesło. – Nigdy tego nie doświadczyłem, ani nawet nie miałem styczności z tymi ludźmi, ale moja babcia opowiadała mi o nich historię. Musisz udać się daleko na południe do dżungli na pograniczu Gujany i Brazylii. Tam odnajdziesz ostatnią wioskę plemienia Wan Wan. Opowiedz im o twoim przypadku. Jeżeli przedstawiane historie mojej babci są prawdziwe, myślę, że będą w stanie ci pomóc.

– Wan Wan? – spytał zdziwiony.

\* \* \*

– Wan Wan? – spytał zdziwiony.

– Tak, Wan Wan, Wan Wan! – krzyczał przewodnik z akcentem na twarde „w”, wskazując palcem niekończącą się zieloną dżunglę, oświetloną złotymi promieniami najwyższej położonego w dniu słońca. Horyzont rozmywał się w gorącym powietrzu, a owady cięły do krwi mimo kilku warstw maści nałożonych na ciało. Philip rozpiął zieloną koszulę odsłaniając tors. Liczył na dodatkowy przewiew. Spod słomkowego kapelusza spływały słone krople potu, piekąc twarz. Woda w bidonie była ciepła, ale pragnienie brało górę nad zdrowym rozsądkiem. Przewodnik od początku uprzedzał,

by oszczędzać wodę, mimo to Philip wypił niemal cały zapas. Nie wychodził z podziwu, jak ten chudy, odziany w spodenki, koszulkę na ramiączkach i sandały przewodnik swobodnie szedł przez gąszcz liści siekając je maczetą od lewej do prawej, jakby spacerował w tanecznym kroku, podczas gdy on w profesjonalnym sprzęcie z trudem dawał radę za nim nadążyć. Zdzielił się już w policzek setki razy w próbie zabicia przyklejających się do jego twarzy much. Przewodnik miał na imię Harmin i co chwila wskazywał palcem kierunek, wołając nazwę plemienia, naprzemiennie z krzyżeniem „wąż!” i naśmiewaniem się spanikowanej reakcji turysty. Przechodząc pod drzewem Philipem szarpnęło na widok liany wiszącej na gałęzi, którą pomylił z wężem.

– Ej! – krzyknął do przewodnika. – Co wiesz o tej wiosce?

– Jest najmniejsza wioska indiańska jakie jeszcze jest, Wan Wan żyje sto siedemdziesięciu mieszkańców, ale Indian żyje łącznie trzydziestu jeden tysięcy. Są bardzo dobre łowca, ale również i rolnik, największa sława przyniosło im tkanie bawełna, która następnie sprzedają. Mili ludzie.

– Nie idę przez to piekło dla... – Philip dostał rozpędzonym liściem w twarz. – Dla bawełny. Opowiedz mi o rytuale.

Przewodnik odwrócił się lekko i spojrzał na turystę poważnym wzrokiem, następnie podążył dalej.

– Rytuał jest czymś, co ludzie wioska Wan Wan praktykować od wielu, wielu lat. Turysta tacy, jak ty przebywają daleka droga chcąc pomoc u wodza i jego szaman. Bo tylko on przeprowadza lot duszy. – Harmin wbił ostrze w pień, oparł nogę o drzewo i jednym pociągnięciem uwolnił maczetę. – Indianie korzystają z lotu duszy dla wielu różnych funkcja jak gojenie, loty do nieba, aby skonsultować z księżyc, bądź jego brat, uzyskać nazwę dla nowo narodzonego dziecko, czy prosić przodków o przebaczenie.

– Brałeś kiedyś w tym udział?

– Nie, nie było mi dane. Może tobie będzie, przyjacielu.

– Może? – Philip przyspieszył kroku. – Co to znaczy „może”!?

– Wódz decydują kto przystąpi do rytuał, zanim to nastąpi musisz jednak pobyć z nim jakiś czas. Nie ma innej drogi, przyjacielu.

Philipa nie interesowało zdanie szamana ani wodza, wiedział, że jest gotów wziąć udział w rytuale, by poznać odpowiedzi. Dla Philipa były to brednie i strata czasu. Skoro biorą za to pieniądze, jest to swego rodzaju usługą, powinien zapłacić, dostać swoje i wyjść, ale nie chciał psuć relacji, dopóki nie otrzyma tego, po co przyszedł. To jest piekło, powtarzał sobie w myślach. Nie cierpiący podróży, ćwiczeń ani niczego, co wiąże się z wysiłkiem fizycznym oraz słońcem, Philip czuł, że brazylijska dżungla otoczona niebezpiecznymi drapieżnikami była dla niego największym cierpieniem i torturą, jaką znał świat. Pięty i palce u stóp piekły i paliły od startej skóry. Skarpetki, za które dał ponad sto dolarów miały go uchronić od tego typu sytuacji, przez co bolało jeszcze bardziej. Kulejąc zwolnił kroku tracąc przewodnika z oczu.

– Ej! Ej, czekaj! – Nie miał zamiaru zapamiętać jego imienia.

Harmin zajęty ciąciem kolejnych ogromnych liści, został pożarty przez dżunglę. Turysta zaczął krzyczeć i tracić hart ducha, przerażony myślą o spędzeniu choćby piętnastu minut samemu w tym koszmarnym dla niego miejscu, koślawym chodem zaczął iść szybciej. Potknął się przechodząc przez powalone drzewo bambusowe, a przed upadkiem uratowało go zawieszenie się na niskim konarze, kosztem zatapiającej się ręki w mazi. Odskoczył, jakby dotknął wrzącego garnka i spojrzał na dłoń oblepioną dziwną wydzieliną. Z całego stresu i w obawie o swoje zdrowie przypomniał sobie imię przewodnika.

– Hamin! Hamin!

Tamten wrócił w biegu, a gdy zobaczył zgnito zieloną maź na lewej dłoni Philipa, wskazał na nią palcem i w niesamowicie szybkim tempie, w nieznanym mu języku, zaczął wypowiadać krótkie słowa, przez co całe zdanie brzmiało jak jeden wyraz. Turysta omal nie zemdlął ze strachu, gdy Hamin przyłożył maczetę do jego nadgarstka. Wziął zamach i zaczął się śmiać w głos. Philip usiadł na powalonym drzewie, blade na zewnątrz, ale w środku aż buzowało. Miał dosyć tych żarcików i tego miejsca. Po krótkiej chwili wstał z nieprzyjemnym grymasem i ruszył pierwszy.

Przed zachodem słońca, wychodząc zza zielonej ściany dzikich roślin, dotarli do sporego terenu ubitej, suchej ziemi z niewielkimi, rozproszonymi po całym obszarze, chatkami. Po środku monumentalnie zapełniał przestrzeń ogromny szałas z ostrym czubkiem, zbudowanym z drzewa bambusowego. Słońce wolno chowało się za horyzontem, rzucając swój zachodzący blask na wioskę. Grupka dzieci zbiegła się na widok turysty. Otoczyły go licząc na podarunki, a ten złapał mocno za ramiona plecaka, w obawie przed kradzieżą. Nie mógł się od nich odpędzić. Ubiorem nie różniły się od dzieci w Stanach, z wyjątkiem znoszonych, poszarzałych i dziurawych ciuchów. Wtedy uniosło się głośnie wołanie, po którym dzieciaki jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki ucichły i odsunęły się od przybysza.

Przed nim pojawił się Harmin w asyście niskiego półnagięgo starca z brązową skórą w niespotykanym odzieniu. Trzy ścieżki barwy szkarłatu na policzkach przeciągnięte palcami pokrywały pomarszczoną skórę. Stał bosy, materiałowa opaska zasłaniała punkt intymny, przepasana cienkim sznurem dookoła. Różnego kształtu i wielkości kości, jak i różnokolorowe kamienie, splecione skórzanym paskiem, pełniącym rolę naszyjnika, posłusznie wisały na jego szyi. Na głowie dumnie sterczał bogato zdobiony pióropusz. Po środku jego zwieńczenia wyróżniały się najdłuższe, pomarańczowe pióra, a dookoła nich nieco mniejsze, czarne. Na czubkach wszystkich piór były okrągłe pęki. W ręku trzymał dzidę z ostrym końcem. – Wypisz, wymaluj Indianin ze starych komiksów o tematyce podróżniczej, pomyślał Philip. Udając się do dżungli powinien posiadać choć podstawową wiedzę, kim są tubylcy, ale nie przyszedł tutaj zwiedzać, a losy i znaczenie wioski poza jego indywidualnym celem go nie obchodziły.

Harmin zawzięcie szeptał coś do Indianina, a ten nie spuszczał wzroku z Philipa, wydając się przy tym wyraźnie niezadowolonym. Uniósł dzidę w górę i zaczął się



oddalać. Przewodnik szybkim gestem ręki przywołał Philipa, a ten poszedł za nimi.

Ubita ziemia dorównywała twardości betonu, przez co ból stóp doskwierał mu jeszcze bardziej. Mijał kobiety niosące na plecach ogromne kosze związane sznurami, na których dźwigały, na pierwszy rzut oka, bardzo ciężkie pocięte części drzewa w wielkości rolek papieru kuchennego. Wyładowywały to na podłogę białego domu z otwartą jedną ścianą, gdzie starsze obierały je następnie ze skóry, a potem myły w brudnej wodzie i odkładały do misek na podłodze, gdzie z daleka przypominały obrane ziemniaki. Przez całą drogę Harmin dyskutował z wodzem. Mocno się z czymś nie zgadzali.

– Coś nie tak? – spytał w pewnym momencie Philip.

– Wszystko, okej, wszystko, okej – odpowiedział, nieumiejętnie skrywając niepokój. – Nie martw się.

Po czym wrócił do wymiany zdań z wodzem, który wydawał się być niezainteresowany nowym przybyszem.

– Nie wygląda to na okej. Co on mówi?

Harmin machnął tylko ręką pokazując, by nie przeszkadzał. Philip nie był przyzwyczajony, że mu się odmawia, a już na pewno nie należał do osób cierpliwych. Podeszedł do wodza i pociągnął go za rękę, odwracając do siebie przodem. Wódz odskoczył w pozie bojowej celując w niego dzidą.

– Co to jest? Szantaż? – Philip prychnął. – Nie ruszaj się, bo cię zabiję? Tak? Powiedz mu – zwrócił się do przewodnika – że mnie się nie szantażuje!

Spojrzenie, jakie rzucił wodzowi kipiało od groźby, a pięści miał już uniesione. Harmin uspokoił Philipa, a widząc to wódz również się nieco rozluźnił i odstawił włócznię.

– O co chodzi?

– Wódz Tarhe – Harmin był wyraźnie zakłopotany – rzec, że nie przeprowadzi na tobie rytuał, twierdzi, że się nie nadajesz.

– Że co!? A skąd on to wie!?

Zrobił krok do wodza, który ani drgnął, uniósł jedynie brodę na znak, że się go nie boi. Dookoła nich utworzył się mały krąg. Mieszkańcy z wioski zbiegli się widząc, że coś jest nie tak. Mieli w rękach różnego rodzaju narzędzia, którymi z łatwością mogliby go zabić.

– Nie denerwuj, nie denerwuj... ja to załatwia.

Harmin nie przestawał przekonywać wodza, uginał kolana i robił jakiś dziwny gest dłońmi. Philip domyślił się, że błagał go. Rozejrzał się, natrafiając na różne spojrzenia, zaciekawione, przestraszone oraz złowrogie. Widać było jak lojalni i oddani byli wodzowi. Każde z nich gotowe było rzucić się w wir walki, jeżeli taka będzie potrzeba.

Wtedy gęsty i śmierdzący dym wypchnięty z ust wodza powędrował wprost na jego twarz. Philip kaszlnął i poczuł ułkucie na czole. Wódz Tarhe zliznął z ostrej części pióra krew Philipa.

– Co do... – Turysta złapał się za czoło i zakrył usta przed kolejnym kaszlnięciem.

Indianin trzymał ręką za policzki Philipa przyciągając je do siebie i wachając raz jedną, raz drugą stroną twarzy, wędrował językiem po swej buzi wypychając policzka, ukazując w ten sposób zepsute zęby. Jakby miał wydać werdykt najsmaczniejszego dania, niczym profesjonalny koneser. Zmarszczył się i splunął Philipowi pod nogi, po czym powiedział coś w gniewie do Harmina i zaczął odchodzić. Przewodnik zaszedł mu drogę i ugiął się w kolanach jeszcze mocniej, wódz wziął głęboki wdech i powiedział coś cicho, po czym odszedł.

– Możesz tu spać – rzekł przewodnik. – Wódz się zgodzić.

– Nie przyjechałem tu na nocleg, miałem otrzymać odpowiedzi.

– Nie denerwuj, najpierw spać.

Philip burknął pod nosem i poprawił plecak, po czym poszedł za Harminem. Gdy mijali wodza obaj mierzyli się wzrokiem.

– Nie wolno tak robić do wódz Tarhe. – Przewodnik zaczął go pouczać. – Ludzie tu przychodzą po pomoc, nie robić problem. Ty robisz problem.

– Nie mówisz poważnie. Mój cel wizyty był każdemu od dawna znany. Przeszedłem przez tę mękę, bo coś mi zostało obiecanie. Jestem i mam gotówkę, więc chcę to, po co przybyłem. A teraz jakiś stary dziad ubrany jak na karnawałową paradę będzie mi mówił, że mi tego nie da, bo widział mnie przez ile? Pięć sekund? Daruj sobie wywody.

– Tak sobie nie pomóż.

Poszli na koniec wioski, nieopodal studni, do której przywiązana była krowa i kozy. Zatrzymali się przed ostatnią chatą, a raczej ścianami wykonanymi z zielonej blachy opartej na drewnianych balach. Dach miał za zadanie przynieść cień, a co za tym idzie, ulgę. Jednak dla Philipa temperatura i wilgotność powietrza sięgała zenitu, żaden cień nie był w stanie poprawić jego samopoczucia.

– Tu mam spać? – spytał zażenowany. – Te komary mnie zabijają. A to czyje? – Wskazał na pozostałe posłania, przy których spoczywały plecaki, puste kubki i telefony.

– Innych przybyłych, wódz przyjmować ludzi w grupy i osobno, zależy jaka przypadek i potrzeba. Ci są tu dwa tygodnie.

– Gdzie teraz są?

– Pewnie upolowali kolacje, wszyscy w wioska muszą pracować i sami się wyżywić, jak reszta Indian. Każdy ma swoją praca, nie leży i czeka, aż się mu da pod gęba, trzeba się napocić.

– Muszą płacić, żeby siedzieć w tym chlewie i jeszcze dla nich pracują? Nic dziwnego, że wyplewili to plemię. – Rzucił plecak pod ścianę. – Nie potrzebuję towarzystwa. Przyjdź po mnie jak przekonasz starca do odpowiedzi na moje pytania. Przekaż, że inaczej mu nie zapłacę. Ani tobie.

Harmin skrzywił się i odszedł zniesmaczony zachowaniem turysty.

Philip, siedząc pod ścianą, zdjął kapelusz i zaczął się nim wachlować, mimo iż

zapadał już zmrok, miał wrażenie, że wilgotność nie ma zamiaru odpuścić. Zdjął buty i skarpetki, chciał dać stopom oddychać, otwarte rany na palcach i piętach zapiekły mocniej przy spotkaniu z wiatrem. Rzucił się na swój plecak przypominając sobie, że na dzień ukrył małą wodę. Mam cię! – krzyknął niemal. Ta chwila szczęścia i nadziei, jaka go teraz spotkała, była nie do opisania. Odkręcił zakrętkę i wzdrygnął się ze strachu, gdy zobaczył małą, kremową małą, która zeskoczyła z dachu lądując miękko tuż obok niego. Podeszła bliżej.

– Jesteś spragniona? Nie ty jedna! – Rzucił w nią zakrętkę, nie trafił – Nic tu po tobie, znajdź sobie własną wodę. Precz!

Mężczyzna machnął nogą widząc, że pierwsza próba odstraszenia nie podziałała. Małpka nie bała się go. Zaśmiał się i przyłożył butelkę do suchych ust, a wtedy sprytnie porwała wodę i zaczęła uciekać. Philip ruszył za nią w pościg, drąc się w niebogłosość. Gdy wpadł gołymi, poranionymi stopami w rozgrzany piach zawył z bólu i odskoczył. Małpa wspięła się na drzewo i zniknęła, a wraz z nią jego woda.

– Niech cię szlag! Obyś zdechła! – Tym okrzykiem wyrzucił z siebie całą złość i cofnął się na posłanie. Strzepywanie przyklejonego do spoconej i zranionej skóry piasku, dawało odczucie, jakby tarł stopy tarką. Wtem rozległ się huk rzuconego worka pełnego owoców na wejściu do domku. Współlokatorzy wrócili na miejsce, ponad osiem osób usiadło na kocach, aby odpocząć i napić się wody. Wszyscy byli opaleni, widać było, że spędzili tu już trochę czasu. Nie wyglądali na przemęczonych, organizm zdążył się już przyzwycząć do panującego tu klimatu. Jako ostatni wszedł o dziwo błądy, bardzo wysoki łysy mężczyzna. Różnił się od pozostałych, wydawał się być załamany i zamknięty w sobie. Widząc poranione stopy Philipa rzucił mu maść.

– To pomoże – powiedział zwiędłym głosem.

Philip nie zaprzętał sobie głowy, by choćby rzucić okiem na to, co jest napisane na opakowaniu. Bez namysłu zaczął wsmarowywać ją w ranne stopy. Ulga przyszła już po paru sekundach, maść chłodziła rozgrzaną skórę, miał ochotę pokryć się nią aż po czubek głowy.

– Będziesz jej potrzebował? – spytał go.

– Zatrzymaj ją – odpowiedział sucho. – Jest twoja.

Łysy skrzyżował nogi i oparł nadgarstki o kolana, wyglądał jakby miał zacząć medytować.

– Długo tu jesteś? – spytał Philip, próbując zagaic.

– Nie ma to dla mnie znaczenia – opuścił powieki z końcem wydychanego powietrza.

Zamilkli na chwilę.

– Dłużej niż ty – wychylił jedno oko, aby sprawdzić jego reakcję.

Philip wyszczerzył zęby i przytaknął. Wiedział, że się nie mylił. Każdy zajął się sobą. Mężczyźni palili fajki, kobiety doiły krowy, dzieci nosiły skóry na plecach, inne biegały kopiąc piłkę zszytą z jakiegoś materiału. Z lasu po prawej wyszedł kolejny Indianin. Miał spięte włosy przepaską, w prawej ręce niósł długą włócznię, a na

ramieniu zarzuconą miał sieć ze świeżo złowionymi rybami. Życie toczyło się swoim torem, nikt nie zwracał uwagi na Philipa, który nie mógł znieść kolejnej sekundy w niepewności, czy to, po co tu przyjechał zostanie mu dane.

Wstał i poszedł szukać Harmina. Łysy mężczyzna otworzył jedno oko i przyglądał się uważnie, jak Philip podchodzi do starszego mieszkańca wioski, który w spokoju palił fajkę, siedząc pod jedną z chatek.

– Nie widziałeś nigdzie Harmina? – spytał.

Starzec uniósł wzrok i spojrzał mu w oczy, po czym go zignorował, wracając do palenia fajki.

– Głuchy jesteś? Gdzie jest wódz? Gdzie mogę go znaleźć?

Zero odpowiedzi. Philip parsknął głośno, a odchodząc nadepnął dziadkowi na palce. Zaczepił kobietę, która tkala bawełnę, ale reakcja była taka sama. Mężczyzna próbował zagadywać każdego szukając odpowiedzi i nigdzie nie mógł znaleźć ani przewodnika, ani wodza. Złapał za rękę jedno z dzieci biegnących na środku placu.

– Na pewno was uczą naszego języka, żebyście mogli skutecznie zebrać od turystów, mam rację? – Pociągnął go do siebie, a chłopiec spojrzał na niego wyraźnie przestraszony. – Gdzie jest twój wódz? Powiedz mi!

Dzieciak zaczął się szarpać, próbował wyginać mu palce, by zwolnić uścisk, ale ten trzymał zbyt mocno. Wtedy poczuł na szyi rozgrzaną od słońca stal. Kątem oka zauważył rybaka, który w pozycji bojowej przykładał mu dzidę do tętnicy szyjnej. Philip puścił chłopca i odwrócił się do Indianina z rękami spuszczoneymi w dół.

– Ty mi wyglądasz na takiego, co będzie wiedział. Gdzie jest twój wódz?

Rybak uniósł włócznie wyżej i ugiął się w kolanach, krzycząc coś w nieznanym mu języku.

– Grozisz mi? – Zaśmiał się Philip. – Myślisz, że mnie to obchodzi? Myślisz, że mi zależy na życiu!? Nie mam już niczego do stracenia, więc albo powiesz mi co chce wiedzieć, albo mnie zabij, no dalej!

– Wystarczy – wtrącił łysy mężczyzna, który nagle znalazł się pomiędzy nimi. Rybak cofnął się, ale nie zmienił bojowej pozy. Mężczyzna wymienił kilka słów z tubylcem, po czym ten podniósł ryby z ziemi i ruszył w swoją stronę.

– Po to lałeś przez dżunglę, żeby umrzeć zabitym przez starego rybaka?

– Przyszedłem tutaj po odpowiedzi, ale nikt nie chce mi ich udzielić. To jakaś kpina.

– Musisz być cierpliwy. Próbując przyspieszać tutaj sprawy, tylko je od siebie odpychasz. Przejdźmy się, być może ja będę umiał odpowiedzieć przynajmniej na część twoich pytań.

Philip nie miał ochoty nigdzie chodzić, stopy bolały go, jakby miały zaraz odpaść. Usiedli przy swoich posłaniach, okryci cieniem i długo rozmawiali. Opowiadali o swoich powodach, dla których tu przybyli, o tym jak wioska funkcjonuje, jakie mają zwyczaje. Do momentu, aż łysy wstał i wrócił do swoich obowiązków, zostawiając Philipa samego, który obiecał czekać, aż ktoś po niego przyjdzie. Długo to nie trwało.

Kilkanaście minut później przyszedł do niego Harmin i kucnął przy nowoprzybyłym.

– Skąd masz ta maść? – spytał.

– Po to przyszedłeś? Spytać skąd mam ta maść? Nie od ciebie, choć to tobie płacę.

– Rozmawiałem z wódcz, chce byś jutro wrócił do dom.

– Nie rozumiem – powiedział dopiero po kilku sekundach. – Co to znaczy?

– Wódcz mówi, że jesteś złym człowiekiem, nie jesteś osoba cierpiąca. Wyczytał to z twojej krew.

– Z mojej krwi? Aha – przytaknął wyraźnie rozgniewany. – Rozumiem.

Zaczął na siłę wsuwać buty na stopy.

– Co ty robisz? – pytał zaniepokojony przewodnik.

– Sam z nim pogadam.

– Nie wolno!

Olał go i ruszył rażno. Lekceważył ból, gnając w stronę największej chatki, przed wejściem której siedział wódcz z dwoma innymi Indianami i palili fajkę. Widzieli jak się do nich zbliża, ale nie zareagowali, nie przerywali swoich czynności. Zatrzymał się tuż przed nimi, a sekundę później dobiegł Harmin.

– Myślisz, że jestem zły? – Przewodnik starał się go odciągnąć. – Dotknij mnie jeszcze raz, a ci przypierdolę – odepchnął go i wrócił do wodza. – Ja nie jestem zły, jestem wściekły! Myślisz, że dlatego powędrowałem na koniec świata? Wysłuchiwać starego typa w stringach!? Żadna terapia, żadne leki, żadne słowa nie oddadzą mi jej... – Mówił, mocno gestykułując. – Trzymasz w rękach swój skarb, obiecujesz patrząc w jej oczy, że ją obronisz przed wszystkim na tym świecie, że nie pozwolisz zrobić jej krzywdy, że może spać spokojnie, bo tata jest obok. Więc ona zasypia z uśmiechem na twarzy, myśląc o tym, co spotka ją na drugi dzień, bo to, co lubiła najbardziej to poranki, kiedy może wskoczyć nam do łóżka, aby zagrzać ostygnięte już od zimnej podłogi stopy. – Spojrzał na niego zaczerwionymi od płaczu oczami. – I przyszedł ranek, a ja trzymałem jej zimne ciało i nie mogłem go ogrzać, robiłem co mogłem, ale ona była zimna. Moja córeczka umarła i nikt nie potrafi mi powiedzieć, dlaczego? Co się stało? Czy to moja wina? Czegoś nie zauważyłem? Coś zrobiłem albo czegoś nie zrobiłem? Dla niej nie było już poranka. – Wziął wdech, musiał zrobić przerwę. – Powiedz mi więc, jak mogę pogodzić się z czymś takim? Jak mam nie być zły!?

Trzej Indianie, w tym wódcz w pióropuszu, siedzieli na krzesłach i patrzyli na niego badawczo. Zniecierpliwiony Philip złapał Harmina za rękę i wypchnął go przed siebie.

– Tłumacz!

Przestraszony mężczyzna uklonił się w kolanach i chciał zacząć mówić, ale wódcz uniósł dłoń, nakazując mu milczeć. Wpatrywali się uważnie, aż w końcu najstarszy z nich pochylił się do wodza i wyszeptał mu coś do ucha, po czym cała trójca wstała, a wódcz zwrócił się do Harmina.

– Co on mówi? – spytał Philip.

– Powiedzieć, że dzisiaj dopuścić cię do rytuału, ale ty się nie łudzić, bo bez przygotowania pewnie się nie udać, jutro wracać do dom.

Philip przytaknął do wodza, zgadzając się. Ten nie odparł żadnym gestem ani słowem, po prostu odszedł, wolno ściągając z niego wzrok. Zadowolony odwrócił się do Harmina.

– Twierdziłeś, że on nie mówi w naszym języku, a zrozumiał co do niego powiedziałem.

– Bo nie mówić.

Harmin odszedł zostawiając go samego, zaś Philip wrócił na swoje posłanie. Ściemniło się, pochodnie zostały rozpalone, a Indianie szykowali się do rytuału, zdobiąc swoje ciała farbami, zarzucając skąpe odzienie z opalonych ciał. Natomiast ci, którzy mieli do niego przystąpić nie byli przygotowywani wcale, jakby mieli zasiadać na widowni, a przecież dla nich to wszystko miało się odbyć. Odgłosy dżungli po zmroku stały się donośniejsze, zwierzęta się obudziły i wyszły na łowy. Pierwszy raz poczuł ulgę, gdy chłodniejsze powietrze zawiroowało i rozniosło się po wiosce. Wilgoć unosiła się w powietrzu, wszystko dookoła było mokre, nic nie schło. Pomimo zupełnie dzikiego otoczenia i ludzi nie czuł się zagrożony. Do jego nosa docierał coraz mocniejszy zapach ziół, który nadciągał z ogromnego szałas w kształcie spodka. Po godzinie jeden z Indian, z czarnymi piórami zarzuconymi na ramiona przyszedł po uczestników. Wszyscy wstali i podążyli za nim gęsiego. Philip jako ostatni.

Wioska opustoszała, nie było biegających dzieci ani kobiet noszących surowce, ani dziadków palących fajki przed wejściami do domków. Wszystko nagle ucichło, powiało grozą. Po raz pierwszy usłyszał wyraźnie otaczający wioskę las. Noc była pochmurna, ale chmury gromadziły się tylko nad szałasem, jakby ściągnięte przez magnes, przepychały się między sobą o miejsce w centrum. Wiatr szumiał w gałęziach i listowiu, pieszcząc również przyjemnie spieczoną słońcem skórę. Powietrze jednak nadal było ciężkie, pachniało ziołami i dymem. Spojrzał na las. Słyszał odległy, nikły szum wody. Niedaleko musiała być jakaś rzeka. Natomiast nie słyszał żadnych odgłosów zwierząt, ani nawet robaków pod nogami, wszystkie uciekły z tego miejsca.

Jakby miało wydarzyć się coś strasznego, coś czego nie chciały doświadczyć.

Wychodząc z pomiędzy chatek dostrzegł wielkie tipi, z którego przez otwór w sklepieniu unosił się biały, gęsty dym, który był powodem zapachu unoszącego się w powietrzu. Łączył się z zebranymi nad szałasem ciężkimi chmurami.

Szli wydeptaną ścieżką, oświetloną pochodniami wbitymi w ziemię po obu stronach. Tańczące płomienie oblewały drogę swym blaskiem. Przed wejściem stało dwóch tubylców wyglądających na wojowników. Mieli na sobie opaski biodrowe wykonane ze skóry. Na szyi nosili amulety. Ich twarze i ciała pokrywały malunki w bardzo ciemnym kolorze, by zapewnić jak najmniejszą widzialność. Jeden miał obwiązane włosy opaską, spod której wystawało orle pióro, a drugi coś na wzór czepka z jeleniej skóry, ozdobiony dwoma piórami. Na nogach mieli długie do kolan

mokasyny o wygiętych do góry płaskich szpicach. Chronili wejścia z dzidami opartymi tępym końcem o ziemię. Odsunęli dla turystów przesłonę służącą za drzwi, która ozdobiona była w ręcznie szyte wzory, przedstawiające wilka walczącego z czarną kreaturą.

Weszli do środka pochylając głowy w progu. Ogromny szałas z wysokim dachem, na szczycie którego był otwór, pełniący funkcję komina. Otwarta przestrzeń podparta była na palach ustawionych w okręgu, a na środku palące się ognisko, którego wężyki ognia sięgały nawet wzrostu dorosłego mężczyzny, otoczone przebranymi w czarne narzuty, obszyte ciemnymi piórami zdobiły mieszkańców wioski, którzy tańczyli grając na bębnach i grzechotkach.

Ludzie ustawili się w okręgu, w przygotowanych dla nich punktach, klękali na kocu, obok którego znajdowały się trzy drewniane donice oraz sucha trawa delikatnie podpalona w drewnianym naczyniu. Z trawy unosił się gęsty, szary dym.

Philip zajął swoje miejsce. Hałas bębnów i śpiewających Indian był nieprzyjemnie głośny, przepelnione dymem powietrze drażniło gardło i piekło oczy. Ręcznie zdobione płótna wiszące na suficie przedstawiały walkę wilka z czarną kreaturą – toczony bój przed białymi drzwiami na skraju jeziora, przy pełni księżyca. Malowidła przedstawiały dwa możliwe scenariusze, jeden martwego wilka i czarną postać wchodzącą do drzwi, drugi odwrotnie.

Zapadła cisza. Szaman stanął w dużym rozkroku i uniósł ręce, wypowiadając dziwne słowa, po czym wszyscy tupnęli. W ruch weszły bębny. Indianie tańczyli teraz jakby się skradali, szepcząc melodyjnie. Szaman w asyście wodza Tarhe zaczęli podchodzić do każdego w okręgu, ci dobrowolnie rozbierali się do pasa, łącznie z dwiema kobietami z jędrnymi piersiami, a starzec, mocząc dwa palce w pomarańczowej mazi w drewnianej misce, malował na ich tułowiu wzory w kształcie trzech słońc na niebie i dwóch mniejszych pod nimi. Przyszła kolej tysego, bladego mężczyzny. Z jego twarzy można było wyczytać niechęć. Z dużym oporem zdjął odzienie, ukazując ciało oszpecone aż po sama szyję bliznami. Samookaleczenie, wszyscy przyjechali tutaj zmagać się z własnymi problemami, pomyślał Philip.

W końcu przyszła kolej na niego. Zdjął koszulę. Szaman spoczął na jednym kolanie przed nim, przyglądał mu się uważniej niż reszcie, łapał go za ręce, z otwartej dłoni uderzał go w klatkę i w głowę, jakby wybierał rybę na straganie. Następnie splunął na niego i kopnął piach, obsypując go, Philip spał się, unosząc zaciśniętą pięść, ale nie uderzył, czuł, że nie powinien. Zaklinacz uśmiechnął się pełną gębą, ukazując czarne zęby i machnął ręką do wodza, który przyniósł inne naczynie. Zamoczył w nim palce w czarnej zawartości i chaotycznie kreślił po jego torsie, nie słońca, a bardziej księżyce w krzywych trójkątach skierowanych do dołu. Śpiewy i bębny rosły w siłę, zaczęło się robić głośniejsze. Następnie przeciągnął czterema palcami po twarzy, od góry do dołu, po czym wstał i rozlał przed nim resztę zawartości.

Wrócili do ogniska i wrzucił naczynie do ognia, a ten żwawo buchnął. Rozbłysło oślepiające światło, fala gorącego powietrza uderzyła we wszystkich zebranych.

Philip zakrył usta, by ochronić je przed dławiącym dymem. Indianie włąli do misek pierwszy wywar i wszyscy wypili go jednym haustem. Zrobiło się ciepłej, czuli jak płyn pokonuje cały przewód pokarmowy, tak jak pierwszy łyk gorącej herbaty po powrocie do domu z mroźnego, zimowego spaceru. Halucynogeny trans, wywołany spożyciem napoju dawał wrażenie jasnowidztwa i telepatii. Każdy z uczestników przechodził to w różny sposób, jedni siedzieli cicho, inni krzyczeli, jakaś kobieta wymiotowała. Indianie tańczyli, grali i śpiewali, a szaman wraz z wodzem Tarhe doglądali osoby wędrujące po drugiej stronie. Turyści śmiali się, płakali i z zamkniętymi oczami wykrzykiwali różne imiona. Philip, mimo iż wypił to samo, co reszta, pomimo tego, że świat przed jego oczami wirował i słyszał szeptały mu do ucha głosy, miał wrażenie, że coś poszło nie tak, jakby nie wszedł w trans w pełni. Rozmazana postać zbliżała się ku niemu. Wystawił rękę.

– Nie cieszysz się, Philip? Czyż nie tego chciałeś? – szeptała postać. – Słyszysz tych ludzi, wszyscy są teraz w swym ciele astralnym, każdego z nich Umbra przyjęła do siebie jak gościa, dzięki mojej magii i niedoścignionej wiedzy. Dzięki temu spotykają się teraz ze zmarłymi członkami swych rodzin, z którymi nie zdążyli się pożegnać, otrzymują odpowiedzi na nurtujące ich pytania, spotykają swojego Boga. Wszyscy dostali to, po co przybyli. A ty? Po co tu przybyłeś?

Za głosem, który do niego mówił podążało ciche echo. Mdlilo go, bo przez wywar czuł się jak na karuzeli. Bębny i śpiewy nie pozwalały mu myśleć, widział rozmazanych Indian skaczących przed pomarańczowym źródłem światła, byli opierzeni i chudzi. Wszyscy się śmiali.

– To nie działa... – wystękał Philip.

– Czyż nie widzisz ludzi obok ciebie? Nie słyszysz czego doświadczają? Oni są w Umbrze, w miejscu, do którego ty nie masz wstępu. Nie każdy stąpający po tej ziemi ma prawo przejść przez lustrzane drzwi. Tylko wybrani, tylko nieliczni, urodzeni pod dobrymi gwiazdami.

– Dlaczego mówisz mi to teraz? – Zaczął szlochać. – Dlaczego obdarowałeś mnie nadzieją tylko po to, żeby mi ją zabrać!? Chciałem ją tylko zobaczyć. – Płakał w głos, padł na łokcie. – Wszyscy mówią, że śmierć jest najgorsza. Chcesz wiedzieć co jest gorsze? Brak możliwości pożegnania się. Nie ma niczego gorszego, niż żyć w świadomości, że już nigdy nie będę mógł jej pocałować, objąć i powiedzieć jak bardzo ją kocham, że myślę o niej i jestem z nią bez względu na wszystko!

– Masz rację – powiedziała sucho postać. – Ona nie wie, czy ją kochasz i nie wie czy o niej myślisz. Jest tam po drugiej stronie, uwięziona i przestraszona. Nie rozumie, dlaczego do tego dopuściłeś. Obiecałeś ją chronić, a mimo to teraz jest tam, sama. Ona jest jednym z podróżników, ale nie ty, ty nie możesz do niej pójść. Jednak są inne sposoby...

Philip uniósł głowę, skupił wzrok i rozpoznał osobę mówiącą do niego. Był nią sam wódz Tarhe. Kłamał udając, że nie mówi w jego języku, albo to działanie wywaru sprawiało, że go rozumiał, nie potrafił w tym stanie tego stwierdzić. Rozejrzał się dookoła. Dostrzegł rozmazane sylwetki turystów, dziwnie zachowujących się na



kocach, przez działanie rytuału. Indianie śpiewali, a dym snuł się leniwie przez otwór w szczycie dachu przypominając ogromny metalowy słup.

– Ale wybór należy do ciebie. Powiedz tylko co jesteś w stanie zrobić, aby móc ją odzyskać? Co jesteś gotowy poświęcić, by dać sobie szansę na ściągnięcie jej z powrotem? Idąc tą drogą zostaniesz postawiony przed wieloma decyzjami, które będą męczyć twoje sumienie po wieki, a dusza twoja nie zazna spokoju nawet po śmierci, za to ona będzie wolna, ona będzie bezpieczna. Musisz sam zdecydować, jak daleko jesteś gotów się posunąć, aby ją odzyskać?

– Zrobię wszystko. – Pewnym wzrokiem spojrzął wodzowi w oczy, które teraz płonęły złotym ogniem, a dymy rozchodziły się na bok, resztką rozsądku jaka mu została tłumaczyła, że to halucynacje, ale nie był do końca pewien. – Tylko ona się liczy.

Wódz Tarhe zamknął powieki, wyciągnął zamkniętą dłoń ku niemu nucąc monotonną melodię, inną niż słyszał do tej pory. Otworzył dłoń wydmuchując z niej popiół wprost na twarz Philipa, po czym wyrócił oczami, a głowę skręcił jak opętany. Wstał w rytmicznym podrygu z rękoma uniesionymi w górę. Z czarnego gęstego dymu po chwili zmaterializował się mroczny, jak sama otchłań, upiór.

– Będziesz to musiał udowodnić...

Potężny stwór o srebrnych, świecących oczach mierzył kilka metrów. Zaczepił się punktu, gdzie trzy żerdzie spotykają się tworząc geometrię i zastygł tam jak pająk przed atakiem. Philip nie wierzył własnym oczom. Serce waliło mu jak dzikie, siedział w miejscu, choć chciał uciec, ale ciało nie słuchało. Przypominał tego z malowideł. Nie spuszczał przeszywającego srebrnego wzroku z Philipa, aż nagle zniknął zasłonięty dymem, pojawiając się przyczajony tuż obok jednego z turystów.

– Jeżeli czegoś od nich chcesz. – Wódz wręczył Philipowi nóż stworzony z kamienia w kolorze kiru i zawinięty sznurem. – Najpierw musisz coś dać. Przekazana zostanie ci wiedza, a świat zostanie pokazany na nowo, po tylu latach otworzysz oczy i ujrzysz piękno, którego niebawem braknie, zostanie wypchnięte przez świat, który zalewa tę planetę. Wszystko ma swoją cenę, a cena wszystkiego jest najwyższa. Tylko najsilniejsi będą gotowi ją zapłacić, i to oni ujrzą prawdę.

Wódz Tarhe złapał Philipa za rękę i poprowadził przed turystę obok, którego wykrzywiało jak zamkniętego w klatce, wygłodniałego, dzikiego zwierza, chcącego się uwolnić. Co chwilę zmieniał pozycję, błyskawicznymi ruchami. Philip zacisnął pięść na nożu, zawiąło palącym wiatrem, w głowie mu się kręciło, bębny bijące w rytm jego pędzącego serca zgrały się idealnie, grzechotki nie pozwalały myśleć. Przesiąknięty słowami szamana nie mający już nic do stracenia i zachłyśnięty nadzieją szansy, na ocalenie córki, pchnął nóż z całej siły w pierś turysty.

Plemię wykrzyczało z gardel okrzyk radości unosząc ręce, jak kibice na stadionie po strzelonym голу. Turysta upadł martwy, a będąc w transie nawet nie zauważył, kiedy to się stało. Philip spojrzął na splamioną krwią dłoń. Upiór zdematerializował się za martwym ciałem, pojawiając się kolejno przy następnej osobie. Philip robił co mu kazano – mordował, dźgając i podcinając gardła w celu udowodnienia, że gotowy

jest do wszystkiego, byleby osiągnąć swój cel. Upijani tym, co się dzieje Indianie skakali wyżej, a odgłosy radości wręcz z nich tryskały, gdy popijali ten sam wywar, którym poili martwych już turystów.

Został ostatni – łysy i chudy mężczyzna okaleczony od nadgarstków, aż po szyję. Szaman wskazał na niego palcem, jednak upiór nie był nim zainteresowany, został przy poprzedniej ofierze i z dystansu przyglądał się dalszym poczynaniom Philipa. A ten zamyślony, dlaczego tu trafił, zaczynał wierzyć, że przypadek nie istnieje i wszystko dzieje się dla jakiegoś celu. Myślał o utraconej córce. Patrzył na okaleczonego mężczyznę i jego czerwony golf na podłodze. Pomimo okropności i barbarzyństwa, jakiego się dopuścił, czuł przyływ adrenaliny i odczuwał rosnącą więź pomiędzy nim, a stworem, który wymagał od niego poświęcenia. Czuł, jak rośnie w siłę, czuł, jak wraca jego pewność siebie i wiedział, że nie pochodziło ono z dobrego źródła, ale nie miało to już znaczenia. Spojrzał upiorowi w jego srebrne, puste ślepia.

Zacisnął pięść na nożu.



## Rozdział 12

### Zaszczuty

Chłopak taranował wszystko i wszystkich. Szedł szybko i pewnie, pełen agresji, nabuzowany. Upiór w ciele Taylora ewidentnie czegoś szukał i był bardzo zniecierpliwiony. Światła na suficie drażniły jego naturę, przymrużał oczy krzywił się za każdym razem, gdy zbliżał się do świetlóвки, próbując zasłonić się ręką. Brudne od błota buty zostawiały ślad na sterylnej podłodze, a pokryte zaschniętą krwią dłonie zwracały uwagę czekających na korytarzu.

Przeszedł obok otwartych drzwi do sali, cofnął się w tył, gdy mignął mu leżący na łóżku znajomy mu dziadek. Stał przed wejściem, ramiona skakały mu jak opętanej dziewczynie przed rentgenem. Zawrócił i wszedł do pokoju, ale na łóżku już nikogo nie było, sala była pusta, wyglądała na nieużywaną od dłuższego czasu. W tym pokoju leżał Noah, który doradzał Taylorowi odkąd ten pojawił się w szpitalu, Mimo to, upiór czuł powiązanie z tym miejscem, choć nie były to jego wspomnienia. Ruszył dalej. Docierając do drzwi z tabliczką „Dyrektor”, bez zastanowienia wywarzył je mocnym kopnięciem. Sekretarka nie wydusiła z siebie ani jednego słowa, chwyciła jedynie za telefon chcąc wezwać pomoc. Zauważywszy to, cień doskoczył do niej i zdzielił ją pięścią w twarz. Kobieta padła na ziemię bez przytomności.

Wszedł do gabinetu, ale ten był pusty. Gniew kumulował się, adrenalina buzowała w żyłach. Chodził w koło i węszył. Wziął do ręki zdjęcie rodzinne Philipa, po czym rozbił je o podłogę. Wszystkie notatki, dokumenty, obrazy, pamiątki i trofea, latały po całym pomieszczeniu, jakby wtargnął tam huragan. Kiedy cień skończył swój podbój nad rzeczami materialnymi, krzyknął z pełnych płuc, głośno i długo, po czym wybiegł z pokoju.

Monotonie codziennych obowiązków pielęgniarki siedzącej przed punktem informacyjnym prowadzącym do zakaźnego skrzydła szpitala, przerwały odgłosy przestraszonych ludzi, unoszących głos na widok nadciągającego w pełnym biegu Taylora. Pochwyciła słuchawkę i zaczęła panicznie wciskać numer na ochronę, lecz tempo, z jakim się zbliżał i jego mina sprawiły, że nie wytrzymała presji i uciekła, schodząc mu z drogi. Ten nie wyhamowując z siłą rozpędu wpadł w drzwi z hukiem, które nawet nie drgnęły i zaczął walić w nie pięściami, wrzeszcząc przy tym jak szalenciec. Ludzie dookoła gromadzili się z pobliskich alejek, by zobaczyć, co się dzieje, cały czas trzymając bezpieczny dystans i nagrywając wszystko telefonami.

Upiór zrozumiał, że siłą niczego nie wskóra. Szarpnął kilkukrotnie za kłamkę, następnie spojrzął na zamek i przyłożył do niego palec. Delikatnie jeździł po nim od góry do dołu, brudząc go zaschniętą krwią. Wtedy ktoś docisnął go gwałtownie do drzwi i wyłamał ręce do tyłu. Następnie przewrócili go i skuli, dwóch dużych

mięśniaków siedziało teraz na nim trzymając mocno do podłogi. Dostał gazem w oczy. Zawył i zaczął się miotać jeszcze mocniej, ale w obecnej sytuacji nie miał najmniejszych szans. Roztrzęsiona pielęgniarka stała nad nim z telefonem przy uchu.

– Tak, już jest bezpiecznie – powiedziała drżącym głosem. – Leży na podłodze.

Kilka sekund później zjawił się dyrektor szpitala, uśmiechnięty od ucha do ucha. Kucnął przed powalonym na ziemi chłopakiem.

– Szczerze? – zaczął pochylając się nad nim. – Nie wiem kogo mam pochwalić, ciebie czy właściciela tego ciała za tę okoliczność. Ale teraz nie ma to znaczenia, jesteś mój, tak jak byłeś od początku. – Philip wstał i zwrócił się do ludzi. – Proszę się nie martwić, sytuacja jest pod kontrolą. Koniec widowiska. – Po chwili odezwał się do ochroniarza: – Zabierzcie go do siebie, będę tam za niedługo, muszę coś skończyć. I nie spuszczaście go z oczu!

– Szef się nie martwi. – Podnieśli go. – Będzie siedział grzecznie.

Chcąc go pchnąć poczuli mocny opór. W ciele człowieka był w końcu ktoś znacznie silniejszy, niż pozwalała na to budowa chłopaka. Musieli włożyć wiele wysiłku, aby przepchać go przez tłum gapiów, nadal rejestrujących telefonami całe zajście.

Philip odprowadził go wzrokiem, nie miał zamiaru pokazać, że się boi. Cień posłał mu wrogie spojrzenie, a potem zniknął za rogiem. Dyrektor rozluźnił ramiona i odwrócił się do drzwi.

– Potrzebuję go teraz – powiedział do sekretarki.

– Teraz?

– Teraz! Ma tu być za pięć minut, zorganizuj to.

– Dobrze, już się robi – odłożyła telefon na blacie.

– I kredę! – cofnął się zza otwartych już drzwi. – Najlepiej czerwoną, ale jak nie macie, to białą.

– Nie mamy żadnej kredy. – Patrzyła czekając na polecenie.

– To flamaster, cokolwiek, czym można pisać po drewnie. Tylko szybko!

Sapiący z wykończenia ochroniarze docisnęli upiora do drzwi ochrony. Żaden z nich nie chciał sięgnąć klamki, z obawy przed poluzowaniem uchwytu, szamotali się w miejscu napierając na siebie jak rugbiści. Zgromadzeni ludzie nie przestawali nagrywać zdarzenia, niektórzy podśmiewali się z tego, jak dwóch rosyjskich ochroniarzy nie radzi sobie z wychudzonym chłopakiem. Innych warki i wycie przerywane dławieniem się od nadmiaru piany w ustach, uciekającej kącikami ust wręcz odstraszało.

Jeden z ochroniarzy kopnął kolanem klamkę i wpadli do środka ciężko padając na podłogę. Jak tylko drzwi się zamknęły jeden z nich zdzielił Taylora pięścią w twarz aż trzasnęło. Czarnoskóry postawił krzesło na środku pokoju i posadzili go. Dalej się wrywał, ale udało im się przypiąć jego ręce oraz nogi kajdankami do metalowych części siedziska. Nagle upiór zastygł, jak po wciśnięciu przycisku „wyłącz”, a dwaj ochroniarze padli na plecy, zdyszani, spoceni i wykończeni.

– Ja pierdolę – wyrzucił jeden z wydechem. – Umieram.

Leżeli na plecach, jak piłkarze po dogrywce w finałowym meczu mundialu. Oddechy im zwalniały, a mięśnie przestawały się spinać. Jeden usiadł i spojrzał na skutego chłopaka, nie będącego nawet zasapanym. Siedział w bezruchu i spod sklejonych włosów, opadających na twarz patrzył ślepo w tylko jemu znany punkt.

– Jutro będę miał zakwasy – odezwał się łysy, pomagając drugiemu wstać. – Już teraz je czuję.

– Ostatnio nie miałeś tyle siły. – Oparł się o kolana zwracając się do upióra. – Co w ciebie wstąpiło?

Cień zareagował na to pytanie, szybko i precyzyjnie skierował na ochroniarza wzrok, przekrwionymi i mokrymi od gazu oczami, głowa jednak stała nieruchomo.

– Dziwak – skomentował.

– Roztargał mi koszulę! – Drugi pokazał pęknięty materiał na ramieniu. – Zapłacisz za to! Nie dam sobie kolejny raz odliczyć czegoś z pensji. – Usiadł na fotelu przed monitorami. – Najpierw każą się z kimś szarpać, a potem płąć, bo rozwalisz. Takiego wała!

Za pomocą klawiatury przełączał kamery na ekranach. Dosiadł się drugi wpadając w fotel ze zmęczenia. Czarnoskóry wyciągnął spod stołu piersiówkę i wziął dużego łyka. Oparł się i zaproponował trunek koledze.

– Chcesz?

– Nie, dzięki. W robocie nie piję – zaczął przyglądać się dokładniej uszkodzonemu kawałkowi materiału. – Nie no, kurwa, na bank mi potrąca, tego się nie zszyje.

– Przestań się już tym przejmować, szef widział całą akcję, do tego koleś wydaje się być dla niego ważny, zrozumie. Na pewno nie chcesz?

Podstawił piersiówkę jeszcze bliżej.

– Nie, mówiłem ci, że w robocie nie chcę.

– To gdzie się napijesz, jak nie tutaj? W domu masz żonę.

Obaj się zaśmiali.

– Co racja, to racja. Tylko małego.

Wziął łyka i oddał piersiówkę.

– Ty chcesz? – Odwrócił się do skutego chłopaka, który zachowaniem przypominał posąg. – I tak bym ci nie dał.

Upiór czekał cierpliwie, gaz pieprzowy zaczynał puszczać, a otoczenie nabierało ostrości. Spojrzał na ochroniarzy i dostrzegł karty dostępu przypięte do ich spodni. Zaczął się rozglądać, skanując pomieszczenie nieludzkimi, czarnymi jak smoła oczyma.

\* \* \*

Philip stał oparty o biurko. Przyglądał się trzęsącym dłoniom, próbował uspokoić oddech, ale serce miało inne plany na ten wieczór. Pocięszał się wmawiając sobie, że

to nie jest pierwsza trudna sytuacja w jego karierze. Przeszedł już niejedno piekło i mimo to jest tu, gdzie jest, dzięki swojej sile i wytrwałości. Wiedział również, że pomimo całego tego doświadczenia, sytuacja nigdy nie była tak napięta, jak dzisiaj, co ciągnęło za sobą złe przeczucie. Odgłos niosący się echem wszystkich przyrządów medycznych zaczytujących fale, przyprawił go o ból głowy. Normalnie nie miał z tym problemu, ale dziś nic nie było normalne.

Trzask dobiegający zza kurtyny sprawił, że zeszytniał i chwycił za pistolet skryty za pasem do spodni. Słyszał, jak wali mu serce, miał spocone dłonie. Wycelował w stronę wejścia. Zaskrzypiało jedno z łóżek na hali. Skierował celownik w głąb, nie wiedząc skąd doszedł odgłos.

W chłodnym i ciemnym pomieszczeniu widoczność była znikoma, chciał sięgnąć po latarkę, ale zwałił ją niechcący ze stolika. Uderzyła o podłogę, a on omal nie zemdlął ze strachu.

– Czy wszystko dobrze?

Podskoczył na piętach i wycelował w lekarza w czerwonym golfie. Philip wyglądał jakby zobaczył ducha. Kamień spadł mu z serca, gdy rozpoznał znajomą twarz. Schował pistolet za pasem i podszedł do niego.

– Jak najbardziej – udawał pewnego siebie. – Masz wszystko?

– Nie wyglądasz dobrze.

– Czego nie rozumiesz w pytaniu „masz wszystko”? Naprawdę to takie trudne? Mam ci zapisać?

– Gotowe, wedle twoich instrukcji – odpowiedział po chwili tysi.

– Nie widzę go. Za ile tu będzie?

– Lada moment.

– To jest, kurwa, za późno! Ma tu być już! Prosiłem wyraźnie, jak najszybciej!

Philip uderzył pięścią w pobliskie łóżko i minął go szybkim krokiem.

– Odradzam używania tego przyrządu. – Doktor wskazał palcem na pistolet. – To tutaj nie pomoże. Wiesz o tym.

– Nie jest dla niego, spodziewam się kogoś jeszcze.

– Kogo?

Philip spojrzał mu w oczy, najpoważniej jak umiał.

\* \* \*

– Co jest tak ważnego za tymi drzwiami? – spytał jeden z ochroniarzy, chowając wypitą piersiówkę. – Nikomu nie wolno tam wejść bez pozwolenia, a nigdy nie widziałem, żeby jakiś pacjent kiedykolwiek wyszedł. Dziwne, nie?

– Nie jesteśmy tutaj od rozwiązywania zagadek. Skupmy się na naszej robocie. – Wskazał palcem na skutego chłopaka.

– Wiem, ale sam pomyśl. Nie dziwi cię to?

– Dziwi mnie czemu ciebie to ciekawi. Mnie interesuje jak długo mamy go tu trzymać, szef ci nic nie pisał?

– Nic nie wibrowało. – Sprawdził komórkę. – Wygląda na to, że trochę zabaw...

Usłyszeli zwarcie i żarówki zaczęły migotać. Zdezorientowani odwrócili się do więźnia, który brodą dotykał swojej klaty, po czym odchylił się mocno, a źrenice zaszyły mu za powieki. Otworzył usta i stęknął, a wszystkie światła w pokoju zaświeciły jaśniej w tym samym momencie. Następnie zgasły. Ochroniarze sięgnęli po latarki i włączyli je jednocześnie.

– O w mordę – rzucił jeden z nich.

– Gdzie on się podział, do chuja!?

Po chłopaku zostały tylko kołyszące się lekko, wiszące kajdanki.

Ochroniarz szukał światłem zbiega, jednak bez skutku, jakby zapadł się pod ziemię. Poświecił na kolegę, stojącego w bezruchu, wpatrującego się w podłogę.

– Widzisz go? – Ale tamten nie odpowiadał. – Ej, co z tobą!?

Wtedy z gardła chlusnęła mu krew. Ciało dopiero po chwili bezwładnie runęło na podłogę. Drugi ochroniarz dyszał przerażony sytuacją. Świecił na martwego kolegę, nie potrafiąc w jakikolwiek sposób zareagować. Zresztą, było już na to za późno.

Taylor stał dokładnie za jego plecami, szczerząc się złowieszczo.

– Po... posłuchaj, to nie było nic osobistego. – Zestresowany jękał się – Nie będę ci już wchodził w drogę, obiecuję!

Małymi kroczkami próbował zwiększyć dystans między chłopakiem, aż poczuł opór leżącego ciała. Nie czekając dłużej, rzucił się do ucieczki.

Ludzie siedzący najbliżej pomieszczenia ochrony złąknieni spojrzeli na lustrzaną szybę słysząc dochodzące zza niej głuche wrzaski i odgłosy walki, a po chwili znów nastąpiła cisza. Popatrzyli po sobie, nie wiedząc jak się zachować. Starszy pan złapał się za dysk i wstał z trudem, kulejąc zbliżał się do drzwi, wtem te się otworzyły. Czarny pionowy prostokąt nie pokazał nic, słychać było cichy odgłos uderzanych o siebie plastików. Starzec odsunął się czując, że nic dobrego nie wyjdzie z tego pokoju i się nie mylił.

Taylor wyszedł stamtąd cały we krwi. Starszy mężczyzna upadł na pośladki. Upiór tylko zerknął na niego bez większego zainteresowania. Następnie ruszył na piętro. Tam, na końcu korytarza, stał dyrektor – rozmawiał ze swoją asystentką. Na jego widok, oboje wytrzeszczyli oczy i zaczęli uciekać. Philip zamknął się za drzwiami do oddziału zakaźnego, zostawiając kobietę na korytarzu. Widząc napierającego na nią upiora, odskoczyła na bok i kucając, zakryła się rękoma ze strachu.

Taylor przyłożył kartę do czytnika, zielona lampka zaświeciła odbezpieczając drzwi. Wparował do środka.

Biegł przed siebie zatrzymując się przed czarną kurtyną zasłaniającą całą halę. Odgarnął ją agresywnie i wszedł do ciemnego pomieszczenia, które oświetlały słabe, punktowe lampy zamieszczone nad pacjentami. Miejsce z monitorami po prawej było zgaszone, nie różniło się od reszty pomieszczenia. Było zimno, cień chuchnął

w dłoń, a para przepłynęła mu gładko między palcami. Zaczął węszyć, ale było ich dużo, zbyt wielu, by go zlokalizować. Ugiął się w kolanach i ruszył przed siebie niczym lew skradający się w wysokiej trawie. Zdradzał go natomiast głośny oddech i charczenie. Spoglądał na każdego mijanego pacjenta. Nisko na nogach pokonywał kolejne metry. Natknął się na znajomą twarz wśród podpiętych do aparatury. To był ten sam starzec, który przywidział mu się idąc korytarzem szpitala. Nachylił się nad nim i wpatrywał uważnie, zastanawiając się czy to kolejna iluzja.

– Cóż to za empatia!?! – Uniósł się doniosły głos. – Nie poznaję cię!

Cień w końcu dostrzegł dyrektora w czarnym płaszczu, stojącego na końcu hali, tuż za ostatnim rzędem łóżek.

– Uwolnij mnie – warknął upiór z wymalowaną chęcią mordy w oczach.

– Dlaczego go nie zabijesz? Leży przed tobą, bezbronny. Masz idealną ku temu okazję. Trzymam go w hipnozie, bo śmierć byłaby dla kogoś takiego jak on, zbyt prosta. Chciałem, żeby cierpiał. Mimo to, po tylu latach znów mi zawadza. Pomagał właścicielowi ciała, które pożyczyłeś. Tego, którego miałeś się pozbyć. – Philip tracił nerwy, zaczął podnosić głos. – Taki był układ. Ja cię karmię, a ty robisz to, co ci każę. Czyżbyś zapomniał?! Ale masz okazję udowodnić swą lojalność, zabij starca, a zapomnę o twojej porażce z Taylorem i wrócimy na stare tory.

Zgarbiony upiór przeszedł w trucht, szeroko wymachując ramionami. Wbijał w niego wzrok pełen nienawiści. W kącikach ust miał pianę, a spięte palce formowały kształt szponów.

– Stój! Rozkazuję ci! – krzyknął Philip, a w jego głosie słuchać było strach.

Stwór parł w stronę Philipa mając szaleństwo w oczach.

– Uwolnij mnie! – ryknął donośnie.

Dyrektor, stojąc nadal przodem, złapał za płachtę i jednym pociągnięciem odsłonił duże lustro, a sam padł na podłogę. Cień zobaczył się w odbiciu i stanął w miejscu, jakby skamieniał. Patrzył na swoje odbicie. Momentami było widać drgania, walczył, ale bez skutku. Philip podniósł się nieśpiesznie, patrząc na obezwładnionego, gestem ręki niczym konferansjer w cyrku demonstrował runy wyrysowane czarnym wypisującym się flamastrem na framudze. Ręką oparł się o lustro.

– Mnie się nie grozi! – rzucił dumnie z wyraźną ulgą w głosie. – Lustro, którym przeszedłeś, a przynajmniej właściciel tego ciała przekroczył próg Horyzontu, plus runy wyryte na rogach naprawdę zadziałały. Miałem szczere obawy czy przedmiot i ciało są wystarczająco blisko powiązane, biorąc pod uwagę, że ktoś inny zamieszkuje tę powłokę. Całe szczęście wyszło idealnie, aż sam nie wierzę, że się udało.

Wziął krzesło z za jednego z łóżek i postawił po przekątnej od pojmanego. Usiadł.

– To będzie długa noc. Mam nadzieję, że się nigdzie nie wybierasz. – Klasnął wyraziście. – Piętnaście lat. Z perspektywy przyszłości wydaje się to szmat czasu, ale gdy spojrzymy w tył, mamy wrażenie jakby to było wczoraj. Wtedy spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie wiem, czy pamiętasz, ja na pewno nigdy tego nie zapomnę. Na



początku tłumaczyłem sobie, że to wszystko było jednym wielkim przypadkiem, trafiłem tam przecież szukając pomocy. Ale wtedy nie miałem o niczym pojęcia, myślałem, że życie na ziemi jest rządzone stąd, przez polityków. Głupie, kiedy zna się prawdę, nie? – Parsknął. – Kilka lat zajęło mi kształcenie się i szukanie. Obaj wiemy, ile okropności i strasznych uczynków byliśmy zmuszeni się dopuścić, ale udało nam się. Wiem, gdzie ona jest, ale nie mogę jej sięgnąć, jest za daleko. Ci ludzie tutaj? Może dwóch dałoby radę dotrzeć w jedną stronę. Pierwszy to ten dziad, przy którym się zatrzymałeś, ogromny wrzód na dupie. Drugiemu zabrałeś ciało. – Wskazał na niego palcem. – I dobrze...

– Ludzie odrzucili duchowość, walka, w której bierzesz udział jest już przegrana. Uwolnij mnie!

– Przestałeś słuchać. – Dyrektor pstryknął go w ucho. – Wysyłałem do ciebie duchy z wiadomościami, ale nie wracały. Zabijałeś ich. Ten świat to przegrana sprawa, uświadomił mnie w tym Taylor. Tyle daliśmy dowodów i przykładów naszej racji, około trzydziestu tysięcy niewyjaśnionych zgonów rocznie, ponad drugie tyle morderstw rodziny, znajomych, bliskich. Nikt nie rozumie, jak mogło do tego dojść, przecież to był taki dobry człowiek. Ale obaj wiemy co się stało, prawda? Cienie znajdują puste ciała i robią swoje. Ty jesteś tego dowodem. To już nie jest teoria czy jakieś zapisy sprzed kilkuset lat. To jest tu i teraz. – Wziął głęboki oddech i podrapał się po głowie. Spojrzał na blizny na nadgarstkach. – To bez znaczenia, dlatego to porzuciłem, nie mam już zamiaru otwierać im oczu. Mam inny plan, lepszy, ale najpierw odzyskam córkę i ty mi w tym pomożesz. Tamci nie słuchali, ale ty nie masz wyjścia, jesteś zmuszony być posłusznym. Gdy ta cała szopka się skończy, udam się do Wan Wan. Zakłęcie zaczyna słabnąć, więc powtórzymy rytuał, a później przejdziemy do kolejnego etapu. Nie możemy sobie pozwolić na błąd.

– Żaden z wymiarów nie jest twój do rządzenia – stanowczo obwieścił cień. – Uwolnij mnie.

– Uwolnij mnie, uwolnij mnie – przedrzeźniał go. – Przestań zrzędzić, rzygać mi się chce. Przypomnę ci, że żadnego z was nie da się zniewolić, to musi być obopólna chęć. Zgodziłeś się na ten układ, gdy podstawiliśmy ci te trzydziestki trójki pod nos. Dostałeś co chciałeś, teraz wywiążesz się z umowy.

Pojmany nie odpowiedział. Philip czekał jeszcze przez chwilę, patrząc w lustro, w którym czarny upiór odbijał się w całości. Zawiedziony brakiem odpowiedzi wstał, ale zaraz potem usłyszał głos:

– Zemsta.

Dyrektor zawahał się. Zmarszczył brwi.

– Zemsta? Teraz rozumiem! To nie był porachunek z Taylorem. Nigdy nie chodziło o niego, mimo iż to ja ci go wskazałem. Chciałeś zemsty na mnie za to, że cię niewoliłem przez te lata, tylko po co się tak długo trzymałeś jego, skoro nie miałeś zamiaru... – Rozszerzył oczy, zrozumiał. – Przez te wszystkie lata spotykałeś wysyłane przeze mnie duchy, mogłeś zabrać im ciała, ale nie zrobiłeś tego, bo to byli tylko pacjenci. Większość z nich nie wie, jak wyglądam, ale Taylor już tak, on wie, gdzie

mnie znaleźć. Potrzebowałeś jego ciała dla jego wspomnień. Dlatego pojawiłeś się w szpitalu, mordując tych wszystkich ludzi. Kiedy brat wymknął ci się spod kontroli postanowiłeś wykorzystać sytuację i zaatakować tego, który tą nienawiść podkręca. – Poprawił opaskę na oku. – Nie przewidziałem tego, tak jak ty nie przewidziałeś, że znajdę sposób, by cię powstrzymać, gdy już zdołasz się tu przebić. I coś ci powiem, nie mam zamiaru skończyć na tobie. Przejmę kontrolę nad wszystkimi w Umbrze i dalej. To ja będę decydował o tym, w którym ciele będę się teraz znajdował, moje ciało zginie, rodzina będzie mnie opłakiwać, a ja będę stał obok w innym ciele i tak po wsze czasy, będę nieśmiertelny. A ty jako moja prawa ręka, będziesz trwać przy mnie czy tego chcesz czy nie, bo się na to zgodziłeś.

Taylor drgnął. Był cały spięty. Upiór w lustrze szarpał się jak niedźwiedź przykuty łańcuchami, kipiał gniewem.

– Muszę przyznać, że los jest po mojej stronie, patrząc na fakt, że skończyłeś w tym ciele. – Uśmiechnął się. – Dlatego, że ten chłopak posiada pewne zdolności, już raz udało mu się dotrzeć o wymiar dalej. Wszedł do Horyzontu, właśnie przez to luto, które teraz cię paraliżuje. Wejdiesz tam i sprowadzisz istotę, która chciała go tam zabić, sprowadzisz go do naszego świata.

– Po co? – warknął.

– Tobie nie wolno wejść głębiej, ale teraz, będąc częścią jego ciała, lustro cię rozpozna i otworzy dla ciebie przejście. Ściągając tu tego stwora, zamienisz ciało Taylora na tamtego i w ten sposób powędrujesz dalej i przyprowadzisz z powrotem moją córkę. Tak jak mówiłem, ja zawsze dostaję to, czego chcę, nieważne za jaką cenę.

Cień zaśmiał się, Philip podszedł bliżej.

– Co w tym takiego zabawnego?

– Taylor jest mi niepotrzebny, by cię zabić. Dopadłem jego i jego brata w tym szpitalu po mojej stronie, ale wtedy coś się zmieniło. Zostałem zwolniony ze służby, jaką nałożył na mnie rytuał, dlatego pojmałem to ciało. Szedłem po ciebie, bo chciałem mieć satysfakcję z odebrania ci życia, zanim oni to zrobią. Twoja pieczęć została zerwana, nie jesteś już chroniony i oni cię zobaczyli. Spójrz na mnie!

Philip przerzucił złękniiony wzrok z powłoki na zjawę w odbiciu, która wbijała w niego swoje chłodne, srebrne ślepia. Dyrektor zlodowaciał, zgroza, jaka załała jego ciało, dała odczucie takiej ciężkości, jakby zeskałała.

– Umbra nie ma pana i nigdy mieć nie będzie, ma natomiast lordów odpowiadających za jej obszary, a ci nie lubią obcych. Twoje poczynania i zły wpływ nie był mile widziany, dlatego reakcja była wymagana. Zostałeś przypieczętowany, a czasu jest coraz mniej, albowiem one już biegną.

– Kto? – Zrobił krok w tył. – Kto biegnie?

– Zostały na ciebie ściągnięte psy Umbry, łowcy głębin i daleko im z wyglądu do psów z tego świata. Gdyż są to okropne bestie, biegające pomiędzy wymiarami, nieposiadające oczu, bazujące jedynie na węchu, tropią osobę naznaczoną. W tym

przypadku, podążają za twoim zapachem.

– Rozejrzyj się, cały szpital jest pełen mojej woni, wezmę kogokol...

– Nie mówimy o zapachu cielesnym, a duchowym. One węższą duszę, a gdy już cię znajdują, a zrobią to szybko, zrozumiesz, co to znaczy przerażenie i sadystyczny ból, gdyż one go wynalazły. Ich zadaniem jest nie tylko ściągnąć agonię na ofiarę, ale zaciągnięcie jego duszy do Dalekiej Umbry, gdzie nawet cienie się nie zapędzają.

Cofając się wpadł na jedno z łóżek.

– Jak zatrzymać łowców głębin? Musi być sposób! – panikował.

– Nie da się, nikt nie jest w stanie tego zatrzymać. Rób co lubisz, jedz co lubisz, pij co lubisz, bo twoje minuty się kończą, a one nadciągają. To jest kara za interakcję w coś, co cię przerasta.

Philip chciał coś powiedzieć, chciał pokazać, że się nie boi, ale nie umiał. Wiedział, że upiór nie blefuje, czytał o istnieniu tych istot w starych księgach.

Z zaciśniętym gardłem wybiegł z hali. Na korytarzu zatrzymała go sekretarka.

– Nie teraz –omalże jej nie odepchnął.

– Przyjechała policja, pacjenci zgłosili zamieszanie, wywołane przez Taylora.

– Powiedz, że już po problemie. Ochrona go wyprowadziła i nie wiemy, gdzie jest.

– Czy mam powiadomić o tym ochronę?

– Masz się ich, kurwa, pozbyć! – wrzasnął. – Nie chcę żadnej policji w moim szpitalu!

Pospiesznym krokiem przemierzał placówkę zbywając każdego, kto go zatrzymywał. Jeszcze kilka minut temu był pewny swojego planu, do momentu, gdy usłyszał od cienia, jaki los go czeka. Podobno nie można było ich zatrzymać, ale dyrektor znał jedną osobę, która była w stanie dokonać niemożliwego. Nie tylko życie, ale również los jego duszy leżał teraz na szali. Pędził właśnie do swej jedynej opcji na ocalenie. Wtargnął do pokoju młodszego brata i wyrwał kartotekę z rąk jednego z lekarzy.

– Wybudź go – rozkazał, widząc, że dzieciak śpi.

– Proszę wybaczyć, ale był on operowany w dwóch miejscach, nie można go teraz wybudzać, musi odpoczywać.

– Czego, kurwa, nie rozumiesz? Masz go wybudzić!

– Powtórzę to jeszcze raz, pacjent nie jest w najlepszej for...

– Zrobisz, co mówię albo możesz szukać nowej roboty!

Ale medyk nie dawał za wygraną.

– Słyszałem o tym, jak ingerujesz w działania lekarzy. Ja sobie nie pozwolę, zdrowie tego chłopca jest pod moją opieką.

– Już nie.

Dyrektor siłą wypchnął mężczyznę z pokoju, po czym zamknął drzwi. Następnie wyjął z jednej z szafek zastrzyk z adrenaliną. Chwilę później do sali wszedł lekarz

w asyście ordynatora oddziału. Lecz gdy ten drugi zobaczył, że osobą tworzącą problemy jest sam dyrektor szpitala, natychmiast wyszedł i oddalił się.

Philip wstrzyknął chłopcu adrenalinę prosto do krwiobiegu i odrzucił pustą strzykawkę w kąt pokoju. Usiadł na krześle, noga podskakiwała na stawie skokowym, słowa cienia trawiły go od środka, nie był w stanie skupić myśli, mimo pewności siebie podświadomie wiedział, że kroczenie tą drogą nie skończy się dla niego dobrze. Nie czekał na żadne pomyślne zakończenie jego istnienia, ale te monstra to najgorsze, co może dać świat. Nie wiedział za ile tu będą, ale była to kwestia bardziej minut niż godzin.

Zniecierpliwiony podszedł do chłopca i szturchnął go ręką. Ten spał jak zabity, Philip sięgnął po drugą dawkę, przyłożył igłę do żyły.

– Proszę tego nie robić – odezwał się lekarz błagalnym tonem.

– Lepiej stąd wypierdalaj.

– Proszę posłuchać....

Ale dyrektor tylko spojrział na niego. Obdarzył go takim wzrokiem, że medyk w końcu skinął głową i wyszedł.

Chłopak nagle usiadł. Złapał się za klatkę piersiową. Dyszał głośno, nie mógł się uspokoić, dłonie mu się trzęsły i był wyraźnie pobudzony. Dyrektor poczęstował go dawką jak dla dorosłego mężczyzny. Philip złapał go za ręce i spojrział mu głęboko w oczy.

– Zanim coś powiesz, chcę żebyś wiedział, że jak tylko się dowiedziałem, że trafiłeś do szpitala przysłałem do ciebie najlepszych lekarzy, jakich miałem. Byłeś priorytetem wśród pacjentów, ty i twoja matka.

– W jakim piekle jestem, że pierwsze, co widzę po przebudzeniu to twoją mordę? – Cofnął ręce i objął się, było mu zimno, cały drżał.

– W tak młodym wieku nie wypada się w taki sposób odnosić do starszych.

– Skończ. – Próbował się podnieść i usiąść wyżej. – Nagle nie wiesz z kim gadasz? Pokazując sfałszowane nagranie mojej matce, wyglądałeś na pewnego siebie. – Zęby strzelały o siebie, jakby zamarzał. – Kurwa, co ty mi dałeś?

– Nic, przysięgam. – Uniósł dłoń w geście deklaracji. – Wiesz, że nie zrobiłbym tego, ingerencja w tak młode ciało mogłaby przynieść trwałe uszczerbek na zdrowiu, nie mógłbym wyrządzić krzywdy twojemu bratu. Lekarze mieli niezwłocznie mnie poinformować, gdy zaczniesz się wybudzać. Chciałem być tu pierwszy.

Taylor spojrział na niego podejrzliwie, nie darzył go zaufaniem.

– Tak czy inaczej dobrze, że nie śpię. Muszę odnaleźć moje ciało. Upiór jest w tym szpitalu, widziałem go zanim mnie uspili.

Palcami stóp sięgnął podłogi, wywrócił oczami i zeskokczył. Nieoczekiwane stanie się niższym było dziwnym doświadczeniem.

– Sam sobie nie dasz z nim rady, ale mogę ci pomóc.

Dyrektor podszedł do niego bliżej

– Ty pomagasz tylko wtedy, kiedy masz z tego korzyść. – Wkładając spodnie, zawiesił się na zacerowanej pszczołce na kolanie. – A na moją pomoc nie licz.

Ciuchy były pokryte zaschniętą krwią, sztywne wręcz. Lepszą opcją było zostanie w koszuli szpitalnej. Oparł się łokciem o łóżko, zakręciło mu się w głowie. Dyrektor zrobił ruch, aby go asekurować.

– Nie dotykaj mnie – odepchnął jego rękę. – Jeżeli naprawdę chcesz pomóc, powinieneś patrzeć w kamery, obserwować co robi upiór.

– Wiem, gdzie jest – oznajmił uroczyście i nie bez dumy. – Podczas, gdy ty byłeś operowany, ja z narażeniem własnego życia uwięziłem cień, który porwał twoje ciało. Dlatego tu jestem, chcę oddać ci to, co twoje, abys wiedział, że mimo iż nie zawsze się zgadzaliśmy, jestem po naszej stronie.

Młody stał jak wryty, skanował go wzrokiem, nie umiejąc znaleźć choćby drobnego znaku blefu na jego twarzy.

– Nie ma za co – dodał dyrektor.

– Gdzie jest moja mama? – spytał dopiero po chwili.

– Nie martw się o nią, tak jak już wspomniałem, jesteście priorytetem w tym szpitalu.

Taylor w ciele braciszka usiadł na łóżku ugniatając palce. Wylał spocone dłonie o prześcieradło.

– Bez owijania w bawełnę – tasował go wzrokiem. – Obronisz moją mamę, brata i mnie, jeżeli co zrobię?

Dyrektor usiadł na krześle obok łóżka.

– Jesteś jedynym, poza doktorem i moją żoną, którym wyjawilem moje prawdziwe intencje oraz motyw, mój najważniejszy cel. Wiesz, że Umbra jest dla mnie projektem życia i że od dłuższego czasu jestem z nią powiązany przez istoty pozaziemskie i ludzkie. Nawiązałem kontakt z tamtejszymi postaciami i jak sami wiemy, tylko trzydziestki trójki są w stanie podróżować pomiędzy wymiarami, ja, zwykła jedynka, mogę jedynie kibicować. Chcę abys wszedł do Umbry i podziękował jednemu z tam zamieszkałych za jego pomoc, a bardziej posłać podziękowania ode mnie. W zamian zostawię ciebie, twojego brata oraz twoją mamę w spokoju na zawsze. Już nigdy więcej o mnie nie usłyszycie. A to musi się zadziać teraz, zaraz po tym, jak odzyskasz ciało. To ważne.

Zapadła cisza, chłopak przemyślał propozycję dyrektora, po czym dodał:

– I Noah – zaznaczył.

– Jaki znowu Noah? – spytał dyrektor.

– Ten, który leży w zakaźnym. Wiem, że eksperymentujesz na tych ludziach. Masz go uwolnić.

– Dlaczego akurat on?

– Nie odpowiedziałeś.

Dyrektor chrząknął, po czym skinął głową.

– Zgoda, on też wychodzi.

Chłopak wyciągnął do niego małą dłoń, a dyrektor ją uściskał.

Kilka minut później Philip pchał wózek inwalidzki, na którym siedział chłopiec, a pracownicy patrzyli na niego podejrzenie, nie rozumiejąc co się dzieje. Jednak nikt nie kwestionował poczynań samego dyrektora. Wcisnął przycisk wzywający windę.

– Muszę cię o coś spytać – zaczął Taylor, a Philip się nachylił. – Podczas ostatniej konfrontacji z cieniem, ten użył słów „uwolnij mnie”. Co to może znaczyć?

– To znaczy, że upiór nie jest kompatybilny z twoim ciałem, nie zgadzacie się ze sobą. Więzienie w tej kupie mięsa dla niego to gorsza kara, niż dla ciebie wizyta w Umbrze, chce byś go uratował. I dokładnie to zrobisz, ocalisz jego przez ocalenie siebie. Inaczej znajdzie sposób, by pozbyć się ciała i wrócić do siebie.

– Skąd o tym wiesz?

– Według naszych badań i testów przeprowadzonych na pacjentach, przejęte ciała przez kogoś długo zamkniętego w innym wymiarze, albo stworzonego w nim...

– Odbierałeś ludziom ciała celowo!? – Zahamował wózek stopami. – Ty wiesz na co ich narażasz!? Jak możesz spać w nocy!?

– Teraz ci to przeszkadza? Przypominam, że to ty byłeś pomysłodawcą tego rozwiązania i to ty byłeś tym, który umożliwił agresywne wyciągnięcie duszy z ciała. Kto odciągał duchy podstępem? To byłeś ty. Wszyscy ci, których srebrna nić została zerwana podczas twojej wizyty w zakładzie są również na twoim sumieniu. Nie udawaj teraz niewiniątka.

Taylor położył nogi na wózku. Dzięki opowiadaniom staruszka, hipnozie i ziołom przypomniał sobie większość rzeczy, jakie przydarzyły mu się w szpitalu psychiatrycznym, jednak wciąż miał luki. W dalszym ciągu były elementy, których nie pamiętał. Nie ufał Philipowi, ale ten zdawał się być bardzo przekonany. Pytanie brzmiało, czy rzeczywiście posunąłby się aż tak daleko?

– Coś nie tak? – spytał pielęgniarz.

– Wszystko w porządku. Zajmij się swoją robotą!

Jechali dalej, dyrektor widział jak chłopak posmutniał.

– Nie zadreżaj się tym – zaczął. – Jeżeli to sprawi, że poczujesz się lepiej, to zwal winę na mnie, tak jak żołnierze, mów, że ty tylko wykonywałeś rozkazy. Mimo iż w głębi siebie wiesz, że to nieprawda.

Drzwi się rozsunęły, w windzie stała grupka lekarzy w maseczkach i okularach. Wjechali do środka i wcisnęli swoje piętro. Jechali w totalnej ciszy, uciekali wzrokiem udając niezainteresowanych. Wychodząc chłopak wyciągnął do nich rękę w geście pożegnania.

– Od kiedy angażujesz się socjalnie? – spytał ze zdziwieniem Philip. – Da się być bardziej sztucznym?

– Liczy się gest.

– Mówiłeś, że nie lubisz ludzi.

– Bo nie lubię.

Podjechali pod skrzydło z chorobami zakaźnymi. Philip podszedł do asystentki i wyszeptał jej coś do ucha, a ta spojrzała niewymownie na chłopca. Taylorowi zaświeciła się czerwona lampka. Coś było nie tak. Dyrektor podszedł do drzwi i przyłożył kartę. Wtedy pojawiła się pielęgniarka. Na widok chłopca stanęła jak wryta. Philip odwrócił się do niej, zaintrygowany.

– Mów!

Ewidentnie nie wiedziała czy może przekazać otwarcie informację, ale dyrektor nakazał jej.

– Prosił pan, aby informować o każdym wydarzeniu związanym z chłopcem i jego bratem, ale do szpitala po wypadku samochodowym trafiła również matka rodzeństwa.

– Co z nią!? – odezwał się Taylor. – Powiedz!

– Twoja mama trafiła do nas w bardzo poważnym stanie. – Zerknęła zakłopotana na dyrektora. – Robiliśmy co mogliśmy, ale niestety z przykrością musimy przekazać...

Chłopak usiadł twardo w wózku i spuścił wzrok, zamilkł na krótką chwilę. Pielęgniarka podeszła do chłopca i kucnęła przed nim. Po chwili wstała i złapała za ręczki wózka. Taylor pokręcił przecząco głową dając do zrozumienia, że nie chce jej pomocy. Odjeżdżał wzdłuż korytarza, nie było to łatwe przez świeżo zoperowaną rękę, ale ten ból fizyczny był pestką w porównaniu z raną na sercu. Dyrektor stał w miejscu w lekkim rozkroku, że spuszczone rękoma w dół, zdruzgotany i struchlały, ale nie tym co jest, tylko tym co po niego idzie. Stał tak dłuższą chwilę, po czym pobiegł za nim mijając równie przygnębioną pielęgniarkę.

– Nie odchodź! Bez ciebie jestem już trupem! – krzyknął.

– Wiedziałem, że coś ukrywasz – odrzekł sucho chłopak. – Radź sobie sam.

– Musisz mi pomóc!

– Nie zbliżaj się do mnie.

Zgorzkniały Philip patrzył na odjeżdżającego chłopca. Niechętnie wszedł do zakaźnego i przez jakiś czas snuł się ze spuszczoną głową, pogodzony ze swym losem. Przebił się przez kurtynę i spojrzał przed siebie.

Upiora nie było.

## Dwie twarze

Philip stał w progu drzwi do swojego biura. Czuł się jak wrak człowieka, załamany i przegrany. Nadzieja na dobre go opuściła. Przyglądając się zdewastowanemu gabinetowi nie czuł wściekłości, nie był nawet zły. „Ironia” było jedynym słowem, jakie przychodziło mu teraz do głowy widząc stan tego pomieszczenia, będącego materialnym oddaniem obecnej sytuacji. A najgorsze miało dopiero nadejść.

Zamknął drzwi dociskając je na siłę; jeden z zawiasów został uszkodzony podczas wywarzania i opadały lekko na dolny róg. Szerokimi krokami unikał nadeptania na porozrzucane dokumenty, pamiątki czy zdjęcia. Kawałki szkielek chrupały pod butami. Rozpiął marynarkę i zdjął krawat, rzucając go za siebie. Strzepał z fotela kawałki szkielek i rozsypane długopisy, po czym usiadł w nim wygodnie, wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer do żony. Włączył tryb głośnomówiący i w międzyczasie zaczął zakasać rękawy koszuli.

– Halo? – usłyszał ją, pogodną i nieświadomą.

– To ja – odezwał się załamany, ponury głos. – Już czas.

– Co się dzieje? – Spoważniała, zmieniła brzmienie głosu, rozszyfrowując powagę sytuacji – Powiedz.

– Przegraliśmy. Musisz zabrać naszego syna i udać się tam, gdzie ci tłumaczyłem. Wszystko jest w instrukcji, rób dokładnie to, co na niej znajdziesz.

– Co się dzieje? Przerażasz mnie.

– Powiedz, że rozumiesz. Muszę to od ciebie usłyszeć.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem:

– Dobrze, zrobię tak jak rozpisałeś. Zobaczymy się jeszcze?

– Nie. Tam, dokąd mnie zabiorą nie ma powrotu. To pożegnanie.

Znów zapadła cisza, dużo dłuższa niż ostatnio. Wiedzieli, że to ich ostatnie słowa, nie chcieli ich zmarnować.

– Przepraszam, że cię wtedy zostawiłam, nie było mnie przy tobie, kiedy tego potrzebowałeś. Nasza córeczka odeszła, widziałam, jak cię to złamało. Sama potrzebowałam czasu, ale gdy się z tym pogodziłam, nie chciałam znów przez to przechodzić... żałuję do dziś, chcę, żebyś o tym wiedział. Dziękuję za przyjęcie mnie z powrotem, dziękuję, że mogłam spędzić z tobą kolejne lata. Wiem, że wszystko co robiłeś, robiłeś dla niej, aby ją odzyskać i za to bardzo cię podziwiałam. Nie chcę odchodzić bez ciebie, wróć do nas... uciekniemy razem...

Słyszał jak płakała, w jej głosie był ból i szczerłość. Jednak nie czuł współczucia, nie



było mu przykro. Siedział w zrujnowanym gabinecie i patrzył na zablźnione przedramiona od kilkukrotnych prób targnięcia na swoje życie. Blizny, przypominające ten ponury czas, o którym właśnie mówiła jego żona. Przypomniał sobie obietnicę, jaką sobie złożył – ocali córkę, nieważne za jaką cenę. Poczuł przyływ sił.

– Ostatnie lata były dobre – podjął spokojnie. – Nie zasłużyłaś na powrót, gdy już stanąłem na nogi. Wróciłaś na gotowe, wygodnie. Nigdy nie wybaczyłem ci, że mnie zostawiłaś i nigdy tego nie zrobię, ale nie żałuję, że wróciłaś. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie przez co przechodzi teraz nasza córeczka, która nie odeszła. – Spowaźniał, po czym wykrzyczał: – Ona została nam odebrana! – Uderzył pięścią w biurko, wziął głęboki wdech i ze stoickim spokojem mówił dalej: – Pozwoliłem ci wrócić, bo wiedziałem, że kiedy ją odzyskamy, będzie chciała, abys przy niej była. Nie wiem co przyniesie kilka następných minut, ale wiem, że wszystko się zmieni.

Zamilkł, po prostu patrzył na blizny.

– Kocham cię – powiedziała zapłakana.

Minęła dłuższa chwila zanim odparł:

– Żegnaj.

Rozłączył się.

Patrząc na swoje ręce przypomniał sobie złość i frustrację, która była dla niego motywacją, by pojechać do Brazylii, a później te wszystkie lata zmagania. Nie był gotowy odejść bez walki. Wstał z nową świeżością do działania. Ze starej komody wyjął księgę i rzucił ją ciężko na blat. Otworzył i zaczął wertować. Zdenerwowany zerkał na drzwi, wiedział, że ma mało czasu. W każdej chwili mógł wejść tutaj cień. W starej księdze szukał zaklęć, bądź rytuałów, które pomogłyby mu zniewolić upiora w cudzym ciele, coś silniejszego niż lustro. Księgę przeglądał strona po stronie w poszukiwaniu informacji na temat łowców, którzy właśnie po niego biegli, przeskakując między wymiarami, by zaciągnąć go do Dalekiej Umbry. W końcu znalazł to, czego szukał. Opisowi towarzyszyły niewyraźne, wiekowe i mało artystyczne rysunki człekokształtnych psów Umbry czających się na najdalszym planie. Nie było tego dużo, zabierał się za czytanie, skończył pierwszy wers, a drzwi huknęły na zawiasie, który utrudniał ich sprawność. Dyrektor patrzył na skaczącą klamkę i strzelający zawias z przyspieszonym tętnem i uczuciem kuli bilardowej w gardle.

Drzwi się otworzył, a Philip pochwycił pistolet.

\* \* \*

Wiedział, że ten dzień nadejdzie. Każdy kiedyś odchodzi, czy to się nam podoba czy też nie. Zdawał sobie sprawę, że przyjdzie dzień, w którym odbierze telefon ze złą nowiną. Nie wiedział czy głos, który mu to powie będzie należał do jego brata, czy obcej osoby z domu pogrzebowego. Rozmyślał, czy zapłacze, gdy ten dzień nastanie, czy po jego policzkach spłynie choćby jedna łza mając matce tyle za złe. Teraz ledwo

łapał oddech, potęgowany pozytywnymi wspomnieniami braciszka, czuł ogromny ból i stratę, miażdżącą jego klatkę, jakby usiadł na niej słoń, jak gdyby stracił część siebie. Może do końca nie były to teraz czysto jego uczucia, ale koniec końców to była jego mama. Osoba, którą kocha się najmocniej od pierwszej do ostatniej minuty swojego życia.

Przemierzając korytarze, Taylor zwracał na siebie uwagę ludzi dookoła. szlochał w głos. Szczere spojrzenia współczucia rzucane były z każdej strony. Ale to nie pomagało, jeszcze bardziej przyprawiało go o płacz, nie chciał ich współczucia, fałszywego i darowanego tylko dlatego, że płacze dziecko na wózku inwalidzkim.

Możliwe, że gdyby był teraz we własnym ciele, wychudzony, wytatuowany i z długimi włosami, zapewne nikt by nawet nie spojrzał, wręcz odwracaliby głowy. Żyjemy w okrutnym świecie kłamstw i osądów, gdzie każdy człowiek z osobna uważa się za osobę wyjątkową i niezastąpioną, jednocześnie myśląc, że mógłby zastąpić każdego.

Dojeżdżając do swojej sali zaparkował na rogu, obok drzwi do łazienki. Mógł stanąć o własnych siłach dzięki środkom przeciwbólowym. Sięgnął po telefon, wszedł na aplikację szpiegującą i wyszukał swoją komórkę. Znacznik pokazywał szpital. To było zbyt ogólne, aby dowiedzieć się, gdzie teraz znajduje się jego ciało. Chciał odpocząć, więc położył się na łóżku i przykrył kocem. Było mu chłodno, przetarł mokre policzki i odwrócił głowę pytając:

– Najpierw udajesz pacjenta, później znikasz bez słowa, a teraz mnie odwiedzasz jakby nigdy nic. W co ty grasz? – spytał chłopiec.

– Czuję się świetnie. Dzięki, że pytasz – odparł Noah, siedząc wygodnie w fotelu. – I nie odwiedzam cię, bo mnie tu nie ma, ale to już na pewno rozgryłeś.

– A mimo to jesteś i do mnie mówisz. Widziałem cię w zakaźnym.

– Chyba nie tylko ja przestałem się ukrywać. – Staruszek wskazał na mokrą od łez koszulkę.

– To przez to ciało – odparł Taylor, niemal urażony.

– Oczywiście, że tak. Powiedz co się stało, chłopcze?

Taylor nie odpowiedział. Spojrzał w sufit, marszcząc brwi. Z ogromnym trudem opanowywał emocje.

– Jeżeli potrzebujesz z kimś porozmawiać, to jestem tutaj. – Noah spojrzał na szafę przed łóżkiem i zakaszła. – Wiem co się stało z Anią, przykro mi. Czy to jest powód twojego stanu?

– Teraz cię to obchodzi!? A może robisz wywiad dla Philipa!? – fuknął chłopak. – Gdzie byłeś przez ten cały czas!? Leżysz w zakaźnym i potrafisz z niego wyjść, dlaczego nie powiedziałeś mi od razu, gdzie jest Max!? Stałeś i patrzyłeś, jak ryzykuję własnym życiem! Anię również masz na sumieniu. Gdybyś nie ukrywał przede mną prawdy, nic z tych rzeczy nie musiałyby się wydarzyć! – Złapał się za szwy. Zabolalo. – I teraz nagle chcesz wysłuchiwać moich żali? Proszę, właśnie je dostałeś.

Położył się ciężko i zastękał, oddychał krótkimi pulsacjami, nie mógł rozciągnąć

pluc. Dziadka sercem targnęło osobliwe poczucie winy, wiedział, że go zawiódł.

– Posłuchaj – zaczął spokojnie. – Moje puste ciało leżało już w zakaźnym w momencie naszego poznania się, tfu. – Splunął. – Przebywam tam dużo dłużej, niż mógłbyś przypuszczać.

– Po co mi to mówisz? – Zgrzytnął zębami, wchodząc mu w zdanie. – To niczego nie zmieni. Jeżeli przyszedłeś się wytłumaczyć, aby ulżyć własnemu sumieniu, to daruj. Mam własne problemy na głowie i ostatnie czego mi teraz potrzeba, to towarzystwa.

– Chłopcze, rozumiem, nie było mnie, gdy tego potrzebowałeś, poczułeś się oszukany, do czego masz pełne prawo, ale to nie daje ci przywileju do zachowywania się jak gówniarz. Moje ciało jest w hali, ale ja nie mam tam dostępu. Philip skutecznie zablokował to miejsce runami, przez które nikt z Umbry się nie dostanie, dlatego musiałeś wejść aż do Horyzontu, zapomniałeś o tym? – Taylor nie patrzył w jego kierunku. Słuchał, ale głowę miał odwróconą. – Jeżeli nie interesuje cię, dlaczego zniknąłem, nie będę ci tego mówił.

Noah z trudem wstał i podszedł do łóżka.

– Mam wobec ciebie dług i przyszedłem go spłacić.

– Niczego od ciebie nie chcę.

– Doprawdy? – Mężczyzna spojrział na niego drwiącym głosem, po czym wrócił na fotel. – W takim razie nic tu po mnie. Mogę rozsiaść się wygodnie i odpocząć. Ostatecznie to w twoim ciele paradytuje upiór, a dobrowolnie ciała ci nie odda, to jest pewne. Ty z kolei nie możesz w nieskończoność trzymać brata po drugiej stronie, bo prędzej czy później dorwą go cienie albo ludzie dyrektora, bądź i co gorsze, sam straci zmysły i zostanie upiorem. Nie takie rzeczy już widywałem. Sam fakt, że jeszcze się trzyma zakrawa na cud. Zatem, skoro niczego ode mnie nie chcesz, to rozumiem, że masz plan i to solidny, który lada moment zrealizujesz i wszystko naprawisz. Nie wiemy, co wymyśli dyrektor, choć obaj wiemy, że potrafi być nieprzewidywalny. Równie dobrze może tu teraz wpaść z dubeltówką i odstrzelić ci...

– Dobra! Rozumiem! – warknął Taylor. – Jezu... wiem w jakiej dupie jestem, nie musisz mi przypominać. Masz rację, nie mam żadnego planu, nie ma wyjścia z tej sytuacji, bo nawet, jeśli oddam ciało bratu, to bez mojej opieki Philip zrobi z nim co zechce, czyli położy go obok ciebie i będzie roślinką. To chciałeś usłyszeć?

Starzec pochylił się do przodu i oparł łokcie o kolana z głupim uśmiechem.

– Dokładnie to chciałem usłyszeć, bo gdybyś powiedział mi, że jednak masz plan i w dodatku byłby dobry, nie miałbym okazji spłacić swojego długu.

– Masz pomysł jak wyjść z tej sytuacji? – spytał Taylor, zaskoczony, ale wciąż na niego nie patrzył.

– Możesz wierzyć lub nie wierzyć w co ci się tylko podoba, lecz jest jeden sposób... Jednak ostrzegam, że będzie to najgłupszy i najbardziej ryzykowny ruch, jaki kiedykolwiek zrobisz. Szanse na powodzenie są nikłe, ale przy odrobinie szczęścia może się udać. Pytanie czy jesteś gotów zaryzykować?

Noah oparł się wygodnie o fotel i czekał cierpliwie na jakąś reakcję Taylora. Ten spojrział mu głęboko w oczy.

\* \* \*

Stawiał swoje kroki twardo i bardzo niepewnie, idąc szpitalnym korytarzem. Dostrzegł pielęgniarkę, wchodzącą do znanego mu pomieszczenia. Nie była sama. Czający się w ciele Taylora upiór miał zarzuconą na siebie szatę lekarską. Zależało mu, aby wtopić się w tłum. Nie docenił Philipa – rzucił się na niego na oślep jak tylko pojawił się w zasięgu, ale nie spodziewał się, że będzie posiadał umiejętności, które zniewolą go w świecie materialnym. Miał swoją szansę i jej nie wykorzystał. Czuł przeciąg otwieranych drzwi pomiędzy wymiarami, były blisko, bo wiało już po kostkach, a on nie chciał ryzykować spotkania. Antysocjalne przyzwyczajenia Taylora nie ułatwiały wizyty na ziemi, potrzeba schowania się i stania w kącie, jednocześnie zdrowa potrzeba dania komuś w twarz przekakiwały między sobą jak rozregulowany włącznik. Biała szata płamila na czerwono na wysokości brzucha i przy rękawach, wtapianie się w tłum stawało się coraz trudniejsze. Ruch każdej napotkanej osoby na korytarzu powodował u niego impuls, a reakcje te to przyzwyczajenie do dzikiego, mrocznego świata, gdzie wszystko chce cię zabić. Sięgnięcie ręką do torebki przez kobietę opodał sprawiło, że niemal się na nią rzucił.

Pielęgniarka skończyła przygotowywać pokój dla kolejnego pacjenta i wyszła, a wtedy upiór wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Zasunął żaluzje, aby choć na chwilę uchronić się od rażącego światła. Kojący półmrok okrył pomieszczenie, a on odetchnął z ulgą, patrząc na ledwo już widoczną plamę na wykładzinie w miejscu, w którym zabił Anię. Podeszedł do półki z lekami – była zamknięta, więc rozbił ją pięścią bez namysłu, rozcinając przy tym dłoń. Przerzucił pudełkami, wyrzucając zbędne na podłogę, gdzie trafiała też skraplającą się ze świeżej rany krew. Znalazł to, czego szukał i wstrzyknął sobie całą zawartość w udo. Upuścił puste naczynie i wolnym krokiem zbliżył się do szafy przed łóżkiem, otworzył jedno z drzwi i wsunął się z wysiłkiem do środka.

Zamknął je za sobą.

\* \* \*

Zaparkował tuż przy pustym biurku sekretarki. Wstał i z trudem podeszedł do ciężkich ciemnych drzwi. Zza nich dochodziła kłótnia, jeden wrzeszczał zdzierając gardło, drugi taktownie mówił swoje, co jakiś czas unosząc ton. W ślad ich słów poszły również tłuczone szklanki. Chłopiec złapał za klamkę, ale nie mógł ich otworzyć. Drzwi wisiały na jednym zawiasie. Nie dał rady, nie w tym ciele, nie w takiej kondycji. Rozejrzał się z myślą, by prosić kogoś o pomoc, ale w harmidrze szpitala, przy pracy na trzy etaty nikt by się nie pofatygował. Krzyki dochodzące z za zaklinowanych drzwi robiły się coraz głośniejsze. Taylor odsunął się, w ostatniej chwili unikając uderzenia nimi. Ciemnoskóry, tyczkowaty mężczyzna w lnianej koszuli wyszedł z gabinetu Philipa, wyglądał na przybysza z innego kontynentu,

w znoszonych sandałach, nie pasował do tego miejsca.

– To jeszcze nie koniec! Zobaczysz! – Philip wybiegł za nim, wściekle unosząc pięść w górę. – Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo! Nie macie, kurwa, pojęcia z kim zadarliście!

– To koniec, tak został postanowiona, a słowo wódz Tarhe jest zawsze ostatni – odwrócił się i uklonił. – To pożegnanie Philipie, nasze droga się tu rozchodzi.

– Powiedz mu, że przyjadę!

– Obawiam się, że nie masz tyle czas. – Ciemnoskóry odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Harmin, czekaj! – krzyknął, ale nie doczekał się reakcji. – Harmin!

Taylor nigdy nie widział Philipa tak przerażonego. Gdy Harmin zniknął za zakrętem, dyrektor wrócił do siebie, nie zamykając za sobą drzwi, raczej nieświadomy, że ktoś za nimi stoi. Chłopak, rzucając ostatnie spojrzenie za nieznanym, poszedł śladami dyrektora i przymknął drzwi, tyle ile zdołał. Rozglądał się po ruinie, jaka została z niegdyś schludnego gabinetu, nie rozumiejąc co się właściwie stało. Do głowy przychodziły mu dwa scenariusze. Pierwszy, że jest to wynik tego, czego przed chwilą był świadkiem, jednak na to byli zbyt czyści. Powinni być cali we krwi i potargani, a obaj wyglądali jakby szli na imprezę, tylko w innym rejonie świata. Druga, bardziej realna wersja była taka, że zrobił to ktoś inny, zapewne wcześniej, skoro w pomieszczeniu nie było nikogo innego.

– To nie my – wtrącił Philip, rozwiewając tajemnicę, podniósł leżące krzesło i postawił przed biurkiem. – Siadaj.

– Kto to był? – spytał, wskazując palcem za siebie.

– Nie twój interes.

Philip usiadł na fotelu, przetarł dłonią bladą i spoconą twarz, zupełnie nie kryjąc zdenerwowania. Usiadł na położonym dla niego krześle, nie sięgając stopami do podłogi. Głupie uczucie, pomyślał. Skrzyżował ręce na piersiach. Dyrektor zauważył, że tamten gapi się na jego blizny na nadgarstkach. Następnie przeniósł wzrok na opaskę na oku.

– No tak – wtrącił i zdjął z twarzy przepaskę pirata, którą położył ostrożnie na biurku. – Teraz już wszystko, mogą mnie zabierać. Jestem gotów.

Niespiesznym ruchem sięgnął do szafki i wyciągnął z niej jedyną ocalałą butelkę whisky. Położył trunek na biurku, dokładając dwie przeznaczone do tego rodzaju alkoholu zdobione szklanki.

– Wiesz, że jestem nieletni.

– Nie, nie jesteś – zaczął polewać. – Poza tym robiliśmy tak za każdym razem, gdy wracałeś ze świata cienia. Wtedy też pełnoletni nie byłeś, o ile mnie pamięć nie myli. A jednak piłeś.

– Sadzałeś mnie półprzytomnego od środków, jakie mi podawałeś, aby wzmocnić trans i piłeś podekscytowany relacjami, jakie ci wtedy zdawałem. To zupełnie co innego, nie wiedziałem co robię.

– „Nie wiedziałem co robię”, dalej to sobie wmawiaj. – Przełał zawartość jednej szklanki do drugiej. – Skoro nie chcesz ze mną pić, ani nie chcesz mi pomóc, to po cholere przyszedłeś? Chcę spędzić ostatnie chwile sam, więc streszczaj się.

– O czym ty mówisz? O tamtym gościu? Harmin, tak?

Dyrektor wypił całą szklankę jednym haustem i uderzył pustym szkłem o biurko.

– O pierdolonych psach Umbry, czy też łowcach głębin. I daleko im wyglądem do psów w tym wymiarze. Bowiem są to okropne bestie, biegające pomiędzy wymiarami, nie posiadające oczu, bazujące jedynie na węchu osoby naznaczonej. W tym przypadku moim zapachu... ładnie powiedziane, nie?

– Zadaniem takich bajek jest straszyć. A ty mi wyglądasz na konkretnie przerażonego. – Patrzył na dyrektora polewającego sobie kolejnego drinka. Mierzył go baczny spojrzeniem, ważył jego słowa i zachowanie.

– Cień, który pochwyciłem w twoim ciele, powiedział mi, że nie ma nikogo, kto by Umbrą rządził, ale niejacy lordowie są mocno wkurzeni na to, że wkładam tam swoje paluchy i posłali na mnie pieski, które mają rozerwać mnie na strzępy, łącznie z duszą. Zaś to, co ze mnie zostanie zaciągnął siłą do Dalekiej Umbry. Dalekiej! Rozumiesz? – Zmarszczył czoło i podrapał się dookoła pustego oka. – Nawet ja wątpiłem w jej istnienie. Nie ma nigdzie zapisu, co tam jest, ani czym ona dokładnie jest, poza tym, że ktoś kiedyś słyszał o jej istnieniu. Aż nagle spotykam cień we własnej osobie i sam od siebie gada, że jest to miejsce, gdzie nawet oni się nie zapędzają. – Podniósł pełną szklankę. – Kurwa.

Philip wziął kolejnego łyka. Nie unosił wzroku, wydawał się być zamyślony.

– I dlatego do mnie przyszedłeś – wtrącił młody.

Szklanka huknęła w drewniany blat.

– I dlatego do ciebie przyszedłem – przytaknął. – Jest sposób zapieczętowania kogoś w jednym wymiarze. Jeżeli ten ktoś przejdzie przez lustro, a ty je zbijesz, już nie wróci. Powrót dla kogoś, kto nie przynależy do danego wymiaru, znaczy, że nie jest mile widziany, a reemigracja możliwa jest tylko przez to samo wejście, które skorumpowało barierę. Innymi słowy, któreś wszedłeś, tamtędy wyjdiesz, nie inaczej. Nikomu, kogo znam nie udało się dotrzeć do Horyzontu, tylko tobie.

– Skoro lustro nie działało, to czemu nie próbowaliście z taflą wody? Widziałem innych, którzy jakoś musieli się tam dostać. Wyglądali, jakby spędzili tam już sporo czasu, niektórzy nawet jak z innych epok.

– Z innych epok? Wątpię. – Philip jeździł palcem wskazującym dookoła wierzchu szklanki. – Czas w tamtym miejscu działa inaczej, całkiem możliwe, że znaleźli się tam kilka minut przed tobą. Nikt nie przeżyłby takiego czasu, nie na tyle, żebyś mógł rozpoznać go jako człowieka.

– Sporo wiesz jak na kogoś, kto tam nie był – skomentował Taylor, starając się posadzić wyżej na krześle.

Philip wzruszył ramionami. Sytuacja była poważna, utwierdził się w swych podejrzeniach.

- Gdzie jest teraz to lustro? – spytał Taylor.
- Na końcu hali, za ostatnim rzędem łóżek, a co?
- Niech tam zostanie.

Taylor zeskoczył z krzesła i ruszył ku wyjściu. Philip odłożył trunek i podniósł się, zdezorientowany.

- Czekaj! Dokąd idziesz?
- Drzwi do zakaźnego mają być odblokowane przez całą noc, później je zamknij.

Dyrektor się nachylił.

– A co ze mną!?! – Uderzył ręką o stół. – Masz mi pomóc! Kurwa, należy mi się! Umbra zanika, ludzie przestają wierzyć w rzeczy spirytualne, technologia podpisuje się pod wszystkim! Wiesz co to znaczy!?! Za kilka lat ślady się zatrą i wszyscy zostaniemy odcięci, świat umrze bez duchowości. Gdy to się stanie, już jej nie odzyskam! Nigdy! – Usiadł na fotelu, nagle zrezygnowany – Pragnę tylko jednego... Chcę moje dziecko... czy naprawdę proszę o tak wiele?

Taylor ostatni raz spojrział na Philipa, który oparł łokcie o kolana i schował twarz. Następnie wyszedł na korytarz, zostawiając go w zniszczonym gabinecie, samego i pijanego. Nigdy nie przypuszczał, że taki będzie jego koniec, mimo iż życzył mu ich wiele.

Zamknął drzwi.

Kilkanaście minut później Taylor był już w swojej sali. Nie był w lepszym nastroju niż Philip, którego postawa dała mu wiele do myślenia. Sam nie rozumiał tego co działo się teraz w jego głowie, nigdy przez wiele lat nie troszczył się, ani nie przejmował nikim innym poza sobą i braciszkiem, a teraz mu współczuł. Jemu, osobie, która stała za całym nieszczęściem w jego życiu.

- Zgodził się? – spytał Noah pojawiając się znikąd.
- Zostawi drzwi otwarte – odparł bez entuzjazmu Taylor.
- Wierzysz mu?
- Nie, ale powiedział coś, co dało mi do myślenia.
- Czyli?
- Że trzeba go ratować... ale sposób, w jaki to powiedział... Wiesz, jakby cytował kogoś innego. Wiesz coś o psach Umbry?
- Psy Umbry? To mit. To są zmyślane stwory, podobno przebiegłe i bez uczuć, szaleńcze i agresywne w swej naturze. Polują na tych, których mają zaciągnąć do Dalekiej Umbry, czyli do pustki, gdzie nie sięga już wpływ wierzeń istot z Ziemi czy z innego większego ciała niebieskiego, a występują tam przede wszystkim rzeczy kompletnie obce ludzkiemu umysłowi... jeżeli wierzyć w jej istnienie.
- Daleka Umbra – powtórzył pod nosem. – Czyli one istnieją.
- Nikt tego nie wie. Dużo osób o tym mówi, ale nikt nie miał styczności...
- Tak samo mówileś o ucieczce z cienia czy wejściu do Horyzontu. Wszystkie te rzeczy wydarzyły się w tym szpitalu przez ostatnie kilkanaście dni. – Stał jak wryty,

przyglądając się maskotce. – Bo jeżeli Philip mówił prawdę, to one właśnie biegają w naszą stronę i lada moment pojawią się tutaj, obecność kogoś takiego nie wróży niczego dobrego, nawet jeśli przyszli specjalnie po jedną duszę.

Otrząsnął się po chwili i postawił na stoliku Simbę, którego dała mu matka. Następnie usiadł na łóżku, po czym opuścił je na płasko i położył się.

Starzec wstał i podszedł bliżej.

– Powodzenia, chłopcze.

– Mogę cię o coś spytać?

– Śmiało.

– Dlaczego mi pomagasz? Wiem, że masz dług, ale wydajesz się we mnie wierzyć, od samego początku. Całe życie mnie gnojono, wmawiano, że nic nie potrafię, gdziekolwiek byłem, z kimkolwiek rozmawiałem, zawsze odbierano mnie tak samo. Ale nie ty. Dlaczego?

Zaskoczony pytaniem, starzec spojrzał chłopakowi głęboko w oczy, wyczekał go chwilę, zebrał myśli i podjął.

– Pewnego razu do konającego dziadka leżącego w łóżu szpitalnym w odwiedzinach przyszedł wnuk. Wiedział, że dziadkowi zostały ostatnie dni życia, więc chciał je spędzić z nim, nie tylko dlatego, że jego czas się kończył, ale przede wszystkim dlatego, że ten jako jedyny traktował go wyjątkowo. Wierzył w niego, dopingował mu i powtarzał, jakim jest niesamowitym chłopcem. Obawiał się, że po jego śmierci chłopak już nigdy się tak nie poczuje, więc dziadek wyciągnął z kieszeni stary zegarek ze stłuczoną tarczą i nietykającymi wskazówkami i wręczył mu go. Powiedział: – „Weź ten zegarek i idź do najbliższego jubilera, spytaj za ile go kupi”. Podekscytowany chłopiec wziął czasomierz i pobiegł. Niedługo później wrócił ze smutną miną. „Pan powiedział, że może za niego zapłacić pięć dolarów, że on nie działa i jest stary”. Dziadek wysłuchał go, a potem posłał do zegarmistrza mówiąc, że ten zna się na zegarkach. Chłopiec popędził i równie szybko wrócił, jeszcze bardziej zasmucony. „Pan go nie chce, ponieważ naprawa przekroczy wartość zegarka”. Dziadek uśmiechnął się do niego miło i pogłaskał po głowie pocieszająco, po czym wysłał go w kolejne miejsce z tym samym zadaniem. Po powrocie chłopak był rozpromieniony. „Dziadku, dziadku nie uwierzysz, pan z muzeum powiedział, że to niebywale rzadki zegarek i że za tak niespotykany, wyjątkowy oraz jedyny w swoim rodzaju okaz gotowy jest zapłacić górę pieniędzy!” Na co dziadek spokojnie odparł: „Zapamiętaj sobie tę lekcję. Pamiętaj, aby w życiu spędzać swój czas w miejscach ważnych i otaczać się ludźmi, którzy potrafią docenić i zrozumieć twoją wartość. A jeżeli nie potrafią, to znaczy, że jesteś w złym miejscu”.

Noah włożył ręce do kieszeni.

– Ja nie byłem tym dziadkiem – dodał po chwili.

Taylor zachował twarz pokerzysty, ale zrozumiał przekaz.

– Wiele razy wspominałeś, że nie ratowałeś mojej wnuczki celowo, tylko przy okazji, ale w głębi serca wiesz, że chciałeś to zrobić. Chciałeś jej pomóc.



– Nie znasz mnie.

– To dlaczego obaj mamy wrażenie, że jest na odwrót?

Wtedy go zauważył, opartego o framugę, jakby miał się przewrócić. Upiór w jego własnym ciele przyglądał się w ciszy, słuchał ich rozmowy. Staruszek zniknął, zapadł się pod ziemię. Był równie przerażający, jak w Umbrze, brudny, biały fartuch splamiony świeżą krwią, czarne jak smoła oczy i ciemny dym, rozbijający się o sufit. Serce mu przyspieszyło, wiedział, że przyszedł go zabić, a on nie zdoła się obronić. Nie w zamkniętym pokoju, nie po wypadku.

Odepchnął się dłonią od framugi zostawiając na niej czerwony ślad, jak z horrorów, po czym ruszył w jego stronę, ospale, jakby był na prochach. Noah wspominał, że najgorszą rzeczą przy przywłaszczeniu sobie ciała przez upiora jest fakt, że twoi najbliżsi zostają zamordowani przez napastnika z twoją twarzą. Do czego miał wliczyć fakt, że Taylor w swych ostatnich chwilach będzie widział siebie samego? Upiór oparł się o ramę łóżka i spojrzał mu w oczy. Sklejone włosy, opadające na siną twarz dodawały odczucia, jakby miał przed sobą samego diabła.

– Jak chcesz to zakończyć? – spytał. – Zabijając mnie w ciele rannego dwunastolatka?

– Nie tutaj. Mam dość – bezwładnie machał rękami dookoła siebie, jakby przeganiał chmurę much.

Następnie fotel, na którym siedział staruszek pchnął pod ścianę naprzeciwko, docisnął do kąta i rozwalił się na nim wygodnie.

– Dlaczego ja? – spytał chłopak śledząc wzrokiem upiora.

Taylor, opanowany, czekał na odpowiedź, ale na jego twarzy znać było, z jakim trudem przychodzi mu samokontrola. Czuł, jakby jego obecność wysysała z niego wszystkie pozytywne uczucia, stopniowo trawiąc samego siebie i brata jednocześnie. Jak koszmarne wir, który wciągał go w to, co najgorsze, zupełnie jak wtedy, gdy tonął w cieniu Umbrzy. Jeden z nich i to ten najgorszy wpatrywał się teraz w niego. Wciąż starał się zrozumieć, dlaczego tak mocno był nienawidzony. Głowa zaczęła opadać na bok, zasypiał. Chłopak obejrzał się ostatni raz patrząc na korytarz pełny biegających ludzi oraz zerknął na okno, niebieskie niebo i korony drzew, nad którymi przelatywało stado ptaków. Fotografował myślami, zapisywał we wspomnieniach. Wiedział, że będzie tęsknił za tym, co jest tutaj. Mimo iż życie nie było dla niego łaskawe, posiadało jednak swoje dobre strony. Nie miał więcej czasu do stracenia.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Otworzył oczy.

Zeskoczył z łóżka. Stopy uderzyły o podłogę szybciej niż zakładał przez co omal się nie przewrócił, zapomniał, że znów ma własne rozmiary. Uklęknął za szpitalnym łóżkiem i wychylił się lekko, zerkając na fotel, w którym rozgościł się cień. Nie było go, ale od razu stało się dla niego jasne, dlaczego dosunął mebel akurat w ten kąt.

Pomimo zerwanych żaluzji i wpadającego do środka pomarańczowego światła, fotel zatopiony był w najciemniejszym punkcie, którego promienie nie sięgały.

Cień chciał rozstrzygnąć ich spór na jego własnym terenie i jego zasadach, tam, gdzie to się zaczęło, dlatego uniemożliwił Taylorowi dotarcie do ciała, zanim to się stanie.

Wyprostował się i rozejrzał po splekanym na ścianach pokoju. Oddech się skrócił od ciężkiego powietrza, braciszka nie było tam, gdzie go zostawił, pomieszczenie wydawało się puste. I ta cholerna cisza – zwiastująca jedno.

Odwrócił się do otwartych drzwi i tuż przed nimi zobaczył brata. Leżał na plecach i oświetlał wejście latarką.

Taylor doskoczył do niego i chciał pomóc mu wstać, ale ten krzyknął ze strachu i poświecił mu po oczach, aż zabolalo. Złapał go za nadgarstki, szarpał się, nie dając za wygraną, rzucał się jak wyciągnięta z wody ryba, kopiąc i bijąc na oślep. Taylor objął go ramionami i przeniósł z dala od drzwi. Gdy go odstawił, chłopczyk odskoczył wpadając na szafę.

– To ja! To ja! – krzyczał Taylor w klęku i z otwartymi ramionami. – Wróciłem!

Ostra biała tarcza raziła oczy. Nie widział go dobrze. Słyszał stukanie plastiku i krótki, nierytmiczny oddech łamany przetykaniem śliny.

– Taylor? – spytał w końcu.

– Tak – szepnął, wyciągając do niego ręce. – Już jestem.

Światło wycelowane wprost na niego zaczęło wolno opadać, a za nim zarysowała się sylwetka chłopca. Był przelękniony, nie mógł spędzić w świetle cienia ani sekundy dłużej i Taylor o tym wiedział.

– Udowodnij, że to ty! – Ledwo wplótł słowa w szybki oddech. – Tamci mówili tak samo...

– Posłuchaj, nie wiem kim byli tamci, ale wróciłem, tak jak obiecałem – mówił powoli i spokojnie. – Możesz odłożyć latarkę, widzisz, że nie jestem cieniem, światło mnie nie rani. To ja.

Cisza.

To była chwila największego napięcia, jakiego Taylor ostatnimi czasy doświadczył. Nie wiedział, co jego brat robi. Jak się zachowa.

W końcu Max upuścił latarkę, która uderzyła o podłogę i oddał mu się w ramiona, wyjąc w głos. Chłopak przytulił go troskliwie.

– Miałeś. Wrócić. Szybko. – Słowa dławiliły emocje. – Tak długo. Cię. Nie było.

– Ćśśśś. – Głaskał go po głowie. – Już jestem.

Ciało chłopca było brudne od krwi, na lewym ramieniu miał ślad po oparzeniu, był też wyraźnie chudszy. Czym mogło być to spowodowane, skoro siedział w bezpiecznym pokoju, do którego cienie nie miały wstępu?

Za drzwiami panowała zupełna ciemność, pomarańczowe światło obejmowało jedynie niewielki fragment korytarza tuż przed pokojem. Spod fotela stojącego

w kącie małymi wężykami wydobywały się czarne dymy. Upiór się niecierpliwił. Siedzieli na podłodze, u każdego z nich w głowach buzowały inne myśli. W końcu chłopiec odkleił się od piersi Taylora.

– Chcę do domu – powiedział.

– Zaraz tam będziesz. – Chłopak wziął braciszka na ręce i zaniósł na łóżko szpitalne. – Byłeś bardzo dzielny, jestem z ciebie dumny.

Max układał się wygodnie, podczas gdy starszy brat głaskał go po policzku i uśmiechał się pogodnie, delektował widokiem chłopca. Bał się, że widzi go po raz ostatni.

– Ty nie idziesz – stwierdził Max. – Czemu nie idziesz? Chodź też, proszę.

– Ciągłe się o mnie martwisz, niepotrzebnie. – Taylor podniósł latarkę z podłogi. – Pożyczam, pójdzie mi szybciej. – Starł czarną maź z ramienia braciszka. – Skąd to masz? Co się stało? Dlaczego leżałeś przed drzwiami?

Chłopczyk spojrział na drzwi, jakby nie był pewien o czym on mówi. Patrzył zanurzony głęboko w swoich myślach. W końcu wskazał palcem na wyjście z sali.

– Ktoś tu był, wołali mnie, mówili, że jesteś z nimi. Nie chciałem iść, ale ciągle wołali, a potem, potem... – Zamilkł i patrzył w jeden punkt, jak zahipnotyzowany. – Potem oni mnie zabrali. Przybiegła dziewczyna w białej sukience. Mówiła, że cię zna, oni też tak mówili, ale ona ich przepędziła i... i potem ty wróciłeś.

Widział, że Max się łamie, że znów zbiera mu się na płacz.

– Wystarczy – przytulił go jeszcze jeden, ostatni raz. – Spisałeś się. A teraz śpij, odpocznij. Kocham cię.

Chłopczyk posłuchał, trzymając głowę zatopioną w poduszkę. Patrzył na starszego brata jeszcze przez moment, a potem zasnął. Kilka oddechów później Taylor poczuł brak oporu pod ręką i otworzył oczy. Łóżko było puste.

Taylor chwycił latarkę i wziął głęboki wdech. Cel, dla którego wrócił do rodzinnego miasta po ponad sześciu latach został osiągnięty – jego braciszek wrócił do świata materialnego i jest bezpieczny. Choć cena, jaką im przyszło za to zapłacić była o wiele wyższa, niż sądzili.

Chłopak był pewien, że upiór nie pozwoli mu wrócić do ciała, ale mimo to musiał spróbować. Podeszedł do zanurzonego w mroku fotela, gdzie zasypiał cień i ostrożnie wyciągnął do niego rękę. Poczul przyływ siły, jakby nagle wymieniono mu baterię, srebrna nić połączyła się znów z duchem. Dostrzegł czarne dymy snujące się leniwie spod fotela i odskoczył do tyłu. Ciężką ciszę przerwały szepty i suche nawoływania upióra, kończyła mu się cierpliwość. Skoro jego brat był już bezpieczny, najwyższy czas skupić się na wyciągnięciu siebie z tego bałaganu.

Przyglądając się śladowi krwi na podłodze zachodził w głowę, kim była dziewczyna, która pomogła Maxowi, ubrana w białą sukienkę i która do tego знаła go osobiście? Iskierka nadziei podpowiadała mu, że to mogła być Ania, tylko czy to możliwe, że utknęła w świecie cienia?

Ocknął się. To nie był czas ani miejsce, by się nad tym głowić. Wykręcił ze statywu element, który wyglądał jak stalowa pałka i zamachał nią kilka razy w celu przyzwyczajenia się do ciężaru. Następnie wyszedł przed salę i zatrzymał się po środku rdzawo oświetlonego miejsca. Oba kierunki korytarza były czarne, jakby patrzył w głąb studni.

Gdzie nie spojrzął, ujrzał pobłyskujące w ciemności oczy. Byli wszędzie, oblepieni po podłodze, ścianach i suficie. Czekali, tak jak i on. Czuł, jak wali mu serce. Dłoń, którą ścisnął latarkę była wilgotna od potu. Srebrzyste spodki zastygły w miejscu, aby po chwili rozlewnie dosuwać się do ścian, sufitu i podłogi, jakby ustępowały miejsca, aż zniknęły całkowicie. Teraz nie było niczego prócz czystej czerni i ciszy, którą chwilę później przerwał długi i suchy niczym szelest wyschniętych liści odgłos wydychanego powietrza.

Taylor odwrócił się i zamiast mnóstwa ślepi, ujrzał tylko jedną ich parę – dwa punkty wpatrywały się w niego z nienawiścią. Do starcia dojdzie tylko między nimi, dlatego cień odwołał pozostałych.

Upiór był spokojny. Zrobił pierwszy ruch w jego stronę – zbliżył się i zatrzymał tuż przed ścianą blasku podkreślającego teraz jego mefistofeliczną sylwetkę. Był pewny swej przewagi. Taylor zaś miał świadomość, że jest słabszy, że nie ucieknie od koszmaru. Musiał jednak dać z siebie wszystko – stawić czoła swej największej zmurze.

Znienacka poświecił na upiora, a ten zapiszczał z bólu, po czym zniknął w mroku. Taylor biegł w głąb czarnego korytarza z wyłączoną latarką, by po kilku krokach skierować strumień światła za siebie, przewidując, że cień zaatakuje od tyłu. Skowyt upiora był dla niego potwierdzeniem przypuszczeń. Stwór nie dawał za wygraną, pojawił się od lewej z łapskami gotowymi do ataku. Trzask rozbijanej szyby ogłuszył go, a uderzenie pomarańczowego światła, które wpadło przez stłuczoną szybę przegonił go na bezpieczną odległość.

Taylor nieprzerwanie rozbijał pozostałe okna metalową częścią statywu, tworząc sobie kolejną bezpieczną, świetlną przystań. Upiór nie krył swego zdenerwowania, rzucał się po ścianach uderzając o nie pięściami, a szponami zbierał z nich tynk. Chłopak obserwował go uważnie, wyczekując idealnego momentu. W końcu, gdy upiór stanął do niego plecami, wybiegł z oświetlonej strefy. Cień odwrócił się i wtedy poświecił mu latarką prosto w pysk. Bestia zasyczała i odskoczyła, poparzona. Kryła się gdzieś w czarnym punkcie sufitu.

Rychło po tym pojawił się za rażącym światłem latarki i ciął narwanie, aż poczuł kontakt z przeciwnikiem. Odbijając się po podłodze latarka słała promienie na wszystkie strony, jak kogut w pojeździe uprzywilejowanym. Cień zdematerializował się w podłodze i zniknął. Gdy latarka się zatrzymała, upiór wyskoczył jak żarłacz z głębi oceanu i zaatakował, zastygając tuż przy leżącym przedmiocie bez dotychczasowego właściciela, jakby zapadł się pod ziemię. Upiór zawył donośnie i wściekły zanurkował w mroku.

Ciemny korytarz poprzecinany był złoto-pomarańczowymi wstęgami światła. Stały

tam zakurzone, puste krzeselka, krzywo zawieszona tablice informacyjne na ścianach z powyrywaniem kartkami, leżącymi przypadkowo na podłodze. Opuszczony budynek i kobieta, zwinięta w kłębek pod drzwiami jednego z pokoi, ze strachu wyrwijająca sobie włosy garściami.

Wywarzone drzwi prowadzące ze schodów ewakuacyjnych, które w pełnym biegu pokonał Taylor sprawiły, że wraz z włosami oderwała z głowy kawałek skóry. Rzuciła go o ścianę i zaczęła się drapać w miejscu ubytku swojego ciała – teraz wyrwała już nie tylko włosy. Proszę, dotrzyмай słowa, powtarzał w myślach, biegnąc w kierunku drzwi do hali w oddziale zakaźnym. Usłyszał doskonale znany mu odgłos, niczym hamulców w zatrzymującym się awaryjnie starym pociągu. Odwrócił się i zarejestrował przeciwnika materializującego się z ciemniejszej strony korytarza.

Naciągał przeskakując zwinnie pomiędzy jego terytorium. Mijając popadniętą w obłęd dziewczynę, pochwycił ją za resztki włosów i rzucił daleko w przód niczym szmacianą lalkę, nurkując w tym samym momencie w czarnym punkcie. Kobieta przeleciała przez oświetloną część holu i wpadła w zaciemniony punkt, gdzie pochwycił ją upiór i cisnął mocno o sufit. Kark wygiął się jej nienaturalnie, zwiotczałe ciało wróciło wprost w ogromną łapę stwora, który rzucił je za siebie i ruszył dalej, a duch zmasakrowanej dziewczyny został wchłonięty przez cień, w którym leżała.

Taylor dobiegł do uchylonych drzwi, szarpnął je i wskoczył do środka. Upiór zignorował ostatnie kilka metrów światła i rzucił się na drzwi, które w ostatniej chwili zostały zatrzaśnięte. Ułamek sekundy później rozległ się huk zderzenia. Żaden duch czy cień nie miał prawa wstępu, jeśli zamknięte drzwi chronione były wyrysowanymi na ramach runami. Celem było uniemożliwienie duchom powrotu do swych ciał, aby Philip mógł je szantażować, oczywiście przeciw upiorom również zdawało egzamin. Tunel również napawał grozą, z za zakrętu docierało ciepłe światło.

Wbiegł na halę, oświetloną punktowanymi lampami, a następnie podbiegł do lustra stojącego na końcu hali. To było to samo zwierciadło, był tego pewien, poznał je od razu.

– Czy to to? – spytał Noah.

Taylor wyprostował się ze strachu, jak rażony poganiaczem elektrycznym.

– Normalny jesteś!? Nie strasz mnie tak!

– Nie bądź dzieckiem – skomentował, siedząc na jednym z łóżek. – Gdzie masz latarkę?

– Musiałem ją zostawić, inaczej bym tu nie dotarł. – Taylor wciąż badał lustro, przyglądał się wrytym na nim runom. – Jesteś tu cały czas, tak?

– Wszedłem przez uchylone drzwi zanim tu dotarłeś. Bo pytasz o Umbrę?

Taylor przytaknął, dziadek skinął głową twierdząco.

– Zanim posłałem Maxa do domu, wspominał coś o innych, wołali go. A także o kobiecie w białej sukience, która go uratowała, podobno знаła mnie osobiście. Myślisz, że to Ania?

Starzec zastanawiał się przez chwilę.

– Nie widziałem jej nigdzie, a ostatnimi czasy nawet nikogo poza tobą, mówiąc szczerze. Najprawdopodobniej to były duchy tych tutaj leżących. Może otrzymali rozkaz od Philipa pojmania ducha Maxa, póki jest bezbronny, aby później cię szantażować? Kto wie.

– Nie brzmisz przekonująco.

– Dlatego, że nie powinno ich tu być. Powinni znajdować się znacznie dalej. Nie wiem, dokąd ich wysłał, ale rzadko wracają. – Wrócił do niego wzrokiem. – Ale nie, osobiście nie widziałem nikogo.

– Ty wróciłeś. – Popatrzyli po sobie badawczo. – Mogę pokazać ci, które to łóżko, możesz wrócić do swojego ciała i uciec stąd, uściskać wnuki. – Taylor wskazał palcem w stronę, gdzie leżało jego ciało. – Druga okazja się nie trafi.

– Bardzo bym tego chciał i zapewne tak zrobię, ale mam przed sobą ostatnie zadanie.

– Nie jesteś mi nic winien, mówiłem już – odparł Taylor.

– Dzięki tobie mam do kogo wracać. Brzmi to jakbym miał o wiele więcej niż robię. Najważniejsze, abyśmy nie stracili więcej, niż do tej pory.

Obaj zamilkli na moment, tonąc w swoich wspomnieniach i wyobrażeniach tego, co przed nimi. Po czym jak na komendę, podnieśli się i spoważnieli.

– Nie możesz wyjść za te drzwi, bo cień cię zabije – podjął staruszek. – Wejść do Horyzontu, kiedy twoje ciało jest już puste, jest bez sensu. Zostaje tylko jedna opcja. Cień jest powiązany z tym lustrem przeze ciebie, Philipowi udało się na chwilę go zniewolić przez sam fakt, że na niego spojrział. Skoro w świecie rzeczywistym tak na niego działa, to jest spora szansa, że tutaj uda nam się wrzucić go do Horyzontu i zbić lustro zanim ten wyskoczy. Dzięki temu uwięzimy go tam na zawsze i obaj wrócimy do siebie.

– Piękny plan, ale jak zamierzasz wsadzić do lustra trzymetrowego upiora? – Taylor oparł ręce o biodra.

– Ja odwrócę jego uwagę, a ty zwabisz go do lustra i uskoczysz jak się na ciebie rzuci. Musimy ustawić lustro tuż przed granicą cienia, wtedy będzie osłabiony. Stłuczemy też lampy, bo jest tu za jasno. Trzeba mu stworzyć środowisko do swobodnego poruszania się. Inaczej nawet tu nie wejdzie.

– Ile żarówek musimy stłuc? – Chłopak rozglądał się po suficie.

– Przynajmniej połowę. Musi czuć się pewnie, żeby zaryzykować.

– Obyś miał rację.

– Obym miał. – Noah zszedł z łóżka.

Kilka minut później rozbijali żarówki nad łózkami – co drugi rząd został zniszczony, zostawiając czarne pasy przez całą halę. Taylor stanął przed drzwiami wyjściowymi, spojrzął na staruszkę, schowanego za łukiem wąskiego przejścia, po czym uniósł kciuk na znak, że jest gotowy. Następnie otworzył drzwi, pognął do przygotowanego pomieszczenia i schował się za łózkami.

Przyczajeni zerkali na drzwi prowadzące z tunelu. Upiór wchodził bardzo

ostrożnie, jak przerażony pies, niepewny tego, co się zaraz wydarzy. Najpierw pojawiła się czarna, wychudzona ręka.

Raz już został tutaj pojmany, drugi raz nie pójdzie tak łatwo, wychylił się zza drzwi i wskoczył szybko za prawą linię łóżek. Czemu tam!? – pomyślał. Taylor skradał się po prawej w kierunku lustra. Cień wolno zaczął się wyłaniać z mroku na ścianie. Rozglądał się na wszystkie strony. Lekkie stuknięcie po lewej, zanurkował i wyłonił się na suficie nad miejscem, skąd dochodził hałas. Kolejny słyszalny był dwa metry dalej, więc i tam zanurkował, pojawiając się tuż nad łóżkiem. Nachylił się nad twarzą jednej z pacjentek. Wtedy staruszek, czołgający się pomiędzy łóżkami, niechcący uderzył nogą o krzesło, szpony przebiły jego łydkę na wylot i uniosły ku górze. Spojrzeli sobie w oczy. Sprawy się skomplikowały, trzeba było działać.

– Chciałeś to zakończyć tutaj!? – krzyknął Taylor.

Starzec był zaskoczony obrotem spraw i reakcją chłopaka. Nie zdążył w żaden sposób zareagować, gdy ten postanowił działać po swojemu.

– Obaj chcemy tego samego, obaj chcemy zabić dyrektora, dlaczego zatem atakujemy się nawzajem? Mamy wspólnego wroga!

Cień przyspieszał.

– To nie musi się tak skończyć!

Upiór skoczył na ofiarę, zaś Taylor błyskawicznie znalazł się przy lustrze i zdjął z niego kotarę.

Stwór z impetem parł naprzód, a gdy zorientował się w sytuacji, próbował wyhamować. Bezskutecznie. Trafiając w taflę lustra pochwycił również chłopaka. Taylor wrzasnął, ale nie był w stanie się oswobodzić.

Wpadł w lustro, ostatkiem refleksu usiłując pochwycić jego ramię, w efekcie czego poruszył nim zbyt mocno i runęło na podłogę, tłukąc się.

– Nie! – wrzasnął Noah. Zbliżył się do lustra, a raczej tego, co z niego zostało i podniósł ramię. Kawałeczki szkła leżały rozbite dookoła niego.

Cień wraz z Taylorem zostali uwięzieni w Horyzoncie.

## To nic osobistego

Każda osoba to historia. Każdy z nas przeżywa swój indywidualny początek, środek i koniec. Wszyscy mamy w sobie dwa wilki, tego dobrego i tego złego – obaj są nieustannie głodni. Błędem jest oceniać ludzi przez pryzmat dobrych, bądź złych, nie da się być dobrym dla wszystkich. Codzienne decyzje są pokarmem, a którego z tych wilków będziemy karmić częściej, okaże jakimi osobami jesteśmy. Ile ludzi, tyle scenariuszy. A skoro ludzki żywot można przerzucić na papier, to szpital spokojnie możemy uznać za bibliotekę. Dziesiątki obcych sobie osób gotowych opowiedzieć swoją historię przed lekarzem, która z reguły okazuje się nieprawdziwa, podkoloryzowana tak, aby to ten, co opowiada był jej bohaterem. Zwłaszcza w czasach, gdzie królują media społecznościowe – to one przyzwyczyły nas do tego, że słowo „idealne” odnajduje się w prawdziwym życiu. Idealny dom, idealne małżeństwo, idealne dzieci, idealna praca i to wszystko ma być autentyczne, sprawiając, że ludzie zapominają o jednym, bardzo ważnym punkcie tego, co prawdziwe i szczerze, czyli o wadach. Bo to one kształtują nas jako ludzi. Prawda to nie kolorowa opowieść o sukcesie, ale tona pracy, wyrzeczeń, porażek oraz łez. To ona pokaże, że to wszystko jest niewiele warte, bo jak dobrzy byśmy nie byli, złe rzeczy i tak nas dopadną. Nad tym wszystkim rozmyślał lekarz, stojąc przy drzwiach i obserwując przykrytego kołdrą chłopca. Mały płakał. Świat jest brutalny, ale to nie znaczy, że jesteśmy w nim ofiarami.

Szpital mówił tylko o nim. Pomimo tylu rzeczy dziejących się właśnie w placówce, cały personel miał na językach tylko to dziecko. Jedni mu współczuli, inni traktowali jak dziwadło, które zmyśliło swój zgon na złość rodzicom.

Lekarz opuścił salę i zamknął za sobą drzwi. Wrócił do swoich obowiązków.

Max leżał skryty i płakał za matką, wściekły na starszego brata. Lekarze wszystko mu powiedzieli, nie rozumiał, dlaczego Taylor podczas pożegnania nie zdradził mu prawdy, dlaczego zataił przed nim to, co się stało z mamą.

Wychylając wzrok spod kołdry zobaczył opartego o szklanekę soku pomarańczowego pluszowego lwa. Poznałby go wszędzie. Zastanawiał się skąd Taylor znalazł się w jego posiadaniu. Wciągnął pluszaka pod pierzynę i mocno przytulił, przerażony myślą, że został sam, że nie było już nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. Wtedy w jego głowie zaczęły pojawiać się obrazy. Widział, jak biegnie ciemną ulicą, jak atakuje go pies, przegryzając skórę i mięsień, jak chowa się przed bratem między autami na parkingu strzeżonym. Głowa bolała, jakby miała eksplodować. Rozumiał, że nie były to koszmary, wracał pamięcią do sytuacji, jakie przeżył Taylor będąc w jego ciele.



Po chwili ból ustąpił. Domyślił się, że wszystkie wspomnienia musiały się oswoić z nowym gospodarzem. Dyszał z ulgą. Nawet nie zauważył, kiedy przestał płakać. Jak za pstryknięciem włącznika światła, przed oczami pojawił mu się jego dom. Oglądał film z mamą, wygodnie na kanapie, patrzył, jak przygotowuje mu jedzenie, przytula go i całuje. Nie czuł żadnego bólu, te przebliski przyszły gładko, jak wschód słońca, spokojny i miły. Do czasu. Zacisnął dłonie na pluszowym lwie, zaczął się niepokoić.

Widział, jak szuka alkoholu pod zlewem i celowo zostawia butelkę na widoku, by chwilę później patrzeć na sięgającą po nią matkę. Nie rozumiał, dlaczego Taylor dopuścił się czegoś tak okrutnego. Znał konsekwencje, doskonale wiedział, jaką męczarnię przeszła, by wyjść z nałogu. Zgrzytał zębami, spinał się cały, nadal leżąc w ukryciu. Poczul, jak budzi się ranny i zakrwawiony, w tym samym czasie jeździł palcami po zszytych ranach, swędzących od dotyku. Ujrzał pijaną mamę wsiadającą za kierownicę, Taylor akceptował to, siedząc cicho. Max wiercił się w łóżku, mówił pod nosem by się zatrzymała, ale w jego oczach wciąż prowadziła. Oddech przyspieszył, serce uderzało w pierś, zobaczył wypadek.

– Jak mogłeś! – wrzasnął wściekły, zrzucając z siebie kołdrę. – To twoja wina!

Rzucił pluszakiem w kąt pokoju, gdzie było puste ciało Taylora, a maskotka przeleciała tuż obok stojącego tam staruszka. Zaskoczony i zdezorientowany spojrział na brata, wyglądającego na nieprzytomnego. Wyczekiwali się jak rewolwerowcy, aż chłopak pierwszy wykonał ruch w kierunku przycisku pomocy, przywołującego pielęgniarkę.

– Nie rób tego – wtrącił Noah, a chłopczyk zatrzymał palec tuż przed czerwoną kropką. – Nie ma potrzeby go wciskać. Miło cię w końcu poznać, Taylor wiele mi o tobie opowiadał i cieszę się, że zdołał cię w końcu wyciągnąć. Jestem przyjacielem twojego brata.

– On nie ma przyjaciół – odparł i opuścił rękę.

– Teraz już ma. – Staruszek podszedł nieco bliżej. – I potrzebuje pomocy bardziej niż kiedykolwiek, a ja potrzebuję twojej.

– Nie chcę z nikim rozmawiać i nie chcę mu pomagać. Niech pan sobie idzie.

– Nie mówisz poważnie, ryzykował własnym życiem, żeby...

– Okłamał mnie! – krzyknął chłopiec, uderzając pięścią w pościel. – Niech tam zostanie! Zasłużył sobie!

Max odwrócił się plecami do mężczyzny przykrywając się kołdrą. Noah westchnął na głos.

– Uratowałbym go sam, gdybym mógł, ale niestety miejsce, które miałeś nieszczęście poznać nazywa się Umbra i ja mówię do ciebie właśnie z tego miejsca. Mogę ci się ukazać, czasem poruszyć lekkim przedmiotem, lecz to za mało. Możesz brata nienawidzić, ale to twoja rodzina, jest uwięziony w strefie zakaźnej i...

– Po tym, co zrobił nie pomogę mu – wymamrotał chłopczyk przez zaciśnięte gardło. – To on powinien umrzeć, nie mama. Najpierw mnie zostawił, a po powrocie zmusił ją do picia, przez co ona teraz nie żyje. Nie chcę go znać.

Max zarzucił kołdrę na głowę i zaczął płakać. Noah chciał dać mu chwilę, rozumiał przez co przechodził, ale nie stać go było na dalszą stratę czasu. Podszedł do łóżka z drugiej strony.

– Postawmy zatem sprawę jasno. – Spoważniał i zmienił ton. – Taylor być może zrobił coś, czego będzie żałował przez całe życie, wszyscy dźwigamy własny krzyż. Jesteś za młody, żeby to teraz zrozumieć, ale ciebie też to czeka. Będziesz popełniać błędy czy ci się to podoba czy nie, ale musisz wiedzieć, że wszystko, co zrobił twój brat, zrobił po to, by ratować ciebie. Życie jest brutalne, mały, a my jesteśmy tylko ludźmi. Robimy co uważamy za słuszne, licząc na to, że to właściwa droga, bo nigdy nie wiesz jakie czekają cię konsekwencje swoich czynów. Nie zmienisz przeszłości, ale możesz zmienić przyszłość. Straciłeś już matkę, a czy jesteś gotów stracić też brata? – Staruszek poszedł do drzwi. – Taylor nie był.

Rozpłynął się w powietrzu. Po krótkiej chwili szlochanie ustało. Max wychylił się zza pierzyny i zaczął szukać go wzrokiem po pokoju, aż zauważył stojącego na stoliku pluszowego lwa.

\* \* \*

Echo niosącego się dźwięku przypominającego drapanie widelcem po talerzu zbudziło Taylora ze snu. Uderzyła w niego ekstremalnie niska temperatura. Przelknięcie śliny paliło suche gardło jak kwas. Zapach był inny niż pamiętał, jakby bardziej gęsty, przypominający smołę. Otworzył oczy. Biała mgła zasłaniała niemal wszystko, czuł jakby znajdował się w chmurach. Leżał zanurzony w parze, którą pokryta była podłoga. Wraz z przytomnością przyszedł ból głowy oraz pleców, jakby upadł z wysokości. Machnął dłonią, odpędzając kredowobiałe tumany i dostrzegł nad sobą wyrwy w dwóch piętrach sufitu, a srebrna nić ciągnęła się w górę jak rura strażacka. Nie rozumiał jak znalazł się kilka pięter niżej. Ostatnie, co pamiętał to moment, w którym upiór wciągnął go do lustra. Potem ciemność i chłód, jakby zasnął.

Do jego uszu doszło kolejne chrobotanie. Wychylił się znad mgły i w ciemności małego pokoju zobaczył postać stojącą pod ścianą. Była chuda, granatowa i stała na dwóch wyprostowanych nogach, choć sama w sobie była zgarbiona przez zbyt niski sufit, kości kręgosłupa chciały przebić skórę. Ręce długie, sięgające stóp, jedną z dłoni drapał po ścianie, jakby ostrzył pazury. Palce miał krótkie i tylko trzy, ale masywne. Zatopił szpony w ścianie i wolno odwracał do niego głowę. Taylor równie wolno wrócił do leżenia, bał się, że szybki ruch rozgoni mgłę i stanie się widoczny. Ułamek sekundy pozwolił mu dostrzec pysk stwora, podłużny jak u konia, ale bez nosa, oczy małe i czarne, szeroko rozstawione, dziury zamiast uszu. Dlatego go nie zauważył, zamglenie czyniło go niewidocznym, bez nozdrzy nie mógł wyczuć jego zapachu, co znaczy, że dopóki nie wyda z siebie dźwięku, dla stwora jego tam nie ma. I niech tak zostanie, pomyślał.

Stwór kroczył w stronę leżącego chłopaka, mozolnie i ospale. Zatrzymał się metr

od jego głowy. Prostując się kręgosłup trzaskał i trzeszczał, stanął prosto dzięki ubytkom w suficie, głowa sięgała pierwszego piętra. Po czym zaczął się wspinać sypiąc kamieniami i piachem na Taylora. Zniknął na wyższym piętrze. Chłopak odczekał jeszcze moment i usiadł, ostrożnie badał teren. Był w jednej z sal typowych dla pacjentów, a przynajmniej w tym, co po niej zostało, rozpoznać można było jedynie połamane łóżko ciśnięte w kąt, pokój oświetlony był punktowo białym światłem z dziury w stropie, im dalej od źródła tym było ciemniej. Zauważył drzwi na korytarz po prawej. Droga wydawała się pusta. Chciał wstać, ale coś trzymało jego lewą rękę, machnął drugą dłonią by odpędzić mgłę, zdusił w sobie kaszel, lodowate powietrze parzyło płuca. Dwa szybkie ruchy rozwiąły ją, a jego zmroziło do reszty, widząc swoją dłoń wchłoniętą przez maź na podłodze. Próbował ją wyciągać, na początku delikatnie, później mocniej, podważał i kręcił, pluł śliną po rogach, ale ta ani drgnęła, była jak przyspawana.

Padł na kolana, starał się nie panikować. Na pewno jest sposób, powtarzał sobie. Wtedy poczuł szarpnięcie, a ręka zatopiła się głębiej, nerwy wzięły górę nad rozsądkiem, sięgnął po najbliższy kamień i zaczął walić po kafelkach. Pojawiły się pierwsze pęknięcia, poczuł przyływ adrenaliny i nadziei. Wierzył, że mu się uda. Małe kamyczki uderzyły o podłogę tuż obok niego. Zastygł ze strachu jak posąg, wolno uniósł wzrok. Tyczkowa poczwara była na drugim piętrze, oparta rękami o gzyms. Przyglądała mu się.

Taylor wolno wracał do pozycji leżącej, czekając, aż mgła zaleje pustkę, w której znajdował się teraz chłopak. Stwór patrzył w bezruchu, kiedy mgła zaczęła płynąć po ciele Taylora, po czym zaczął wolno i ociężale schodzić głową w dół jak pająk. Chłopak z całych sił zaczął ciągnąć w górę, stękając i zagryzając zęby z bólu. Czuł zrywane ścięgna i rozstające się kości, spojrzał nad siebie. Potwór oparł już łapsko o sufit nad nim, patrząc bez wyrazu. Przerażony, w desperackim napływie energii, pociągnął z całej siły i wyrwał się, upadając twardo na plecy. Stwór był już w pokoju i zaczął się prostować. Chłopak wybiegł na korytarz i zamknął za sobą drzwi, po czym wbiegł do sali naprzeciwko i trzasnął kolejnymi, wiedział, że go nie usłyszy.

Schował się pod oknem i przywarł do ściany. W tym czasie stwór przeciskał się w przez pierwsze przejście. Taylor padł na podłogę i czekał w nadziei, że go nie znajdzie. Nabrał powietrza w płuca, nie oddychał, nastąpiła kompletna cisza, aż do jego uszu dotarł dźwięk stuknięcia w szybę. Stwór przyłożył łeb do szyby, zostawiając na niej mokre smugi i wwiercał w niego swoje końskie oczyska.

Coś powaliło stwora z głośnym rykiem jak dzikie zwierzę, walczyli, czuł na plecach drgania od uderzeń, skulił się ze strachu, zerkając przed siebie. Opuszczone, oplecione pajęczynami pomieszczenie uchowało łóżko szpitalne w przyzwoitym stanie ze zwisającym potarganym i brudnym prześcieradłem, spod którego ktoś mu się przyglądał, ukryta w mroku, przypuszczalnie ludzka postać, której zimne światło odbijało się białymi migawkami. Walka ustała, znów zapadła cisza, a ściany przestały drgać. Taylor poczuł pod sobą ciepłą ciecz, dopiero po ciemnej plamie krwi, w której leżał, doszło do niego, że ocalił siebie, nie dłoń, ta została w podłodze w pomieszczeniu obok. Okręcił rękaw dżinsowej kurtki z dużą koroną na plecach

i podwinął w górę, następnie spiął ją paskiem od spodni. Emocje tłumili ból, miał teraz inne zmartwienia. Przywarł do szyby, ale niczego nie widział, otworzył ostrożnie drzwi i wyszedł nie spuszczać wzroku z postaci obserwującej go spod łóżka.

Było ponuro, białe smugi światła przebijały się przez szarzyznę w korytarzu. Stwór, który za nim podążał leżał z rozszarpanym brzuchem i rozciętym gardłem na podłodze. Ślady na ciele wskazywały na atak drapieżnika, jakiego ludzkie oko nigdy nie widziało. Mleczna tafla przykryła zwłoki buzując i przybierając gęste kłębiące się wiry z parujących ciepłych wnętrzności.

Trudno mu było się zebrać, ale po chwili wstał i ruszył pomału korytarzem. Wszędzie panował mrok, a krzyki zdawały się nieść z każdej strony. Wiedział, że to stwory, żerujące na nieszczęśnikach, którzy postanowili tu wejść. Nie sądził, że potwory w tym wymiarze są zdolne walczyć między sobą o zdobycz, a nawet zabić. Nigdy nie widział rywalizujących ze sobą cieni.

Odganiał mgłę lekkimi kopnięciami, chciał wiedzieć, co może się czaić pod zasłoną. Efekt bolących palców w wybrakowanej ręce zaczął się nasilać, miał wrażenie, że tylko dzięki zimnicy i napięciu nie stracił jeszcze przytomności.

Dotarł do rozdroża. Korytarz na lewo tonął w mroku, po prawej był zawalony, a ten na wprost prowadził do miniaturowych drzwi. Nigdy takich nie widział, musiały być wymysłem tego wymiaru, kolejną iluzją. Odwrócił się za siebie i rozszerzył oczy w zdziwieniu, widząc wstającego, wysokiego stwora, któremu zmasakrowany brzuch, z wiszącymi pociętymi wnętrznościami, zupełnie nie przeszkadzał.

Taylor wskoczył za ścianę, trzęsąc się ze strachu. Zmartwychwstały stanął zgarbiony jak przy pierwszym spotkaniu, opierając się długą ręką o ścianę, wlepiając czarne ślepia w chłopaka, który oparł głowę o lodowatą ścianę i zamknął oczy. Opadał z siłą, przestawał wierzyć, że uda mu się opuścić to popieprzone miejsce.

Był zmęczony nie tylko fizycznie, ale też psychicznie. Uganiał się za cieniem oraz duszą młodszego brata, mało co jadł i pił w tym czasie. Ranny i wycieńczony, chciał wrócić do swojego pokoju wraz z beznadziejnymi współlokatorami i iść rano na budowę, chciał się wyspać.

Pragnął się stąd wydostać.

A może by tak po prostu odpuścić? – zastanawiał się. Dać sobie spokój i zostawić to komuś innemu? Tylko na chwilę, tak żebym mógł odpocząć. Może znajdzie się ktoś, kto stanie na wysokości zadania i uratuje jego dla odmiany?

Westchnął i spuścił głowę. Nie odpuści. Nie podda się łatwo.

Coś złapało go za nogę. Odskoczył z krzykiem. Osoba, która chwyciła jego kończynę była w krytycznym stanie, jakby świeżo spalona. Bijący od niej fetor był nie do wytrzymania. Nadpalony stękał, z trudem łapiąc jakikolwiek oddech, nie sposób było stwierdzić jakiej płci jest, w dodatku był wtopiony w taką samą maź, w jakiej pogrzebana została dłoń Taylora, ale ten był w niej już zatopiony po zębra.

– Pomóż... – wystękał.

Taylor wychylił się i zobaczył stwora stojącego dokładnie w tej samej pozycji, ale o połowę dystansu bliżej, stał w bezruchu jak posąg, skradał się jak kot, który zdobywa teren tylko wtedy, gdy mysz odwróci wzrok.

– Jak się tu dostałeś? – Kucnął przy nim. – Jest stąd jakieś wyjście? Jest was więcej?

– Po... móż...

Chłopak wyrzwał jeszcze raz. Potwór był bliżej. Nie było więcej czasu. Taylor podbiegł do rannego, po czym szarpnął leżący w pobliżu spory kawał materiału, który roztargał się przy wyrywaniu go ze ściany. Nie wiedząc czemu, czuł potrzebę pomocy tej osobie. Mgła w tym miejscu była zbyt płytka, przykrył go więc płaszczem w taki sposób, aby stwór go nie zauważył, dosypując przed niego kilka kawałków z oderwanej ściany, chcąc mocniej wtopić go w otoczenie.

Dostrzegł stojącą kilka metrów dalej kreaturę. Krzyknął, a w odpowiedz usłyszał długie wycie innego potwora niedaleko. Na każdym kroku kogoś spotykał. Doceniał ostatnie działanie ziół i bębnow, jakie dostał od staruszka.

Wysoki potwór puścił się ściany i szybszym krokiem ruszył na Taylora. Chłopak bez namysłu odwrócił się i dobiegł do małych drzwi. Otwierając je, dostał mocnym podmuchem zjełczałego powietrza, jakby nie były otwierane przez wieki. W środku panowały egipskie ciemności. Wszedł tam na czworakach i w trakcie zamykania drzwi kątem oka widział coś, co przypominało hienę, ale było obdarte ze skóry, ślizgiem wyhamowało na środku rozdroża, sypiąc tumany kurzu. Zamknął drzwi.

\* \* \*

Szczęśliwi czasu nie liczą, pomyślał lekarz, spoglądając na zegarek i pędząc w pośpiechu do kolejnego pacjenta. Wewnątrz szpitala ciężko było odróżnić porę dnia od nocy. Ostre białe światło zostawiało niewiele miejsca na cień. Korytarz był znacznie mniej zaludniony, niż zwykle – była tam jedynie matka z dzieckiem, które narzekało na ból brzucha i nastolatek z wybitym palcem.

Lekarz zwolnił. Dotarł do dystrybutora z wodą i wyjął ostatni plastikowy kubek ze schowka. Nalał wody i wziął spory łyk. Westchnął, przypominając sobie małego chłopca, któremu musiał przekazać smutną wieść o zmarłej matce. Zastanawiał się jak ten dzieciak sobie teraz radzi.

Chciał odstawić kubek, gdy coś przebiegło tuż obok niego. Odwrócił głowę, ale niczego nie dostrzegł. Cokolwiek to było, nie było duże, za to diabelnie szybkie. Doszedł do wniosku, że jest bardziej zmęczony, niż przypuszczał. Znów chciał się napić, gdy usłyszał skrzypnięcie drzwi, wolne i przeciągane, puls przyspieszył, dreszcz przebiegł po plecach. Zwrócił uwagę na uchylone wejście do pomieszczenia gospodarczego. Ruszył w tamtą stronę, ale po chwili stanął jak wryty, nie dowierzając.

To była para małych oczu. Ktoś go obserwował.

– Hej, tam nie wolno wchodzić – powiedział. – Proszę wyjść...

Głośny szept dotarł do jego uszu, suchy jak szelest starych drzew, żołądek podszedł

mu pod gardło, patrząc na cień zza dystrybutora, był pewien, że głosy dochodziły właśnie stamtąd. Pot zalał mu czoło, upuścił kubek, którego zawartość rozlała się po korytarzu, potrząsnął głową i wrócił wzrokiem na baniak, który był teraz otulony ubrudzoną smołą ludzką dłonią. Przerażony zerwał się do ucieczki, lecz poślizgnął się na kałuży i upadł. Przez paniczne ruchy zachowywał się jak na lodzie, potrzebował chwili, aby podeszwy złapały przyczepność. Gdy mu się to udało, uciekł skracając do następnej uliczki. Zdezorientowani gapie wzruszyli jedynie ramionami, nie wiedząc co zaszło.

Nie była to jedyna dziwna sytuacja, jaka miała miejsce tej nocy. W hali w oddziale zakaźnym od dłuższego czasu nie zawitał nikt z personelu, nawet sam dyrektor. Od momentu, gdy Taylor został wciągnięty do Horyzontu swą symfonię grała aparatura spisująca dane znajdujących się tam pacjentów. Do koncertu dołączył jeszcze jeden dźwięk – nierytmiczny tupot małych stóp.

– Nie ma za co.

Max odskoczył, przestraszony. Na jednym z łóżek siedział Noah. Z siwymi włosami zaczesanymi do tyłu, wyraźne zmarszczki na twarzy podkreślały jego wiek.

– Gdybym go nie wystraszył – pokazał upačkaną dłoń – leżałbyś teraz w łóżku pilnowany przez ochronę.

– Proszę mnie tak nie straszyc. – Łapał oddech z grymasem na twarzy.

– I do tego strachliwy. Fakt, że przetrwałeś tyle czasu zdany tylko na siebie w Umbrze to cud.

– Nie byłem sam – odparł z gniewem w głosie. – Pomagał mi brat i ta pani w białej sukience.

– Jaka pani? – Staruszek zszedł z łóżka, zaintrygowany – Jak miała na imię?

– Nie powiedziała. Gdzie ono jest?

– Tam. Pospieszmy się.

Mknąc przez gąszcz łóżek, zwolnił obok jednego, tego na którym leżał, puste i ładnie pościelone, czekało na zastępstwo. Pamiętał jak przez mgłę, jakby było złym snem. Ruszył dalej i dobiegł do przedmiotu, podniósł ramię, jednak lustro było w setkach części. Chłopiec klęknął i zaczął przykładać do siebie kawałek po kawałku, jak puzzle.

– Nie po to tu przyszliśmy.

Max przyglądał się sobie w dwóch kawałkach, po czym je od siebie oddzielił, głowiąc się jak to możliwe, że w jego ciele była kiedyś inna osoba.

– Naprawdę przeszli przez to lustro? Jak tam jest, w tym miejscu, w którym przebywa Taylor? – spytał zaciekawiony. – Byłeś tam kiedyś?

– Sam go o to zapytasz jak już go wydostaniemy. Ta hala powinna mieć krany i odpływ. Znajdźmy je.

– Po co? Potrzebujesz wody? Do czego? Przecież nie skleimy tego w całość, a nawet jeśli, to i tak będzie widać rysy. Nigdy nie kleiłem lustra. Co mamy z nim zrobić?

– Zawsze tyle gadasz? Jesteś przeciwieństwem swojego brata.

– Lubię wiedzieć – stwierdził Max i znów spojrzał na lustro. – Zawsze, kiedy ktoś mówi o czymś, czego nie wiem, albo mnie zapyta, a nie znam odpowiedzi, to sprawdzam w Internecie. Nieznane mi słowo, albo jak ktoś mówi skąd jest, a ja nie wiem, gdzie to miasto leży, to wpisuję w...

– Mały! – przerwał mu Noah. – Przestań wreszcie gadać i znajdź ten kran.

– Tak jest!

Pomimo swojego stanu, biegł wzdłuż ściany. To samo uczynił starsuszek. Hala była jak pełnowymiarowe boisko piłkarskie, ale znalezienie tego, czego szukali nie zajęło im dużo czasu. Max klęknął przy kranie w ścianie i zawołał ducha.

– Znalazł...

– Pokaż.

Znów go przestraszył pojawiając się tuż obok niego.

– Obiecałeś – skomentował pod nosem chłopczyk.

– Teraz słuchaj uważnie. Lustro jest kilkadziesiąt metrów stąd, ludzkie jelita sięgają nawet do sześciu metrów. Rozetniesz mi brzuch oraz innym, tyłu, ilu będzie trzeba i wyciągniesz je, następnie podepniesz jedno do drugiego, a na końcu do kranu i rozlejesz wodę po lustrze. To powinno wystarczyć.

Twarz chłopca zrobiła się blada jak kartka papieru, wstręt i obrzydzenie wytrzeszczyło mu oczy.

– Żartowałem – dodał dziadek bez emocji. – Dobra robota, zaklej odpływ i włącz wodę, w tak dużym pomieszczeniu powinno być więcej takich miejsc. Zrób dokładnie to samo z każdym znalezionym, a kiedy skończysz wróć do lustra.

Max wykonał polecenie bez komentarza. Po ostatnim kawale nie miał już ochoty o nic pytać. Znalazł dodatkowo trzy osobne odpływy i odkręcił wodę. Wrócił do lustra, przy którym kuczał starzec.

– Co dalej? – spytał, stękając od bolącej tydki.

– Wyjść z Horyzontu można tylko tą samą drogą, jaką się tam weszło i do tego jest potrzebna idealna tafla, woda nam ją da. Nic więcej nie możemy zrobić.

Chłopiec rozglądał się dookoła i przyglądał kawałkom lustra. Noah widział, że coś mu chodzi po głowie.

– Czyżby coś ci nie odpowiadało? – spytał.

– To nie zadziała. Nawet jeżeli woda utworzy idealną taflę, przejścia wciąż nie będzie, ponieważ leży ono w rozsypanych kawałkach. Musimy ułożyć fragmenty lustra na podłodze tak, aby wyglądało jak pełne, zrobmy to zanim sięgnie je woda. Wciąż będą na nim pęknięcia, ale na wodzie już nie, a tuż pod taflą będą drzwi do Horyzontu. Wtedy będzie mógł wrócić. Bez tego to tylko woda.

Stary mężczyzna wolno pokiwał głową. Był pod wrażeniem pomysłu chłopca.

– Masz konkretny plan. Rzeczywiście, jesteś przeciwieństwem brata – parsknął śmiechem.

– To zadziała?

Noah wziął głęboki wdech, nie mówiąc nic.

– Zadziała czy nie?

– Musi. – W głosie słychać było zaniepokojenie. – Bierzmy się za składanie.

Zdeterminowany chłopczyk rzucił się w wir pracy. Starzec pomagał, ile mógł, ale tracił na sile. Trzymanie szkiełek w dłoni zaczynało być jedynie urojeniem, zaczęły mu wypadać przenikając przez palce. Woda zbliżała się do nich, ostatni kawałek docisnął w momencie, gdy ciecz wlała się pomiędzy pęknięcia. Max odskoczył do tyłu i zmartwionym, lecz pełnym nadziei wzrokiem spojrzął na tracącego ostrość ducha. Noah siedząc na najbliższym pustym łóżku wskazał palcem na miejsce obok siebie. Usłuchał.

– I co teraz? – spytał Max, obserwując wodę.

– Czekamy.

\* \* \*

Nie wiedział jak długo to już trwa, ile czasu idzie wzdłuż nieoświetlonego, wąskiego tunelu, zbudowanego dla kogoś o wzroście kilkuletniego dziecka. Przemieszczając się czuł nieprzyjemny ból kolan – mięśnie paliły od ciągłego przysiady. Idąc przed siebie, miał wrażenie, jakby podążał już kilka dni i jeszcze ani razu nie skręcił. Głód, zmęczenie, strach to tylko kilka splotów węzła gordyjskiego, z jakim się teraz borykał Taylor. Pamiętał słowa staruszka, że Horyzont jest inny dla każdego, dlatego tak ciężko jest określić jaki on naprawdę jest. To miejsce miesza w twojej głowie, pokazuje rzeczy, których nie ma, albo przeinacza te, które są wedle twoich zmartwień, strachów czy wyobraźni. Nienawidził ciasnych pomieszczeń. Nie miał klaustrofobii, ale nie potrafił zachować spokoju wchodząc do dwuosobowej windy, a teraz zmuszony był iść, jak mu się zdawało, coraz węższym korytarzem, gdzie wyprostowanie nóg graniczyło z cudem.

Nie mógł się cofnąć. Gdy patrzył wstecz, widział jedynie przeciskającego się stwora z końskim pyskiem. Ścigał go jak dżdżownica przeslizgując się dzięki obślizgłej skórze. Nie wydawał dźwięków, po prostu posuwał się naprzód. Srebrna nić świeciła lekko, dając półmrok jedynie na to, co za nim. Czuł jakby tracił zmysły. Powietrze było suche, podrażniało gardło, pył z sufitu sypał się na twarz, ścieranie go po raz setny bardziej sprawiało już ból, niż ulgę.

Miał dość, musiał odpocząć, nogi odmawiały posłuszeństwa. Oparł się o ścianę, chciał nabrać powietrza, ale zdusiło go i zakaszłał. Stwór zatrzymał się, a po chwili wyciągnął długą rękę przed siebie. Czuł, że Taylor słabnie fizycznie, jak i mentalnie.

Chłopak poczuł pieczenie na plecach. Ściana zaczęła go wchłaniać, więc szybko wyrwał się i wrócił do poprzedniej pozycji, ostatkami sił idąc dalej. Samo miejsce było torturą, nie pozwalało odpocząć. Gdy tylko zatrzymał się na ułamek sekundy, zarówno ściany, jak i podłoga wsysała go. Każda chwila bycia tam stanowiła o przetrwaniu. Gdy nadzieja miała już opuścić go na dobre, poczuł powiew zimnego



powietrza, niewielki, ciągnący się po podłodze jak przeciąg.

Taylor ruszył, zapominając o bólu. Nie dręczył go już głód, nie pamiętał o zmęczeniu, dostrzegł światło w tunelu i tylko to się teraz liczyło. Widział wyjście. Klaustrofobiczne miejsce zadrzało. Spojrzał za siebie, stwór rzucał się jak szalony, dociągał się przodującą ręką. Oboje pędzili, ale chłopak był pierwszy, uderzając barkiem w uchylone wyjście wypadł na lodowatą podłogę rozganiając mgłę. Zerwał się i zamknął maleńkie wrota, po czym podważył je leżącą niedaleko metalową rurką. Łapał oddech i odganiał oblepione włosy z twarzy, jakby chwilę wcześniej wszedł przodem głowy w wielką pajęczynę. Zimne powietrze niemal parzyło skórę. Skulił się by trzymać ciepło, plecy i nogi bolały, gdy po takim czasie się wyprostowały.

Wpadł jednak z deszczu pod rynnę. Był bardziej skołowany niż kiedykolwiek, widząc, że stoi na tym samym skrzyżowaniu, z którego wszedł do tunelu, z czekającym na niego hienowatym stworem, z czterema ostrymi jak sztylet pazurami, po jednym na każdej masywnej łapie. Kurz spod jego szponów wciąż unosił się w powietrzu, ten sam co w momencie, gdy Taylor barykadował wejście. Co znaczyło, że jego pobyt w tunelu trwał zaledwie kilka sekund. Miał wrażenie, że traci głowę. Stwór z ogromnymi nozdrzami zajmującymi połowę pyska warczał i zgiął się na nogach gotowy do ataku. Osoba, którą Taylor przykrył materiałem ratując w ten sposób przed obślizgłym stworem, przyglądała się całej sytuacji. Zrzucił z siebie okrycie i posłał chłopakowi błagalne spojrzenie, po czym krzyknął przeraźliwie zwracając na siebie uwagę potwora. Ten zaryczał przeciągle i demonicznie, następnie rzucił się na niego, tnąc, gryząc i szarpiąc. Krew tryskała z niego, a kawałki odgryzanych wnętrzości mokro upadały na podłogę. Taylor, nie czekając ani chwili dłużej, wykorzystał ten moment do ucieczki. Tym razem wybrał ciemny korytarz.

Alejkę dalej stało się dla niego jasne, w którym miejscu szpitala się znajdował. Punkt docelowy nie był daleko. Jego oczom ukazał się szyb do windy, przez który wdrapał się piętro wyżej. Ruszył w jej kierunku, ale zatrzymało go ostre żółte światło, bijące z korytarza po lewej. Taylor zasłonił się przed nim, ale nie przyniosło to efektu. Potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, że zakrywał twarz dłonią, której nie miał.

Zmienił rękę i przez palce dostrzegł kulejącą, masywną postać odzianą w czarną szatę, sięgającą podłogi z rogami, trzymającą w dłoni lampion. Szła na dwóch nogach jak człowiek, z jelenią czaszką na głowie.

Postać oświetliła go, po czym skierowała snop światła w inną stronę i poszła dalej. Gdy zniknęła z pola widzenia, Taylor wszedł do środka luku windy i podszedł do drabiny przy ścianie. Po mężczyźnie, który pomógł mu ostatnim razem została tylko bordowa plama, ciągnąca się kilka metrów w dół – była świeża i nadal spływała. Taylor wdrapał się na górę, co z jedną ręką nie było łatwe.

Będąc na piętrze, zobaczył wejście do zakaźnego. Ruszył w tamtą stronę, kiedy nagle usłyszał znajomy klekot uderzanych o siebie kamyków.

To był ten stwór. Tak charakterystyczny dźwięk rozpoznalby wszędzie. Kreatura była coraz bliżej. Chłopak zaczął się w panice rozglądać dookoła. Napięcie rosło, a czasu było coraz mniej.

Taylor dostrzegł popielaty koc, brudny i zalany dziwnymi cieciami, rzucony pod ścianę. Idealny, pomyślał. Wskoczył pod niego susem i cały się zakrył. Słyszał jak stwór szedł wolno korytarzem, grając przeraźliwą muzykę uderzanych kilku ciężkich odnóży, jak u przerośniętego kraba. Obwąchiwał wszystko na swej drodze.

W końcu jego nozdrza wydały donośny świst, a on sam zafurczał, rozwścieczony.

Przez chwilę panował względny spokój, a potem kreatura ruszyła agresywnie w dół windy, najwyraźniej tracąc cierpliwość.

Taylor odczekał moment, aż odgłosy całkiem ucichły. Mógł pokusić się o powrót do zakaźnego, ale nie potrafił się ruszyć. Kawalek jego przedramienia był w ścianie. Wystarczyła chwila, aby stał się częścią elewacji. Pieprzony Horyzont, pomyślał, kompletnie sfrustrowany sytuacją.

Wziął głęboki wdech i szarpnął raz, a potem drugi. Nic.

Szarpnął znowu, aż w końcu zdał sobie sprawę, że kawałek mięsa ugrzązł w ścianie. Patrzył na to, oniemiały, nie czując nawet bólu. Część jego ciała była w betonie... a krew skapywała na ziemię wydając z siebie cichutki plask. Kreatura musiała go nie usłyszeć. Będąc tuż przed wejściem do zakaźnego, zaczął wspinać się po górcie z gruzu. Znajdując się już na szczycie przełożył pierwszą nogę.

– Pomocy! – usłyszał nagle.

Zatrzymał się. Doskonale znał ten głos.

Bez zastanowienia zszedł szybem w dół. Dookoła widział jedynie zrujnowane korytarze, których ściany i sufity oblepione były paskudną mazią. Była też mgła. Unosiła się tuż nad podłogą.

Max... Skąd on się tu wziął? Jeśli to sprawka staruszka, chyba mu nogi z dupy powyrywam, powtarzał w myślach.

– Max, gdzie jesteś!? – rzucił głośniejsze.

– Taylor!?! Tutaj!

Skreślił w prawo.

– Nie podnoś głosu. Czekać tam, gdzie stoisz – nakazał mu, mówiąc pół tonu ciszej.

– Szybciej, błagam...

Taylor rozglądał się na wszystkie strony, podążając za głosem braciszka. Nie musiał pamiętać drogi powrotnej, bo tą kreśliła srebrna nić, ale kolejnego spotkania ze stworami może po prostu nie przeżyć, szczęście w końcu się wyczerpie. Dotarł do skreślenia w lewo.

– Max, jesteś tu? – wyszeptał i wybiegł zza zakreślenia. W gardle stanęła mu twarda gębel, gdy zamiast brata, dostrzegł na drodze przed sobą cień. Powoli odwracał się do sparaliżowanego z przerażenia Taylora patrząc na niego swymi srebrnymi oczyma.

– Tak, bracie, jestem tutaj – odpowiedział upiór głosem Maxa.

\* \* \*

Woda nad lustrem lekko drgała, unosząc się małymi pagórkami. Noah wpatrywał

się w nią ze skupieniem, jak saper podczas rozbijania bomby. Pagórki zamieniły się w góry, a góry w fale, zdenerwowany spojrzął w lewo na wracającego chłopca, który rozchlapał wodę, zakłócając idealną taflę. Rozlana ciecz zakryła mały przedmiot leżący na podłodze, o który się potknął i runął na czworaka. Rozzłoszczony uderzył ręką o taflę, a woda chlusnęła na wszystkie strony. Staruszek wychylił się.

– Co ty robisz!? – krzyknął, nie kryjąc zdenerwowania. – Wszystko psujesz!

– Przepraszam, nie czuję się najlepiej... – przetarł oczy i wstał.

– Zakręciłeś wszystkie krany?

Max nie odezwał się, trzymał się za łydkę i stękał.

– Młody! Czy wszystkie krany zostały zakręcone!? – powtórzył zbulwersowany starzec.

– Tak! – Kulejąc, zbliżał się do mężczyzny, stojącego nad rozbitym lustrem z wyraźnym grymasem zniecierpliwienia. Woda nie przestawała falować, wciąż zniekształcała odbicie. Widząc zmarszczoną minę z bólu i wiercenie się chłopaka, zrozumiał, że przesadził. Noah wskazał palcem na najbliższe łóżko.

– Przynies mi zielone pudełko, znajdziesz je w pierwszej szufladzie – rzekł staruszek.

Nadal ponury Max zrobił to bez gadania.

– Odpakuj.

Wyciągnął strzykawkę z plastikową zatyczką.

– Jest dla ciebie, weź zamach i wbij sobie w udo, to uśmierzy ból i zbije stan zapalny.

– Proszę? – spytał zdezorientowany i wyraźnie zmęczony chłopiec. – Ale ja nie chcę.

– Masz dwanaście lat, przeszedłeś więcej niż można cię było o to prosić, a jeszcze trochę przed tobą. Twoje leki przestają działać, nie tylko ból stanie się nie do wytrzymania, ale dostaniesz również gorączki i to ciebie będzie trzeba ratować.

Przyglądał się strzykawce przez chwilę.

– Nie jestem na to za młody?

– Gdy spałeś karmili cię gorszymi specyfikami, nic ci nie będzie. – Kiwnął głową z uśmiechem. – No, dawaj.

Z zaciśniętymi powiekami chłopiec wbił igłę w udo i stęknął z bólu.

– Co teraz? – spytał po chwili.

– Teraz woda musi się uspokoić.

Max kucnął i złapał się za ranę na łydce, która najbardziej mu doskwierała. Znów zmącił wodę.

– W ten sposób nie wyciągniemy twojego brata... Wstawaj i nie ruszaj się, ile razy mam powtarzać żebyś wreszcie zrozumiał? – Staruszek był nadal zdenerwowany. – Hej, młody, co z tobą?

– Nie wiem, przepraszam.

– Przecież widzę...

Max milczał.

– Twój brat nie miał problemu, żeby ze mną rozmawiać – powiedział Noah. – Jeżeli coś cię trapi, chcesz się czegoś dowiedzieć, to wal śmiało, może będę w stanie pomóc. Mamy czas – wskazał na kołyszącą się wciąż wodę.

Chłopak drapał mocno wewnętrzną część dłoni. Nie uniósł głowy, milczał, zbierał się w sobie.

– Zawsze się mną ktoś opiekował, na początku był to tata, ale on umarł i wtedy jego rolę przejął Taylor, bo mama... – Wziął wdech. – Mama się pogubiła, nie dawała sobie rady po śmierci taty i ja też, ale mój brat był silny, zajął się nami, przede wszystkim mną. Gdy Taylorowi zaczęły przytrafiać się te koszmary, trafił do zakładu a później uciekł, zostałem sam z mamą, ale ona teraz też nie żyje, a Taylor jest gdzieś, skąd nie wiemy czy wróci. Nie ma już nikogo, kto się mną zajmie, zostałem sam i... – Miał łzy w oczach. – Boję się. Nie wiem co robić, nie wiem co będzie, nawet jak Taylor wróci, to mnie pewnie nie zabierze ze sobą, trafię do domu dziecka i... i...

Rozpłakał się, a Noah pojął, dlaczego z chłopaka, który w pojedynkę, był gotów przejść przez piekło tylko po to, by wrócić do domu, co wymagało dużej odwagi i siły, teraz patrzy na bezbronne dziecko, które boi się o własny los. Jak się okazało, ci, dla których to wszystko przeszedł, już nie żyją i nie ma nikogo, kto by na niego czekał. Starszy mężczyzna spuścił wzrok.

– Pewnego dnia do ojca przyszedł zrezygnowany syn – zaczął starzec. – Czuł się bezsilny, nie widział nadziei na lepsze jutro, miał problemy w szkole i nie wiedział, jak ma sobie z nimi poradzić. Więc spytał go o wskazówkę, radę. Ten stanął na wprost niego i zapytał, czy wie coś o wojsku, o misjach żołnierzy. Syn pokręcił przecząco głową. Wtedy zaczął opowiadać mu pewną historię. Razu jednego pewien wojak otrzymał specjalne zadanie. Było nim wtargnięcie niezauważonym na teren wroga i wykradnięcie tajnych informacji. Żołnierz popłynął pod osłoną nocy, uznając, że woda będzie idealnym kamuflażem. Nie spodziewał się jednak, że na jego drodze stanie statek, który dobił do portu tego wieczoru. Nie mógł go opłynąć, ponieważ zostałby zauważony, nie miał również zamiaru rezygnować z misji. Żołnierz posiadał butle z tlenem, więc zanurzył się, aby przepłynąć pod statkiem. Im niżej się zanurzał, tym jego sytuacja się pogarszała. – Chłopiec słuchał z zaciekawieniem. – Widoczność spadła do zera, rosnące ciśnienie przeszkadzało w myśleniu, na tej głębokości światło księżyca już nie docierało, nie widział nawet własnej dłoni przed twarzą, kompas i elektronika również były niewidoczne. Był zdany tylko na siebie, a każdy zły ruch mógł kosztować go życie. Znalazł się w najgorszej sytuacji w swoim życiu. Nie spanikował jednak, przypomniał sobie trening, uspokoił umysł, działał wedle założonego planu, gdy nie tylko misja, ale jego życie i rodziny było na szali. Dotykając dłońmi dna statku, by nie zgubić się w próżni, zdołał wypłynąć na drugą stronę, wzrok, sprzęt, oddech, wszystko wróciło do normy. A żołnierz ukończył misję z sukcesem. Morał tej opowieści jest taki, że gdy przyjdą najciemniejsze momenty w życiu, aby je pokonać, musisz być najlepszą wersją siebie. Wtedy dopłyniesz do

miejsca, gdzie światło znów cię sięgnie.

Max odwrócił wzrok, trawił przekaz.

– Czy udało mu się w szkole? – spytał nagle.

– Komu?

– Temu chłopcu, który przyszedł do taty o pomoc.

– Tak – uśmiechnął się staruszek. – Wyszedł na ludzi.

Chłopak wyprostował się i stanął pewnie, wpatrując się w taflę ze świeżą energią. Niedługo później wydawała się być idealna.

– Taylor! – krzyknął Noah.

Chłopiec spojrzał na starca, nie wiedząc czy ma iść w jego ślady.

– Chłopcze, to my! Jesteśmy tutaj!

– Co się dzieje? – spytał.

– To działa! – powiedział, uradowany. – W Umbrze widać przejście, może wrócić! Wołaj go!

Krzyczeli w nadziei, że w końcu się pojawi. Korytarzem szpitala przechodziła pielęgniarka, mijając zakażny zauważyła, że na recepcji nikogo nie ma, a stale zamknięte drzwi są uchylone. Podeszła wolno do nich i zajrzała do środka. Niczego nie słyszała, więc sięgnęła po służbowy telefon na blacie, nikt z ochrony nie odebrał. Kolejna próba była połączeniem się z sekretarką dyrektora, lecz tam również nikt nie podniósł słuchawki. Przeszła zatem korytarzem i pospiesznie weszła do środka hali, pchając wodę drzwiami, wywołując falę płynącą w kierunku chłopca. Przerażony zauważył płynącą do niego wodę, odwrócił się wiedząc, że zostały ostatnie sekundy zanim ta zdeformuje nieruszoną jeszcze taflę nad lustrem. Max zawołał donośnym głosem.

– TAYLOR!!!

Fala dotarła do chłopca.

\* \* \*

Taylor chodził od prawej do lewej, był w potrzasku. Szpital w Horyzoncie był podziurawioną ruiną, jak po wojnie. Przez wszystkie otwory wpadało białe światło, oświetlając wnętrze punktowo, w innych miejscach panowała ciemność. Ucieczka była niemożliwa. Krążył w okręgu światła trzymając się środka, by nie dać się porwać upiowskiemu wyłaniającemu się zawsze tam, gdzie się zbliżał. Dał się zapędzić w pułapkę, jeżeli nie dorwie go cień, zrobi to inny stwór. Horyzont będzie jego grobem, wiedział o tym.

– Uwolnij mnie – wyszeptał Taylor.

Cień zatrzymał się i pochylił w kierunku chłopaka, wyraźnie zainteresowany tym, co się dzieje.

– Tak do mnie wtedy powiedziałaś. „Uwolnij mnie”. – Patrzył w podłogę zamyślony. – Długo się zastanawiałem, co miałaś na myśli, ale już rozumiem. Jesteś

tylko marionetką, a ktoś pociąga za sznurki. Domyślam się, że będziesz wolny dopiero po wykonaniu zadania, jakim jest zabicie mnie. Zgadza się?

Upiór skinął delikatnie głową. Taylor zaśmiał się w głos, reszta układanki była prosta, mimo to zapytał:

– Kim jest osoba, która cię na mnie nasłała?

Cień ugiął się w kolanach i wyciągnął łeb w przód.

– Philip – odpowiedział głosem Maxa.

Philip, powtórzył w myślach. Udawał dobrego, chętnego do pomocy tylko dlatego, że miał z tego korzyść. Rozmawiał z nim patrząc w oczy, mimo iż nasłał na niego jednego z upiorów.

Kres był blisko, Taylor chciał rozegrać to na swoich warunkach, nie dając satysfakcji ani cieniowi, ani dyrektorowi. Nie miał zamiaru przegrać tego pojedynku.

– Tu jestem.

Nie musiał mówić głośno. Upiór przekręcił głowę, nie rozumiał, zmrużył srebrne spodki na czarnej twarzy. Taylor odwrócił się, wiedząc, że się nie zawiedzie. Zza zakrętu już wystawał długi stwór z końskim pyskiem. Stał nieruchomo trzymając się ściany, patrzył wciąż bez wyrazu, jakby mięśnie twarzy przestały działać. Mozolnie odkleił się od splekanej ściany, zostawiając na niej mokry ślad, jak ślimak i krok po kroku, zgarbiony zbliżał się do swojej zdobyczy. Upiór zjeżył się. Szalał po ścianach i suficie, rzucał się do przodu wystawiając się na ból, wyciągając część ciała poza zasięg cienia, aby sięgnąć chłopaka, póki jeszcze nie jest za późno.

Taylor klęknął, z uśmiechem patrząc na upiora. Czerpał satysfakcję, że po tylu latach uganiania się za nim, ktoś inny pozbawi go życia tuż przed jego nosem, a on sam zostanie uwięziony na obcym, zakazanym terenie. To nie było zwycięstwo, ale też nie przegrana. Stwór wszedł w okrąg światła, a kolana chłopaka zaczynały piec wchłaniane przez posadzkę. Zamknął oczy.

– Taylor! To my! Mamy przejście!

– Wracaj!

Echo niosło dwa dobrze znane mu głosy. Dochodziły z miejsca, w którym znajdował się oddział zakaźny. Wciąż mam szansę! – uradował się. Wyrwał kolana z podłogi, zostawiając skórę i w ostatniej chwili uniknął łapy obszliszłego potwora. Odgłos rysowanych szponami kafelek przyprawiał o dreszcze. Kreatura rozłożyła ręce, zagradzając drogę ucieczki. Chłopak nogami rozgonił mgłę, sprawdził zasięg śladów szponów i stanął tuż przed nimi. Stał tyłem blisko granicy mroku. Cień ciął powietrze jak wściekły centymetry za jego plecami, a po jego karku przepływały powiewy zimnego wiatru. Natomiast przed nim z wyciągniętą łapą zbliżał się stwór. W tej samej chwili, gdy po niego sięgał, Taylor cofnął się o krok.

Potwór owinał masywną łapę wokół jego tułowia i uniósł w powietrze, podczas gdy upiór chwycił za nogę. Widzący to mieszkaniec tego wymiaru zdzielił cieniem ręką, a ten nie został mu dłużny. Wdali się w szarpaninę. Każdy chciał mieć ofiarę tylko dla siebie i nie zamierzał się dzielić. Taylor wyslizgnął się z uścisku zajętego walką

stwora i pognał w pierwszą alejkę w prawo. Kątem oka zobaczył jak obaj wskoczyli do cienia, posyłając w lot kolejne ciosy.

Dopiero gdy wyszedł z szybu windy zauważył, że obślizgły stwór zatopił w jego brzuchu pazur. Krew barwiła ubrania, słyszał wołania braciszka, mieszane z odgłosami zaciętej walki jego dwóch tropicieli. Wykrwawiał się, a lepiąca podłoga zaczynała być coraz trudniejsza do pokonania. Odnosił wrażenie jakby kroczył po ogromnym rzepie, a sam Horyzont próbował go zatrzymać. Chęć przeżycia była tym, co pozwalało mu stawiać każdy kolejny krok. Nie chciał podzielić losu innych wrośniętych w to miejsce.

– Nie poddawaj się! Obiecałeś, że wrócisz!

Ostatkami sił pobiegł do oddziału zakaźnego, gdzie we wnętrzu zobaczył poprzewracane łóżka. To cud, że nie spadły przez dziurę ściągnięte przez wylewającą się wodę. Pod przeciwległą ścianą luna wskazała mu drogę, tam też było miejsce, którym dostał się do wymiaru. Po ludziach nie było ani śladu. Zrobił kilka kroków wprzód i wtedy poczuł znane mu uczucie osłabienia, ciężaru w klatce i miękkich nóg. Spojrzał w tył. Srebrna nić zrobiła się blada, ledwo widoczna. Idąc dookoła naciągnął ją do granic, sięgnęła właśnie swojego limitu. Z oddali niósł się piskliwy ryk upiora, zwyciężył pojedynek i zmierzał właśnie tu. Taylor nie był jedynym, który go usłyszał. Coś odrzuciło jedno z łóżek po prawej, chłopak dostrzegł stwora, który klikał, był w hali i właśnie go zauważył. Taylor ruszył przed siebie, a nić się zerwała. Niemal upadł na podłogę. Stwór szarżował na niego niczym czołg taranując wszystko na swej drodze. W ostatniej chwili złapał nici wyskakującej z dziury, a ta zaczęła się jego ciała. Zauważył upiora materializującego się w najbliższym cieniu. Wszyscy skoczyli do wyjścia z Horyzontu odbitym na tafli wody, Taylor, stwór oraz upiór.

\* \* \*

Max jak w zwolnionym tempie oglądał falę, która już rozbijała się o jego nogę. Wtedy jeszcze przejrzysta tafła nad lustrem chlusnęła lekko, jakby wpadł do niej mały kamień. Ciemna postać wyskoczyła na powierzchnię, lecz od razu zniknęła. Chłopiec zląkł się i przewrócił na plecy, moczając ubranie. Widząc to, pielęgniarka podbiegła i pomogła mu wstać.

– Co ty tu robisz!? Tutaj nie wolno nikomu wchodzić, to niebezpieczne! – Rozejrzała się po podłodze. – Co tu się stało?

Chłopczyk wychylił się patrząc na zanurzone, rozbite lustro. Udało się? – zastanawiał się.

– Musimy wylać wodę. – Zazgrzytał zębami z zimna. – Trzeba to zrobić teraz.

– Jesteś zmarznięty, potrzebujesz pomocy. Chodź.

Złapała go za nadgarstek i pociągnęła ku wyjściu.

– Nie!

Wyrwał się i pobiegł do odpływu. Chciał go odblokować, ale ta go podniosła. Na nic zdało się kopanie i machanie rękami, ponieważ nie odpuszczała.

– Musimy wylać tę wodę! To bardzo ważne!

– Zostanie wylana, nie martw się o to. Zgłosimy to i zajmą się tym odpowiedni ludzie. – Postawiła go na ziemi.

– Pani nie rozumie!

Próbował ją ominąć, ale pewnym chwytem wyprowadziła go z hali. Przed zamknięciem rozejrzała się jeszcze za innymi intruzami, ale nikogo więcej nie było.

Zamknęła drzwi.

\* \* \*

– Nie żyjesz? – spytał staruszek przyglądając się leżącemu nieruchomo Taylorowi.

– Jak niby miałbym odpowiedzieć, gdyby tak było? – wystękał chłopak. – Zglupiałeś?

– Udało ci się! – krzyknął uradowany mężczyzna. – Nie wierzę!

Leżał na podłodze. Drżał, ledwo łąpał oddech, był w opłakanym stanie. Noah kucnął przy nim i sprawdził jego stan. Musiał jak najszybciej połączyć się z ciałem, inaczej nie przeżyje. Podniósł go. Zarzucił jego rękę za swój kark i robiąc za podpórę szedł w kierunku drzwi.

– Cze... czekaj... – wyszeptał wycieńczony Taylor. – Cienie. Zostawiłem latarkę. Nie przejdziemy.

– Coś wymyślimy.

Marsz nie należał do najłatwiejszych. Chłopak ledwo stał na nogach, a po tak długim ukazywaniu się w świecie materialnym, starzec nie zregenerował się jeszcze całkowicie. Dwukrotnie upadli, lecz finalnie udało się im wyjść z oddziału. Przy recepcji czekało na nich czterech podróżujących, których ciała leżały na łóżkach w oddziale zakaźnym. Stali, zagradzając im drogę.

– Czymże sobie zasłużyłem na te odwiedziny, Tim i... i... – Noah patrzył po pozostałych trzech, nie mógł przypomnieć sobie ich imion. – I koledzy – uśmiechnął się sztucznie.

– Wiesz dobrze – odparł groźnie Tim.

Taylor uniósł wzrok i rozpoznał go od razu. Przypominający bezdomnego facet – prześladowca Maxa, który specjalnie zasłaniał żaluzję, gdy braciszek został porwany przez upiora.

– Co tu robicie? – spytał Noah.

– Moglibyśmy spytać cię o to samo – wtrącił brodaty towarzysz. – Nie wolno ci zbliżać się do tego miejsca.

– Robię co chcę, a wasze zakazy mam w nosie. Zejdźcie nam z drogi.

Staruszek chciał przejść, ale czwórka mężczyzn zwięzła odstępy.

– Oddaj chłopaka, a pozwolimy ci przejść. Ciebie to nie dotyczy.

– Dotyczy mnie to bardziej niż sobie wyobrazasz. – Zatrzymali się. – Powiedz, czy to ty ścigałeś jego młodszego brata? Philip wam kazał straszyć dziecko? To takie



męskie.

Spojrzeni po sobie.

– Proszę ostatni raz, przekaż nam go i wyjaw, gdzie się chowa ta suka, która wtrąca się w nie swoje sprawy.

– Ostatnimi czasy zrobiło się tutaj tłoczno. – skomentował Noah.

Zza pleców napastników pojawiły się czarne upiory. Początkowo były dwa, ale wkrótce zjawiała się cała chmara. Jeden z oprychów zorientował się, że Noah nie patrzy na nich, widział, że jego wzrok skupiony jest dalej. Odwrócił się, by sprawdzić, a wtedy cienie sięgnęły po nich, wszystkie na raz. Cisnęły się na ofiary jak wataha wilków na rozkaz alfy i zaciągnęły ich do ciemnych punktów, wykręcając ręce i nogi. Mężczyźni próbowali walczyć, bronić się, ale bez skutku. Nie byli przygotowani na taki atak, nie spodziewali się takiej ilości cieni – wcześniej wcale ich tyle nie było. Liczba zwiększyła się dopiero po przyjeździe Taylora. Kilkanaście sekund później nie było już nikogo kto by im zagrażał, a cienie zanurzyły się w czerni, pozwalając im przejść.

– Co się dzieje? – wystękał półprzytomny Taylor.

– Nie mam pewności, ale zdaje mi się, że pozbycie się tamtego upiora tak na nich zadziało, odwzięczyli się – poprawił go na ramieniu starzec – Traktuj to jako jednorazowe zdarzenie.

Kącik ust Taylora delikatnie unióśł się ku górze. Szli pustymi korytarzami, po raz pierwszy nie obawiając się cieni, przynajmniej do następnego powrotu, którego żaden z nich nie planował w najbliższym czasie. Ciałem Taylora szarpnęło, a po chwili znowu.

– Co ci jest? – spytał zaniepokojony Noah.

– Nie wiem, mam ataki przeszywania czaszki na wskroś. Jakby ktoś... AAA!!!

Taylor padł na podłogę, łapiąc się za głowę. Krzyczał z bólu, wyginał, rzucał jak ryba wyciągnięta z wody. Bezsilny starzec stał jedynie, przyglądając się całemu zajściu. Jeśli byłby to atak padaczki, musiałby po prostu go przeczekać, ale to nie mogło być to. Oni nie byli w materialnym świecie, duchy nie miewają dolegliwości, myślał szybko. Klęknął przy nim, starał się go obezwładnić, ale chłopak zdzielił go pięścią w twarz, aż huknęło. Padł na plecy. Leżąc tak czekał, aż w uszach przestanie pisać. Gdy zawroty głowy puściły, podniósł się; Taylor siedział już oparty o ścianę zalany potem i wycieńczony, zaczesał mokre włosy do tyłu.

– Przepraszam – rzekł dysząc. – Nie chciałem.

Noah dosunął się do ściany naprzeciwko i pomasaował bolącą szczękę.

– Nie szkodzi. Co to było?

– Nie wiem. – wymamrotał chłopak. – Nagle strasznie rozboleła mnie głowa, nigdy czegoś takiego nie czułem, jakby coś ostrego wwiercało mi się w mózg. Słyszałem czyjś głos, coś do mnie mówił... – Zmarszczył czoło i łapczywie złapał oddech, po czym kaszlnął zduszony gęstym powietrzem, jakie panowało w świecie cienia.

– Rozpoznałeś go?

– Nie. – Masował skronie. – Brzmiał znajomo, ale nie wiem kto to był. Przez ten cały ból nie zrozumiałem ani jednego słowa. Kawał wiadomości. – Zaśmiał się.

– Nieokiełznany ból towarzyszący niezrozumiałym słowom – zaczął staruszek, patrząc na niego spode łba. – Obawiam się, że to nie była wiadomość. – Złapali kontakt wzrokowy. – Tylko coś gorszego.

Taylor tasował go wzrokiem. Nigdy nie widział go tak poważnego.

– Czyli co? – spytał.

– Wkrótce się dowiemy – zaczął się podnosić – Możesz iść?

– Muszę.

Jak tylko Taylor wstał, zachwiał się. Starszy mężczyzna znów był jego podparciem i razem ruszyli przed siebie. Dotarli do pokoju braciszka. Mijając łóżko, chłopak złapał poręcz przy nogach pozostawiając na niej krew. Noah posadził go na fotelu w rogu pokoju, tam, gdzie zasnął cień. Taylor spojrzał staruszkowi w oczy i złapał go za rękę.

– Dziękuję ci za wszystko. – Uśmiechnął się szczerze. – Gdyby nie ty, nie dałbym rady.

– Dzięki tobie moja rodzina nie dzieli właśnie losu tych, których przed momentem zabrały cienie, więc jestem ci winien jeszcze kilka przysług.

Odwzajemnił uśmiech.

– Już się pewnie nie zobaczymy? – posmutniał.

– Matka nie żyje, a brat potrzebuje opieki. Po ostatnim tygodniu nie zamierzam wracać tutaj przez dłuższy czas. Przynajmniej nie z własnej woli. Ty też możesz wrócić do ciała i znów żyć.

– Tak zrobię – Noah posłał mu przyjazne spojrzenie.

– Dziękuję.

– Idź już.

Podali sobie dłonie. Taylor oparł głowę o fotel i zamknął oczy. Noah ruszył w stronę wyjścia.

– Nie! – usłyszał krzyk Taylora, odwrócił się. Chłopak był przerażony.

– Co się stało? – spytał.

– Nie mogę się obudzić. – Złapał się za głowę.

– Nie rozumiem.

– Moje ciało... – spojrzał na dziadka. – Jego tu nie ma.

## Chowanego

Nie wiedzieli co powiedzieć, siedzieli w ciszy, zamyśleni. Taylor co chwilę spoglądał na krążącego po pokoju, zdenerwowanego starca. W oranżowym świetle migotały złote pyłki, było ich sporo, wisiały w powietrzu leniwie opadając, co było nowością, gdyż w świecie cienia nie ma wiatru. Taylor uniósł wzrok i dostrzegł złamaną gałąź, która porastała sufit jak płącze, to ona sypała pyłem. Wyrzwał za okno, słońce było nisko, raziło po oczach.

– To Philip – odezwał się Noah. – Któż by inny.

– Najprawdopodobniej tak – stęknął Taylor, prostując się, sprawdzając zakres ruchu. – Pytanie brzmi, kiedy i po co?

– Zabierając Maxa z pokoju zostawiłem twoje ciało bez opieki. Nie przewidziałem tego. To moja wina.

– Daj spokój, nie jesteś jasnowidzem... – Zdusiło go i zakasłał, był bardziej poturbowany niż przypuszczał.

– Po co to zrobił dowiemy się wkrótce. Zapewne chciał się upewnić, że nie wrócisz, albo że nie wróci upiór. Może założył, że jesteś bez szans w tym starciu i chciał się zabezpieczyć. Albo po prostu jest zwykłą gnidą i żyje po to, by uprzykrzać życie innym. Ciężko stwierdzić. – Noah się zatrzymał i oparł ręce o biodra. – Jak się trzymasz?

– Źle. Coraz gorzej.

– Gdybyś otrzymał takie obrażenia w ciele fizycznym, wykrwawiłbyś się w kilka minut. Mamy szczęście, że postać astralna nie bazuje na tych samych prawach fizyki, co ciało. Zaczekaj tutaj.

Wyszedł na korytarz, na pierwszy rzut oka wydawał się pusty. Zbliżając się do ciemnej strefy, natknął się na upióra. Wyłonił się spod podłogi tworząc chmurę czarnego dymu i zagroził mu drogę. Trzymając się tej samej taktyki, co przedtem, ruszył pewnie przed siebie, dając mu znak, że się go nie boi, ale upiór osunął się płynnym i szybkim ruchem do podłogi, przybierając bojową pozę. Przejścia nie było. Noah patrzył w jego srebrne oczy i starał się go minąć. Jednak cień pracował jak odbicie w lustrze, tam, gdzie starzec tam i on. Relacje wróciły do normy, a granice znów obowiązywały, zrozumiał i wrócił do sali.

– Wygląda na to, że ważność naszej taryfy ulgowej właśnie się przeterminowała. Załatwili dla nas ludzi Philipa i pozwolili dotrzeć do ciała. Potraktowali to jako wyrównany rachunek. Upiór mnie nie przepuści.

– Pokaż się mojemu bratu, poproś go, żeby zlokalizował ciało.

– Przykro mi – Noah westchnął ciężko. – Ledwo stoję na nogach, to kosztuje mnie sporo wysiłku, muszę odpocząć.

Taylor przytaknął i ponownie oparł się w fotelu. Spróbował rozluźnić mięśnie. Tym razem nie mieli latarki. Duch matki Marthy prędejm by ich teraz zamordował niż pomógł, poza tym nie wiedząc, gdzie jest ciało Taylora, to i tak było bez sensu. Staruszek wiedział, że podstawą kolejnego kroku jest zdobycie informacji o położeniu ciała, nic innego nie mogło im się teraz przydać. Upióra zdołali przechytryć, ale Philip okazał się być cwańszy od nich.

– Zostało już tylko czekać, aż nic oderwie się od ciała – skomentował Taylor pod nosem. – Doświadczyłeś tego kiedyś?

– Nie, nie miałem... – Starca nagle olśniło. – Masz ją dalej w sobie? Jesteś pewien?

– Yhym – przytaknął chłopak. – Czegoś takiego nie przeoczysz.

Noah podszedł do niego i przyłożył dłoń do klatki piersiowej. Błada srebrna nic wystrzeliła na korytarz i skręciła w lewo. Staruszek zrobił się bardziej przezroczyście i upadł na pośladki. Patrzył na swoje dłonie, które przenikały teraz przez ciało, a po kilku sekundach nabrał koloru i się podniósł.

– Co to było? – spytał Taylor.

– Starość nie radość – rzucił żartem, ale znać było po nim, że sprawa była poważna. – Znamy drogę, pospieszmy się.

Podnieśli się z trudem – Noah pomógł chłopakowi wstać i przerzucił sobie jego rękę przez ramię. Ostrożnie przedostali się na korytarz. Upiór stał pod ścianą, niski, ale rozłożysty, srebrnymi oczami prześwietlał ich na wylot. Nie tracąc czasu poszli w przeciwnym kierunku, tak jak prowadziła ich nic. Po kilku krokach Taylor poczuł, jak starzec robi się wiotki. Zdołał złapać go w locie, w przeciwnym razie runąłby jak długi.

– Trzymasz się? – spytał chłopak. – Co się z tobą dzieje?

– Nic, nic. Idziemy.

Ewidentnie kłamał. Potrzasnął głową, aby się ocucić. Za najbliższym zakrętem trafili na ścianę mroku, w którym czaiło się mnóstwo cieni. Mienili mu się w oczach, a oni czekali cierpliwie. Taylor wziął wdech, nie chciał tracić czasu i od razu ruszył w ich stronę, lecz Noah go powstrzymał.

– Chcesz tam wejść? Tak po prostu?

– Co innego nam zostało?

– Znaleźć inną drogę! – Szarpnął go i zawrócili, a za zakrętem trafili na ten sam widok. Byli otoczeni.

– Mówiłem ci – skomentował chłopak.

Przez chwilę spoglądali po sobie, a następnie Noah poprawił Taylora na ramieniu i pomalutku ruszyli. Gdy do ciemnej strefy korytarza dzieliły ich dwa kroki, przystanęli. Taylor uniósł wzrok widząc chmurę srebrnych oczu. Nie wiedział, jak się zachowają, jego zdaniem nie byli mu niczego winni. Upiór, którego zamknął w Horyzoncie był sprawą osobistą, ci tutaj nie mieli z tym nic wspólnego.

– Miejsmy to już za sobą – zwrócił się do starca.

Noah przyglądał się męczarniom chłopaka, wiedział, że jego duch jest na skraju wyczerpania, a srebrna nić pęknie lub sama odpadnie, jeżeli wkrótce nie wróci do ciała.

– Idziemy jednym tempem, które nakreślam ja. Nie rozłączamy się, nie reagujemy na zaczepki. Trzymaj wzrok skierowany w podłogę, nie prowokuj ich.

Chłopak przytaknął. Zrobili pierwszy krok w cień, potem kolejny. Upiory odsuwały się tylko tyle, ile to było konieczne, trzymając swe pyski milimetry od intruzów. Ani Taylor, ani Noah nie robili niczego, poza tym, że stawiali spokojnie krok po kroku, zbliżając się do drugiego brzegu światła. Otoczeni jak kawałek mięsa w ławicy piranii, z tą różnicą, że nie rozpoczęły jeszcze uczy. W eter niósł się jedynie ich zestresowany oddech. Nie wiedzieli jaki będzie koniec tej drogi, czy ujdą z tego cało. Cienie wymieniały się miejscami w pierwszym rzędzie, przepychały, byleby tylko znaleźć się od nich na odległość rzęs. Do oświetlonego miejsca dzieliły ich trzy kroki. Wtedy Taylor poczuł opór. Zerknął na staruszkę, a ten odwzajemnił spojrzenie, mając w oczach niepewność i strach.

– Trzymają mnie – wystękał.

– Spokojnie – szepnął Taylor, zerkając ostrożnie do tyłu. Wystająca z tłumu ręka cienia trzymał starca za koszulę. – Widzę go. Jest tylko jeden. Pchnę cię delikatnie.

Czuł, jak zalewa go pot. W tej chwili zapomniał nawet o bólu i zmęczeniu. Ryzyko bycia rozszarpanym przez upiory wzięło górę w przyływie adrenaliny. Z większą pomocą Taylora pokonali kolejny metr. Noah chrząknął wyraźnie, a jego twarz nabrała czerwieni, miał wrażenie jakby zacementowali mu nogi. Chłopak rzucił ostrożnie okiem, widział kolejne dwie czarne ręce.

– Kurwa, trzymają następni...

Szarpnęło nimi, ale ustali. Taylor rozumiał przekaz – trzymany był tylko stary mężczyzna, on sam mógł w każdej chwili odejść. Rozejm nie obejmował starca. Nie będzie to pierwsza trudna decyzja w jego życiu, a rozwiązanie tej patowej sytuacji widział tylko jedno. Złapał za rękę staruszkę, którą go obejmował i ściągnął ją z siebie w żółtym tempie, zaczął się od niego odłączać. Noah posłał mu pełne zdziwienia spojrzenie. Jeden z upiórów zaczął sięgać palcami za szyję starca, jakby nie był pewien czy mu wolno. Chłopak zrobił krok w stronę światła, sam, ostrożnie i bezpiecznie. Cienie nie poszły za nim. Miał rację, zależało im tylko na jego towarzyszu. Taylor postawił nogę na oświetlonym punkcie i odwrócił się. Złapał starca za rękę i z całej siły, jednym szarpnięciem rzucił się w tył. Poczuł opór, który szybko puścił i obaj upadli twardo na kafelki, a cienie zapiszczały wściekle. Odciągnął starszego mężczyznę od zaciemnionego miejsca.

– Wiedziałem, że mnie nie zostawisz – powiedział zdyszany starzec.

– Nie wiedziałeś. – Taylor zaczął się podnosić.

– Trochę wiedziałem.

Podnieśli się i ostatnią prostą pokonali bez większych przeszkód. Weszli do sali,

gdzie prowadziła srebrna nić, wskazując łóżko na środku. Staruszek zamknął za sobą drzwi.

– Od kiedy zacząłeś zamykać drzwi? – spytał chłopak, zbliżając się do łóżka szpitalnego.

– Od kiedy w tym budynku nie ma już żadnego ducha poza nami. Wszyscy skończyli w rękach cieni. – Taylor spojrział na niego pytająco. – Kiedy ostatni raz spotkałeś błakającą się tu duszę?

– Ciebie widzę cały czas.

– Ja spędziłem w tym miejscu wystarczająco dużo czasu, w dodatku świadomie, nauczyłem się jak unikać problemów.

Taylor zastygł na moment, sięgał pamięcią, po czym rzucił twierdzące spojrzenie.

– Czemu się nie kładziesz? – spytał. – Wracaj do domu, spisałeś się.

– Czy to nie jest dla ciebie dziwne? – podjął po chwili. – Brak duchów, zachowanie cieni, nie wyglądali na tych, co chcą mi oddać przysługę, a bardziej na takich, którym zabronione było mnie tknąć. Nie odniosłeś takiego wrażenia?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie wiem, ty jesteś ten mądry.

Taylor oparł się o ścianę, by nie upaść. Przecierał twarz, zastanawiał się. Noah usiadł na fotelu, przyglądając mu się. Po chwili znów stracił ostrość, po czym odzyskał kolor i oparł się wycieńczony. Podniósł wzrok i natknął się na Taylora z gniewem malującym się na twarzy.

– Mów co się dzieje – rzucił twardo.

– Zostałem odpięty od aparatury podtrzymującej moje życie. Philip musiał się zdenerwować.

– Przecież nie miałoby to nic wspólnego ze stanem zdrowia twojego ducha.

– Nadal jestem połączony srebrną nicią. Philip nauczył się jak zabijać takie przypadki.

– To się odłącz! Na co jeszcze czekasz? – Taylor podeszedł do starca.

– Nie. – Noah uniósł głowę. – Mam swój honor.

– Ty umierasz. Przeze mnie.

– Nie! Dzięki tobie moja rodzina jest bezpieczna. A przynajmniej z dala od tego wszystkiego.

Taylor złapał się za głowę i oparł się o łóżko.

– Umieram przez Philipa, nie wolno ci myśleć inaczej.

Chłopak spojrział na łóżko, a następnie położył się na nim.

– Co robisz? – spytał zestresowany staruszek. – Masz wracać do domu, rozumiesz?

Taylor wcisnął głowę w poduszkę.

– Taylor! – krzyknął Noah gniewnie. – Nawet sobie nie żartuj!

– Ja nie żartuję, przyjacielu. Nie zostawię cię.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Nie spał już, ale wciąż miał zamknięte oczy. Słyszał odgłosy szpitala. Ktoś przechodził obok sali, do której dostała się natrętna mucha, przelatująca mu co chwila nad głową. Powietrze nie było świeże, jakby ktoś wyłączył klimatyzację. Usłyszał dźwięk przesuwanego materiału, na początku cichy i pojedynczy, później doszło jeszcze stękanie i strzelanie zlepionej z ciałem skóry fotela. Głosem przewodnim stało się jęczenie kobiety, wyraźnie cierpiała. Zrzuciła z siebie ciężki materiał.

Otworzył oczy. Po ciemnym suficie rysowały się pasy białego światła w kształcie ram z okien sali. Obrócił głowę wolno w lewo, pielęgniarka o imieniu Ania siedziała skulona i trzymała się za potylicę, sprawdzała, czy leje się z niej krew. Zauważyła, że na nią patrzy, chłodnym wzrokiem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

– Czy ty postradałeś rozum!?! – omal nie wrzasnęła i wstała z fotela, wciąż trzymając się za głowę. – Mogłeś mnie zabić! Gdzie jest to dziecko!?! – Rozglądała się – Musisz mi się dobrze wytłumaczyć, bo przysięgam...

Słyszał jej krzyki i pretensjonalny ton, ale nie skupiał na nich uwagi. Zdjął z siebie kołdrę i wolno usiadł na skraju łóżka, opierając ręce na ciepłym materacu. Klatka piersiowa skakała mu wyraźnie w szybkim i krótkim oddechu. Był błąd jak ściana, oczy miał sine i podkrążone. Ania przestała mówić i uspokoiła się niemal od razu widząc, że coś jest nie tak.

– Co z tobą? Żle się czujesz? – Podeszła do niego. – Połóż się.

Wyciągnęła rękę chcąc mu pomóc, ale ten uderzył ją odpychając na bok. Ania zrobiła krok w tył totalnie skołowana sytuacją. Traciła cierpliwość.

– To jakieś szaleństwo. – Pokręciła głową. – Dlaczego nic nie mówisz!?! Chcę ci pomóc, naprawdę, ale musisz ze mną współpracować. Gdzie jest ten chłopczyk? Co mu zrobiłeś? Taylor, to nie jest śmieszne!

Zacząła rozumieć sytuację. Do oczu napłynęły jej łzy. Taylor zszedł z łóżka oglądając swoje dłonie z każdej strony. Do Ani doszło wtedy, że osoba stojąca przed nią nie jest tą samą osobą, którą знаła. Nie umiała tego wytłumaczyć. Spojrzał na nią nieludzkimi oczami. Ta widząc szaleńca rzuciła się ku ucieczce. Taylor przewrócił ją na podłogę, szarpali się rzucając na prawo i lewo. Wbiła mu palec w oko, z bólu zakrył twarz dłońmi. Wygrzebała się spod napastnika i ruszyła do drzwi. Nie zdążyła, gdyż pochwycił ją za nogę. Runęła ciężko. Siadł na jej plecach trzymając w rękach gaśnicę.

– Taylor, błagam! Mam dziecko, córeczkę... Ona ma tylko mnie...

Uderzył zamasyżście od góry, z całej siły trafiając w potylicę. Rozległ się trzask łamanych kości, po czym nastąpiła głucha cisza. Ania znieruchomiała. Krew polalała się po jej prawym policzku tworząc kałużę.

Uniósł gaśnicę i uderzył jeszcze kilka razy. Ręce i dłonie w lekkich drganiach

reagowały na ciosy. Taylor podniósł głowę, czując na sobie wzrok lekarza, który stał jak wryty przyglądając się w przerażeniu. Chłopak ruszył na niego, a ten zaczął uciekać. Wbiegł do pobliskiej sali i zamknął drzwi. Taylor uderzył w nie gaśnicą. Słyszając krzyk pielęgniarki stojącej kilka metrów od niego, pobiegł w innym kierunku, aż wybiegł ze szpitala.

Taylor otworzył oczy. Rozpościerał się nad nim biały sufit. Czuł jak po skroni spływa mu łza. Zakrył twarz dłońmi i płakał w głos, wchłaniając wspomnienia wszystkich czynów, jakich dokonał upiór. Cały czas miał przed oczami moment, w którym zabijał Anię, błagającą o litość. Jak miał teraz z tym żyć?

Przetarł policzki i znów zamknął oczy, musiał się uspokoić, choć wiedział, że nie da rady. Nie po tym, co się właśnie wydarzyło. Jakoś jednak musiał skoncentrować się na tym, co go jeszcze czekało.

Zaciągnął się zdrowym i świeżym powietrzem. Ciało bolało w wielu miejscach, ale był to znany mu rodzaj bólu – w Umbrze wszystko jest stłumione, nawet bóle. Wrócił do normalnego świata i były dwie kwestie, jakie chciał od razu sprawdzić. Pierwszy ruch był najgorszy. Wolniej, pomyślał. Przewrócił się na bok i pomagając sobie ręką usiadł na skraju łóżka. Miał na sobie buty – nie zdjęli z niego nawet kurtki, okropnie cuchnął. Nie był podpięty do kroplówki, mimo iż statyw z woreczkiem stał przy łóżku, kartoteki również brakowało. Obawiał się, że to nie znaczy niczego dobrego, oczywiście było, że szpital nie wie o jego obecności, stąd brak papierów. Lewa dłoń była zabandażowana i piekła od wewnętrznej strony. Taylor rozwiązał opatrunek i odkleił wolno przemoczony od krwi gazik, dłoń była rozcięta precyzyjnie, a opatrunek nie mógł założyć ktoś ze szpitala, był niechlujnie związany. Dłoń była innego koloru, jakby zgniła. Miał wrażenie, że reagowała z opóźnieniem; to był efekt uboczny odciętej ręki z Horyzontu. Westchnął i sięgnął po świeżą gazę, a następnie związał skaleczoną dłoń. Przełknął ciężko ślinę, miał wrażenie, jakby mu coś zalegało w przełyku.

Podniósł się. Zrobił kilka kroków i oparł ręką o ścianę. Świat zawirował, a nogi zmiękły. Za szybko, zrozumiał. Po kilku sekundach do nóg wróciły siły, ale przed oczami latały jeszcze srebrne kropki, które nie kojarzyły mu się zbyt dobrze.

Wszedł do łazienki, stanął przed lustrem i wziął głęboki wdech, następnie podniósł wzrok.

– No dobra – westchnął z ulgą. – Moja twarz wygląda, jakby nią chodnik zamiatali.

W każdym razie była to jego twarz. Zauważył różową plamę na czole, jakby źle starta szminka. Puścił wodę w kranie i umył mydłem sklezione włosy, po czym mokre zarzucił do tyłu. Marzył teraz o gorącej kąpieli, ale nie miał na to czasu. Zakręcił wodę, wyszedł na korytarz i rozejrzał się po szpitalu. Spędził tam już tak dużo czasu, że poznał niemal każdy zakamarek. Już po krótkim rzuceniu okiem umiał stwierdzić, gdzie się znajduje. Odzwyczaił się, że do ścian przyklejeni są ludzie czekający w kolejce, a nie konsumowani przez budynek, choć i ci patrzyli na niego równie złowrogo. Lekarze i pielęgniarki przerywali swoje czynności, wpatrując się w niego z zainteresowaniem, zupełnie jak cienie. Czuł wewnątrz, że nie powinno go tu być.



Wymiary się od siebie aż tak nie różnią, uznał. Nagle z prawej wyskoczył pies. Warcząc, rzucił się na niego. Taylor próbował odskoczyć i upadł na posadzkę.

W panice rozejrzał się, ale psa nie było.

Zniknął.

Było za to zdziwienie wszystkich zgromadzonych w korytarzu.

– Widzieliście... – Nigdzie nie mógł dostrzec kundla. – Był tutaj.

Podniósł się, zdyszany. Przyspieszył kroku i co chwila odwracał się za siebie. Nie mógł tam dłużej zostać, zwracał na siebie zbyt dużą uwagę, tym bardziej fakt, że ktokolwiek go rozpozna z personelu, może wezwać ochronę bądź policję. Zastanawiał się czy miał halucynacje, czy to skutek przemęczenia fizycznego i duchowego. Skręcając w lewo zobaczył funkcjonariuszy stojących przed pokojem Maxa. Cofnął się i wychylił zza winkla. Rozmawiali z lekarzem stojąc przodem do sali, dyskutowali o jego młodszym bracie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nie mógł tam teraz iść – podejrzewali go o zamordowanie Ani. Gdyby go zobaczyli, zostałby zatrzymany i zaprowadzony na komendę.

Szmer wśród zgromadzonych pacjentów z alejki, z której przyszedł, przybrał na sile. Dwójka młodych ludzi rozmawiała z pielęgniarem, wyraźnie zdając relacje sprzed chwili. Wskazali na niego palcem, a Taylor podszedł do windy i nacisnął przycisk. Starał się zachowywać normalnie, ale tik ugniatania dłoni był silniejszy. Zasyczał z bólu, wsadzając kciuk w przecięcie na dłoni.

Pielęgniarz zmrużył oczy i podążył w jego stronę. Winda się otworzyła, więc wszedł do środka, wciskając piętro oraz przycisk zasuwający drzwi. Zamknęły się tuż przed nosem pielęgniarza.

Piętro wyżej natknął się na trzy łóżka z pacjentami, przykrytymi prześcieradłami, z wciąż podpiętymi kropłówkami. Pracownicy szpitala w maseczkach chirurgicznych pokazali mu, aby wyszedł z windy kręcąc przy tym głową. Przeciskając się pomiędzy nimi zauważył, że winda, którą pojechał jest przeznaczona głównie dla pracowników placówki, mimo to przenoszenie łącznie trzech pacjentów na raz wydawało się być rzeczą rzadko spotykaną. Odprowadzając ich wzrokiem szedł korytarzem w kierunku zakaźnego skrzydła. Musiał sprawdzić co się dzieje z ciałem starca. Będąc w połowie holu usłyszał krótki dźwięk, zbliżony do szczeknięcia. Odskoczył od ściany, przestraszony, ale i tym razem nie było ani psa, ani upiora, ani niczego z Penumbry.

– Wszystko dobrze? Źle się pan czuje? – spytała siwa lekarka, rozmawiająca z pacjentem nieopodal. – Wezwać kogoś?

Speszony pokręcił głową przecząco i poprawił kurtkę.

– Na pewno?

– Tak.

Poszedł dalej, ostatni raz rzucając spojrzeniem na miejsce pod krzeselkami, skąd słyszał szczeknięcie. Wiedział, że musi przestać reagować w ten sposób, gdyż wzbudzał tym zbyt duże zainteresowanie. Do celu miał jeszcze chwilę i wtedy

przypomniawszy sobie, że ma w kurtce telefon, dzięki któremu był w stanie zlokalizować położenie upiora. Był przemoczony i miał stłuczony ekran, ale działał. Wyświetliła się opcja odblokowania ekranu poprzez skan twarzy. Westchnął wiedząc, że to na nic, po czym ku jego zdziwieniu telefon się odblokował. Zaśmiał się do siebie, gdy doszło do niego, że wciąż myślał, że nie ma na sobie swojej twarzy. Włączył wiadomości SMS i zaczął pisać. Nie trwało to długo, pisanie było środkiem komunikacji, z jakim czuł się znacznie lepiej, niż w rozmowie. Wiadomość została wysłana. Schował telefon do kieszeni, a przed oczami zobaczył swojego braciszka, odjeżdżającego taksówką w środku nocy.

Wściekły, podjudzony emocjami biegł za samochodem samym środkiem ulicy. Auto odjechało, a on patrzył na przestraszonego Maxa, wyglądającego za nim przez tylną szybę. Wrzasnął, wściekły, ile sił w płucach i wbiegł w uliczkę, obok która nie miała ani jednej latarni. Przedzierał się przez krzaki, aż wspiał się na niewielki murek, czając za drzewem. Wychylił się spoglądając na budkę ochroniarza na strzeżonym parkingu, zakradł się za nią łapiąc po drodze za kamień wielkości pięści. Czarnoskóry stróż wyszedł z latarką w dłoni, sprawdzał czy teren jest pusty. Rozglądał się, aż najechał nią na Taylora, który odwrócił wzrok od rażącej latarki. Mężczyzna skierował światło niżej, świecąc po nogach.

– Taylor, brachu, przestań. To nie ty... pozwól mi tobie pomóc.

Ochroniarz nie przestawał mówić, ale upiór go nie słuchał. Włożył dłoń do światła latarki i obracał nią przyglądając się uważnie brakiem efektu. Była dla niego nieszkodliwa.

– Powiedz coś. Mam wezwać pomoc?

Taylor skrzywił głowę, patrząc na latarkę, która zaczęła mrugać. Czarnoskóry uniósł ją wyżej i uderzył drugą dłonią skupiając tym uwagę Taylora. Chłopak skrzywił głowę w drugą stronę rozzłoszczony i dzielił go kamieniem z całej siły celując nad ucho. Mężczyzna padł jak kłoda. Oprawca siadł na nim i raz za razem tłukł go kamieniem po głowie. Widok masakrowanej twarzy mężczyzny wybudził Taylora ze wspomnienia.

Ocknął się kucający pod ścianą. Trzymał się za głowę, znów płakał. Widok mordowanej z zimną krwią osoby był dla niego zbyt ciężkim doświadczeniem. Poczul ciepłą dłoń na swojej ręce, uniósł głowę i zobaczył kobietę w zaawansowanej ciąży. Kuciała przed nim, starając się go pocieszyć ciepłym wyrazem twarzy. Miała na sobie zieloną, luźną sukienkę do kolan i czarne włosy spięte w kok, oraz obsypaną twarz piegami, zdobiącymi jej urodę.

– Nie martw się. Cokolwiek to jest, dasz sobie z tym radę.

Uśmiechnęła się szczerze, a on miał wrażenie, jakby śnił. To jest niespotykane, by obca osoba podeszła do niego bezinteresownie, aby go wesprzeć. Nabrał tchu i spojrzał jej w oczy.

– Uciekaj z tego szpitala, tu nie jest bezpiecznie – mówił śmiertelnie poważnie. – Jeżeli cenisz życie swoje i swego dziecka, wyjdiesz stąd i wybierzesz inny szpital.

Kobieta puściła go i wstała, zmieszana. Zabrała swoje rzeczy z poczekalni i minęła

go pospiesznym krokiem. Kolejna uratowana osoba, odetchnął i wstał.

Szedł dalej, jego sumienie sprawiało, że czuł się okropnie, tłumaczenie, że to nie był on w momencie, gdy obraz i wspomnienia mówią co innego, na niewiele się zdają. Do tego męczące go przeczucie podpowiadające, że to jeszcze nie koniec jego problemów był wisienką na torcie. Idąc szpitalem czuł nadmiar śliny w ustach. Robiło mu się chłodno i ciepło na zmianę. Ktoś zawołał lekarza, a przed jego oczami pojawił się krzyżący mężczyzna, przyjmujący cios kamieniem. Doktor odpowiedział równie głośno – kolejny trzask w rozbitą już głowę – poczuł ciepłą krew chlapiącą mu twarz. Przebłyśki wspomnień, pojawiały się przed oczami same wybierając sobie porę. Taylor złapał się za żołądek i wbiegł do najbliższej toalety, po czym zwymiotował do umywalki. Przeplukał usta w kranie i spojrzał na swą bladą twarz.

Drzwi do kabiny poruszyły się z delikatnym skrzypnięciem, a on zastygł, koncentrując się tylko na nich. Był pewien, że to nie halucynacja.

Wyszedł z łazienki.

Dostrzegł funkcjonariuszkę policji idącą wzdłuż korytarza. Ukrył się za drzwiami, a gdy go minęła, ruszył w dalszą drogę. Dotarł do miejsca, z którego widział wejście do zakaźnego i zamieszanie, jakie się tam zrobiło. Pacjenci byli wywożeni, kolejne trzy łóżka jechały w jego kierunku. Głowy wszystkich były zakryte, aby nie można było zobaczyć twarzy. Każdy z nich to mógł być Noah.

Żeby mieć pewność, musiał dostać się do środka, niestety, w tym ubiorze nie miał na to szans.

– Prosiłem, żebyś odpuścił.

To był jego stary towarzysz. Stał za nim.

– Ty... – Chłopak zdusił słowo, miał ochotę go uderzyć.

– Jesteś tak samo strachliwy jak Max.

Chłopak zignorował go i wychylił się, przyglądając się tłumom przed wejściem.

– Będziesz udawał, że mnie tu nie ma?

– Któż to nagle znalazł siłę, żeby się ukazać poza Umbłą. – Taylor skomentował szyderczo.

– Co zamierzasz? Masz jakiś plan? I tak, odrobinę odpocząłem. Dziękuję, że pytasz.

– Czymś cię zabijają, muszę dowiedzieć się, co to jest i zamienić na kroplówkę. Gdy poczujesz się lepiej, obudzisz się w swoim ciele i razem stąd wyjdziemy. Taki jest plan. – Nie spuszczał oka z wejścia. – Tym razem będzie łatwiej, przy takim zamieszaniu wtopię się w tłum. Muszę tylko dostać się do pierwszych drzwi po prawej...

– Taylor...

Noah wyraźnie posmutniał, patrzył w podłogę złamanym wzrokiem.

– No co? – dopytywał.

Starzec uchylił wreszcie usta, żeby coś powiedzieć, ale jego oczy powędrowały na wejście. Potem zniknął. Chłopak spojrzał w tą samą stronę i kucnął szybko, widząc

lekarza w czerwonym golfie, instruującego pielęgniarzy rozwożących pacjentów. Gdy kolejna grupa odjechała, doktor wnikliwie spojrzął w głąb korytarza i wrócił do środka.

Taylor bez zastanowienia ruszył dalej, za następnymi wjeżdżającymi trzema pustymi łózkami. Chłopak doskoczył, aby przytrzymać im drzwi, ci z uśmiechem przyjęli pomoc i weszli do środka, a ten podążył za nimi. Grupa skręcała już za winkel, do wąskiego tunelu. Taylor zaś wszedł do pomieszczenia z prawej. Tak jak pamiętał, znalazł tam biały fartuch, który na siebie zarzucił i pewnym krokiem wrócił do tunelu.

Na wejściu do hali był zator. Pokonał go, z trudem przepychając się pomiędzy łózkami. Kurtyna była rozsunięta na boki, tak by nie wadziła. Halę rozświetlały mocne reflektory. Dopiero teraz zobaczył jej ogromne rozmiary, była monumentalna. Wilgoć i chlapanie podeszw o płytką wodę dawało wrażenie, jakby wszedł na basen. Przemycanie ciał podzielone było na trzy etapy, jedni ściągali pacjentów na ruchome łóżka, przekazując je tym przy drzwiach, którzy je następnie wywozili, a pozostali stali z aktami i notowali każdą osobę. Taylor przeciskał się dalej w kierunku hali. Zgiełk tłumu brzmiał jak szum morza w pomocy z echem. Będąc blisko wydostania się z gąszczu, drogę zaszło mu trzech pielęgniarzy.

– Czy busy już wróciły? – spytał pierwszy, z zachrypniętym głosem, krótko ściętymi włosami i skośnymi oczami. Prawie wszyscy tu nosili maseczki chirurgiczne, również on. Taylor chciał go obejść, ale ten zrobił krok w bok, zachodząc mu drogę. Chłopak poczuł rosnące w nim napięcie. Po plecach przebiegły mu dreszcze i odruchowo chciał zacząć ugniatać dłonie, ale przypomniał sobie o ranie. Stał bez słowa z opuszczonymi rękoma.

– Słyszysz mnie? Są już czy nie? – Zerknął na pozostałych. – Przedtem czekaliśmy, aż przyjadą i ludzie zaczęli zadawać pytania. Jeśli ma być dyskretnie, musimy to lepiej skoordynować.

Taylor odwrócić się na pięcie, lecz dostrzegł samotne ciało leżące po drugiej stronie hali. Łóżka wokół były już puste, a on wciąż tam leżał.

– Zapomnieliście o jednym. – Taylor wskazał palcem na ciało staruszka.

– Ten ma zostać.

– Dlaczego?

– Mnie doktor nie pyta. Mam ich tylko wywozić we wskazane miejsce. Odgórnie zarządzane.

Taylor, ignorując ich, poszedł dalej.

– Ej, to co z tymi busami? – spytał jeszcze pielęgniarz, widząc odchodzącego Taylora, po czym pokręcił głową i zaczął przepychać wózki z ciałami dalej ku wyjściu. Chłopak odwrócił się, widząc pielęgniarzy i pielęgniarki wraz z objającymi się o siebie łózkami. Nikt za nim nie szedł. Stąpał po w milimetrowej tafli wody. Cyrkulacja powietrza w zamkniętej hali nie dawała sobie rady, cała aparatura, wszystkie dranki i koce pokryte były kropelkami wody. Brał pod lupę całe zajście, czy

to woda była powodem ewakuowania stąd tych ludzi, czy może Philip przestraszył się wężącej policji. Taylor dotarł do dziadka, był blady i mokry, klatka piersiowa ledwo się unosiła w słabym oddechu, pościel kleiła się do niego. Miał rację, coś było nie tak, jego problemem nie była jednak podana trucizna do organizmu, tylko fakt, że został od niej odpięty.

Kucnął przy nim, nie chciał rzucać się w oczy. Sprawdził mu ręce, wenflon miał wciąż wbity w żyłę. Chciał go podpiąć do kroplówki, ale guma ślizgała się w mokrych palcach. Przetarł je w spodnie i po kilku kolejnych próbach w końcu mu się to udało. Następnie zwolnił płyn z woreczka. Krople zaczęły skraplać się do rurki.

Teraz musiał tylko znaleźć puste łóżko na kółkach i wynieść go pozostając niezauważonym. Dostrzegł kilkanaście małych, migających do niego światełek rozsypanych po podłodze w miejscu, gdzie stało kiedyś lustro. Podszedł tam – szkło stało się rdzawe, jakby zostało przypalone albo sięgało ponad stu lat. Nachylił się i zamiast ujrzeć w nim siebie, zobaczył jedynie swój niewyraźny zarys. Sięgnął po większy odłamek z brzegu, ale nie mógł go podnieść, był jak przyklejony. Podjął kilka prób na różnych fragmentach, jednak efekt był ten sam.

– Jest teraz częścią tego miejsca.

Suchy głos zza jego pleców przestraszył go prawie na śmierć. Wolno odwrócił głowę i zobaczył chudego mężczyznę w czerwonym golfie, stojącego za nim. Poczul jakby połknął piłkę do golfa. Po chwili wstał. Ten człowiek był dokładnie tak samo dziwny, jak go zapamiętał.

– Czy to przejście nadal działa? Można nim przejść do Horyzontu? – spytał, ale doktor, zamiast odpowiedzieć, spojrział na jego zabandażowaną dłoń. Taylor schował ją za plecami. – Odpowiedz.

– Korzystamy ze wszystkich możliwych nam opcji, aby odkryć prawdę, wliczając tą. – Wskazał palcem na lustro. – O ile się na coś przyda.

– Ty nie wiesz co tam jest. Jeżeli przedostaną się tutaj, nikt nie będzie bezpieczny. Przejście należy zniszczyć.

– Po to tu jesteś? Żeby je zniszczyć?

– Jestem po niego. – Taylor wskazał palcem na Noah.

– To niemożliwe.

– Dlaczego!?! – krzyknął, a po hali uniosło się echo. Zebrani przerwali pracę i wlepili w nich swe ciekawskie spojrzenia.

– Decyzja Philipa.

– Pieprzyć go! Kim on jest, żeby mógł decydować o czyimś życiu?

Wyraźne poruszenie przy wejściu do hali zbudziło zainteresowanie obu mężczyzn. Dwóch funkcjonariuszy policji weszło do pomieszczenia w maseczkach. Pielęgniarki odskoczyli od łóżek jak poparzeni, a doktor w golfie szybkim krokiem podążył w ich stronę. Taylor schował się za jednym z łóżek i wychylił, obserwując rozwój sytuacji. Lekarz podjął rozmowę z funkcjonariuszami, którzy wyraźnie byli zaniepokojeni tym, co się dzieje. Chwilę później pokazali doktorowi wydrukowane zdjęcie.

Przyglądał się fotografii uważnie, po czym wskazał palcem w stronę Taylora. Obaj położyli dłoń na kaburze, pewnie krocząc w jego stronę. Wiedząc o tych morderstwach nie będą chcieli z nim rozmawiać, to pewne. Pierwszy szedł środkową alejką, drugi patrolował halę wszerek zaglądając do pozostałych tuneli. Chłopak koordynował miejsce tego, przed wejściem i gdy tylko odchodził w bok, Taylor pokonywał kilka rzędów, zbliżając się do wyjścia i chował za kolejnym łóżkiem. Od pierwszego funkcjonariusza dzieliły go dwa rzędy. Czekał obok leżącego staruszka, po czym zwrócił się do doktora:

– Jednego pominęliście!

Lekarz nie zareagował, a Taylor, wykorzystując chwilę nieuwagi policjanta, doskoczył chowając się po drugiej stronie łóżka. Gdy poszedł dalej, chłopak kucnął z przodu, unikając kontaktu wzrokowego z drugim funkcjonariuszem. Wziął głęboki wdech, serce mu przyspieszyło. Starał się kontrolować oddech, przynajmniej na tyle, by nie zdradzać swojej pozycji. Zdołał podbiec do trzeciego rzędu od wyjścia i się zatrzymał. Funkcjonariusz odwrócił się, rozejrzał podejrzliwie, a następnie poszedł dalej. Taylor wyczekiwał idealnego momentu, by uciec, wtem za sobą usłyszał warczącego psa i odskoczył przestraszony, uderzając głową o łóżko. Obydwaj odwrócili się słysząc hałas i spojrzeli na grupę pielęgniarzy, szukając źródła, z którego doszedł dźwięk.

– Nie ma go!

Zakomunikował ten z wąsem docierając do leżącego lustra po drugiej stronie hali. Grubszy skojarzył fakty z dźwiękiem, jaki usłyszał i szybkim krokiem zaczął wracać przed wejście. Taylor wiedział, że nie ma więcej czasu. Zerwał się do biegu wyskakując zza linii łóżek, a policjanci wystartowali za nim.

Wbiegając na korytarz chłopak minął lekarza w czerwonym golfie, który odprowadzał go wzrokiem. Funkcjonariusze wybiegli z zakaźnego i go dostrzegli. Natychmiast ruszyli za nim. Panika i strach podczas ucieczki przed policjantami dorównywała tym, którym doświadczał gnając przed upiorami. Taylor wiedział, gdzie będą największe tłumy. Zrzucił z siebie fartuch i wrzucił go do kosza na śmieci, po czym wcisnął się między ludzi w kolejkę. Podniósł się gwar oburzenia. Nic nowego.

Wybiegający tam policjanci trafili na długi korytarz pełen ludzi, pielęgniarzy i medyków. Był to oddział ludzi chorych, każdy od gorączki po katar gromadził się właśnie w tym miejscu. Funkcjonariusze minęli Taylora, nie zauważając go i gdy tylko się oddalili, wyskoczył z kolejki i udał się tam, skąd przybiegł. Będąc przekonany, że udało mu się przechytrzyć policjantów, oczom ukazała mu się funkcjonariuszka, która wyszła z jednej z sal. Zobaczył dystrybutor z wodą, ale nie było kubków. W ostatnim momencie dostrzegł ostatni, leżący metr obok na podłodze, podniósł go i zaczął nalewać sobie wody. Baniak zabulgotał, unosząc bańki powietrza w wodzie, gdy zza zakrętu trafiło na nią dwóch tych, którzy go gonili.

– Macie go? – spytała.

– Nie, uciekł nam – powiedział niższy z wąsem.

– Świadkowie twierdzą, że to stały bywalec. Pewnie gdzieś się schował.

– Podszął się pod lekarza, chodził między pacjentami w skrzydle zakaźnym – dodał wyższy i zapiął kaburę.

– Boże, co za świrus – skomentowała z niesmakiem kobieta.

Taylor, słysząc ich rozmowę, zaczął się oddalać, ale poślizgnął się na rozlanej na korytarzu wodzie, wywinął stylowego orła nogami i padł z hukiem na plecy.

Policjanci spojrzeli na niego, zdziwieni.

– Nic panu nie jest? – spytała kobieta powstrzymując się od śmiechu.

Chłopak podnosił się, chowając twarz i machając przy tym ręką. Mundurowi spojrzeli po sobie i ruszyli w jego stronę.

– Pytałam czy nic panu nie jest? – powtórzyła poważniejszym tonem.

Dlaczego wszyscy mnie o to wciąż pytają? – pomyślał zdenerwowany.

– Nic mi nie jest, dziękuję – odpowiedział i spojrzął na nich zza opadających na twarz włosów.

– To on! – krzyknął ten z wąsem.

– Łapcie go!

Wszyscy wystartowali w jednym momencie. Taylor wybiegł zza zakrętu i wpadł na kolejną ekipę wywożącą ciała, przeleciał nad łóżkiem, zrzucając przy tym pacjenta i obaj runęli na podłogę. Policjanci docisnęli chłopaka do podłogi kolanem i skuli kajdankami, po czym podnieśli i zaczęli wyprowadzać.

– Nic nie zrobiłem! – krzyknął. – Oni trzymają ludzi wbrew ich woli. Ich trzeba zamknąć!

– Opowiesz te bajki przed sądem.

– Nic wam nie jest? – policjantka zwróciła się do pielęgniarki.

– Idiota przewrócił nam pacjenta!

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

– Co za typ! – skomentował zdenerwowany pielęgniarz.

Taylor podniósł głowę i za pielęgniarzami dostrzegł Noah ze smutną miną, jakby godził się ze swoim losem. Wiedział, że go zawiódł, wiedział, że nie był w stanie go uratować spod ciężkiej ręki Philipa i zanim ten dzień się skończy, zapewne będzie już martwy.

Chwilę później rozsunęły się drzwi wejściowe szpitala, a mocny przeciąg uderzył w nich silnym podmuchem. Pogoda się psuła, zanosilo się na burzę. Szarpane liście drzew i ciepłe powietrze w asyście ciemnego nieba było wystarczającym tego dowodem. Funkcjonariusz z wąsem otworzył tylne drzwi radiowozu i złapał Taylora za głowę, by asekurować go przy wsiadaniu.

– Zaraz, moment!

To był dyrektor. Biegł w ich stronę, wyraźnie zirytowany.

– Co to ma znaczyć!?! – krzyknął już z daleka. – Ten człowiek należy do mojej

rodziny i z całą pewnością nie jest osobą, której szukacie!

– Proszę się odsunąć – wtrącił wyższy funkcjonariusz.

– Niech mi pan nie mówi, co mam robić w moim szpitalu. Powtarzam, że macie złą osobę i to aresztowanie jest bezpodstawne. Dlatego, jeżeli zależy wam na waszej posiadłości, uwolnicie go w tej chwili, a ja zadzwonię do komendanta, który jest moim przyjacielem i powiem mu jak wspaniałą robotę tu wykonujecie, albo – spojrzał każdemu w oczy – zabierzecie tego człowieka na posterunek i ja wykonam ten sam telefon, ale w odrobinę innym celu. Wybór jest wasz.

Stali jak dwa koguty. Wyczekiwali następnego ruchu, ale to policjant był tym, który pierwszy spuścił wzrok i zaczął rozkuwać Taylora. Philip złapał chłopaka za rękę i przyciągnął na swoją stronę, a ten wyrwał rękę.

– A teraz proszę przestawić radiowóz, taranujecie nim wjazd dla karettek.

Kilka minut później wozu policyjnego już nie było, a w jego miejsce podjechała czarna limuzyna.

– Żebyśmy mieli jasność – warknął Taylor. – Nie jestem ci niczego winien. Nie chciałem twojej pomocy.

– Oczywiście, że nie, byłeś po prostu w potrzebie. Słyszałem, że próbowałeś wyciągnąć tego twojego staruszka z hali. Coś ty sobie myślał?

– Trzymasz go jak zwierzę w klatce! – krzyknął, aż Philip rozejrzał się po okolicy.

– Ciszej – powiedział szeptem dyrektor.

– Nie mam zamiaru dłużej milczeć. Ten człowiek ma prawo jeszcze trochę pożyć. Wypuść go!

Dyrektor westchnął, nie kryjąc rozczarowania.

– Uwielbiam twój heroizm. Wielki bohater, gotowy pójść do więzienia dla jednego sparaliżowanego starca, mając pozostałych totalnie w dupie. Nawet o nich nie pomyślałeś, co? – Pokręcił głową. – Jestem wzruszony.

– Sparaliżowany? Nie wierzę ci. – Taylor odgarnął włosy z twarzy.

– Spytaj go, powinien jeszcze tu być. – Philip podszedł do tylnych drzwi samochodu. – W szpitalu jest policja, dlatego ja wyjeżdżam. Tobie radzę zrobić to samo. Po tym czego dopuścił się upiór w twoim ciele, nie czekałbym na nic. Następnym razem już ci nie pomogę.

– Lepiej, żeby tak się nie stało. – Taylor uśmiechnął się z odrazą. – Ciekawy jestem, jak zareagują, gdy się dowiedzą o tym, co robisz.

– I co powiesz? Że jesteś w to tak samo zamieszany jak ja? To był twój pomysł, żeby ich tam więzić. Jeżeli naprawdę tego nie pamiętasz, to odpowiedz sobie na jedno pytanie. Jakim cudem przecinałem srebrne nici i więziłem ich w Umbrze, skoro nie mogę się tam dostać? Chciałeś tego tak samo jak ja, tylko tobie puściły nerwy, gdy pojawiły się pierwsze ofiary i nagle ci się odwidziało.

– Nie wierzę ci.

Dyrektor otworzył drzwi i oparł się o ramę nad oknem.



– Nie zastanawiało cię skąd ten stary przyk tak dobrze cię zna? I dlaczego tak się obok ciebie kręci? Ty przeciąłeś mu srebrną nić, a moja maszyna podtrzymywała jego ciało przy życiu. Nie wiemy, dlaczego stracił czucie w ciele. Wypadek jeden na milion zapewne, ten starzec był twoim punktem zwrotnym, ale to leży na twoich barkach. Czas zderzyć się z prawdą. – Wsiadł do środka zatraskując drzwi, a po chwili przyciemniona szyba zjechała w dół. – Dobrze ci radzę. Idź do brata, zaopiekuj się nim. To jest ostatni raz, kiedy się widzimy, Taylor. Żegnaj.

Spojrzał w głąb limuzyny na stos starych ksiąg na fotelu pasażera. Samochód ruszył, a dyrektor pomachał mu jeszcze w szyderczym uśmiechu. Chłopak zauważył, że dłoń, którą machał Philip była zabandażowana, tak samo jak jego. Łączył fakty, zlepiał je w jedną całość. Zmiana nastroju dyrektora o sto osiemdziesiąt stopni. Przed jego podróżą do Horyzontu był załamany i pogodzony ze śmiercią. Co on, do licha, kombinuje? – głowił się.

Usłyszał warczenie psa w krzakach obok. Złaskł się. Przez moment patrzył na trzęsące się zarośla, ale nic z nich nie wybiegło.

Kolejne halucynacje.

Wrócił do szpitala i zatrzymał się dopiero pod drzwiami do sali, w której przebywał Max. Chłopiec leżał w łóżku, popijając sok pomarańczowy.

Zapukał.

– Proszę – usłyszał w odpowiedzi.

Na widok Taylora, Max skamieniał. Oczy wypełniły się łzami i długo nie trwało, jak wyskoczył z łóżka i rzucił się w ramiona starszego brata.

– Wróciłeś! – krzyknął. – Bałem się, że zostanę sam!

– Nie tak łatwo się mnie pozbyć. – Taylor pocałował go w czubek głowy. – Wracaj do łóżka.

Młodszy brat posłuchał, po czym przykrył się kołdrą. Taylor zerknął na szafy. W takich samych ukrył brata i pielęgniarkę. Kolejnym przystankiem był skórzany fotel, na którym nie znalazł swojego ciała, a które zostawił tam upiór. Rozglądając się po pokoju czuł ciężar wszystkich wydarzeń, jakie miały tu miejsce. Zbliżył się do łóżka i oparł o barierki przy nogach, głowę miał spuszczoną.

– Wszystko dobrze? – spytał młodszy widząc, że starszy był czymś wyraźnie zmartwiony.

– Mówiąc szczerze, to nie jestem pewien. – Zaczesał włosy do tyłu. – Poczekajmy na niego.

– Na kogo?

Taylor usłyszał warczenie. Dobiegało spod drzwi. Zaczął się pocić, strach penetrował mu wnętrzości. Zaczynało do niego docierać, co się dzieje. Chłopiec kątem oka zauważył coś po prawej stronie, odwrócił głowę i dostrzegł siedzącego na fotelu Noah. Podskoczył ze strachu i zaśmiał, jednocześnie. Starzec i Taylor patrzyli sobie w oczy jak wrogowie, nie mówiąc nic. Za oknem wyraźnie pociemniało, zbierało się na urwanie chmury. W tle słychać było grzmoty.

– Nie widzisz go? – spytał Max.

– Chciałeś mnie zabić – zaczął Taylor. – Czemu tego po prostu nie zrobiłeś? Miałeś okazję. Nawet kilka.

– Nie chciałem cię zabić, chciałem, abys cierpiał tak, jak ja cierpiałem. Żebyś utonął w tym przeklętym miejscu. – Spojrzał mu w oczy. – Tak jak ja utonąłem. Przez ciebie.

– Co tu się dzieje? – wtrącił Max.

– Celowo przeciągałeś moje dotarcie do braciszka, wodząc mnie za nos – ciągnął chłopak.

– Zgadza się. Było tak do momentu... – Staruszek spojrzał na chłopca. – Aż upiór opętał moją wnuczkę. Nie przewidziałem tego. Jednak tak mnie to przerażało, że byłem gotowy poprosić o pomoc osobę, której szczerze nienawidziłem. Pomogłeś jej, uratowałeś ją przed tym, co mnie spotkało. Tak, to ja jej podpowiedziałem, żeby za tobą szła. Widziałem wszystko z boku.

– Skoro tam byłeś, dlaczego jej nie pomogłeś? – Taylor skrzyżował ręce na piersiach.

– Spójrz na mnie. Jestem słaby, poruszam się po szpitalu jak zjawa. Cienie zaczęły się mną interesować dopiero w momencie, gdy pojawiłeś się w budynku. – Zakaszłał paskudnie. – Gdy poznałem cię bliżej, doszło do mnie, że ty mnie nawet nie pamiętasz. Na początku mnie to zdenerwowało, poczułem się urażony. Moje życie legło w gruzach, a ty nawet o tym nie wiedziałeś. Zobaczyłem, że nie jesteś złą osobą. W pełni gotów oddać życie za swojego brata. Dlatego zmieniłem zdanie i postanowiłem ci pomóc. Obiecałem sobie, że zanim odejdę, pomogę wam się z tego wydostać, w zamian za uratowanie mojej wnuczki. Teraz już wiem, że nie jesteś potworem, jak Philip. Byłeś manipulowany jak wszyscy inni.

Zapadła cisza. Noah opuścił głowę, a łzy popłynęły mu po policzkach. Taylor przyglądał mu się uważnie.

– Nie wierzę ci – odparł po chwili. – Chciałbym, naprawdę. Ale po prostu nie mogę. Okłamywałeś mnie od samego początku. Miałeś wiele okazji, aby się przyznać, powiedzieć mi prawdę, ale uznałeś... nie, nie... postanowiłeś, że tego nie zrobisz. – Taylor zacisnął mięśnie szczęki, poczuł się zdradzony. – Philip jest zły i tego nie ukrywa. Ty jesteś gorszy od niego. Udajesz przyjaciela, tylko po to, żeby na koniec wbić nóż w plecy. Nie chcę cię więcej widzieć, a jeżeli zbliżysz się do mojego brata, osobiście wrzucę cię do Horyzontu...

Szczek dużego psa tuż przy nodze i wrażenie, że chce ugryźć jego nogę sprawił, że Taylor wpadł na szafę z hukiem. Omiatał wzrokiem podłogę, lecz niczego nie widział. Za oknem porządnie zagrzmiało. Dyszał przeraźliwie, domyślał się, dlaczego te halucynacje są coraz częstsze i wzmagają się. Starzec zdawał się rozumieć sytuację.

– Nie miałem tego, gdy zasypiałem. Upiór nie zranił się w rękę – wykrztusił Taylor, unosząc zabandażowaną dłoń. – Philip miał dokładnie taki sam opatrunek.

– Nie pozwolił policjantom cię zabrać – zastanawiał się starzec. – Zależało mu na tym, abys był w szpitalu. Tutaj mógł mieć wszystko pod kontrolą.

– O czym wy mówicie!?! Przecież się udało! Wszyscy tu jesteśmy, możemy wracać do domu! – wtrącił braciszek, ale chłodne twarze pozostałych nawet nie drgnęły. – Prawda?

– Prawda, tylko możemy mieć jeden problem – rzekł Taylor spoglądając na Noah. Ten nagle rozszerzył oczy, patrząc w tylko jemu znany punkt.

– Co się stało? – spytał Taylor.

– Psy Umbry. Właśnie widziałem, jak wbiegły do szpitala – oznajmił staruszek.

– To niemożliwe – odparł Taylor, przełykając ślinę. Przerazenie płątało mu wnętrzności. – Po co przybiegły, skoro Philipa tu nie ma?

Noah spojrział na niego wzrokiem, jakiego nie trzeba było tłumaczyć.

## Rozdział 16

### Plan

Dwie godziny wcześniej.

– Połóżcie go – rozkazał wyraźnie zdenerwowany Philip. Dwaj pielęgniarze wjechali z łóżkiem do pustej sali i podjechali nim do drugiego łóżka. Niespiesznie zdejmowali ramy z boku, by łatwiej było im przenieść nieprzytomnego Taylora.

– Dlaczego wam to tyle zajmuje!? Kładźcie go, już!

Przestraszeni wyraźnie przyspieszyli i niechlujnie przerzucili chłopaka na właściwe łóżko. To do przewozu odjechało im przypadkowo i noga Taylora zwisała na dół. Młodszy z pielęgniarzy spojrział na dyrektora, jakby coś przeszkrobał, po czym szybko uciekł wzrokiem. Nie chciał przyglądać się jego czarnemu oku oraz wystającym bliznom spod podwiniętych rękawów. Widząc to, Philip zdenerwował się jeszcze bardziej, ale poskromił się od wyzwisk. Wyszedł na korytarz i rozejrzał, po czym wrócił. Zerknął najpierw na zegarek wiszący na ścianie, a potem na mężczyzn, opisujących stan Taylora w kartotece. Pod pachą trzymał dużą, ciężką i starą księgę. Spojrział na pielęgniarzy podkrążonym okiem. Długopis w ręce jednego z nich nabrał tempa. Drugi przełamał się i zapytał:

– Panie dyrektorze, czy wszystko dobrze?

– A co? Wygląda jakby było niedobrze?

Philip znów wychylił się za drzwi, czekał na kogoś. Sanitariusze spojrzeli po sobie.

– Jeżeli coś trzeba zrobić, to my pomożemy. Nie jesteśmy głupi, tego chłopaka szuka policja, a zamiast go wydać dajemy mu pokój.

– Czy ty właśnie oskarżasz mnie o ukrywanie podejrzanego? – warknął Philip.

– Nie, skąd. Po prostu...

– Skończyliście pisać? – Bo skoro tego mężczyzny nie powinno tu być, to dlaczego wypisujecie kartotekę? Sekundę temu mówili, że nie jesteście głupi.

Pielęgniarze jakby zastygli. Ten, co pisał wyrwał wypełnioną kartkę, potargał i schował do kieszeni. Słyszając chrząknięcie, cała trójka spojrziała na drzwi. Stał w nich lekarz w czerwonym golfie z zarzuconą na ramię skórzaną, czarną torbą.

– Dobrze się spisaliście. Widzę przed wami przyszłość w tym szpitalu. Teraz nas zostawcie.

Sanitariusze popatrzyli po sobie, a następnie opuścili salę. Philip wręczył doktorowi księgę wyszytą brązową skórą i zasłonił okna, tworząc półmrok. Ten podsunął sobie ruchomy stolik, na którym ją postawił. Otworzył na zaznaczonym miejscu i zaczął czytać. Robił to wolno, jeżdżąc palcem po tekście. Philip się

niecierpliwil.

– Możemy zaczynać? – spytał. – Nie mamy na to czasu.

Lekarz się wyprostował i bez żadnego wyrazu spojrzal na towarzysza.

– Wiesz, jak to działa, takie ruchy niosą konsekwencje – wtrącił.

– Nie zapominaj do kogo mówisz – warknął Philip, ale nie dostrzegł żadnej reakcji u doktora. – Jestem świadomy. Możemy już zaczynać?

– Będzie to również pierwszy ruch wykonany bez asysty plemienia Wan Wan.

– Harmin cię odwiedził? Ciebie również zostawili. – stwierdził. – Zresztą nie gadajmy teraz o tym, tracimy czas. Robimy to czy nie?

Lysy mężczyzna, nie spierając się, zaczął wyciągać potrzebne rzeczy z torby.

– Zdejmij z niego kołdrę – powiedział, a Philip wykonał bez wahania polecenie, zrzucając ją na podłogę. Lekarz rozpalil świece, układając je w symetrycznych odległościach od łózka, na którym leżał Taylor. Otworzył słoiczek i wziął głębokiego niucha ostrej substancji, której zapach uderzył w niego, jakby ktoś wylał mu na głowę kubel zimnej wody. Ruchami ręki rozprowadził go po pokoju. Zaczął czytać wersy w nieznanym języku, wolno i do rymu. Powtórzył je trzykrotnie, z każdym powtórzeniem mówił szybciej i głośniejsze.

Następnie podszedł do łózka Taylora. Wyciągnął nóż i sięgnął po dłoń dyrektora, stojącego naprzeciwko. Rozciął mu ją, a krew wlała się do drewnianego naczynia. To samo powtórzył z dłonią Taylora. Krwią chłopaka wyrysował runę na czole Philipa, a krwią Philipa ten sam znak na czole chłopaka. Następnie złapał za palone zioła i dmuchnął dymem jednemu i drugiemu w twarz. Skruszył je i wsypał po równo do dwóch misek z krwią. Odchylił głowę leżącego, otwierając mu usta. Pomału wlał do nich krew Philipa, a potem dyrektor wypil zawartość drugiej miski.

Doktor wrócił przed księgę i dokończył czytanie. Wypowiedzial trzykrotnie ten sam tekst zaczynając głośnie, a z każdym razem mówiąc ciszej. Zamknął skórzaną okładkę i skinął głową do Philipa, dając mu znak, że wszystko gotowe. Dyrektor odsłonił żaluzję, wpuszczając światło, a doktor pozbierał wszystkie swoje rzeczy i wrzucił do torby, którą ze sobą przyniósł.

– Weź ją ze sobą. – Philip wskazał na księgę. – Przetrzymaj ją dla mnie, mam kilka spraw, które muszę załatwić, a czasu jest coraz mniej. Zadzwoń do ciebie z kolejnymi instrukcjami.

Doktor schował ją do torby i zasunął zamek. zabrał ze sobą i skierował się ku wyjściu.

– Radzę wywietrzyć pokój – dodał na koniec. – Będę czekał na dalsze instrukcje u siebie.

Gdy wyszedł, dyrektor uchylił okna wpuszczając do środka świeże powietrze. Przyłożył gazik do dłoni Taylora, po czym owinał ją bandażem. Zarzucił na niego kołdrę i podstawil poduszkę pod głowę zamykając mu usta, na koniec zmył krew z ich czoł. Na statywie zawiesil kroplówkę, której kabel spuścił na podłogę tak, żeby od drzwi nie wyglądal podejrzenie.

– To tyle z naszej zabawy, Taylor. – Philip zaczął opatrywać własną dłoń. – Chcę, żebyś wiedział, że to nic osobistego. Nasłanie na ciebie upiora, aby w twoim ciele zamordował wszystkich twoich bliskich, było osobiste, ale nie to. – Podciągnął koldrę pod szyję. – Trafiłeś do mnie jako gówniarz z ogromnym talentem. Dałem ci warsztat, wszystko to, co teraz potrafisz, a ty naplułeś mi w twarz. W przeciągu kilku miesięcy odkryliśmy więcej, niż ludzie przez setki lat. Ale ty wolałeś ugryźć rękę, która cię karmi, napluć mi w twarz. Chyba nie sądziłeś, że puszczę to płazem? Razem z tobą chciałem zapobiec zamknięciu się szczeliny między wymiarami. Mogłeś zająć szczególne miejsce w kartach historii, ale wybrałeś... – Uniósł jego bezwładną, obandażowaną rękę. – To. – Parsknął śmiechem, by po chwili ruszyć do wyjścia.

\* \* \*

– Zastanówmy się – podjął Noah.

– Powiedziałem ci, że nie chcę cię tutaj widzieć – syknął Taylor.

– Czy tego chcesz czy nie, teraz to ty jesteś ścigany, a to nie są upiory ani stwory, z jakimi miałeś do czynienia w Horyzoncie. Jeżeli chcesz wyjść z tego cało, będziesz korzystać z mojej pomocy. Pamiętaj, że beze mnie nie zdołałbyś uratować brata. Tym bardziej nie wyjdiesz cało z tej sytuacji. – Staruszek zakaszłał. – O ile w ogóle można z niej wyjść.



– Taylor, proszę cię. – Max spojrział na brata przestraszony.

Chłopak wiedział, że mają rację. To nie był czas na wylewanie żali.

– Co wymyśliłeś? – spytał w końcu.

– Jeszcze nic. Wiemy na razie tyle, że musiał znaleźć sposób, i to niedawno. Inaczej nie chodziłby taki spanikowany. Jeżeli znajdziemy źródło, może uda nam się to cofnąć. Pamiętasz coś, co rzuciło ci się w oczy, gdy byłeś u niego po raz ostatni?

– Niewiele. Nurkował w starych księgach, przerzucał stronami jak wariat. Kurwa!

Warczenie i halucynacje, one zwiastowały ich nadejście. Jaki ja byłem głupi. Gdybym tylko zorientował się wcześniej, zatrzymałbym go siłą, gdy tylko uniósł zabandażowaną dłoń.

– Taylor, skup się. – Noah klasnął – Teraz psy polują na ciebie. Myśl o tym.

– Co to za psy? – wtrącił Max, nie mniej przerażony niż oni.

– Wymyśliłeś już coś? – spytał zrezygnowany. – Czas się kończy.

Staruszek spojrział na niego rozszerzając powieki, po czym ugryzł się w język i wypuścił powietrze nosem. Jakby wpadł na jakiś pomysł, który jednak wydał mu się kiepski.

– Jest sposób – wtrącił chłopiec.

Taylor podniósł się i spojrział na Maxa.

– O czym ty mówisz?

– Ale nie wiem, czy się uda.

– Jaki? – spytał Noah.

– Kiedy byłem w hali z wodą, pani pielęgniarka powiedziała, że ktoś się tą powodzią zajmie. Ale nikogo jakoś bardzo nie wołała. Więc, jeżeli ta woda nadal tam jest, to może uda się zamknąć te psy w tym czymś po drugiej stronie?

– Oni mogą przeskakiwać między wymiarami do woli. To na nic – skomentował Taylor.

– Normalnie tak. Ale wrzucenie i zabicie przejścia ma na celu uwięzienie tego, kogo się tam wrzuca, prawda? Czyli zabronione będą mieli wyjść z Horyzontu.

– To... – Staruszek spojrział na Taylora – najlepszy pomysł jaki mamy.

– Ostatnim razem się nie udało – dodał chłopak. – Woda jest bardzo płytka, ale nadal tam jest.

Taylor zdjął z siebie kurtkę dzinsową i wręczył ją bratu.

– Tata się z nią nie rozstawał. Ja też nie, a teraz jest twoja. Zasłużyłeś.

– Nie! – krzyknął chłopiec z szeroko wybałuszonymi oczami. – Dasz mi ją jak wrócisz!

– Posłuchaj...

– Nie biorę jej! Tata ci ją dał i zginął. Weź ją ze sobą.

Taylor pocałował braciszka, po czym wstał i ruszył do wyjścia.

– A ty dokąd? – zawołał Noah.

– Wracam do sali, gdzie się obudziłem. Nie wiemy, jak działają te psy, ale zostawiając ciało tutaj, narażam Maxa na rykoszet.

– A co ja mam robić? – spytał chłopiec.

– Siedź i na mnie czekaj! To ciebie nie dotyczy.

Taylor wybiegł z sali. Nie miał czasu do stracenia. Skoro psy były już w budynku, w każdej chwili mogły go odnaleźć. Jak przeżyję, to Philipa spotka coś o wiele gorszego niż te psy, pomyślał. Biegł korytarzem wypatrując za policjantami, nie



chciał teraz na nich trafić. Patrzył przed siebie, aż nagle wszystko stało się pomarańczowe i głuche, a ludzie zniknęli jak za pstryknięciem palca. Przed sobą dostrzegł cienie unoszące się nad czarnymi punktami w korytarzu. Kilka metrów przed nim stała kobieta w białej sukience i ciemnej kurtce. Patrzyła mu prosto w oczy.

– Ciemność jest skrótem do światła – powiedziała, po czym rozłożyła szeroko ręce i zamknęła oczy. Odchyliła się do tyłu wpadając plecami do cienia jak do wody, gdzie upiory rzuciły się za nią niczym dzikie, wygłodniałe zwierzęta. Taylor zrobił krok i potknął się. Gdy upadł, znów świeciło białe światło z lamp szpitalnych, a szum rozmów zagłuszał wszystko inne. Na ułamek sekundy znalazł się po drugiej stronie. Nie wiedział, że jest to możliwe na jawie. Podniósł się, zaskoczony.

Kilka chwil później wparował do swojego pokoju. Łóżko było puste... Dotarło do niego, że to przecież realny świat i on jest tym ciałem. Rzucił się na łóżko. W tej samej chwili usłyszał donośne warczenie. Zerwał się i spojrzął na wolno zamykające się drzwi.

Znów się położył i zamknął oczy.

\* \* \*

Czuł się znacznie lepiej niż wtedy, gdy opuszczał świat cienia, ale nadal ciążyło mu zmęczenie. Był pod wrażeniem w jak niedługim czasie kondycja ducha się poprawiła. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że cisza i pomarańczowe światło stają się dla niego tym „normalnym” miejscem. Ostrożnie, na palcach, podszedł do drzwi i wychylił się na korytarz. Jego zaciemniona strona skrywała w sobie sześć upiórów. Czyhały na niego. Ostatni z nich nagle się odwrócił i w sekundę zanurzył w czerni, pozostawiając po sobie jedynie kłębek dymu.

Kolejne stwory poszły w jego ślady, aż nie został żaden. Taylor wiedział kogo się tak przestraszyły. Oddałby teraz wszystko za swój własny cień, do którego mógłby wskoczyć.

Coś poruszyło się w czarnym dymie na suficie. Zmrużył oczy, ale niczego nie dostrzegł. Nagle spod cienia ujrzał cienki, niewiele grubszy od anteny, szary ogon zwisający pionowo w dół. Sięgał samej podłogi, kołysząc się od lewej do prawej łagodnie, z nadnaturalną gracją. Chowanie się gdziekolwiek nie miało sensu, te istoty widziały między wymiarami, czymże dla nich były ściany czy inne przedmioty?

Ogon znieruchomiał. Wiedział, że nie ma do czynienia z upiorem czy potworem. Każda istota z wszystkich znanych mu wymiarów bała się tego, którego ogon zwisał teraz z sufitu. Co znaczyło, że nie można podejść do niego w zwyczajny sposób. Wyszedł więc z ukrycia i stanął na środku korytarza. Ogon znów zaczął merdać, delikatnie na boki, rytmicznie. Jakby chciał go zahipnotyzować.

Sytuacja była o wiele gorsza niż przypuszczał. Nie spodziewał się, że trafi na niego od razu po wejściu do Umbry. Liczył na łut szczęścia i rozpoczęcie walki w połowie drogi. Marzeniem było nie spotkać ich wcale.

Taylor zaczął się cofać, a ogon łowcy znieruchomiał. On również zastygł w bezruchu, po czym podjął kolejną próbę, cofając się najostrożniej jak to tylko było możliwe. Zobaczył zarys sylwetki, który w mgnieniu oka zeskoczył na podłogę, niknąc w czerni. Ogon wolno uniół się pionowo, sięgając samego sufitu. Chłopak był już blisko zakrętu. Przy następnym kroku, pies doskoczył do granicy cienia, ciągle kryjąc się pod osłoną mrocznego odcinka korytarza. Taylor uniół piętę, a ogon łowcy znów przestał się ruszać. Chłopak wolno położył stopę, a ogon wrócił do kołysania. Przekaz był prosty – ani kroku dalej. Taylor uniół ręce.

– Rozumiem, naprawdę – zaczął. – Dostałeś rozkaz i jesteś tu, by go wykonać, ale masz złą osobę. Przybiegłeś tutaj po Philipa, nie po mnie. Jeżeli mnie zabierzesz popełnisz wielki błąd. Zostałeś oszukany.

Widząc brak reakcji ze strony psa, zrobił szybkie dwa kroki w tył. Usłyszał trzask. Dopiero później zobaczył zarys ręki na końcu ciemnej strefy – chudej, ale umięśnionej jak u atlety. Na jej końcu widniały cztery palce, z czego jeden z nich miał ogromny szpon.

W oddali Taylor dostrzegł kobietę w białej sukience, stała na rozwidleniu dróg. Była spokojna. Na jej twarzy nie rysowały się żadne emocje. Teraz zrozumiał, że to musiała być ona – kobieta, która pomogła Maxowi nie wpaść w sidła ludzi dyrektora. Uniosła rękę i wskazała palcem drogę. Problem był taki, że wskazywała kierunek przeciwny do oddziały zakaznego. Biegając tamtędy tylko nadłożyłby drogi.

Zerknął na ogon. Był w tym samym miejscu. Wrócił wzrokiem na dziewczynę, ale jej już nie było. Zniknęła jak kamfora.

Bez namysłu ruszył rażno korytarzem, w każdy krok wkładając maksimum energii. Dotarł do końca alejki i zobaczył, że pies za nim nie biegnie. Przystanął. Miejsce, jakie wskazywała dziewczyna zanurzone było w ciemności. Nie docierało tam żadne światło, z czego bardzo zadowolony był jeden z upiórów, przechadzający się w tym miejscu.

Po głowie przebiegało mu teraz milion myśli na sekundę. Skoro pies go nie gonił, to najrozsądniej było biec znaną mu, najkrótszą drogą.

W ułamku sekundy łowca skoczył na ścianę i odbił się od niej w kierunku Taylora, który nie tracąc ani chwili dłużej pobiegł we wskazane przez dziewczynę miejsce. Cień pojął co nadciąga. Zanurkował w czerni, zostawiając po sobie jedynie czarny dym. Wtedy Taylor zrozumiał na czym polegała wizja spadającej dziewczyny w mrok.

Chłopak instynktownie skoczył w punkt, w którym zniknął upiór. Został wciągnięty w dół jak tornado, po czym wystrzelony z ogromną prędkością czymś w rodzaju tuby z ogromnym ciśnieniem. Z czerni nagle zaświeciło światło, aż zabolęły oczy. Taylor rąbnął twardo o podłogę.

Po krótkiej chwili zorientował się, że znajduje się w jednej z sal szpitalnych, ale nie takich, w jakich miał okazję leżeć. Podnosząc się, spojrzął za siebie. Tuż za nim stał upiór, który wyglądał na równie skołowanego tą sytuacją, co on. Taylor odskoczył w ostatniej chwili, a cień sięgnął po niego piszcząc przy tym głośno, ale czas reakcji chłopaka był lepszy, co pozwoliło mu ocalić skórę. Dyszał przestraszony, ale był cały

i zdrowy, choć mocno zdezorientowany. Pokój był mniejszy niż jego, z małym łóżkiem pod ścianą, na którym ostał się rozłożony długi papier. Przy komputerze na ścianie wisiała duża kwadratowa lampa, na której przyklejone były stare zdjęcia rentgenów.

Cień dosunął się płynnym ruchem do ściany, a chłopak odskoczył dalej dla pewności. Oranżowe światło dzieliło pokój na dwie połówki, wiedział, że tutaj go nie sięgnie. Taylor podszedł do drzwi, jak najdelikatniej umiał przekręcił klamkę. Wychylił się na korytarz, droga wydawała się być pusta. Był na parterze, na końcu zaciemnionego korytarza po lewej dostrzegł recepcję w głównym holu. Zaś po prawej alejka była prześwietlona z otwartych drzwi do pokoi. Na środku zauważył ogromną ilość porzrzucanych kartek i dokumentów. Chciał przebiec obok recepcji i dostać do dobrze znanej mu klatki schodowej, ale nagle ujrzał szary, cienki ogon, zwisający z kratki wentylacyjnej na suficie. Chłopak skamieniał, a dreszcze przebiegły mu po plecach. Zerknął przez drzwi na upióra, ten również nie zachowywał się normalnie. Zasłaniał się ręką, skulony i dociśnięty do kąta pokoju.

– Tylko spokojnie – powtórzył pod nosem drżącym ze strachu głosem.

Czy to możliwe, żeby to był ten sam pies? Miejsce, gdzie wypłuł go cień znajdowało się po drugiej stronie szpitala, musiałyby mu to zająć kilka sekund. To przeczyło wszelkim prawom fizyki.

Ogon wyprostował się jak szpada, a upiór w pokoju zapiszczał i wskoczył do mroku, zostawiając po sobie wolno opadający wężyk dymu. To moja szansa! – stwierdził Taylor i wbiegł do pokoju zamykając za sobą drzwi. Łowca jednak roztrzaskał je w drobny mak chwilę potem i wbiegł do środka. Chłopak wskoczył w pozostawioną smugę dymu. Czerń okryła świat, a Taylor znów miał wrażenie, jakby znajdował się na rollercosterze bez przypiętych pasów, obracany i objany o każdą ścianę przy zmianie kierunku.

Nie mógł złapać oddechu. Wypadł z mroku i sunął po śliskiej podłodze, aż uderzył o ścianę. Podniósł się trzymając za potylicę i łapiąc w płuca trochę tlenu. Pomieszczenie z łóżkiem na środku bez pościeli, z jednym źródłem światła i ogromną lampą nad nim.

– Co to za miejsce?

Zauważył maszynę robiącą zdjęcia rentgenowskie. Był to zapewne ten sam pokój, do którego chciała dostać się opętana wnuczka starca. W ciemności zaświeciło kilka srebrnych oczu. Chłopak zerwał się na nogi przerażony. Było za mało światła, by móc się bronić.

Rzucili się na niego, a on krzyknął pełnym gardłem przerażony. Nagle wszyscy stanęli w miejscu słysząc głośny huk czegoś uderzającego w ciężkie drzwi do pomieszczenia, które zniekształcały się przy każdym kolejnym natarciu. Upiory uciekły nurkując w czerni zostawiając Taylora samego. Górna część drzwi ułamała się i wygięła wpuszczając światło do środka. Nie było czasu się zastanawiać. Wskoczył w pierwszy dym, jaki spotkał na swej drodze. Kolejny raz został przeciągnięty czarnym tunelem i wypchnięty w innym punkcie szpitala. Tym razem coś przerwało

jego ślizg. To był upiór, za którym podróżował. Złapał go za nogę, zanim zdążył opuścić okrytą cieniem strefę i wciągnął go z powrotem. Unieśli go w powietrze. Pozostali doskoczyli, łapiąc go za kończyny, a rozciągnięcie niemal pozbawiło go rąk i nóg. Wiedzieli, że jest powodem biegających po szpitalu istot. Nie chcieli go zanurzyć w cieniu, pragnęli jego śmierci. Złapali go za głowę i pociągnęli, chcąc wyrwać. Dwóch z nich puściło i odskoczyło do tyłu. Miał wolną rękę i nogę, zaczął się bronić, ale ci dłużej nie napierali. Patrzyli w jeden punkt.

Zza winkla wyskoczył pies, Taylor widział tylko jego posturę. Miał cztery chude kończyny, biegł jak pająk, co chwila przyspieszając w krótkich skokach z długim ogonem postawionym w górę. Wyłonił się jak bolid. Upiory puściły zdobycz i uciekły, każdy w inną stronę. Po chwili chłopak rzucił się za nimi.

Gonitwa nie miała końca. Przeskakiwał z miejsca na miejsce, od jednego skrzydła budynku do drugiego, a pies biegł za nimi, nie pozwalając mu się nawet rozejrzeć. Ucieczka przed nim zdawała się być niemożliwa. W głowie Taylora zaczynało huczeć. Nie widział jak długo tak jeszcze wytrzyma, liczył na fart, że zbliży się do zakaźnego na tyle, by się tam skryć. Ale z jakiegoś powodu to skrzydło było pomijane w kierunkach, jakie cienie wybierały do ucieczki.

Zauważył, że upiór tworzy tunel chcąc się szybko przemieścić z miejsca na miejsce, a Taylor może jedynie nim podążyć, dopóki dym nie opadnie, a tunel się nie zlepi. Tym razem było inaczej. Wypadając zatrzymał się twardo na zbitej ziemi, nie mając dachu nad głową.

– Gdzie ja jestem!? – panikował.

Stał w cieniu drzewa na placu pomiędzy budynkami. Widział ławeczki, fontannę i plac zabaw dla dzieci. Wszystko bez ruchu, jak na zatrzymanym filmie, bądź fotografii. Ostre pomarańczowe słońce, położone nisko na sklepieniu raziło po oczach. Odniósł wrażenie, jakby znalazł się na środku pustyni, a słońce chciało mu wypalić wzrok. Szpital był po drugiej stronie ulicy.

Upadł na kolano. Poczuł, że słabnie. Srebrna nić mocno zbladła. Nie mógł się bardziej oddalić, bo by umarł. Po lewej w cieniu rzucanym przez budynek pojawił się kolejny upiór, ze ślepiami wbitymi w trzecie piętro placówki.

Jedno z okien eksplodowało. Pies zbiegł po ścianie szpitala w dół i zbliżał się w zatrważającym tempie. Upiór stojący za nim wskoczył do cienia, jednak skierowany w przeciwnym kierunku. Ciężko po lewej zanurzył się w stronę budynku, nie było czasu na bieg. Taylor zrobił nieplanowany zwód ciałem i w ostatniej chwili odskoczył do boku. Łowca nie wyhamował i unosząc tony piasku spod hamujących ostro na suchej ziemi szponów, wpadł w wężyki dymu, które wciągnęły go pod mrok.

– Ha! – krzyknął Taylor, dumny z siebie.

Mina mu jednak zrzędła, gdy eksplodujący kurz kilkadziesiąt metrów dalej szedł w parze z przeciągniętym piskiem upiora, zapewne zamordowanego przez tropiciela. Hałas pękającej szyby odwrócił jego uwagę – ze szpitala właśnie wybiegł drugi pies, Taylor pobiegł do opadającego już języka dymu i wskoczył. Czerń wypluła go na śliski korytarz szpitalny. Od razu poczuł przyływ sił od poprawiającej się

kondycji srebrnej nici. Unosząc wzrok oczy zaświeciły mu nadzieją. Wystartował przed siebie i zamknął za sobą drzwi do zakaźnego, by sekundę później psy uderzyły w niego z impetem. Taylor upadł na podłogę. Wryte runy na ramie chroniły wejścia nawet przed nimi. Zapewne na długo ich to nie zatrzyma, ale był wdzięczny za chociaż moment oddechu. Podniósł się dochodząc powoli do siebie. Zaczesał rozczochrane włosy za uszy, w drodze do hali, która w Umbrze była taka sama, jak ta ze świata materialnego, punktowe światła oświetlały puste łóżka. Ciało staruszka również nigdzie nie było, Umbra nie ukazywała materialnych powłok. Pomimo tego, że Noah go okłamywał, zależało mu, aby wyszedł z tego cało.

Zrobił kilka kroków. Coś nie grało, ale jeszcze nie wiedział co dokładnie.

Woda! – zauważył. Nie było wody, hala była sucha.

Cały plan na nic.

\* \* \*

Niebo nad miastem szybko pociemniało. Gdzieniedzie przebijały się gęste ciemno-szare chmury. Wiatr rósł w siłę, świszcząc potępieńczo. Targnął miastowym kurzem, zakotłował nim. Korony większych drzew zaszamotały się, mniejsze zgięły w pół pod naporem. Poleciała kurzawa liści. Ludzie wbiegali do pobliskich budynków, inni skryli się na przystankach. Błysnęło, trzask gromu przyszedł spóźniony i jeszcze nie głośny. Drzwi trzymające się na jednym zawiasie skrzypiały, a żaluzje odpychane przeciągiem uderzały o okno w biurze dyrektora. Zasuwane i otwierane szafki, deptane kartki oraz skrzypiące, rozbite szkielka pod podeszwą były jedynymi dźwiękami, jakie grały teraz w pomieszczeniu.

Noah postawił na biurku kilka notesów i nie tracił czasu na próbie rozszyfrowania ich. Dyrektor zawsze otaczał się najlepszymi ludźmi, potrzeba było specjalisty, aby przedarł się przez jego zabezpieczenia. Nadzieje odchodziły od starca na równi z siłą, by utrzymać się w świecie materialnym. Kartki przelatywały przez palce – nie mógł już żadnej podnieść. Nie znalazł niczego sensownego, a czas się kończył. Szukał wszędzie, przyglądał się najmniejszej karteczce rzuconej na podłogę.

Świat zawirował przed jego oczami. Upadł, a podczas uderzenia pomieszczenie jak za pstryknięciem palca stało się ciche i pomarańczowe. Żaluzje nie uderzały w okno, a chmury burzowe zniknęły, zastąpione jasnym słonecznym blaskiem.

Czuł się jak po długim biegu, ledwo oddychał. Z korytarza Umbry usłyszał krzyki Taylora, raz ledwo słyszalne, innym razem nader wyraźne.

A potem nastąpiła cisza. Noah nie rozumiał co się działo. Koncentrował się na konfrontacji z psami, które chciały dopaść chłopaka. Nie miał czasu do stracenia, to nie był moment na odpoczynek. Wziął głęboki wdech, zebrał się w sobie i zamknął oczy.

Zrobiło się chłodniej, poczuł wiatr na plecach, a żaluzje znów wybijały rytm wraz z gwizdem przebiegającego przeciągu.

Otworzył oczy i wrócił przed biurko. Usiadł w fotelu Philipa i starał się skupić.

Dyrektor nie trzymałby tak ważnych informacji na wierzchu, musiał mieć jakąś skrytkę, może drugie dno w szufladzie. Sięgnął za uchwyt półki w biurku, ale palce przeniknęły przez nie. Spróbował jeszcze kilka razy, ale wszystko na nic. Zaczął się denerwować.

Oparł się i zobaczył stojącego przed biurkiem chudego mężczyznę w czerwonym golfie, przyglądającego mu się bacznie. Spanikowany starzec wrócił do Umbry. Ostrożnie minął miejsce, w którym w świecie materialnym stał doktor i podbiegł do drzwi, nie chcąc być w pobliżu tego człowieka. Gdy je uchylił, tuż obok niego przebiegł jak pocisk jeden z psów, który skokiem na ścianę odbił się do kolejnego korytarza. Nie zdążył mu się przyjrzeć, był zbyt szybki. Starzec patrzył jak wryty w głębokie ślady pozostawione po szponach i pomyślał o Taylorze, o tym, co go czeka, jeżeli nie znajdzie sposobu na wyciągnięcie go z tego bałaganu.

Otrząsnął się i wrócił do gabinetu. Przeszedł do świata materialnego. Ku jego zdziwieniu łysy mężczyzna stał w tym samym miejscu, ale obrócony przodem do niego.

– Jak? – spytał zdziwiony. – Skąd wiedziałeś, że się tu pojawię?

Doktor uniósł ramiona do góry. Noah wiedział, że kłamie.

– O proszę. – Staruszek uśmiechnął się i zaczął go mijać. Ukrywał stres jak tylko potrafił. – Po latach zrobiłeś się gadatliwy.

Starzec usiadł na fotelu dyrektora i oparł się o niego wygodnie.

– Jak wyglądam?

– Czego szukasz w tym gabinecie? – spytał wysoki mężczyzna.

– Tego, co ty.

Stał jak wiekowy posąg, powoli zbliżając się do biurka, zatrzymując się tuż przed nim.

– Nie wiem o czym mówisz.

– Kłamiesz. – Noah wskazał na mebel palcem. – Tak samo jak kłamałeś mówiąc, że nie zostawicie mnie tam samego. Że to tylko chwilowe i będzie w pełni kontrolowane przeze mnie.

– Po to tu jesteś? By rozmawiać o przeszłości?

– „By rozmawiać o przeszłości”? – burknął starzec. – Zawsze byłeś dziwny, ale to? Co to jest? Stałeś się robotem? Posłuchaj, nie potrzebuję jej. Nie muszę nawet na nią patrzeć, ale daj mi urywek, który mówi o zmianie ofiary naznaczonej dla psów. Taylor nie jest złym chłopakiem, nie zasłużył na taki koniec. Ale obaj wiemy, kto tak. Dla mnie już za późno, ale przynajmniej wam się zrobi lepiej. Philip zginie i będziecie mogli skupić się na tym, na czym zawsze chce...

– Nie jest już na pozycji jak dotychczas.

– Co to znaczy? Zwolnili go? Kto?

Nie odpowiedział.

– Nieważne. – Starzec odwrócił wzrok. – Pomożesz mi czy nie? Nigdy cię o to nie

prosiłem, ale teraz naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Ze względu na stare czasy.

Mierzyli się wzrokiem, po czym wolnym ruchem łysy sięgnął po długopis leżący na blacie. Otworzył notes i zaczął pisać. Po ruchach dłoni można było rozpoznać, iż pomiędzy treścią rysował znaki, precyzyjnie jak chirurg. Gdy skończył, położył dwa palce na notesie i dosunął go do Noah. Usłyszeli gwałtowny grzmot, który przetoczył się echem po mieście, a za nim przyszło oberwanie chmury. Deszcz szumiał monotonnie, krople za oknem przypominały lśniące jak rtęć kreski, bliżej słysząc było pojedyncze, melodyjne pluśnięcia spadających na parapet maleńkich kropel. Starszy mężczyzna chciał zabrać notes, ale łysy nie ściągał z niego palców.

– Nie jest to rozwiązanie, jakiego szukasz – powiedział.

– Ale pomoże?

Doktor przytaknął, wciąż trzymając notatnik.

– Ten notes będzie twój, ale jest jeden warunek – dodał, a starzec oparł się o fotel. Serce zabiło mu szybciej, bo pamiętał, że ten nigdy nie żądał byle czego.

Uniósł rękę w geście, by przedstawił swój warunek.

\* \* \*

– Nie! KURWA! – wrzasnął pełen złości i kopnął jedno z łóżek. Nie przewróciło się, więc złapał je mocno rękoma i z całej siły szarpnął nim, lecz jedyne, co zdołał, to przesunąć je, aż uderzyło o sąsiednie.

– Co ty najlepszego wyprawiasz? – rzucił Noah.

– A co tobie do tego? – warknął w odpowiedzi.

– Nie zachowuj się jak dziecko.

– A jak mam się zachowywać? Plan nie wypalił. Rozejrzyj się, nie ma wody!

– Woda jest w świecie materialnym, nie tutaj.

Zmieszany chłopak nie wiedział co odpowiedzieć. Odwrócił się i zamilkł.

– Nie zwlekajmy. Philip korzystał ze starodawnych run. Łowcy się tu przedostaną. – Noah ruszył w stronę końca hali. – Pozbędziemy się ich i nie będziesz musiał mnie już oglądać.

– I dobrze.

Taylor podążył za nim. Wciąż był na niego zły, choć nie czuł się dobrze z tym, co powiedział.

– Masz jakiś plan, jeżeli to się nie uda? – spytał po chwili staruszek.

– Chcę przypomnieć, że to zawsze ty byłeś tym z planem. – Chłopak spojrzał kontrolnie za siebie. – A teraz robimy to, co powie dwunastolatek. Kocham mojego brata, ale nie czuję się z tym pewnie.

– Bardzo mądry dwunastolatek, pragnę zaznaczyć. To dzięki jego pomysłowi zdołaliśmy cię wyciągnąć z Horyzontu. Gdyby nie on, wciąż byś tam siedział.

Taylor przypomniał sobie słowa Philipa, gdy puszył się wspominając, iż znalazł

kogoś młodszego i bardziej utalentowanego na jego miejsce. Obawiał się, że chodziło mu właśnie o Maxa. To go motywowało. Wolałby dać się zaciągnąć do Dalekiej Umbry niż pozwolić mu zrobić z braciszka królika doświadczalnego. Na samą myśl o tym, że miałby przechodzić przez to samo piekło, co on, buzował się od środka. Usłyszeli głośne uderzenie dochodzące z korytarza, a zaraz po tym kolejne. Odłamki tynku sypały się z sufitu, a lampy zaczynały kołysać się i migotać. Spojrzeli po sobie i bez słowa pobiegli do leżącego w skrawkach lustra. Patrzyli na swoje nierówne odbicia w rozbitej tafli. Taylor zerknął na wejście do hali, wyglądało na to, że mieli jeszcze chwilę czasu.

– Dobra, mamy wejście – skomentował chłopak – tylko jakim cudem ich tutaj zwabimy i zmusimy do przejścia na drugą stronę? Kolejną sprawą jest zniszczenie lustra. Tylko jak to zrobić, skoro jest już zbite?

– Mam pewien pomysł – stwierdził starzec nie unosząc wzroku. – Z zamknięciem portalu nie powinno być problemu. Weźmiemy jeden ze statywów i nogę wsadzimy między dwa duże szkiełka. Gdy psy będą już po drugiej stronie, wystarczy odsunąć którykolwiek z odłamków, aby lustro nie tworzyło całości.

Taylor zauważył kilka statywów stojących przy łóżkach.

– No dobra, ale to jest drugi etap planu. – Spojrzał na staruszkę. – Jak my ich tam wrzucimy?

– Użyjemy przynęty.

– Mnie. – Taylor zaśmiał się sztucznie i przetarł spocone dłonie w spodnie. – Mów dalej.

– Aby zmusić łowców do wejścia głębiej akurat tym przejściem, muszą widzieć jak najpierw robisz to ty...

– Nie ma mowy. Nie wracam tam.

Chłopak wstał i krążył w miejscu, starał się uspokoić.

– Nie masz pojęcia, co tam jest. Czekają tam na mnie dwie kreatury, które pragną mnie obedrzeć ze skóry. W zasadzie nie dwie, a trzy! Ten wysoki na pewno przeżył. Skoro flaki na wierzchu go nie zabiły, to nic tego nie robi.

– Trzy kreatury tam, dwie tu. Jaka to różnica?

Taylor kucnął przed lustrem i głośno wypuścił powietrze z ust.

– Zobaczmy co tam się teraz dzieje. Przytrzymaj mnie. – Podał starcowi jedną rękę, drugą oparł się za lustrem po lewej stronie. – Gdyby coś się stało, ciągnij.

Staruszek skinął głową.

– Powiedz, że rozumiesz. To nie jest śmieszne! – krzyknął zdenerwowany chłopak.

– Gdyby coś się stało, wyciągnę cię. – Noah uśmiechnął się ciepło, chcąc dodać mu otuchy. – Nie bój się.

Nie bój się, powtórzył w myślach. Łatwo mu mówić. Chłopak chrząknął, po czym zacisnął dłoń staruszkę. Będąc tuż nad taflą lustra, zawahał się wiedząc, że starcowi chodziło wcześniej po głowie zamordowanie go. Nie miał jednak innego wyjścia.



Twarz uderzyła o rozbite lustro omal nie łamiąc nosa. Zdziwiony Taylor położył dłoń na tafli, ale nic się nie zadziało.

– Woda! – krzyknął chłopak. – Sprawdź!

Noah zniknął. Taylor w międzyczasie starał się dotykać lustro w różnych punktach, niestety było tylko leżącym skupiskiem małych szkiełek, niczym więcej. Starzec wrócił ze spuszczoną głową.

– To na nic. Spuścili wodę do końca, nie ma już żadnej tafli, nie zaciągniemy tutaj też innego lustra. Nie dostaniemy się do Horyzontu, ani ich tam nie zamkniemy. Miałeś rację, plan nie wypalił.

– To koniec – stwierdził podłamany Taylor – mój koniec.

– Zostaje nam ostatnia opcja. W trakcie waszej zabawy w chowanego przeglądałem dokumentację w biurze Philipa w nadziei na odnalezienie czegoś, co zrzuci z ciebie cel. Niestety, takiej wzmianki nie było, ale znalazłem coś, co może ci pomóc to przeżyć, a przynajmniej utrudnić psom zadanie. Wyrysuję znak na twoim ciele, a gdy łowcy otworzą drzwi, to nie tylko one, ale i wszystkie cienie w pobliżu przyjdą, aby cię zabić.

– I jak to ma pomóc? – Chłopak uniósł brwi.

– Zaczną o ciebie walczyć. Przy odrobinie szczęścia upiory zabiją psy, a ty zetrzesz wtedy znak. Wykorzystywali to podczas rytuałów, żeby upiór nie pomylił ofiary z osobą, która tę ofiarę składa. – Staruszek oparł ręce o biodra i spojrzał na niego współczującym wzrokiem.

– Upiory boją się psów równie mocno jak ja. Jak pewny jesteś, że to zadziała?

– Wcale nie jestem pewien, ale opis brzmiał jak rozkaz. Nie powinni mieć innego wyjścia. Chciałbym dać ci coś lepszego, chłopcze, lecz niestety, to jedyne, co mogę dla ciebie zrobić.

– Napisz ten znak. Teraz to i tak już bez różnicy.

Noah złamał jeden z korzeni, które obrastały podłogę i odłamkiem, niczym węglem wyrysował runę na zewnętrznej stronie dłoni Taylora. Następnie odrzucił kawałek kija i zaczęli wracać do wejścia.

– O czym myślisz? – spytał starzec widząc, że Taylor patrzy pod nogi.

– O początku. – Oglądał wyrysowany znak. – W końcu o tym się zawsze myśli, kiedy nadciąga koniec. A ty? Jaka jest twoja historia? Jak trafiłeś do Umbry?

Starzec wskazał palcem na swoje łóżko.

– Byłem wśród sztabu doktorów, którzy pracowali dla Philipa. Jednym z pierwszych. Wtedy placówka była w starej, opuszczonej odlewni na krańcu miasta. Zakład psychiatryczny przyszedł później. Poznawaliśmy nieznanne, testowaliśmy, robiliśmy wszystko co tylko zechciał. Aż pewnego dnia odkryliśmy znaczenie numerologii i jej wpływ na przechodzenie między wymiarami. Okazało się, że jestem trzydziestką trójką. Zgodziłem się zatem dobrowolnie przejść do świata cienia i kontynuować badania od środka. Położyli mnie na łóżku i od tamtej pory nie wstałem. Nie zdążyłem nawet pożegnać się z rodziną. Pierwsza sesja miała trwać

godzinę. – Parsknął. – Najdłuższa godzina jaką znał świat.

– To tłumaczy twoją szeroką wiedzę na temat tego wszystkiego – zauważył Taylor. – Nie wiedziałem, że oderwanie od nici robi z ciebie warzywo. Jeżeli to w czymś pomoże, byłeś bodźcem, którego potrzebowałem, by zacząć się sprzeciwiać Philipowi. Tak rozpoczął się mój bunt, a finalnie ucieczka z psychiatryka. Jeszcze godzinę temu nie byłem świadom dopuszczania się takich rzeczy, a teraz wszystko pamiętam. Dobija mnie to.

– Nie zadręczaj się. Nienawidziłem cię przez ten cały czas, mając cię za tak samo złą osobę jak Philip, ale udowodniłeś mi, że się myliłem. Zabiłbym cię, gdyby nie pojawiła się tutaj moja wnuczka. Teraz jest wolna, poza zasięgiem Philipa, dzięki tobie. – Zakaszła – Oczywiście, gdy dyrektor się zorientował, że moje ciało jest sparaliżowane, połączył mnie ze srebrną nicią i uczynił przykładem dla innych, jaka nagroda nadciąga dla tych, co się dobrze sprawują. Nie wspomniał tylko, że pozwolił mi wyjść z ciała, nie ostrzegając wcześniej o moim urazie i tak trzymał mnie miesiącami, leżącego i patrzącego w sufit. Opowiadał jak to po wyjściu na drugą stronę ciała są wywożone do innego miejsca, aby duch nie mógł do niego wrócić. Mówił, że tylko pod groźbą wiecznego pozostania w świecie cienia są lojalni. Skurwiel miał chęć zrobić z siebie ofiarę, twierdzić, że jest „zmuszony” posuwać się do takich rozwiązań. Nie ma niczego gorszego, niż więzienie w martwym ciele. Dlatego wybrałem Umbre. Od tamtej pory jestem w niej cały czas i nie mam zamiaru wracać.

Dotarli do pierwszego rzędu łóżek, od strony wejścia i usiedli na nich. Huk uderzeń w drzwi był wyraźnie słyszalny. Taylor uniósł wzrok i spojrzał na korytarz, słyszał jak ostatnie natarcie odłamało klamkę, której upadek niósł się echem. Wiedzieli, że zaraz tu będą.

– Może gdybym trafił do innego zakładu, może gdybym nie poznał Philipa, który miał chorobę obsesję na punkcie świata cieni, gdybym się nie zgodził na współpracę... Może byłoby inaczej. To ja przerywałem srebrne nici tych wszystkich osób, byłem jego królikiem doświadczalnym. Na mnie się uczył. I ode mnie jednocześnie. Sam wyniosłem z tego wiele, mimo iż chciałem od tego wszystkiego uciec. Nienawidzę go z całego serca i to ja za niego umrę. – Zaśmiał się. – To nawet poetyczne. A żeby tego było mało, zabiłem własną matkę. Nie specjalnie, ale jednak. Podrzuciłem jej butelkę pod nos, wiedząc, że nie radzi sobie z alkoholem. Teraz nie żyje i to jest moja wina. Chciała tylko ratować swojego syna. – Chłopak westchnął, zawiedziony samym sobą. – Czasem mam wrażenie, że na taki właśnie los zasłużyłem.

Trzęsące się dłonie Taylora nie umknęły uwadze Noah. Zatrwożony tym, co miało się wydarzyć, tonął w wyobraźni, karmiącej go okrutnymi wizjami. Zorientował się po chwili, że starszy mężczyzna mu się przygląda i odwrócił głowę.

– Odejdź – spojrzał na niego. – Tylko się narażasz.

– Teraz się o mnie martwisz? Przed chwilą nie chciałeś mnie widzieć.

Chłopak nie odpowiedział, siedział w bezruchu.

– A co z twoim bratem? – ciągnął Noah. – Pomyślałeś o nim?

– Sam powiedziałeś, że jest bardzo mądry. Poradzi sobie.

– Nie możesz tak...

Kolejne uderzenie w drzwi lekko je uchyliło. Słysząc było odgłos przeciskających się łowców. Staruszek zbladł i zrobił dwa kroki w tył.

– Dasz radę Taylor, wierzę w ciebie. – Wyciągnął do niego rękę.

Zawahał się na sekundę, ale podał dłoń staruszkowi. Ten zniknął. Chłopak delektował się tą chwilą, mając świadomość, że może być ostatnią, jeżeli szalony plan starca nie zadziała.

Penumbra straszy, Umbra pochłania emocje i urzeczywistnia je w formie upiorów, Horyzont nie pozwala odpocząć, jednocześnie chcąc doprowadzić cię do szaleństwa przez wizje i halucynacje.

Są jeszcze dwa poziomy niżej, dokąd zabiorą go psy.

Drzwi wypadły z hukiem. Taylor skrył się za łóżkiem. Drżał ze strachu. Kiedy się lekko wychylił, zobaczył długi szary ogon, który wyłonił się niczym wąż. Kołysał na boki, po czym znieruchomiał. Chwilę potem psy zrobiły dwa susy po ścianie i wtopiły się w mrok zakrywający sufit. Były zbyt szybkie, aby mógł im się przyjrzeć.

Taylor przeczołgał się kilka łóżek dalej. Chciał wydostać się z tego pomieszczenia, ale wiedział, że nie dobiegnie do wyjścia żywy. Nie spuszczał wzroku z sufitu, choć punktowe lampy razily po oczach. Mrok w jednym miejscu zgęstniał, przybrał kształt zwisającego kabla.

Nie mógł zlokalizować drugiego łowcy.

– Macie złą osobę! – Wyszedł z ukrycia i uniósł ręce w górę. – Chcecie Philipa, nie mnie!

Nie wytrzymał presji, nerwy puściły. Chciał mieć to już za sobą. Czekanie na śmierć zdawało się być teraz gorsze, niż sama śmierć. Światło po prawej zamigotało, a chwilę potem dostrzegł psy. Schodziły głowami w dół, wzdłuż kabli na ścianach.

Jeszcze chwila i go dopadną...

Nagle dłoń zapiekła go, jakby została oblana wrzątkiem. Zgiął się w pół, nie rozumiejąc, co się stało. Skonstatował, że to narysowany na dłoni znak był powodem tego bólu.

Łowcy się zatrzymali, a ogony naprężyły do granic. Psy nie wydawały żadnych dźwięków. Czarny dym zaczął pojawiać się w przyciemnionych miejscach, było go coraz więcej i stawał się gęściejszy. Z lewej, z prawej, przed i za nim, był otoczony. Dym zwiastował obecność upiorów. Ręka piekła, serce waliło, nogi miękły. Był w pułapce. Taylor rozejrzał się widząc, że jest okrążony kilkudziesięcioma cieniami. Jeden z nich chciał złapać chłopaka, wyciągając do niego rękę i w tym momencie pies upadł na upiora, z góry przybijając go do podłogi z wielką siłą. Taylor dostrzegł odrzuconą w bok, oderwaną głowę cienia, a w kłębie dymu widział jedynie zarys sylwetki łowcy.

Cienie wyskoczyły z czarnych punktów i zaatakowały psa, który walczył, mordując czarne kreatury. Cieni przybywało. Taylor pobiegł w kierunku wyjścia, chcąc

wykorzystać moment nieuwagi obu stron, ale pierwszy rząd łóżek jak za sprawą magnesu poleciał ku wyjściu, całkiem je barykadując.

Chłopak spojrział w górę i ujrzał zeskakującego wprost na niego drugiego łowcę. Cień jednak przeciął jego lot i zanurkował z nim w czarny punkt. Po chwili wyskoczył przez inny, trzymając czarną postać ze skrzyconym karkiem. Dymy od padających cieni unosiły się po całej hali, jakby dopiero płomienie zostały ugaszone, czyniąc niewidocznym wszystko, co sięgało od piersi w dół.

Taylor pobiegł w drugą stronę, licząc na to, że cienie zabiją łowców. Łóżka latały na wszystkie strony. Piski walczących były przeraźliwie głośne, nawet jak na Umbre.

To było istne szaleństwo. Lampy nad nim gasły rozbijane, a drobinki szkła latały jak w środku tornada. W różnych punktach hali widział, jak harmider walki rozdmuchuje mgłę, bądź ją kotłuje. Pisk walczących cieni zgłuszały myśli w parze z łamiącymi się i rzucanymi łóżkami. Raz sięgał po niego pies i w ostatniej chwili został ściągnięty przez upiory, by moment później łowca oderwał głowę upiorowi, który już brał zamach, aby skończyć życie chłopaka.

Taylor przebiegł obok lustra i potknął się, padając na podłogę. Doczołgał się do rogu hali i skulił się pod czarnym dymem. Czuł się jak małe bezbronne dziecko. Ostatni raz przeżywał coś takiego, gdy trafił do szpitala psychiatrycznego. Pamiętał, jak leżał skulony w swoim pokoju i z wielkim lękiem patrzył na drzwi, oczekując z przerażeniem dyrektora. Od tamtej pory cienie były częścią jego życia. Ostatnie, czego by się spodziewał to, że te będą go broniły przed łowcami. Obłąd. Sam nie wierzył, ale to, co zaprzętało mu teraz głowę, to jego mama. Poczucie winy ciągnęło go do przywołania jej w tym momencie. Nie powinna tak skończyć.

Zrobiło się ciszej. Zamiast rzucanych metali były pchnięcia. Zamiast pisków były dźwięki rozplywających się w pył cieni. Następnie wszystkie odgłosy ustały.

Taylor uniósł się delikatnie nad poziom czarnego dymu i rozejrzał. Miejsce stało w ruinie. Łóżka były porzrzucone, podobnie jak inne meble. Jedna z lamp, które jeszcze się ostały w całości migotała i strzelała iskrami.

Zrobił pierwszy krok i dostrzegł dwa długie, chude ogony unoszące się z mgły. Ten zanurzył się w niej automatycznie, wiedział, że łowcy posiadają wyczułone zmysły, natomiast to nie była zwykła mgła, były to resztki po cieniach. Mogła mieć w sobie coś, co tłumilo węch psów. Taylor zaczął się wolno przemieszczać, idąc na czworakach, kontrolował oddech, bał się mocniejszego tętna. Gdy wychylił się nad dym, zobaczył, że ogonów już nie było. Rozglądał się uważnie, aż pojawiły się kilka metrów obok niego.

Lecz one oddalały się. Wychodziło na to, że jego plan działa. Wrócił pod osłonę i zaczął poruszać się odrobinę szybciej. Po kilku kolejnych metrach jeden z nich wskoczył tuż przed Taylora, który dostrzegł ogromne szpony jak u orła, pełne w czarnej krwi. Łowca skoczył dalej. Taylor omal nie krzyknął, ruszył naprzód, aż znalazł się przed drzwiami wyjściowymi, które zagradzały powalone łóżka. Nie obejdzie się bez hałasu, pomyślał. Podniósł więc oderwane kółeczko od łóżka, wziął głęboki wdech i cisnął nim jak najdalej umiał. Kawałek gumy i metalu uderzył

o podłogę i sunął do końca pomieszczenia. Psy połknęły przynętę, a on zanurkował między łóżka. Zdołał przedrzeć się do pasa, gdy poczuł uścisk na nodze, po czym został wciągnięty z powrotem.

Łowca cisnął Taylorem na środek hali, a drugi z psów zawył mocno, demonicznie, jakby kilka głosów o różnych tonacjach krzyczało jednocześnie, powodując, że czarna chmura uciekła wentylacją, pozostawiając miejsce sterylnie czyste.

Jego oczom ukazały się dwie bliźniaczo podobne bestie. Pies stanął na dwóch nogach, wysoki i chudy, obrośnięty mięśniami jak długodystansowy biegacz. Sine żyły malowały swą mapę prześwitując pod z pozoru cienką, szarą skórą. Na stopach i dłoniach miały cztery palce, w tym jeden największy z ogromnym szponem. Na mostku widoczna była kość, narośl wielkości pięści oraz długi, dobrze mu już znany ogon, sięgający dwukrotności ich wzrostu. Głowę miały zarośniętą czymś w rodzaju błony, spod której prześwitywały białe, ślepe oczy, nos jak u nietoperza i dziury zamiast uszu, usta pozbawione były warg z żółtymi ostrymi jak rekin zębami.

– Skoro mogliście to rozgonić, to po cholere...

Przerwał mu stwór, który pochylił się tuż nad jego twarzą i zaczął go obwąchiwać. Wyprostował się w ciszy, wbił szpon w łydkę Taylora, a ten zawył z bólu, po czym zaczął go ciągnąć po podłodze w asyście drugiego, który idąc jak pies, co chwila obchodził go to z jednej, to z drugiej strony. Taylor wiedział, że to jego koniec. Był świadom, dokąd go zabierają. Zamknął oczy, nie chciał tego widzieć i tak zapamiętać swego końca. Przypominał sobie braciszka, uśmiechniętego i tulącego go w pokoju szpitalnym, pełnego nadziei i wiary w lepsze jutro. To chciał pamiętać. Do tego chciał móc wracać, gdy pomyśli znów o końcu.

Zatrzymali się. Łowcy zaczęli się dziwnie zachowywać, wachali jak szaleni, trzymający puścił go. Odwrócili się za siebie i przybrali postury jak skorpiony, unosząc wysoko ogony. Taylor przewrócił się na brzuch i spojrzał w tym samym kierunku, nie wierząc własnym oczom. Serce przyspieszyło, gardło zapiekło od ściśnięcia. Nie tego chciał. Nie to miało być ostatnim, co miał pamiętać.

– Nie wolno ci tu być! – krzyknął Taylor.

## Czas na sen

Wiatr szumiał. Krople uderzały melodyjnie o parapet. Grzmiało, ciężo nieboskłon z odstępami. Chłodne, wilgotne powietrze wlatywało przez otwarte okno, odświeżając cuchnącą chemią salę szpitalną. Załopotało za oknem. Kilka stuknięć metalowych części uderzało w parapet.

Taylor się obudził i wolno otworzył oczy. Spojrzał na okno, skąd dochodziły dziwne dźwięki i zobaczył szukającego schronienia przed burzą kruka. Ptak zakrakał na widok budzącego się chłopaka, ale nie odleciał. Co więcej, zwierzę nie spuszczało wzroku z chłopaka. Oparł się o łokcie i zauważył, że sześć innych kruków stoi na podłodze pod oknem. Ptaki zwiastujące śmierć i chorobę. Ciągnęły się zawsze za maszerującym wojskiem i żywiły się ciałami poległych. Dobry znak, pomyślał.

– Przyleciałyście mi zaśpiewać? – spytał ironicznie.

Kruk na parapecie w odpowiedzi zakrakał. Chłopak usiadł na skraju łóżka. Bandaż na dłoni był rozwiązany, wisiał ledwo zarzucony, jak u starej mumii. Taylor wiedział po co go rozwiązano. Rana była wilgotna, a pęknięty strupek nadlany świeżą krwią. Zawiązał na nowo opatrunek i ostrożnie wstał. Odwrócił się do ptaków, które pulsacyjnie obracały głowy, wpatrując się w niego z zaciekawieniem.

Ostatecznie zignorował je i wyszedł z pokoju. Wypatrywał jej... bezskutecznie. Byli tylko lekarze i pielęgniarki, krążący w sobie tylko znanych kierunkach.

Idąc korytarzem przepelnionym ludźmi, spojrzał na krzesła pod ścianą skąd wcześniej miał wizję atakującego go psa. Teraz była cisza, bez halucynacji, nikt go nie dręczył. Zauważył policjantkę bacznie go obserwującą. Musiała nie wiedzieć, że dyrektora już nie ma, powiedziała coś przez krótkofalówkę na ramieniu nie spuszczając z niego wzroku. Teraz funkcjonariusze zajęli miejsce upiorów, nie mogących się doczekać aż położą na nim swoje łapska. Z jakiegoś powodu chłopak miał odczucie, jakby jego zatrzymanie było dla nich sprawą osobistą. Patrząc pod nogi minął ją i przeszedł dalej, aż dotarł do sali, w której leżał braciszek.

Otworzył drzwi, ale jedyne co po nim zostało to puste łóżko, wyglądające jakby ktoś go z niego wyszarpał siłą. Kołdra w połowie rzucona była na podłogę, a przed drzwiami zauważył kilka świeżych kropel krwi. Spojrzał na skórzany fotel, w którym wcześniej siedział dziadek, teraz był pusty. Poszedł prosto pod skrzydło zakażne, zamieszania już nie było, obrysowana podłoga od kółek z łóżek, którymi wywożono ciała była niemożliwa do niezauważenia. Na recepcji również nie było nikogo, zresztą po co pilnować pustej hali. Drzwi były zatrzaśnięte. Doskoczył do nich i pociągnął z całej siłyomal się nie przewracając. Odczekał nieco, zastanawiając się, co robić. Wtedy skrzydło samo się otwarło. Zdziwiony, spoglądał na nie, ale dobrze wiedział,

że czas gra tu ważną rolę, więc wszedł do środka. Drzwi były solidnie uszkodzone. Rozbicie ich przez psy musiało dać efekt w świecie materialnym.

Dotarł do końca korytarza, wilgoć była niemalże namacalna, czuł w powietrzu parę z rozlanej tu wcześniej wody. Przez okienko w drzwiach widział ciemne pomieszczenie z dwoma działającymi lampami. Niczego nie mógł dostrzec, łóżka stały w różnych odstępach, powykrzywiane, wyraźnie pomieszane, ale w jednym kawałku. Jego oczom ukazała się postać, stojąca niedaleko jednej z lamp, luna światła podkreślała jego kontur. Złapał za klamkę.

– Stój, nie ruszaj się!

Do tunelu wbiegli uzbrojeni policjanci. Wycelowali do Taylora z broni palnej, jednocześnie świecąc na niego latarkami.

– O co chodzi? – spytał niepewnie, głośno przetykając ślinę. – Jestem od dyrektora, już to przerabialiśmy, macie nie tego człowieka.

– Zamknij się! Na kolana i ręce wysoko, żebym je widział! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy.

– Nie rozumiecie, tam jest... – Taylor chciał się odwrócić by wskazać na okienko.

– Stój! – krzyknęła jakaś policjantka.

W tłumie zawrzało

– Powiedziałem, nie ruszaj się! Jeszcze raz coś wykombinujesz i strzelę! – dodał inny policjant.

Zachowywali się, jakby stali przed terrorystą z owiniętym wokół pasa ładunkiem wybuchowym. Mierzyli do niego z broni, krzyczeli. Taylor nie widząc innego wyjścia. Uklęknął, a gdy to zrobił, jeden z gliniarzy podszedł do niego ostrożnie i złapał go za nadgarstek, wtedy podbiegło dwóch kolejnych i razem obezwładnili chłopaka. Ten krzyknął z bólu podnoszony na nogi i prowadzony w górę tunelu.

– Jesteś aresztowany za zamordowanie siedmiu osób z okrucieństwem i zostaniesz za to osądzony. Wszystko, co powiesz może być wykorzystane przeciwko tobie.

– Że co!?! – Szarpał się. – To nieporozumienie! Jakie morderstwa!?

Oparł się nogą o ścianę, utrudniając im wyciągnięcie go.

– Musicie mnie posłuchać! Za tym wszystkim stoi Philip, dyrektor tego szpitala. Zajmuje się handlem ludźmi i robi na nich eksperymenty! To jego musicie zamknąć! Jeżeli tego nie zrobicie, zginie więcej osób!

Policjanci wypchnęli go za drzwi. Zduśliło go, gdy zobaczył lekarza w czerwonym golfie, czekającego na nich przed wejściem do zakaźnego.

– Ty? – spytał Taylor zdziwiony.

– Proszę. – Tamten wręczył policjantce dysk przenośny. – Na tym dysku znajdzie pani nagrania z monitoringu szpitala, na którym widnieją materiały związane ze wszystkimi incydentami, w jakich brał udział zatrzymany, łącznie z momentami morderstwa pielęgniarki oraz ochroniarzy tej placówki. Gdyby jeszcze coś było potrzebne, jesteśmy do państwa dyspozycji, chętnie pomożemy ukarać sprawcę za te

bezduszne zbrodnie.

– Ty skurwielu, teraz jesteś wygadany!?! – krzyknął Taylor, chcąc go kopnąć, ale nie sięgnął. – Powiedz mu, żeby pokazał wam nagrania z hali zakaźnej, niech wam pokażą co tam robili!

– Zabierzcie go – wydała polecenie jedyna kobieta w tym gronie.

Funkcjonariusze siłą przepchnęli chłopaka przez korytarz.

– Niech ci pokaże! Każ mu dać te nagrania!

Policjantka spojrzała na uszkodzone drzwi do tunelu, przez głowę przechodziły jej słowa Taylora, który zdawał się być w tych oskarżeniach pewny siebie.

– Spytaj czemu przenieśli wszystkich chorych, akurat wtedy, gdy w szpitalu zjawiała się policja! Spytaj go!

Weszli do windy. Funkcjonariuszka została i przypatrywała się lekarzowi, który nawet nie mrugnął. Cała sytuacja była dla niej dziwna, słowa Taylora nie dawały jej spokoju. Ostatecznie podeszła do windy, życząc lekarzowi w czerwonym golfie miłego dnia.

Wzięła głęboki wdech. Miała przeczucie, że Taylor, mimo swoich zbrodni, chciał ją na coś nakierować.

Odwróciła się i ruszyła za lekarzem, chcąc obejrzeć z nim nagrania z hali. Wtedy jednak usłyszała komendę przez radio:

– Chodź tu szybko! Potrzebujemy wsparcia!

– Już zjeżdżam! – odparła pośpiesznie.

Kilka chwil później wybiegała już ze szpitala i dostrzegła przy wejściu skupisko ludzi. Każdy wydzierał się na Taylora, a czarnoskóra pielęgniarzka dzieliła go mocno w twarz.

– Jak mogłeś ją zabić, ty potworze! Lubiła cię! Jako jedyna w tym szpitalu! A żebyś splonął w piekle! – Splunęła. – Morderca!

– Nie żyjesz!

– Masz przejebane, człowieku!

Tym razem był to bezdomny, który kopnął go w nogę. Ten sam, który na prośbę Ani pomógł odwrócić uwagę recepcjonistki, gdy Taylor włamywał się do zakaźnego. Policjantka wbiegła między nich co pozwoliło funkcjonariuszom opuścić budynek, prowadząc go do samochodu zrobiło się luźniej. Wtedy ktoś wpadł na Taylora i zaczął go okładać pięściami jak leżał na chodniku, nie mógł się bronić mając zakute ręce za plecami. Policjanci ściągnęli z niego Igora, chłopaka matki, który był wyraźnie pijany.

– Zabiłeś ją! – darł się. – Przez ciebie się to stało! Nie było cię sześć lat, po diabła wracałeś?

Stał i patrzył na niego, płaczącego, zdesperowanego i kompletnie pijanego.

– Nie masz prawa robić z siebie ofiary, pasożycie! Okradałeś moją matkę z pieniędzy! – warknął. – Gdyby nie ty, nigdy bym nie uciekł z domu!

– Coś ty powiedział!?!?



Facet chciał zaatakować go jeszcze raz, ale policjant zaszedł mu drogę. W pośpiechu wsadzili zatrzymanego do radiowozu. Taylor patrzył na wściekłe miny pracowników szpitala, którzy wyzywali go kilka metrów przed autem, odgradzani przez funkcjonariuszy. Spojrzenia pogardy, żalu, a nawet złości były dla niego niczym codzienność. Jednak to było już zbyt wiele. Ci ludzie szczerze go nienawidzili, chcieli jego śmierci za coś, czego nie zrobił. Już do końca życia nie da mu to spokoju...

Chłopak dostrzegł w tłumie znajomą mu osobę, wchodzącą właśnie do szpitala. Carl Roone jego psycholog za czasów, gdy mieszkał w tym mieście. Wkrótce kierowca radiowozu odpałił silnik.

– Nieźle cię pożegnali – skomentował, wrzucając bieg.

– I dobrze. Nie można oczekiwać niczego innego po zamordowaniu niewinnych osób. Masz za swoje – dodał ten na miejscu dla pasażera, patrząc na oszalały tłum ludzi.

Włączyli syreny i ruszyli spod szpitala. Chłopak matki podniósł jeszcze kamień i rzucił, ale nie trafił. Wyzwiska i krzyki szybko ucichły. Policjanci zgłosili zatrzymanie mordercy i wyjechali na główną drogę, przejeżdżając obok placu zabaw, gdzie Taylor ledwo uciekł przed biegnącymi na niego z obydwu stron łowcami. Policjant siedzący na fotelu pasażera spojrzął do tyłu, po czym szturchnął kierowcę łokciem. Ten zerknął w lusterko wsteczne i zobaczył zapłakanego Taylora. Siedział na środku z rękoma za plecami i wiszącą głową, ryczał i zaciągał nosem. Policjanci wymienili się spojrzeniami i do samego posterunku nie odezwali się słowem.

\* \* \*

Godzinę później.

Promienie słońca zaczęły przebijać się przez ciemne chmury, a rynny skraplały resztki deszczówki. Gorące ulice parowały, a ludzie wrócili na chodniki. Burza minęła. Przed posesją z otwartymi drzwiami podjechały trzy czarne samochody. Walizka leżąca na łóżku w sypialni była już przepełniona, mimo to Philip wrzucał do niej więcej rzeczy. Ciuchy, biżuteria, pieniądze, księgi, wszystko, co uważał za wartościowe chciał zabrać ze sobą. Sporo zostało już zabrane przez jego żonę, która postąpiła według planu po jego telefonie.

Spojrzął na walizkę i przypomniał sobie o ostatniej księdze, która powinna być schowana obok kominka. Wyszedł z sypialni i przeszedł do salonu, gdzie przestraszył się lekarza w czerwonym golfie stojącego obok kanapy.

– Boże, ale mnie wystraszyłeś – skomentował, mijając go. – Masz ją?

Doktor rozglądał się po nowoczesnej, przeszklonej willi. Na ścianach wisiały obrazy oraz głowy nielegalnie upolowanych przez dyrektora zwierząt.

– Masz ją czy nie!? Ogłuchłeś?

– Oczywiście – odpowiedział spokojnie łysy. – Tak jak kazałeś.

– Połóż na stoliku.

Doktor stał w bezruchu, wciąż przyglądając się otoczeniu.

– Co z tobą!? – Philip uniósł głos.

Lekarz położył księgę na stole i wrócił na swoje miejsce.

– Jesteś dziś poddenerwowany – skomentował.

– Musimy działać szybko. Tarhe myśli, że nie żyję. Minie trochę czasu zanim się zorientuje. Ale my do tego czasu będziemy daleko i gotowi. Mam! – Wyciągnął z kominka starą księgę.

– Trzymałeś tam jedną z najstarszych ksiąg? W miejscu, gdzie rozpała się ogień? – zdziwił się wysoki mężczyzna.

– Dobrze ukryta i owinięta w chroniący przed ogniem materiał. – Philip dmuchnął w nią, posyłając przed siebie chmurę czarnego pyłu. – Tam byś jej nie szukał i w tym właśnie rzecz.

Położył ją na stoliku obok drugiej.

– Widzisz to? To lepsze niż złoto, lepsze niż pieniądze. To jest władza! Resztę ma Tarhe.

– Co teraz? – spytał doktor.

– Odbierzemy pozostałe księgi wodzowi. Bez nich będzie bezbronny.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe.

– O czym ty gadasz? Co z tobą? – Spojrzał na lekarza z kwaśną miną. – Musimy się zasyć, zebrać siły. Mam przygotowany plan na taką okoliczność. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z założeniami, za pół roku to my będziemy dyktować warunki, kto ma prawo do innych wymiarów. Jeżeli Tarhe przeprosi, być może pozwolę mu dla siebie pracować, ale Harmin umrze, bezdyskusyjnie. Wszystko przewidziałem.

Dyrektor żwawo ruszył do sypialni, a po chwili wrócił ze specjalnymi walizkami, do których miał zamiar włożyć księgi.

Wtedy dostrzegł pistolet w dłoni doktora. Upuścił walizki, po czym nalał sobie drinka.

– Najwyraźniej nie przewidziałem wszystkiego – rzekł i posłał mu pytające spojrzenie. – Czemu pomogłeś mi z rytuałem? Wystarczyło oddać mnie psom.

– Było za wcześnie. – Lekarz postukał palcami o księgę.

– No tak. Nie wiedziałeś, gdzie schowałem drugą z nich. Sprytne. I co teraz? Zastrzelisz mnie i zajmiesz moje miejsce? Nie widzisz do czego to zmierza? Najpierw ja, potem ty, a po tobie kolejny. Będzie wymieniał nas jak rękawiczki. Ten proces należy przerwać. Nie zrobisz tego sam, nie masz wystarczających jaj, żeby zrobić to, co należy!

Philipowi puściły emocje, wziął głęboki wdech, odwrócił głowę.

– Przemyślałeś to dobrze? – spytał. – Każde za i przeciw?

– Już w pierwszy dzień jak trafiłeś do wioski. Ta twoja zemsta i córka zaciągnięta do Dalekiej Umbry, złamany człowiek szukający pomocy w siłach wyższych. Chęć

odzyskania czegoś za wszelką cenę, nie patrząc na konsekwencje. Najłatwiejszy gatunek do kontrolowania, ale ty o tym wiesz. Kiedy przyszedłeś do wioski, szaman od razu poznał, że się nie nadajesz, chciał cię odesłać. Ja go przekonałem, by zmienić plan. Żebym działał z tylnego siedzenia, kiedy ktoś inny będzie zwracał na siebie uwagę. Teraz nie tylko wódz, ale i istoty zamieszkujące inne wymiary mają na ciebie oko. Plan zadziałał, wykonałeś swoją część.

– Skoro byłeś taki genialny, to dlaczego pozwoliłeś na odejście Taylora. Dlaczego dopuściłeś do mieszania się we wszystko tego starca? Tak samo przeszkadzali mi jak i tobie. Gdyby Noah się nie wtrącał, dałbym sobie radę z chłopakiem. To jego działania pokrzyżowały nam plany. Stałeś i patrzyłeś, jak tchórz.

– Już się tym zająłem.

– Oooo... – Philip zaśmiał się. – Szybko. Zwłaszcza, że odcięcie go od aparatury było moim działaniem, tak samo jak przerzucenie psów na Taylora, by wreszcie mieć go z głowy. To wszystko ja zrobiłem. Ty nie zrobiłeś nic. Nic!

Philip chlusnął zawartością szklanki w twarz chudego mężczyzny, który zasłonił się odruchowo rękoma. Tyle wystarczyło Philipowi, który doskoczył do kanapy i zdzielił go pięścią w twarz. Zabrał mu pistolet i zrzucił na podłogę, kopiąc po żebrach, brzuchu, plecach i głowie. Doktor leżał bez ruchu zasłaniając się rękoma. Z nosa i ust lała się krew. Philip przeładował pistolet i wycelował w jego głowę.

– Mogłeś być moją prawą ręką. Tylko tobie ufałem. – Dyszał. – Zapomniałeś o jednym bardzo ważnym punkcie. A mianowicie o tym, że ja zawsze dostaję to, czego chcę. Za wszelką cenę.

Philip cofnął nogę, widząc kątem oka chcącego ją ugryźć warczącego psa. Przewrócił się na tyłek, ale podniósł tak szybko, jak upadł celując bronią w miejsce, skąd wyskoczyło zwierzę, ale nigdzie go nie widział. Usłyszał szczek za kanapą. Doskoczył tam, ale go nie zastał. Pies przebiegł za jego plecami z warkiem. Obracał się panicznie wymachując pistoletem na prawo i lewo nie wiedząc w jakim kierunku celować, panikował. Po czym spojrział na doktora błagalnym wzrokiem.

– Coś ty zrobił? – spytał drżącym głosem.

Dyrektor zobaczył coś w sypialni. Krzyknął przerażony i strzelił dwa razy. Przeskoczył fotel chowając się, rozglądał się szukając psów. Doktor zaczął wolno się podnosić, ukłęknął trzymając się za krwawiący nos. Skóra Philipa stała się blada, a oczy straciły nadzieję.

– Zrób coś! – Wycelował w doktora. – Błagam! Odwołaj je!

Łysy nie zmieniał pozycji, klęczał łapiąc w dłoń lejącą się krew i obserwował całe zajście, mimo iż nie widział łowców osobiście, których sam na niego nasłał. Philip został przewrócony na brzuch i jednym szybkim ruchem zaciągnięty pod ścianę. Wyrwał się i zaczął biec do wyjścia, ale niewidzialna siła cisnęła nim o stół i zaciągnęła z powrotem przed kominek.

Facet w golfie wstał, podniósł walizki i ułożył na stoliku, zaczął pakować książki do środka. W tym samym czasie Philip zniknął pod podłogą, wrzeszcząc agonicznie

i rzucając się jak opętany. Lekarz zabrał swój pistolet i ruszył ku wyjściu. Krzyki ustały. Łapiąc za klamkę odwrócił się, ale po Philipie nie było już śladu. Łowcy wykonali swe zadanie. Kulejąc, szedł do limuzyny, czekającej na podjeździe. Kilkoro mężczyzn minęło go w ogrodzie. Wsiadł do samochodu i uchylił szybę, patrząc jak grupka zamaskowanych ludzi zalewa posiadłość benzyną.

– Nie poszło gładka? – spytał Harmin siedzący na fotelu obok. – Udać się?

– Zająłem się tym.

– To wszystkie księga?

Doktor przytaknął. Spojrzeli na posiadłość, która właśnie stanęła w płomieniach. Ludzie rozbiegli się i wskoczyli do aut zaparkowanych przed domem i się rozjechali z piskiem opon. Chudy mężczyzna dotknął ramienia kierowcy, który odpalił samochód i odjechał.

– Usunięcie Philipa z obrazka było konieczne – dodał Harmin.

Lekarz nie skomentował.

– Mam nadzieję, że nie wpłynie to na naszą współpracę? Wydawaliście się być sobie blisko.

– „Wydawaliśmy” – odparł sucho.

Położył dłonie na księgach i patrzył w wolno zasuwające się okno.

\* \* \*

Tydzień później.

Świadkowie, ludzie spod apteki, starsza para, na której posesji spał cień, ochroniarz parkingu, kamery ze szpitala, wszystkie dowody razem zebrane wskazały na bezdyskusyjną winę Taylora. Przez całą rozprawę siedział w milczeniu z głową spuszczoną w dół. W milczeniu, z zalem wysłuchiwał wyzwick i obelg rzucanych pod jego adresem od rodzin ofiar. Byli pierwszymi osobami w jego życiu, do których nie miał o to pretensji i wiedział, że będąc na ich miejscu zachowałby się dokładnie tak samo. Wyrokiem sądu, ku satysfakcji tam zebranych, było podwójne dożywocie. Po jego ogłoszeniu Taylor został zaprowadzony do tymczasowego aresztu do momentu, aż mieli go przewieźć do więzienia o maksymalnym rygorze, gdzie swój wyrok miał spędzić wśród morderców, porywaczy, gwałcicieli i członków narkotykowych gangów.

Jeszcze tego samego dnia chłopak leżał na łóżku w jednoosobowej celi, skulony w pozycji embrionalnej, twarzą do ściany. Cella była zimna, panował wszechobecny przeciąg, a koc śmierdział stęchlizną. Przez ostatnie noce ledwo zmrużył oczy, czuł się wykończony, a do tego myśl o spędzeniu reszty życia z najgorszymi przestępcami sprawiała, że miał wrażenie jak żołądek wywraca mu się do góry nogami. Zerwał się słysząc jak strażnik stuknął pałką o kraty.

– Masz gościa – rzucił przepitym głosem. – Wstawaj.

Taylor podniósł się niespiesznie i podszedł do krat. Stając tyłem, strażnik założył mu kajdanki i zacisnął zbyt mocno, chłopak zastękał, ale nic nie powiedział. Otworzyli celę, Taylor chciał z niej wyjść, ale stojący w drzwiach mężczyzna z brodą nie chciał się przesunąć. Mężczyzna patrzył chłopakowi w oczy, ale ten uciekł wzrokiem, nie zamierzał bawić się w jego gierki, zwłaszcza, że przesiedzi nie swój wyrok. Było mu żal ofiar bardziej niż komukolwiek, ale nikt nie uwierzy w jego wersję. Strażnik złapał go mocno za ramię i wypchnął z celi, nieważne jakim tempem by szedł, co chwila był przez niego popychany. Dotarli do otwartego pomieszczenia z dużymi oknami zabitymi twardą siatką jak w sali gimnastycznej, większość stolików była pusta. Na wejściu siedział mężczyzna po sześćdziesiątce i rozmawiał z czternastolatką, pewnie z córką. Dalej dwóch mężczyzn, jeden z teczką i garniturem, to musiał być adwokat. Trzech strażników obserwowało wszystkich stojąc pod ścianą. Przy stoliku pod jednym z dużych okien siedzieli jego goście, Carl i Max. Dokładnie tam zaprowadził go strażnik. Usiadł, a klawisz spiął jego kajdanki do stalowego kolucha na środku stołu.

– Czy to naprawdę konieczne? – spytał Carl.

– Takie procedury – warknął. – Ten człowiek jest niebezpieczny.

– Nie jest! On jest niewinny! – krzyknął braciszek.

– Wszyscy są zawsze niewinni.

– Hej, hej, przestań. – Taylor uspokajał młodszego.

Strażnik rzucił im niemile spojrzenie i stanął trochę z boku. Chłopak widział, jak braciszek patrzy na jego skute rękę. Cofnął je chcąc schować pod stół, ale łańcuch był zbyt krótki. Było mu wstyd.

– Miałeś przyjść sam – zwrócił się do Carla, nie kryjąc pretensji.

– Też chciałem tu być. – Max nie dał mężczyźnie opowiedzieć. – Nie musicie przede mną niczego ukrywać.

– Było dokładnie tak, jak mówi – wskazał na niego ręką. – Jak się trzymasz? Masz podkrążone oczy i jesteś blady, spałeś coś?

Taylor się odchylił i spuścił wzrok, po chwili pokręcił głową przecząco.

– Dają ci leki?

– Nie muszą. Nie wiem dokładnie jak i kiedy to się stało. Czy to przez tydzień spędzony będąc zatopionym w cieniu, czy narkotyki, jakimi szprycował mnie Philip, a może stało się to podczas gdy w tym ciele mieszkał upiór, nie wiem. Fakt jest taki, że nie jestem już od nich uzależniony.

Carl się zamyślił, na moment zapadła cisza.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedział do Maxa. – Przykro mi jednak, że w takich okolicznościach.

– W innych byłoby to do nas nie podobne. My się spotykamy w Umbrze albo w więzieniu. – Zachichotał. – Kawiarnie są przereklamowane.

Zaśmiali się obaj, po czym starszy pękł, oczy się zaczerwieniły, a po policzku spłynęła łza.

– Przepraszam, że tak to się kończy, najpierw mama, teraz ja... – Zagryzł wargi. – Chciałem się tobą opiekować, a nie wrzucać cię samego między obcych ludzi. To może być nasze ostatnie spotkanie.

– Nie jest ostatnie. – Braciszek złapał go za dłoń.

– Bez dotykania! – krzyknął strażnik.

– To mój brat! – odparł młody.

– Drugi raz nie powtórzę!

Taylor zabrał rękę, nie chciał więcej kłopotów.

– Max, ja już nie wyjdę z więzienia...

– Nie mówię o spotkaniach tutaj. – Rozejrzał się i zaczął szeptać. – Pamiętajmy, że zawsze możemy...

– Ani mi się waż!

Taylor uderzył pięściami w stół. Klawisz zrobił krok w jego stronę, ale chłopak uniósł ręce, ile to było możliwe dzwoniąc łańcuchami w geście przeprosin. Strażnik wskazał pałkę przy pasie. Chłopak wrócił wzrokiem do braciszka.

– To nie jest zabawa. Właśnie z tego powodu jestem tutaj. Masz zapomnieć o wydarzeniach w szpitalu i żyć normalnie! Nie wolno ci tego zaprzepaścić.

– Ale to nie z nami jest coś nie tak. To inni żyją nienormalnie, bo nie wiedzą tego, co my. Nie znają prawdy...

– I tak ma zostać – przerwał mu z gniewem w głosie Taylor. – Ty też zapomnisz, że takie rzeczy istnieją.

– Nie możesz za mnie decydować – odpyskował Max i odwrócił głowę.

– Uspokójmy się na moment – wtrącił Carl. – Chyba, że chcemy, aby nas stąd wyprowadzili zanim zdążymy porozmawiać. Biorąc pod uwagę, że każdemu zostanie przypisane zakłócanie porządku podczas wizytacji, to rzeczywiście możemy się widzieć ostatni raz.

– Ja chcę tylko pomóc, a on tego nie widzi – skomentował Max.

– A w czym miałyby pomóc przechodzenie w miejsce, które jest środowiskiem dla zmarłych? To nie miejsce dla dziecka.

– Założę bloga, będę prowadził kanał. Pokażę wszystkim dowody na to, że ten świat istnieje i że żyją w nim złe duchy...

– O ile wcześniej te duchy cię nie zabiją albo gorzej. – Taylor pokręcił głową. – A tak się stanie, jeżeli posuniesz się za daleko.

– Albo udowodnię twoją niewinność. Inaczej nikt mi nie uwierzy, a ty spędzisz tutaj resztę życia. – Chłopczyk zaczął się łamać. – Dopiero wróciłeś, nie tak miało być.

– Hej – zagaił miłym głosem Taylor. – Patrz na dobrą stronę, udało nam się ciebie uratować, jesteś bezpieczny. Carl się teraz tobą zajmie, to dobra osoba, ufam mu, nie zostałeś sam. A ja jestem gotowy spędzić tu resztę moich dni i dłużej wiedząc, że prowadzisz szczęśliwe życie. Wiem, że nie zabiłem tych ludzi, ale mama nie żyje właśnie przeze mnie, zasłużyłem na to.

– Chciałeś mi pomóc, ona by cię nie wypuściła. – Chłopiec zaczął płakać. – Musiałeś coś zrobić.

Strażnik wskazał na zegarek, co oznaczało, że mają się zacząć żegnać. Chłopak posłał mu błagalne spojrzenie, ale klawisz pokręcił głową, przecząco dając do zrozumienia, że nie będzie przedłużał wizytacji.

– Czas się nam kończy – powiedział Taylor. – Musisz mi coś obiecać.

– Co? – spytał braciszek, przecierając mokre policzki.

– Masz czerpać z życia garściami. Nie spędź go myśląc o tym, że jestem tu zamknięty, ja sobie poradzę. Słuchaj Carla i trzymaj się z dala od Umbry. Wiem, że może ci się wydawać, że coś dzięki niej wygrasz. Wielu przed nami tak myślało, a każdy skończył tragicznie. To cud, że żyjemy i masz to doceniać. Żyj dla siebie, nie dla innych. Bądź dzielny.

– Będę – przytaknął z uśmiechem i zaszklonymi oczami.

Max zauważył, że strażnik się zbliżał. Wyskoczył zza stolika i mocno przytulił brata.

– Kocham cię.

Taylor zadzwonił łańcuchami, które uniemożliwiały mu odwzajemnienie uścisku. Zatopił więc głowę w jego ramionach.

– Ja ciebie też.

– Wystarczy tego. – Klawisz ich rozdzielił. – Czas widzenia się skończył.

– Mam wielką prośbę – wtrącił Carl, mówiąc do strażnika. – Czy może pan odprowadzić chłopca na korytarz i dać nam jeszcze dwie minuty? Jestem psychologiem, a Taylor jest moim pacjentem. Nie wiemy, kiedy będzie następna okazja, żeby porozmawiać. Dwie minutki.

Carl uniosł w górę dwa palce, a strażnik pokręcił głową unosząc brwi.

– Dwie minuty.

Odparł i wyprowadził chłopca za drzwi. Stolik niedaleko osadzony mężczyzna trzasnął ręką w blat, wstał i zaczął grozić palcem adwokatowi. Klawisz podbiegł do niego i zaczął go wyprowadzać, gdy ten rzucał wyzwiskami i groźbami, aż zniknął za drzwiami.

– Robisz mi ogromną przysługę – zaczął Taylor, gdy teatrzyk się skończył. – Nie wiem czy kiedykolwiek jeszcze będę miał okazję, żeby ci się odwdziżyć.

– Tak, z tym może być różnie. – Mężczyzna przesunął się w bok i usiadł naprzeciwko chłopaka. – Dobrze zrobiłeś pisząc do mnie tą wiadomość. Byłem wcześniej w szpitalu, żeby cię odwiedzić, ale mnie nie wpuścili. To nie była godzina odwiedzin, w dodatku powiedziano mi, że braciszek nie żyje, dlatego po twoim sms'ie omal nie upadłem. Usłyszałem plotkę od kierowcy karetki, że budynek jest opętany, nie miałem odwagi wrócić. Nie jestem tak odważny, jak ty.

– „Głupi” jest słowem jakiego powinienes użyć, nie odważny – zaszydził. – Widzisz, dokąd mnie to doprowadziło. Ty postanowiłeś porzucić ten świat, zapomnieć. To jest

odważna i mądra decyzja. Błagam, nie pozwól mu tam wchodzić. Przekonaj go tak, jak przekonałeś siebie.

– Zrobię co w mojej mocy, wiesz o tym. Ale żebyśmy mieli jasność, jeżeli zdecyduje się przejść granicę, będzie musiał wrócić sam, nie wejdem tam za nim. Przykro mi.

– Rozumiem.

– Do dziś żałuję, że pokazałeś mi tamtą stronę. – Opuścił głowę. – Świadomość, że istnieje coś takiego...

– To była twoja decyzja, chciałeś bym cię nauczył. – Taylor bacznie mu się przyglądał.

– Tak, tak – Carl uśmiechnął się, zmieszany. – Nie mam do ciebie o to pretensji, nie odbieraj tego w ten sposób. Po prostu czułem, że muszę ci to powiedzieć.

– Jak sprawa z dokumentami? – Taylor zmienił temat.

– Papiery adopcyjne już złożyłem, powinniśmy dostać odpowiedź lada dzień. Max mieszka u mnie i wszystko wskazuje na to, że tak zostanie.

– Twój chłopak nie ma pretensji?

– Nie było łatwo go przekonać, kiedy nie zna prawdziwej historii. Ale daliśmy radę, jest wyrozumiały.

– Dobrze. – Taylor przytaknął i spuścił wzrok. – Została zatem ostatnia sprawa...

– Philip – dokończył Carl.

– I jego ludzie. Jest możliwość, że będą próbowali ci go odebrać, żeby zrobić mu dokładnie to samo, co mnie. Wątpię, by do tego doszło, ale musisz być na to przygotowany. Masz kartkę, którą Noah wręczył Maxowi?

– To nie kartka, a cały notes – poprawił go, rozglądając się. – Jest dobrze ukryty.

– Nikomu nie mów, że go masz, łącznie i przede wszystkim braciszкови. Gdyby próbowali atakować was inaczej, niż w legalny sposób, znajdziesz tam rzeczy, które mogą wam pomóc.

– Mówisz to, jakbym miał szykować się na wojnę – powiedział lekko przestraszony Carl.

– Nie, po prostu poznałem w szpitalu kogoś, kto przeżył w Umbrze kilka lat dzięki temu, że zawsze miał pod ręką gotowy plan. Biorę z niego przykład. Nie zawsze będziesz najmądrzejszy, najsilniejszy czy najszybszy, ale zawsze możesz być najlepiej przygotowany.

– Brzmisz jak nie ty. – Psychiatra parsknął z uśmiechem. – Dojrzały i ogarnięty.

– Szkoda, że tak późno.

– Koniec pogawędki, minęło więcej niż dwie minuty. – Klawisz pojawił się jakby znikąd.

– Dziękujemy. – Carl uśmiechnął się do niego wdzięcznie.

Strażnik zaczął rozkuwać Taylora od stolika.

– Dbaj o niego – powiedział chłopak.



– Obiecuję. Trzymaj się, Taylor.

– Dziękuję za wszystko.

Klawisz, odprowadzając więźnia korytarzem spytał nagle:

– Twój chłopak?

– Przyjaciel.

– Przyjaciel – Klawisz zaśmiał się. – Wiesz, jak to jest w życiu. Często okazuje się, że osoba, za którą przyjąłbyś kulkę jest tą, która trzyma pistolet.

Chłopak spojrzał na niego szerokimi oczami.

– Co to ma znaczyć? – spytał przestraszony.

– Życie, samo życie.

Stanęli pod bramką, rozległ się głośny dźwięk, po czym klawisz ją otworzył i wrzucił Taylora do celi. Usiadł i pomasaował nadgarstki po zbyt ciasno ściśniętych kajdankach.

Resztę dnia spędził w samotności, prawie wszystkie pozostałe cele były puste. Jedynie na końcu korytarza słyszał kogoś, ale ktokolwiek to był, nigdy go nie widział. Adwokat, który został mu przypisany był tak słaby, jak pensja, którą przyjmował od państwa. Nie mógł liczyć na nic.

Broda zaczynała swędzieć i męczyć, nie lubił zarostu. Za oknem słońce już zachodziło, zaraz zrobi się ciemno, a więzienie zaśnie i zatonie w znieprawionej przez niego czerni. Stanął przed oknem i podciągnął się, by widzieć lepiej. Pierwsze spojrzenie padło na ławkę przed ogrodzeniem więziennym, nie wiedząc czemu wydawała mu się ważna. Położył się na pryczy. Miał czas, żeby rozmyślać o wszystkim, co zaszło przez ostatnie kilka tygodni, o tym, jak inaczej mogło to wszystko się skończyć. Obrócił się na lewy bok i przybrał embrionalną pozycję, tak było mu cieplej. Koca bał się w ogóle dotknąć. Wiedział, że nie zaśnie, nie mógł wyrzucić z głowy ostatnich chwil w Umbrze, które odgrywały się w jego myślach jak film, raz za razem, bez końca. Zaczynając od momentu, w którym był już pogodzony ze swoim losem...

\* \* \*

Ciągnięty przez psy wiedział, że to jego koniec, był świadom, dokąd go zabierają. Zamknął oczy, nie chciał tego widzieć i tak zapamiętać swego końca. Przypominał sobie braciszka, uśmiechniętego i tulącego go w pokoju szpitalnym, pełnego nadziei i wiary w lepsze jutro. To pragnął pamiętać. Do tego chciał móc wracać, gdy pomyśli znów o końcu. Zatrzymali się. Łowcy zaczęli się dziwnie zachowywać, wachali jak szaleni, trzymający puścił go. Przybrali postury jak skorpiony unosząc wysoko ogony. Taylor przewrócił się na brzuch i spojrzał w tym samym kierunku, nie wierząc własnym oczom. Serce załomotało, gardło zapiekło od ściśnięcia. Nie tego chciał, nie to miało być ostatnim, co pragnął pamiętać.

– Nie wolno ci tu być! – krzyknął Taylor.

Patrzył na stojącego po drugiej stronie hali Noah na tle czarnych plam i połamanych łózek szpitalnych. Stał pod ostatnią sprawną lampą, jak aktor na teatralnej scenie. Chciał krzyknąć, chciał zrobić cokolwiek, ale był zbyt zszokowany. Wiedział, że jest za późno, że starzec zdołał zmienić piętno, było to wyrysowane na jego twarzy. Patrzył na Taylora ciepłym uśmiechem, chcąc mu powiedzieć, że wszystko już będzie dobrze, ale oczy kipiały od przerażenia tym, co go czeka.

Psy śmignęły obok chłopaka jak wystrzelone pociski, a ten wyciągnął rękę, by je zatrzymać. Powaliły Noah i szarpali nim jak szmatą, siłując się między sobą o zdobycz. Taylor wstał, zamierzając pobiec mu na ratunek, ale krok dalej padł od przebitej na wylot łydki. W sekundę zebrał się ponownie i skacząc na jednej nodze pędził najszybciej jak potrafił.

Pies wgrzyzł się starcowi w szyję jak wampir i szarpnął. Ciało zwiotczało, przestało stawiać opór.

– To nie on! – krzyczał chłopak. – Weźcie mnie! Chodziło wam o mnie!

Łowcy nie zwracali na niego uwagi, robiły swoje, traktując go jak powietrze. Chłopak potknął się o wystającą nogę połamanego łóżka, której nie zauważył i runął twardo na podłogę. Uniósł głowę, nie wiedząc co robić. Podniósł kawałek rurki i cisnął w nich, lecz ta nie doleciała do celu. Jeden z łowców wyprostował się i wbił szpon w przedramię staruszka, jak hak i zaczął ciągnąć go do lewej strony hali, zupełnie jak Taylora przed momentem.

– Noah, przestań! Przywróć piętno na mnie, słyszysz!? – krzyczał. – Wiem, że możesz! Zrób to! Błagam cię!

Starzec nie reagował, wyglądał na nieprzytomnego, ale po chwili spojrzął na biegnącego mu na ratunek chłopaka. Taylor czuł się bezsilny, był gotowy walczyć, a nawet oddać życie, lecz w głębi serca wiedział, że już nic nie da się zrobić. Nienawidził tego uczucia. Na jego oczach odbierano życie jedynej osobie, która mu pomagała. Pomimo złych intencji na początku, traktował go jak przyjaciela. Wiedział, że wyraz twarzy Noah, jaki właśnie zobaczył będzie prześladował go do końca życia. Będzie drążył tępym dłutem, przypominając mu o chwili, gdy po raz kolejny przegrał z Philipem. Łajdak zdołał obronić się przed konsekwencjami, za cenę życiainnych.

Psy zatrzymały się pod ścianą hali, zaczęły przeciskać się pod podłogę wciągając ze sobą staruszka. Taylor przyspieszył, skakał jak szalony i rzucił się w ostatniej chwili, aby go złapać, ale zatonęli pod nim jakby powierzchnia była z gumy. Padł twardo na podłogę, dotykając w różnych miejscach. Było za późno. Pomiędzy dłońmi pojawiły się krople. Łzy spływały po nosie i rozбивały się o posadzkę.

– To nie on, to nie on – powtarzał i położył głowę na podłodze. – Błagam, to nie on.

Leżał tak chwilę. Ospale przeszedł na łokcie i usiadł na prawym pośladku, pociągnął nosem i przetarł mokre policzki. Położył dłoń w punkcie, w którym go zaciągnięto.

– Przepraszam – wyszeptał.

Powstał. Kulejąc, ruszył w kierunku wyjścia. Przechodząc obok okręgu światła

rzucanego przez ostatnią lampę zauważył, że zabite cienie zostawiły po sobie ślady, przypominające resztki po zgaszonym ognisku, które ktoś rozgonił nogą. Ściągnął barykadę z łóżek i wyszedł na korytarz. Idąc pomarańczowymi alejkami szpitala, nie napotkał żadnego cienia ani ducha.

Budynek był pusty, taki jak zawsze powinien być. Mijał pokój swojego braciszka spoglądając na pusty fotel w rogu, w którym siedział wcześniej Noah. Patrzył pod nogi, myślał o nim, o tym, co staruszek musi teraz przechodzić. Nagle usłyszał śpiew, wychodząc zza winkła zobaczył, że w miejscu, w którym spotkał psa po raz pierwszy siedziała kobieta w białej koszuli nocnej w czarne groszy, trzymająca noworodka w ramionach. Nuciała kołysankę. Tym razem było inaczej. Patrzyła na niego spod czarnych włosów opadających na twarz, nie przestając śpiewać.

Szedł w jej stronę, nie spuszczać z niej wzroku. Skinął delikatnie głową w geście podziękowania. Zatrzymał się przy drzwiach do swej sali. Rozumiał jej ból, choć nie był w tak złej sytuacji, stracił wszystko poza swoim bratem. Wszedł do środka i położył się obolały na łóżku. Spojrzał jeszcze raz na okno, gdzie przebijało się oranżowe światło, licząc, że już nigdy nie będzie musiał go oglądać.

Zamknął oczy.

\* \* \*

Noah poświęcił swoje życie dla niego, dla osoby, która była odpowiedzialna za jego kalectwo. Tym odebrał mu możliwość powrotu do świata materialnego. Philip zapewne i tak by na to nie pozwolił. Raz w Umbrze, na zawsze w Umbrze. Przyjdzie dzień, w którym dyrektor zapłaci za swoje grzechy, a pokuta przyniesie najwyższą cenę, rozmyślał. Uniósł się hałas pałki uderzającej o dranki, strażnik spacerował między celami. Z tyłu głowy miał też ławkę przed więzieniem. Wstał i wychylił się przez małe okienko. Była pusta. Nic z tego nie rozumiał.

– Ej, nowy, złaż z tego łóżka i kładź się. – Klawisz zwrócił mu uwagę. – Czas na sen.

Taylor posłuchał i położył się na pryczy, a ten ruszył dalej, nie przerywając stukotu pałką.

Światła w więzieniu zgasły, pociemniało. Strażnicy skończyli swe patrole i wrócili do swoich stanowisk. Taylor ułożył się na plecach, zamknął oczy, choć wiedział, że nie zdoła zasnąć. Cisza zawładnęła więzieniem do momentu, aż usłyszał pojedynczy dźwięk stukotu zmieszany z dziwnym odgłosem. Nie otworzył oczu. Strażnicy nie wybiegli, więc musiało to być dla nich normą. Chwilę później kolejny trzask, znacznie bliżej.

Otworzył oczy i zerknął na bramkę do jego celi. Była uchylona. Wspiął się na łokcie, nie rozumiejąc co się dzieje.

– Halo? – zapytał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Coś kapnęło mu na głowę. Nie zareagował. Druga i trzecia kropla uderzyła i spłynęła w dół po ciele. Usłyszał znany mu klekot uderzanych o siebie kamieni. Strach go sparaliżował. Zrozumiał, że to ślina i doskonale wiedział czyja.

Uniósł wolno głowę. Stwór goniący go po Horyzoncie był teraz przyklejony do sufitu niczym pająk. Rozszerzył paszczę, zjeżył się do ataku i rzucił na ofiarę.

Taylor zamknął szybko oczy.

Obudził się w Umbrze, w więzieniu malowanym pomarańczowym światłem przenikającym przez małe okienka. Umiejętność szybkiego wyskakiwania ducha z ciała, okazała się być teraz przydatna. Wstał i spojrzał na prycze, która milimetrowymi ruchami przesuwiała się raz na lewo, raz na prawo. Jego ciało musiało być w tym momencie masakrowane przez stwora. Chłopak przypomniał sobie, jak braciszek opowiadał, że pielęgniarka zabrała go z hali, gdy woda jeszcze tam była. Musiał wyskoczyć, gdy tafla zrobiła się idealnie gładka. Ale czy to znaczy, że upiór również uciekł?

Upadł na kolano, zasłabł. Srebrna nić została zerwana, ciało nie przeżyło. Stwór dopiął swego. Taylor wyszedł bezproblemowo i poszedł ku głównemu wyjściu. Cele były otwarte, domyślał się czemu. Idąc więziennymi alejkami, nie natknął się na ani jednego upiora, pomimo kilku ciemnych punktów. Zakład karny opuścił głównym wejściem. Ostre oranżowe światło raziło na horyzoncie. Zmarszczył brwi i poszedł prosto do ławki, którą widział z okienka swojej celi. Tam już na niego czekała, ta sama kobieta w białej sukience i czarnej skórzanej kurtce, którą widywał wcześniej w Umbrze. Czarnowłosa, szczupła dziewczyna siedziała na ławce. Stanął tuż przed nią.

– Jesteś gotowy? – spytała miłym głosem. Miała egzotyczny akcent oraz urodę Indianki.

Rozejrzał się dookoła. Więzienie stało na środku opustoszonego miejsca.

– Nie wiem na co. – Zaczesał włosy do tyłu. – Dzięki za pomoc tamtym razem.

Uśmiechnęła się i wstała. Poszła wzdłuż drogi.

– Chodź, masz wiele do nadrobienia.

Taylor ostatni raz spojrzał na więzienie, po czym poszedł za dziewczyną.

KONIEC



## PAWEŁ LEŚNIAK

Paweł Leśniak (ur. 1989 r), pochodzi z Nowego Sącza. Człowiek wielu talentów. Były profesjonalny piłkarz grający na poziomie pierwszej ligi (m.in. Sandecja Nowy Sącz, Kolejarz Stróże). Rysownik - tworzy obrazy ołówkiem, a jego prace doczekały się wystaw w Polsce (Warszawa, Kraków, Nowy Sącz) oraz za granicami (Chicago, Wilno). Największe uznanie przyniosła mu jednak trylogia opowiadająca o losach Desmond'a Pearce'a („Równowaga”, „Zachwianie”, „Chaos”). Jego czwartą powieścią był horror „Przed północą”. W recenzjach pisarza porównywano do Dante Alighieriego, a za swą twórczość był nagradzany i nominowany do licznych nagród literackich. W 2019 r. na podstawie powieści „Równowaga” powstała gra „Devil's Hunt” na platformę PC, zaś Leśniak brał udział w jej tworzeniu w roli Creative Director'a oraz Scriptwriter'a. W 2020 r. autor został laureatem nagrody literackiej Super Wiktorii.

## Po lekturze tej książki możesz więcej nie zasnąć...

Po sześciu latach od ucieczki z domu Taylor żyje spokojnie z dala od rodzinnego miasta, gdzie był nękanym i wytykanym palcami z powodu zaburzeń psychicznych i doświadczeń paranormalnych. Nagle otrzymuje telefon od matki, która przedstawia mu krytyczny stan zdrowia jego dwunastoletniego brata i bezsilność lekarzy, nie będących w stanie wybudzić go z głębokiej śpiączki. Taylor wraca w swoje rodzinne strony, wiedząc, że to co dzieje się z jego młodszym bratem jest skutkiem działania miejsca oraz istot, jakich lekarze nie wyobrażali sobie nawet w najgorszych koszmarach.

Wyścig o życie braciszka się rozpoczął. Przed Taylorem stoi zadanie powrotu do najczarniejszej przeszłości swego życia. Jak daleko posunie się, aby uratować brata? Szpital do którego trafił, skrywa mroczne tajemnice świata, gdzie wstęp mają tylko umarli...



Laureat  
nagrody  
literackiej

**SUPER  
WIKTORIA  
2020**



fundacja  
ludziszteki  
maszcheka

[www.wydawnictwonoca.pl](http://www.wydawnictwonoca.pl)

Cena

**39 zł 90 gr**

(w tym 5% VAT)

ISBN 978-83-959399-0-7



9 788395 939907